

NELSON DEMILLE



SŁOWO HONORU

NELSON DEMILLE

SŁOWO HONORU

Przełożyła Dorota Malinowska

AMBER

Pragnę podziękować Tony'emu Gleasonowi za jego uwagi na temat prawa wojskowego, Reidowi Boatesowi za sugestie edytorskie i Nickowi Ellisonowi za stałą pomoc. Za nieustanne wsparcie bardzo dziękuję Kathleen Haley. Dziękuję również sierżant Susan Rueger z Fortu Hamilton i doktorowi Russellowi Gilmore'owi, dyrektorowi Muzeum Obrońców Portu. A także Danielowi Barbiero, służącemu nadal w piechocie morskiej. A moich ludzi z Kompanii Delta, Pierwszego Batalionu Ósmej Kawaleryjskiej, najserdeczniej pozdrawiam.

CZEŚĆ I

Łatwiej jest znaleźć fałszywych świadków przeciwko cywilowi niż kogoś chętnego do mówienia prawdy obciążającej honor żołnierza.

Juvenal

Rozdział 1

Ben Tyson złożył „Wall Street Journal” i wlepił wzrok w okno pędzącego pociągu podmiejskiego. Za szybą przesuwały się szpetne domki typowe dla Queens. W jasnym, majowym, porannym słońcu wyglądały prawie malowniczo.

Tyson zerknął na siedzącego po przeciwnej stronie mężczyznę. John McCormick był jego sąsiadem i znajomym. Czytał książkę w twardej okładce, Benowi udało się odcyfrować tytuł: „Hue: Zagłada miasta”.

McCormick przewrócił stronę, wracając do jakiegoś wcześniejszego fragmentu, podniósł na chwilę głowę i niespodziewanie spotkał się wzrokiem z Tysonem. Pospiesznie spuścił oczy na książkę.

Bena ogarnęło nagle złe przecucie. Przyjrzał się uważniej okładce. Widniała na niej, zabarwiona czerwonią, fotografia starożytnego, cesarskiego miasta Hue, oglądanego pod niewielkim kątem z powietrza. Zabudowania rozciągały się po obu stronach spływającej czerwonią rzeki Perfume, ze zburzonymi mostami, których resztki sterczały z wody. Ogromne czarne i czerwone słupy dymu wznosiły się nad płonącym miastem, a słońce, połowa szkarłatnej kuli, widoczne nad odległym Południowochińskim Morzem, podkreślało kontury budynków cesarskiego pałacu, wysokie ściany i wieże cytadeli oraz wznoszące się iglice katolickiej katedry. Niezwykły obraz, pomyślał Tyson. No tak. Hue.

- Dobra książka? - zapytał.

McCormick podniósł wzrok z udaną obojętnością.

- Niezła.

- Czy znalazło się tam parę łaskawych słów na mój temat?

John wahał się przez moment, ale wreszcie bez słowa wręczył Tysonowi otwartą książkę.

Ben czytał:

Szesnastego dnia bitwy o Hue, piętnastego lutego, amerykański pluton zwiadowczy został przygwożdżony ogniem nieprzyjaciela na zachodnich rubieżach miasta. Pluton był częścią Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmego Pułku Kawalerii, Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. Z historycznego punktu widzenia Siódmy Pułk Kawalerii był tym pechowym pułkiem dowodzonym przez generała Custerą pod Little Big Horn.

Pluton strzelców, który znalazł się pod obstrzałem, dowodzony był przez dwudziestopięcioletniego absolwenta Auburn, porucznika Benjamina J. Tysona z Nowego Jorku.

Tyson wpatrywał się w otwartą książkę, nie czytając dalej. Po chwili podniósł wzrok na wyraźnie zakłopotanego McCormicka, po czym wrócił do czytania.

Opis tego, co wydarzyło się pamiętnego ranka, oparty jest na relacjach dwóch członków plutonu Tysona, których w dalszej części będziemy nazywać szeregowcem X i specjalistą czwartego stopnia Y. Historię tę, dotychczas nigdy nie opowiadaną, po raz pierwszy ujawniła mi zakonnica, w której żyłach płynie mieszana krew francusko-wietnamska, siostra Teresa. Dalsze szczegóły dotyczące źródeł, z których korzystałem, znajdują się na końcu rozdziału.

Ben zamknął oczy. Z ciemności wyłoniła się postać ubranej na biało Eurazjatki, ze srebrnym krzyżem wiszącym pomiędzy piersiami. Jej ciało było pełniejsze niż normalnie u Wietnamek, a długie, ciemne włosy lekko falowały. Miała wydatne kości policzkowe i migdałowe oczy, dziwnie jasne, a na jej nosie leciutko zaznaczały się piegi. Twarz, którą widział oczami wyobraźni, uśmiechnęła się nieoczekiwanie i to ją całkowicie odmieniło. Nagle rysy stały się wyraźnie galickie. Usta w kształcie łuku Kupidyna rozchyliły się i usłyszał łagodny głos: „*Tu es un homme interessant*”. „*Et tu, Terese, es une femme interessante*”.

Tyson otworzył oczy. Znowu spojrzął w książkę.

Nieprzyjaciel zaatakował ludzi Tysona ze stojącego w pobliżu, niewielkiego, francuskiego szpitala o nazwie Hôpital Misericorde. Szpital, prowadzony przez Katolicką Agencję Pomocy, wywiesił dwie flagi: Czerwonego Krzyża i Vietcongu.

Strzelanina rozpoczęła się tuż przed dwunastą. Pluton błyskawicznie zaległ, nie było rannych. Po pięciu minutach nieprzerwanego ognia wróg zakończył natarcie i zaczął wycofywać się w kierunku miasta.

Ktoś ze szpitala wywiesił na pierwszym piętrze białe prześcieradło, co oznacza albo poddanie, albo miejsce zupełnie „czyste”. Widząc je porucznik Tyson rozkazał swemu plutonowi zająć szpital i okoliczne budynki. Jednakże wróg pozostawił za sobą przynajmniej jednego snajpera, zaczajonego na dachu szpitala. Zaczął on strzelać, kiedy żołnierze podeszli bliżej. Zabił jednego Amerykanina, szeregowca Larry’ego Cane’a i ranił jeszcze dwóch, sierżanta Roberta Moody’ego i szeregowca Arthura Petersona. Prawdopodobnie przy którymś z okien czał się też drugi snajper.

Tyson znowu przerwał lekturę, powracając myślą do tamtych chwil w 1968 roku. Był to jeden z najgorszych dni zmasowanego ataku wroga, który rozpoczął się wraz z początkiem księżycowego roku, obchodzonym jako święto Tet. Początkiem Roku Małpy.

Wyraźnie pamiętał niebo, tak czarne od dymu, że gdyby nie zimny deszcz spadający z góry wraz z popiołem, nie wiedziałby, jaka jest pogoda.

Słyszał stały łoskot pociągu, wytrwały łomot moździerzy i niedbałe staccato automatycznej broni.

Gdy teraz pociąg wydał przeciągły gwizd na krzyżówce, Tyson z przerażającą jasnością przypomniał sobie ścinający krew jęk nadlatujących rakiet, eksplodujących potem z taką siłą, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi. Potrzeba było dobrych paru chwil, by uświadomić sobie, że się jeszcze żyje.

A trupy, przypominał sobie, trupy leżące wszędzie. Nie do uwierzenia. Wioski były wprost zaścielone nadpalonymi zwłokami. Ludzie zajmujący się zbieraniem poległych pracowali w maskach gazowych i gumowych rękawiczkach. Zabierali tylko ciała Amerykanów, resztę układali w stosy, polewali benzyną i podpalali. Pogrzebowe stosy, skwierczący tłuszcz i czaszki szczerzące zęby. Wciąż czuł zapach palących się włosów ludzkich.

Przypomniał sobie słowa kapitana Browdera, dowódcy jego kompanii: „Żywi są tu w

mniejszości”. A sam Browder do większości dołączył wkrótce potem.

Śmierć, tak to pamiętał, była wszechobecna w tym ponurym, umierającym mieście, w lodowatą, deszczową zimę. Zarówno cywile, jak i żołnierze przestali z nią walczyć. Ludzie, kierowani instynktem, kryli się, ale w ich oczach nie widać było wiary w przyszłość: Hue: Zagłada miasta. Hue: Miasto śmierci. Nic dziwnego, pomyślał, że wszyscy tam oszaleliśmy.

Wrócił wzrokiem do książki. Przerzucił parę stron i przeczytał przypadkowy fragment:

Francuska pielęgniarka, Marie Broi, usiłowała powstrzymać Amerykanów, by nie zabijali rannych żołnierzy, ale otrzymała cios kolbą.

Australijski lekarz, Evan Dougal, zaczął obrzucać żołnierzy obraźliwymi przekleństwami. Wszyscy byli pod wpływem ogromnego stresu, choć trafniejsze byłoby stwierdzenie, że zachowywali się histerycznie.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, jeden z amerykańskich żołnierzy wystrzelił z karabinu maszynowego. Doktor Dougal padł odrzucony siłą serii na drugą stronę pomieszczenia. Specjalista czwartego stopnia opisuje to następująco:

- Osuwał się na podłogę, trzymając rękami za brzuch. Biały fartuch stawał się czerwony, a twarz - coraz bardziej biała.

W sali szpitalnej, gdzie przed chwilą rozbrzmiewał potworny zgiełk, zrobiło się nagle bardzo cicho, słychać było tylko jęki umierającego doktora Dougala. Szeregowiec X pamięta zawodzenie i płacz dochodzące z oddziału dziecięcego i położniczego.

Nie jest zupełnie jasne, co nastąpiło potem, ale najwyraźniej niektórzy ludzie z plutonu Tysona uznali, że najlepiej będzie nie zostawiać żadnych świadków morderstwa na białym człowieku. Rozkazano lekarzom, pielęgniarkom i zakonnicom zebrać się w jednym pokoju operacyjnym i...

- Jamaica! - wykrzyczał nazwę stacji konduktor. - Przesiadka do Nowego Jorku. Pociąg jedzie dalej do Brooklynu.

Tyson zamknął książkę i wstał. McCormick siedział nadal.

- Chcesz ją pożyczyć? - zapytał po chwili wahania.

- Nie.

Tyson przeszedł na drugi peron, z którego odjeżdżał jego pociąg. Zastanawiał się, dlaczego musiało się to zdarzyć w taki słoneczny dzień.

Rozdział 2

Tyson spoglądał przez okno swego gabinetu na znajdującą się dwadzieścia osiem pięter niżej Park Avenue. Oto jedna z wersji *american dream*, pomyślał. Biuro niczym mostek, z którego kapitanowie przemysłu i handlu kierują każdego dnia w tygodniu, od dziewiątej do piątej, bitwą przeciwko rządowi, klientom, obrońcom środowiska i wielu innymi.

Po przyjeździe do pracy stwierdził, że nie ma dziś szczególnej ochoty do walki. Ale powodowany rozsądkiem nie dywagował długo nad tym odkryciem. Świat zmienił się dla niego gdzieś pomiędzy Hollis a Jamaica Station.

- Czy dokończy pan ten list? - zapytała panna Beale, jego sekretarka.

Tyson odwrócił się od okna i spojrzał na siedzącą kobietę.

- Niech pani sama to zrobi.

Panna Beale wstała, przyciskając notatnik do obfitego biustu.

- Dobrze się pan czuje?

Ben spojrzał jej prosto w oczy. Panna Beale, jak wiele sekretarek, była wyczulona na słabości szefa. Drobną niedyspozycją nie stanowiła groźby. Jednak poważniejsza mogła pociągnąć za sobą utratę pracy ich obojga.

- Jasne, że nie - odparł. - Chyba nie wyglądam dobrze, prawda?

Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, wreszcie wykrztusiła:

- Nie... pan... ja chciałam...

- Proszę odwołać moje spotkanie podczas lunchu i wszystkie sprawy popołudniowe.

- Nie będzie pana przez cały dzień?

- To możliwe.

Panna Beale odwróciła się i odeszła.

Tyson rozejrzał się wokół. Ciekawe, na jaki kolor malowano biura, zanim odkryto bez?

Otworzył szafę i spojrzał na własne odbicie w lustrze. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt i trzymał się nieźle. Obciągnął szarą marynarkę w drobne prążki i poprawił krawat, palcami przeczesał włosy o barwie piasku. Stanowił wręcz modelowy okaz urzędnika na wysokim stanowisku, a każda armia tego świata uznałaby go za oficera i dżentelmena.

Z badań nad czynnikami wpływającymi na sukces w interesach wynikało, że częściej udawało się ludziom wysokim. A jednak prezes jego spółki miał jakieś sto pięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu. Prawdę mówiąc, znakomita większość ludzi zajmujących wysokie stanowiska zarówno w jego departamencie, jak i w centrali nie osiągnęła stu siedemdziesięciu centymetrów. I nic dziwnego, pomyślał. Wszyscy oni byli Japończykami.

Zamknął szafę i podszedł do biurka. Usiadł i bezmyślnie upił nieco zimnej kawy. Jego błądzący wzrok zatrzymał się na papierze firmowym. Peregrine-Osaka. Kiedy Peregrine Electronic Aviation zostało połknięte przez Osakę, Tyson nie był tym szczególnie zachwycony i przez następne dwa lata nic nie wpłynęło na zmianę jego stanowiska.

Powtarzał sobie, że nie jest rasistą, a jednak czuł się niezręcznie, spoglądając w dół na pana Kimurę, kiedy rozmawiali ze sobą, a gdy zwracano się do niego Ty-sun, drażniło to jego ucho.

Japończycy byli subtelni i nie narzucali swojej obecności. Mimo to w jakiś dziwny sposób potrafili rządzić żelazną ręką. Tyson, nie proszony, usunął ze ścian biura pamiątki wojenne: wezwanie do wojska, pochwały i zdjęcia - *objets de guerre*, które dobrze wpływały na klientów z Ministerstwa Obrony. Dawny właściciel i założyciel Peregrine, Charlie Stutzman, patrzył na nie przychylnym okiem, ale pod nowymi rządami przestały pasować do atmosfery biura. Do domu powędrowała również fotografia ojca w mundurze lotnika. Jego Grumman Hellcat widoczny był w tle na pokładzie lotniskowca Lexington, a na kadłubie samolotu widniały namalowane trzy wschodzące słońca. Trzech zabitych Japończyków.

Pan Kimura pewnego dnia długo i uważnie przyglądał się zdjęciu, ale nic nie powiedział. Tyson odczekał tydzień, żeby uratować twarz, a potem zdjął je.

Teraz wstał, wziął swą cienką teczkę i wyszedł z biura. Przechodząc koło panny Beale, czuł na sobie jej zatroskane spojrzenie.

Rozdział 3

Ben Tyson szedł na wschód Czterdziestą Drugą Ulicą. Koło Dworca Centralnego zobaczył małą księgarenkę. Na stojaku oznaczonym szyldem NOWOŚCI leżał okazały stos książek z tytułem, którego szukał. Czerwono-czarno-białe grzbiety wydawały się rzucać mu wyzwanie. Sięgnął po jeden egzemplarz i przekartkował go.

Tekst uzupełniały zdjęcia, a co kilka rozdziałów dołączono również klasyczne, wojskowe sztabówki z planem Hue i okolic. Książka otworzyła się sama na stronie tytułowej i Tyson zauważył na niej autograf Andrew Picarda.

- Był tu wczoraj.

Ben podniósł wzrok i zobaczył młodą kobietę w dzinsach i podkoszulku z napisem: NOWY JORK TO ŚWIAT KSIĄŻKI.

- Dostaliśmy je dopiero w zeszłym tygodniu - mówiła dalej. - Kupił dla mnie jedną książkę i podpisał ją. Zaczęłam ją czytać wczoraj wieczorem. Próbuję przynajmniej przeglądać najważniejsze tytuły, jakie do nas trafiają.

Tyson kiwnął głową.

- Ta pokazuje wielką bitwę widzianą oczami małych ludzi - ciągnęła przyglądając mu się uważnie. - Był tam pan? To znaczy w Wietnamie?

- Całkiem możliwe - odpowiedział.

- No cóż, mogę ją panu spokojnie polecić, warto przeczytać... szczególnie jeśli pan tam był. Ja wolę inną literaturę.

- Zdaje się, że jest tam coś o masakrze francuskiego szpitala - odezwał się Tyson.

Skrzywiła się.

- Tak. Odrażające. - Przez chwilę zastanowiła się. - Jak mogliśmy zrobić coś takiego?

Tyson zauważył, że użyła pierwszej osoby liczby mnogiej. Młodzi czuli się odpowiedzialni za zbrodnie rządu i wojska.

- To było tak dawno - powiedział. - Wezmę książkę.

Doszedł do skrzyżowania Czterdziestej Drugiej z Drugą i wkroczył w progi irlandzkiego

baru powiększonego do skali amerykańskiej. Kiedy jego oczy oswoiły się z półmrokiem, podszedł do długiego kontuaru i usiadł na wolnym stolku. Klientelę baru stanowiła mieszanina obcokrajowców z pobliskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych, dziennikarzy z „Daily News”, którego budynki mieściły się po drugiej stronie ulicy, i niedouczonego literatów, których obecność tutaj zawsze dziwiła właścicieli, ponieważ nie zachęcali tego typu gości. W takim miejscu rzadko trafiał się jakiś biznesmen i była niewielka szansa, że spotka kogoś znajomego. Jeden z właścicieli, Dan Ryan, powitał go serdecznie.

- Ben, jak się z tobą życie obchodzi?

Tyson rozważył kilka możliwych odpowiedzi, z których wybrał:

- Nie najgorzej.

Dan zamówił dla niego dewara z wodą, życząc przy tym szczęścia zgodnie ze zwyczajem irlandzkich barmanów.

- *Slainte* - odparł Ben, unosząc szklanekę.

Kiedy Ryan odsunął się, by przywitać kolejnych nowo przybyłych, Tyson po raz pierwszy od chwili, kiedy otworzył księżkę Picarda, pomyślał o swojej żonie. Marcy nie była typem towarzyski życia, którą chętnie prezentuje się w telewizyjnych wiadomościach, lojalnie trwając u boku męża, człowieka na wysokim stanowisku, oskarżonego w jakimś momencie kariery o korupcję, przywłaszczenie mienia lub dewiacje seksualne. Była ona przede wszystkim sobą i innych ostrożnie obdarzała zaufaniem. Trudno ją również było nazwać dobrą żoną dyrektora spółki. Prawdę mówiąc, sama osiągnęła wiele i miała własny rozum. Zawsze zdecydowanie sprzeciwiała się wojnie, armii i wszystkiemu, co nie pasowało do jej własnego, centrolewicowego spojrzenia na świat. I taka pozostała. Ben nie miał wątpliwości, jaka będzie jej reakcja na księżkę.

Wyjął ją z teczki. Położył na barze i przerzucił pospiesznie interesujący go rozdział, nie mając już ochoty na dalsze czytanie, jak ktoś, kto otrzymał list lub telegram zawiadamiający o śmierci. Z każdej strony wзираło jego własne nazwisko: pluton Tysona, porucznik Tyson, ludzie Tysona, radiooperator Tysona...

Zamknął księżkę, dokończył drinka i zamówił następnego. Po jakimś czasie otworzył ją znowu, w miejscu, gdzie zagiął się róg, i przeczytał fragment:

Kiedy pluton zbliżył się, ktoś ze szpitala wywiesił trzy sprzeczne ze sobą znaki: flagę Vietcongu, Czerwonego Krzyża i białe prześcieradło. To ostatnie mogło wprowadzić w błąd, sugerując bezpieczeństwo, kiedy przechodzili przez otwartą przestrzeń przed budynkiem. Nagle rozległy się strzały. Larry Cane zginął na miejscu. Moody i Peterson zostali zranieni.

Reszta plutonu zdołała się ukryć i odpowiedziała ogniem.

Rana Moody'ego była powierzchowna, za to stan Petersona - krytyczny. Morale plutonu, nie najlepsze od początku, ucierpiało jeszcze bardziej. Poczuli się bezradni, pełni bezsilnej nienawiści i oszukani.

Tyson zgodził się z tym. Tak, to był trafny opis. Nienawiść i bezsilność. Zostali wystawieni do wiatru. Nie tylko przez wroga, ale także przez własnych dowódców siedzących gdzieś w sztabie lub w Waszyngtonie. I szukali czegoś lub kogoś, żeby się odegrać. Patrząc z perspektywy czasu Tyson zdał sobie sprawę, że ludzie w szpitalu nie mieli cienia szansy na przeżycie.

Przerzucił stronę.

Po wkroczeniu do szpitala Tyson zażądał natychmiastowego opatrzenia jego dwóch rannych.

Komendant szpitala, Francuz dr Jean Monteau, posługując się niezłą angielszczyzną wyjaśnił dość kategorycznie, że w szpitalu jest zbyt wielu pacjentów, a za mało personelu i lekarstw, by zajmować się tymi, którzy i tak umrą - jak Peterson, lub którym niepotrzebna jest natychmiastowa pomoc, jak w przypadku Moody'ego. Po tej przemowie doktor Monteau odwrócił się tyłem do Tysona i zajął żołnierzem Vietcongu, którego ramię rozharatał szrapnel, co zaliczało go najwyraźniej do kategorii osób, które mogły otrzymać pomoc.

Dr Monteau być może stawiał trafne diagnozy lekarskie, jednak jego ocena sytuacji nie mogła być gorsza.

Tyson oderwał wzrok od książki. Masz absolutną rację, Picard. Próbował przypomnieć sobie twarz doktora Jeana Monteau, ale widział tylko karykaturę małego, aroganckiego Francuza. Na pewno, pomyślał, jest to mechanizm obronny mojego mózgu, usprawiedliwianego to, co się stało. Prawdziwy doktor Monteau zwracał się do mnie grzecznie i z godnością. To, co uznałem wtedy za zbyt apodyktyczny sposób zachowania, nie było niczym innym jak zmęczeniem. Przemyślał jeszcze raz. Nie, Monteau był niewątpliwie aroganckim skurwielem. Ale nie zasługiwał, żeby za to umrzeć. Ben zakołysał drinkiem i przeczytał kolejny przypadkowy fragment:

Jak już wspomniałem wcześniej, pluton Tysona działał niezależnie od reszty kompanii już ponad tydzień. W czasie poprzednich szesnastu dni ofensywy poniósł spore straty. Z pierwotnego stanu czterdziestu mężczyzn pozostało dziewiętnastu. Przed opisywanym wypadkiem szli bez wytchnienia i prowiantu pełne siedem dni.

Nie podaję tych faktów, żeby wytłumaczyć i umniejszyć tragedię, która wydarzyła się potem. Opowiadam po prostu, jak do tego doszło. Niewątpliwie bywali w przeszłości żołnierze bardziej zmęczeni, spragnieni wygod, osłabieni w obliczu wroga i w ogóle wobec okrucieństw wojny niż ten nieszczęsny pluton, bez wracania do...

Tyson zatrzasnął książkę. Zapalił papierosa i patrzył na smugę dymu wznoszącą się w górę. Potem gwałtownym ruchem odwrócił książkę i przyjrzał się zdjęciu Andrew Picarda. Było dziwnie zamglone, ale zobaczył profil brodatego mężczyzny, mniej więcej w swoim wieku, ubranego w jasną koszulę z militarnymi w stylu pagonami. Zdjęcie przecinały jakieś linie, po chwili dostrzegł, że są to nazwiska. Nagle zdał sobie sprawę, że fotografia przedstawia obraz Picarda odbity w ciemnej, lśniącej tafli czarnego granitu. Był to stojący w Waszyngtonie pomnik ku czci poległych w Wietnamie.

Tyson przez jakiś czas wpatrywał się w to dziwne zdjęcie, odczytywał nazwiska poległych wyryte w czarnej płycie poprzez lustrzane odbicie Picarda, poprzez czas i przestrzeń. Armia zmarłych.

Otworzył książkę, by przeczytać na wewnętrznej części obwoluty krótką biografię autora:

Andrew Picard ukończył uniwersytet w Yale. Służył w marynarce jako oficer polityczny. Przebywał w Wietnamie, w Hue podczas ofensywy Tet. Żyje i pracuje w Sag Harbor na Long Island.

Tyson kiwnął głową. Yale. Prawdopodobnie trafił do szkoły oficerskiej tuż po otrzymaniu dyplomu, ale udało mu się zadekować na posadce oficera politycznego i nie musiał prowadzić piechoty w ogień.

Sag Harbor. Małe miasteczko na północ tuż za Hamptons. Ben wynajmował tam kilka lat temu letni dom. Przypominał sobie jak przez mgłę skrzynkę na listy przy drodze, którą często chadzał, z nazwiskami Picard Wells, ale nie mógł sobie uzmysłwić dokładnie, w którym to było miejscu. Najwyraźniej drogi życia jego i pana Picarda dążyły ku sobie, nie przecinając się: w 1968 roku w Hue, potem latem siedemdziesiątego szóstego i ostatnio w księgarni na Czterdziestej Drugiej. Widocznie pisane im było się spotkać.

Popijając swoją trzecią szkocką, Tyson przypomniał sobie wydarzenie sprzed prawie dwóch lat. Do jego domu zadzwonił mężczyzna i powiedział, że zbiera materiały do książki o Wietnamie. Ben starał się być możliwie mało pomocny, usiłując przy tym nie wydać się jawnie niegrzecznym. Parę tygodni później mężczyzna zadzwonił ponownie. Tyson rzucił słuchawkę. Andrew Picard. Tyson kiwnął głową, wiedząc już, kto do niego dzwonił.

Przekartkował książkę, zatrzymując się przy stronach ze zdjęciami. Były to typowe portrety dowódców wojskowych: z jednej strony Amerykanów i ich południowowietnamskich sojuszników, z drugiej Vietcongu i Wietnamu Północnego. Jak ulotki zachęcające do przyścia na mecz piłkarski, pomyślał.

Potem następowały zdjęcia z rodzaju szokujących: porozrzucane zwłoki, samochody wypełnione trupami, klęczący ludzie szlochający nad bezwładnymi ciałami, groteskowe rany, a wreszcie zbiorowy grób. Wszystkie były czarno-białe. Pomyślał, że niesłusznie. Przecież to druga wojna światowa była czarno-biała. Ta natomiast - w kolorze.

Przestał przewracać kartki i zapatrzył się w zdjęcie zajmujące pół strony. Wokół wraka uzbrojonej amfibii wroga stali żołnierze Pierwszego plutonu, Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej. Było ich prawie czterdziestu. Zdjęcie zbiorowe zrobione jeszcze przed Tet, zanim śmierć zabrała prawie połowę z nich.

Wyglądali, pomyślał, na bandę zarozumiałców, aroganckich i niesympatycznych. Wrażenie takie potęgowały ich pozy. Ale pamiętał, że to zdjęcie zrobiono w grudniu 1967 roku w okolicach Gwiazdki - jeszcze przed fatalnym trzydziestym stycznia 1968 roku, kiedy Kompania Alfa straciła jedną trzecią ze swych ludzi w wiosce Phu Lai.

Grudzień, pomyślał, był dobrym miesiącem. Deszcze nie padały tak rzęsiście, wiał cieplejszy wiatr, słońce nie było zbyt bezlitosne. W grudniu straty wynosiły zero, za to oni mieli na swoim koncie parę drobnych zwycięstw. Gwiazdka, choć nie rodzinna, była przynajmniej bezkrwawa. Stąd zadowolone z siebie miny mężczyzn Pierwszego plutonu Kompanii Alfa.

Tyson zobaczył samego siebie opartego o wieżyczkę, pojazdu. Książę wojny na szczycie zniszczonej blanki zamku podbitego wroga w otoczeniu zwycięskich wasali.

Przyjrzał się uważniej twarzom. Mógł wskazać tych, których czekała śmierć lub rany.

Wpatrywał się z intensywnością człowieka powracającego do zdjęć kolegów ze szkolnej ławy tuż przed spotkaniem klasy po latach.

Zamknął książkę i wsunął ją do teczki. Podniósł szklanekę i zauważył, jak drży mu ręka. Odstawił drinka i odetchnął głęboko.

Skierował się do drzwi, wyszedł na jasny dzień i ruszył chodnikiem. Zanim dotarł do Piątej Alei, powrócił myślami do terażniejszości. Rozważał konsekwencje wystawienia się

pod publiczną ocenę. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobi on sam, jego rodzina, przyjaciele. Jak zaważy to na jego karierze.

W tym momencie niebezpieczeństwo wydawało się nierealne i odległe, ale właśnie dlatego było tak groźne: nie można się było z nim zmierzyć twarzą w twarz. Na początku bezcielesne, ale kiedy tracisz czas, udowadniając, że nie istnieje, nabiera kształtu, a potem otacza cię jak mur.

To przypomina, pomyślał, dżunglę, która nagle wycisza się w nocy. Tam nic nie ma. Potem nagle bambus skrzypnie na wietrze. Ale przecież nie ma wiatru. Cień księżycy przesunie się, ale przecież nie ma ani księżycy, ani chmur, które dawałyby cień.

I nagle, pomiędzy dwoma przyspieszonymi uderzeniami serca, pojawi się cichy cień, czarna postać pośród czarnej nocy i twoje wymyślone bezpieczeństwo przestaje w jednej chwili istnieć.

Tyson stanął i wytarł spocone czoło. Rozejrzał się, jakby pragnąc sprawdzić, że stoi na chodniku w Nowym Jorku. Potem znowu wrócił myślą do tamtego deszczowego poranka w Hue. Wydawało się, że wszystko, co tam zaszło, zdarzyło się na innej planecie, w innym życiu albo innej osobie. Tamten Ben Tyson, pomyślał, miał dwadzieścia pięć lat, nie był żonaty, nigdy nie trzymał w ramionach niemowlęcia ani nie widział trupa w innym miejscu niż dom pogrzebowy. Tamten Ben Tyson miał dość niewyraźne pojęcie na temat miłości, nienawiści, tragedii, współczucia czy nawet moralności. Nic podczas jego bezpiecznego amerykańskiego życia nie przygotowało go na to, co się miało zdarzyć 15 lutego 1968 roku w Hue.

Teraz jednak nasuwa się pytanie: Czy dziś jest przygotowany, żeby ponieść konsekwencje tamtego dnia?

Rozdział 4

Ben Tyson złapał pociąg o trzynastej czterdzieści na Penn Station. Usiadł w przedziale dla palących.

Pociąg przejechał ciemnym tunelem pod Manhattanem, pokonał East River, a wreszcie wydobył się na światło dzienne w Queens.

Na Jamaica Station informacje dotyczące kierunków jak zwykle były błędnie poustawiane i musiał chwilę poświęcić na odszukanie odpowiedniego peronu, zanim

wsiadł do swego pociągu.

Dwadzieścia dwie minuty później Tyson wysiadł na zalany słońcem peron stacji w Garden City, w pobliżu niezwykłego budynku dworcowego.

Czuł zapach kwiatów przedzierających się kolorowymi plamami przez podkłady kolejowe. Z nawyku skierował swe kroki w stronę domu, potem zawrócił i ruszył po wznoszącej się platformie do centrum miasteczka. Wszedł po małych schodkach i przeciął Hilton Avenue.

Uświadomił sobie, że w powszedni dzień nie był tu od dobrych paru lat. Dzieci szły albo jechały na rowerach ze szkoły, matki prowadziły wózki, ulicą sunął sznur samochodów dostawczych - działo się to wszystko, co powinno się dziać w podmiejskim osiedlu w zwykły dzień. W znajomych miejscach, gdzie spędził dzieciństwo, czuł się prawie obcy.

Zatrzymał się przed charakterystycznym ceglanyim budynkiem, o oknach w kształcie łuków. Stuletni dom służył kolejno za stajnię, szkołę podstawową i magazyn. Teraz było to siedlisko notariuszy, jakby wyjętych z powieści Dickensa, spędzających swe dni nad przeróżnymi umowami i testamentami. Tyson wszedł do biura na parterze. Poczekalnia świeciła pustką.

Przełożył teczkę do lewej ręki. Świadomość, że ma w niej książkę, doskwierała mu, jakby to był jakiś guz, świeżo powstały, właśnie odkryty i oczekujący na diagnozę.

W odległych drzwiach pojawiła się kobieca postać.

- Czym mogę panu służyć?

- Nazywam się Ben Tyson. Przyszedłem, żeby zobaczyć się z panem Sloanem.

Kobieta uśmiechnęła się w przebłysku rozpoznania, jeśli nie twarzy, to przynajmniej nazwiska. Jak większość związków Tysona z ludźmi jego kontakt z sekretarką Phillipa Sloana był tylko telefoniczny.

- Jestem Ann. Proszę usiąść.

Znikła, by pojawić się w parę minut później ze swym pryncypałem. Sloan był mężczyzną koło pięćdziesiątki, ubranym w typowy urzędniczy garnitur, buty bez sznurowadeł i klubowy krawat w kolorach, które nigdy do niczego nie pasowały. Powitał Bena hałaśliwie, po czym powiedział:

- Zupełnie zapomniałem, że umawialiśmy się - odegrał komedię, przerzucając strony książki, w której sekretarka notowała jego spotkania.

Tyson ruszył w kierunku biura.

- To nie zajmie ci dużo czasu, Phil.

Prawnik rzucił sekretarce zaskoczone spojrzenie i ruszył za gościem. Poprowadził go do biblioteki.

- W gabinecie mam klienta.

Tyson usiadł przy długim stole patrząc na ścienne regały pełne książek. „Corpus Juris Secundum”. Prawo rolne, skodyfikowane i z indeksami, ze wszystkimi dręczącymi szczegółami i zwykłą prozą uprawnień i obowiązków niezwykle bezprawnego społeczeństwa.

Wyjął z teczki książkę i położył ją na mahoniowym blacie, otwierając od razu na właściwej stronie. Popchnął ją w stronę Sloana. Adwokat zerknął na kartę tytułową i zaczął czytać.

Tyson zapalił papierosa i zagapił się w odległą ścianę.

Po pewnym czasie Sloan podniósł wzrok znad książki. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

Ponieważ wszystko wskazywało, że nie ma zamiaru się odezwać, Tyson poinformował go:

- John McCormick pokazał mi ją dzisiaj w pociągu.

Prawnik skinął głową w sposób, który nic nie oznaczał.

Tyson nie przepadał szczególnie za swoim adwokatem. Ale ojciec Sloana zajmował się sprawami jego rodziny przez całe lata i to, że Phil Sloan przejmie jego rolę w stosunku do Bena, wydawało się po prostu naturalne. A prawnik, choć nie był zbyt lubiany, ze swych obowiązków wywiązywał się dobrze. Tyson wstał.

- Chciałem cię tylko poinformować, zanim dowiesz się w jakiś inny sposób. Jeśli coś się będzie działo dalej, zawiadomię cię również.

Adwokat zawahał się, wreszcie wskazując ręką krzesło powiedział:

- Usiądź, Ben. Mam jeszcze parę minut.

Na pewno masz, niech cię diabli, pomyślał Tyson. To jest dla ciebie szansa, o jakiej śniłeś latami.

Sloan zaczął niezwykle przejętym tonem:

- No cóż, to ryzykowna sprawa. - Zastanowił się przez chwilę, a potem dodał: - Mam nadzieję, że podasz go do sądu.

Tyson słuchał go tylko jednym uchem.

- Czy ja również mogę zostać oskarżony? - wyrwało mu się nagle.

Prawnik milczał wpatrując się w niego.

- To zależy - odparł wreszcie.

- Od czego?

- Oczywiście od tego, czy są dowody potwierdzające historię opisaną w książce. - Zamilkł na chwilę. - Czy mógłbyś usiąść, Ben? Pozwól mi przejrzeć to jeszcze raz.

Tyson usiadł.

Sloan przeczytał tekst na okładce, źródła, na które powoływał się autor, i informacje dotyczące wydawcy. Podniósł wzrok.

- Wydawca znany. Autor też zdaje się wiarygodny. Książka ma przypisy i bibliografię. Wygląda na kawał porządnej roboty.

Tyson wzruszył ramionami.

- Zrozum, Ben - powiedział adwokat - to jest rozmowa między nami. - Wziął głęboki wdech. - No?

Tyson zawahał się.

- Posłuchaj, chcę się tylko dowiedzieć od ciebie, czy ja... czy ludzie, którzy służyli w moim plutonie... mogą zostać postawieni przed sądem? - zapytał.

- Pod jakim zarzutem? - głos Sloana stracił całą łagodność. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Za morderstwo!

Prawnik opadł na fotel i przez chwilę się zastanawiał.

- W przypadku morderstwa nie stosuje się przedawnienia - wydusił wreszcie z siebie.

Tyson spojrzał na niego zniecierpliwiony.

- Jednak musiałbyś stanąć przed sądem wojskowym - dokończył adwokat.

- To znaczy?

- Musieliby cię powołać znowu do wojska.

Tyson kiwnął głową. - Czy mogą to zrobić?

- To nie takie proste - Sloan pokiwał głową. - A w przeciwnym razie żaden cywilny sąd nie jest w stanie cię ruszyć. Widzisz, stąpasz po kruchym lodzie. Ale ważne jest jedno, może cię skazać tylko amerykański sąd wojskowy, żaden inny. Były już takie sprawy.

- Nie wątpię. - Tyson przez chwilę zastanawiał się. - Dobrze, rozważmy najgorszy scenariusz. Biorą mnie z powrotem. I co wtedy?

- Kluczowa sprawa to świadkowie. Czy jest ktoś w twojej jednostce, kto świadczyłby przeciwko tobie?

- Najwyraźniej tak.

Adwokat pokręcił głową.

- Rozmowa z pisarzem to nie to samo, co zeznawanie przed sądem wojskowym.

Tyson milczał.

Sloan przez chwilę bawił się ołówkiem.

- Posłuchaj, mamy tu do czynienia z domniemaną zbrodnią wywleczoną na światło dzienne przez jakiegoś pisarza w siedemnaście... nie, osiemnaście lat po jej dokonaniu... Mój Boże, to już tyle czasu? Nieważne, w każdym razie na wiele lat po domniemanych zdarzeniach. Pisarz powołuje się na trzy źródła: dwóch szeregowych o nieznanymi nazwiskach, którzy jakoby mieli należeć do twojego plutonu i których anonimowości strzeże, oraz na zakonnice pochodzenia eurazjatyckiego, występującą pod imieniem siostry Teresy i twierdzącą, że jest jedyną osobą, która przeżyła masakrę... - adwokat spojrzał na Tysona. - Znasz tę siostrę Teresę?

Tyson zawahał się przed odpowiedzią.

- Znałem zakonnice o takim imieniu.

Sloan nie naciskał.

- W każdym razie chodzi o rzekomą zbrodnię popełnioną na terytorium obcego państwa, z którym obecnie nie mamy stosunków dyplomatycznych...

- To wszystko wiem.

- ...podczas operacji wojskowej, w czasie wojny, a ty nie jesteś wymieniony jako aktywnie uczestniczący w tej... masakrze.

Tyson wpatrywał się w książkę leżącą pomiędzy nimi.

- Dobrze, a teraz co mi grozi?

Prawnik pochylił się do przodu.

- Sam przecież wiesz. Jako dowódca...

- ...odpowiedzialny za swoich ludzi ponoszę pełną odpowiedzialność i tak dalej. Tak, wiem.

- Czy ty sam zastrzeleś kogoś?

- Nie.

- Czy byłeś tam podczas popełniania rzekomych morderstw?

Tyson już chciał odpowiedzieć, ale zawahał się i inaczej sformułował wypowiedź:

- Picard twierdzi, że byłem.

- Picarda tam nie było. Ja pytam ciebie.

- Nie, nie było mnie tam. Koniec sprawy.

- Obawiam się, że nie, poruczniku. - Sloan postukał ołówkiem w stół. - Dobrze, będę znowu adwokatem diabła - powiedział - lub prokuratorem wojskowym, jeżeli wolisz. Opierając się na tym, co tu przeczytałem, ja jako prokurator chciałbym wiedzieć, czy rozkazałeś zabić tych ludzi lub czy zrobiłeś cokolwiek, żeby temu zapobiec. Chcę wiedzieć, czy wiedziałeś o tym lub czy mogłeś to przewidzieć. Ponieważ jeżeli choć na jedno z tych pytań odpowiesz twierdząco, armia oskarży cię o popełnienie morderstw, jakbyś zabił tych ludzi własnymi rękami.

Zapadła cisza, wreszcie Tyson odetchnął głębiej i stwierdził:

- Stanowiska oznaczają przywileje.

Adwokat wstał i podszedł do odległej ściany biblioteki. Z górnej półki wyciągnął opasły tom, zdmuchnął z niego kurz, a potem położył księgę na stole.

- Jeśli wojsko wystąpi przeciwko tobie, to sprawa na pewno będzie się opierać na którymś z precedensów ustalonych w Norymberdze i Tokio, gdzie sądzono zbrodniarzy wojennych.

- Nie ma to jak doborowe towarzystwo.

Sloan mówił dalej i przerzucał karty książki:

- Podczas tych spraw chodziło oczywiście o ukaranie naszych wrogów. A teraz niektóre z precedensów są zmorą amerykańskich sądów wojskowych. - Przesłał kartkować książkę. - Na przykład: punktem zwrotnym był przypadek generała Yamashity, dowódcy japońskich sił na Filipinach. Yamashita został oskarżony przez Amerykanów o postępowanie niezgodne z prawem i niewykonanie obowiązków dowódcy, ponieważ pozwolił ludziom będącym pod jego komendą popełnić czyny ohydne i brutalne oraz inne przestępstwa. - Prawnik zerknął na Tysona. - Nigdzie nie jest powiedziane, że Yamashita osobiście popełnił którąkolwiek z tych zbrodni ani nawet że wydał polecenie ich popełnienia. Oskarżenie jedynie wywodzi, że w czasie, kiedy był dowódcą, nie zdołał przewidzieć, co podlegli mu żołnierze mogą zrobić, a to oznacza, że nie sprawdził się jako dowódca w tych warunkach. - Sloan zamknął książkę. - Generał Yamashita został uznany za winnego i powieszony.

- Dzięki za pocieszenie, Phil.

Adwokat spojrział na zegarek.

- Muszę już iść. - Wstał. - Wszystko, o czym mówimy, jest wysoce ezoteryczne. Jeżeli nie znajdowałeś się wtedy w miejscu, gdzie to wszystko się wydarzyło, armia na pewno nie postawi cię przed sądem. Minęło tyle lat. Byłeś tam?

- To całkiem możliwe. - Tyson podniósł się również.

- Czy brałeś w tym aktywny udział? Nadal nie bardzo wiem, jaka była twoja rola w rzekomym incydencie.

Tyson sięgnął po teczkę.

- No cóż, to było bardzo dawno temu. Muszę przemyśleć, Phil, jaka była moja rola.

Sloana najwyraźniej zirytowała wykrętna odpowiedź. Podeszedł do drzwi, ale jeszcze odwrócił się.

- Najlepszą obroną jest atak. Sprawdza się to w piłce nożnej, podczas wojny i w sądzie. Powinieneś poważnie zastanowić się nad zaskarżeniem tego faceta, Picarda. Jeżeli tego nie zrobisz, zostanie to zauważone przez rząd i armię i może silnie wpłynąć na ich decyzję. - Adwokat odczekał chwilę spodziewając się odpowiedzi, po czym ciągnął dalej: - Powinieneś także wziąć pod uwagę, co powiedzą twoi znajomi, przyjaciele, rodzina i podwładni, jeżeli tego nie zrobisz.

Tyson brał to pod uwagę. Wiedział także, że Sloan zarzuca mu przynętę, zadając w

zawołowany sposób pytanie: Jesteś winny morderstwa, Tyson, czy nie?

- Oczywiście, zastanowię się nad podaniem go do sądu - odpowiedział.

Prawnik powoli skinął głową.

- No dobrze, Ben, informuj mnie o wszystkim, co się będzie działo. I zostaw mi książkę do przeczytania. Zdobądź inny egzemplarz i zrób to samo.

Wyszedł z biblioteki, a Tyson ruszył za nim. Rozdzielili się na korytarzu. Sloan powiedział:

- Nie wypowiadaj się na ten temat ani publicznie, ani prywatnie.

Tyson odwrócił się, stojąc już przy drzwiach.

- Nie miałem zamiaru tego robić.

- Pozdrowienia dla Marcy.

Tyson opuścił biuro i ruszył ocienioną drzewami aleją. Pomyślał, że grożące mu niebezpieczeństwo nie było już takie nieokreślone i dzięki temu poczuł się jakby lepiej. Ale potworowi rosła już następna głowa, a z daleka nie widać było nawet, jak wielkie ma zęby.

Ben Tyson przeciął Hilton Avenue i wszedł do miejscowej biblioteki. Ruszył od razu na górę, gdzie mieściły się zbiory książek prawniczych. Przez jakiś czas grzebał na półkach, a potem zasiadł przy niewielkim biurku, kładąc przed sobą cztery opasłe tomy. Z teczki wyciągnął blok papieru i zatytułował pierwszą kartkę: „Raport Komisji Peersa o masakrze w My Lai”. Na drugiej kartce napisał: „Prawo wojskowe”. Strona trzecia i czwarta została opisana kolejno: „Ujednolicony Kodeks Prawa Wojskowego” i „Instrukcja Dla Sądów Wojskowych”.

Otworzył raport Komisji Peersa i zaczął czytać. Od czasu do czasu coś notował. Po jakiejś półgodzinie odsunął go na bok i sięgnął po „Ujednolicony Kodeks Prawa Wojskowego”. Znał dość dobrze tę książkę i był raczej przekonany, że nic się w niej nie zmieniło przez ostatnie osiemnaście lat, to jest od czasu, kiedy miał ją w rękach po raz ostatni. Prawo wojskowe ewoluowało równie szybko jak gatunki.

Jako oficer zasiadał w sądach wojskowych, a nawet występował jako prokurator lub obrońca podczas sądów polowych. Prawo wojskowe wydawało mu się logiczne, sprawiedliwe, a nawet dość łagodne. Było w nim sporo zdrowego rozsądku, którego nie zawsze można się dopatrzeć w prawie cywilnym. A jednak niektóre rozprawy, w których brał udział, szczególnie te za oceanem, miały pewien surrealistyczny wymiar. Ponure, straszliwe, wręcz kafkowskie - jedynym ich celem było pozbycie się oskarżonych jak

najszybciej i bez zbędnego rozgłosu.

Przerzucił interesujący go ustęp UKPW, zrobił trochę notatek i wreszcie sięgnął po „Instrukcję Dla Sądów Wojskowych”. Książka spięta była w trzech miejscach, żeby jej luźne kartki nie rozsypały się. Przerzucił ją pospiesznie, bardziej z ciekawości i nostalgicznej przewrotności niż prawdziwej potrzeby. Był to podręcznik procedury sądowej, reprint wykonany jakąś starożytną metodą. Tytuł każdej części wykaligrafowano wyraźnymi, czarnymi literami. Jako oficer sięgnął po tę książkę tylko wówczas, gdy wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że sąd wojskowy jest nieunikniony. Teraz zamknął ją, przetaił oczy i wstał. Przez wychodzące na zachodnią stronę okno widać było wiszące tuż nad horyzontem słońce, wszystko wydawało się nienaturalnie nieruchome, nawet jak na bibliotekę. Spojrzał na zegarek. Prawie szósta. Zgarnął rzeczy, wrzucił je do teczki i zszedł na dół. Po wyjściu z budynku ruszył alejką niewielkiego skweru rozciągającego się pomiędzy biblioteką a stacją kolejową. W centralnym punkcie stał pomnik ku czci żołnierzy zabitych podczas wojny. W tej chwili na stację wjechał pociąg. Po drugiej stronie ulicy widać było spokojny hotel tonący w zieleni.

Rozmyślał o tym, co właśnie przeczytał. Szczególnie o raporcie komisji Peersa i o prawie wojskowym. Myślał, że uda mu się umknąć prawu. Czas, odległość i oczywiście jego własne życie oddzieliły go od tego cuchnącego, małego, białego szpitala. Ale teraz nie był już tego taki pewien.

Zatrzymał się i zawrócił. Wyobraził sobie samego siebie, w zielonym oficerskim mundurze, siedzącego na sali sądowej, ale nie po stronie sądu, ale na ławie oskarżonych. Wyobrażony obraz stał się przerażająco wyrazisty.

Skierował kroki na Franklin Avenue, przy której znajdowała się księgarnia. A potem, wiedząc, że nie może już dłużej zwlekać, ruszył na spotkanie ze swoją rodziną.

Rozdział 5

Ben Tyson szedł wyłożoną płytami chodnikowymi dróżką prowadzącą do jego domu. Budynek był stary, w stylu holendersko-kolonialnym. Stał przy spokojnej uliczce ocienionej wiekowymi klonami. Dom robił miłe wrażenie. Kryty bielonym cedrowym gontem, miał okiennice, stromy dach, a w nim mansardowe okienka wykończone

czerwoną dachówką. Dwie wozowe latarnie zaczepione były po obu stronach czarnej framugi frontowych drzwi, a przez półkoliste okno nad drzwiami widać było żyrandol wiszący w przedpokoju.

Otworzył skrzynkę i wyciągnął gruby plik korespondencji, w większości nadającej się od razu do kosza. Mieszkał w bardzo dobrej dzielnicy i dlatego każda firma wysyłkowa uważała za stosowne zawiadamiać go o swojej ofercie. Pełna skrzynka pocztowa oznaczała również, że Marcy nie ma jeszcze w domu.

Ponieważ jednak drzwi były otwarte, wiadomo było, że David już wrócił. Tyson wszedł do domu i zawołał:

- Dave!

Z pierwszego piętra walił stereofoniczny hałas, przenikając ściany i podłogi, o mocy w przybliżeniu czterech stopni w skali Richtera. Tyson rzucił pocztę na stół i przeszedł przez salon do pokoiku na tyłach domu, który Marcy nazywała ich biurem. Kiedy po raz pierwszy użyła tej nazwy przy ojcu Bena, starszy pan o mało nie dostał ataku serca. Tyson zrzucił marynarkę i usiadł na leżance. Przyjrzał się pomieszczeniu. Jego pierwotny, męski charakter został zneutralizowany przez Marcy i zamieniony w eklektyczny miszmasz przedmiotów, które jej się spodobały. Rzeczy, których nie lubiła, w jakiś dziwny sposób zniknęły stąd. Na przykład wszystkie jego pamiątki z wojska, które jakoś nie mogły sobie znaleźć miejsca.

Różne pomieszczenia podlegały temu samemu procesowi. Tylko pokój Davida, gdzie stały meble w stylu kolonialnym z klonowego drzewa, wykonane mniej więcej w 1953 roku i towarzyszące Tysonowi od dzieciństwa, nie nosił śladów ingerencji Marcy. David miał silne poczucie prywatności terytorialnej, w które jego matka nie potrafiła się wdrzeć, chociaż Ben był przekonany, że chłopak zupełnie nie dba o to, jakie meble stoją u niego w pokoju.

Przyszło mu do głowy, że Marcy jest zniewoloną utopistką. Prowadziła dom, jakby to była komuna. Decyzje podejmowano całą rodziną, obowiązki dzielono między wszystkich, wspólne były rzeczy i myśli. Jednak Tyson miał dziwne uczucie, że on nie otrzymuje pełnego udziału. A przecież, pomyślał, jeśli nawet nie brać pod uwagę innych jego zalet, zarabiał dwa razy tyle co ona i więcej pracował. Chociaż Marcy nigdy by nie użyła słów Marksa, podstawą jej filozofii było: Każdy według swoich możliwości, każdemu według jego potrzeb. Najwyraźniej jego potrzeby były mniejsze i jakakolwiek sugestia, że za to możliwości są większe, napotykała mur lodowego milczenia. Często miał ochotę powiedzieć, że po to brał udział w wojnie, żeby jego kraj nie funkcjonował tak właśnie jak jego dom. Ale nie warto było nawet zaczynać tematu.

Oparł głowę o oparcie i przysłuchiwał się muzyce. Prymitywna. Muzyka dżungli. Nie rozpoznawał piosenki, jeżeli to w ogóle miała być jakaś piosenka. Ale musiał przyznać, że

czuł ją na jakimś podstawowym poziomie.

Wyciągnął z teczki dwie zakupione wcześniej książki, powieść Picarda „Wyprawa” oraz kolejny egzemplarz „Hue: Zagłada miasta”, który kosztował go następne 18,95 dolara, plus podatek. Jak tak dalej pójdzie, pomyślał, książka Picarda dostanie się na listę bestsellerów „Timesa”, a autor na moich zakupach zbije fortunę.

Powieść odłożył na bok, a sięgnął po książkę o Hue. Otwierał na chybił trafił i czytał starając się omijać fragment dotyczący incydentu w Szpitalu Miłosierdzia. Stwierdził, że Picard jest niezłym pisarzem. Książka utrzymana była w stylu lubianym przez historyków amatorów, skupiała się na tragediach poszczególnych ludzi, operowała anegdotą i wypowiedziami świadków - od wieśniaków i cywilów po generałów i zarządców prowincji. Było to jak wielkie malowidło impresjonisty - wiele małych plamek, z których wyłaniał się obraz całości. Jak u Seurata.

Na jednej z pierwszych stron czytał:

Hue miało jakby niezmierny charakter. Było jednym z tych miast-klejnotów, dla których zwykłe określenie „miasto” jest niewystarczające. Stanowiło duszę Wietnamu. Północnego i Południowego. Centrum nauki, kultury i religii, pełne pamiątek i wspomnień po starym Imperium Annamskim, którego stolicą było przez dwadzieścia jeden wieków. Jak wszystkie wielkie miasta stanowiło mieszaninę egzotyki i wyrafinowania, miejskości i sielanki. Miało charakter bardziej wietnamski niż francuski, ale stare kafejki przy południowym brzegu rzeki Perfume nadal zachowały nastrój kolonialny, a wielka katedra Phu Cam stanowiła symbol kościoła powszechnego.

Hue było mieszaniną obrazów, zapachów, dźwięków i wrażeń. Była w nim witalność i wielkoświatowość. Było to serce i ciało narodu i póki ono istniało, Wietnamczycy, od prostych wieśniaków po skorumpowanych policjantów sajgońskich, mogli mieć nadzieję...

- Cześć, tato.

Tyson zamknął książkę i spojrzał na syna.

- Cześć, Davidzie.

- Co czytasz?

- Książkę. Nie zabrałeś ze skrzynki listów.

- Ale wyniosłem śmieci.

- Nie zamknąłeś drzwi.

- Kupiłem mleko i papier. Gdzie mama?

- O to samo chciałem zapytać.

David uśmiechnął się.

Tyson przyglądał się synowi. Chłopiec ubrany był bardzo starannie, ale taka właśnie panowała moda. Włosy ostrzyżone krótko, tylko wyjątkowo złośliwy sierżant mógłby się przyczepić. A poza tym chłopak był przystojny, co prawda w opinii Bena, zbyt szczupły, zupełnie jak jego matka. Również po matce odziedziczył ciemny koloryt i niezwykle zielone oczy.

David podszedł bliżej i przyjrzał się książce leżącej na kolanach ojca,

- Hue?

- Wymawia się „lej”. Francuzi dali Wietnamczykom alfabet łaciński, a potem pokręcili im całą wymowę.

- A, to o Wietnamie.

- Tak. Chcesz przeczytać?

David roześmiał się.

- Nie. Co na obiad? Dzisiaj ty gotujesz. Ja zmywam. Mama podaje.

- Naprawdę?

- Sprawdź na grafiku. - Powiedział to z ledwie ukrywanym lekceważeniem.

Sięgnął po „Wyprawę”.

- Też książka. Musiałeś chyba kiedyś widzieć coś takiego w muzeum albo w telewizji. Na podstawie książek robią filmy, wiesz?

David zignorował sarkazm, obejrzał uważnie okładkę i przeczytał informacje na skrzydełku.

- Święty Graal. Coś czytałem na ten temat. Król Artur. Czy to się działo naprawdę?

- To legenda, a legenda jest czymś na wzór prawdy, ale zarazem na wzór mitu, a mit jest historią zmyśloną. Chwytasz?

- Nie. - Powrócił wzrokiem do książki o Hue. - Czy ta historia jest prawdziwa?

Tyson nie odpowiedział. David odłożył książkę na stół.

- Coś nie tak, tato?

Tyson zastanawiał się przez chwilę, a potem odpowiedział:

- Wolałbym w tej chwili nie rozmawiać na ten temat.

- Rozwodzicie się z mamą?

- Nic o tym nie wiem.

David uśmiechnął się.

- Dobra. Rada rodzinna zbierze się później.

Tyson znowu wyczuł drwinę w głosie syna.

- Są takie sprawy, Davidzie, których nie rozwiąże rada rodzinna. Nie wszystkim powinno się obciążać dzieci.

- Powiedz to mamie.

- Powiem. A z tobą porozmawiam prywatnie na temat tego, co mnie gnębi, ale bez niepotrzebnych szczegółów.

- Dobra - chłopak zawahał się i dodał: - Chcesz, żebym zamówił obiad?

- Tak. Proszę. I niech to będzie niespodzianka. Tylko nie pizza.

David kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi. Tyson widział, że syn chce mu jeszcze coś powiedzieć, ale nie zachęcił go do tego. Kiedy David wyszedł, wstał i podszedł do barku. Nalał sobie niedużą porcję drambuie.

Czasami zastanawiał się, czy powinni mieć więcej dzieci. Sam pochodził z rodziny, gdzie było ich czworo, poza nim same dziewczynki. Jakby na przekór, Marcy miała trzech braci i podejrzewał, że został jej po tym doświadczeniu pewien uraz. On z kolei przez swoje siostry traktowany był z uczuciem. David nigdy nie pozna siostrzanej miłości ani rywalizacji z bratem. Decyzja, że nie powinni mieć więcej dzieci, została podjęta osiem lat temu, kiedy urodziła się Jenny. Żyła, cierpiała i umarła - wszystko w ciągu jednego tygodnia. Marcy stwierdziła, że to skutek LSD, który brała na studiach. Tyson sugerował, że może to być „pomarańczowy agent”, którego zaaplikowano mu w Wietnamie. Ich proboszcz, wilebny Symes, orzekł, że to wola Boga. Lekarze nie wypowiedzieli się wcale.

Ponieważ jednak David był dzieckiem zupełnie zdrowym, Ben czasami myślał, że warto byłoby jeszcze raz spróbować. Ale żadne z nich nie byłoby odpowiednim opiekunem dla ułomnego dziecka.

Porzucił te rozważania i wrócił myślami do książki. Spojrzał do indeksu, aby sprawdzić, czy jego nazwisko pojawia się jeszcze gdzieś, a nie tylko w kontekście Szpitala Miłosierdzia. Znalazł je raz na pierwszych stronach i kolejny raz przy końcu. Otworzył na pierwszej wzmiance i nie siadając czytał:

Przepowiednie mówiły, że Rok Małpy przyniesie wiele nieszczęść i nigdy jeszcze wróżby nie sprawdziły się tak dokładnie i tak szybko. Minęły zaledwie trzy godziny nowego roku, kiedy wróg rozpoczął ofensywę.

Ale mimo złych rokowań w Hue zapanował tego dnia nastrój festiwalu. Był to czas tradycyjnych spotkań rodzinnych, biesiad i zabaw ulicznych. Jak Gwiazdka, Sylwester i Tłusty Czwartek obchodzone jednocześnie. W domowych kaplicach oddawano cześć przodkom, a w licznych pagodach i świątyniach miasta odbywały się ceremonie religijne. Na ulicach tańczyły papierowe smoki, a niebo było jasne od fajerwerków, petard i rakiet.

Na ten czas ustalono zawieszenie broni, ale żołnierze czuli, że coś wisi w powietrzu. Oddziały amerykańskie pozostawały w normalnej gotowości, a Wietnam Południowy wstrzymał przepustki świąteczne, choć nie dla wszystkich. Co najmniej połowy oddziałów wietnamskich i wielu dowódców nie było na stanowiskach. A ci, którzy pozostali, w większości świętowali także.

Trzydziestego stycznia, siedem tysięcy żołnierzy północnowietnamskich, czwarty, piąty i szósty pułk, przekroczyło śmiało w szyku defiladowym mosty spinające kanały na przedmieściach Hue od strony południowej. Nikt ich nie zatrzymał.

W samym mieście kolejnych kilka tysięcy żołnierzy Vietcongu wmieszało się w świąteczny, uliczny tłum. Kolejne formacje wroga czekały wokół miasta na rozkaz uderzenia. Przyszedł czas zagłady.

Ale bitwa o Hue tak naprawdę zaczęła się wcześniej, choć w momencie oddania strzałów nikt nie zdawał sobie sprawy z ich znaczenia. Kompania Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej, Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej patrolowała tego popołudnia obszar sześciu kilometrów na zachód od miasta. Kompania składająca się z dwustu silnych i zdrowych mężczyzn, pod dowództwem kapitana Roya Browdera z Anniston w Alabamie, rozpoczęła rutynowe sprawdzanie uznanej za opuszczoną wioski Phu Lai, gdzie natknęła się na dobrze uzbrojony oddział wroga, później zidentyfikowany jako Dziewiąty Północny Pułk, którego siłę oceniono na tysiąc ludzi. Nieprzyjaciele ukryli się w wiosce, oczekując na rozkaz rozpoczęcia szturm, który miał przyjść o północy.

Pierwszy pluton Kompanii Alfa prowadzony był przez porucznika Benjamina Tysona, o którym dowiemy się później nieco więcej. Pluton wkroczył właśnie na teren wioski, kiedy - zgodnie z relacją jednego z ocalałych żołnierzy, będą nazywał go szeregowym X z powodów, które staną się jasne później - „Nagle wszystko zaczęło się ruszać. Żółtki wyłaziły ze stogów siana, studni i dziur w ziemi. Pojawili się w drzwiach i oknach, otaczali nas zewsząd. To było jak nocny koszmar. Nie wierzyłem własnym oczom. Przez długą chwilę nie padł żaden strzał. A może to było ledwie kilka sekund. A potem wszystko eksplodowało”.

Tyson zorientował się, że znowu siedzi na krześle. Kiwnął do siebie głową. Jakie to dziwne, dopiero po latach dowiedział się, że jego kompania jako jedna z pierwszych miała kontakt z wrogiem jeszcze przed rozpoczęciem prawdziwej ofensywy. Ale w sumie zawsze tak jest, że uczestnicząc w czymś nie widzi się pełnego obrazu. I chociaż do tej chwili nie wiedział, że walczył z oddziałem liczącym tysiąc żołnierzy, łatwo mógł w to uwierzyć. To ludzie tacy jak Picard zbierają wszystkie szczegóły, które w czasie wojny wydają się nieważne, ale potem pozwalają innym, weteranom jak on, zrozumieć, co się stało. Jeśli w ogóle ich to jeszcze obchodzi.

Oparł głowę o krzesło i ziewnął, nagle poczuł się bardzo senny. Książka wyslizgnęła mu się z rąk i upadła na podłogę.

- Co, do diabła, mamy zrobić? Co? Co? Co robić?

Tyson leżał na placu, pośrodku wioski, pomiędzy martwym radiooperatorem i martwym dowódcą oddziału. Odwrócił się do leżącego obok rannego strzelca.

- Umrzeć - odpowiedział mu.

Ogień z karabinów maszynowych siał spustoszenie na placu, granaty wybuchwały pomiędzy żywymi i martwymi. Tyson nigdy nie był świadkiem tak nieprzerwanego ognia nieprzyjaciela i nigdy nie znajdował się w pozycji tak jasno uwidaczniającej, że silna i liczna jednostka wojskowa może stopnieć i wykrwawić się w ciągu kilku minut. Nie znał żadnej taktyki, która mogłaby ich wyciągnąć z masakry na błotnistym podwórku. Pozostawało tylko czekać na swoją kolejkę lub wstać, żeby mieć to od razu za sobą.

Tuż przed jego twarzą wylądował pocisk granatnika, fontanna brudnej wody zalała mu oczy. Tyson gapił się na niego, wiedząc, że jest to ostatnia rzecz, którą widzi w życiu. Ale pocisk nie wybuchł, a później dowiedział się od innych żołnierzy, którym też zdarzyło się wpatrywać w zielone jajo śmierci, że wiele radzieckich granatów było niewypałami. Jakiś robotnik w fabryce zbrojeniowej w Wołgogradzie, którego nic nie obchodziło, co i dla kogo robi, a na dodatek przesiąknięty wódką, zrobił coś nie tak, więc Ben Tyson żył, przynajmniej, na razie.

Kula drasnęła jego prawe ucho. Krzyknął bardziej ze zdziwienia niż bólu. Zobaczył ludzi zrywających się do biegu, by w tej samej chwili paść na ziemię, i nie wiedział, gdzie mieli zamiar biec, ponieważ ogień raził ze wszystkich stron. Byli odcięci od reszty kompanii i nie mieli ani ludzi, ani środków, żeby się do niej przedostać. Modlił się gorliwie o szybką śmierć, ściskając swoją czterdziestkępiątkę jako gwarancję, że nie wezmą go żywcem.

Wtem, jakby Bóg wysłuchał błagania kogoś innego, kula trafiła w pojemnik z petardami do sygnalizacji dymnej, przyczepiony do pasa nieżywego żołnierza leżącego o dziesięć metrów od Tysona. On zaś przyglądał się, jak czerwony dym pełznie powoli nad martwym ciałem. Wyglądało to, jakby człowiek wykrwawiał się w stanie nieważkości.

Wyciągnął własny kanister z za paska, wyszarpnął zawleczkę i odrzucił pojemnik od siebie. Wydobył się z niego zielony dym i uniósł w górę w ciężkim, cuchnącym powietrzu. W tej samej chwili ci, którzy pozostali przy życiu, zrozumieli, że to może być szansa ucieczki i jeden po drugim zaczęli wystrzeliwać świece dymne po całym podwórku. Nad wystawionymi dotąd na odstrzał żołnierzami zaczęły unosić się barwne wstęgi czerwonego, niebieskiego, żółtego, pomarańczowego i zielonego dymu.

Nieprzyjaciel na jakiś czas przestał cokolwiek widzieć, strzelał wyżej, trafiając we własnych żołnierzy znajdujących się po przeciwnej stronie placu.

Tyson sięgnął i wyrwał ze sztywniejących palców nieżywego radiotelegrafisty radio. Uspokoił głos i wezwał kapitana Browdera.

- Mustang sześć, tu Mustang jeden-sześć. Wycofujemy się. Czy możecie spotkać się z nami w połowie drogi?

Radio zazgrzytało i doszedł go głos Browdera, niewzruszony głos człowieka, dla którego rozmowa pomiędzy świstającymi kulami to nie pierwszyna.

- Odbiór. Jesteśmy teraz dość zajęci... ciągle na skraju wioski. Ale postaramy się z wami spotkać. Przypuszczam, że to wasze petardy.

- Odbiór. Kierujcie się na nie. Musimy zostawić martwych.

- Zrozumiałem.

- Co z siłami powietrznymi i artylerią?

- W drodze. Ale nie czekajcie na nich. Biercie dupę w troki. Tatuś już idzie. Szczęścia, kolego.

- Odbiór, skończyłem.

- Odbiór, koniec połączenia.

Tyson podniósł się na jedno kolano i krzyknął poprzez dym i zgiełk: - Wycofujemy się! Zabierać rannych, zostawiać martwych i nie omylić się.

Pierwszy pluton Kompanii Alfa rozpoczął wycofywanie się poprzez zabłocony plac. Czołgali się, biegli, potykali, byle dotrzeć do pierwszych chat ograniczających otwartą przestrzeń. Podpalili zabudowania, rzucając granaty, a potem ostatnie petardy i pojemniki z gazem łzawiącym. Strzelali z karabinów automatycznych, pistoletów M-16, wyrzutni granatów, zużywając amunicję w tempie świadczącym o desperacji. Walczyli o każdy metr przedzierając się przez bambusowe osiedle, pozostawiając spaloną ziemię w miejscu, gdzie stała Phu Lai. Starali się wyrwać z pułapki, w której stracili większość ludzi.

Spotkanie z kompanią nastąpiło na wąskiej ścieżce prowadzącej przez wioskę, pomiędzy stawem z kaczkami i chlewikiem. Ranni zostali przekazani mniej zmęczonym żołnierzom z drugiego i trzeciego plutonu i zanieśeni do murowanej pagody, gdzie zajęli się nimi lekarze. Nieprzyjaciel strzelał nadal, ale miejsce walki było tak skryte w dymach, że praktycznie nie mogli już nic zrobić.

Nadszedł Browder. Krępa, brudna postać maszerująca nonszalancko ścieżką.

- No, byłeś w gównie po szyję i udało ci się wydostać, synu - odezwał się burkliwie do Tysona - ale mnie też wciągnąłeś aż po kolana.

- Dzięki, że przyszliście.

- Taaa. No dobra, mamy dwa wyjścia, albo okopać się tutaj i bronić, aż wreszcie nas załatwią. Albo przedrzeć się przez pola ryżowe, którymi tutaj doszliśmy, i to już. Co ci się bardziej podoba?

Tyson potarł krwawiące ucho.

- Tutaj mi śmierdzi. Za dużo żółtków mających zbyt dużo amunicji i zachowujących się, jakby im jaja urwało. Zdaje się, że trafiliśmy na coś, co nas może połknąć. Czas odejść.

- Ale mamy rannych, których musimy targać ze sobą - powiedział kapitan - i na dodatek kilku zabitych.

Tyson pokręcił głową.

- Nie sądzę, żeby tym razem Charlie zawałił kontrakt i rozwiązał się z dymem. Jeśli zostaniemy, sami się załatwimy.

Browder zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową. - Wynośmy się, zanim nas znajda. Niech artyleria i helikoptery wytrzęsą gówno z tego grajdołu.

Wydał przez radio rozkaz wycofania się.

Kiedy nadleciały śmigłowce Cobra, zaskoczył je gęsty ogień przeciwlotniczy. Jeden stanął w płomieniach i zwałił się prosto na wioskę. Artyleria zaczęła strzelać w stronę Phu Lai, salwa za salwą, pociskami z białego zapalającego fosforu, o które prosił kapitan. Kiedy Kompania Alfa dotarła od zachodu na skraj pola, wioska już płonęła.

Przedzierali się powoli poprzez rozmokłe pole, ciągnąc za sobą rannych i kilka trupów, pozostawiając znaczący ich ślad ekwipunek. Tyson zobaczył jakiś but, który ugrzązł w błocie. Wróg strzelał za nimi, ale Kompania Alfa nie zwracała na to specjalnej uwagi. Interesowało ich tylko, by znaleźć się jak najdalej od Phu Lai.

Ogień artyleryjski i śmigłowce osłaniały ich odwrót, choć słowem, które lepiej oddawałoby sytuację, był pogrom. Nieprzyjaciel nie ścigał ich po odkrytym polu, tylko schował się w podziemnych bunkrach i tunelach, by przeczekać deszcz ognia i stali.

Kompania Alfa zgrupowała się na suchym wzniesieniu oznaczonym kopcami grobów. Był to cmentarz. Zaczęli kopać. Pokazały się kości, zaśmiecające czerwoną ziemię. Kopali głębiej. Ustawione w krąg czaszki, twarzami na zewnątrz, szczerzące zęby na widok przewracanej ziemi. Ktoś wkopał się do świeżego grobu, uderzyła w nich fala tak wielkiego smrodu, że kopiający zwymiotował i szybko zasypał dół.

Sierżanci sporządzali listy zabitych. Oficerowie odczytywali je i sprawdzali: pięciu nieżywych, ciała na miejscu. Trzydziestu ośmiu rannych, w tym dziesięciu w stanie krytycznym. Piętnastu zaginionych. Ale Browder przekazał drogą radiową do sztabu batalionu, że większość z nich najprawdopodobniej również nie żyje, co nie uratowało go przed ostrą reprimendą za pozostawienie Amerykanów na pastwę losu.

W normalnych warunkach, pomyślał Tyson, zarówno on, jak i kapitan zostaliby pozbawieni funkcji za porażkę w Phu Lai. Była to ostatecznie obrona, a obrona jest czymś w rodzaju nieudolności. Ale tamtej szczególnej nocy, trzydziestego stycznia, mówiąc słowami Roya Browdera, wszystko było jednym wielkim gównem i nie musieli przeżyć hańby wyrzucenia ze służby. W całym zamieszaniu i panice, która ogarnęła wszystkich i wszystko w następnych tygodniach, takie szczegóły jak spieprzenie Phu Lai zostało wybaczone i zapomniane. Bo właściwie, jak stwierdził krzywiąc się ironicznie kapitan, każdy od personalnego po oficera politycznego armii powinien dostać po dupie, że nie przewidział, co się kroi. Browder, jak tylko znalazł wolną chwilę kilka dni później, przedstawił się do odznaczenia Srebrną Gwiazdą i radził Tysonowi zrobić to samo. Tyson nie posłuchał go.

Kompania Alfa spędziła noc bez odpoczynku pomiędzy kośćmi i rżyskiem. Wiatr od Południowego Morza Chińskiego niósł dźwięki eksplozji ze wschodu. Widzieli też flary na spadochronach i rakiety sygnałacyjne w pobliskim Hue. Sierżant podczas swojej drugiej wachty powiedział:

- W Hue bawią się. Nazywają to święto Tet. Nowy Rok żółtków. Szczęśliwego Nowego Roku.

Ale w Hue nie bawiono się. Umierano.

O świcie ci, którzy pozostali z Kompanii Alfa, ruszyli na wschód, w stronę obleganego miasta. Sześć kilometrów, które zabrało im dwa tygodnie, a niektórym nawet całe życie.

- Ben!

Tyson otworzył oczy i zobaczył naprzeciwko siebie Marcy siedzącą w klubowym fotelu z drinkiem w dłoni. Odchrząknął i powiedział:

- Cześć!

- Miałaś ciężki dzień?

- Bywały gorsze. - Wyprostował się.

Marcy przyglądała mu się przez chwilę.

- David zamówił chińskie jedzenie - powiedziała.

- Czuję.

- Chcesz jeść czy pogadać?

- Chcę pić - wyciągnął szklanę.

Przez chwilę zawahała się, ale wstała i wzięła ją.

- Drambuie. Czystą - powiedział, po czym podniósł książkę o Hue i położył ją na stoliku.

Marcy podała mu drinka.

- Usiądź, kochanie - powiedział. - Mam wieści dobre i złe. Dobre, że twój mąż stał się sławny. Złe - to powód sławy. Strony od drugiej do siedemnastej.

Sięgnęła po książkę i zaczęła czytać. Marcy dobrze się ubierała. Mimo feministycznych poglądów lubiła ozdobne białe bluzki spięte kameą przy kołnierzyku. Tego dnia miała spódnice w kolorze ciepłego różu, idealnie dopasowaną, która podciągała się lekko przy siadaniu. Krótka obcięte ciemnobrązowe włosy dobrze harmonizowały z lekko oliwkową cerą. Choć wygląd sugerował pochodzenie semickie lub z obszarów wokół Morza Śródziemnego, jej genetyczne korzenie tkwiły w północnej Europie. Pierwszą rzeczą, jaką w niej ludzie dostrzegali, były oczy. Wielkie i zielone, potrafiące wyrażać gniew, zrozumienie i chłód z jednakową intensywnością. Ben Tyson przyglądał się swojej żonie,

kiedy czytała. Wreszcie wyczuła jego spojrzenie i uniosła wzrok znad książki.

Tyson odwrócił się do okna. Ptaki dziobały coś na trawniku, słońce już prawie zaszło, pozostawiając purpurowy cień na tarasie. W pokoju zrobiło się ciemno, świeciła się tylko mała lampka koło Marcy.

- Czy to prawda?

Nie odwrócił się. Żona patrzyła na niego z uwagą, wyczekująco. Otwarta książka leżała na jej kolanach.

Wszystko, co przychodziło mu do głowy, brzmiało wykrętnie.

- Jeżeli chodzi ci o to, jak to było i o istotę wydarzeń, to tak.

Przez długi czas nic nie mówiła.

- Czy można powiedzieć coś więcej? - zapytała wreszcie.

- Dużo, dużo więcej.

- Powiedz swoimi słowami, Ben. W których momentach ta książka jest nierzetelna.

- To sprawa perspektywy. Wszystko zależy od miejsca, w jakim się znajdujesz.

- A gdzie ty się znajdowałeś?

- A poza tym po tak długim czasie trudno oddzielić prawdę od fantazji i od koszmaru - powiedział, jakby nie usłyszał pytania.

- Mówią tutaj - puknęła palcem w otwartą książkę - że ty i twoi ludzie wymordowaliście chorych i rannych. Strzelałeś do mężczyzn, kobiet, dzieci i niemowląt. Spaliłeś ludzi żywcem. Czy tak było?

Tyson pozwolił, by minęło kilka sekund.

- Tak - odpowiedział głosem bez wyrazu. - To wszystko stało się. Ale niezupełnie tak, jak to przedstawia Picard.

- Więc powiedz mi, co ty pamiętasz. Co ty wiesz.

Ben zastanowił się.

- Nie - powiedział.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ obiecałem, że nigdy o tym nie będę mówił.

- Komu obiecałeś?

Tyson zapatrzył się w jakiś nie istniejący punkt i powiedział roztargnionym głosem.

- Wszyscy przyrzekliśmy. Przysięgliśmy to sobie.

Na jej twarzy odbił się gniew.

- To absurdalne. Jestem twoją żoną.

Ben wstał i nalał sobie kolejnego drinka. Odwrócił się i spojrzał na nią.

Marcy stała i przesuwała książkę po stoliku.

- Myślę, że mam prawo wiedzieć i wcale nie obchodzą mnie żadne obietnice, jakie złożyłeś... poza tym ktoś najwyraźniej ją już złamał. X i Y donieśli, prawda?

- Nie byłeś tam! Byłeś tutaj! Nie prosź mnie, żebym wyjaśniał ci, co się stało w tej gównianej wiosce osiemnaście lat temu. Kto, do diabła, wie, co tam się stało? I kogo to obchodzi? - Tyson zebrał się w garść i usiadł znowu na krześle. - Nie pamiętam, co się stało.

Marcy westchnęła głęboko i spojrzała na niego uważnie.

- To nieprawda. - Po chwili dodała: - Ja pamiętam bardzo dobrze, co się działo osiemnaście lat temu...

- Powinnaś. Wszystkie gazety o tym trąbiły.

- Kiepski żart, Ben. - Podeszła do drzwi, jakby chciała wyjść, ale wróciła do męża i położyła mu rękę na ramieniu.

Ujął jej dłoń.

- Daj mi tylko trochę czasu - poprosił - muszę to sobie poukładać. Chcę ci powiedzieć prawdę. Ale to jeszcze jest niemożliwe.

Nie odpowiadała. Odezwał się znowu:

- Posłuchaj, jeżeli ta książka spowoduje coś w rodzaju... śledztwa, to każdy będzie podawał inną wersję prawdy... najlepiej będzie, jak poczekaś...

- Co rozumiesz przez śledztwo? Czy mogą... wnieść oskarżenie?...

- Zgodnie z tym, co mówi Phil Sloan, mogą.

Potrząsnęła głową.

- Poszedłeś do niego? Przed rozmową ze mną?

- On jest prawnikiem. Ty nie. Był pod ręką. Ty nie. Tematem jest morderstwo, nie kłopoty małżeńskie.

Marcy uwolniła swoją dłoń.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy ty... kogoś zabiłeś? Chodzi mi o to, że jeżeli sam nikogo...

- Oficer odpowiedzialny jest za czyny swoich żołnierzy - wtrącił.

- Bzdura. Takie typowo męskie. Egoistyczne żołdackie gównno... Każdy odpowiada za to, co sam robi.

- Powiem ci coś innego - przerwał jej. - Nie tylko jestem odpowiedzialny za to, co robią ludzie pod moją komendą, ale odpowiadam również za zbrodnie, jakie oni popełnili. Takie jest prawo.

- Idiotyzm.

- Może i idiotyzm, ale nie można lekceważyć prawa wojskowego, instytucji, obyczajów i logiki. Twoja prywatna filozofia nie ma nic do tego.

- W porządku. Rozumiem, Ben. Po prostu nie postanawiaj, że będziesz szlachetny albo głupi. Jeżeli nie zabiłeś nikogo, nie jesteś winny morderstwa. I jeżeli taka sytuacja się zdarzy, lepiej to mów.

Tyson podszedł do okna i otworzył jedno skrzydło. Pomieszczenie wypełniło się pachnącym powietrzem, wysokie jawory kołysały się w łagodnym wietrze. Na sąsiednim podwórku bawiły się dzieci. Pomyślał, że wieczór jest niezwykle piękny. Jeden z tych wieczorów, które przypominają lata młodości.

- Co to tak pachnie? Kapryfolium?

- Chyba tak.

- Dlaczego nie mógłby być zawsze maj?

- Mówiłeś, że lubisz, jak zmieniają się pory roku.

- To prawda. Ale czasami chciałbym, żeby zawsze był maj.

Marcy przez jakiś czas wpatrywała się w jego plecy.

- Martwię się o ciebie.

- Nic mi nie jest.

- Jest. I w tym tkwi problem. Wiem, o czym myślisz. Obowiązek, honor, ojczyzna, Bóg. Albo coś w tym stylu. Masz zadatki na męczennika.

- Naprawdę?

- Mogłeś wyjść obronną ręką z walki, ale nie z tego. Nie, dopóki sam...

Odwrócił się do niej.

- Dość.

- Dobrze, ale powiem ci jedno. Jeżeli chodzi o mnie, wszystko, co ma związek z wojną, jest zbrodnią. Jednak nie ma powodu, by składać siebie w ofierze w następstwie jakiegoś źle pojętego poczucia odpowiedzialności, winy czy...

- Dość. Nie potrzebuję wykładów.

- A czego potrzebujesz ode mnie?

Oparł się o ramę okienną. Myślał, że pewnie byłaby bardziej wyrozumiała, gdyby wrócił do domu i powiedział, że sprzeniewierzył mienie firmy albo że jest narkomanem, a jeszcze bardziej, gdyby załatwił z pistoletu maszynowego delegację zbierającą fundusze na republikanów. Ale ta szczególna zbrodnia dotknęła ją do żywego.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- Dziękuję. Więcej mogłabym się dowiedzieć na rynku.

Zmusił się do uśmiechu.

- Może przesadzam... może to wszystko przycichnie - powiedział bez przekonania. - Niepotrzebnie poszedłem do Phila.

- Mam nadzieję, że masz rację - odparła. - Ale wiesz, Ben, że jeśli nawet nie dojdzie do żadnej formalnej rozprawy... odbije się to w domu, w mieście, w twojej pracy...

- Tak, wiem. Dziękuję.

Wydawała się teraz zatopiona w myślach. Instynktownie wiedział że przypominała sobie szczegółowe opisy krwawej makabry. Spojrzała na niego.

- Jak zabijali te dzieci? Chodzi mi o to, jak...?

Rozległo się pukanie do drzwi, które otworzyły się po chwili ze skrzypnięciem. David wsunął głowę.

- Te chińskie specjały są już całkiem zimne.

- Wrzuć je do kuchenki mikrofalowej. My zaraz przyjdziemy.

David zamknął drzwi.

Marcy i Ben Tyson patrzyli na siebie przez kilka sekund. Oboje zastanawiali się, ile David mógł usłyszeć.

- Napijesz się wina? - zapytała.

Przytrzymał przed nią drzwi.

- Do chińskiej kuchni lepiej pasuje piwo. A jak tobie minął dzień?

- Szalony. Wyjeżdżam w tym tygodniu.

- Gdzie?

- Do Chicago. Na dwa dni.

Nic nie odpowiedział.

Rozdział 6

Tyson obudził się. Odrzucił pościel i odwrócił się w stronę Marcy. Zawsze spała nago, podobnie zresztą jak on. Przyglądał się jej obnażonemu ciału odcinającemu się na tle białych, bawełnianych prześcieradeł. Patrzył na jej pełne, jędrne piersi podnoszące się i opadające w regularnym oddechu, potem jego wzrok ześlizgnął się na włosy łonowe. Pomyślał, że ciągle silny pociąg erotyczny po szesnastu latach ich małżeństwa zakrawa na cud.

Wiedział, że powszechnie uważani są za klasycznie niedobraną parę. Sam miał się za

człowieka hołdującego tradycjom, rezultat wychowania w domu, gdzie pielęgnowano troskliwie stare zwyczaje, uważanym przez sąsiedzką społeczność za bastion konserwatyizmu. W odróżnieniu od Marcy on nigdy nie dał się wciągnąć w wydarzenia lat sześćdziesiątych, po części dlatego, że jego uniwersytet znajdował się na głębokim Południu, po części, że czas między rokiem 1966 a 1969 spędził w wojsku. Kiedyś tak to skomentował: „Ominął mnie Wiek Wodnika, ale obejrzałem go sobie w telewizji”.

Marcy Clure Tyson i Benjamin James Tyson różnili się gustami, jeżeli chodziło o muzykę, ubieranie, literaturę i sztukę. Co do polityki, to on zachowywał neutralność, ona się angażowała. A jednak pobrali się i pozostali małżeństwem, podczas gdy wielu ich znajomych rozwiodło się, było w trakcie rozwodu lub chciało się rozwieść. Ben często żałował, że w ogóle spotkał Marcy, ale bardzo rzadko nie chciał, by była koło niego.

Marcy przewróciła się na drugi bok. Coś wymamrotała, a potem chrapnęła.

Tyson zsunął nogi z łóżka i wstał. Podszedł do okna, żeby jak to miał w zwyczaju, powitać dzień. Na wschodzie niebo już jaśniało, zapowiadała się znowu piękna pogoda. Poniżej, jeszcze skrytą w cieniu ulicą, maszerowało dwóch urzędników. Wymachiwali zamasyście teczkami, spiesząc się na najbliższy pociąg. Zabrzmiał poranny dzwon z pobliskiego kościoła. Z każdym porannym dzwonem zbliżamy się do śmierci.

Ben stanął na bieżniku specjalnego urządzenia i rozpoczął jogging w miejscu, z oczami wciąż utkwionymi w wychodzące na wschód okna. W sypialniach wszystkich domków na jego ulicy zapalały się światła, na pobliskim skrzyżowaniu widział samochody jadące w stronę autostrad albo stacji kolejowej. Osiedle zaczynało się budzić, jego mieszkańcy dążyli na zachód, żeby wlać nowe życie w żyły wielkiego miasta i zasilić je czystą, świeżą krwią. Ożywić Wall Street i Madison Avenue tenisową opalenizną i weekendowymi opowieściami.

Tyson zeskoczył z bieżni i przekoziółkował przez szary dywan. Kilka minut jeszcze gimnastykował się, a potem różnym krokiem przeszedł do łazienki.

Ogolił się, umył zęby, a wreszcie zanurzył w gorącej, pachnącej eukaliptusem wodzie. Wanna była nowoczesna, typu Jacuzzi, z jej ścian waliły masujące strumienie wody. Poprzez kłęby unoszącej się pary zobaczył swoje odbicie w ściennym lustrze. Był, zgodnie ze wszelkimi standardami, potężnie zbudowanym mężczyzną, może trochę za bardzo owłosionym. Niektóre kobiety lubiły to, inne nie. Marcy rozkoszowała się gęstwiną na jego piersi. Pamiętał, że dziewczyny na Wschodzie uważały to za zwierzęce lub zabawne, ale nigdy seksowne. Za to zawsze wypowiadały się z uznaniem o jego rozmiarach. I nie było to tylko czcze pochlebstwo prostytutek. Ludzie z Zachodu byli więksi, o czym przekonał się, kiedy kupił standardowy kondom w miejscowej aptece. Pomyślał, że powinien opowiedzieć tę zabawną anegdotę panu Kimurze, kiedy będą jedli razem lunch.

Oparł głowę i ramiona o marmurową krawędź wanny i dał się unosić wodzie. Tej nocy

śnił mu się jego powracający sen. Znowu jest w wojsku. Toczy się wojna. Jakaś nienazwana wojna, z elementami Wietnamu. Wszystko rozgrywa się w chłodnym, zimowym lesie Fortu Benning w Georgii, gdzie przechodził trening oficera piechoty. Jego zniszczone ubranie przypomina mundury noszone przez napastników w jakiejś grze wojennej rozgrywanej w Benning. We śnie jest ono brudne i porwane. Broń i wyposażenie są przestarzałe. Za to wojna wydaje się raczej rozgrywać w przyszłości i trwać już bardzo długo: nie kończący się, wyniszczający cywilizację konflikt. Armie przemierzają w szerz i wzdłuż zmęczoną ziemię i umierające miasta. Przynajmniej ta część snu to Wietnam.

We śnie nie jest już oficerem, ale zwykłym strzelcem, i ktoś mówi do niego: „Tyson, masz jeszcze przed sobą pięć lat służby”, na co on zawsze odpowiada: „To niesprawiedliwe. Ja już przez to przeszedłem. Tym razem zginę”.

Odepchnął się od krawędzi ogromnej wanny i poddał strumieniom wody, by masowały mu ciało. Przez krótki czas spotykał się z psychiatrą, którego specjalizacją były neurozy powojenne zamożnych weteranów z wyższych klas, głównie eks-oficerów. Stanowiło to najwyższy stopień specjalizacji, tylko na Park Avenue można znaleźć takich jajogłowych. Tyson nawet lubił doktora Stahla, cenił jego intuicję i nie przestawała go zadziwiać wiedza doktora na temat powojennego stresu.

Rozmawiał z Stahlem o śnie i o poczuciu winy. Bo on przeżył, podczas gdy inni nie. I zabijał. Całymi godzinami dyskutowali o problemach związanych z dowodzeniem ludźmi podczas bitwy, z wydawaniem rozkazów, w wyniku których umierali podkomendni i cywile. Za każdą godzinę psychiatra brał dwieście dolarów, z czego przez cały czas obaj zdawali sobie świetnie sprawę. Doktor uważał zresztą, że analizowanie problemów byłych oficerów jest bardziej interesujące, bardziej złożone i powinno być lepiej wynagradzane niż wysłuchiwanie zwykłych narzekań, do których rozwiązania wystarczy zdrowy rozsądek.

Tyson o mały włos powiedziałby temu człowiekowi o Szpitalu Miłosierdzia, ale wiedział intuicyjnie, że spowiedź staje się złym nawykiem. Najpierw powie Stahlowi, potem Marcy, a na końcu nawet księdzu Symesowi. I rozprawiwszy się ze swym problemem w poufnych rozmowach z lekarzem, żoną i reprezentantem swego Boga, uda się wreszcie do głównego sędziego armii. Dlatego nie powiedział nic Stahlowi, a ponieważ dalsza psychoterapia nie miała sensu, skoro psychiatra nie mógł poznać Wielkiego Sekretu, Tyson skończył wizyty, zresztą ku wielkiemu zdziwieniu i żalowi lekarza. Psychiatra uważał Tysona za ciekawy przypadek. Tyson Stahla za nazbyt spostrzegawczego.

Ostatnie, co mu lekarz powiedział, a właściwie napisał w liście, było:

„Ukrywa pan głęboko jakiś wielki i straszliwy sekret. Nie wiem, co to jest, ale czuję

jego cień i obecność we wszystkim, co pan mówi.

Nie ma sensu spekulować, czego to może dotyczyć, ale powinien pan uwierzyć, że na wojnie wszystko jest normą. Zdarzało mi się rozmawiać z odważnymi ludźmi, którzy na polu bitwy wpadali w histerię, uciekali przed wrogiem, zostawiając umierających przyjaciół, i którzy robili w majtki pod ogniem wroga. Wiem o rzeczach, o których się panu nawet nie śniło. I powiem panu jak przyjacielowi, wojna jest piekłem, więc kiedy żołnierz idzie na wojnę, wszystko jest mu z góry wybaczone”.

Tyson nie potrafił zapomnieć tajemniczej ostatniej linijki: „wszystko jest z góry wybaczone”. Ale przez kogo? Jak? Kiedy zostało wybaczone? To zdanie miało pobudzić jego ciekawość. Zaprowadzić go znowu na kozetkę w gabinecie doktora. I tak by się pewnie stało, gdyby odpowiedział na list. Ale w końcu nie zrobił tego. Nie potrafił.

Jakiś czas potem doktor Stahl popełnił samobójstwo. To zdarzało się w jego profesji. Z notatki w „Timesie” wynikało, że przedozowanie środka nasennego mogło być przypadkowe, lecz Tyson w to nie wierzył. Uważał, że Wietnam zabija każdego, kto się z nim zetknie.

Dopłynął do brzegu wanny i wsparł ramiona na krawędzi, żeby złapać równowagę. Spojrzał w górę na lampę emitującą promieniowanie podczerwone i poczuł ciepło na twarzy. Pamiętał, że samobójstwo psychiatry nie zaskoczyło go specjalnie. Lekarz bowiem, mimo przekonania, że nie może sądzić ani poddawać się emocjom, był tylko człowiekiem. Wysłuchał zwierzeń całej armii chorych mężczyzn, ich ból wypełnił mu uszy, a potem zalał serce i duszę jak powoli działający wirus zabijający kolejno wszystkie antyciała. Pewnego dnia odkrył, że jest trupem. Pozostało mu jedynie to udowodnić.

Czytając klepsydrę Tyson poczuł nagły żal. Z drugiej strony zaniepokoiło go, co stanie się z danymi na temat poszczególnych przypadków, ale nigdy nie starał się tego dowiedzieć.

Prawie każde spotkanie Stahl kończył słowami: „Nie można uciec od swoich demonów, a więc trzeba się z nimi zaprzyjaźnić”. Radził, żeby Tyson przypomniał sobie sen we wszystkich szczegółach, rozmawiał z postaciami zamieszkującymi ciemne obszary jego umysłu, gdyż pewnego dnia staną się znajome i przyjacielskie, a potem wręcz banalne i bezbarwne. Dlatego teraz, leżąc w swej nowoczesnej wannie, Ben próbował dostosować się do jego wskazówek. Ale tym razem - bez żadnych wątpliwości - postaci ze snu stały się jeszcze bardziej wrogie niż zwykle. Sen prowadził do nieuniknionego końca. Koszmar stawał się rzeczywistością. Wszystko jest z góry wybaczone, doktorze Stahl.

Do łazienki weszła naga Marcy. Pochyliła się nad wanną i wciągnęła powietrze,

wdychając woń eukaliptusa. Uśmiechała się nie otwierając oczu.

Ben przez chwilę przyglądał się jej piersiom dotykającym powierzchni wody, potem przeniósł spojrzenie na twarz. Po policzkach spływały w dół strużki potu. Pomyślał, że ładnie wygląda, kiedy jest nie umalowana. Zanurzyła się w wannie, pozwalając ciału swobodnie unosić się w wodzie. Ujął jej stopy i zaczął je masować.

- O, jak dobrze - mruknęła.

Rozchyliła nogi, a on uklęknął. Pochylił się ku niej i ujął w dłonie jej piersi. Zbliżył twarz tuż do wzgórka łonowego.

- Jeśli spróbujesz to zrobić, utopię cię - powiedziała ostrzegawczo.

- Rozkoszna śmierć!

- Ben!

W momencie kiedy dotknął twarzą jej seksu, złączyła uda i zanurzyła się głębiej w wodzie, ściągając go wraz ze sobą. Przez moment szamotał się, a kiedy wreszcie udało mu się wydostać na powierzchnię, wymamrotał, niewyraźnie:

- Dziwka.

Parsknęła śmiechem.

Tyson z ponurą miną zawrócił w swój koniec wanny.

Marcy podniosła się z wody. Stała w rozkroku ziewając szeroko i przeciągając się.

Ben patrzył na nią. Przypomniała mu się fotografia. Po raz pierwszy opublikowana w magazynie „Life”, a potem reprodukowana w wielu książkach rozprawiających się z latami sześćdziesiątymi. Białe-czarne zdjęcie przedstawiało grupę studentów w parku Griffitha w Los Angeles w czasie zimowych ferii 1968 roku. Musiał to być bardzo ciepły dzień, bo wszyscy nago baraszkowali w fontannie Mulholland.

Tekst w „Lifie” głosił, że działo się to w związku z rockowym koncertem. Gdy następnie zaprezentowano zdjęcie w dokumentalnym programie telewizyjnym o latach sześćdziesiątych, mówiono o wolnej miłości. Z kolei w fotoreportażu napisano o manifestacji antywojennej. Tyson widział je także jako ilustrujące happening i jakieś wydarzenie przypadkowe. Cel kąpieli nie był więc wyraźny, za to zdjęcie Marcy zdecydowanie tak. Na pierwszym planie, stała na krawędzi fontanny tak jak teraz na brzegu wanny, zwrócona przodem do obiektywu i całkowicie naga. Jedną ręką obejmowała szczupłego, dość owłosionego faceta. Drugie ramię unosiła w górę z zaciśniętą pięścią. Stała w szerokim rozkroku. Na jej twarzy malowała się mieszanka wyzwania i radości. Z

boku widać było policjanów zbliżających się do fontanny pełnej nagich kobiet i mężczyzn.

Widział to zdjęcie oczami wyobraźni. Gęste włosy łonowe Marcy jak czarne oko byka, jej piersi sterczące, dumnie wzniesione do góry. Ale nagość ludzi w fontannie nie miała nic wspólnego z erotyzmem.

Ich wystąpienie było pomyślane jako polityczne i takim się stało. Podobnie jak w innych utrwalonych na zdjęciach sytuacjach pełnych dramatycznego napięcia - wciągnięcie flagi nad Iwo Jimem czy dziewczyna łkająca nad ciałem w Kent State - fotografia niosła w sobie coś więcej niż zapis samego tylko zdarzenia. Była znakiem czasów. Żadna z osób na zdjęciu nie została zidentyfikowana. Ich nazwiska nie miały znaczenia, podobnie jak osoba fotografa czy tytuł pisma, w którym zdjęcie ukazało się po raz pierwszy. Stało się ono własnością publiczną, weszło do ksiąg historycznych i powszechnej świadomości. Nie zapłacono za nie żadnych honorariów, nikt nie prosił o zgodę na jego wykorzystanie ani nie dochodził praw. A jednak dla tych, którzy znali ludzi z fotografii lub po prostu nimi byli, to słynne zdjęcie pozostało czymś osobistym. U jednych budziło uczucie żalu, u innych radości, u jeszcze innych pogwałcenia prywatności.

Tyson popatrzył na swoją żonę nadal zajęta ćwiczeniami rozciągającymi. Jej ciało, a właściwie i twarz niewiele się zmieniły w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Jediną widoczną różnicą były włosy, na zdjęciu długie, w mokrych strąkach spływające na piersi. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, na przyjęciu u swoich przyjaciół na Manhattanie, nosiła jeszcze włosy do ramion. I taki jej obraz nadal pozostał mu w pamięci. Młoda dziewczyna z długimi włosami, bosa, z bardzo naturalnym makijażem, w workowatym dresie.

- Nadal cię kocham - powiedział.

Przerwała ćwiczenia i uśmiechnęła się do niego.

- Nadal się kochamy. Pamiętaj o tym w ciągu nadchodzących tygodni i miesięcy.

- Choćbyśmy byli dla siebie nie wiem jak niemili.

- Właśnie.

Ben zakręcił wodę i wyszedł na matę z trzciny leżącą obok wanny. Oparł głowę na wałku z bambusa i podciągnął kolana pod brodę. Pod palcami wyczuł bliznę na kolanie. Większość ran od szrapneli pozostawiała tak brzydkie blizny, jak tego można było się spodziewać. Ta wyglądała po prostu śmiesznie. Jakiś wielki znak zapytania.

- W książce jest moje zdjęcie razem z całym plutonem - powiedział do żony.

- Nie widziałam - Marcy odkręciła prysznic, włączając sześć pulsacyjnych biczów. - A przy okazji - dodała - gdzie zostawiłeś książkę? Nie chcę, żeby David ją widział.

Tyson podniósł się i stanął razem z nią pod prysznicem. Miał ochotę przypomnieć, że magazyn „Life” z 8 marca 1968 roku leżał na półce z książkami, gdzie każdy mógł sięgnąć. Jednak powiedział tylko:

- U mnie w teczce. Ale i tak kiedyś będzie to musiał przeczytać

Wystawiała się na uderzenia strumieni wody, namydlonymi dłońmi masując ciało i twarz.

- Ale najpierw musisz z nim porozmawiać.

- Książka mówi sama za siebie. Po prostu musi ją przeczytać od początku. Żeby moja... rola była widziana w kontekście.

Obejrzała się, spoglądając na niego przez ramię.

- W kontekście czy bez jest makabryczna. Ben, to na pewno nim wstrząśnie. Najpierw z nim porozmawiaj. - Po chwili dodała: -Perspektywa. Daj mu jakąś perspektywę. Pokaż, na czym ma się oprzeć, kiedy będzie to czytał.

Tyson wyszedł spod prysznicza.

- Przepraszam! - zawołała za nim.

Zdjął ręcznik z wieszaka i szybko się wytarł. Marcy zakręciła wodę i otworzyła drzwi kabiny.

- Powiedz mi coś. Jak mogłeś żyć przez te wszystkie lata? Poczekaj. Nie złość się. Nie chcę cię oceniać. Po prostu nie wiem, jak to było możliwe. Jak udało ci się zatrzymać to tylko dla siebie i nikomu nie powiedzieć? A może komuś powiedziałaś?

- Nie.

Kiwnęła głową.

- Nawet nie napomknąłeś... - Zastanawiała się. - Zamknąłeś się - dodała po chwili. - Całkowicie.

- Psychopleple. - Tyson rzucił ręcznik na kosz z bielizną. - Nigdy się nie zamykałem. Po prostu postanowiłem o tym nie rozmawiać. W odróżnieniu od innych nie mam zwyczaju wyplakiwać się i opowiadać o sprawach dla mnie ważnych ani przypadkowo spotkanym ludziom, ani znajomym. A nawet tobie.

Odwrócił się i przeszedł do sąsiadującej z łazienką garderoby. Zamknął za sobą drzwi.

Otworzył szafę i przeleciał nie widzącym wzrokiem garnitury. Wiedział, że Marcy

będzie jego najsurowszym sędzią, ale i najbardziej sprawiedliwym. Jeśli wysłucha, co ona ma mu do powiedzenia, będzie wiedział, jak myślą inni.

- Dzień drugi - powiedział na głos. - Każdy dzień przynosi coś nowego.

Rozdział 7

Ben Tyson wjechał swoim żółtym volvo na podjazd prowadzący do hotelu w Garden Coty i włączył się w sznur zwalniających samochodów, szukających miejsca do zaparkowania. Podjechał kawałek. Tuż przed nim znajdował się cadillac, limuzyna. W lusterku wstecznym widział karoserię rollsa.

- Kupmy nowy samochód - powiedział. - Coś zdecydowanie dekadentckiego.

Pokręciła głową.

- W twojej sytuacji nawet nowy krawat wyglądałby skandalicznie. Pokora, Ben. To cnota, którą ćwiczymy w tym tygodniu. - Po chwili dodała. - Pamiętaj też, że twoja posada nie jest taka pewna.

Tyson kiwnął głową. A jednak, pomyślał, to stare volvo wymaga wymiany. Ale teraz, prawie dwa tygodnie od przełomowego czwartkowego poranka, nawet najbardziej doczesne i osobiste decyzje były uważnie obserwowane.

Podjechał znowu kawałek i spojrzał w kierunku hotelu. Ośmiopiętrowy budynek umiejscowiony w centrum podmiejskiego osiedla otaczał dziewięcioakrowy park. Budynek był nowy, utrzymany w stylu gregoriańskim, ozdobiony kopułą stanowiącą replikę zwieńczenia starego, nie istniejącego już hotelu. Zachodzące słońce rzucało na okna czerwone refleksy i Ben zmrużył oczy. Przypomniawszy sobie budowlę z czerwonej cegły, która stała w tym miejscu, kiedy on dorastał. Pewnego majowego wieczoru w sali królewskiej odbył się jego bal maturalny. Bywał tu również na przyjęciach, weselach i różnych uroczystościach, w tym także srebrnych godach swoich rodziców, które obchodzono w sali myśliwskiej. Przemknęło mu przez myśl, że dzieciństwo i młodość przeżył należąc do klasy ludzi uprzywilejowanych. To były dobre czasy. Pełne nadziei. Zanim wojna i „burze dziejowe zmieniły wszystkich. To były lata jego dorastania, lata pięćdziesiąte i wczesne sześćdziesiąte.

- Baw się, póki możesz - powiedział właściwie do siebie.

- Co?

- Kobiety, wino i śpiew.

Popatrzyła na niego.

- Filozoficzna zaduma nie jest w twoim stylu - powiedziała z zastanowieniem.

- Być może. Staram się po prostu spojrzeć na moje marne problemiki z perspektywy.

Pragnę ci przypomnieć, że to również było zadanie na ten tydzień.

- Miło słyszeć.

- A ponieważ ostatnią ostoją dla skłopotanej duszy jest religia, chcę cię poinformować, że wybieram się do wielebnego Symesa.

Milczała przez chwilę.

- Czemu nie? - powiedziała wreszcie. - To lepsze niż rozmowa z własną żoną. Nie należy przy tym zapominać, że on również nie może świadczyć przeciwko tobie. A jeśli już o tym mowa, nie powiedziałaś, co doradził ci Sloan?

- Po co miałbym mówić? Wymknęło ci się, że też z nim rozmawiałaś. Poufna rozmowa, dobre sobie. Idę o zakład, że stary Sloan nie był do końca dyskretny.

Marcy nie odpowiedziała.

Ben wrócił do poprzedniego tematu.

- Życie nie jest złe. W każdym razie nie dla nas. Nie ma wojny ani kryzysu, biedy czy konfliktów wewnętrznych.

- A przynajmniej nie w Garden City, które nazywane jest przez niektórych rajskim ogrodem. Rzeczywistość nie ma prawa wstępu do tego miejsca.

Tyson odetchnął głęboko. Zdawał sobie sprawę, że ucieka w rozmowę o Garden City - ulubiony temat żony - żeby oderwać się od innych problemów. Marcy była wytworem zachodniobrzeżnego Manhattanu, ciężącego ku lewicy równie mocno, jak Garden City skłaniało się ku konserwatyzmowi. Wiedział, że ona pragnie wrócić do swych korzeni.

- Nie będziesz już mógł tu mieszkać - powiedziała jakby czytając w jego myślach.

- Mogę mieszkać tam, gdzie mi się żywnie podoba.

- Nie możesz. - Marcy schroniła się w ponure milczenie.

W tej samej chwili, kiedy Ben pomyślał, że czeka go potężna kłótnia, wybuchnęła nagle śmiechem. Spojrzał na nią.

- Zauważyłeś, że zawsze zaczynamy się kłócić, kiedy nie mamy ochoty gdzieś iść?

- Tak. Ten samochód więcej razy zawracał niż jakikolwiek bumerang. - Zahamował przed hotelem. - Ale tym razem zjawimy się tam, gdzie śle nas przeznaczenie.

Służący w zielonej liberii i cylindrze otworzył drzwiczki od strony Marcy. Drugi przytrzymał drzwi przed Tysonem, który wymienił volvo na kwit parkingowy. Kiedy przechodzili przez drzwi do wyłożonego różowym marmurem holu, odźwierny uklonił się nisko. Ręcznie malowany plakat głosił:

FUNDACJA NA RZECZ SZPITALA W NASSAU

DOROCZNY BAL DOBROCZYNNY

Strzałka wskazywała w lewo.

- Pozwól, że najpierw postawię ci drinka - zaproponowała Marcy.

Wszystkie miejsca przy stołach w nastrojowo oświetlonej sali myśliwskiej były zajęte, ale Ben znalazł wolny stółek przy barze i Marcy usiadła, a on stanął obok. Zamówił szkocką, a Marcy poprosiła o kieliszek białego wina. Kiedy przyzwyczaili się do słabego oświetlenia, rozejrzeli się po sali i wymienili ukłony ze znajomymi gośćmi.

Barman podał zamówione drinki. Tyson bawił się szklaneczką szkockiej.

- Po co ja tu przyszedłem? Musiałem chyba zwariować -zawyrokował. - A może nie mam wstydu?

Marcy uniosła kieliszek.

- Kiedyś się tego dowiesz. Na razie wszyscy mają problem, jak się w stosunku do ciebie zachować.

Ben oparł się o bar i jeszcze raz zlustrował pomieszczenie. Jedynie obrazy ze scenami polowań wiszące wokół na ścianach przypominały, że pierwotnie sala myśliwska była miejscem, gdzie parne i panowie z jeździeckiego klubu Meadow Brook zbierali się po biegach z ogarami. Zamyślił się.

- Dawny hotel bardziej mi się podobał.

Marcy przewróciła oczami.

- O Jezu, jeśli usłyszę jeszcze raz o dawnych czasach, zwymiotuję.

- To dopiero było miejsce - ciągnął nielitościwie. - Mieściła się tam kwatera główna okręgowego klubu republikanów. Pracowałem dla nich społecznie. W sześćdziesiątym czwartym zbieraliśmy tu fundusze na kampanię Goldwatera.

- Robi mi się niedobrze.

Uśmiechnął się, upił trochę szkockiej i zaciągnął się papierosem.

- Historia - powiedział głośno. - Często zatrzymywał się tu Teddy Roosevelt. Charles Lindbergh spędził tydzień w starym hotelu przed swym samotnym lotem. Zanim wyjechałem na studia, wynająłem sobie kiedyś apartament Lindbergha. Opowiadałem ci to? Spałem w tym samym łóżku, w którym spał Lindbergh.

Marcy powściągnęła ziewnięcie.

- Sądząc z tego, co słyszałam od ludzi, którzy nie rozczulają się nad zapchlonymi starociami - odparła - prawdopodobnie również spałeś w jego prześcieradłach.

Tyson zapatrzył się w ciemny kąt sali. Przed pierwszą wojną bywali tu tacy ludzie jak Astorowie, Morganowie, Vanderbiltowie, Hewittowie, Jayowie, Belmontowie, Harrimanowie, a nawet Lillian Russell. Ale historia jest procesem ciągłym. Pewnego dnia ktoś siedzący tutaj powie, że w nowej sali myśliwskiej często bywał Benjamin Tyson.

Co za Benjamin?

Facet, który został postawiony przed sądem wojskowym za morderstwo. Pamiętacie, gazety pisały o tym. Masakra w wietnamskim szpitalu.

A, tak. Naprawdę przychodził tutaj się napić? Poważnie?

Ale to dopiero miało się zdarzyć. W starej sali myśliwskiej, kiedy był już pod dobrą datą, wywoływał obrazy przeszłości, zwłaszcza wielkich lotników, którzy upijali się tu w latach międzywojennych. Glenn Curtiss, Jimmy Doolittle, Billy Mitchel, Lawrence Sperry, Amelia Earhart, Leroy Grumman... Tyson wspominał swe chłopięce marzenia. Chciał walczyć w lotnictwie tak jak ojciec. Myślał o swoim plastikowym modelu Hellcata, takim jakim latał Grumman, nie mógł uzmysłwić sobie, co stało się z zabawką. Świat toczył się taraz zbyt szybko i Ben wiedział, że już nigdy nie będzie latać na takim samolocie. Co gorsza, marzenie o tym także umarło.

- Jeszcze jednego? - Marcy wdarła się w jego myśli.

Odwrócił się w jej stronę.

- Chętnie.

Zamówiła drinki, a Ben zapytał młodego barmana, którego znał z widzenia:

- Słyszał pan kiedyś o bitwie o Hue?

- Midway? Taaa, było coś w telewizji.

- Ofensywa Tet, coś to panu mówi?

- Tet? Jasne. Wietnam i Vietcong zaatakował Tet, a Amerykanie dostali baty. - Położył rachunek przed Tysonem.

- Tet to był czas, nie miejsce.

- Nie żartuje pan?

- Nie.

Barman wzruszył ramionami i poszedł obsługiwać następnego gościa.

- Bystry chłopak - mruknął Ben i upił drinka. - Wiesz - dodał - w końcu wszyscy, którzy polegli na wojnie, giną na próżno. Nikt później nic z tego nie pamięta. Więc o co to całe halo?

- Ty mi powiedz.

Ale Tyson nie potrafił. Poczul się jednak lepiej, alkohol zaczął działać.

- Czas na tańce - stwierdziła Marcy.

Ben uśmiechnął się i ujął ją za rękę. Przeszli równym krokiem, ramię w ramię. Po drodze do sali balowej wymieniali skinienia głowy. Ściany sali tanecznej były w kolorze fiołkoworóżowym, dużą powierzchnię przeznaczoną dla tańczących okalały stoliki przykryte jasnoniebieskimi obrusami. Zespół jeszcze nie grał, sala wydawała się jakby uśpiona.

- Rozdzielmy się teraz - powiedział Tyson. - Spotkamy się przy barze.

- Dobrze... o Chryste.

Pani Liwander, przewodnicząca fundacji na rzecz szpitala w Nassau, zauważyła Tysonów i ruszyła w ich stronę z rozłożonymi do wymieniania uścisków rękami.

Ben zrobił krok do przodu, jakby gotowy do poświęcenia i przyjęcia na siebie pierwszego impetu. Pani Liwander lekko skrzyła i już znalazł się w jej pulchnych ramionach.

- Ben Tyson. Co za czarujący mężczyzna. Jesteś tak piekielnie przystojny, że gdybym miała z dziesięć lat mniej, uganiałabym się za tobą.

Tyson pomyślał, że raczej dwadzieścia, ale uściskał Lydię Liwander i cmoknął ją w policzek.

Przewodnicząca fundacji zwróciła się teraz do Marcy.

- Wyglądasz po prostu cudownie! - wykrzyknęła. - Wspaniała sukienka. Jak udaje ci się utrzymać taką figurę?

Wzięła Marcy w ramiona, jakby chciała przyszpilić ją do miejsca, w którym stały, i zarzuciła ją przesadnymi komplementami. Tyson rozejrzał się dookoła, jego wzrok zatrzymał się na barze.

Bez ostrzeżenia Lydia Livander objęła ich i pociągnęła w stronę fotoreportera z „Garden City News”.

- Sam - paplała. - Sam, musisz zrobić zdjęcie tej cudownej parze i to już.

Ben i Marcy uśmiechnęli się, flesz błysnął i zanim Tyson zorientował się, co się święci, pani Livander ciągnęła go już dalej. Jeśli miał zamiar pozostać w cieniu, nie powiodło mu się już na starcie. Pani Livander prowadziła ich wokoło. Musieli przywitać się zarówno ze znajomymi, jak i ludźmi, których widzieli pierwszy raz w życiu na oczy. Czuł, że wszystkie głowy odwracają się w jego stronę.

Kiedy wyrwał się wreszcie spod kurateli pani Livander, ruszył prosto do baru. Zamówił szkocką z wodą i schował się w zacisznym kącie. Chwilę potem dołączyła do niego Marcy.

- Widzisz, nic się nie zmieniło. Lydia robi to samo z dwiema setkami par, które zjawily się tu dzisiaj.

Tyson przełknął połowę swego drinka.

- Czuję się jak jedyny czarny na potańcówce u liberałów. Wszyscy chcą mnie dotknąć. .

- Nie daj się, Benjaminie, kołek w zęby.

- Dobrze. To jednak będzie długi wieczór.

- Ale pamiętny. Powiedziałabym, że to twoje ostatnie publiczne wystąpienie.

- Być może. - Przypuszczał jednak, że podczas ostatniego publicznego wystąpienia będzie miał na szyi czarny krawat, a konwencjonalny garnitur zastąpi zielony mundur.

Ben Tyson siedział przy stole i przyglądał się pełnym popielniczkom, pustym szklankom i porozrzucanym programom. Pogorzeliśko kolejnej imprezy mającej na celu potrącenie części z podatków. Jeżeli szpital dostanie z tego dziesięć procent, to i tak będzie dobrze, pomyślał. Miejsca przy stole nie były oznaczone, więc przez cały wieczór konfiguracje ludzi zmieniały się. Teraz wreszcie siedział samotnie.

Zerknął na zegarek. Razem wzięwszy nie żałował, że tu przyszli. Jeśli była choć odrobina prawdy w starym twierdzeniu, że werdykt opinii publicznej wyprzedza wyrok, to mógł spać spokojnie. Nikt nie zrobił mu afrontu i nikt nie zaciągnął go do męskiej toalety, gdzie czekałby komitet obywatelski ze smołą i pierzem.

Zdarzyło się parę niezręczności i napotkał kilka wymuszonych uśmiechów, ale żyli w czasach, w których nie istniały żadne zasady nakazujące określone zachowanie w

stosunku do osoby podejrzanej o zbrodnię wojenną. Towarzysko wciąż był akceptowany. Dopóki zaś nie udowodniono mu winy, z punktu widzenia prawa był niewinny. Mógł wracać do domu.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Połowa gości już gdzieś zniknęła, ale nigdzie nie widział Marcy. Prawdę mówiąc, prawie w ogóle nie widział jej tego wieczoru.

Był pewien, że tańczyła z większością mężczyzn, psując humory ich żonom, otrzymała co najmniej jedną poważną propozycję i zgodziła się na dwa lunchy w mieście.

Ruszył do drzwi i zobaczył, że idzie prosto na Phillipa Sloana. Prawnik przechwycił go tuż przy wyjściu.

- Ben. Dobrze się bawiłeś?

- Cześć, Phil.

- Gdzie twoja żona?

- A twoja?

Sloan zmusił się do uśmiechu.

- Masz chwilę czasu?

- Byłoby lepiej, gdyby nie widziano, jak rozmawiam z własnym adwokatem.

Sloan wyglądał na urażonego.

- Chodźmy tutaj. - Stał w przestronnym przedsionku i adwokat wskazał ręką męską toaletę.

- Twoje lokalne biuro? - zapytał Tyson. Ale gdy Sloan wszedł do środka, ruszył za nim.

- Może być? - zapytał krótko prawnik.

- Jeśli ktoś lubi różowy marmur.

- Posłuchaj, Ben, trudno byłoby powiedzieć o tobie, że jesteś klientem, który współpracuje...

- A o tobie, że jesteś dyskretnym adwokatem.

Sloan już chciał zaprzeczyć, ale zawahał się.

- Wiesz, że nasze rodziny od lat robiły wspólnie interesy - powiedział. - Uważam ciebie

za kogoś więcej niż tylko klienta. Jesteś...

Tyson odwrócił się i skorzystał z pisuaru.

- Jesteś przyjacielem. Nasze żony się przyjaźnią.

- Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

- Właśnie. Więc nie wciskaj mi tu kitu, że nie powinniśmy być razem publicznie widziani.

Tyson odwrócił się z powrotem.

- Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć.

Adwokat rozejrzał się, sprawdzając, czy są w pomieszczeniu sami. Sprzątacze latynos siedział na stołku i czytał „New York Post”.

- Skontaktowałem się z pewnym prawnikiem w mieście - powiedział Sloan. - Specjalistą od prawa prasowego.

Tyson umył ręce.

- Poradził nam wniesienie oskarżenia. - Sloan odczekał chwilę, a potem mówił dalej: - On twierdzi, że skoro domniemane incydenty zdarzyły się tak dawno, wszelkie kroki prawne przeciwko tobie wydają się bardzo mało prawdopodobne. Zarzuty Picarda są trudne do udowodnienia. Innymi słowy, Picard kręci stryczek na własną szyję. Rozumiesz?

Sprzątacze podał Benowi papierowy ręcznik.

- Coś niecoś.

- Tylko ty jesteś wymieniony z nazwiska w tej całej sprawie. Ale kiedy dochodzi do zabijania cywilów, nie wymienia nikogo.

- Zauważyłem.

- Wyraźnie zostałeś wskazany jako świadek masakry. Picard przez cały czas wraca do tego, że nie zrobiłeś nic, by jej zapobiec. Można nawet domniemywać, że kierowałeś zacieraniem śladów. Pada też dwuznaczne zdanie sugerujące, że wydałeś rozkaz zabicia żołnierzy nieprzyjaciela.

- To zdanie brzmi rzeczywiście bardzo mętnie. Nie wydałem rozkazu zabijania rannych ani pojmanych żołnierzy. Rozkazałem moim ludziom odnaleźć i zniszczyć wszystkich wrogów, którzy wciąż jeszcze kryli się na terenie szpitala i nie chcieli się poddać.

Sloana najwyraźniej wyjaśnienie to wcale nie interesowało.

- Niezależnie od tego, co mówi Picard - ciągnął dalej - celuje w ciebie. On prawdopodobnie wierzy w większość swojej relacji. Uważamy, wraz z adwokatem, o którym ci wspomniałem, że mamy pewną sprawę o zniesławienie.

Tyson poprawił krawat.

- Ben - zaczął znowu Sloan - chciałbym, żebyś się spotkał z tym adwokatem. Nazywa się Beekman. To prawdziwy pistolet...

- I po co? Zdobędę jakąś nagrodę? Jesteś...

- Upiłeś się - prawnik ruszył do wyjścia, ale już od drzwi cofnął się z głośnym westchnieniem. - Beekman prowadził kilka głośnych w świecie wydawniczym spraw o zniesławienie. Mogłeś nawet o nim słyszeć.

Tyson spojrzał na odbicie Sloana w lustrze.

- I ty, i ja słyszeliśmy o procesach w sprawach cywilnych - powiedział - które przekształcały się w sprawy karne. Każdy rodzaj brudu wydostaje się wtedy na powierzchnię, a prasa nurza się w nim, jakby chodziło o morderstwo, a nie zwykły pozew cywilny. I wreszcie ten, kto zwycięża, i tak jest przegrany. - Sięgnął po butelkę wody kolońskiej i przetarł dłonie. - Pozwólmy tej cholерnej sprawie umrzeć śmiercią naturalną. - Spryskał sobie twarz.

- Ona nie wygaśnie, póki cię nie zabije. Jeśli nie podasz Picarda do sądu i nie wygrasz, wszystkie te zarzuty będą krążyć wokół do końca twoich dni. Krytycy zaczną powoływać się na fragmenty z jego książki, inni autorzy wykorzystają je od czasu do czasu i cały incydent ze szpitalem wejdzie wreszcie do naszej historii jako wydarzenie, które naprawdę miało miejsce.

Tyson nic nie odpowiedział.

- Ale rzeczywiście, może lepiej przez parę tygodni poczekać i zobaczyć, jak zareagują dziennikarze.

Tyson podał sprzątaczkowi napiwek i spojrzał na adwokata.

- O co ci teraz chodzi?

- No cóż, zgodnie z tym, co mówi Beekman, szkody, jakie dotychczas poczyniła książka, ponieważ ukazała się niedawno, są niewielkie. W tej chwili, żeby zapobiec dalszym problemom, trzeba by ją wycofać z rynku. Możemy jednak czekać i... udawać, że nic o książce nie wiemy. W takim wypadku, po jakimś czasie, w konsekwencji wywiadów z

autorem i recenzji, a dodatkowo cyrkulacji książki, reklamy, promocji i takich tam, twoje dobre imię i reputacja zostaną poważnie nadszarpnięte.

Tyson milczał.

- Załóżmy - mówił uważnie dobierając słowa Sloan - że stracisz swoją pracę. Że twój syn będzie prześladowany w szkole. Że Marcy... dajmy na razie temu spokój. Dopiero wtedy oskarżymy go. I nie tylko Picarda, ale także wydawcę, dystrybutora, a może nawet anonimowych informatorów. Zakładając, że wygramy proces, odszkodowanie będzie naprawdę duże. Zostaniesz uniewinniony i na dodatek bogaty.

- Problem tylko w tym, czy jest to możliwe.

- Właśnie.

Bena zaintrygowało, jak łatwo prawnik wszedł w rolę konspiratora. Prawdopodobnie był bardziej etyczny w sprawach kryminalnych, gdzie honorarium otrzymywał z góry i jedyne, co miał do stracenia, to wolność klienta.

- Pozwy o zniesławienie są bardzo rzadkie - powiedział Sloan. - Nie tak często się zdarza, że ktoś został zniesławiony na piśmie i to w książce. Takie sprawy stanowią prawdopodobnie mniej niż jeden procent wszystkich pozwów cywilnych. A prasa je lubi. Rozumiem, że chcesz uniknąć dalszego wystawiania się na widok publiczny. Ale jesteś kombatantem i nie możesz pozwolić, żeby ta plama pozostała na twoim honorze.

- Skończ tę gadkę, Phil.

Adwokat ściągnął usta, jakby zmagając się z poważną decyzją. Spojrzał na Tysona.

- Pewnie myślisz - powiedział - że nikt nie zwróci nawet uwagi, czytając taką grubą książkę, na mały rozdział o tobie. No... - sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złożoną kartkę papieru. - Dostałem to od Beekmana. Jest takie pismo branżowe „Publisher Weekly”, oni otrzymują sygnałne egzemplarze książek do przeglądu, jeszcze zanim te trafią do księgarń. Oto recenzja, która pojawiła się tam siedem tygodni temu. - Wręczył Benowi kopię strony.

Tyson przyjrzał się trzymanej kartce. Znajdowało się na niej sześć krótkich recenzji. Jego wzrok zatrzymał się na tytule: „Hue, zagłada miasta. Andrew Picard”. Pod tym następowały informacje na temat wydawcy, a wreszcie krótka recenzja, jakieś sto pięćdziesiąt słów. Przebiegł ją wzrokiem i zorientował się, że utrzymana jest w tonie pochwalnym. W połowie zaczął czytać:

Znajdujemy tu opis masakry przeprowadzonej przez Amerykanów we francuskim szpitalu pełnym pacjentów i europejskiego personelu. Picard opisuje ją niezwykle

obrazowo. Czytelnik musi się zastanowić, dlaczego nie zostało podjęte żadne oficjalne śledztwo w sprawie, którą można porównać z My Lai.

Złożył papier i wręczył go z powrotem Sloanowi, który uderzył w niego rozpostartą dłonią.

- Widzisz? Nawet w tych kilku zdaniach napisano właśnie o tym.

- Widzę.

- Wyobraź sobie dłuższe recenzje w gazetach i czasopiśmie.

Do toalety weszło dwóch mężczyzn. Ben wyszedł na korytarz, a za nim podążał adwokat. Ludzie łazili bez celu po sali balowej albo stali w grupkach i rozmawiali. Tyson zauważył, że kilka osób spojrzało w ich kierunku.

- Wiesz, Phil - powiedział - kiedy dostałem nagrodę za wierną służbę, nikt tego nie zauważył. Ale jak tylko obsmarowali mnie w bełkotliwej książce jako kryminalistę wojennego, wszyscy o tym dowiedzieli się, choć nie minęły nawet dwa tygodnie.

- Takie jest życie, przyjacielu.

- Chyba to już gdzieś słyszałem.

Prawnik ujął Tysona za ramię.

- Muszę ci powiedzieć, Ben, że wiele osób pytało mnie dzisiaj, czy zaskarżysz tego faceta. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

Tyson rozumiał, że Sloan, jak lekarz kierujący pacjenta do sali operacyjnej, popycha go ku sprawie sądowej. Wiedział też, że potrzebuje niezależnej opinii. I to nie od Beekmana.

- Jeśli złożymy pozew i dojdzie do sprawy, ilu ekspertów od prawa wojskowego znajdzie się na sali? A ilu z Ministerstwa Sprawiedliwości?

Adwokat nic nie odpowiedział.

- Niezależnie, czy wygram czy przegram w sprawie cywilnej - mówił dalej Tyson - rząd dowie się o niej wystarczająco dużo, by się zainteresować. Pomyślałeś o tym?

Sloan wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że to możliwe. Ale ja wciąż przyjmuję, Ben, że w stricte prawnym sensie nie jesteś winny morderstwa. Jeżeli oficjalne czynniki zbadają sprawę, dojdą do tego

samego wniosku.

Tyson przysunął się do prawnika.

- Mylisz się, przyjacielu - poprawił mu rozek czerwonej chusteczki w kieszonce. - Dobranoc.

Odwrócił się i odszedł w stronę holu, gdzie znalazł Marcy siedzącą w fotelu. Gdy zbliżył się, wstała. Bez słowa wziął ją pod rękę i opuścili hotel głównym wejściem.

Noc zrobiła się chłodna i mglista, od południa wiał lekki wiatr. Ben oddychał głęboko, żeby rozjaśnić głowę.

- Wydaje mi się, że czuję ocean.

- Zawsze tak mówisz po kanapkach z pastą anchois. Przyznałeś się do tego, jak byliśmy w Szwajcarii.

Tyson podał parkingowemu kwit. Pod markizą już kilka osób czekało na swoje wozy. Ben zerknął na żonę.

- Dobrze się bawiłaś?

Zastanowiła się.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Po raz pierwszy czułam, że nie jestem Marcy Clure Tyson, ale żoną Bena Tysona.

- Urażone ego?

Milczała.

Ben zapalił papierosa i oparł się o kolumnę. Przed nim rozciągał się duży trawnik, za którym widać było drogę. Po lewej stronie biegła główna ulica osady, długi ciąg niewielkich sklepików i banków. Miasto, jakich wiele, gdzieś w USA. Po lewej biblioteka, a obok mały park z pomnikiem ku czci poległych żołnierzy. Dokładnie na wprost hotelu stacja kolejki. Daleko, poza drzewami wysoka, gotycka iglica Episkopalnej Katedry Wcielenia odcinała się na tle jasnego nieba, zwieńczona oświetlonym krzyżem. To wszystko było znajome. Dawało poczucie bezpieczeństwa.

- Wszystko w porządku?

Spojrzał na żonę.

- Tak.

- Byłeś gdzie indziej.

- Czasem mi się to zdarza.

- Twoja matka telefonowała dzisiaj - powiedziała Marcy. - Zapomniałam ci wcześniej powtórzyć.

- Co chciała?

- Żebyś dbał o siebie. I dobrze się odżywiał. Odpoczywał. Wydaje mi się, że na Florydzie zrobiła się jakaś żydowska.

Uśmiechnął się. W ciągu ostatnich dwóch tygodni odezwali się do niego wszyscy starzy przyjaciele i ta część rodziny, która mieszkała gdzieś dalej. Był nieco zdziwiony, że wieści podróżują tak szybko. To przypominało wojsko, gdzie plotki rozchodziły się w tempie wprost błyskawicznym.

Jakby zgadując jego myśli Marcy powiedziała:

- Jeśli ktoś nie wiedział o tym przed przyjściem na bal, teraz już wie na pewno. Może powinienś opublikować jakieś oficjalne oświadczenie w miejscowej gazecie lub biuletynie klubowym.

Uśmiechnął się znowu.

- Phil nie pozwolił mi na żadne oświadczenia, ani publiczne, ani prywatne.

Ale mimo to zadzwonił do kilku osób, bliskich znajomych, rodziny. Zaskoczyła go różnorodność reakcji. Niektórzy ludzie udawali, że cała ta sprawa nie robi na nich żadnego wrażenia, inni starali się nie dać nic po sobie poznać, całkiem sporo naprawdę nie traktowało jej poważnie. Kilko, jak zdążył się zorientować podczas przyjęcia, wyczuło sensację i nie zważając na jej wątpliwą naturę starali się do niego zbliżyć, chcąc dzielić światła reflektorów.

- Grenvillowie - powiedział do Marcy - ważni członkowie starej gwardii, zaprosili nas na koktajl. W przyszły piątek, jeśli będziesz miała ochotę.

- Pewnie chcą, żebyś złożył autograf na książce Picarda - odparła. - Mam wziąć ze sobą „Life”?

Tym razem Ben prawie parsknął śmiechem. Poza wszystkimi zaletami, pomyślał, Marcy dobrze radziła sobie z przyjaciółmi, sąsiadami i rodziną.

W chwili gdy zauważył ich samochód wjeżdżający na podjazd hotelowy, głos z tyłu zawołał:

- Ben! Mercy!

Odwrócili się oboje. Przez drzwi przechodził John McCormick i jego żona, Phyllis.

- Nie miałem okazji z wami dzisiaj pogadać. - powiedział McCormick. Wymienili zdawkowe uściski dłoni i pocałunki. John wyraźnie zasepiony powiedział:

- Mam dla ciebie złe wieści, Ben. Nie czuj do mnie żalu tylko dlatego, że je przynoszę.

Tyson nawet dość lubił McCormicka, ale obawiał się, że jeśli, usłyszy niedobłą wiadomość od tej samej osoby dwukrotnie w ciągu dwóch tygodni, może nabrać pewnych uprzedzeń. Zauważył pod pachą sąsiada plik gazet i domyślił się, o jakie złe wieści mogło chodzić.

- Niedzielnny „Times” - powiedział John. - Książka jest recenzowana na pierwszym miejscu. Wymieniają twoje nazwisko.

Ben kiwnął głową.

- Rozumiem.

Zauważył, że Phyllis McCormick spogląda na swego męża, jakby nie była zachwycona tym, co on robi. John zawahał się, podobnie jak wtedy w pociągu, gdy wręczał Tysonowi książkę. Ben przeżył coś w rodzaju deja vu, ścisnęło go w żołądku, lecz przyjął od McCormicka część gazety poświęconą recenzjom. Uśmiechnął się dziarsko.

- Prosisz mnie o autograf?

Uśmiech sąsiada stał się jeszcze bardziej wymuszony.

- Możesz to zatrzymać.

Volvo stanęło przy krawężniku, służący przytrzymał otwarte drzwiczki. Tyson powiedział McCormickom dobranoc i rozstali się. Wślizgnął się za kierownicę i wrzucił bieg w chwili, gdy chłopak zatrzasnął drzwi. Ruszył łagodnym łukiem podjazdu w stronę drogi. Marcy siedziała spokojnie z gazetą na kolanach.

- No cóż - odezwał się Ben.

- Co „no cóż”?

- No cóż, przy nakładzie gazety około dwóch milionów może to wywołać pewne komplikacje.

Marcy skinęła głową.

- W poniedziałek wystąpię o zastrzeżony numer telefonu.

- Dobry pomysł.

- Rok szkolny prawie się kończy.

- Racja.

- Czy mam wystawić dom na sprzedaż?

- Nie przesadzaj. Przez chwilę zastanawiała się. - Jak to przyjmą twoi przełożeni? - zapytała.

Tyson skręcił w Stewart Avenue.

- Któż to wie? - Skierował się w stronę Eaton Road. - Nie mogę ich rozgryźć. Są rzeczywiście nieprzeniknieni.

- Wybaczam ci tę rasistowską uwagę, Ben, bo wiem, że jesteś w stresie.

Nie odpowiedział.

- Czy Phil cię znalazł? - zapytała po chwili.

- Tak. - Skręcił w Eaton Road. - Rozmawiał ze mną w toalecie. Czy wiesz, ile spraw jest załatwianych w takich przybytkach?

- Co powiedział?

- Pozwać skurwiela.

- Najwyraźniej wydaje mu się, że jesteś niewinny.

- Nie, wydaje mu się, że władze w tym kraju nie są na tyle sprytne lub że nie mają na tyle motywacji, by chciały mnie oskarżyć. I dlatego Picarda można pozwać przed sąd cywilny. Biedny Andrew Picard. Może dowiedzieć się, że prawda nie popłaca.

Przyjrzała się jego twarzy widocznej w półmroku.

- Oskarżyłbyś człowieka, który powiedział prawdę?

Tyson wjechał na podjazd przed domem i wyłączył silnik. Przez chwilę nasłuchiwał nocnych hałasów.

- Zrobiłbyś to? - zapytała ponownie.

Rozdział 8

Generał porucznik William Van Arken, prezes Izby Wojskowej, przerzucał kartki leżących przed nim akt personalnych.

- Widzę, że otrzymał dwa Purpurowe Serca. Punkt dla pana Tysona.

Fraser Duncan z Ministerstwa Obrony przeglądając kartę zdrowia Tysona skomentował:

- Obie rany powierzchowne. Tylko pół punktu.

Herbert Swenson, doradca ministra obrony, zauważył:

- Otrzymał od Wietnamczyków Krzyż Walecznych, przyznany mu przez rząd wietnamski za akcje pod Hue. To trochę śmierdzi.

Thomas Berg, doradca prezydenta, wpatrywał się w długi, lśniący blat mahoniowego stołu.

- Zastanawiamy się - odezwał się wreszcie - czy postawić go przed sądem wojennym. Pomówmy o faktach.

Generał Van Arken siedzący po przeciwnej stronie stołu odparł:

- Panie Berg, gdyby brał pan kiedyś udział w sądzie wojennym, wiedziałby pan, że to właśnie robimy.

Berg wzruszył ramionami. Odwrócił się w stronę Petera Truscotta, młodego prawnika z Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Z tego, co pan powiedział, zrozumiałem, że prokurator generalny nie jest zainteresowany wnoszeniem oskarżenia w tej sprawie.

Truscott odpowiedział po tak długiej chwili, że zwłokę uznać można było za nietaktowną. Dobierał starannie słowa:

- Niezupełnie mi o to chodziło. Powiedziałem, że z prawnego punktu widzenia ta

sprawa nie jest wcale pewna, panie Berg. A poza tym prokurator generalny sądzi, że wynikające z niej problemy mają charakter wyłącznie wojskowy.

Doradca prezydenta popatrzył na czterech mężczyzn znajdujących się w pokoju bez okien. Lampy z zielonymi kloszami oświetlały jedynie miejsce, gdzie siedzieli, drugi koniec stołu tonął w półmroku, pozostała zaś część pomieszczenia całkowicie ginęła w ciemności. Jedynym dźwiękiem, jaki ich dochodził, było zawrozczenie wentylatora. Ciemne sprawy, pomyślał, należą do ciemnych miejsc.

Nie było z mmi żadnego stenografisty, upewnił się również, że nikt z obecnych nie przyniósł magnetofonu. Nie wolno było robić notatek. Była to nieoficjalna, stworzona ad hoc grupa. Gdyby ktoś zajrzał do terminarzy zebranych tu ludzi, dowiedziałby się, że są właśnie na zebraniu, podczas którego diskutowana jest sprawa lepszej wymiany informacji pomiędzy poszczególnymi ministerstwami, o czym zresztą rzeczywiście rozmawiali przez jakieś dwie minuty. Poza Van Arkenem wszyscy reprezentowali ważne biura rządowe i zajmowali wysokie stanowiska doradców. W Białym Domu uważano, że nie należy nadawać sprawie rozgłosu. Gdyby ktoś o to zapytał, dowiedziałby się, że o sprawie Benjamina Tysona nikt tu nic nie wie.

Fraser Duncan zwrócił się bezpośrednio do Berga:

- Czy mógłby pan nam przedstawić stanowisko Białego Domu w tej sprawie?

Ten zastanawiał się masując dłonią podbródek.

- Prezydent nic nie wie na ten temat - powiedział. - Jego doradcy do spraw wojskowych poprosili mnie o przygotowanie notatki, na wypadek gdyby poinformowanie prezydenta stało się konieczne. Może być tą sprawą zainteresowany jako głównodowodzący siłami zbrojnymi. - Berg doszedł do wniosku, że powinien złagodzić nieco kłamstwo i dodał: - Jego doradcy polityczni interesują się oczywiście politycznymi reperkusjami tego przypadku. Nikt nie zapomniał o roli Nixona w sprawie Calleya. - Po czym uzupełnił szybko: - Ale nie politycy są tu ważni. Doradcy chcą mieć pewność, że postępowanie prezydenta będzie przez cały czas zgodne z prawem.

Spojrzał na Van Arkena, który jeszcze jako młody major zajmował się w biurze prokuratora sprawą My Lai.

- Zebraliśmy się tutaj - zwrócił się bezpośrednio do niego - ponieważ dla tego typu spraw istnieje w naszym kraju niezwykle mało precedensów - zresztą chwała Bogu. Właściwie poza panem, generale, nikt z nas nie ma żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o zbrodnie wojenne, nikt nie porusza się po tym terenie równie swobodnie. - Berg zauważył, że niektórzy z obecnych uśmiechnęli się.

- Jestem całkowicie pewien - Van Arken odpowiedział z wymuszoną grzecznością - że cała ta sprawa zwali się wreszcie na moją głowę i trzeba będzie przeprowadzić sąd

wojskowy. Jeśli tak, to ja również chcę mieć pewność, że nie powtórzy się sytuacja z fatalnej sprawy Calleya-Mediny.

Berg przytaknął.

- Tego również chce Biały Dom, generale. - Poświęcił trochę czasu na przeczytanie akt personalnych Van Arkena i rozmawiał z ludźmi, którzy go znali. Generał miał pięćdziesiąt pięć lat, był więc młody jak na stanowisko, które osiągnął. Typowy wojskowy w sposobie chodzenia, wyrażania się i w ogóle zachowania, dziwadło w Izbie Wojskowej, gdzie ceniono całkiem inne przymioty.

Doradca prezydenta zorientował się, że nikt nie zamierza zabrać głosu, co również było nietypowe jak na zebranie przedstawicieli kół rządowych, więc sam się odezwał:

- Panowie, ustaliliśmy, że zgodnie z prawem w pewnych sytuacjach oficer może być oskarżony o morderstwo lub morderstwa popełnione przez ludzi pozostających pod jego dowództwem. Stwierdziliśmy też, że takie przestępstwo nie podlega przedawnieniu. Poza tymi dwoma elementarnymi faktami nie doszliśmy do niczego więcej. Nie jesteśmy nawet pewni, czy popełniona została zbrodnia pierwszego stopnia.

Wyraźny głos generała wypełnił cały pokój:

- Opierając się na tym, co przeczytaliśmy w książce o Hue, mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, że dokonano właśnie zbrodni pierwszego stopnia.

- Nie wierzy pan chyba we wszystko, co pan czyta - wtrącił poirytowany Swenson.

- Nie, ale... - odpowiedział już nie tak pewnie Van Arken - trudno nie odnieść wrażenia, że popełniono tam... zbrodnię. - Generał wypił trochę wody. - Podobnie jak w prawie cywilnym, jeżeli istnieje podejrzenie, że czyn został popełniony, musi zostać przeprowadzone formalne dochodzenie.

Już na początku tego spotkania Berg zdał sobie sprawę, że Van Arken będzie dążył do wnikliwego zbadania sprawy. Biały Dom natomiast wolałby stworzyć nieoficjalny komitet, który by się zajął nią po cichu. Najwyraźniej generał chciał potwierdzić swoją reputację, którą zdobył podczas sprawy Calleya-Mediny. Jednakże w przypadku Tysona groziło znacznie więcej komplikacji. Nie tylko w kraju, ale i za granicą.

- Jeśli dobrze wszystko zrozumiałem - doradca prezydenta zwrócił się do zebranych - nie jest pewne, czyja jurysdykcja ma tu zastosowanie. W opinii Ministerstwa Sprawiedliwości ani stanowy, ani federalny sąd nie powinien się nią zajmować.

- Zgadza się - przytaknął Truscott. - Domniemana zbrodnia miała miejsce na terenie innego kraju. Domniemany sprawca w tym czasie służył w wojsku. Jednakże w tej chwili jest już cywilem. I tu właśnie leży problem.

- Generale? - Berg zwrócił się do Van Arkena.

Ten, co było u niego niezwykle, przez parę chwil nie odpowiadał.

- Tak jak wykazał pan Truscott - odezwał się wreszcie - domniemana zbrodnia została popełniona w czasie, kiedy podejrzani - a zaliczam do nich oczywiście również oddziały, którymi dowodził Tyson - podlegały Ujednoliconemu Kodeksowi Prawa Wojskowego. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. W mojej opinii to, czy obecnie mu podlegają czy nie, jest nieistotne...

- Nie jest nieistotne, generale - przerwał mu prawnik. - Jest kluczowe. Wie pan, że Tyson odszedł z wojska. Pozostali mogą nadal być żołnierzami lub nie. To możemy sprawdzić. Ale wojsko nie będzie sądzić cywilów. Nigdy.

- Czy usiłuje mi pan dać do zrozumienia - powiedział spokojnie Van Arken - że jeśli ktoś spośród tych ludzi ma pecha, że nadal służy w wojsku, to tylko on będzie odpowiadał za morderstwo? A cywile zostaną na wolności, choć popełnili tę samą zbrodnię?

Truscott zawahał się chwilę przed odpowiedzią:

- Problem jest dyskusyjny. Może najpierw upewnijmy się, czy któryś z tych ludzi jeszcze służy w wojsku.

- Dobrze - generał podjął wątek - założmy, że żaden. Tyson jest obecnie cywilem. Czy mamy zatem zmienić prawodawstwo, żeby móc pociągnąć tych ludzi do odpowiedzialności?

Prawnik nie odpowiedział, ale głos zabrał Berg:

- Sugeruje pan, oczywiście, że powinniśmy ich powołać do wojska.

Van Arken przytaknął.

- Pan Truscott ma rację. Wojsko nie może i nie będzie sądzić cywilów. Więc nie wolno nam nawet rozpocząć śledztwa w sprawie pana Tysona, jednak zajmiemy się porucznikiem Tysonem.

W pokoju zaległa cisza.

- Mówiono mi już - przerwał ją doradca prezydenta - że problem wojskowego, który odchodzi ze służby czynnej, zanim zbrodnia zostanie odkryta, nigdy nie został rozwiązany w sposób satysfakcjonujący. Najwyraźniej jest to luka w prawie.

- Mniej więcej co dziesięć lat - dodał generał - taka sprawa wychodzi, a my wciąż jesteśmy nie przygotowani. Większość tych przeszłych spraw miała mniejszą wagę. Teraz

mamy do czynienia ze zbrodnią i implikacje mogą być bardzo poważne, a co więcej międzynarodowe.

- Dziękuję, generale - powiedział Berg. - Myślę, że wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę.

- Problem w tym - ciągnął Van Arken, niewzruszony - że chociaż w Ujednoliconym Kodeksie Prawa Wojskowego zbrodnie wojenne nie zostały zakwalifikowane jako przestępstwo, morderstwo pierwszego stopnia - tak. I oskarżenie musi zostać szczegółowo zbadane pod tym właśnie kątem. W przeciwnym bowiem razie - i to jest najważniejsze, panie Berg - uświadamiam panu tę niepokojącą możliwość, obecny rząd Wietnamu albo rządy krajów, których obywatele, jak można domniemywać, zostali zamordowani w tamtym szpitalu, mogą wystąpić do międzynarodowego trybunału w Hadze. Z zarzutem zbrodni przeciwko ludzkości - zbrodni wojennej.

Nikt się nie odezwał, więc generał kontynuował:

- Dobrze wiemy, że zgodnie z prawem amerykańskim ani Tyson, ani jego ludzie nigdy nie zostaną postawieni przed takim trybunałem. Ważne jest jednak, żeby przeprowadzić skrupulatne badania i zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

Na Bergu uwagi Van Arkena o prawie międzynarodowym i dyplomacji nie zrobiły wrażenia. Dlatego też stwierdził:

- Amerykańscy obywatele nie będą sądzeni pod zarzutem zbrodni wojennej tylko ze względu na światową czy jakąkolwiek opinię.

- Oby pan się nie mylił - odparł na to generał. - Zdarzało się to bowiem po drugiej stronie oceanu. I do pewnego stopnia tak może się stać w tym przypadku, jeśli będziemy zwlekać. Jest to ten rodzaj sprawy, gdzie działanie prawa powinno wyprzedzać opinię publiczną. Nie możemy wywołać wrażenia, że podlegamy jakimkolwiek zewnętrznym naciskom. Innymi słowy, panowie, zanim dziennikarze przystąpią do szturm, powinniśmy ogłosić, że rozpoczęliśmy dochodzenie w tej sprawie.

Berg czuł, że Van Arken, niezależnie od swoich motywów, ma rację. Natomiast prezydent i jego doradcy uważali, że jeśli się pozostawi tę brudną sprawę w spokoju, przestanie ona śmierdzieć. Rozsądek podpowiadał Bergowi, że tak się nie stanie, lecz ze względów emocjonalnych trudno było odrzucić nadzieję. Poczuł, że ma już zbyt wiele złych wieści do przekazania w Białym Domu. Spojrzał na Herberta Swensona.

Ten zrozumiał nie zadane pytanie i odpowiedział:

- Nie wydaje mi się, żeby tą sprawą musiało się zajmować samo Ministerstwo Obrony. Izba Wojskowa da sobie znakomicie sama radę.

Fraser Duncan uśmiechnął się chłodno:

- Uważam, że sprawę na bieżąco winien śledzić minister obrony, ale osobą odpowiedzialną powinien być prezes Izby Wojskowej.

- Materiały z biura prokuratora generalnego - odezwał się Peter Truscott - są, jak zawsze, gdy leży to w interesie państwa, do wglądu rządu. Ale tylko w kwestiach dotyczących meritum sprawy. Strategię ustala Ministerstwo Obrony, Izba Wojskowa i szef sił zbrojnych.

Berg skinął głową. Pomyślał, że niewiele jest prawnych precedensów, na których można się było oprzeć. Istniały, zdaje się, jakieś naruszenia Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego i sposoby postępowania w takich przypadkach. Ale wszystko wskazywało, że omawiana sprawa jest unikalna i nietypowa i trzeba będzie podjąć wiele subiektywnych decyzji, zanim doprowadzi się podejrzanego na salę sądową. Zgarnął papiery.

- Proponuję - powiedział - żebyśmy kontynuowali to zebranie w jakimś innym terminie, a na razie rozejdźmy się i poważnie nad wszystkim zastanówmy. - Wstał. - Spotkamy się znowu w celu przedyskutowania przepływu informacji między ministerstwami. I proszę was, panowie, pamiętajcie, że mamy tu do czynienia nie z abstrakcyjnym problemem prawnym, ale z żywym człowiekiem. A konkretnie z mężczyzną o nazwisku Benjamin Tyson, który może w rezultacie tej sprawy stanąć przed sądem wojskowym oskarżony o morderstwo. Najwyższym wymiarem kary, jeśli zostanie dowiedziona wina, jest śmierć przez rozstrzelanie. Życzę panom miłego dnia.

Rozdział 9

David Tyson wszedł do kuchni. Jego ojciec siedział przy stole, pił kawę i przeglądał jakieś papiery.

- Idę do łóżka - powiedział David.

Ben podniósł wzrok na zegar kuchenny i zobaczył, że jest już prawie jedenasta. Marcy powinna wkrótce wrócić ze swych wieczornych zakupów. Noc była ciepła i Tyson siedział bez kapci i koszuli. Miał na sobie jedynie parę krótko obciętych dżinsów.

- Co czytasz? - zapytał David.

- Fotokopie wycinków prasowych, które wzięłem z biblioteki. Relacje różnych osób na temat bitwy o Hue.

- Przerabiamy to teraz. To znaczy Wietnam. W szkole. Na historii.

- Kiedy ja się jeszcze uczyłem - uśmiechnął się Ben - skończyliśmy na Eisenhowerze, który wysłał wojska do Libanu.

David odsunął krzesło i usadowił się naprzeciwko ojca. Ten odłożył fotokopie.

- Jak tam w szkole?

- W porządku.

- Słyszałem coś innego.

- O co ci chodzi?

- Zdaje się, że oberwałeś parę razy.

David spojrzał na ojca.

- Radzę sobie - odpowiedział.

- Na pewno?

- Zawsze mi powtarzałeś, że mam sam sobie radzić z własnymi problemami.

Skrzyczałeś mnie kiedyś, gdy jako dziecko przyszedłem do domu zaryczany, bo ktoś mi dokuczał.

Tyson przyglądał się synowi przez parę chwil.

- To co innego. Tym razem to moja wina. Możesz mi się poskarżyć.

- Nie skarżę się. Poza tym nie jest tak źle. Niektórzy z chłopaków... i dziewczyn... są nawet miłsi, niż byli.

Ben kiwnął głową.

- Dla mnie też niektórzy ludzie są bardziej życzliwi. Ale z nimi też bądź ostrożny.

- Wiem.

Tyson zdał sobie sprawę, że widzi nagle swojego syna w innym świetle. David należał kiedyś do tych chłopców, którzy wyżej cenią własnego ojca od ulubionego piosenkarza czy sportowca. To nie zdarza się często w dzisiejszych czasach, a może nawet zdarza, tylko

raczej się o tym nie mówi. Ale w jego rodzinie tak właśnie było. On swojego ojca też postawił na piedestale.

- Chcesz piwa?

David zawahał się, potem kiwnął głową. Podeszedł do lodówki i wyjął dwie butelki. Otworzył je, jedną podał ojcu i wrócił na krzesło.

Równocześnie pociągnęli z butelek. Tyson pomyślał o Gene Conroyu. Ledwie znał tego faceta. Podeszedł do Bena w klubie i przeprosił za zachowanie swojego syna, Dereka, w stosunku do Davida. Wtedy właśnie po raz pierwszy Tyson dowiedział się, że istnieje taki problem. Ale przecież mógł wyobrazić sobie, że coś podobnego się zdarzy, dzieci dysponują ogromnym potencjałem okrucieństwa. Dzieci z Kompanii Alfa pokazały mu, dokąd może doprowadzić okrucieństwo. Przez moment zastanawiał się, czy David mógłby być członkiem Kompanii Alfa. Może nawet miał nadzieję, że jego syn ma w sobie pewną dozę okrucieństwa, bez którego trudno przetrwać w tym świecie.

- W każdym niemal pokoleniu dorośli oszukują młodych i każą im umierać za siebie i swoje sprawy. Rozumiesz to?

- Chyba tak.

- Nie chcę, żebyś walczył za mnie. Chodzi mi na przykład o Dereka Conroya.

David przyglądał się w skupieniu nalepce na butelce piwa.

- Nikomu nie pozwolę, żeby mnie bił.

- W porządku, jeśli bronisz siebie, odpowiadasz na osobistą obrazę czy coś w tym rodzaju. Ale nie broń mojego honoru.

- Dlaczego?

- Właśnie ci to powiedziałem. Dorośli wrabiają młodych, żeby ci się za nich bili.

- Ty mnie nie wrabiałeś.

- Nie?

Tyson pomyślał, że częścią procesu dorastania i tracenia tej niewinności, która wynikała jeszcze ciągle z okresu dziecięcego, było otrzymanie ciosu od kogoś, na kim ci zależy. Teraz nadszedł czas, zadecydował. David powinien się dowiedzieć, że jego ojciec nie jest niewinny. Właśnie dzięki temu będzie mógł dorosnąć i zacząć walczyć o prawdziwego Bena Tysona, a nie jakiegoś tam wyidealizowanego ojca. Jeśli oczywiście podejmie taką decyzję.

- Powiem ci - odezwał się - coś, czego nie wie nikt spoza mojego plutonu. Postaram ci się opowiedzieć, najlepiej jak umiem, co stało się w tamtym szpitalu. Dobrze?

Syn kiwnął głową niepewnie.

- Dobrze.

- Po pierwsze powinieneś wiedzieć - powiedział Tyson - że większość tego, co napisał Picard w swojej książce, to prawda. Mój pluton wymordował ponad sto osób: mężczyzn, kobiet, dzieci i niemowląt. Najmłodszy żołnierz w moim plutonie był niewiele starszy od ciebie. Nazywał się Simcox i widziałem, jak zabija pielęgniarkę, która była mniej więcej w jego wieku. Chcesz, żebym mówił dalej, czy nie?

David zagryzł dolną wargę.

- Nie - powiedział wstając. - To nie ma znaczenia. Wiedziałem, że to wydarzyło się naprawdę. Nie dbam o to. Idę na górę.

- I schowasz się pod kołdrę.

- Nie chcę tego słuchać, tato.

Tyson kiwnął głową.

- W porządku. Jeśli naprawdę rozumiesz, że przynajmniej część tego, co ludzie o mnie mówią i piszą, to prawda. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Nie masz się czego wstydzić. Ty jesteś Davidem Tysonem, odrębną osobą.

Chłopiec ruszył w kierunku drzwi kuchennych, ale jeszcze odwrócił się.

- A to, co ludzie mówią o mamie?

Ben nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. W jakiś sposób łatwiej mu było dyskutować z synem na temat zbiorowego mordy niż o przeszłości Marcy.

- Każdy sam odpowiada za swoje życie - odezwał się wreszcie. - Twoja matka nigdy nie skrzywdziła nikogo i nikt nie ma prawa ranić jej ani ciebie z jej powodu. Nie odpowiadaj na to.

- Chcę być z tobą uczciwy, tato - powiedział David. - Temu pieprzonemu Conroyowi nie chodziło wcale o ciebie. Chodziło mu o mamę.

Tyson głęboko odetchnął.

- To idiotyczne.

- Mam te sprosne artykuly schowane w szufladzie, tato. Ješli chcesz ze mną o czymś porozmawiać, to właśnie o tym.

- Nie ma o czym mówić. To wszystko kłamstwa.

- Naprawdę?

- Tak. Idź do łóżka. Jest późno. Kiedyś znowu porozmawiamy.

David kiwnął głową.

- Branoc. I wyszedł.

Tyson łyknął piwa. Mój Boże, pomyślał, świat tego dzieciaka rozsypał się na kawałki. A nic po nim nie było widać. Skończył piwo. Okazało się, że David jest twardszy, niż na to wyglądał. Ale teraz zaczynają się wyścigi między końcem semestru w szkole a granicami jego wytrzymałości. Biedny David. Biedna Marcy. Biedny Ben.

Marcy Tyson położyła torbę z zakupami na kuchennym stole. Ben nadal siedział z książką i filiżanką kawy.

- Cześć - powiedział. - Już wróciłaś?

Nie spojrzał na nią.

- Nie, jeszcze jestem w sklepie.

- To dobrze - przewrócił stronę i ziewnął.

- To było przerażliwe. Niesamowite, stałam w kolejce i nagle zobaczyłam tę okładkę. A na niej siebie. W „American Investigator”. Uwierzysz? Spełniło się marzenie kury domowej.

Tyson podniósł wzrok znad książki. Żona rozpakowywała torbę i mówiła dalej:

- Moje krocze zasłonili czarnym paskiem. Ale cycki pozostały w pełnej okazałości. Jezu. Komu to potrzebne?

Ben przyglądał się jej uważnie. Nie wyglądała na bardzo przygnębioną, ale przypuszczał, że była. Pomyślał, że wygląda tego wieczoru szczególnie młodo, ubrana w spódnicę khaki, sandały i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Zerknął na kuchenny zegar. Dochodziła prawie północ, Tysonowie zazwyczaj nie robili zakupów o tej porze. Przyjrzał się produktom spiętrzonym na blacie.

- Kupiłaś tego szmatławca... jak to się nazywa?

- „American Investigator”. - Zawahała się, ale po chwili dodała: - Jest w samochodzie.

Kiwnął głową. Życie rodziny Tysonów stało się w pewien sposób surrealistyczne, nie mówiąc już o tym, że ukradkowe i ksenofobiczne.

On nabrał zwyczaju jeżdżenia do Nowego Jorku różnymi środkami lokomocji i o różnych godzinach, choć Marcy nadal nie wyrzekła się swego normalnego pociągu. Oboje unikali kontaktów towarzyskich, a on zaniechał gry w tenisa. Zaprzestali jadania kolacji w miejscowej restauracji. Chodził jedynie do klubu, który stanowił swoisty świątek.

Tyson bawił się kostkami cukru, budował z nich wieżę na blacie stołu.

- Jako specjalistka od kontaktów z mediami, czy możesz mi wyjaśnić mechanizm tego, co się dzieje? - spytał nie patrząc na żonę. - Dlaczego staliśmy się tematem dnia?

Marcy odłożyła na półkę jakieś puszki.

- Jest wiele powodów. Modny jest na przykład Andrew Picard. Jest dobry w programach telewizyjnych. I dość przystojny. Poza tym może akurat w tym miesiącu nie dzieje się nic specjalnie ciekawego. Ale zapamiętaj najważniejszą zasadę w tym biznesie: nie istnieje coś takiego jak zły temat.

- No tak, to gównem tego właśnie dowodzi. - Dodał kolejną kostkę do swojej wieży.

Picard. Po recenzji książki w „Timesie” pisarz zaczął występować w radiu i telewizji. Pojawiał się tam bez przerwy, jak zmora. Potrafił zainteresować swoją publiczność. Nie mówił o całej bitwie o Hue. To był zbyt obszerny temat, nudny dla szerokiej publiczności. Używał swego czasu antenowego mądrze, skupiając się na Szpitalu Miłosierdzia.

Tyson słuchał go pewnego ranka w radiu i gdyby nie czytał książki, nie miałby wątpliwości, że całe trzydzieści dziewięć rozdziałów było poświęconych Benjaminowi Tysonowi i jego gangowi psychopatycznych morderców, którzy wystrzelali wszystkich ludzi w szpitalu. Cała trwająca miesiąc bitwa jawiła się jako dodatkowe wydarzenie bez większego znaczenia.

Marcy przerwała jego rozmyślenia.

- To jest temat, o jaki modlą się wszyscy publicyści. Dzięki niemu przenoszą się z ostatnich stron gazet na czołowe, obok najświeższych wiadomości. Autorzy dostają erekcji w nocy, śniąc, że ich nazwiska zostaną wymienione w takim materiale.

Ben skupiał się na budowaniu swojej wieży. „Hue. Zagłada miasta”. O książce napisał „Newsweek”, więc jak „Time” może pozostać w tyle. Książka pojawiła się na liście

bestsellerów sobotniego „Timesa” dwa tygodnie temu i od tego czasu nieprzerwanie pięła się w górę. Picard musiał zacierać ręce z uciechy. Tyson podparł po bokach swoją wieżę.

- Te sprawy osiągają własną masę krytyczną - tłumaczyła Marcy. - Rozumiesz? Są czymś świeżym i nowym, więc urastają do rangi sensacji. Nie mówię, że to jest akurat nieciekawa historia. Spróbujmy być obiektywni. Na pewno nam nie pomaga, że znajdujemy się o trzydzieści pięć kilometrów od światowego centrum informacji. Gdybyśmy mieszkali w Omaha byłoby nam łatwiej. To fakt.

Ben dmuchnął łagodnie w sześciokątną wieżę i patrzył, jak się zakołysała.

- Co ty, u diabła, robisz?

- To jaśniejąca bielą wieża z marmuru, która stoi na opustoszałych, brunatnych równinach. Ostatni bastion cywilizacji umierającego świata. Spotkali się tu ostatni wykształcony mężczyzna i ostatnia wykształcona kobieta. - Dmuchał znowu i kostki rozsypały się po brązowym blacie. - Ale wieżę otoczyli dzicy i...

- Dobrze się czujesz? Może chcesz, żebym wezwała ambulans z wyściełanymi ścianami czy coś w tym stylu?

Spojrzał na nią.

- Po prostu się bawię. Mężczyźni nigdy nie dorastają. Zdaje się, że już nieraz mówiłaś coś w tym sensie.

- Wszystko jedno... - odwróciła się i włożyła jakieś pakunki do lodówki. - Rozmawiałam dzisiaj z miejscowymi plotkarkami, bardzo nam współczują. Jednakże wszystko wskazuje na to, że prawa zabraniające nękania, blokowania samochodów, utrudniania życia i tym podobne dotyczą jedynie zwykłych śmiertelników, a nie ludzi publicznych i znanych, chyba że ci pójdą ze skargą do sądu. Jeśli jacyś gówniarze jeszcze raz ustawią nam kamery przed oknami... - trzasnęła drzwiami lodówki.

Ben przypomniał sobie program lokalnej telewizji, półgodzinny reportaż na temat nie wyjaśnionej masakry. Rozpoczął się od wywiadu z Picardem, przeplatany zdjęciami z bitwy o Hue. Wojna wróciła do amerykańskich salonów. Materiał filmowy był znakomity - zdjęcia z powietrza pokazujące płonące miasto, potem zbliżenie na żołnierzy piechoty morskiej próbujących przedostać się na drugą stronę rzeki Perfume po pozostałościach mostu kolejowego. Dziedziniec uniwersytetu wypełniony nieszczęsnymi uchodźcami. Przy czym nie byli to zwykli wieśniacy, ale przedstawiciele wyższej klasy: studenci, lekarze, księża, zakonnicy i urzędnicy. Sama śmietanka towarzyska Wietnamu, zbrukana i nieszczęsna, łkająca przed kamerami. Bardzo dobre zdjęcia.

Całe przedstawienie kończyło się występem reportera na tle jakiegoś domu. Dopiero po dobrej chwili Tyson zorientował się, że to jego dom. Kamera pokazała wszystkie

elementy budynku, a przy okazji kilku ciekawskich sąsiadów. Potem zatrzymała się na drzwiach frontowych domu. Reporter stał tuż przy nich.

- Tu, za tymi eleganckimi drzwiami mieszka jedyny człowiek, który potrafi odpowiedzieć na pytania zadane przez Andrew Picarda. Ale on milczy. I nie wiadomo, czy kiedykolwiek uda się go zmusić do opowiedzenia, co zaszło w tamtym szpitalu osiemnaście lat temu.

Ben zabębnił palcami o blat stołu, wieża zatrzęsała się, ale podparł ją i stała dalej.

- Trzęsienie ziemi. Poważne szkody, ale wieża zbudowana przez ostatnich budowniczych nie rozpadła się. - Ziewnął znowu i odwrócił się do żony. - Wiesz co, Marcy, podejrzewam, że większość tych ludzi, którzy interesują się mną i moimi kłopotami, nie czytała nawet odpowiedniego rozdziału w książce. Ale są przekonani, że wiedzą, o czym jest w nim mowa.

Marcy także ziewnęła.

- Czekają, aż powstanie film telewizyjny, Ben. - Odstawiła ostatni pakunek. - Dzięki za pomoc.

- Przepraszam... Zamyśliłem się. - Oparł brodę na blacie, tak że wieża z kostek znalazła się na wysokości jego oczu. - Widzę poważne uszkodzenia...

Marcy pstryknęła palcem i wieża rozpadła się.

- Dziwka. - Zgarnął kostki cukru i zdmuchnął pozostałe drobinki. - Jeśli chcesz, to przedstawię ci bitwę o Hue za pomocą kostek cukru?

- Może rano.

- Po lekturze książki Picarda znam przebieg wydarzeń. - Szybko ułożył rząd kostek. - To jest południowa ściana Cytadeli. Rozumiesz? Każda ściana ma długość około półtora kilometra. W tym miejscu ściana południowa styka się z północnym brzegiem rzeki Perfume... - rozejrzał się, zauważył dzbanek i wylał strugę mleka na blat. - Oto rzeka. Wyobraźmy to sobie. Dobra, a tu jest kanał. - Przeciągnął palcem po mleku i uformował odpowiedni dopływ. - A teraz pomóż mi z pozostałymi trzema ścianami. Masz jeszcze cukier? Musimy tu zbudować Cesarski Pałac i otoczoną murami enklawę w północnym rogu Cytadeli, gdzie Picard został złapany w pułapkę wraz żołnierzami Południowowietnamskimi. To gdzieś w tym miejscu. Trzy pełne bataliony Pierwszej Kawaleryjskiej nadchodzą z północy. Ich zadaniem jest wspomagać piechotę morską i żołnierzy południowowietnamskich oraz zamknąć drogi ucieczki od północy, a także uniemożliwić dotarcie posiłków i dostaw. Rozumiesz? Te szczypczyki do cukru i dwie łyżeczki oznaczają trzy bataliony kawalerii. Nadążasz? Dobra, szczypczyki to mój batalion, Piąty Batalion słynnej Siódmej Kawaleryjskiej. Ale moja kompania odłączyła się i znajduje

bardziej na zachód. Tutaj. Mój pluton jest jeszcze bardziej odsunięty i działa sam. Tu. Zbliżamy się wzdłuż północnego brzegu rzeki. Widzę przed sobą, jak płonie Hue. I wreszcie ta pieprzona kostka cukru to Szpital Miłosierdzia. Widzisz? - Spojrzał na nią. - Dlaczego nie zbudowałaś pozostałych ścian?

Marcy Tyson odwróciła się i podeszła do szafki za koszem na śmieci. Wróciła z butelką grand marnier. Nalała sobie pół kubka.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

Zauważyła, że ułożył pozostałe ściany Cytadeli bez jej pomocy.

- Ben, przestań. Mówię poważnie.

Spojrzał jej prosto w oczy. Uśmiechnął się i zmiotł ze stołu kostki. Odetchnęła.

- Idziemy do łóżka?

- Jeszcze nie. Zastanawiam się... to musieli być sąsiedzi. Mówię o tym starym zdjęciu z „Life’u”. Prasa nie natrafiła na nie przypadkiem. Przy pierwszej publikacji nie byłaś nawet wymieniona z nazwiska.

Marcy zakołysała pomarańczowym likierem w kubku.

- Wiesz, Ben, sama im za to zapłaciłam. Dlaczego tylko ty miałbyś być na pierwszych stronach gazet.

Tyson uśmiechnął się.

- Myślałem, że osoba zajmująca się reklamą, sama unika świateł reflektorów.

Podniosła kubek do ust.

- No cóż, ja też mam swoje ego.

Wypiła.

- To musi być ktoś stąd. Ale dlaczego miałby robić coś takiego? Po co wciągać ciebie w ten bałagan?

Marcy oparła się o zlew.

- Ludzie są marni, zazdrośni i głupi. Myślałam, że i tak wszyscy wiedzą o tym zdjęciu.

- Wydawało mi się, że wierzysz we wrodzoną dobroć ludzi. Bracia i siostry i tak dalej.

- Ja naprawdę w to wierzę. Poważnie i z przekonaniem. Ale mimo wszystko strasznie dużo ludzi to palanty. - Skończyła swój likier.

Tyson wpatrywał się w okno kuchenne. Na werandzie u Thompsonów paliło się światło i widział siedemnastoletnią córkę sąsiadów, Ginny, paradującą w samym biustonoszu i majtkach. Zobaczył jakąś postać zbliżającą się do oszklonych drzwi. Otworzyły się i postać weszła do środka. Światła zgasły. Marcy wyjrzała przez okno.

- Ginny?

- Tak.

- Miałeś takie randki jako napalony młody facet?

- Pewnie. Znałem każde podwórko i każdy płot w tej okolicy.

Roześmiała się.

- Mój Boże, w mieście wyglądało to zupełnie inaczej. Pieściliśmy się trochę po parkach, a czasami, kiedy sprawa stawała się poważna, szło się na dach. A w zimie do pomieszczenia z boilerem.

- Wieś. - Tyson podszedł do lodówki i otworzył ją. - Wsiowe jedzenie. Jogurt, sałata, truskawki. - Zamknął drzwiczki.

Marcy odezwała się:

- Dwa wydarzenia. Bitwa o Hue i kąpiel w Griffith Park zdarzyły się prawie w tym samym czasie. Co napisali o tym w „New York Post”? Coś na temat ironii, że Marcy oddawała się miłości a Ben wojnie. Boże, pozwól mi gdzieś uciec. - Skrzywiła się. - Wiesz, po czym poznać, że jesteś wydarzeniem? Gdy gazety zaczynają pisać o tobie po imieniu. Jako absolwentka wydziału dziennikarstwa i specjalistka od kontaktów z mediami mogą ci powiedzieć, panie Tyson, że jeszcze nic nie widziałeś. - Piła drugi kubek likieru.

Ben zauważył, że jej wzrok stał się nieco zamglony.

Wrócił na krzesło przy stole kuchennym.

- Zabawne, ale od czasu, jak to wszystko się zaczęło, nie śnił mi się mój koszmar.

- Dlaczego miałby ci się śnić? Żyjesz w nim. „Życie jest snem, lękiem pośród lęków, bezbronny biegaczem pośród gradu włóczni”. Arthur Symons. - Uzupełniła jego filiżankę do połowy wypełnioną kawą z likierem.

- Dzięki - powiedział. - Musimy zabrać stąd Davida, zaraz jak tylko skończy się semestr w szkole. Dzieciak musiał przejść przez piekło, a nie pisał nawet słowa.

Marcy kiwnęła głową.

Ben upił kawy pachnącej pomarańczą. David widział niesławną fotografię na długo przed tymi wszystkimi wydarzeniami. Dokładnie rok temu znalazł go siedzącego na podłodze w jego pokoju z oryginalnym magazynem „Life” na kolanach, wpatzonego w zdjęcie matki.

Uznał, że incydent nie powinien utrwalić się bez komentarza. Kilka dni później wziął syna na stronę i zrobił mu krótki, socjologiczny; wykład na temat Czasu Wodnika. Jemu samemu wydawało się to dziwne. Mężczyzna w średnim wieku musi bronić moralności swojego pokolenia przed nastolatkiem. Ale wartości moralne, jak czasy wojny i pokoju, zmieniają się cyklicznie. Ludzie okresu wiktoriańskiego odrzucali moralność, sposób ubierania i literaturę wieku, który poprzedzał ich czasy. Pokolenie Davida, choć nie kołtuńskie, nie aprobowało całkowitej wolności, którą głosili ich rodzice.

Syn wysłuchał go, kiwał głową, ale coś mówiło Benowi, że chłopak nie aprobuje ani zdjęcia pokazującego goliznę, ani stylu życia rodziców.

Zrozumiał, że on sam również jest miotany sprzecznymi uczuciami, kiedy patrzy na tę fotografię lub gdy zastanawia się nad przeszłością żony i stosunkami w ich małżeństwie. Marcy powiedziała kiedyś na jakimś spotkaniu towarzyskim: „Ben stał się z wiekiem bardziej liberalny i mniej zahamowany, ja natomiast bardziej konserwatywna. Oto wynik lat osiemdziesiątych”.

Zdawał sobie również sprawę, że przeszłość żony, podobnie jak jej obecna praca, w której spotykała wielu mężczyzn i to takich, którzy odnieśli sukces, lechta jego próżność. Jej praca wiązała się jednak także z wyjazdami służbowymi, śniadaniem, lunchami, kolacjami do późna w nocy, długim siedzeniem w biurze i wystąpieniami publicznymi. To był niezmierny teren dla zazdrości i prawdę mówiąc zdarzały im się dość gwałtowne rozmowy, gdy Marcy wracała nad ranem do domu. W każdym razie ich małżeństwo nie cierpiało na nudę.

- Dajesz sobie bardzo dobrze radę - powiedział. - I wiesz, nie potrzebujesz tego.

Nalała sobie trzeciego drinka. Jej głos stał się trochę niewyraźny.

- Na dobre i złe. O to, do diabła, przecież chodzi. - Zastanowiła się przez chwilę i dodała: - Ty też dajesz sobie nieźle radę. Ja... ja zawsze cię szanowałam... ale zdarzało się... wiesz, że uważałam cię za mięczaka. Myślę, że nawet cię prowokowałam... nigdy nie chciałam, żeby się z ciebie zrobiła baba... nigdy... i jestem zadowolona, bo widzę, że naprawdę masz jaja... Przeciwności wzmacniają charakter, co? Wszyscy potrzebujemy odrobiny stresu, wtedy dopiero czujemy się naprawdę żywi... dzięki temu będziemy

mocniejsi i nasze małżeństwo też... ale zbyt dużo stresu i napięcia... - Odchyliła kubek i wypila. Odbiło jej się. - Nie wiem.

Tyson przytaknął. Wiedział, że jest ona kobietą pewną siebie. I pełną życia, a gdzie jest życie, tam są problemy. Spojrzał na nią.

- Przypomniało mi się, jak przyprowadziłem na kolację Kimurę, Saito i ich żony. A ty podałaś im chińskie jedzenie na wynos kupione w restauracji.

Marcy uśmiechnęła się niewinnie.

- Spieprzyłam?

Ben zakasłał tuszując wybuch śmiechu.

- Nigdy nie powiedziałaś na ten temat jednego słowa. - Skrzywiła się zabawnie. - Podalam to gówno z pałeczkami, na litość boską. - I dodała zranionym głosem: - Zrobiłam też bardzo porządny koktajl mieszając sake z burbonem. Bombardowanie Hiroszimy. Wszystkim bardzo smakował.

Tyson roześmiał się.

- Nie śmieję się z mnie, ty pompatyczny, pełen zahamowań ośle.

Ben przestał się śmiać i zrobił krok w jej stronę.

- Kto jest pełen zahamowań?

- Ty, ty zaściankowy, głębokodupny...

Złapał ją za ramiona, podniósł w górę i położył na stole pomiędzy filiżankami z kawą, kostkami cukru i gazetami.

- Co ty, u diabła, robisz, Tyson.

- Mam zamiar cię zerznąć, moja pani.

- Tutaj?

- Tutaj. - Rozsunął suwak jej spódnicy i ściągnął ją razem z majtkami w dół przez kolana i sandały, ciskając jak szmatę na podłogę. - Rozsuń nogi.

Zrobiła to, zrzucając na podłogę filiżanki i popielniczki. Tyson ściągnął szorty i podciągnął się na blat pomiędzy jej uda. Bez żadnych wstępów wszedł w nią, stwierdzając, że jest wilgotna i gotowa.

Marcy rozłożyła ręce i złapała się krawędzi stołu. Pchnięcia Bena były krótkie i gwałtowne, ale jego kolana ślizgały się po gładkiej powierzchni stołu. Wyszedł z niej.

- Odwróć się.

Przekreśliła się na brzuch, a potem uniosła na rękach i kolanach. Złapał ją za ramiona i wszedł w nią od tyłu. Poruszał się gwałtownie. Przesunęła się do przodu i oparła głowę na suszarce. Stół podskakiwał, cukiernica zabalansowała na krawędzi, po czym spadła na podłogę i rozbiła się, po chwili podążył za nią dzbanek na mleko.

Marcy rozsunała jeszcze bardziej kolana i schyliwszy głowę, spoglądała pomiędzy zwisającymi piersiami na ślizgającego się penisa Bena i kołyszące się jądra.

Tyson skończył nagle, wyszedł z niej i zeskoczył ze stołu. Klepnął ją w pośladek i wychodząc z kuchni zawołał:

- Posprzątaj cały ten bałagan.

Marcy pozostała w bezruchu przez dobrą minutę, czując, jak wilgoć płynie jej po udach i ścieka na kuchenny blat. Powoli zsunęła się na podłogę zaścieloną kawałkami potłuczonych naczyń. Wciąż naga od pasa w dół zgarnęła na szufelkę mleko i cukier razem z kawałkami ceramiki. Potem uklękła i starła resztki gąbką. Wstała i zaczęła wycierać blat mokry od mleka i spermy.

Nagle zastygła i zapatrzyła się na lśniące ścieżki przecinające brązowy blat. Czuła się upokorzona i wykorzystana. Ale tego wieczoru tak właśnie powinna się czuć. To należało do ich seksualnego repertuaru. Marcy naigrawa się z Bena, Ben traktuje Marcy jak dobytek. Odgrywanie bardzo powszechnej fantazji seksualnej. Rola przedmiotu bawiła ją mniej więcej raz w miesiącu. Ale tym razem odbyło się to jakoś inaczej... coś poszło nie tak... Łzy napłynęły jej do oczu. Potrząsając głową ciągle wycierała stół.

Rozdział 10

- Zmiana miejsca spotkania, panowie - oświadczył Thomas Berg. - Myślę, że będzie panom odpowiadała.

Spacerował po niewielkim pokoju, urządzonego gustownie w wiktoriańskim stylu typowym dla Old Executive Office Building.

- Przenosimy się bliżej Białego Domu - dodał po chwili - zarówno w znaczeniu fizycznym, jak i metafizycznym.

Kiwnął głową w kierunku budynku widocznego o kilkaset metrów na wschód. Po czym zagłębił się w fotelu.

Generał Van Arken siedział na wyściełanym zamszem krześle tuż przy oknie. Peter Truscott, z biura prokuratora generalnego, zajął miejsce koło niego na skórzanej kanapie. Nie było przedstawicieli Ministerstwa Obrony. Doradca prezydenta wytłumaczył ten fakt następująco:

- Zawężamy pole zainteresowania, a więc możemy ograniczyć naszą grupę do trzech osób.

Klimatyzacja w tym stuletnim budynku nie spełniała swego zadania. W dodatku okna pokoju wychodziły na wschód, a ranek był słoneczny. Truscott i Berg zdjęli marynarki i rozluźnili krawaty. Generał pozostał w swym zielonym mundurze, zapiętym - zgodnie z regulaminem - na wszystkie guziki. Bergowi robiło się gorąco od samego patrzenia na niego. Pomyślał, że wojskowi podnieśli niewygodę do rangi sztuki. Na stole stały butelki wody mineralnej, pojemnik z lodem i szklanki.

Berg odchrząknął.

- No dobrze. Na naszym pierwszym spotkaniu doszliśmy do wniosku, że może powstać pewien problem. Przepowiednie generała Van Arkena z zeszłego tygodnia, że tą sprawą zainteresują się dziennikarze, sprawdziły się. Generale, co jeszcze pan przewiduje?

Van Arken wyprostował się.

- Nie mam kryształowej kuli, panie Berg. Ale mój kontakt z realnym światem jest lepszy niż ludzi, którzy zasiadają tam. - Wskazał kciukiem w kierunku Białego Domu.

- To możliwe - przytaknął Berg. Chwilę się zastanawiał i dodał: - Prezydent zapowiedział konferencję prasową za trzy tygodnie. Temat wypłynie, chyba że wcześniej zapadnie decyzja utajnienia. Ale to by się prasie nie spodobało. Prezydent może oczywiście zasłonić się twierdzeniem, że nie ma prawa wypowiadać się na temat czyjejs winy, którą dopiero ustali werdykt sądowy. Ale byłoby lepiej, gdyby mógł powiedzieć coś bardziej konkretnego. - Doradca spojrzął na obu mężczyzn. - Musimy się nad tym zastanowić.

W pokoju zapanowało milczenie, Truscott sięgnął po szklankę z wodą. Na południowym trawniku przed Białym Domem lądował helikopter, stłumiony hałas śmigła zakłócał ciszę w małym, oświetlonym słońcem pokoju.

- Sprawdziło się kolejne z pańskich prorocstw, generale. - Berg zwrócił się do Van Arkena. - Mianowicie: departament stanu otrzymał w tym tygodniu noty od ambasadorów

Francji, Holandii, Belgii, Niemiec i Austrii z zapytaniem, jakie kroki zostały podjęte w związku z domniemanym morderstwem popełnionym na przedstawicielach ich państw przez siły amerykańskie w Wietnamie i tak dalej. - Doradca prezydenta zawiesił na chwilę głos. - Jednakże z przyjemnością mogę donieść - podjął po chwili wątek - że ambasador szwajcarski, który jak pan wie, jest nieoficjalnym reprezentantem Hanoi, nie otrzymał żadnego pisma w tej sprawie z Republiki Ludowej. Chociaż może być ono w drodze. Również sprawa ta nie wypłynęła jeszcze w ONZ-cie.

- Czystą hipokryzją ze strony Hanoi - wtrącił się Van Arken - byłoby wykorzystać do celów propagandowych tę właśnie sprawę, po tym, co sami zrobili w Hue.

Berg wzruszył ramionami.

- Hanoi prawdopodobnie liczy na to, że inne kraje przejmą inicjatywę i wraz z Katolicką Agencją Pomocy sprawią nam wystarczająco dużo kłopotu. - Spojrzał na Truscotta. - W każdym razie między naszym pierwszym i drugim spotkaniem generał Van Arken skontaktował się z centralnym archiwum wojskowym w Forcie Leonard Wood i wszystko wskazuje, że żaden spośród żołnierzy plutonu Tysona, których można podejrzewać o udział w masakrze, nie pozostaje obecnie w wojsku. Na podstawie tych danych wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zaproponowanie byłym żołnierzom tego plutonu immunitetu w zamian za zaprzysiężone zeznania.

- Podobnie, jak to się stało w przypadku sprawy Calleya - odparł Peter Truscott - chcecie wypuścić wszystkie małe rybki, żeby złapać jedną dużą. W dodatku jest rzeczą prawie niemożliwą wcielić zwolnionych ludzi jeszcze raz do służby. Z Tysonem, jako byłym oficerem, łatwiej będzie można sobie poradzić. Zgadza się?

Generał nic nie odpowiedział, ale Berg widział wyraźnie, że nie bardzo mu się to wszystko podoba.

- Tak się składa - powiedział prawnik - że udało mi się przeprowadzić poufne śledztwo w biurze okręgowym w Nassau. To znaczy tam, gdzie mieszka Tyson. Najwyraźniej nie poczynił żadnych wstępnych kroków zmierzających do zaskarżenia Picarda ani wydawcy książki.

- Co z tego wynika? - zapytał Berg.

- Nic - Truscott wzruszył ramionami, zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział: - Czasami staram się sobie wyobrazić, że jestem na miejscu Tysona... Co bym wtedy zrobił?

- Ja pomyślałbym o Brazylii - z uśmiechem skwitował doradca prezydenta.

Prawnik uśmiechnął się także, ale nagle spoważniał.

- Uważam, że podobnie jak my Tyson czeka - powiedział. - I również jak my nie wie, na

co czeka ani na co może mieć nadzieję. I jeszcze raz jak my boi się.

Berg powoli pokiwał głową.

- No cóż - odezwał się po dłuższej chwili milczenia - zajmijmy się więc panem Tysonem. Jak długo możemy badać tę sprawę, zanim powołamy go z powrotem do służby? Truscott?

- Biuro prokuratora generalnego stoi na stanowisku - odparł prawnik - że możemy nadal spotykać się nieoficjalnie i przeprowadzać dochodzenie do czasu zebrania wystarczających materiałów dla sformułowania aktu oskarżenia.

Doradca spojrzał w stronę Van Arkena. Generał potrząsnął głową.

- Nasza pozycja pod względem prawnym jest słabiutka - oświadczył.

Truscott i Berg milczeli.

- Musicie, panowie, zrozumieć, że przywrócenie pana Tysona do służby nie tylko postawi go pod jurysdykcję Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego - rozwinął swoją myśl Van Arken - ale także pod jego ochronę. Jak wspomniał pan podczas naszego pierwszego spotkania, wojsko nie może sądzić cywila. Idąc dalej, armia nie może przeprowadzać śledztwa w sprawie osoby cywilnej. Takie śledztwo, niezależnie, czy zajmie się nim moje biuro czy też inna komórka wojskowa, byłoby zdecydowanie pogwałceniem praw człowieka.

Berg skinął głową. Najwyraźniej generał wszystko przemyślał. I prowadził jakąś grę, w której stawkę stanowiła władza. Spojrzał na Truscotta, który w zamyśleniu masował dłońią szczękę.

- Cóż, to nie jest łatwe... Być może Biały Dom jest władny zlecić mojemu biuru lub FBI rozpoczęcie śledztwa, wtedy przekazemy informacje do Izby Wojskowej...

- Nie mogę w tego typu sprawie - przerwał mu Van Arken - przyjąć wyników dochodzenia prowadzonego przez służby cywilne. Panowie, jeżeli chcecie jej ukrećić łeb albo też ją osłabić w wyniku błędów proceduralnych, jesteście na najlepszej drodze.

Doradca prezydenta wpatrywał się w Van Arkena przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej osiągnęli impas.

- Przypuszczam - generał odezwał się - że Biały Dom wcale nie chce oglądać Tysona w mundurze.

Berg wstał i nalał sobie wody.

- Cóż, chyba nie ma sensu wracać do pewnych spraw.

- Już do nich wróciliśmy. Proszę poczytać gazety.

Doradca zignorował tę uwagę i mówił dalej:

- Poza tym, czy z prawnego punktu widzenia nie byłoby to działanie stronicze, gdybyśmy przywrócili pana Tysona do armii jeszcze przed zgromadzeniem dowodów. Wydaje mi się to przedwczesne i niebezpieczne. Truscott?

- Cóż... - odparł prawnik - podobnie się dzieje z oskarżonymi, którzy podlegają ekstradycji. Rząd musi podjąć pewne kroki, żeby prawo mogło zadziałać. Nie sądzę, by padł zarzut domniemania winy.

Berg stał i nadal popijał wodę mineralną. Bezmyślnie, wpatrywał się przez okno w Biały Dom. Wreszcie odwrócił się.

- Jeśli to zrobimy - powiedział - mam na myśli ponowne wcielenie Tysona do służby w wojsku, wiadomość o tym znajdzie się w każdej gazecie w całym kraju... - Zwrócił się do Van Arkena: - Spójrzmy na ten pomysł z humanitarnego punktu widzenia. Co się stanie, jeśli Tyson spędzi sześć miesięcy czy też rok w wojsku i okaże się niewinny? Nie można wystawiać na szwank czyjegoś życia na podstawie nie sprawdzonych podejrzeń. Czemu nie moglibyśmy pozwolić temu człowiekowi normalnie żyć, dopóki nie będziemy mieli solidnych podstaw, by wpakować go ponownie w mundur.

- Mówiłem już dlaczego - odparł generał. - I nie sądzę, by życie pana Tysona było teraz takie jak dawniej. Powrót do wojska może być dla niego aktem łaski. Ja też jestem człowiekiem.

- Wezwanie do wojska jest równie mile widziane jak publiczne ogłoszenie ciężkiej i zaraźliwej choroby naszego ostatniego partnera seksualnego - zachnął się Berg.

Truscott parsknął śmiechem.

Błada zazwyczaj twarz Van Arkena poczerwieniała. Wyszedł na środek pokoju, jakby zamierzał opuścić zebranie. Najwyraźniej starał się zapanować nad swym głosem, kiedy powiedział:

- Posiadamy wystarczająco dużo informacji, dających podstawę do podejrzeń, że zbrodnia została popełniona. Mamy podejrzanego. Albo podejmiemy kroki zmierzające do postawienia go przed sądem, albo zawalimy sprawę. Proszę jednak nie zapominać, że jeżeli odwrócimy się plecami do dwustu domniemanych ofiar, tak jak to najwyraźniej zrobił w swoim czasie pan Tyson, staniemy się równie winni jak on. - I dodał złowieszczo: - Powinniśmy się liczyć z dochodzeniem kongresowym.

Berg odetchnął głęboko.

- Osobiście przekażę prezydentowi, o czym tu dziś dyskutowaliśmy - oświadczył.

- Dlaczego nie poprosi pan prezydenta, by podpisał, jako zwierzchnik sił zbrojnych, rozkaz przywracający Tysona do służby czynnej - zaproponował, nadal stojąc Van Arken. - Byłoby to łatwiejsze niż wezwanie przez wojsko.

- Generale, wie pan cholernie dobrze, że prezydent nie chce tego zrobić - odpowiedział ostrym tonem Berg. - Wszyscy się zgodziliśmy, że mamy do czynienia z czysto wojskowym problemem. Nie mieszajmy więc w to prezydenta. Chodzi o prostą sprawę o morderstwo, a nie incydent międzynarodowy. Proszę mi teraz powiedzieć, ile czasu potrzeba armii, żeby wsadzić Tysona z powrotem w siodło?

Van Arken westchnął gwałtownie.

- Tego nie jestem w stanie określić - odpowiedział krótko. - Wszystko zależy od tego, jak ostro się Tyson sprzeciwi.

- Możemy dojść z tą sprawą - dodał Truscott - aż do Sądu Najwyższego.

Doradca prezydenta usiadł znowu na krześle. Zastanawiał się, czy długa prawnicza batalia dotycząca powtórnego powołania i ustalenia, pod czyją jurysdykcją powinien się znaleźć Tyson, byłaby takim złym rozwiązaniem. Zdjęłaby kłopot z barków administracji, przenosząc go na prawników, tam gdzie było jej miejsce.

Truscott, jakby domyślając się, o czym Berg myśli, powiedział:

- Możemy się skontaktować z adwokatem Tysona albo nawet bezpośrednio z nim samym.

Berg spojrzał na niego.

- Po co?

- Czasami - odparł prawnik - kontakt bezpośredni jest najlepszy. Jeżeli poinformujemy ich, że rozważamy powołanie Tysona do wojska w celu rozpoczęcia śledztwa, możemy otrzymać jakieś wskazówki, jak zamierza na to... zareagować.

Berg spojrzał na Van Arkena.

- Gdybym ja był adwokatem Tysona - dodał Truscott - namawiałbym go na próbę zawarcia ugody. W zamian za niezaskarżenie wezwania mógłbym poprosić biuro prokuratora generalnego o... no, o coś. - Zwrócił się do generała. - Co by mu pan zaproponował?

- Nic.

- Mógłby pan przynajmniej zaproponować uczciwy proces - powiedział doradca prezydenta, zastanawiając się przez cały czas nad prawdziwymi motywami kierującymi Van Arkenem. Zachowywał się tak agresywnie. Berg zasięgnął informacji na temat generała. Przynajmniej pozornie człowiek ten wydawał się niewzruszonym moralistą, postępującym zawsze zgodnie z literą prawa. Prywatnie prowadził proste życie, nie był żonaty, mieszkał na terenie koszar. Plotkowano o nim, że ma dwa cywilne garnitury, jeden na lato, drugi na zimę. Oba niebieskie.

Berg wstał.

- W porządku, panowie, zanim zakończymy spotkanie, chciałbym powiedzieć coś prywatnie. Społeczeństwo, w pewnym stopniu, poczuwa się do winy i odpowiedzialności za to, co robi wojsko. Nie tak jak w przypadku pospolitych zbrodni. Jeśli więc dojdzie do rozprawy i Benjamin Tyson zostanie uznany za winnego i uwięziony, nie oczekujmy, że ktoś nas potraktuje jak bohaterów narodowych.

Van Arken zacisnął mocno szczęki.

- Nie bardzo dbam o popularność. Nie staram się o żaden urząd publiczny.

- Dobrze, nie ma sensu się o to spierać - przerwał Truscott wstając. Zwrócił się do Berga. - Generał ma rację, jeśli chodzi o zasadę, i powinien pan uświadomić to prezydentowi. Udawanie, że nie ma sprawy, nic już nie da. Wolałbym raczej powiedzieć prezydentowi coś, czego nie ma ochoty usłyszeć, niż narazić się na zarzut potajemnego działania.

Berg przytaknął.

- Nie proponuję chowania głowy w piasek. Sugeruję zachowanie równowagi pomiędzy dobrem a złem, które mogą wymknąć z tej sprawy dla całego narodu.

- Jeśli nie będziemy chcieli - odparł Van Arken - lub mogli dokładnie jej zbadać, cały nasz system zawali się. A nie wyobrażam sobie większej szkody dla społeczeństwa prawa niż wadliwe działanie systemu prawnego... może z wyjątkiem utraty zaufania do urzędników państwowych. Uważam także, że gdyby pan Tyson znajdował się teraz z nami w tym pokoju i chciał pozostać obiektywny, zgodziłby się z tym wnioskiem.

Doradca prezydenta uśmiechnął się niewesoło.

- Benjamin Tyson walczy o życie i trudno liczyć na jego obiektywizm. Jego sprawa stanie się zarówno dla rządu, jak i dla całego narodu twardym orzechem do zgryzienia. I nie winię go za to. - Berg sięgnął po swoją teczkę. - Jest to rozdrapywanie starych ran, które spłyną teraz świeżą krwią. Ta pieprzona wojna znowu do nas zawita. Niech Bóg nam

pomoże. - Skierował się w stronę drzwi. - Zebranie uważam za zamknięte.

Rozdział 11

O siódmej trzydzieści w czwartkowy poranek Benjamin Tyson wkroczył do klubu golfowego w Garden City, nieoficjalnie nazywanego „klubem samców”. Budynek, w którym obecnie mieściła się jego siedziba, został wzniesiony w 1899. W tym samym roku kobiety zostały z klubu delikatnie wyproszone i natychmiast zaczął się tam, zdaniem Tysona, wkradać ten szczególny, ostry zapach, charakterystyczny dla miejsc, w których spotykają się sami mężczyźni. Panie były zapraszane raz do roku, na wspólną partię golfa, jednak niewiele godziło się na ten wątpliwy zaszczyt.

Tyson szedł długim holem. Minał mężczyzn grających przy stole w pokera kośćmi, potem bar, aż wreszcie wszedł do wysoko sklepionej niczym katedra jadalni. Ukłonił się kilku osobom jedzącym śniadanie i wyszedł na taras.

Philip Sloan siedział przy małym okrągłym stoliku, ocienionym parasolem w błękitne pasy, i czytał gazetę. Ben zajął miejsce naprzeciwko. Adwokat podniósł wzrok.

- Dzień dobry.

Nalał Tysonowi filiżankę kawy z cynowego dzbanka stojącego na stole.

- Dzięki. - Ben wypił kawę rezygnując z mleka.

Zauważył, że golfowy strój Sloana utrzymany jest w trzech podstawowych kolorach z dodatkiem pomarańczowego. Spojrzał na trawnik. Poprzebierani kolorowo mężczyźni rozgrywali powtarzalny rytuał z kijem i piłką. Sto lat wcześniej, kiedy te tereny nie były jeszcze całkiem osuszone, mieścił się tu klub strzelecki, którego członkowie zmasakrowali tysiące ptaków. A ich koledzy z klubu myśliwskiego tratowali te łąki kopytami koni, za którymi przy dźwiękach rogów ciągnęły psie hordy. Golf był łagodniejszy, ale takie też były i nasze czasy.

Golf nie należał do ulubionych sportów Tysona, podobnie zresztą jak strzelanie i polowanie na lisy. Ale czuł czasami, że te pola elizejskie zostały uświęcone przez wiek hedonizmu i mimo społecznych zmian w kierunku ucywilizowania świata oraz zbudowania amerykańskiej demokracji powinno się znaleźć parę akrów dla

dżentelmenów, żeby mogli się zmierzyć sami ze sobą.

Sloan podniósł wzrok znad gazety, najwyraźniej dopiero w tym momencie zdając sobie sprawę, że jego towarzysz ubrany jest w garnitur.

- Myślałem, że masz zamiar rozegrać ze mną partię.

- Nie, muszę złapać pociąg o ósmej czterdzieści dwie. Mamy więc czas do ósmej trzydzieści.

Prawnik przez chwilę wyglądał na zawiedzionego, potem przyjrzał się Tysonowi uważnie i zapytał:

- Jaki masz tam status?

Ben dolał sobie kawy.

- Gdzie? W pociągu odchodzącym o ósmej czterdzieści dwie?

- W twojej pracy.

Tyson popijał kawę. Pomyślał, że kobiety zazwyczaj robiły aluzje do małżeństwa. Z kolei mężczyźni z reguły pytali o pracę. Prawie nikogo nie obchodziła jego kondycja psychiczna. Odparł:

- Trudno powiedzieć, Phil. Z jednej strony masz japońską zasadę traktowania firmy jak rodziny, z drugiej ich bzika na punkcie efektywności. Ostatnimi czasy nie jestem zbyt efektywny. Dodaj do tego ich obsesję na temat wyglądu, twarzy i tego typu rzeczy. Zawstydzam ich. - Uśmiechnął się i dodał: - Jako były samuraj, który popadł w niełaskę, powinienem znaleźć honorowe wyjście. Ale amerykańska kadra kierownicza nie pokochała jeszcze harakiri.

Sloan najwyraźniej czuł się niezręcznie słuchając tego komentarza. W głosie Tysona słychać było gorycz.

- Wiesz, gdyby właścicielem firmy był nadal stary Stutzman, zaproponowałby mi prawników firmy, żeby walczyli w mojej obronie.

Adwokat machnął na to niecierpliwie ręką.

Do stołu podszedł kelner. Ben zamówił jajka i sok pomarańczowy. Sloan poprosił o słodkie bułeczki i następny dzbanek kawy. Tyson zaskoczony uświadomił sobie, że czuje irracjonalną niechęć do człowieka tylko dlatego, iż ten je na śniadanie słodkie pieczywo.

Prawnik sięgnął po teczkę i wyciągnął z niej złożoną stronę gazety, a następnie podał ją - pod stołem - Benowi.

Ten rozwinął papier i zobaczył pierwszą stronę „American Investigator”. Nie ów egzemplarz ze zdjęciem Marcy, ale najświeższe wydanie. Jeden z wielu nagłówków krzyczał: PANIE PREZYDENCIE, CZY SPRAWIEDLIWOŚCI STANIE SIĘ ZADOŚĆ? To pytanie, zauważył Tyson, było chytrym sposobem sugerowania czytelnikom „American Investigator”, że szef państwa otrzymuje tego szmatławca wprost do Białego Domu. Przeczytał kolejny nagłówek; PRZYJACIELE I KOCHANKOWIE MARCY OPOWIEDZĄ WSZYSTKO. Złożył gazetę nie czytając reszty i zwrócił ją Sloanowi,

- I co?

- Cóż, te historie o Marcy przekraczają granice przyzwoitości i etyki dziennikarskiej. Nawet jak na miarę tego gówna. Ten facet, Jones, który się podpisał pod artykułem, przeprowadził wywiady z niektórymi z uczelnianych przyjaciół Marcy i... ludźmi, którzy twierdzą, że przebywali z nią w intymnych stosunkach.

Ben wlał do kawy śmietankę.

- Artykuł jest zwykłym zniesławieniem. Pełen podniecających szczegółików, sarkazmu, insynuacji i sugestii, że Marcy zamieszana była w radykalną działalność, być może nawet zbrodniczą. Dobrze wiemy, że Marcy była radykalna, ale nigdy - zgodnie z moją wiedzą - nie stosowała przemocy. Nie omieszkało też napomknąć o narkotykach. - Adwokat zawahał się, ale dodał: - Jak również o niewierności małżeńskiej.

Tyson nie odpowiedział.

- Śmieci - ciągnął dalej Sloan. - Zwykle śmieci. 1 oszczerstwa. Posłuchaj, to poszło już za daleko. Myślę, że ona powinna wnieść oskarżenie. Rozmawiam z tobą jak mężczyzna z mężczyzną. Nie musisz się mieszać do tej sprawy, ale pomyślałem, że najpierw porozmawiam z tobą. Obaj wiemy, że Marcy jest kobietą niezależną i nie potrzebuje zgody swego męża, by pozwać kogoś do sądu. Ale postanowiłem najpierw ciebie poinformować, co się dzieje, ze względu na nasze stosunki i zwykłą przyzwoitość,

- Nie daj Boże, żeby ona to usłyszała.

Prawnik zmusił się do uśmiechu.

- Cóż, myślę, że nie musimy jej o tym mówić, Ale Marcy jest moim klientem i zamierzam z nią porozmawiać,

- To twój przywilej.

Przyniesiono śniadanie, Ben posmarował masłem grzanekę, Sloan wgrzył się w bułeczkę z rodzynkami. Tyson zapytał:

- Smaczna?

Adwokat przytaknął przeżuwiąjąc kęs ciasta.

- Chcesz jedną?

- Nie, dziękuję. - Ben nabrał na widelec kawałek jajka.

Sloan sięgnął do miski po opakowanie z cukrem, rozerwał je i wsypał zawartość do kawy. Tyson zauważył:

- Nie używają już kostek cukru. Wszędzie są te idiotyczne torebki. Muszę porozmawiać z kierownikiem.

- Chodzi o względy higieniczne...

- Ale z torebek nie da się nic zbudować. Chcę ci pokazać przebieg bitwy pod Hue. Ale może wystarczy mi długopis i kawałek kartki. - Wyjął długopis z wewnętrznej kieszonki marynarki. - Daj mi jedną z tych żółtych kartek, które zawsze nosisz ze sobą.

Adwokat spojrział na niego lekko zaskoczony, ale wyciągnął z teczki blok papieru.

Tyson jednocześnie jadł i rysował.

Sloan rozejrzał się po tarasie i zauważył, że kilka osób odwróciło się od nich. Przez chwilę jedli w milczeniu. Ben rysował. Wreszcie prawnik odezwał się:

- Porozmawiajmy chwilę o twojej sprawie. Doznałeś już w całej rozciągłości krzywd, jakie cię mogły spotkać. Cierpisz z tego powodu i ma to wpływ na każdą dziedzinę twojego życia; prywatną i zawodową. Powoduje poważne dolegliwości psychiczne...

Tyson podniósł wzrok znad rysunku.

- Jesteś tego pewien? Ja czuję się zupełnie nieźle.

- Posłuchaj, Ben, jeśli jeszcze dłużej będziemy się wstrzymywać z wniesieniem oskarżenia, to my staniemy się winni zaniedbania - nie możemy w nieskończoność siedzieć na dupie. Prawo stanowi, że nie można bez powodu opóźniać wniesienia sprawy o zniesławienie. Zgodnie z przepisami osoba, która gra na zwłokę, zmierza do zwiększenia krzywd...

- To ty namawiałeś mnie, żebym pozwolił zbrukać swoje imię, a potem zgarnął więcej szmalu, Phil.

Sloan odchrząknął.

- Niezupełnie tak to ująłem. W każdym razie, jeśli chcemy uniknąć zarzutu o zwłocę, musimy zacząć sprawę już teraz, dzisiaj...

- Główny problem stanowiło położenie miasta - Tyson przesunął żółtą kartkę. - Zobacz, tu, na terenie Cytadeli, stare miasto przecinały długie, proste, wąskie uliczki. Nie było miejsca na manewry z ciężkim sprzętem. Armia Wietnamu Południowego próbowała, ale armia północno wietnamska z łatwością trafiała w jej czołgi rakietami. Również na terenie Cytadeli masz mury Zakazanego Miasta. Widzisz? Umieszczono w nich wieże strażnicze, przygotowane wcześniej przez Vietcong i północnych Wietnamczyków. Żeby sytuację jeszcze bardziej skomplikować, rzeka Perfume przecina miasto na pół. O, tutaj. Dalej, na południe od miasta, był nasz teren, w miejscu, gdzie znajdują się groby cesarskie, które zgodnie z tradycją kontrolowane były przez Vietcong - turyści musieli płacić im podatki. Zwariowana wojna. W każdym razie... widzisz... to bardzo skomplikowane położenie... zbyt skomplikowane. Dowódcy amerykańscy popełnili błąd, decydując się walczyć zgodnie z zasadami narzuconymi przez wroga. Gdyby nie przyjęli takiej strategii, nie byłoby tyle śmierci i zniszczenia. Hue stało się czymś w rodzaju Verdun, wszyscy wreszcie spotkali się w centrum miasta, szlachtując się wzajemnie. Zła taktyka. Amerykanie i Wietnamczycy z Południa powinni byli wyjść na zewnątrz i utworzyć tam kordon. Co myślisz o tym?

- Wiesz - powiedział Sloan, starając się zapanować nad irytacją - ponieważ jesteśmy przyjaciółmi, pozwalam ci na robienie ze mnie wariata. Rozumiem, że jest ci bardzo trudno. Ale już czas przerwać te nonsensy i zacząć działać.

Tyson przyjrzał się uważnie swojej mapie i dodał jakiś szczegół. Adwokat pochylił się nad stołem.

- Zapytałem cię, czy wnosimy oskarżenie? A może Andrew Picard ustami swoich świadków mówi prawdę? Czy ty, Benjaminie Tyson, brałeś jakikolwiek udział w wymordowaniu tych mężczyzn, kobiet, dzieci, zakonnic, lekarzy i tak dalej, w Szpitalu Miłosierdzia?

Tyson odsunął plan bitwy na bok, przeżuł starannie kawałek grzanki i odpowiedział:

- Chyba powinienes to wiedzieć. Tak, jestem, jak to sugeruje Picard w swojej książce, winny morderstwa.

Musiał oddać Sloanowi, że ten nie okazał zdziwienia ani w ogóle żadnej innej emocji. Po prostu kiwnął głową. Ben mówił dalej:

- Na tym więc możemy skończyć rozmowy o powództwie cywilnym. Przykro mi, że cię zawiodłem i że tak długo cię zwodziłem. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Prawnik odpowiedział dość chłodno:

- Wcale mnie nie zawiodłeś. No, może trochę, bo nie zawierzyłeś mi wcześniej i nie uważasz siebie za niewinnego...

- Nie jestem niewinny.

Sloan przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- O tym zadecyduje sąd. Nie ty. Posłuchaj, jeśli wniosą przeciwko tobie oskarżenie, które będą musieli potem wycofać, lub jeśli staniesz przed sądem i zostaniesz potem uniewinniony, wtedy najprawdopodobniej wygrasz również sprawę cywilną o zniesławienie. Nadażasz?

Tyson skinął głową. Ten człowiek był uparty i najwyraźniej wszystko sobie dokładnie przemyślał. Adwokat kontynuował:

- Ale musisz mi pozwolić wnieść pozew już teraz. Możemy odraczać rozprawę i opóźniać rozpoznanie sporu, dopóki grozi nam sprawa karna. To umocni twoją pozycję, gdyż rząd sam postawi się w sytuacji przewlekającego spór. Jestem w stanie prowadzić postępowanie w sprawie cywilnej przez całe lata i nie dopuścić do wydania wyroku. Oni nie mogą tak postąpić w sprawie karnej, nie naruszając twoich praw.

Ben pomyślał, że prawnicze sztuczki są jeszcze bardziej makiaweliczne niż te, które stosują politycy. Wojskowa strategia oparta jest na prostocie i zdrowym rozsądku. Odparł:

- Trochę mi się od tego kręci w głowie. Poza tym, tak jak już powiedziałem, niezależnie od pewnych nieścisłości Picard w zasadzie relacjonuje prawdę...

- A kogo obchodzi prawda? - Sloan pochylił się nad stołem i wyszeptał: - Posłuchaj mnie. Nie obchodzi mnie za grosz, czy jesteś winny, czy nie, i tylko tracisz mój cenny czas, zwracając mi głowę tym nieistotnym faktem. Obchodzi mnie to, co się dzieje teraz. Zostałeś zbrukany przez prasę, opuszczony przez pracodawców, obrażony przez sąsiadów i wyszydzony w radiu i telewizji przez tego zdrańca Picarda. Odpłać im.

Tyson wpatrywał się w zielen trawy. Fred Riordon, emerytowany, choć posiadający wciąż jeszcze niewielką praktykę, pediatra, rozpoczął właśnie grę. Gdy ich zobaczył, odwrócił się do nich plecami.

- Picard nie jest zdrańcem. Czytałem jego książkę i widziałem go w telewizji. Chciałbym, żeby nim był, ale nie jest. Jest arogantem, ale nie głupcem. To po pierwsze. Po drugie, odpłacanie stawianiem kogoś przed sądem, chociaż jest uznane za metodę cywilizowaną, wydaje się kiepskim substytutem walnięcia przeciwnika w jaja lub poderżnięcia mu gardła. Jeżeli kiedykolwiek podam kogoś do sądu, to nie dla rewanżu. Po trzecie, twoja teza o systemie jurysdykcji karnej została dobrze postawiona, ale nie jestem wcale pewien, czy trybunał wojskowy uzna mnie za niewinnego.

- Zasada o udowodnieniu winy nadal obowiązuje.

Tyson wzruszył ramionami.

- Idź i zobacz, jak odbywa się sąd wojenny. Potem możemy porozmawiać.

Adwokat zabębnił palcami o blat stołu.

- Nadszedł czas, żeby wydać jakieś publiczne oświadczenie. Coś.. coś w tym stylu, jak mówiłeś wcześniej... o samej bitwie. Że panował wtedy chaos... ale to za mało... o błędach popełnionych przez wojskowych... o ich głupocie prowadzącej do niepotrzebnych ofiar...

- A to, u licha, czemu miałyby służyć?

- O, zdziwiłbyś się. Zarzuty to nie to samo co oskarżenie.

Ben zapatrzył się w cień przelatującego samolotu. Po chwili skierował znowu uwagę na Sloana.

- Nie, ale są zarzuty i zarzuty. Choć nie jestem prawnikiem, Phil, wiem co nieco o ludzkiej naturze. Z jednej strony masz poważną sprawę, o której dobrze poinformowano tak zwaną szeroką publiczność. Jest pewne jak dwa razy dwa cztery, a ty umiesz przecież liczyć, że prawnicy z Ministerstwa Sprawiedliwości oraz ci z Izby Wojskowej już widzą się w glorii i chwale. - Tyson zapalił papierosa i dodał: - Spektakl wystawiony jest na widok publiczny, a znajdziesz w nim wszystkie chwytliwe elementy: morderstwo, spisek, Wietnam i plugawe rewelacje - ogromny cyrk pełen akrobatów, sztukmistrzów i pajaców. Masz rację, to, czy jestem winien czy nie, ma z tym niewiele wspólnego.

- Jesteś cyniczny.

Tyson roześmiał się.

- I to mówi prawnik?

- Daj spokój, Ben. Staram ci się pomóc. A ta uwaga na temat liczenia wcale mi się nie podobała.

- Wiem, że nie robisz tego tylko dla pieniędzy, Phillipie. Popularność też jest ważna, co? Pech jednego przynosi sławę i pieniądze drugiemu. Ale to jest w porządku. Nie pękaj.

- Stajesz się paranoikiem.

- Paranoja już raz utrzymała mnie przy życiu.

Sloan dolał sobie i Tysonowi jeszcze trochę kawy. Powiedział:

- Z pewnością wnosisz nowe perspektywy do systemu prawnego.

Ben zdawał się go nie słyszeć.

- Myślę - stwierdził - że to, jak zostanę osądzony, nieważne czy przez sąd, czy przez współobywateli, zależy od tego, jak ocenione zostaną moje ofiary.

Adwokat przyglądał mu się uważnie, ale milczał. Tyson sam sobie przytaknął i ciągnął dalej:

- Niektórzy, Phil, byli biali tak jak my. Żołnierze z My Lai¹, ci to mieli łatwo. Musieli się tylko wytłumaczyć z dwóch czy trzech setek żółtków z ukośnymi oczami. Mnie przyszło wypowiadać się z kilkunastu białych. W czasie wojny tak jak w życiu liczy się jakość, nie ilość.

Phillip Sloan zdawał się nie zauważać sarkazmu w jego głosie, kiwał głową, jakby zgadzając się z tą obserwacją. Cicho, jakby do siebie, powiedział:

- Katolicy, ci ludzie Wschodu byli katolikami...

- Właśnie. Na pewno wszystkie zakonnice wietnamskie były katoliczkami. Okolice Hue w ogóle były zdominowane przez katolików. Może niektórzy Europejczycy należeli do kościoła protestanckiego. Podwójny kłopot. - Ben zapalił kolejnego papierosa. - Ale nie było księży.

- Dzięki Bogu za to.

- Trzeba jednak pamiętać o niemowlętach. Kobiety w ciąży, dzieci, ludzie chorzy, ranni...

- Jezu.

- Takich właśnie znajdziesz w każdym szpitalu, Phil. W czasie wojny trudno wybierać.

Prawnik rzucił na niego szybkie spojrzenie.

- Zwariowałeś?

- To też jest interesujące pytanie. Można na nie odpowiedzieć na kilka różnych sposobów. - Tyson mrugnął okiem i podniósł się. Wręczył Sloanowi żółtą kartkę. - Rozumiesz teraz, jaki błąd zrobiła piechota morska?

Adwokat przez chwilę zawahał się, potem spojrzał na papier.

- Och...

- To zupełnie jasne, prawda? Spójrz, zamiast pchać się przez rzekę na północ, w kierunku Cytadeli, powinni pójść łukiem na zachód. I wtedy dopiero przejść na północny brzeg, żeby zablokować zachodnią bramę w Cytadeli. - Ben wskazał palcem miejsce na żółtym, poliniowanym papierze. - Oto klucz. Komuniści dostarczali sprzęt, jedzenie i posiłki przez zachodnią bramę. I nie było tam nikogo, kto by ich zatrzymał. Moja kompania kierowała się w stronę zachodniej bramy, ale straciliśmy zbyt wielu ludzi.

Picard wychwalała działania, które były błędami żołnierzy piechoty morskiej. To bardzo interesujące. Widzisz, po tych wszystkich latach on nadal czuje się jednym z nich. *Semper Fidelis*. Nie powie na nich złego słowa. Chociaż podobno dochodzi prawdy.

- Za to ciebie i twoje jednostki oskarża bez wahania. O to mi właśnie przedtem chodziło - błędne decyzje dowództwa na poziomie wyższym niż twój. Jeżeli zostaniesz postawiony przed sądem wojskowym, możesz pociągnąć za sobą każdą grubą rybę, która tego dnia znajdowała się nawet o piętnaście kilometrów od Hue. Musisz postawić sprawę jasno. Byłeś tylko małym trybikiem w źle funkcjonującym urządzeniu. Nie daj z siebie zrobić kozła ofiarnego. Pociągnij żałoba innych. Ty bądź tylko na czele.

Tyson wpatrywał się w Sloana, potem pochylił się tak, że ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

- Czy ty tego nie widzisz, przyjacielu? To byłoby nieuczciwe. Każdy głupiec, wliczając w to takiego porucznika jak ja, może być geniuszem strategii przy śniadaniowym stole dwadzieścia lat po bitwie i znając dokładny jej przebieg. Ale tylko prawdziwy geniusz potrafi zrozumieć istotę sytuacji w czasie, kiedy bitwa się toczy. Potrafi myśleć, leżąc na brzuchu z pięcioma radiotelefonami wydzierającymi mu się do ucha, pośród umierających i krzyczących z bólu ludzi, w zaszczanych gaciach i w takt walenia mózdzierzy, coraz bliżej i bliżej. - Uderzył w stół trzy razy. Bum, bum, bum.

Adwokat rozejrzał się nerwowo i zobaczył, że ludzie zerkają w ich stronę.

Tyson wyprostował się i rzucił papierosa na taras. Powiedział spokojniejszym głosem:

- Nie sądz, a nie będziesz sądzony. Dowódcy pod Hue zabili więcej własnych żołnierzy głupotą niż wróg swą znakomitą taktyką. Ale ja wybaczę tym oficerom, jeśli poproszą mnie o wybaczenie. Ponieważ ja wiem, chłopie, że w sercu walki nie można nikogo sądzić. Kiedy bitwa się kończy i zaczynają podawać kawę tym którzy przeżyli, należy o tym pamiętać. Dziękuję za śniadanie, Phil.

Rozdział 12

Benjamin Tyson leżał nagi na kamiennej półce i przyglądał się strumieniom pary unoszącym się w górę. Mężczyzna na półce powyżej poczekał, aż para przestanie syczeć.

- Mam nadzieję - odezwał się - że rozumie pan, dlaczego spotkaliśmy się właśnie tutaj.

Tyson czuł, jak pot spływa mu po ciele. Ogarnęło go miłe uczucie odprężenia. Popatrzył na mężczyznę siedzącego z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej.

- Przypuszczam, że ma to jakiś związek z urządzeniami rejestrującymi.

- Zgadza się - stwierdził mężczyzna. - Wszyscy mają na tym punkcie bzika w dzisiejszych czasach. Ale przy tych miniprzekaźnikach, kierunkowych mikrofonach i innych tego typu paskudztwach, trudno się dziwić. Jednak to miejsce jest w porządku. Bardzo często spotykam się w łaźni. Potem sobie popływamy.

Ben usiadł i oparł się plecami o ścianę. On również miał w przeszłości okazję spotykać się w sprawach służbowych w nowojorskim klubie atletycznym, ale wtedy miejsce wybierał ze względu na atmosferę odprężenia, a nie dla uniknięcia podsłuchu.

- Do jakiego klubu pan należy? - zapytał mężczyzna.

- Książki miesiąca.

Odpowiedziało mu parsknięcie śmiechem.

- Coś mi się obilo o uszy - nie rezygnował mężczyzna - że do dwóch, obu w Garden City. Golfowy zdaje się jest tylko dla mężczyzn. Zgadza się?

- Obawiam się - powiedział Tyson - że nie jest dla mnie jasne, kogo pan reprezentuje.

- Rząd.

- Sam jeden reprezentuje pan cały rząd?

Na usta mężczyzny powoli wypełził uśmiech.

- To nie jest teraz takie ważne.

- Dla mnie tak. Proszę posłuchać, przez telefon przekonał mnie pan, że ma mi coś ważnego do przekazania. Dlatego przyszedłem.

Brown popatrzył na Tysona, ale nic nie powiedział.

Ben odwzajemnił się spojrzeniem poprzez ścianę białej pary. Brown był od niego młodszy, a Tyson, jak każdy mężczyzna, który odkrył, że osiągnął wiek średni, nie czuł sympatii do ludzi młodych, a w dodatku posiadających władzę. Mężczyzna był dobrze zbudowany i mocno opalony, poza skąpym kawałkiem ciała w miejscu kąpielówek i paska od zegarka na lewym nadgarstku. Miał kruczoczarne, kręcone włosy i wymanikiurowane paznokcie. W ogóle wyglądał jak ktoś, kto o sobie dba. Ben zauważył też obrączkę i medalik. Nie sądził, by Brown był zawodowym wojskowym, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto ma za sobą służbę. Jego akcent zdradzał, że kończył prywatne szkoły i college Ivy League.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Brown? - odezwał się wreszcie Tyson.

- Mów do mnie Chet, dobrze?

- W porządku, Chet. A co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Chciałbym móc zwracać się do ciebie Ben.

- Jasne.

- To dobrze - powiedział Chet Brown masując swoje spocone łydki. - Chciałbym porozmawiać z tobą o pewnych... sprawach. Ta rozmowa jest nieoficjalna, ale

autoryzowana. Możemy podjąć tu pewne wiążące decyzje.

- Wygląda na to, że rząd ma kłopoty - powiedział Tyson.

- Nic podobnego. To ty masz kłopoty.

- Po co więc negocjować? - zapytał Ben po dobrej chwili. - Wiesz, Chet, co powiedział Ben Franklin? „Ani forteca, ani dziewica nie utrzymają się długo, gdy zaczynają się negocjacje”.

Brown roześmiał się.

- To mi się podoba. Ty też zaczynasz mi się podobać, Ben. Nie wyglądasz na masowego mordercę.

Tyson rozważył i odrzucił kilka odpowiedzi, z których co najmniej jedna przerzuciłaby pałeczkę na stronę Cheta.

- Widzisz - ciągnął dalej Brown - sprawiedliwość musi być zrównoważona współczuciem. A dochodząc do sedna, są sprawy popularne i niepopularne. Istnieje teoria i praktyka.

Ben prawie nie słuchał ociekających serdecznością słów. Wytarł pot z czoła i spojrzał w stronę przeszklonych drzwi. Jego uwagę przykuł niewyraźny napis, przypuszczalnie coś w rodzaju: „Nie wchodzić”.

Ziewnął i przeciągnął się. Pomyślał, że nie czuje się wcale niezręcznie siedząc nago w towarzystwie zupełnie obcego mężczyzny. Nie czuł też, by z punktu widzenia psychologicznego, tamten miał nad nim przewagę. Był zrelaksowany i senny, podejrzewał zresztą, że tak właśnie miał się czuć. Wiedział również, że dyskutuje o swoim losie z wrogiem.

Skupił się znowu nad przemową Browna.

- Widzisz - mówił Chet - nie możemy zignorować tej sprawy, ponieważ stała się zbyt głośna, zarówno w kraju, jak i za granicą. Chcielibyśmy udawać, że nie istnieje, ale tak się nie da.

- Może bardziej się postarajcie.

- Ben, ta sprawa naprawdę ludzi porusza. Wiedzieliśmy, że tak się może stać. Całe to stare gówno znowu wypływa na wierzch.

Tyson zamknął oczy.

- Opinia publiczna jest podzielona - ciągnął dalej Brown. - Dyskusja toczy się zgodnie

ze starym schematem. Niektórzy dziennikarze usiłują pokazać, że książka Picarda w zasadzie poświęcona jest niesłychanemu okrucieństwu wojny w ogóle. Ale, jak zwykle w takim przypadku, media są zainteresowane jedynie domniemanymi zbrodniami Amerykanów.

Benowi podobał się ten argument.

- Ale - prowadził dalej swoją myśl Chet - są tacy, którzy uważają, że Ameryka powinna zachować się lepiej niż jej wrogowie. Podwójny standard. Zgadza się? A poza tym wywlekanie nieludzkich czynów wroga nigdzie nas nie zaprowadzi. Natomiast sprawcy masakry w Hópital Misericorde - Brown wymówił nazwę z dobrym francuskim akcentem - podlegają amerykańskiej jurysdykcji.

- Choć faktycznie - wtrącił Tyson - już nie podlegają.

- Właśnie - zgodził się z rozbawieniem Brown - w tym problem, prawda, Ben?

- Tak, Chet. Właśnie w tym.

Przez jakiś czas panowało milczenie.

- Zaczyna się mówić publicznie o sądzie wojskowym - odezwał się wreszcie Brown. - Mogłeś czytać coś na ten temat w gazetach. Albo słyszeć w radiu czy telewizji.

- Chyba gdzieś o tym czytałem. Nie oglądam wiele telewizji. W samochodzie słucham raczej kaset. Muzykę z lat pięćdziesiątych. Świetnie wtedy grali. Lubisz te kawałki?

- Uwielbiam. Everly Brothers mogę słuchać bez przerwy.

- A co powiesz o Shirehsach?

- Teraz już nie piszą im takich tekstów jak kiedyś. Posłuchaj, Ben, naprawdę masz wielu ludzi po swojej stronie. W tym mnie.

- Gdzie jest moja strona, Chet?

Brown nachylił się tak, że jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Bena.

- Nie rób ze mnie balona, dobrze?

Tyson wpatrywał się w niego twardo, aż Brown wrócił na swoją półkę. Napłynęła kolejna porcja pary i zniknął w białym obłoku. Siedzieli nasłuchując głośnego syku. Ben zamknął oczy. Para nagle przestała lecieć i wciągnął głęboko nosem powietrze.

- Sytuacja wygląda w ten sposób - głos Cheta zabrzmiał łagodnie - że ludzie po twojej stronie to przede wszystkim cywile z Białego Domu, a także z ministerstwa obrony i

sprawiedliwości. Natomiast wojsko domaga się, by dobrać ci się do tyłka.

- Żadnej wdzięczności.

- Właśnie. Wojskowi i prezes Izby Wojskowej są najbardziej napaleni, bo chcą odkupić swoje winy. Spieprzyli My Lai. Na tamto już nic nie da się poradzić, ale oto otrzymali drugą szansę.

Tyson nie odpowiedział.

- Jeśli chodzi o ten incydent ze szpitalem - mówił Brown - wojsko chce oczyścić własne podwórko i sędzia ma dostarczyć im szczotki. Facet nazywa się Van Arken.

Ben kiwnął głową. To nazwisko pojawiło się kilkakrotnie w relacjach dotyczących jego sprawy.

- Widzisz - mówił dalej Chet - pamięć Ameryki, jeśli chodzi o My Lai, jest długa. W wojsku kariera związana jest z kolejnymi stopniami, istnieje ciągłość. W Białym Domu tego nie ma. Tam od czasu Wietnamu przyszło i odeszło kilku kolejnych prezydentów. Ale faceci z Białego Domu nie odwołają prezesa Izby ani nie mogą zachwiać jego pozycją.

Tyson zgadzał się z tym, co usłyszał. To brzmiało rozsądnie. Wojskowi zawsze będą mieli obsesję na punkcie honoru. Podejrzał, że jakoś we wspólnej świadomości wojskowej Szpital Miłosierdzia stał się czymś transcendentnym, co utożsamiało cały Wietnam.

Brown mówił powoli i z rozmysłem:

- Władze wojskowe podjęły staranie, żeby powołać cię z powrotem w szeregi.

Ben poczuł ciężar w żołądku, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się.

- Zdajesz sobie sprawę, że możesz być osądzony tylko przez sąd wojskowy?

- Tak.

- Masz adwokata, który nazywa się Sloan.

- Zgadza się.

- Czy masz jeszcze jakichś innych prawników?

- Czy potrzebuję więcej niż jednego?

- Tylko tak pytam. Chcę być z tobą uczciwy...

- To dobrze...

- Z tym wezwaniem, jeśli chciałbyś je zaskarżyć w sądzie, wojsko miałyby spore kłopoty. Ale to pewnie wiesz.

- Nie.

- Jednak wreszcie cię dostaną. Może po dwóch latach, ale dopną swego. Czy masz odpowiednie zasoby, żeby walczyć z rządem?

- To mój sekret.

- A co z wolą walki?

- Do czego zmierzasz?

Brown spuścił nogi z półki i pochylił się do przodu.

- Chcę coś ci poradzić.

Tyson zrozumiał, że chodzi o układ.

- Wal.

- Nie walcz z wezwaniem.

Ben zsunął się ze swego miejsca i stanął.

- Świetna rada, Chet - pochylił się dotykając palców u nóg. - Teraz powiedz, co ja będę z tego miał.

- Szybką rozprawę.

- To znaczy taką, jaką zapewnia mi konstytucja? - Rozpoczął serię ćwiczeń rozciągających. - Marnujesz tylko mój czas.

- Niech Bóg chroni Amerykę, Ben. Ile jest państw, w których podejrzany o masowe morderstwo facet może wodzić za nos przedstawiciela rządu proponującego mu ugodę.

- Przynajmniej jedno. A żyjemy właśnie tutaj.

- Zgoda. Ale gdybyśmy byli gdzie indziej, ten biały pokój służyłby zupełnie innym celom. Na przykład wytrząsałbym z ciebie ostatni kawałek gówna.

- Spróbuj, synu - Tyson wyprostował się.

Chet przez chwilę jakby zastanawiał się nad propozycją, potem potrząsnął głową.

- Najpierw musimy zakończyć naszą sprawę. Potem możemy spróbować kilka rundek. Obu nam to dobrze zrobi.

Ben opadł do pozycji kucznej.

Brown zsunął się ze swojego miejsca i zbliżył do niego.

- Jestem gotów złożyć ci propozycję w zamian za obietnicę współdziałania.

Tyson skoczył na równe nogi. Stał przed Chetem na odległość wyciągniętego ramienia.

- Czy to legalne?

Brown wzruszył ramionami.

- Nie jestem prawnikiem. Ty też nie. Obiecałeś mi przez telefon, że przyjdiesz tu bez adwokata.

Ben podszedł do drzwi.

- Weźmy prysznic.

Przeszli krótkim korytarzem do natrysków. Tyson poczuł, że pod zimnym strumieniem pulsującej wody rozjaśnia mu się w głowie. Brown stał kilka kroków dalej.

- Wiesz, Ben - mówił dalej - Van Arken uważa, że ma wystarczające podstawy, by cię wezwać do wojska. Ale jeśli wniesiesz sprzeciw, to być może sam prezydent będzie musiał podpisać dla ciebie nakaz. A on raczej nie chciałby się znaleźć w takiej sytuacji.

- Powiedz mu, że oprotestuję także jego nakaz.

- On nie myśli tylko o sobie. Uważa, że jeśli osobiście zostanie zaplątany w tę sprawę, to będzie działało to na twoją niekorzyść.

Tyson zakręcił wodę i ruszył w stronę szatni. Łaziebny podał mu ręcznik. Brown szedł tuż za Benem.

- Zarezerwowałem dla nas masaż. Ja stawiam. - Zaprowadził Tysona do małego pokoju.

Stały tam obok siebie dwa stoły. Ben podciągnął się na pierwszy z brzegu i położył na brzuchu. Chet usiadł na sąsiednim.

- Będą tu za chwilę.

Tyson zamknął oczy i ziewnął. Mimo że temat ich rozmowy nie był dla niego przyjemny, czuł się zrelaksowany. Ogarnęło go senne znużenie. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak może wyglądać życie w więzieniu i, prawdę mówiąc, gotów był wysłuchać wszystkiego, co uchroniłoby go od znalezienia się w nim. Przyjrzał się Brownowi.

- Jeśli naprawdę chcesz być ze mną uczciwy, powiedz mi, na jakiej podstawie chcą mnie powtórnie wcielić do wojska. Wtedy ja ci powiem, jak mam zamiar się bronić.

- Oficer zawsze pozostaje oficerem.

- Nie czuję się oficerem. Musicie wymyślić coś lepszego.

- „Wszyscy obecni tu będziecie mogli zaświadczyć...” brzmi znajomo? To słowa w rozkazie przyznającym ci stopień oficerski. W moim tak przynajmniej brzmiały. - Mówił dalej: - „Pokładając szczególne zaufanie w patriotyzmie, zdolnościach, wierności i umiejętnościach Benjamina Jamesa Tysona, mianuję go oficerem Stanów Zjednoczonych”.

Tyson wpatrywał się w Cheta, a ten deklamował dalej:

- „Stojący tu oficer od tej chwili będzie starannie i przykładowo wypełniał swoje obowiązki...” - Brown uśmiechnął się. - Język dość archaiczny. Ale w sądzie zabrzmiał odpowiednio. Zupełnie jakby ktoś czytał dokumenty z kancelarii George’a Washingtona. Gdzie zresztą zostały napisane. Zaraz dojdziemy do fragmentu, który szczególnie nas zainteresuje. „Ta nominacja może być w każdym momencie przywrócona przez prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

- Niezłe przedstawienie, Chet - zachnął się Ben.

- Twoją nominację oficerską podpisał Lyndon Johnson, ale każdy prezydent może cię powołać znowu, jeśli to będzie służyć jego celom. A ty kiedyś zaakceptowałeś ten warunek. Podniosłeś rękę i złożyłeś przysięgę.

Tyson nic nie odpowiedział.

Tyson uczeplił się palcami nóg o brzeg basenu, odepchnął się i zanurkował. Machnął parę razy rękami i wypłynął na środku, rozpryskując wodę.

Chet unosił się na plecach w pobliżu. W basenie było jeszcze dwóch mężczyzn, obaj w podeszłym wieku, trzymali się odległej krawędzi. Obojętny ratownik siedział na leżaku czytając gazetę.

- To miło, że pozostało jeszcze kilka miejsc, w których człowiek może pływać *au naturel*. Jak długo jeszcze utrzymają się te prywatne kluby? Pewnego dnia napiszę książkę pod tytułem „Feminizacja Ameryki”. - Brown ziewnął leniwie. - Zdaje się, że twoja żona

jest aktywną feministką.

Ben nie odpowiedział.

Brown przewrócił się na brzuch ochlapując go.

- Jeszcze ostatni punkt w sprawie powołania cię do wojska... - Jego wzrok powędrował w stronę Tysona. - Czy wiesz, że nadal znajdujesz się na liście oficerów rezerwy?

- Nie wiedziałem - skłamał Ben.

- No cóż, fakt pozostaje faktem. Otrzymałeś kiedyś list z zapytaniem, czy chcesz pozostać na tej liście, czy zostać z niej skreślony. Nie zakreśliłeś żadnej opcji, natomiast napisałeś obrzydliwy komentarz na skrawku papieru i odesłałeś go do dowództwa armii. Tego się po tobie nie spodziewano, Ben. Miałeś tylko postawić krzyżyk. Bardzo wiele w dzisiejszych czasach zależy od tego, gdzie postawisz krzyżyk.

Tyson dopłynął do brzegu basenu i oparł głowę o jego krawędź. Zamknął oczy, wyciągnął nogi i dał się unosić wodzie. Pamiętał ten standardowy list, który przysłało mu wojsko. Przyszedł w połowie kwietnia 1975 roku. Kambodżą rządzą Czerwoni Kmerzy, Laosem Pathet Lao, a armia Wietnamu Północnego i Vietcongu miała właśnie wkroczyć do Sajgonu. Ben, jak wielu innych znanych mu ludzi, służących wcześniej w Wietnamie, był rozgoryczony i zły. Myślał, że udało mu się już wyrzucić tę wojnę ze swego życia, ale nazwy wymieniane w wiadomościach budziły stare wspomnienia. Miasto za miastem, obóz za obozem wpadały w ręce wroga. Quang Tri, Hue, Da Nang, Pleiku, a pewnej nocy jego obóz, główna kwatera Pierwszej Kawaleryjskiej, An Khe. Każde miejsce, o którym słyszał lub czytał, ożywiało obrazy krwi, śmierci, poświęcenia i odwagi.

- Ten list przyszedł w niedobrej chwili - powiedział.

Chet stał koło niego w płytkiej wodzie.

- Najwyraźniej. Nabazgrałeś w poprzek kartki: „Pięćdziesiąt tysięcy martwych Amerykanów, sto pięćdziesiąt tysięcy rannych. Po co?” Tę impertynencką uwagę przeczytał każdy oficer z Izby Wojskowej. Chyba nawet toczyła się dyskusja, czy nie zostawić tego dla potomności w archiwach armii.

Tyson otworzył oczy.

- Czuję się dotknięty faktem, że ludzie mówią o mnie i analizują mnie, jakbym był przedstawicielem jakiegoś nieznanego gatunku. Nie podoba mi się, że ktoś zagląda do moich danych w archiwum armii, chociaż wiem, że ty masz do tego prawo. Ktoś mnie wrabia.

- Oczywiście, że tak. Rozumiem cię. Ale proszę, pamiętaj, że choć w tym momencie nie

rozmawiamy o masowym morderstwie, w sumie o to przecież chodzi.

Ben spojrzął na wielki zegar wiszący nad basenem.

- Nie będę cię już długo trzymał - powiedział Brown. - Na pewno masz w biurze moc pilnej roboty. Chciałem cię po prostu poinformować o tym wezwaniu. Jeżeli postawisz się, armia cię zaatakuje. I wreszcie, wiesz dobrze, wygra. Zyskasz trochę czasu, ale słono za to zapłacisz.

- To lepsze, niż iść pokornie na rzeź.

- Nie mówimy o rzeźni, tylko o sądzie. I powiem ci coś jeszcze, Ben. Nawet jeśli dojdiesz kolejnymi apelacjami do Sądu Najwyższego, a on rozstrzygnie spór na twoją korzyść, wtedy właśnie przegrasz. Nigdy już nie będziesz miał okazji poddać pod rozstrzygnięcie sądu twoich domniemych win. Twoja walka o uchylenie się przed rozprawą będzie rozumiana jako przyznanie się. Jeśli, z drugiej strony, sam zgłosisz się do czynnej służby, uzyskasz istotną przewagę psychologiczną i po twojej stronie znajdzie się znakomita większość opinii publicznej. Także armii spodobałby się z pewnością taki spontaniczny czyn.

- Co mi proponujesz w zamian za zgodę na współdziałanie? - zapytał Tyson.

Chet oparł się o ściankę basenu, rozkładając na krawędzi ramiona.

- No cóż, mogę ci zaproponować wszystko w ramach legalności procesu. Nie mogę pokrzyżować planów armii, jeśli chodzi o śledztwo czy też sam proces, i nie mogę manipulować sądem wojskowym. Ale potrafię zagwarantować ci parę rzeczy w zamian za kilka obietnic z twojej strony.

Ben wdrapał się na betonowe schody basenu, usiadł na krawędzi i spuścił nogi do wody.

- Posłuchajmy coś na temat tych gwarancji.

Brown przysunął się bliżej.

- Po pierwsze, jeżeli sam z własnej woli poddasz się jurysdykcji wojskowej, zostaniesz przydzielony do jednostki znajdującej się nie dalej niż czterdzieści kilometrów od miasta.

- Brzmi to jak ulotka reklamowa. Coś na temat nowego munduru?

- Jasne. Także - a to jest ważne - pod żadnym względem twoje swobody nie będą ograniczone. Będziesz tak samo wolnym człowiekiem jak teraz, poza ograniczeniami wynikającymi z obowiązków służbowych. Jak na razie nieźle?

- Nie, ale mów dalej.

- Posłuchaj, Ben - w głosie Cheta zabrzmiało zniecierpliwienie - kiedy dostaną cię po sądowej walce o wcielenie do wojska, nie będzie to tak ładnie wyglądało. Wyślą cię do pieprzonego fortu na pustyni w Arizonie i nie będziesz mógł nawet opuszczać kwater.

- Nie strasz mnie, młokosie.

Brown stał w płytkiej wodzie na betonowym stopniu i zaciskał prawą pięść tak, że aż trzeszczały mu stawy.

- Nie chcesz pozostawać w tymczasowym areszcie, prawda? -zapytał. - Twojej rodzinie też by się to nie podobało. Ani twojej żonie. Ona prawdopodobnie musiałaby zostać w Nowym Jorku ze względu na pracę. Czułaby się bardzo samotna, chłopie... a może nie aż tak bardzo.

Tyson wymierzył mu kopniaka. Brown rozdziawił oczy i usta ze zdziwienia, potknął się i spadł do wody.

Dwóch starszuchów po drugiej stronie basenu nic nie zauważyło, a ratownik nadal czytał książkę. Za to młody mężczyzna, który siedział w pobliżu na leżaku, zerwał się nagle, jego oczy spotkały się ze wzrokiem Bena.

Brown wynurzył się i złapał oddech, gwałtownie potrząsnął głową i zamachał uspokajająco ręką w kierunku młodego mężczyzny. Tyson wstał i cofnął się o krok od basenu, nie spuszczając wzroku z nieznanego. Mężczyzna usiadł z powrotem na krześle.

Chet kilka razy głęboko odetchnął, patrząc uporczywie na Tysona.

- Dobrze... już dobrze... należało mi się. - Oparł dłonie na krawędzi basenu. - Wychodzę. Zgoda? Rozejm.

Ben kiwnął głową.

Brown podciągnął się i wyszedł na brzeg, odwracając się tyłem do Tysona. Ruszył wolno do leżanki, na której leżał jego ręcznik, i owinął się nim wokół bioder. Usiadł i klepnął dłonią w leżankę stojącą obok.

Ben podszedł, wziął swój ręcznik i też się nim owinął.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Chet. - Siadaj.

Tyson czuł się znacznie lepiej. Wyciągnął się na leżance. Brown masował się po brzuchu.

- Chryste... widzisz, jednak jesteś gwałtownym człowiekiem. Po prostu jesteś

normalny. - Chet uśmiechnął się demonstracyjnie.

Ben rozluźnił się, ale nadal miał oko na Browna. Przemknęło mu przez myśl, że od czasu Wietnamu nie szarpały nim tak głębokie uczucia, nie czuł takiego wyzwania. Zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób staje się znowu człowiekiem, jakim był, zanim Marcy, podmiejskie życie, wiek i praca zaczęły tłumić jego agresję. Coraz bardziej kontrolował swoje życie, jakby miał dwie równoległe osobowości.

- Przepraszam - zwrócił się do Browna - ale jeśli znowu mi przypieprzysz, uderzę cię jeszcze raz.

Chet zmusił się do słabego uśmiechu.

- W porządku. Czy mogę skończyć to, co mam do powiedzenia? - Pochylił się do przodu opierając dłonie na kolanach. - Na czym to ja skończyłem? Ograniczenie swobód. Właśnie. Jeśli staniesz przed sądem wojskowym, mogę ci zagwarantować, że podczas procesu również pozostaniesz na wolności. W takim razie, jeżeli sprawy pójdą w złym kierunku, zawsze jeszcze będziesz mógł się wymknąć spod jurysdykcji armii. I to nie w przenośni. Prawdę mówiąc, jeśli chcesz, teraz też możesz wyjechać. Nikt cię nie pilnuje.

Tyson nic nie odpowiedział.

- Twój paszport nie będzie zatrzymany ani skonfiskowany, jak to się normalnie dzieje w takich przypadkach - dodał Brown. - Jeśli postanowisz wyjechać, proszę tylko o jedno, pojedź tam, gdzie nie sprawisz rządowi kłopotu z ekstradycją. Większość wybiera Brazylię, ale mógłbyś zastanowić się nad Szwecją - przysunął się bliżej do Bena. - Posłuchaj, wszystko, co proponuję, jest wykonalne...

- Szwecja! Czy chcesz mi powiedzieć, że po osiemnastu latach służby mojemu krajowi powinienem uciekać do Szwecji? Do Szwecji gdzie...

- Proszę, mów ciszej.

- ...gdzie kryli się dezercerzy? Oni już otrzymali ułaskawienie od prezydenta, a teraz przyszła kolej na mnie? A kiedy ułaskawienie?

- Chyba żartujesz, jeśli myślisz, że...

- A niech cię, Brown! I tego, kto cię wysłał.

- Proszę, nie tak głośno.

- Nie mam zamiaru nigdzie jechać. Jestem obywatelem amerykańskim i to jest mój kraj. Niech szlag trafi Szwecję i całą armię.

Chet rozejrzał się wokół.

- Uspokój się.

Tyson podciągnął się na leżance.

- Posłuchaj, Chet, czy jakie tam masz pieprzone imię. Przekaż swoim szefom ode mnie, że mogę być oskarżony o masową zbrodnię, ale jestem także bohaterem wojennym. I mam to na piśmie. Mam dwa pieprzone Purpurowe Serca... - Pokazał na białą bliznę biegnącą przez jego prawe ucho, a potem na grubą purpurową pręgę zakreconą wokół kolana i idącą w dół po goleni. - Mam pełno medali i pochwał. A poza tym jestem mężem i ojcem i ciężko pracującym podatnikiem. Jestem szanowanym członkiem społeczeństwa i nigdy w całym moim życiu świadomie nie złamałem prawa. Jeśli rzeczywiście coś się wydarzyło osiemnaście lat temu, coś, co trwało jakieś trzydzieści minut mojego czterdziestoletniego życia, to... to... - Ben czuł, że serce wali mu młotem, a pięści ma zaciśnięte.

Wpatrywał się płonąącym wzrokiem w siedzącego zupełnie nieruchomo Browna.

- To była pierwsza wojna w naszej historii - powiedział łagodnym głosem Chet - po której nikogo nie ogłoszono bohaterem narodowym. Nikogo. - Wstał. Przez chwilę patrzył na Tysona, potem dodał: - Musisz zrozumieć, przyjacielu, że nie ma żadnych niedobrych chłopców, którzy chcą ci zrobić krzywdę. Ani ja, ani Van Arken, ani ci faceci z Białego Domu, ani dziennikarze. Ty też nie jesteś złym chłopcem. Tylko taki jest system. I prawo.

Brown delikatnie dotknął ramienia Bena i wskazał głową szatnię.

- Nikt nie ma nic przeciwko tobie osobiście - kiedy szli, dodał jeszcze. - Każdy, z kim rozmawiałem, życzy ci bardzo dobrze, ale musisz zrozumieć, Ben, że wojsko potrzebuje tej sprawy. Czytałeś raport komisji Peersa o My Lai, prawda? Cóż, wszystko, co generał Peers powiedział, było od początku do końca niesłuszne w tamtym przypadku, ale będzie słuszne w tym. Żadnych zasłon, błędów prawniczych, wpływów, jęków kongresmenów, poniedziałkowych spotkań z dziennikarzami, ta robota nie będzie spieprzona. Po prostu sprawiedliwość, nawet jeśli trzeba ją będzie sfabrykować. Rozumiesz?

W tym momencie doszli do drzwi szatni i zatrzymali się.

- Przekaż im, Chet, że będę walczył - powiedział Tyson.

- Dobrze - Brown pomasaował się po brzuchu. - Będiesz. - Rozejrzał się wokół. - Pozwolę sobie na pewną niedyskrecję - odezwał się po chwili wahania - jest coś więcej. Widzisz, Ben, ty - jeśli zechcesz - możesz być zagrożeniem dla armii, rządu i kraju. Więc jeżeli zamierzasz walczyć, walcz uczciwie. - Po chwili dodał: - Nie wymierzaj ciosów w armię, prezydenta ani system, nie krytykuj prawa wojskowego, nie mów o niemoralności wojny. Nie rozmawiaj z reporterami, nie rozdrapuj starych ran.

- To wszystko?

- Prawie. Chcemy, żebyś się zgodził na obrońcę wyznaczonego przez Izbę Wojskową. - Spojrzał na Tysona i mówił dalej: - Nie chcemy, żebyś angażował kogoś w stylu F. Lee Bailey. Nie sposób jest kontrolować cywilnego prawnika, w gorącej wodzie kąpanego. Z cywilami nie będzie ugody. Widzisz, cywile wyciągną wszystko na wierzch, będą próbowali uzyskać rozgłos za każdą cenę. Chcemy, żeby sprawa skończyła się, zanim reporterzy z „Timesa” i „Post” naszykują długopisy. Nie chcemy ciągnącej się sagi Bena Tysona w wieczornych wiadomościach. Ty też tego nie chcesz. - Brown mówił dalej: - Chociaż nie możesz przyznać się do winy, możesz przynajmniej zapobiec wzywaniu świadków, krzyżowemu ogniowi pytań i tego typu rzeczom. Nie ma nic niezgodnego z prawem w rzeczeniu się obrońcy. Prawdę mówiąc, sąd wojskowy spojrzy na to przychylnie. Stawiam dziesięć do jednego, że potraktują cię jak dżentelmena. Adwokat nie zaoszczędzi ci ani jednego dnia więzienia, chyba że przyjmiesz tę propozycję. W porządku? Czy rozumiesz, czego się od ciebie oczekuje? Będziemy ci to jeszcze przypominać przy każdej sprzyjającej okazji. - Chet dodał łagodnie: - To nie jest zła propozycja, Ben. Gwarantuje, że nie znajdziesz się w więzieniu. Zastanowisz się nad nią?

- Jasne.

Brown uśmiechnął się, a potem popatrzył na Tysona twardo.

- Jeśli ją odrzucisz, nikt nie będzie miał do ciebie żalu, ale nie powtarzaj nikomu naszej rozmowy. Ani swojej żonie, ani swemu adwokatowi, po prostu nikomu. Jeśli to zrobisz, a my się dowiemy, wtedy sprawa stanie się osobista.

Ben skinął głową.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział Chet. Wyciągnął rękę. - Co złego...

Tyson uściskał jego dłoń.

- Ten kopniak nie był wymierzony w ciebie, Chet. Odgrywałem się na systemie.

Brown roześmiał się. Odwrócił i ruszył z powrotem w stronę basenu. Ben obejrzał jego skok, a potem wszedł do szatni. Tak, pomyślał, sprawiedliwości stanie się zadość, choćby trzeba ją było sfabrykować.

Rozdział 13

General William Van Arken stał za stołem z przyczepionym emblematem Izby Wojskowej, w kształcie skrzyżowanego miecza i ptasiego pióra. Zwracał się do czterech siedzących przed nim osób:

- Choć obecnie nie mamy jeszcze prawa prowadzić śledztwa w sprawie Tysona, możemy wybrać oficera, który skontaktuje się z nim w dniu dostarczenia mu rozkazu i poinformuje go, o co jest oskarżony i jakie mu przysługują prawa.

Van Arken przyglądał się trzem mężczyznom i jednej kobiecie siedzącym rzędem przy biurkach w małej sali wykładowej, ulokowanej w jednym ze skrzydeł budynku Pentagonu. Na wprost generała usadowił się jego adiutant, pułkownik Sam Spencer. Po prawej stronie Spencera zajął miejsce podpułkownik Eugene Pellow, specjalny doradca prawny Van Arkena. Na lewo od Spencera siedziała kapitan Lorraine Connelly wchodząca w skład personelu biura prezesa Izby. A za nią porucznik Jack Gibbs, pomocnik Van Arkena.

- Jak dobrze wszyscy wiecie, Ujednolicony Kodeks Prawa Wojskowego zaleca - odezwał się generał - żeby w podobnym przypadku oficerem śledczym był major lub ktoś wyższy rangą. Dlatego też poprosiłem panią kapitan Connelly, żeby dostarczyła nam mikrofilmy akt dwudziestu pięciu oficerów spełniających te wymagania. - Van Arken skinął głową, wskazując na przygotowany tuż za nim ekran. - Przypominam wam - mówił dalej - że nie powinniśmy zajmować się całością tej sprawy, możemy jednak odnosić się do pewnych faktów, które mają wpływ na wybór bezstronnego oficera śledczego. - Pułkownikowi Pellow - spojrzał na swego doradcę prawnego.

Pellow skinął głową.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że chociaż zgodnie ze składaną przez nas przysięgą mamy wybrać śledczego, który nie będzie miał do podejrzanego uprzedzeń, nie powinna być to równocześnie osoba, która odczuwa w stosunku do niego współczucie.

- Każdy oficer tego biura - dodał pułkownik Spencer - jest bezstronny i byłby

odpowiedni. Jednakże, akurat w tym wypadku, należy przedyskutować wybór kandydata.

- Może powinniśmy raczej zacząć od sylwetki ogólnej. Listy uwierzytelniające, wymagania, cechy charakteru i temu podobne. To nam ograniczy liczbę kandydatów - stwierdziła kapitan Lorraine Connelly.

Van Arken kiwnął głową z aprobatą.

- Dobrze, kogo więc szukamy?

- Idealny - odparł pułkownik Pellum - byłby oficer śledczy możliwie obojętny w stosunku do kwestii wietnamskiej. - Uśmiechnął się ponuro. - Wobec tego w grę wchodzi ktoś młody albo taki, który ostatnie dwadzieścia lat spędził na Księżycu.

- Może oficerem śledczym powinien być ktoś - odezwał się porucznik Gibbs - kto postanowił zakończyć swoją karierę wojskową. - Przez chwilę zawahał się, potem dodał: - Gdyż w takiej sytuacji nie miałby nic do stracenia ani do zyskania. Oficer, który nie poczuwa się do obowiązku postępowania zgodnie z oczekiwaniami władz wojskowych.

Generał nic nie odpowiedział.

- To ważna uwaga - zgodził się pułkownik Spencer. - Nikt nie będzie mógł nam zarzucić, że posłużyliśmy się facetem pracującym na kolejny stopień.

Reszta skinęła potakująco głowami. Dyskusja trwała jeszcze parę minut.

- Sumując to, co zostało już powiedziane - odezwał się znowu Van Arken - wszyscy zgadzamy się, że oficer ten nie powinien mieć za sobą służby w Wietnamie, a nawet w wojsku w tamtym okresie. Z czego wynika, że nie jest to osoba robiąca karierę wojskową. Powinien być również na tyle młody, by jego konta nie mogła obciążać jakakolwiek działalność polityczna w czasach studenckich, niezależnie od tego, czy pro- czy antywojenna. - Generał przez chwilę zastanawiał się. - Niewielu tego typu ludzi osiągnęło stopień majora i pozostało w wojsku.

- Przypuszczam, że oficer odbywający czteroletnią służbę spełnia te wymagania - powiedziała kapitan Connelly.

Van Arken zastanowił się. On miał nieco odmienną koncepcję.

- Chciałbym znaleźć człowieka powiedział - który będzie dobrą wizytówką dla armii i naszego biura.

Nikt nie odpowiedział.

- No cóż - powiedział - zacznijmy przeglądać akta. - Nacisnął guzik, dając sygnał

człowiekowi siedzącemu w dźwiękoszczelnej kabine projekcyjnej.

- Proszę wybaczyć, generale - odezwała się nagle kapitan Lorraine Connelly. - Czy mogę coś zaproponować?

Światła przygasły, a za Van Arkenem rozjaśnił się ekran. Generał spojrzął na kapitan Connelly widoczną w odbitym świetle ekranu.

- Tak?

- Wiem, że nikt nie powinien już teraz proponować kandydata, ale właśnie to chciałabym zrobić - powiedziała.

- Kogo ma pani na myśli?

- Major Karen Harper.

W pokoju przez moment panowała całkowita cisza.

- Niektórzy z was może ją znają - ciągnęła kapitan. Ja spotkałam ją w czasie, kiedy byłam oddelegowana do Niemiec. - Na chwilę zamilkła, a potem dodała. - Jej akta znajdują się pośród tych, które będziemy rozpatrywać. Może obejrzymy je jako pierwsze?

Nikt się nie odezwał. W ciemności rozległ się znowu głos Lorraine Connelly:

- Major Harper spełnia wstępne wymagania, o których tutaj mówiliśmy. Co więcej, jest znana ze swej sumiennosci. Zwraca uwagę na szczegóły. Nie daje się ponieść emocjom, jest energiczna, a jej wystąpienia na forum publicznym były zawsze wysoko oceniane. - Connelly widziała w mdławym świetle, że generał słucha z zainteresowaniem. Nabrała pewności: - Pułkownik Pellum zazartował, że powinniśmy wybrać kogoś, kto spędził ostatnie dwadzieścia lat na Księżycu. Mnie się wydaje, że nawet ważniejsze jest, by wybrana przez nas osoba w ciągu ostatniego miesiąca nie była indoktrynowana przez media. Tak się złożyło, że major Harper właśnie wróciła po trzydziestodniowym pobycie na Dalekim Wschodzie. Wątpię, by zwracała sobie tam głowę szukaniem amerykańskich gazet.

- Wybieranie oficera śledczego to nie to samo, co wybieranie ławy przysięgłych - skwitował Van Arken. - Nie sądzę, by nasi oficerowie wierzyli we wszystko, co przeczytają w gazetach.

- Mimo wszystko, generale - wtrącił się pułkownik Spencer, adiutant Van Arkena - mnie się ta propozycja podoba. Media też będą zadowolone z takiej osoby. - Odwrócił się do Connelly. - Czy ma pani o niej jakieś bliższe dane?

- Tak, pułkowniku - odparła kapitan Connelly. - Wydaje mi się, że pochodzi z licznej

rodziny. Chyba farmerskiej. Z Ohio. - Miała ochotę dodać: „sól ziemi”, ale powstrzymała się i ciągnęła dalej: - Kształciła się w szkołach stanowych, informacje na ten temat są w jej aktach. Przerywała naukę, by pracować zarabiając na dalszą edukację. Na wydział prawa wstąpiła mając dwadzieścia parę lat i wtedy otrzymała stypendium od Ministerstwa Obrony.

- W zamian za cztery lata ciężkiej pracy - mruknął porucznik Gibbs - tak samo jak ja. - Roześmiał się pragnąc zatuszować niefortuną uwagę.

Van Arken przez chwilę przyglądał się w milczeniu zebranym, po czym nagle wcisnął guzik interkomu i zwrócił się do operatora:

- Poproszę o dane Harper, sierżancie.

Po chwili na ekranie pojawiła się pierwsza strona dokumentów. Pięcioro oficerów pograżyło się w czytaniu.

- Dostała przydział do szkoły w Charlottesville. To dość blisko nas, ale nie za blisko. Ma stamtąd dobre połączenie z Nowym Jorkiem.

- Termin wygaśnięcia jej służby przypada na szesnastego czerwca. To wystarczający czas, by dokończyć wstępne śledztwo. Potem może odejść.

- Jak widać z akt, z powodzeniem prowadziła sprawy z oskarżenia na podstawie artykułu trzydziestego pierwszego i trzydziestego drugiego - powiedziała Lorraine Connelly. - Poza tym znakomicie docieka...

- Czego? - wtrącił Van Arken.

- Prawdy, generale. Potrafi rozmawiać z podejrzanymi. Nie jest szorstka, oficjalna. Nie zbija z tropu...

- Nie zależy mi na osobie, która się będzie cackać z Tysonem.

- Generale - odezwał się podpułkownik Pellum - Tyson jest najwyraźniej bystrym człowiekiem. Doskonale wie, że może unieszkodliwić oficera śledczego, powołując się na swoje prawo do nieudzielania odpowiedzi. Przypuszczam jednak, że jeśli będzie zwracała się do niego kobieta... Nie jest seksistą, więc to na pewno nie zaszkodzi. Na tym etapie chodzi nam o umożliwienie przeprowadzenia nieformalnego śledztwa. Trzeba wyciągnąć z niego jak najwięcej, zanim będziemy mogli zrobić następny ruch.

Van Arken zobaczył, że pozostali kiwają zgodnie głowami.

- Tysonowi może się wcale nie spodobać - oświadczył bez ogródek - że oficerem śledczym jest kobieta. - Nacisnął guzik i pojawiła się następna strona. Pięcioro oficerów

czytało kolejne kartki akt Harper pojawiające się na ekranie.

- Nie jest mężatką - skomentował Van Arken. Nikt nie odpowiedział. Generał odezwał się do interkomu: - Sierzancie, poprosimy o zdjęcie.

Film przesuwał się przez chwilę, po czym zatrzymał na zamazanej nieco fotografii. Operator poprawił ostrość i ekran wypełnił się białą-czarną podobizną kobiety z jasnymi, zmierzwionymi włosami. Miała szeroki uśmiech, duże oczy i piegi. Nikt nie odezwał się, dopiero po chwili porucznik Gibbs skomentował:

- Wzbudza zaufanie. Bez wahania wpuściłbym ją do domu.

Rozległy się śmiechki. Generał usłyszał, że Gibbs mówi coś jeszcze i wyłapał słowo „żona”. Znowu dał się słyszeć śmiech.

- Proszę o spokój - zachnął się Van Arken.

Kapitan Connelly widziała wyraźnie generała w jasnym snopie światła projektora. Wydawał się zatopiony w myślach. Słyszała, że nie był zachwycony nieeleganckimi żarcikami swoich podkomendnych na temat Marcy Tyson. Ale podejrzewała również, że Van Arken jest uprzedzony do mężczyzny, który wziął sobie taką kobietę za żonę.

- Generale - w ciszę wdarł się głos pułkownika Spencera - zdaję sobie sprawę, że wybór na to stanowisko kobiety wywoła pewne problemy. Ale jeżeli szuka pan kogoś, kto zrobi dobre wrażenie, jest to najlepsza kandydatka. - Wskazał na zdjęcie Karen Harper. - Wygląda, jakby wyszła z reklamowego zdjęcia Cooka.

Van Arken w zamyśleniu pocierał dłonią szczękę. Zdawał sobie sprawę, że wysunięcie kobiety jako osoby odpowiedzialnej za to śledztwo może dobrze wpłynąć na wizerunek jego biura. Odeprze przy okazji ataki tych, którzy zarzucali mu niedopuszczanie kobiet do wysokich stanowisk. Pentagon będzie zadowolony.

Porucznik Gibbs zdawał się czytać w jego myślach.

- To uwiarygodni nasz slogan rekrutacyjny „Każdy nosi w plecaku buławę marszałkowską”.

Generał zerknął na Gibbsa niechętnie i kontynuował swe rozmyślenia. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Harper spartaczy robotę, nie wpłynie to deprecjonująco na w większości męską obsadę oficerską. A w dodatku jeśli wpakuje się w trakcie śledztwa w jakieś kłopoty, Biały Dom będzie zmuszony szybko autoryzować formalne śledztwo prowadzące do rozprawy przed sądem przysięgłych. I zapewni współpracę wojskowych organów śledczych i FBI. Oczywiście istniała również możliwość, że major Harper nie znajdzie podstaw do rozpoczęcia dochodzenia. Ale Van Arken nie bardzo w to wierzył, wiedząc coś niecoś na temat procesów poszlakowych. Spojrzał na siedzących przed nim oficerów. Fakt,

że poparli kandydaturę tej kobiety, zrobił na nim wrażenie.

- Czy ktoś z obecnych ma jakieś zastrzeżenia, by ta osoba zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym, podjęła działalność śledczą w sprawie Benjamina Tysona? - zapytał.

Nikt nie zgłosił żadnego sprzeciwu.

Generał odwrócił się i popatrzył na fotografię Karen Harper wciąż wyświetlaną na ekranie. Poza dziewczęcą urodą i ciepłym uśmiechem potrafił dostrzec siłę charakteru i inteligencję. Był to niewątpliwie wynik ciężkiej wspinaczki od ubóstwa do wykształcenia, dyplomu z prawa i wreszcie wysokiej pozycji w wojsku. On sam też urodził się na biednej pensylwańskiej farmie, niecałe dwieście kilometrów od miejsca, w którym właśnie stał. Pomyślał, że podobnie jak Karen Harper doszedł do wszystkiego zupełnie sam, nie mając nawet wsparcia w żonie. Kiedy zaczyna się z takiego dołu, człowiek nie wikła się w różne poważne zależności. I trzeba poświęcić pół życia, by dojść do poziomu innych.

Generał Van Arken odwrócił się do ludzi siedzących w małym, ciemnym pokoju.

- Kapitanie Connelly, proszę nie przekazywać tej wiadomości major Harper. W dniu, kiedy do Tysona nadejdzie rozkaz stawienia się w wojsku, major Harper otrzyma polecenie podjęcia się czasowych obowiązków oficera śledczego. Nikomu z tu obecnych nie wolno nawet wspomnieć o dzisiejszej rozmowie. Nikomu nie wolno kontaktować się z major Harper aż do dnia zakończenia śledztwa. Jeśli nie ma już żadnych uwag - powiódł wzrokiem po zebranych - to dziękuję wszystkim za udział w naradzie. Proszę się rozejść.

Rozdział 14

Stare volvo toczyło się na wschód w stronę Montauk Highway, przez Southampton, a potem Water Mill. Tyson skręcił w lewo koło kościoła metodystów w Scuttle Hole Road. Późnopołudniowe słońce wisiało jak złota tarcza nad schludnymi, bogatymi farmami ziemniaczanymi. Scuttle Hole Road przecinało się z rogatką Sag Harbor i tam Ben skierował się na północ.

Odwrócił głowę i zapytał syna, który dzielił tylne siedzenie z pudłami i torbami.

- David, pamiętasz to miejsce?

- Trochę. Tu jest naprawdę ładnie.

Kilka minut później wjechali do starego, rozległego miasteczka Sag Harbor. Wzdłuż Main Street stały okazałe domy, dalej za pomnikiem z czasów wojny domowej ulica rozszerzała się, zamieniając się w pasaż handlowy.

Tyson włączył się w powolny ruch. Chodniki wypełniał tłum pogodnych ludzi. Całe rodziny, samotni przechodnie, ludzie z miasta, farmerzy, rybacy i właściciele jachtów zacumowanych w miejscowym porcie.

Volvo jechało powoli. Ben Przyglądał się witrynom sklepów, wypatrując księgarni. Na oknie wystawowym zobaczył napis głoszący dużymi literami: KSIĄŻKI MIEJSCOWYCH AUTORÓW. Ze zdziwieniem stwierdził, że w okolicy mieszka prawie dwadzieścia osób parających się piórem. Pomiedzy książkami zauważył rzucającą się w oczy czerwoną okładkę „Hue: Zagłada miasta”

- Ciągłe na fali.

- Co?

Tyson wskazał zasklep.

Spojrzała we wskazanym kierunku.

- No pewnie. Pięć tygodni na liście bestsellerów „Timesa”. Od pozycji dwunastej ciągle w górę. Może powinniście z Picardem zrobić wspólnie jakieś spotkanie promocyjne w East End. Mogę się tym zająć.

- To nie jest śmieszne.

- Nie - zgodził się David - wcale.

Marcy wzruszyła ramionami.

- Chciałam po prostu powiedzieć coś dla zabicia czasu.

Volvo wjechało na rondo zamykające Main Street. Pośrodku stał biały maszt flagowy. Gwiazdy i pasy prezentowały się bardzo ładnie falując na wietrze wiejącym od przystani. Fał uderzał o maszt. Za rondem na trawniku stał wiatrak zwrócony przodem do portu. W lewo odchodziła Long Wharf, zapchana samochodami, ludźmi i rybnymi straganami. Statki kołysały się przycumowane do nabrzeża, Ben słyszał skrzypienie takielunku.

- Pamiętam to miejsce - powiedział David. - Tu wylądował czerwony hydroplan.

- Jadaliśmy lunch w restauracji na nabrzeżu. Widzisz ją? - zapytała Marcy.

- Tak. Pomagałem wynosić ryby z łodzi.

Tyson wtrącił:

- To był połów dnia. Pamiętam, że za cały półmisek zapłaciłem dziewięć dolarów.

- Masz wybiórczą pamięć - skwitowała Marcy.

- Jak wybiórczą, dowiesz się dopiero wtedy, kiedy stanę na miejscu dla świadków -
dodał Ben.

Nikt nie odezwał się. Tyson objechał rondo i skierował się do North Haven mostem zatłoczonym biegaczami, rowerzystami i pieszymi. Skręcił w lewo w Short Beach Road, a potem znowu w lewo w małą zatoczkę zwaną Baypoint.

- Teraz gdzie?

- Tędy na Cliff Road, w lewo w Bayview. I jesteśmy. Ten dom z szarym gontem.

Ben przyglądał się bielonemu domkowi, zjeżdżając drogą w dół. Trawa była brązowa i wysoka. Z małego ganku zwisały ciężkie, fioletowe kwiaty mimozy. Wszędzie wokół rosły bujnie chwasty, a świerk i cedr ocieniały lewą stronę posiadłości. Naprawdę było prześlicznie.

- Czy tu jest elektryczność? - zapytał.

- Nie bądź za dowcipny, Tyson.

Wjechał na wysypany żwirem podjazd i wyłączył silnik. W zupełnej ciszy lustrował z samochodu posiadłość.

- Pomyśleć, że za to płaci się dziewięć tysięcy dolarów i to tylko za trzy letnie miesiące?
- zapytał.

- Mamy szczęście, żeśmy ten dom w ogóle dostali - zachnęła się Marcy. - Nie było nic wolnego w całym East End. Miejscowość jest bardzo znana i leży nad zatoką.

David otworzył drzwiczki.

- Idę się rozejrzeć. - Wyskoczył z samochodu i zniknął za garażem.

Marcy i Ben siedzieli w milczeniu. Gdzieś w oddali zaterkotał silnik i zabrzączał świerszcz.

- Masz rację - powiedział Tyson. - To nie jest daleko od miejsca, w którym mieszkaliśmy parę lat temu.

- Osiem.

- Naprawdę? Czas leci - spojrzał na dom i drzewa.

Przypomniawszy sobie tamto lato. W każdy piątek po pracy wsiadał na stacji Penn w pociąg do Bridgehampton. Udawało mu się przeżyć te nieznośne trzy godziny tylko dzięki temu, że w pociągu był bar. Marcy i David wychodzili po niego na stację i zazwyczaj zjadali obiad w pubie w Bridgehampton, którego nazwy nie mógł sobie w tym momencie przypomnieć. W poniedziałek rano, o świcie, wsiadał w tandetny autobus pełen innych mężczyzn i kobiet usiłujących dotrzeć do większych miejscowości. Marcy właśnie zmieniała pracę i spędziła całe lato z Davidem w Sag Harbor.

- Gdzie jesteś? - przerwała jego myśli.

- W tamtym lecie - odpowiedział patrząc jej w oczy.

- Prawie cały sierpień miałeś wolny - dodała.

- Tak. W Peregrine wszystko toczyło się powolutku. Tak jakby tamtego roku nikt nie budował bombowców bojowych ani helikopterów. Teraz to się zmienia.

- Niestety.

- A co z tobą? Nikt nie potrzebuje błyskotliwej kampanii reklamowej tego lata?

- Mówiłam ci już - odpowiedziała - wzięłam dodatkowy urlop. Kiedy wrócę, praca będzie na mnie czekała. Tom zachował się bardzo miło. Ze zrozumieniem.

- Dobry stary Tom.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem Tyson otworzył drzwi po swojej stronie.

- No cóż, chodźmy zobaczyć, jaki tym razem koszmar udało ci się wynająć.

Ruszyli przez nie strzyżony, zachwaszczony trawnik, Marcy szukała kluczy. Weszli prosto do pomalowanego na biało salonu umeblowanego w stylu, który - jak pomyślał Ben - musiał uchodzić za szykowny w składach mebli East End: chrom, szkło, gięty plastik i leżaki wyściełane surowym płótnem.

Po drugiej stronie salonu widział przesuwane, szklane drzwi, prowadzące na drewniany taras. Marcy przeszła przez pokój i otworzyła je. Odetchnęła głęboko:

- Pachnie morzem.

Tyson popchnął drzwi otwierając je szerzej i wkroczył na czerwone deski tarasu. Rozejrzał się po posiadłości. Podwórko opadało w dół i kończyło się na gmatwaninie

krzaków jeżyn i murku z kamieni polnych. Dalej widać było powierzchnię wody zwaną zatoką Sag Harbor. David wdrapywał się właśnie na mur.

- Mam nadzieję, że znajdzie tu sobie kilku kumpli - powiedział Ben.

Marcy wychyliła się przez balustradę przyglądając się synowi.

- Mam nadzieję, że znajdzie tutaj wszystko, czego potrzebuje.

Przeniosła wzrok na żółte żagle katamarana płynącego w ślizgu w stronę cieśniny.

- Za domem jest łódka. Tu jest pięknie, Ben.

- Tak... ale będzie ci brakowało Wielkiego Jabłka. A może nawet Garden City.

- Będę tęskniła za Nowym Jorkiem, ale nie za Garden City. Przez kilka ostatnich tygodni trudno tam było wytrzymać.

- To tylko wyobraźnia - zerknął na nią z ukosa.

Wiatr rozwiewał jej włosy, słońce oświetlało twarz. Wyglądała dziesięć lat młodziej niż poprzedniego dnia.

Przeszedł przez taras i zajrzał przez drugie szklane drzwi.

- Kuchnia wygląda przyzwoicie. Ale... och, Boże... nie widzę maszyny do zmywania. Ani kuchenki mikrofalowej. Marcy, jesteś pewna, że to ten dom?

- Nie bądź takim mądrałą, Ben. I tak mam karty dań co najmniej czternastu okolicznych knajpek.

- Cała ty. Zawsze zaradna. No cóż, ciesz się więc swoimi wakacjami.

- To nie są wakacje, Ben - odparła chłodno. - Jesteśmy na wygnaniu.

Tyson nic nie odpowiedział.

Marcy spojrzała poprzez parkan na sąsiednie podwórko. Dwóch dwudziestoparoletnich mężczyzn opalało się na trawniku. Obaj mieli identyczne żółte szorty.

Ben podążył za jej spojrzeniem.

- Pewnie pedały.

Marcy nic nie mówiąc spojrzała znowu na wodę.

- No cóż, wnieśmy bagaże do środka i rozpakujmy się - zaproponował Tyson.

Ben siedział w trzcinowym fotelu na werandzie z tyłu domu, w jednej ręce trzymał szklaneczkę ze szkocką, a w drugiej krótkie cygaro. Miał na sobie wyblakłe dżinsy, sandały i koszulkę bez rękawów z ogromnym wielorybem na piersi. Resztki po zaimprovizowanym barbecue poniewierały się na okrągłym stole ogrodowym. Słońce zachodziło za linię cedrów nad zatoką, oświetlone jachty znaczyły drogę między bojami.

Tyson przysłuchiwał się radiu sąsiadów, szczęśliwy, że lubią spokojną muzykę. Potem znowu wrócił myślą do Andrew Picarda. Łatwiej byłoby mu określić pozycję jego batalionu w Hue w 1968 roku niż położenie domu pisarza w Sag Harbor - a to dzięki jego książce zaopatrzonej w dokładne mapy kampanii. Noc święta Tet zastała Picarda w kwaterze dowództwa pierwszej dywizji armii południowo-wietnamskiej, w enklawie, na północno-wschodnim rogu Cytadeli. Pluton Tysona zmierzał na wschód i, mimo chwilowego przystanku przy Szpitalu Miłosierdzia, podszedł na kilka kilometrów do murów Cytadeli. Ich zadaniem było połączyć się z pozostałościami pierwszej dywizji armii południowowietnamskiej, która wyrwała się z okrążenia i podążała na zachód wąskimi uliczkami Cytadeli. Ben przypuszczał, że gdyby udało mu się wypełnić to zadanie, mógł spotkać Picarda jako jednego z wielu zachodnich uchodźców, którzy zabrali się z wojskiem Wietnamu Południowego. Przypuszczał także, że Picard bardzo by się ucieszył widokiem Amerykanów, zrobiłby mu zdjęcie i napisał o nim kilka zdań. Może by wypili razem w kantine kubek japońskiego dżinu. A gdyby Tyson umiał przewidywać przyszłość, przyłożyłby mu do skroni swoją automatyczną czterdziestkępiątkę i roztrzaskał mózg.

Ben patrzył poprzez zatokę na kontury drugiego brzegu. Podwórko z tyłu domu zawieszono było japońskimi lampionami, w powietrzu czuło się charakterystyczny zapach węgla drzewnego. Ktoś nie mógł doczekać się Czwartego Lipca i wystrzelił raketę przecinającą czarne na wschodzie niebo. Zapach węgla drzewnego i wilgotnego, wieczornego powietrza przywołał natarczywe wspomnienie wioski wietnamskiej w czasie posiłku. Pamiętał także kolorowe lampiony rozwieszono przed świętem Tet i nocne niebo rozświetlono fajerwerkami, które wcale fajerwerkami nie były. Wyobraził sobie, że zatoka to rzeka Perfume, a oświetlone jachty to sampany spływające do Morza Południowochińskiego. Wieczorem nietrudno było wyobrażać sobie różne rzeczy, wpadać z fantazji w koszmar, znajdować ukojenie lub przeżywać dawne walki. Ale jedna rzecz nie była fantazją. Na przeciwległym, oświetlonym brzegu żył Andrew Picard i któregoś dnia, zanim to lato się skończy, Ben zapuka do jego drzwi.

Tyson zaciągnął się cygarem. Przeszklone drzwi kuchni uchyliły się lekko i na werandę weszła Marcy. Podeszła do balustrady i zapatrzyła się na zatokę.

- Pamiętasz, jak pływaliśmy tu kiedyś nago? Była pełnia, przepływał jakiś statek wycieczkowy i pasażerowie upierali się, byśmy weszli na pokład i napili się z nimi.

Ben spojrział na nią i uśmiechnął się. Miała na sobie luźne spodenki z niebieskiej bawełny i bluzę z kapturem. Spostrzegł, że stała bosą, była prawie nie umalowana i bez biżuterii, miała tylko obrączkę. Wydawała się całkowicie odmieniona. Jutro jej policzki nabiorą kolorów, a pomiędzy palcami nóg znajdą się ziarenka piasku. Będzie pachniała solą i węglem drzewnym tak jak tamtego lata. Ale to nie będzie tamto lato.

- A pamiętasz, jak wzięliśmy ponton i popłynęliśmy na mieliznę? - zapytał.

- Dwie godziny walczyliśmy z przyływem, zanim udało się nam wrócić. - Marcy usiadła na brzegu stołu, opierając bosc stopy na krześle. Nalała sobie kieliszek czerwonego wina.

- Jak poszło ci dziś rano?

Tyson zadzwonił kostkami lodu w szklance.

- Chyba nie potrafiłem się opanować. Niestety. Wprawilem w zakłopotanie Kimura-san i Shimamura-san.

- Daj sobie spokój, Ben, z tą rozmówką w stylu pana Moto. Wylali cię?

- Nie... choć to dziwne, ale nie.

- To może dostałeś podwyżkę? - spytała.

- Chcą, żebym wystąpił o przeniesienie do Tokio.

Żona przyjrzała mu się w chybotliwym świetle świecy.

- Tokio? - Zastanowiła się przez chwilę, a potem powiedziała: - Dobrze mi idzie w pracy, nie wiem, dlaczego miałabym ją rzucać.

Tyson pochylił się do przodu i odezwał ostro:

- Żeby ratować mój tyłek, droga pani. A poza tym ja też robię karierę. Ty, jak widać, możesz bez uszczerbku dla swojej pracy wziąć trzy miesiące urlopu. I jeszcze jedno. Kto powiedział, że miałabyś tam pojechać?

Słysząc było świerszcze i wodę uderzającą o kamienie. Wiatr zaszumiał w gałęziach dzikiej jabłoni.

- Przepraszam - powiedział Ben.

Marcy nie odpowiedziała.

- Nie chciałem tego powiedzieć.

- Nie ma sprawy. - Wlała sobie resztkę wina. - Pojedziesz?

Tyson nie wybierał się do Japonii, ale ku swemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że nie ma zamiaru jej tego powiedzieć.

- Rozważam to - odparł.

Dlaczego kłamię, zastanowił się. Kłamanie weszło mi w zwyczaj. Okłamuję swojego prawnika, swoich zwierzchników, Browna, przyjaciół i rodzinę, a teraz własną żonę. Prawdopodobnie trenuję przed głównym sprawdzianem w sądzie. Usiadł wygodniej w fotelu.

- Gdzie jest David?

- Spotkał paru chłopców w swoim wieku. Wybrali się na nocne łowy.

Ben skinął głową.

- Czy przypomniałaś mu, że nazywa się Anderson?

- Tak.

Tyson wydmuchał dym cygara w mgliste powietrze.

- Czuję się, jakbym był kryminalistą.

- Naprawdę?

Spojrzał na nią, ale nie odpowiedział.

- Wydaje mi się, że agent, u którego wynajmowałam ten dom, wiedział, kim jestem - stwierdziła - chociaż użyłam panińskiego nazwiska.

- Twoje panińskie nazwisko i twoje zdjęcie są równie znane jak moje nazwisko i moje zdjęcie. Powinnaś użyć *nom de guerre*.

- Nie sądziłam, że ktoś nas tu będzie niepokoił. - Przyglądała mu się, jak szedł przez ciemny trawnik w stronę skał i krzaków. Poczwała nagły skurcz lęku i zeskoczyła ze stołu. - Pójdę z tobą.

Szli w zgodnym milczeniu pomiędzy białymi skałami, aż znaleźli duży, płaski kamień tuż na brzegu. Usiedli.

- Chłodno tutaj - powiedziała Marcy.

- Idź i przynieś sweter.

- Obejmij mnie.

Przygarnął ją czując się dziwnie zakłopotany. Przysunęła się do niego bliżej.

- Co cię męczy? - zapytała po dłuższej chwili.

- To ma być żart?

- Nie, po prostu pytam. I jestem pewna, że nie ta cała historia z masakrą. W każdym razie nie dzisiaj. Przez ostatnie parę tygodni nieźle sobie radziłeś.

Tyson nie odpowiadał.

- Chodzi o mnie - powiedziała Marcy. - A raczej o to, co o mnie piszą w szmatławcach, a napomykają w porządnych pismach.

Wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. W skali jeden do dziesięciu sąd wojenny jest u szczytu skali. Twoja przeszłość ma wartość jeden.

- Nie sądzę.

Ramię Bena zsunęło się z jej pleców.

- No cóż... przypuszczam, że kiedy zaczną przeprowadzać wywiady z niezliczonymi jak widać eks... narzeczonymi.... - wrzucił cygaro do wody.

Marcy podciągnęła nogi i objęła je ramionami.

- Czujesz się przeze mnie zakłopotany?

Nie odpowiedział.

- To wszystko nie wyszłoby na światło dzienne, gdybyś ty nie stał się osobą publiczną. Ale ja do ciebie nie mam pretensji.

- W porządku. Niech będzie. Posłuchaj, nie obwiniam cię za położenie, w jakim się znalazłem. To ja... - Westchnął głęboko. - Ale zrozum, że te krzykliwe artykuły i zdjęcie podsycają zainteresowanie moją sprawą. Efekt wzmocnienia. Rozumiesz? A David... rozmawiałem z nim. Chciałem mu wytłumaczyć... to znaczy pokazać, żeby umiał na to spojrzeć moimi oczami. Ty nigdy nie starałaś mu się wyjaśnić, że... że to była cholerna rewolucja seksualna. On tylko czytał na ten temat. I czyta też te wszystkie śmieci. - Spojrzał na nią.

Marcy cisnęła kamieniem w wodę.

Ben przysłuchiwał się skrzeczeniu zab. Na odległym brzegu ktoś wystrzelił kolejną petardę.

- Dobrze. - Marcy wstała. - Poradzę sobie z Davidem. Ale co ty czujesz, kiedy czytasz to wszystko na mój temat?

Żadne z nich się nie odezwało i po chwili Marcy powiedziała spokojniejszym tonem:

- Wydaje mi się, że w tych artykułach jest ziarno prawdy... ale... nie kiedy piszą o niewierności, Ben. To nie.

Tyson kiwnął głową.

- W porządku.

Zmusiła się do uśmiechu i dotknęła lekko jego ramienia.

- Hej, Tyson, pewnego dnia zalejemy się w trupa i będziemy opowiadać wszystkim o naszych najmroczniejszych, najbardziej intymnych, najbardziej niebezpiecznych i zawstydzających sekretach. A potem wystąpimy o rozwód. Albo znowu zakochamy się w sobie - zaśmiała się cicho.

Ben odwzajemnił uśmiech, ale nie poczuł się wcale lepiej. Oceniając sprawę na zimno wiedział, że to, co on robił w 1968, było znacznie gorsze od tego, co ona robiła w tym samym roku. A jednak zarówno on, jak i społeczeństwo właśnie ją oceniali ostrzej. Tradycyjny kozioł ofiarny: dziwka. Westchnął głęboko.

- Chyba... po prostu wydaje się, że ty lepiej bawiłaś się niż ja - powiedział. - Może jestem zazdrosny.

Ujęła go mocno za ramię.

- Jestem przekonana, Ben, że oboje robiliśmy wtedy dokładnie to, co chcieliśmy robić. - Zawahała się. - Chciałeś tam być.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Tak - odparł wreszcie - sam doszedłem do podobnego wniosku.

Przesunęła dłoń i wzięła go za rękę. Wpatrywał się w wodę.

- Chciałbym zostać sam.

Zawahała się, ale powiedziała:

- Nie wskocz.

- Dobrze.

- Obiecuj.

- Zobaczymy się później.

- Obiecuj!

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Obiecuję - szybko odpowiedział.

Odwróciła się i zaczęła wdrapywać po skałach w stronę trawnika.

Ben przyglądał się, jak szukała drogi pomiędzy skałami. Jej ciemne ubranie odcinało się od białych kamieni, poruszała się z wdziękiem. Gromadził wspomnienia na czas, kiedy już nie będą razem.

Wieczorne powietrze było chłodne, a ogrzewanie najwyraźniej nie działało. Marcy spała na kanapie. David był w swoim pokoju. Tyson ukląkł przed kominkiem i przytknął zapalkę do kawałka papieru i cedrowej szczapy, od której zajęło się dębowe polano. Strzelił płomień. Ben usiadł w fotelu i zapatrzył się w ogień. Wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił zapalkę, przyglądając się, jak fosfor na jej końcu strzela białym płomyczkiem.

Tyson wymknął się przez drzwi i przeszedł krótkim korytarzem. Tony Scorello stał przy wejściu na oddział położniczy. Tyson zobaczył, jak pocisk zapalający z białego fosforu wpada do pomieszczenia. Jeżeli wrzucił go Scorello, pomyślał, to już w tej chwili żałuje tego, co zrobił.

Ale nie można było cofnąć nic, co się stało. Biały fosfor miał szczególną właściwość. Kiedy już był zapalony, podobnie jak napalm płonął z niezwykłą intensywnością, gdyż nie potrzebował powietrza, które pobudzałoby spalanie. Ani woda, ani tłumienie nie mogło go ugasić. Nazywali go Willy Peter, zgodnie z wojskowym zwyczajem nadając wszystkiemu imiona. Willy Peter rozprysnął się na bielonych ścianach pełnego pacjentów oddziału i Tyson ujrzał, jak wielki krzyż wiszący na ścianie zaczyna płonąć. Tony Scorello odwrócił się w stronę dowódcy, łzy płynęły po jego brudnej twarzy, usta poruszały się, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobywały się z nich tylko jęki. Jego karabin leżał na ziemi, a on wymachiwał rękami jak rozhisteryzowany dzieciak.

Tyson odepchnął go i wszedł przez łukowate drzwi do środka. Prawie połowa z dwudziestu łóżek paliła się, moskitiery spływały czarnymi strąkami jak ogromne pajęczyny.

Większość kołysek ogarnął już ogień. Naga kobieta słała się pomiędzy łózkami, ale poza tym w pomieszczeniu nie widać było żadnego ruchu. Najbliższe Tysona łóżko stało w płomieniach, poprzez dym widział kształt kobiety leżącej zupełnie nieruchomo. Wyglądała jak wyznawczynie hindu popełniająca sati.

Zauważył przez nie zamknięte żaluzje, że na zewnątrz pada deszcz. Gdzieś w umierającym szpitalu nadal pracował generator dostarczając prądu, ponieważ trzy wentylatory działały, a na stanowisku pielęgniarki paliło się światło.

Nagle Tony Scorello wybiegł z płonącego oddziału, a Tyson za nim. Panujący w pomieszczeniu smród był nie do wytrzymania, odór palących się ciał, włosów, ekskrementów i samego fosforu, a potem palących się kości, kiedy fosfor wżarł się w nie głębiej.

Znalazł Scorella siedzącego na podłodze, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Matko Boska. Matko Boska - łkał żołnierz. - Ja tego nie zrobiłem. Ja tego nie zrobiłem.

Tyson zostawił go w tym miejscu, a sam wrócił do drzwi, przez które już przeszedł wcześniej, z napisem „Salle de Contagion”. Otworzył je, wszedł do środka i zamknął za sobą.

Siostra Teresa ubrana w biały, płócienny habit siedziała na skraju pojedynczego łóżka, z dłońmi spoczywającymi na kolanach. Tyson pomyślał, że wygląda na zupełnie spokojną. Poczłł gniew, że nie posłuchała jego polecenia i nie ukryła się pod łóżkiem.

- *Le feu* - powiedział. Przypomniał sobie zdanie po wietnamsku. - *O day khong duoc yen.* (Tu nie jest bezpiecznie).

Kiwnęła głową przyznając mu rację, ale pozostała nieporuszona.

- *Est-ce qu'il y... Une porte de toit?* Wyjście na dach?

- *Oui.*

- *Ou?*

Odpowiedziała po angielsku:

- Nie chcę uciekać.

- Pewnie. - Tyson podniósł ją za ramię z łóżka.

Stali twarzą w twarz przez kilkanaście sekund, widział łzy wypełniające jej oczy.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

Miał kilkanaście wyjaśnień, ale ani jednej odpowiedzi.

Siostra Teresa oparła głowę na jego ramieniu i załkała.

Tyson zobaczył, jak jeden z wiatraków zamiera. Przez buty czuł gorąco od szalejącego piętro niżej ognia. Przez grubą ścianę dochodził ich hałas wystrzałów, w powietrzu czuć było kwaśny zapach palącego się ludzkiego ciała. Na zewnątrz nadal padał deszcz, a od strony Hue dochodził stały pomruk przetaczający się po szarej, opuszczonej równinie. Benjamin Tyson czuł, jak jego dusza pogrąża się w mroku. Było to uczucie, którego nie doznał nigdy przedtem. Ścisnął siostrę Teresę za ramiona i słyszał jej ciche łkania.

- Mój Boże - powiedział. - Mój Boże, myślałem, że ich znam.

A jakiś głos wewnątrz jego mózgu odpowiedział: Znasz ich. Zawsze znałeś. Wiedziłeś, że zrobią to pewnego dnia.

- Nie! - Ben wypuścił zapalną wpatrując się w ciemne miejsce, gdzie płomień przypalił mu palec.

- Co nie?

Zagapił się na Marcy stojącą tuż nad nim.

- Chcesz drinka? - zapytała.

- Och, nie, dziękuję.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Chyba jednak przydałoby ci się coś mocniejszego.

- Zawsze by mi się przydało - odwrócił się znowu w stronę ognia, wpatrując się w niego w milczeniu. Wreszcie powiedział: - Później, tego dnia w bunkrze wyglądał już normalnie.

- Kto?

- Tony Scorello. No, nie całkiem normalnie. Żaden z nas nie wyglądał ani nie zachowywał się normalnie przez kilka tygodni po tym... ale Scorello parzył w kantynie kawę. Miał ręce w bandażach. Chyba był poparzony. Później grał w karty. Przyglądałem mu się.

Marcy spoglądała zaskoczona.

Tyson przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

- Wiesz - dodał - właśnie coś sobie uświadomiłem. Być może zobaczę go znowu. Może

zobaczę ich wszystkich.

Uklękła obok niego i wzięła go za ramię.

- Ben... proszę - powiedziała z przejęciem - proszę, nie chcę, żeby ci się coś stało.

Następnego ranka Ben Tyson siedział przy okrągłym stole na werandzie i popijał parującą kawę. Stół był wilgotny i Ben starał się nie zamoczyć rękawów.

Poranne powietrze miało w sobie chłód. Tyson widział własny oddech. Zapatrzył się na zatokę, gdzie na wodzie leżała delikatna mgła. Otoczone czerwonymi chmurami słońce wisiało nad mostem North Haven, a mewy przecinały nieruchome powietrze nieoczekiwanym, porannym skrzeczeniem.

Marcy przeszła przez szklane drzwi do kuchni. Była w krótkiej, czerwonej sukience.

- Wczesnie wstałeś - powiedziała ochrypłym głosem. - Podłoga w salonie nie była chyba zbyt wygodna.

- Powinnaś była mnie obudzić.

- Poza kopaniem próbowałam wszystkiego.

Wpatrywał się w zatokę. Statek wielorybiczny manewrował pomiędzy bojami. Był odpływ i Tyson widział na pokładzie mężczyznę, który bosakiem sprawdzał głębokość wody.

- Nie miałam pojęcia, że wyjedziesz tak wczesnie - powiedziała Marcy - sądziłam, że zostaniesz ze mną i z Davidem przynajmniej kilka dni.

Wzruszył ramionami.

Marcy przeszła na bosaka przez mokry taras i spojrzała na trawnik. Ben przyglądał się jej nogom, cienki materiał przylegał szczelnie do pleców i pośladków.

Odwróciła się i obrzuciła go spojrzeniem.

- A co martwi cię dzisiaj rano? - zapytała wreszcie. - Twoje występki czy moje?

- Twoje - odpowiedział, zanim zdążył pomyśleć.

- O Boże, ciągle to samo?

- Czy coś się zmieniło?

- Dlaczego nie przestaniesz się tym dręczyć?

- Nie wiem dlaczego - zapatrzył się w filiżankę z kawą, a potem powiedział cicho. - Myślałem, że nie ma we mnie zazdrości ani zaborczości. Ale... kiedy szczegóły życia seksualnego mojej żony stają się publiczną wiadomością, czuję się trochę głupio. Ale pewnie nie jestem normalny.

- Mężczyźni! - zachnęła się. - Na Boga, tak strasznie interesuje was ilu... - wciągnęła głęboko powietrze. - Zapomnijmy o tym. To tylko dolewanie oliwy do ognia.

- Spróbuję - powiedział Ben.

Ale pomyślał, że Marcy podchodzi do fotografii i artykułów z nadmiernym lekceważeniem. Tyson odkrył, że fotografia została przedrukowana przez kilka szmatławców, gdzie jego żona została pokazana bez osłony czarnego paska. W dodatku opublikowano kilka artykułów o Marcy Chire. Może mniej sensacyjnych w tonie od tego w „American Investigator”, ale podejmujących poważne rozważania na temat młodej buntowniczkii, która zamieniła się w żonę, członkinię podmiejskiej społeczności i oddaną pracy zawodowej kobietę. Jednak, pomyślał, były one sprytnie zakamuflowanym zniesławieniem. A wreszcie tydzień temu Sloan pokazał mu owo słynne zdjęcie z magazynu „Life” w formie plakatu, który ktoś znalazł w jednym z tych śmiesznych sklepów z pamiątkami. Plakat zatytułowany był: SZCZĘŚLIWE DNI. Adwokat stwierdził wtedy:

- Żyjący w latach osiemdziesiątych są często zaszokowani tym, co robili ludzie w latach sześćdziesiątych, a przecież często są to te same osoby.

Ben rozumiał, że historia przeszłości Marcy nie ma nic wspólnego z jego historią. A jednak czuł instynktownie, że zarówno zdjęcie, jak i komentarze przyspieszą jego upadek. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ma obsesję na temat przeszłości żony. Bardzo pragnął, żeby dla niego stała się ona zamkniętym rozdziałem, ale nie potrafił tego dokonać.

Wstał i poczuł, że ma nogi jak z waty. W oczach żony dostrzegł łzy.

- Nie zrobiłam nic złego! - krzyknęła. - O wszystkim wiedziałeś, a niech cię cholera! Wiedziałeś wszystko o mnie, kiedy się spotkaliśmy. Ja nigdy nic nie ukrywałam. Pieprzyłam się. I co z tego? Ty zabijałeś. Zabiłeś więcej ludzi, niż ja pieprzyłam.

- Nie jestem tego taki pewien.

- Wynoś się stąd do diabła.

Ben wrócił do domu, wziął swoją teczkę i wyszedł frontowymi drzwiami. Rozpoczął dwumilową przechadzkę do Main Street, gdzie mógł złapać autobus na Manhattan. U

wylotu Baypoint z bocznej drogi wyjechał ford mustang i jakiś młody człowiek krzyknął:

- Podwieźć pana do miasta?

Tyson skinął głową i wskoczył do środka. Kierowca wyglądał najwyżej na osiemnaście lat, miał na sobie dżinsy i biały, gładki podkoszulek. Ben pomyślał, że pewnie jest miejscowy.

- Dzięki, może mnie pan wysadzić przed kinem?

- Jasne. Chce pan złapać autobus?

- Tak.

Młody człowiek ruszył:

- Przyjechał pan tu na lato?

- Tak.

- I gdzie pan mieszka?

- W Baypoint.

- Niezłe miejsce. Jest pan z telewizji, co?

Tyson pokręcił głową.

- Ależ tak, na pewno. Z wiadomości. Prawda?

- Nie, z redakcji programów edukacyjnych.

- Nie buja mnie pan? - Chłopak rzucił mu z ukosa spojrzenie i stwierdził: - Mnóstwo tu przyjeżdża sławnych ludzi. W zeszłym tygodniu widziałem Normana Rockwella.

- On nie żyje.

- Nieprawda, widziałem go. Nie czytałem żadnej jego książki, ale widziałem go parę razy w telewizji.

- Normana Mailera?

- Tak, a jak ja powiedziałem?

- Rockwell.

- Nie, tamten to nazista.

- To George Lincoln Rockwell. Też nie żyje.

- Naprawdę? - Młody człowiek wydawał się porządkować nowo zdobytą wiedzę. - A jak pan się nazywa? - zapytał.

- Jack Abbott.

- Właśnie. I prowadzi pan programy publicystyczne.

- Nie, pogadanki na temat gotowania.

- No, tak. Ja nazywam się Chuck.

Przejechali przez most North Haven i znaleźli się na Main Street.

- Może mnie pan wysadzić tutaj - powiedział Ben. - Przejdę się kawałek.

Chuck zatrzymał się przy krawężniku.

- Za wcześnie na autobus. Ale otworzyli już Paradise Grill. Dają tam dobrą kawę.

- Dzięki - Tyson otworzył drzwiczki.

- Robi pan program w Nowym Jorku?

- Właśnie - Ben wysiadł z samochodu.

- O której godzinie? Na jakim kanale?

- Dzisiaj, o dwunastej. Kanał trzynasty. Chrupki w sosie koperkowym. - Tyson wskazał na swoją teczkę. - Mam je tutaj. Do zobaczenia, Chuck. - Zamknął drzwiczki i skierował się w stronę kawiarni.

Usłyszał za sobą klakson, ale nie odwrócił się. Jadący powoli samochód trzymał się tuż za nim, a trąbienie nie ustawało. Ludzie na chodnikach zaczęli się odwracać. Jakiś staruszek pokazał na niego, a potem na samochód. Ben nadal szedł. Nie miał najmniejszej ochoty iść na kawę z Chuckiem.

- Tyson, nie chowaj głowy w piasek - dobiegł go głos Marcy. Odwrócił się. Wskazała mu ręką miejsce w samochodzie. Podszedł do otwartego okna od strony siedzenia pasażera.

- Wsiadaj - powiedziała.

Otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Ruszyła. Jechali w milczeniu przez Main Street, aż minęli wieś i skręcili w Bridgehampton Road.

- Zawiozę cię na stację - powiedziała.

- Mam ochotę pojechać autobusem.

- Pojedziesz pieprzonym pociągiem i będziesz miał ochotę właśnie na to.

Ben wzruszył ramionami. Volvo jechało na południe peryferiami wioski, a potem przez sosnowo-dębowy las. Nie było jeszcze ruchu, a nad drogą i pomiędzy poskręcanyimi drzewami o dziwnych kształtach rosnącymi wzdłuż drogi unosiła się mgła. Tysonowi ten krajobraz wydał się złowróżbny.

- Przepraszam - odezwał się.

- Za co?

- Za to, co powiedziałem.

- Kiedy? Za które słowa przepraszasz?

- Za... nieważne.

- Właśnie, że ważne. Za które chcesz mnie przeprosić? Za te, kiedy sugerowałeś, że pieprzyłam się z ponad setką mężczyzn?

- Tak. Właśnie za te.

- A jeśli to robiłam? Przynajmniej mieli radochę. Co powiesz o swojej setce?

- Zostaw mnie w spokoju.

Marcy przyspieszyła. Prędkościomierz wskazywał sto kilometrów na godzinę.

- Hej, zwolnij trochę.

- Dziwki jeżdżą z fasonem.

- Przestań się zgrywać i zwolnij.

Nacisnęła pedał gazu i wzięła zakręt po złej stronie drogi. Ben sięgnął ponad nią i wyszarpnął kluczyki ze stacyjki. Samochód zaczął tracić prędkość. Spojrzał na żonę i zobaczył, że usiłuje powstrzymać łzy.

Volvo zwalniało coraz bardziej, wjeżdżając pod górkę. Tyson skręcił kierownicę i wjechali na piaszczyste pobocze. Zaparkował samochód, potem wysiadł i przeszedł naokoło do miejsca kierowcy.

- Zamieńmy się.

Przesunęła się na miejsce dla pasażera. Ben wsiadł i włączył silnik. Wrzucił pierwszy bieg, koła zabuksowały, ale już po chwili volvo znalazło się znów na drodze. Ruszył w kierunku Bridgehampton.

Żadne z nich nie odezwało się do chwili, kiedy wjechali na parking stacji.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć - powiedział.

- Ja też. - Teraz już wyglądała na zupełnie spokojną.

- Zadzwoń do mnie i podaj mi numer telefonu, kiedy go dostaniesz. Ale go zastrzeż.

Wyglądała nadal przez okno.

- Nie przyjadę na najbliższy weekend - Tyson odchrząknął.

- W porządku.

- Sprawilem ci ból - powiedział.

Nie odpowiedziała.

- Czy już dobrze się czujesz? - zapytał z wahaniem w głosie.

Skinęła głową i wręczyła mu teczkę.

Wysiadł, zamknął drzwi i wetknął głowę przez okno.

- Jedź ostrożnie. Powiedz Davidowi, że jest mi przykro, że nie pożegnałem się z nim.

- Twój pociąg.

Ben odwrócił się i zobaczył w oddali wielkie światła lokomotywy. Skierował wzrok na Marcy. Spoglądała na niego i pozostali tak przez długą chwilę zapatrzeni w siebie, a potem pociąg wydał przeciągły gwizd i Tyson odszedł.

CZEŚĆ II

Ten, kto nie przeciwdziała zbrodni, zachęca do niej.

Seneka: Troades

Panna Beale wygląda blado, pomyślał Ben. Zauważył też, że w ciągu ostatnich tygodni zmizerniała i zrobiła się nerwowa. Sądził, że ma jakieś osobiste problemy, ale nagle przyszła mu do głowy zaskakująca myśl, że może martwić się jego osobą.

- O co chodzi? - zapytał.

Wręczyła mu dużą kopertę. Najpierw zauważył żółty odcień papieru, ciemniejszy niż większości oficjalnej korespondencji. Potem w miejscu znaczka pieczętkę rządu. Wreszcie dostrzegł, że nadawcą była Główna Komenda Wojskowa. Ale to wiedział już w chwili, gdy sekretarka stanęła w drzwiach.

- Przysłali jako list polecony - powiedziała. - Pokwitowałam...

Tyson zauważył, że koperta zaadresowana była do porucznika Benjamin J. Tysona. Położył ją na części biurka przeznaczonej dla spraw bieżących.

- Dziękuję. Czy przepisała już pani kontrakt Taylora?

- Właśnie kończę. - Panna Beale wyraźnie nie miała ochoty odejść.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Nie... - ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się i zapytała: - Czy pan nas opuści?

- To się okaże - odparł.

- Och, panie Tyson, my wszyscy uważamy - nie wytrzymała sekretarka - że cała ta historia jest po prostu okropna. Okropna. To nie. nie w porządku Okropnie nam przykro...

Ben przypuszczał, że mówiąc my myśli o grupie urzędniczej jadającej razem posiłki, podczas których na pewno omawiano jego sprawę dokładnie. Grupa kierownicza nie była równie współczująca. Przypomniawszy sobie, że kiedy służył w piechocie, po każdej bitwie otwierały się możliwości awansu i ludzie rzucali się na nie bez względu na to, czy miejsce zostało zwolnione dzięki strzałowi z moździerza kalibru 81 mm czy rakiety 122 mm. Świat wielkich korporacji był dość podobny.

- Doceniam wasze zainteresowanie - powiedział Tyson. Panna Beale nadal stała w miejscu jak wmurowana. - Nawiasem mówiąc, pani pozostanie na tej posadzie. Rozmawiałem na ten temat z panem Kimurą.

- Dziękuję - sekretarka wreszcie odwróciła się i wyszła.

Ten wyraz troski jednocześnie wzruszył Bena i zdziwił. Nie sądził, żeby był szczególnie popularny zarówno wśród urzędników na równych mu stanowiskach, jak i personelu, ale

najwyraźniej doszli oni do wniosku, że świat potraktował go niesprawiedliwie. A z tym mogli się identyfikować. Co więcej, jak wnioskował z doniesień prasy, powstawała zorganizowana grupa jego popleczników. Ktoś w Wirginii stworzył nawet fundusz na rzecz obrony Tysona, chociaż nikt jeszcze nie kontaktował się w tej sprawie ani z nim samym, ani ze Sloanem. Dziwne, jak Amerykanie reagują na ogłoszone publicznie nieszczęście. Chciał wierzyć, że jest to wyraz bezinteresownego altruizmu i miłosierdzia, i być może tak właśnie było, a on miał się o tym dopiero przekonać.

Przyjrzał się kopercie, a potem odsunął ją na bok.

- Pańska żona - odezwała się panna Beale przez interkom.

- Odbiorę. - Tyson nacisnął błyskający na telefonie przycisk. - Słucham.

- Cześć - głos Marcy zabrzmiał słabo.

Zapadła na moment cisza.

- Podaj mi swój numer - odezwał się Ben.

Podyktowała mu.

- Przez ostatnie dwa dni padało - dodała po chwili. - Jak u ciebie?

Tyson spojrzał przez okno.

- Tak samo.

- Ale czasami wychodzi słońce.

- Tak. Jak tam David?

- W porządku. Ma kilku kolegów i najwyraźniej pogoda nie odstrasza ich od łowienia. Znaleźli też sobie miejsce spotkań. Dyskotekę na Main Street.

- W Sag Harbor? Jak się nazywa? Górny Pokład Płaczącego Wieloryba? Kto tam przychodzi?

- Skąd mogę wiedzieć? Na Long Wharf gra jakiś zespół wieczorami.

- Naprawdę?

- Tak, a ten bar, gdzie zwykł chodzić John Steinbeck - Czarna Boja - zmienił styl.

Ben przez chwilę zastanawiał się, skąd ona o tym wie.

- Czasami próby cofnięcia czasu nie wychodzą najlepiej, prawda? - zapytał. - To bywa bolesne.

- Czasami.

Określił się na krześle i zagapił na zadeszczone okna. Kiedyś nie mógł się zdecydować, czy lubi deszcz czy nie, ale po tym, jak przeżył dwa monsuny, każdy trwający trzy miesiące, wyrobił sobie głęboką niechęć do mokrej pogody.

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi? - spytała Marcy.

- Jasne.

- Dobrze. - W jej głosie zabrzmiała niepewność. - Co nowego w pracy?

- Nic. Wyścig zbrojeń wprowadza tutaj wszystkich w świetny humor. Mnóstwo zamówień.

- Myślałam - w jej głosie brzmiało wahanie - jeżeli... no, zastanawiałam się nad wyjazdem z tobą do Tokio... To znaczy, ja postanowiłam jechać... jeżeli ty tak zdecydujesz.

- Tokio nie wchodzi już w grę - odparł.

- Dlaczego?

- Bo teraz jestem w wojsku.

- Co...?

Tyson przyjrzał się papierom na biurku.

- Przyszedł list przywracający mnie na łono. Mam już z górki.

- Och... och, Ben.

- Dobra, wszystko jedno. Spotkałem się z Kimurą i powiadomiłem go o moim nowym statusie. - Ben wrócił myślami do rozmowy, która odbyła się niespełna godzinę wcześniej. W wyrazie twarzy Kimury nie było nic nieprzeniknionego i Tyson rozumiał wyraźnie, co wyrażała. Kimura, był tego pewien, wiedział o powołaniu, chociaż udawał nieświadomego.

- Kimura zaproponował mi połowę pensji na czas, kiedy będę w wojsku - powiedział Ben. - Nie wiem, czy wlicza w to więzienie.

Marcy nie odpowiedziała.

- Dodatkowo pensja za wakacje, za wolne dni i jakaś część premii - mówił dalej Ben.

- To bardzo... bardzo wspaniałomyślne.

- Bardzo. - Tyson nie uważał, żeby wspaniałomyślność miała z tym cokolwiek wspólnego. W jakiś sposób to wszystko będzie subwencjonował rząd. Nie chcieli go pozbawiać środków do życia. I nie był to altruizm, ale strategia obliczona na reklamę. Ale on nie chciał z nimi grać w tę grę.

- Nie wiem, ile dostaje w dzisiejszych czasach porucznik, i nic mnie to nie obchodzi, ale przypuszczam, że z moim żołdem i twoją pensją będziemy załatwieni w ciągu roku.

- O co ci chodzi? Nie przyjąłeś propozycji?

- Nie. I poważnie zastanawiam się nad złożeniem wymówienia.

- Dlaczego? To absurd, Ben. Weź te pół pensji. Włożyłeś całe lata pracy w przedsiębiorstwo...

- A co z zasadami? To ty jesteś przeciwna oportunistom, więc myślałem, że mnie zrozumiesz. A nawet poprzecz. Nie jesteś przecież materialistką. Dlaczego więc martwisz się o pieniądze?

- Drażnisz się ze mną.

- Całkiem możliwe.

Marcy milczała przez jakiś czas.

- Jaka to zasada zmusza cię do złożenia wypowiedzenia? - spytała wreszcie.

- Prawo do ruiny finansowej. Prawo do odrzucenia pieniędzy, na które nie zapracowałem. Prawo do poniesienia konsekwencji tego, co zrobiłem. Prawo do postawienia rządu w kłopotliwej sytuacji. Jak to brzmi dla kogoś, kto walczy z establishmentem? Czy jesteś ze mnie dumna?

- Posłuchaj... Nie zadzwoniłam, żeby się z tobą kłócić... i myślę, że cię rozumiem... ale masz rodzinę...

- Przeżyjemy.

Znowu zapadła cisza.

- Tak, przeżyjemy - powiedziała wreszcie Marcy. - Rób to, co uważasz za słuszne.

Ben kiwnął do siebie głową. Czuł, że mówiła to z przekonaniem.

- Co oznacza wezwanie? - zapytała. - Czy musisz gdzieś jechać?

- Tak. Dostałem także przydział. - Zerknął na dołączoną do wezwania kartkę. - Mogłoby być dużo gorzej...

- Dokąd?

- Fort Hamilton. Brooklyn. Wiesz, gdzie to jest. Koło mostu Verrazano.

- Tak... no, to dobrze. Czy możesz... czy to się wiąże z jakimiś ograniczeniami?

- Nie wiem. Muszę po prostu zameldować się do piętnastego czerwca. - Zastanowił się przez chwilę. - Poczekaj, a kiedy wypada moja wyprawa na rekiny? - Zajrzał do kalendarza. - Czternastego. Dobrze. Zdążę się zabawić, a potem zameldować na czas. Jeśli złapię dwa rekiny, to im jednego przyniosę. - Na chwilę zamilkł, po czym stwierdził: - Koniec pieśni.

Nie odpowiedziała, ale wydawało mu się, że powstrzymuje łkanie.

Zapalił papierosa i oparł nogi na parapecie. Uświadomił sobie, że gdyby nie był żonaty, dawno by go już tu nie widziano. Porzuciłby pracę i wylądował w Hongkongu, mieście, z którego miał mile wakacyjne wspomnienia. Wszyscy, w tym również rząd, byłiby zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Ale nie, tak się pechowo składało, że Hongkong należał do Korony Brytyjskiej. Powinien wybrać, zgodnie z tym, co mu proponował Chet, miejsce dające rządowi możliwość udawania, że nie sposób go ściągnąć z powrotem. To właśnie by zrobił, gdyby nie był mężem i ojcem. Ale był. Myśl jednak wciąż wydawała się kusząca. Przyglądał się strugom deszczu spływającym po wielkiej tafli szyby.

- Co powiedziałabyś na pomysł ucieczki z kraju? - zapytał wreszcie. - Czy to jest w

ogóle jakaś alternatywa?

- Jest. Ale twoje ego i rozdmuchane poczucie odpowiedzialności zatrzyma cię tutaj.

Ben pomyślał, że głos żony brzmi już mocniej, bardziej normalnie. Zawsze szybko wracała do równowagi.

- W ten sposób zaoszczędziłbym tobie, Davidowi i rządowi wiele wstydu i kłopotu. W Waszyngtonie prawdopodobnie zanoszą modły o to, żebym gdzieś sobie odleciał, dzięki czemu mieliby trochę spokoju - powiedział.

- Jeśli tak jest naprawdę, powinieneś się nad tym zastanowić...

Tyson pomyślał, że Marcy i Chet Brown dobrze by się dogadywali.

- Dobra. Bilet na samolot i pensja. Później pošlemy po rodzinę. Brazylia nie ma ekstradycji, ale ja nie przepadam za tropikami. Może Szwecja. Oni limitują ekstradycję. Dostanę pracę w Volvo. Namówię ich na zamontowanie elektronicznego urządzenia sterowania rakiet w czterodrzwiowym modelu. Co o tym myślisz?

- Znajdź sobie dużą blondynkę z rodu wikingów. - Marcy zmusiła się do lekkiego tonu.
- Zawsze lubiłeś blondynki.

- Dobrze... trzeba będzie o tym pomyśleć. - Ben uśmiechnął się. - Zmagać się czy spadać? Mam jeszcze kilka tygodni.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

- Jak sobie radzisz? - zapytała wreszcie Marcy.

- Kocham cię - Tyson ze zdziwieniem uświadomił sobie, co powiedział.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała szybko i dodała: - ale sądzę, że postanowiłeś nie przyjeżdżać do nas.

Ben milczał.

- Przypuszczam, że masz wystarczająco dużo spraw na głowie bez problemów małżeńskich. Zgadza się?

Tyson nadal nie spieszył się z odpowiedzią.

- Znalazłem sobie miejsce w centrum - zmienił temat. - Mieszkanie Paula Steina. Znasz go. Wybiera się do Hamptons. Będę płacił świadczenia, bronił domu przed złodziejami, odbierał pocztę i telefony.

Znowu zapanowała długa, niezręczna cisza, potem odezwała się Marcy:

- Pozwolą ci mieszkać... jak to się nazywa?

- Z wolnej stopy. Mam nadzieję. OSB - oficerowie stanu bezżennego jakoś lawirują... Mój horoskop na dzisiaj brzmi: zamienisz dobrze płatne stanowisko kierownicze na pracę domową. Otworzą się przed tobą nowe możliwości w siłach zbrojnych. Może cię czekać długa wycieczka na koszt rządu lub sam za własne pieniądze wybierzesz się w miejsce, gdzie rząd cię nie znajdzie. Twoja towarzyszka życia wykaże zrozumienie, jeżeli otrzyma kartkę z Rio de Janeiro podpisaną Joao.

- Chciałabym tylko, żebyś mnie informował o wszystkim na bieżąco.

Ben okręcił się na krześle.

- Dobra. Numer Steina masz. Przeprowadzę się podczas weekendu.

- No cóż... uważaj na te wszystkie napalone pracujące dziewczyny.

- Uściski dla Davida.

- Powiem mu.

- Dobrze. Uważaj na siebie.

- Będę. Ty też.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Tyson odłożył słuchawkę na widełki i spostrzegł, że drży mu ręka.

- A niech to - walnął dłonią w biurko, aż wszystko podskoczyło. - Niech to! - Wstał i kopnął w kosz, który przetoczył się na drugi kraniec pokoju.

Rozdział 16

Ben Tyson stał przed okrągłym grillem, ze szkocką w jednej ręce i łopatką w drugiej.

Przyglądał się samotnemu hamburgerowi. Uznał, że jest w nim coś patetycznego, wsunął go na łyżkę i cisnął w krzaki. Dokończył szkocką. Cisza na podwórku została przerwana nagłym, ostrym hukiem, który uciszył ptaki. Gdzieś na ulicy rozległa się seria głuchych dźwięków, jakiś pies zaczął szczekać. Z podwórka o kilka domów dalej dochodziły dźwięki muzyki i śmiechu. Czwarty Lipca nie był jego ulubionym świętem, ale spędzanie go samotnie także nie wydawało się zachwycającym pomysłem. Zazwyczaj, jeśli tego dnia był akurat w domu, z Marcy i Davidem szli do miejscowego klubu. Zarząd stawał na głowie, żeby świętować z zachowaniem wszelkich tradycji. Na trawnikach ustawiano pasiaste namioty, w których sprzedawano hot-dogi, hamburgery, balony i watę cukrową. Ludzie siedzieli na werandzie i pili piwo, organizowano zabawy dla dzieci, a orkiestra dęta grała marsze Sousa. Na szczęście nikt się nie silił na mowy.

Zastanawiał się, czy teraz też nie dołączyć do świętujących, ale stwierdził, że nie jest w nastroju, by pokazywać się publicznie i wprawiać w zakłopotanie sąsiadów. Na ten wieczór zaplanował zalenie się w trupa, być może nawet do tego stopnia, by wziąć pod uwagę wynajęcie samochodu, który zawiózłby go do Sag Harbor.

Otworzył francuskie okna i wszedł do swojej kryjówki. Nalał sobie kolejną szklanekę szkockiej i wyciągnął z półki kilka książek. Wrzucił je do kartonu. Rano miał zamiar pojechać na Manhattan i wprowadzić się do mieszkania Paula Steina.

Zadzwoił telefon, ale Ben zignorował go. Przeszukiwał szuflady biurka w poszukiwaniu kalkulatora. Telefon nie przestawał dzwonić. Niewielu ludzi miało ich zastrzeżony numer, ale nie było nikogo, z kim chciałby porozmawiać. Znalazł kalkulator i wrzucił go do teczki. Telefon nadal dzwonił. Nagle pomyślał, że to może być David, i podniósł słuchawkę.

Usłyszał kobiecy, nieznany głos:

- Czy pan Benjamin Tyson? Kto mówi? - zapytał Ben.

- Mówi major Harper...

Poczuł ból w żołądku.

- Jestem z Izby Wojskowej. Zostałam wyznaczona do przeprowadzenia śledztwa, zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, i mam zapoznać się z faktami dotyczącymi domniemanego naruszenia przepisów w *Hôpital Misericorde* w Republice...

- Mówi pani poważnie?

- Tak, poruczniku.

Tyson usiadł na krześle koło biurka.

- Skąd ma pani mój numer?

- Otrzymałam go wraz z materiałami sprawy...

- To jest numer zastrzeżony.

- Nie sędzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Przepraszam, że zakłócam świąteczne popołudnie...

- Skąd pani dzwoni?

- Z Waszyngtonu, co również nie ma żadnego znaczenia, poruczniku.

- Proszę mnie nie nazywać porucznikiem.

- Czy otrzymał pan papiery powołania do służby czynnej?

Ben pochylił się nad swym kalendarzem machinalnie przerzucając kartki. Oczekiwał takiego telefonu, a jednak nie czuł się przygotowany. Jeszcze kilka dni temu mógł legalnie wyjechać z kraju. Dzisiaj stał się oficerem armii Stanów Zjednoczonych i nie dane mu już było cieszyć się taką wolnością jak większość Amerykanów.

- Mam tu potwierdzenie listu poleconego... - powiedziała major Harper.

- Tak, otrzymałem to cholerstwo.

W telefonie zapadła cisza.

- Prosiłabym, żeby odzywał się pan do mnie z szacunkiem należnym mojej randze - powiedziała major Harper.

Tyson potarł oczy i oparł się o krzesło. Wciągnął głęboko powietrze. Głowa zaczynała go boleć, a w żołądku poczuł następne skurcze. Postarał się odezwać łagodniej.

- Dobrze. Spróbuję być możliwie grzeczny.

Jej głos w jednej chwili nabrał cieplejszych tonów.

- Przepraszam, jeśli zabrzmiało to zbyt ostro.

- Nic nie szkodzi. Czym mogę pani służyć?

- Tak jak mówiłam, prowadzę wstępne śledztwo, by ustalić, czy zdarzyła się naprawdę domniemana zbrodnia opisana w książce „Hue: Zagłada miasta”. Przypuszczam, że pan ją zna.

- Rzeczywiście, chyba coś słyszałem.

- Miałam zamiar rozpocząć śledztwo od czego innego - powiedziała - ale przyszło mi do głowy, że powinien mieć pan szansę przedstawienia swojej wersji wydarzeń.

- Miło, że pani o tym pomyślała.

- Moją rolą jest poinformować pana o prawach, jakie mu przysługują w myśl artykułu trzydziestego pierwszego Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego. Ma pan prawo odmówić zeznań i powołać adwokata. Moim obowiązkiem jest również ostrzec pana, że w grę wchodzi... oskarżenie... o morderstwo.

Tyson milczał.

- Przysługuje panu prawo zadawania pytań świadkom - mówiła dalej - ale w tej chwili nie dysponujemy jeszcze żadnym. Jak już wspomniałam, jest pan pierwszą osobą, do której dzwonię. Proszę posłuchać, jako oficer zna pan swoje prawa. Tak naprawdę interesuje mnie, czy zgodzi się pan na spotkanie.

Ben zastanawiał się nad odpowiedzią. Ta kobieta była niezwykle szczerą przyznając, że nie przygotowywała się do rozmowy. Kiedy armia prowadziła śledztwo, rutynowym postępowaniem było, jak pamiętał, wmówić podejrzanemu, że przygotowano już całe bataliony gotowe świadczyć przeciwko niemu, a biurka oficerów śledczych pełne są podpisanych zeznań i dowodów winy.

Poczuł cichą nadzieję, że śledztwo zostanie umorzone. Rozumiał, że zależało to w wielkim stopniu od niego samego i tej nieznanym kobiety. Oczywiście były też inne czynniki, ale opinia oficera prowadzącego śledztwo wstępne mogła zdusić sprawę w zarodku.

- W porządku. Spotkajmy się - powiedział.

- Cieszę się. Chce pan przyjechać do Waszyngtonu?

- Niespecjalnie.

- No cóż, to ja przylecę do Nowego Jorku. Może jutro?

Tyson rozważał przez moment propozycję.

- Dobrze - powiedział.

- Która godzina by panu odpowiadała?

- O jakim miejscu pani myśli, majorze?

- No cóż... wybór jest dość duży... na lotnisku, w Forcie Hamilton...

- Nie i nie.

- W pańskim biurze?

- Tylko w przypadku, jeśli przyjdzie pani w ubraniu cywilnym.

- Chyba mogłabym tak zrobić, ale... czy moglibyśmy się spotkać u pana w domu?

- Ma pani połączenie o dziewiątej. Z Long Island każdy taksówkarz panią tu dowiezie.

Będzie pani przed jedenastą.

- Dobrze, w takim razie około jedenastej u pana w domu. Zakładam, że skoro mamy się spotkać, odstępuje pan od swego prawa do milczenia.

- Nie prosiłbym, żeby traciła pani czas na przyjazd do Nowego Jorku....

- Cieszę się... ponieważ jest szansa, że uda nam się... Nie chcę podtrzymywać sztucznie nadziei, ale być może, jeśli przedyskutujemy sprawę, uda nam się na nią spojrzeć z perspektywy. Wszystko skończy się na rozmowie z panem i innymi członkami plutonu, których zlokalizujemy.

- Dobrze.

- Przepraszam, że pytam, ale chciałabym wiedzieć, czy wnosi pan powództwo cywilne o zniesławienie przeciwko autorowi książki. Nie musi mi pan na to odpowiadać.

- Rozważam to.

- Czy w czasie naszego spotkania będzie obecny pański adwokat?

- Rozważam to.

Nie odpowiedziała od razu.

- Oczywiście ma pan do tego pełne prawo. Ale jako oficer i człowiek wykształcony nie potrzebuje pan asysty. - Po chwili ciągnęła dalej: - Może się pan umówić ze swoim adwokatem, że będzie on uchwytany pod telefonem, ale nie ma potrzeby przesadzać. Jeżeli panu będzie towarzyszył prawnik, ja być może będę musiała przywieźć kogoś, kto zanotuje przebieg spotkania, wtedy...

- Wtedy ja będę potrzebował magnetofonu i zanim się obejrzymy, mój dom wypełnią ludzie z kamerami telewizyjnymi. W porządku, nie będzie adwokata.

- Nie chcę pana do niczego zmuszać. Zgodnie z UKPW ma pan prawo...

- Znam UKPW. Przeszedłem przyspieszony kurs w bibliotece.

- Dobrze.

- Czy mogę zadać pani pytanie?

- Oczywiście.

- Jeżeli ja jestem porucznikiem, a pani majorem, dlaczego wolno mi decydować w niektórych kwestiach? Oczywiście nie musi mi pani odpowiadać. Jako prawnik wie pani o tym dobrze.

Major Harper odpowiedziała po długiej chwili ciszy:

- Czy czuje się pan oficerem armii Stanów Zjednoczonych?

- Wcale.

- Wobec tego zapomnijmy o stopniach, a ja spróbuję nie ranić pańskich uczuć. Znalezienie się w takiej sytuacji jak pańska musi powodować dezorientację.

- Czuję się zdeorientowany, kiedy po raz pierwszy wezwano mnie do wojska. Tym razem jestem tylko wkurzony.

Major Harper nie odpowiedziała.

- Mam nadzieję, że tym razem zostałem powołany na krótko.

- Ja również.

- Naprawdę? - zapytał obcesowo. - Czy pije pani kawę? Nie mam najmniejszej ochoty przygotowywać całego dzbanka, jeśli nie ma pani zamiaru jej pić.

- Nie mam nic przeciwko kawie.

- A więc do jutra. Wszystkiego najlepszego z okazji święta. - Tyson odwiesił słuchawkę.

Usiadł wygodnie i głęboko westchnął. Myślał o bezcielesnym głosie, z którym właśnie przeprowadził rozmowę, i starał się wyobrazić twarz tej kobiety. Głos był miły, miękki, nieco melodyjny, z lekkim akcentem Środkowego Zachodu. Znowu pomyślał, że kobieta jest niezwykle szczerą. Wprost rozbijającą. I wcale nie dlatego, że stara się nie urazić jego uczuć. To był jej styl i lepiej będzie dla niego, jeśli o tym nie zapomni.

To, że potrafił przejąć kontrolę w całej sprawie, nie wynikało z faktu, że major Harper była kobietą ani że starała się postępować delikatnie. Musiała otrzymać rozkaz traktowania go łagodnie. Izba Wojskowa, Pentagon, a może nawet Biały Dom

interesowały się jego przypadkiem.

- Dobrze - powiedział na głos. - Lubię, jak interesują się mną moi moi tego świata. - Był tak przerażony, iż zapomniał, że oni boją się również.

Wstał i nalał sobie kolejną porcję szkockiej. Przyjrzał się częściowo spakowanym pudłom zalegającym podłogę pomieszczenia.

Otworzył na oścież francuskie okna i zapatrzył się w ciemność, pośród której połyskiwały punkciki ognisk. Z domów wystrzeliwały fajerwerki, a z miejskiego parku rakiety rozświetlające wschodnią część nieba. Prawie cieszył się na umówione spotkanie. To dawało mu możliwość przejęcia inicjatywy. Niech diabli porwą prawników. Oto w jego życiu wypranym już z wszelkich wyzwania pojawiło się takie, którego stawką było życie.

Poczuł dawno zapomnianą sensację w dole brzucha, jak tuż przed atakiem. Pomyślał, że kończy się pewien etap jego życia, a zaczyna następny.

- Żadna rozgrywka, żadna bitwa - powiedział sam do siebie cicho - nie okazała się tak trudna jak oczekiwanie na nią. Niech więc się zacznie.

Rozdział 17

Benjamin Tyson za dziesięć jedenasta usłyszał dzwonek do drzwi. Wszedł do przedpokoju i obejrzał się w dużym lustrze. Miał na sobie marynarkę z cienkiej wełny w kolorze morskim. Poprawił jedwabną, czerwoną chusteczkę w kieszonce. Beżowe spodnie miały kant, zgodnie z wojskowym określeniem, jak żyłeta. Czarne buty aż lśniły, a biała, bawełniana koszula podkreślała opaleniznę. Chciał wyglądać jak ktoś pewny siebie, niewzruszony, komu się dobrze powodzi. Ten dom był jego twierdzą, a strój zbroją.

Dzwonek odezwał się powtórnie. Ben podszedł do frontowych drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

Podświadomie oczekiwał kobiety ubranej w jasny mundur, ale to, co miała na sobie, nazywano w wojsku zielenią klasy A: spódnica jak las tuż przed zmrokiem, pasująca do niej góra munduru, nieco jaśniejsza bluzka i krzyżujący się czarny krawat. Na głowie sterczała przekrzywiona zawadiacko polowa furazerka, także zielona, ze złotymi insygniami oficerskimi. Przez ramię przewieszona czarna torba, a w lewej ręce czarna skórzana teczka. Przybyła uśmiechnęła się mile.

- Pan Tyson?

- Nie, porucznik Tyson. Zmyliło panią, jak sędzę, cywilne ubranie. - Wyciągnął dłoń. - Złoty liść dębu mówi mi, że jest pani majorem, a na teczce widnieje nazwisko Harper. Witam panią, majorze Harper.

- Nie ma żadnego powodu, aby nosił pan mundur - odparła ujmując jego dłoń.

- To dobrze. - Zlustrował ją szybko wzrokiem. Miała włosy w kolorze miodu, jasne oczy i cerę, jakby przed chwilą wyszorowała twarz. Patrząc na nią myślało się o łąkach zboża i spotkaniach w kościele. Gdzieś pod tym ukrywającym wdzięki mundurem kryło się piękne ciało. Odsunął się na bok.

- Proszę.

Weszła do środka, ściągając z głowy furażerkę. Wymienili parę uwag na temat pochmurnej pogody, jej lotu i jego domu. Ben zabrał z jej rąk furażerkę i odłożył na komodę.

- W mundurze będzie chyba pani za gorąco.

Zawahała się przez chwilę.

- Chyba tak - powiedziała.

Odłożyła teczkę i torbę, potem odpięła cztery mosiężne guziki swojej świetnie skrojonej kurtki mundurowej i zdjęła ją. Tyson zauważył, że jasnozielona koszula także znakomicie leży, nie widać było na niej najmniejszej zmarszczki. Żadna wojskowa inspekcja nie mogłaby się przyczepić. Przez parę chwil patrzyli na siebie.

- Tędy proszę - odezwał się wreszcie wskazując drogę.

Poprowadził gościa przez salon do gabinetu. Wskazał jej obity zamszem fotel.

- Ładny pokój - stwierdziła i usiadła.

- Dziękuję. - Wcześniej zdążył usunąć pudła, w które pakował rzeczy, i wszystko, co mogło wskazywać na fakt, że chciał się wynieść z domu.

Podszedł do ścianki, gdzie zainstalowany był mały barek, na którym teraz stał elektryczny dzbanek na kawę.

- Ma pani ochotę na likier albo koniak? - zapytał nalewając brunatny płyn do filiżanek.
- A może w dzisiejszych czasach oficerowie nie piją na służbie?

- Piją. Ale ja na razie dziękuję.

Ben wlał sobie odrobinę whisky i śmietanki.

- Klin. - Przypuszczał, że zauważyła jego przekrwione oczy, i uznał, że lepiej będzie od razu to wyjaśnić. - Piłem wczoraj trochę z przyjaciółmi. Po pani telefonie. Właściwie nie z przyjaciółmi, tylko z grupą zbierającą fundusze. Na moją obronę - skłamał. - Mieli spotkanie z okazji Czwartego Lipca w klubie - moim wiejskim klubie - wszyscy byli w patriotycznym nastroju, no i puścili w obieg kapelusz. - Tyson wiedział, że jego przedstawienie wypada średnio, ale brnął dalej: - Tutejsza społeczność udzieliła mi sporo poparcia. Wiem także, że podobna fundacja powstała gdzieś na terenie kraju... ale mam nadzieję, że pomoc finansowa nie będzie mi potrzebna.

Karen Harper wyciągnęła ze swojej teczki zadrukowaną kartkę.

- Załatwmy najpierw formalności - powiedziała - żeby mieć to za sobą. Pańskie prawa i tak dalej. Muszę to zrobić jeszcze raz osobiście. Dobrze?

- Śmietanki?

- Tak, poproszę.

- Cukier?

- Tak... Chciałabym teraz odczytać pańskie prawa. - Zerknęła na kartkę.

- Słucham. - Wlał śmietankę.

- Dobrze... ma pan prawo nic nie mówić...

- Przepraszam. Jedna kostka czy dwie?

- Tylko jedna, dziękuję. Ma pan prawo zadawać pytania wszystkim świadkom. Ma pan prawo skorzystać z usług wojskowego obrońcy. - Kontynuowała czytanie, kiedy stawiał przed nią filiżankę z kawą.

Ben rozważał przez moment, czy nie usiąść na biurku, ale odrzucił ten pomysł. Przesunął stylową leżankę tak, że znalazł się naprzeciwko gościa, po drugiej stronie stolika, gdzie postawił filiżanki. Przyglądał się Karen Harper, kiedy recytowała krótką listę jego praw. Sam odczytywał ją oskarżonym przynajmniej z pięćdziesiąt razy i za każdym razem czuł się niezręcznie. Zawsze jakieś napięcie wisiało pomiędzy nim a żołnierzem, któremu groził sąd.

Karen Harper podniosła wzrok znad kartki.

- Czy rozumie pan, jakie prawa przysługują mu zgodnie z Ujednoliconym Kodeksem Prawa Wojskowego?

- Tak jest, pani major.

- Czy życzy pan sobie, by reprezentował go obrońca wojskowy?

- Nie, pani major.

- Czy życzy pan sobie przy tej rozmowie obecności jakiegoś innego prawnika?

- On teraz gra w golfa.

Podniosła na niego wzrok i czekała.

- Tak jak powiedziałem podczas naszej rozmowy telefonicznej - dodał Tyson - nie.

Niedbale kiwnęła głową.

- Mam obowiązek poinformować pana - mówiła dalej - o wszystkich oskarżeniach wysuniętych przeciwko panu. Na razie nie ma żadnych. Ale oczywiste jest również, że zajmujemy się przypadkiem morderstwa.

Ben nie odpowiedział.

- Tak jak już powiedziałam - ciągnęła - nie mamy jeszcze świadków, ale jeżeli otwarte zostanie formalne śledztwo, będzie miał pan prawo do krzyżowego ognia pytań. Może pan proponować świadków, którzy potwierdzą pańską obronę lub osłabią oskarżenie. Czy może pan podać takich świadków?

- Nie, pani major.

- Ma pan prawo wygłosić oświadczenie. Czy chce pan to zrobić?

- Nie, pani major.

Zapadła długa cisza.

- Chcę odpowiadać na pytania - odezwał się wreszcie Tyson. - Proszę zaczynać.

Zerknęła do swoich notatek.

- Dobrze... Czy czytał pan książkę: „Hue: Zagłada miasta”?

- Tak, pani major.

- Majora może sobie pan darować. Czy jest pan tym porucznikiem Benjaminem Tysonem wspomnianym w książce?

- Na to wygląda.

- Czy pan dowodził plutonem, który opisany jest w szóstym rozdziale wspomnianej książki?

- Tak.

- Czy byli tam oficerowie wyżsi rangą?

- Nie. Dowodziłem swoim plutonem w oderwaniu od kompanii i batalionu.

- Czy miał pan kontakt radiowy ze swoim dowództwem?

- Sporadyczny. Baterie radia były słabe. A nie bardzo mieliśmy jak je wymienić.

Kiwnęła głową i zadała jeszcze kilka pytań. Ben wiedział, że przyzwyczajają go tylko do odpowiadania, dlatego nie zbliżała się nawet do głównego problemu masowego morderstwa. Jest dobra, pomyślał. Ale on sam tak kiedyś postępował, więc nie mogła go zaskoczyć.

Postanowił przerwać strumień pytań. Wstał i dołał do obu filiżanek kawy.

- Zróbmy przerwę.

Uśmiechnęła się, jakby uznała to za dobry pomysł, ale Tyson wiedział, że wcale tak nie uważa.

- Papierosa? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli ja zapalę?

- Ależ nie.

Oparł się o krawędź biurka i zaciągnął się dymem. Patrzył na major Harper. Pomyślał, że warstwa spokoju jest tylko powierzchowna, mógł się przez nią przedrzeć w każdej chwili.

Zacząła mówić na nie związany ze sprawą temat, jakby ta część rozmowy nie należała do śledztwa, ale Tyson wiedział, że należy.

- Natknęłam się w pańskich aktach na coś interesującego... - zaczęła - uwagę, którą dopisał pan na przysłanym przez wojsko kwestionariuszu. Przypomina pan sobie?

Pozwolił, by minęło kilka sekund, dopiero potem powiedział:

- A... to... musiałem być tamtego dnia nie w humorze.

- Najwyraźniej. Rzadko się zdarza, by taka adnotacja znalazła się w aktach oficerskich.

- Nie byłem oficerem.

- Ależ był pan. I jest. Od dnia, w którym po skończeniu studiów złożył pan przysięgę oficerską.

- Czy to by zmieniło w jakiś sposób sytuację, gdybym poprosił o skreślenie z listy oficerów?

- Nie wiem. Mój wydział nie zajmuje się takimi sprawami. Byłam jedynie ciekawa, co popchnęło pana do napisania tej uwagi?

- Czy pamięta pani wojnę? Od upadku Sajgonu? Wygląda pani tak młodo...

- W czasie ofensywy Tet miałam piętnaście lat...

- Piętnaście. Boże, dlaczego ja nie miałem tyle. Przy okazji, Tet to czas, a nie miejsce. Wie pani o tym?

- Oczywiście. Kiedy Sajgon upadł, w 1975 roku, miałam dwadzieścia dwa lata. Wtedy myślałam, że ta wojna trwa od zawsze. Czułam ulgę, że się kończy.

- Tak samo jak moja żona. Wzniosła toast za Front Wyzwolenia Narodowego.

- Przypuszczam, że jednym z powodów, dla którego to mnie przydzielili śledztwo, był mój brak zaangażowania w wypadki, o których mówimy - powiedziała.

- Być może. - Pomyślał, że jej szczerłość zakrawa na spryt.

A może, rozważał, naprawdę jest taka prostolinijna i naiwna. Przyjrzał się jej uważniej. Ani krój, ani kolor munduru nie dodawały uroku, ale twarz, włosy, głos, sposób, w jaki się poruszała, aż nadto to kompensowały. Miała wrażliwe i wyraziste usta.

- A jakie były inne powody, dla których wybrano właśnie panią? Chodzi mi o to, dlaczego właśnie pani?

Wzruszyła ramionami.

- Może ze względu na doświadczenie - zasugerował.

- Nigdy dotąd nie prowadziłam sprawy o morderstwo.

- Mnie nigdy dotąd nie oskarżono o morderstwo. Czyli że oboje jesteśmy nowicjuszami.

- Mogę? - Sięgnęła po dzbanek ze śmietanką i wlała sobie trochę do kawy. - Wracając do tej uwagi w kwestionariuszu. Zastanawiałam się, czy nie chce pan zaskarżyć decyzji o powtórnym powołaniu do czynnej służby.

- Proszę posłuchać, majorze, kiedy rząd postanowi się za ciebie zabrać, nie pozostaje nic innego, jak mu na to pozwolić, chyba że ma się nieograniczone środki.

Pochyliła się w jego stronę nad stołem.

- Nie powinien się pan czuć jak wepchnięty w tryby maszyny. Jeśli pana zdaniem wezwanie jest nielegalne, sugerowałabym zgromadzenie odpowiednio potężnych środków, przede wszystkim finansowych, żeby się mu sprzeciwić. Jak by się powiedziało w piechocie, to pańska pierwsza linia obrony.

Nie odpowiedział.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, wreszcie Tyson wstał i podszedł do biblioteczki, otworzył szufladę i wyciągnął z niej pudełko z cedrowego drewna. Wyrzucił zawartość na blat stołu.

Oboje patrzyli na szeregi medali i baretek, w tym Purpurowe Serce, Bojową Odznakę Piechoty za Walkę Wręcz, Medal Powietrznych Wojsk Szturmowych i Wietnamski Krzyż Odwagi. Ben podniósł mosiężny krzyż za żółto-pomarańczową wstążeczkę i potrząsnął nim.

- To jest odznaczenie wietnamskie. Otrzymałem je podczas ceremonii wręczenia nagród na ruinach Cytadeli w Hue. Było senne, gorące popołudnie, tuż po tym, jak miasto zostało powtórnie zaatakowane. Nigdy nie zapomnę tego małego pułkownika wietnamskiego, który wręczał mi medal. Był poważnie poparzony, śmierdział rybą, syntetyczną japońską szkocką, potem i gnijącym ciałem. Kiedy objął mnie i pocałował, myślałem, że zwymiotuję. - Tyson wpatrywał się w medal. - Ale był z niego kawał żołnierza. Jestem pewien, że nie przeżył. Podobnie jak jego rząd. I teraz trzymam bezużyteczny medal nie istniejącego rządu. - Wypuścił z ręki odznaczenie, które upadło na stół. - Czy to się w ogóle liczy?

- Oczywiście - skinęła głową. - Sąd wojskowy - jeżeli do niego dojdzie - będzie brał pod uwagę tego typu okoliczności. Czy ma pan do tego jakiś dokument?

- Musiałem gdzieś zapodziać. Ale pamiętam, że chwalono mnie za odwagę... podczas akcji, która miała miejsce 15 lutego 1968 roku w i wokół wioski An Ninh Ha. Napisany w kiepskiej angielszczyźnie, ale być może wojsku nie będzie łatwo mnie sądzić za morderstwo, które miało miejsce podczas tej samej bitwy, za którą zostałem odznaczony. Co pani o tym sądzi?

- Niech pan spróbuje odnaleźć rozkaz nadania odznaczenia.

- Nie ma kopii w moich papierach?

- Nie i nie sądzę, żeby obecny rząd w Sajgonie - lub inaczej mieście Ho Szi Mina - był pomocny.

- Za tę samą akcję miałem otrzymać Srebrną Gwiazdę. Wietnamczycy zazwyczaj ustalali listę Amerykanów wystawionych do odznaczenia, a potem dopasowywali swoją wersję medali do amerykańskich. W taki sposób właśnie dostałem Krzyż Wietnamski. Ale nigdy nie otrzymałem Srebrnej Gwiazdy.

- Dlaczego?

- Widziałem rekomendację podpisaną przez komendanta mojej kompanii, Browdera, teraz już nieżyjącego. Ale prawdopodobnie gdzieś zaginęła. To było wtedy dość powszechne.

- Może została odrzucona.

- Możliwe, choć nie przypuszczam.

- Kapitan Browder napisał pewnie swoją rekomendację, opierając się na ustnym raporcie pańskich ludzi. Sam pan powiedział, że Browder nie był z wami w szpitalu.

- Zgadza się. Standardowa praktyka.

- Który z pańskich ludzi zaproponował rekomendację?

- Kelly, mój radiooperator, zrobił ze mnie bohatera. Ktoś inny musiał potwierdzić raport Kelly'ego o moich zasługach. Nie pamiętam kto. Ale i tak niewielu ludzi z mojego batalionu przeżyło. Czy zlokalizowaliście kogoś?

- Tak.

- Ilu? Kogo?

- Przyślę panu albo pańskiemu adwokatowi listę nazwisk i adresów... jeśli to konieczne. Być może nie warto, żeby tracił pan niepotrzebnie czas. Ja zresztą również. Może po prostu zaniechamy prowadzenia śledztwa. - Przysunęła do siebie notatnik. - Zapiszę sobie, trzeba sprawdzić tę Srebrną Gwiazdę.

- Bardzo pani miła, majorze.

- Jeszcze raz chciałam wyjaśnić, że nie pracuję dla prokuratury - powiedziała. - Jestem tu po to, żeby zbierać fakty.

- Tak. Pamiętam, jakie są założenia takiego postępowania. Wpatrywała się w baretki i

medale leżące na stoliku. Ben przyglądał się jej twarzy. Była najwyraźniej pod wrażeniem, a nawet nieco nieszczęśliwa, że musiało dojść do tego. Oczywiście, to jest tylko gra, pomyślał. On gra, ona gra. *Souvenirs de guerre*, jak chwila pamięci za tych, co odeszli. Pomyślał, że zarówno ona, jak i wojsko będzie odnosić się bardzo sceptycznie do jakiegokolwiek propozycji odznaczenia za 15 lutego 1968. Ale przyznać się do tego głośno byłoby czymś w rodzaju świętokradztwa.

- Czytałam pochwałę dołączoną do dwóch Purpurowych Serc. Widzę - mam nadzieję, że nie czuje się pan niezręcznie, kiedy o tym mówię - widzę bliznę na pańskim prawym uchu.

Tyson pozwolił ciszy przeciągać się i upajał się każdą chwilą.

- To było w wiosce Phu Lai - powiedział dopiero po pewnym czasie - pierwszego dnia ofensywy Tet. Straciłem prawie połowę plutonu. Ta kula była przeznaczona dla mnie... ale anioł usiadł mi na ramieniu... i przesunął mi głowę o centymetr w lewo.

Kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- Potem - mówił dalej - byłem zraniony szrapnelem w prawe kolano. 29 lutego. 1968 był rokiem przestępnym. Bitwa o Hue została wypowiedziana oficjalnie 26 lutego, ale ktoś zapomniał o tym powiedzieć Chuckowi.

Znowu pokiwała głową.

Ben postanowił przerwać ponury nastrój. Uśmiechnął się nagle.

- Chce pani zobaczyć bliznę na kolanie?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Może nie w tej chwili. - Po czym dodała: - Ale to dobry chwyt.

- Nieraz posłużył mi, kiedy chciałem oczarować jakąś damę. - Tyson ciągle uśmiechał się, ale myślami był już w tym nadprogramowym dniu lutego. Gorący szrapnel wrył się w jego nogę od lewej strony i powalił go na ziemię. Kiedy spojrzał na ranę, nie wiedział, jakiego widoku ma się spodziewać. Zobaczył krew. Rozerwał cienką bawełnę spodni i ujrzał wielki kawał mięsa: tłuszcz, mięśnie, wiązadła zwisały na zewnątrz, odsłaniając rzepekę. Pamiętał, jak wpatrywał się w gołą kość z niedowierzaniem. Nigdy czegoś takiego nie widział. I jeśli miał kiedykolwiek jakieś wątpliwości, czy jest śmiertelny, w chwili gdy zobaczył, z jakiego materiału jest wykonany, zniknęły one całkowicie.

Ben usiadł znowu na krześle.

- Kontynuujemy?

Karen Harper pochyliła się do przodu. Zadała jeszcze kilka pytań na rozgrzewkę, a potem nie zmieniając intonacji głosu ani wyrazu twarzy zapytała:

- Czy mógłby mi pan opowiedzieć, swoimi własnymi słowami, co wydarzyło się tego dnia, 15 lutego 1968 roku?

Tyson przyjrzał się jej z uwagą.

- Mogę opowiedzieć ogólnie o tym, co się stało, ale nie chcę wchodzić w żadne szczegóły.

Odłożyła na bok kartkę i długopis.

- Jak pan widzi, nie robię prawie notatek, a poza tym to nie jest zeznanie pod przysięgą.

- A czy może mi pani dać słowo oficera, że nie ma przy sobie żadnych urządzeń rejestrujących?

Oparła się wygodnie i skrzyżowała przed sobą nogi.

- Tak, mogę.

Ben przez parę chwil porządkował myśli.

- Okopaliśmy się wokół niewielkiego zagajnika - zaczął opowiadać - jakieś pięć kilometrów na zachód od Hue. W nocy zaatakowały nas moździerze i ogień z broni krótkiej. Dwóch naszych ludzi zostało rannych. O pierwszym brzasku zostali ewakuowani. Było mokro i przenikliwie zimno. W północnych prowincjach luty bywa bardzo chłodny. W każdym razie wyszliśmy z okopu i ruszyliśmy na Hue zgodnie z rozkazami, które otrzymaliśmy przez radio.

Przez szumy w radiu przedarł się nagle jakiś głos, przerywały go trzaski

- Mustang jeden-sześć, tu Mustang sześć - odezwał się nagle kapitan Browder. - Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Tyson wziął słuchawki od Daniela Kelly, swojego radiotelegrafisty.

- Sześć, tu sześć-jeden, słabo, ale wyraźnie. A jak mnie?

- Tak samo. Rozkazy od Dużej Szóstki. Kierować się na południowy wschód w kierunku Hotel Uniform Echo.

Tyson odpowiedział do mikrofonu:

- Zrozumiałem. Coś jeszcze?

- Nie. Polegaj na swoim własnym sędzie. Nie wchodź dzisiaj do miasta. Spotkamy się wieczorem i zajdziemy razem jutro od zachodniej ściany.

- Zrozumiałem... Może powinniśmy się teraz połączyć. Została mi jedna dziewiąta ludzi i wszystko wskazuje na to, że żółtki są wszędzie. Całkiem ich sporo. Widziałem ślady butów zesłej nocy tuż przed świtem. Jakies pięć tysięcy albo i więcej. Idą do miasta.

- Zrozumiałem sześć-jeden. Rozkazy to rozkazy. Wszyscy przędą cienko, chłopczyku. Ale póki co bawimy się dobrze?

Tyson spojrzał na Kelly'ego, który trzymał w dłoni antenę i potrzącał ją, dając w ten sposób do zrozumienia, że szarża jeszcze raz wystawiła wszystkich do wiatru. Tyson wziął głęboki wdech.

- Informuj mnie, jak się mają obydwaj moi ranni - powiedział do mikrofonu.

- Zrozumiałem. - Browder zawahał się, a potem dodał: - Trzymaj się otwartych obszarów. Unikaj zarośli i wiosek.

Tyson nie sądził, żeby to polecenie było zgodne z rozkazami przeszukiwania i niszczenia lub nękania i atakowania. Raczej brzmiało jak rada, by unikać i umykać. Zastanawiał się, czy są na podstuchu agencji bezpieczeństwa armii lub jakiegokolwiek dowództwa.

- Duży brat, duże uszy - ostrzegł wiec.

- Pieprz ich - zachnął się kapitan, który sam najwyraźniej był na granicy wytrzymałości. - Coś jeszcze?

- Potrzebuję racji żywnościowych. I nie mam mapy poza An Ninh Ha.

- Racje wam zrzućę. Map poszukam. Co jeszcze?

Ben pomyślał, że powinien złożyć raport na temat zatęchłego jedzenia, podartych polowych mundurów, rozpadających się butów i chorób wywoływanych przez jakies chemiczne świństwa stosowane do uzdatniania wody. Ale o tym wszystkim Browder wiedział.

- Nic więcej - powiedział.

- Zrozumiałem. Działaj tak znakomicie jak dotąd. Koniec połączenia.

Tyson zwrócił słuchawkę Kelly'emu.

- Ruszmy się. Rozkaz wymarszu: pierwszy, B, trzeci, A, na końcu drugi.

- Zbierać się - głos radiotelegrafisty wystrzelił ponad okop. - Ruszamy. Pierwszy oddział, zbiórka.

Ben wymaszerował z okopu na szeroką groblę i opuścił się w dół, żeby rozejrzeć się po terenie. Za nim wyszedł Kelly i Steven Brandt, medyk plutonu, który ciągnął swą torbę lekarską po błocie.

Tyson przyglądał się swoim ludziom, gdy wychodzili jeden po drugim spomiędzy kępy wierzb i kierowali się w jego stronę. Z pierwszego oddziału strzelców z dziesięciu ludzi pozostało pięciu, sami szeregowcy. Normalnie był on dowodzony przez sierżanta sztabowego, którego teraz zastąpił dziewiętnastoletni czarny chłopak, Bob Moody, wybrany na tę funkcję przez Bena, ponieważ służył w wojsku o miesiąc dłużej od pozostałych. Poza tym był jedynym, który chciał jej.

Za pierwszym oddziałem szła drużyna B, jedna z dwóch obsługujących karabin maszynowy M-60, składająca się ze strzelca, strzelca pomocniczego i podającego amunicję.

Za nimi szedł trzeci oddział strzelców: trzech ludzi, prowadzonych przez szeregowca Larry'ego Cane'a. Na końcu zbierała się drużyna A obsługi karabinu maszynowego z dowódcą Paulem Sadowskim, któremu podlegała również drużyna B. Był sierżantem od pięciu dni.

Nawet kiedy jego pluton zmniejszał się, Tyson utrzymywał drużynę obsługi karabinów maszynowych podzieloną na dwie. Ludowa mądrość głosiła, że przewidywana długość życia obsługujących CKM-y jest krótsza niż oficerów i radiooperatorów. I on w to wierzył. W Phu Lai z pierwotnych czterech drużyn każdej się coś dostało. Naturalnie więc ludzie nie palili się do takiej służby, ale odczuwali perwersyjną przyjemność, kiedy już się zdarzyło im dostać do obsługi M-60. Tylko najlepsi, najbystrzejsi i najsilniejsi mogli podołać wyczerpującej i niezwykle ważnej pracy. Kiedy ktoś z drużyny padał zabity, inny musiał zająć jego miejsce tak samo, jak w dawnych regimentach kawalerii ktoś zawsze niósł chorągiew.

Kierowanie ludźmi, pomyślał Tyson. Właśnie tak, jak uczono nas na kursie w Auburn. Chociaż w tym przypadku trochę bardziej skomplikowane.

Przyglądał się, jak ostatni mężczyzna wychodzi spomiędzy wierzb. Był to szeregowiec Hernando Beltran, muskularny Amerykanin pochodzenia kubańskiego, jedyny z drugiego oddziału, który przeżył. Twierdził, że jest obecnie dowódcą drugiego oddziału, i odmawiał zarówno przeniesienia do któregoś z pozostałych oddziałów strzelców, jak i do obsługi CKM-u. Tyson rozumiał go, toteż pozwalał mu dowodzić swym nie istniejącym oddziałem, zawsze w ariergardzie.

Beltran niósł karabin automatyczny typu Browning, a przez ramię przewiesił granatnik M-79. Miał także kolta, a sądząc po hebanowej rękojeści wykończonej chromem, rewolwer nie należał do standardowego wyposażenia armii. Prawdopodobnie takich używano w West

Miami. Również najwyraźniej ze Stanów Beltran przeszmygłował swoją maczetę wykonaną z lśniącej, chirurgicznej stali, z rękojeścią z kości słoniowej. Oświadczył, że należała ona jeszcze do jego ojca, który był właścicielem plantacji trzciny cukrowej na Kubie, zanim zaczęły się tam rządy Castro. Twierdził również, że pewnej nocy w obozie ukazała mu się Nuestra Senora del Cobre i poleciła mu zabić stu komunistów w rewanżu za nieszczęścia, jakie dotknęły jego rodzinę. Tyson podchodził do objawienia dość sceptycznie, ale nie widział powodu, by niszczyć pożyteczną motywację szeregowca Beltrana.

Grupa dowodzenia plutonu składała się z pięciu mężczyzn, w tym Tysona, Brandta i Kelly'ego. Drugi radiooperator, Johanson, zginął w Phu Lai, a sierżant, Fairchild, był obecnie w Japonii, uskarżając się na zbyt krótkie prześcieradła. Zdaniem Tysona strata Fairchilda mogła okazać się szczególnie bolesna. Był jedynym pomiędzy nimi zawodowym żołnierzem. Mając trzydzieści osiem lat pełnił rolę ojca w tym młodzieżowym plutonie, działał na nich uspokajająco. Ta wojna, myślał Ben, była wojną dzieci. A dzieci, jak powie wam każdy nauczyciel, kiedy nikt nimi nie kieruje, są zdolne do zaskakująco brutalnych czynów.

Tyson przeszedł na skraj wału i przyglądał się procesji idących mężczyzn. Kiedy przechodzili obok, każdemu kładł rękę na ramieniu i zagadywał:

- Jak tam ma się dzisiaj ropowica tropikalna, Walker?

- Następnym razem stań trochę bliżej żyłki, Scorello.

- No i co, Peterson? Jeszcze osiemnaście dni? Wytrzymasz? Wyprowadzę cię stąd za dzień lub dwa.

Brandt wręczał pigułki przeciw malarii. Tyson widział, jak każdy z mężczyzn posłusznie wkłada lekarstwo do ust. Kilka kroków dalej prawie połowa z nich wypluwała proszek. Znalazszy się w sytuacji wyboru między malarcią a prawdopodobieństwem śmierci lub odniesienia rany wybierali oczywiście chorobę.

Tyson spoglądał każdemu z mężczyzn w oczy i widział w nich toniepokojące Odległe Spojrzenie, spojrzenie ludzi przebywających o tysiące mil stąd.

Ale może już tego dnia, a najwyżej nazajutrz nadejdzie dla Kompanii Alfa dzień odpoczynku. Nie do pogardzenia byłaby odrobina rozwiązłości, jeśli burdele Quang Tri przetrwały program „oczyszczenia” zarządzony przez wroga. Ben odwrócił się do radiooperatora.

- Jak tam, Kelly?

Radiooperator skinął głową ze zrozumieniem.

- Daję im jeszcze jeden do dwóch dni - odezwał się cicho - jeśli wszystko pójdzie dobrze, to znaczy nie trafi nam się żadne zaminowane pole ani snajperzy, ani pułapki, ani oczywiście

jakaś następna Phu Lai. Dobrze by zrobiła odmiana tej gównianej pogody.

Tyson zapalił papierosa i wydmuchał dym w szare, przepojone deszczem powietrze. Kelly, jak większość radiooperatorów, stał ciut powyżej wojskowej przeciętnej. Oficerowie wybierali swoich łącznościowców ze względu na ich umiejętność szybkiego myślenia i szybkiego nadawania przez radio. Łącznościowcy mieli bliski kontakt z oficerami i część dowódczych zdolności jakby przechodziła na nich. Zresztą Ben naprawdę uważał, że Kelly stanowi dobry materiał na oficera.

W naturalny sposób radiotelegrafista stał się prawie jego przyjacielem, chociaż wojsko nie popierało fraternizowania się oficerów z podkomendnymi. Ten osobliwy zwyczaj obowiązywał także w czasie walki, a ponieważ w Kompanii Alfa pozostało tylko dwóch z początkowej liczby sześciu oficerów - Browder i Tyson - krąg potencjalnych przyjaciół tego ostatniego zawężał się do Browdera. Ben poznał starą prawdę, że na szczycie jest się samotnym.

- Nie sądzę, żeby komukolwiek zależało na dotarciu do Hue - dodał Kelly.

Tyson zastanawiał się nad tym przez moment.

- Całe mnóstwo żołnierzy piechoty morskiej - powiedział wreszcie - wyczekuje nas z utęsknieniem.

- Nasza banda nic im nie pomoże. - Radiooperator wzruszył ramionami. - A poza tym jeśli piechociarze wpakowali się w gówno, niech sami z niego wyłazą.

Tyson odrzucił rozmokłego papierosa i zerknął na Kelly'ego zastanawiając się, o ile lepiej radiotelegrafista ocenia stan psychiczny żołnierzy niż on.

- Rozkazy to rozkazy.

- Daj spokój, poruczniku - zachnął się Kelly. Przez chwilę jakby się zawahał, a potem dodał cicho: - Ja już im nie ufam.

- Komu? Wierchuszce?

- Tym pieprzonym skunksom nie wierzyłem od chwili, kiedy pierwszy raz postawiłem nogę na tej ziemi - parsknął Kelly. - Nie, mówię o nich. - Wskazał głową na pluton w rozsypce.

Tyson przytaknął. On sam przestał im ufać jakiś tydzień wcześniej, kiedy Fairchild wszedł na minę. Zarówno dla porucznika, jak i dla jego ludzi stało się oczywiste, że stanowi on szczerą pozostałość autorytetu wojskowego w plutonie. To znaczy, że gdyby zniknął z obrazka, sprawy mogły w jakiś nie do końca uświadomiany sposób pójść lepiej.

Ale miał nadal nadzieję, że pomiędzy pragnieniem wyeliminowania oficera a wyeliminowaniem go naprawdę jest ogromne terytorium emocjonalne. Przez większość czasu ufano mu i okazywano szacunek. Nawet paniczna ucieczka z Phu Lai nie naruszyła jego pozycji w plutonie. Ściągnął im na głowę kłopoty, ale potrafił ich z nich wyciągnąć.

Radiotelegrafista, jakby czytając w myślach Tysona, zauważył:

- Jest pan jedyną osobą, która umie posługiwać się mapą i może wezwać artylerię.

Porucznik nie odpowiedział.

- Gdyby pana zabrakło, pułkownik pozwoliłby nam połączyć się z kompanią. A mogłoby się ułożyć jeszcze lepiej, bo gdyby przy życiu pozostał jedynie Browder, wydałby pewnie rozkaz wycofania się.

- Przysłaliby jakiegoś spadochroniarza z tyłów, żeby wami dowodził.

- Taki długo by nie przetrwał.

Tyson przytaknął. Nie, taki długo by nie przetrwał. Patrzył, jak mija go ostatni członek jego plutonu, Beltran. Rozciągnęli się na jakieś ćwierć kilometra, między poszczególnymi ludźmi odległości dochodziły do dziesięciu metrów. Tyson oderwał pijawkę od ramienia i przyjrzał się, jak strumyczek krwi ścieka po jego bladej skórze.

- A niech to!

- Ząbki pozostały w ranie - ocenił Brandt spoglądając na ramię. - Zainfekuje się.

Tyson ścisnął czerwony ślad i poczuł mikroskopijne ząbki wewnątrz ciała. Pijawka musiała przyczepić się do niego jeszcze w nocy i zanim się obudził, stała się już szarą, pulsującą nabrzmiałością wielkości wiecznego pióra. Pijawki wstrzykiwały hirudynę do krwi i Tyson wiedział, że miną całe godziny, zanim krew zakrzepnie.

Pomyślał, że pijawka została jedynym stworzeniem, którego nadal brzydzą się najbardziej nawet zatwardziali weterani, przyzwyczajeni do flory i fauny południowej Azji, iskający się nawzajem i wyciągający jadowite węże ze śpiworów po zimnej nocy. Wypijająca krew pijawka była metaforą. Tak samo wypijał z nich życie Wietnam.

Tyson wylał na miejsce ugryzienia jodynę.

- Później dam panu igłę, wyciągnie pan to świństwo. Nie trzeba było odrywać. Kiedy przypalić jej jaja papierosem, sama odpada.

- Wiem o tym. - Ale wcale nie żałował, że zmiotł pięścią tę obrzydliwość. - Chodźmy.

Tyson, Brandt i Kelly ruszyli szybko w górę kolumny zajmując pozycję w środku formacji.

Porucznik odwrócił się do medyka, zgiętego pod ciężarem apteczki, deszcz ściekał mu z peleryny w ochronnych barwach.

- Czy ktoś zgłosił się do ciebie dziś rano? - zapytał.

Brandt uniósł głowę. Tyson z niedowierzaniem patrzył na kolor jego twarzy. Widywał niezdrową skórę, przybierającą barwę kredy, pocętkowaną, żółtą, szarawą. Ale twarz Brandta była naprawdę szara, jakby zrobiona z gliny. Tyson podejrzewał, że medyk musiał zjeść coś z azotanami - prawdopodobnie ładunek napędowy mózdzierza - żeby symulować chorobę, ale przedobrzył. Skurczybyk.

- Czy ktoś się zgłaszał z jakąś chorobą, Brandt?

- Tylko Scorello - odparł bezbarwnym głosem medyk. - Powiedział, że ma zszarpane nerwy.

- Mówiłem ci, żebyś takich odsyłał do mnie - odparł Tyson.

Brandt wzruszył ramionami.

Kiedy szli, Tyson przyglądał się swojemu medykowi. Brandt, jedyny poza nim w plutonie wykształcony człowiek, ukończył wstępny kurs medyczny w Bucknell. Ponieważ nie udało mu się od razu dostać na studia lekarskie, poniewczasie określił samego siebie jako człowieka uchylającego się od służby wojskowej z przyczyn religijnych i został natychmiast przydzielony do korpusu medycznego.

- Kiedy następnym razem będziesz się faszerował jakąś mieszanką wybuchową, doktorku, zrób mi tę przyjemność i połknij razem z nią zapaloną zapałkę - powiedział Tyson.

- O czym pan mówi? - Steven odwrócił twarz w drugą stronę.

Ben przypomniał sobie, że medyk był już w Wietnamie jakieś siedem miesięcy. Wielu z tych, dla których udział w wojnie był niezgodny z przekonaniami religijnymi, odmawiało noszenia broni, ale zazwyczaj po niedługim czasie godzili się na pistolet w celu samoobrony. A wcześniej lub później, w zależności od tego, czy ich wiara była bardzo głęboka i jak często otarli się o śmierć, zastępowali pistolet karabinem maszynowym M-16. Niektórzy żądali granatów i innego niepacyfistycznego wyposażenia. Brandt przybył na wojnę w pełnym rynsztunku. Tyson wstrzymywał się od oceniania moralności. Ale uznał go za człowieka słabego.

- Nikt nie zgłosił się z fizycznymi obrażeniami? - zapytał.

Brandt pokręcił głową.

To było zastanawiające. Z całą pewnością w plutonie nie było ani jednego człowieka,

który by się czuł fizycznie dobrze. Nie trzeba kończyć medycyny, żeby słyszeć kaszel, zauważyć oznaki dyzenterii, gorączki i wymiotów. Butwiejące buty żołnierzy pokryte były utlenionymi pęcherzykami krwi i właściwie żaden z nich nie poruszał się normalnie. A jednak nikt przez ostatni tydzień nie zgłaszał choroby. To był rodzaj przekazu. Do tych, którzy przeżyli z pierwszego plutonu, Kompanii Alfa, ból nie miał dostępu. Nie bali się go.

Tyson, Brandt i Kelly osiągnęli pozycję w środku szeregu i wyrównali do rzędu.

- Pewnego dnia, doktorze - radiotelegrafista zwrócił się do Brandta - będziesz siedział we własnym gabinecie, wysłuchując jakiegoś wysoko postawionego grubasa skarżącego się na hemoroidy i przypomnisz sobie, ile dobrego zrobiłeś tutaj. Nie opuszczaj plutonu, doktorku, bo stracisz to wspomnienie.

Brandt zatrzymał wzrok na Kellym.

- Odpieprz się - powiedział.

Tyson otworzył celofanową torebkę z przekładancom waflowym, który przysłała mu siostra, i poczęstował najpierw Kelly'ego, a potem Brandta. Sam też wziął kawałek, włożył go do ust, pozwalając mu roztopiać się powoli niby opłatкови komunii. Poczuł, jak w odpowiedzi na aromat wanilii, słodycz kremu i cukru jego usta napełniają się śliną. Niech Bóg cię błogosławi, Laurie, pomyślał. Niech cię błogosławi za ten przekładaniec. Kiedy wrócę do domu, kupię ci dziesięć pudeł takich wafli.

Wędrowali powoli poprzez martwy i cichy kraj. Po jakiejś godzinie Tyson wyciągnął z kieszeni doszytej od wnętrza munduru mapę obłożoną w plastik i otworzył ją. Przyglądał się jej nie przerywając marszu, porównując ze znakami terenowymi otoczenia. Przypuszczał, że znajdują się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Główną Drogą nr 1 od północy a rzeką Perfume od południa. Z mapy wynikało, że Hue jest jakieś trzy kilometry na wschód. Prawdę mówiąc, w chwilach kiedy rozpędzane wiatrem od Morza Południowo-chińskiego deszczowe chmury rozpraszały się nieco, słyhać było daleki szum wody.

Na intelektualnym poziomie otaczający go chaos fascynował Tysona. Rozumiał, że bierze udział w wydarzeniu historycznym. Z powierzchni ziemi został zmieciony prawie cały naród, dwadzieścia milionów ludzi. Strukturą socjalną kraju i jego instytucje rozpadały się, armia również. Miasta i wioski pustoszył głód i choroby. Z jego własnej niewielkiej perspektywy, a także z wiadomości radiowych i krótkich informacji pisemnych wiedział, że sytuacja jest poważna. A jeżeli Kompania Alfa w mikroskali oddawała to, co się działo ze wszystkimi formacjami amerykańskimi, wniosek był tylko jeden, że trzymają się one resztką sił.

Radio Kelly'ego zaskrzeczało, a potem przebił się przez trzaski głos dowódcy oddziału, Moody'ego:

- Hej, tu jest cała chmara żółtków, kierunek na drugą, dwieście metrów.

Kelly wręczył Tysonowi słuchawkę. Porucznik wpatrywał się w zalane deszczem pole ryżowe.

- Zrozumiałem - odezwał się do mikrofonu. - Widzę ich. Zatrzymajcie się. Pójdę na rekonesans, osłaniajcie mnie.

Pluton stopniowo zatrzymywał się, mężczyźni klękali w błocie, dla celów bezpieczeństwa jedni odwróceni w prawo, drudzy w lewo. Oba karabiny maszynowe wymierzono w grupę nieznaną Wietnamczyków, którzy stali na małym, łysym wzgórku.

Ben podszedł do dwóch strzelców, Farleya i Simcoxa.

- Przejdźmy się.

Tyson, Kelly i dwóch żołnierzy ruszyli dalej główną groblą, a potem skręcili w prawo w małą odnogę pomiędzy polami ryżu. Ben wyciągnął lornetkę i nastawił ostrość. Obserwowani ludzie wyglądali na cywilów.

- Miejscowa ludność albo dobrzy aktorzy.

- Taaa - wtrącił Simcox. - Nie widziałem niewinnego cywila, od kiedy opuściłem San Francisco.

Skręcili w jeszcze węższą przecinkę, szli w stronę Wietnamczyków grzęznąc po kolana w wodzie. Tyson widział teraz, że ci ludzie stoją wokół grobów. A nawet właśnie kogoś grzebią. Doliczył się dziesięciu Wietnamczyków pochylonych nad kopcem: pięciu starych mężczyzn, jeden chłopiec i cztery kobiety, z tego dwie dorosłe, a dwie kilkunastoletnie. Takich właśnie można było spotkać w wioskach. Wyglądali na wieśniaków, wszyscy ubrani w czarne pidżamy i stożkowate, trzciniowe kapelusze. Normalnie mieliby na sobie mieszanię ubrań europejskich, ale od chwili rozpoczęcia Tet wieśniacy wrócili do tradycyjnych strojów, zdaniem Bena po to, żeby ściągnąć na pomoc moce przodków. Jeśli komunistyczna ofensywa nie uda się, wrócą znowu dzinsy i hawajskie koszulki. Niełatwo jest być wieśniakiem.

Kilkoro Wietnamczyków podniosło wzrok na zbliżających się Amerykanów, ale nie oderwali się od swego smutnego obrządku.

- Nawet tu czuję umarłaków - stwierdził Kelly.

Tyson podszedł na jakieś dwadzieścia metrów od kopca wznoszącego się ponad szarą ziemią.

- *Dung cu don!* - zawołał.

Wietnamczycy zamarli, spoglądając na niego. Wydawało się, że znają musztrę, bo rozsunęli się tak, żeby mógł widzieć każdego z nich z osobna i trzymali ręce przed sobą.

Chłopiec i jedna z dziewcząt wypuścili z rąk szpadle.

Tyson, z Kellym u boku, wyszedł z wody i wdrapał się na kopiec. Farley i Simcox osłaniali ich. Zatrzymał się na wprost grupy i spojrzał w głąb dołu na ciała. Doliczył się ośmiu, zawiniętych w porządne, białe bawełniane prześcieradła. Dlatego właśnie pomyślał, że ci ludzie zginęli w Hue. Jeden kształt wskazywał na małe dziecko. Ben dokładnie przyjrzał się uczestnikom pogrzebu, patrząc każdemu po kolei w oczy.

- Dokumenty - powiedział. - *Cho toi xem gian can cuoc.* Dokumenty.

Sześciu mężczyzn i cztery kobiety wyciągnęło ze swoich pidżam plastikowe karty identyfikacyjne. Tyson dokładnie sprawdził wszystkie, a potem zgodnie z protokołem w takich sytuacjach zwrócił się do najstarszego mężczyzny, łysiego i naznaczonego wiekiem, o rzadkiej, białej brodzie.

- *Ong lam gi o day?*

Stary człowiek spojrzał na chłopca, który odpowiedział po angielsku: - Chowamy mama-san i tata-san. Vietcong zabił *beaucoup*. Vietcong bardzo zły.

- W porządku, skończ z tym gównem.

Tyson spojrzał na świeże groby. Sześć już gotowych, a dwa dopiero zaczęto kopać. Wietnamczycy nie lubili zbiorowych grobów, a wykopanie tylu dołów dwiema łopatami musiało zabrać im wiele czasu. Wiedział, że każde ciało było najpierw zawijane czarnym prześcieradłem, a potem białym. Do ust zmarłych wkładano ziarenka ryżu. Nawet umierająca cywilizacja, pomyślał, stara się pogrzebać swoich zmarłych porządnie.

Nie potrafił wyobrazić sobie nic bardziej przygnębiającego niż ci przerażeni wieśniacy grzebiący swoich zmarłych w przenikliwym, zimowym deszczu.

- *Ong o dau den?* - znowu zwrócił się do starego człowieka.

I tym razem odpowiedział chłopiec:

- Jesteśmy z An Ninh Ha. Przyszło *beaucoup* tych z Vietcongu. Zabili tatę-san, mamę-san, dziecko-san...

- Dobra, dobra, uspokój się - Ben spojrzał na mapę i zlokalizował An Ninh Ha. - Którędy się idzie do waszej wioski? *Con bao xa nua den lang?*

Chłopiec wskazał na zasnutą mgłą, odległą linię drzew. Tyson oceniał dystans na jakiś kilometr. Sprawdził z kompasem, a potem przyjrzał się jeszcze raz mapie.

- Zgodnie z mapą tam jest szpital - powiedział do Kelly'ego.

Radiotelegrafista spojrział na trzymaną przez Bena mapę.

- Nie licz na to.

Tyson zerknął jeszcze raz na owinięte w białe prześcieradła ciała i zwrócił się do chłopca:

- Nha Thuong - *hôpital*?

Chłopiec przytaknął energicznie głową.

- W Nha Thuong *beaucoup* Vietcong.

Tyson napotkał wzrok Kelly'ego.

- Dobre miejsce, by je ominąć - stwierdził radiotelegrafista.

- Kelly, naszym celem jest...

- Nawiązać kontakt z nieprzyjacielem i zniszczyć go. Pieprz to, poruczniku - Kelly wskazał głową na dwóch strzelców stojących u podnóża wzgórka. - Nikt nie dowie się o *beaucoup* Vietcong. Nikt nie powie słowa.

Tyson zwrócił się do chłopca.

- Vietcong w Nha Thuong? *Bac si* w Nha Thuong?

Chłopak przytaknął.

- *Français. Français. Catholique. Catholique.*

Tyson spojrział na Kelly'ego. Twarz radiotelegrafisty zdradzała, że nie obchodziłoby go, gdyby nawet w szpitalu znalazł się sam papież. Nagle odwrócił się i uklęknął koło jednego z ciał. Przez białe prześcieradło przesiąkała krew. Zapatrzył się na czerwoną plamę.

- To śmierdzi. - Złapał za ramię jedno z ciał i potrząsnął nim.

Wyciągnął swój nóż i rozciął białe prześcieradło od czoła do klatki piersiowej. Wietnamczycy zaczęli lamentować. Kelly rozerwał podwójny całun i ukazała we sinobiała twarz młodego człowieka. Rozdarł całun dalej i ich oczom ukazał się mundur khaki żołnierza armii północnowietnamskiej.

Zawodzenie ucichło i zapadła pełna napięcia cisza. Radiotelegrafista podniósł się powoli i spojrział groźnie na grupę Wietnamczyków.

- Te skurwiele chowają ciała naszych wrogów - odezwał się do Tysona.

Porucznik pomyślał, że nic go to nie obchodzi.

- Zapomnij o tym - powiedział.

- Takiego. - Kelly uniósł karabin i Wietnamczycy natychmiast zbili się w grupę przywierając do siebie. - Zginiecie! - wrzasnął.

Jedna z kobiet przypadła mu do kolan.

- Nie! Nie zabijaj mnie! - zaczęła krzyczeć.

- Przestań - ryknął na niego Tyson.

Kelly opuścił broń.

- Przeklęte żółtki.

Tyson odwrócił się w stronę Farleya i Simcoxa, którzy wdrapywali się na wzgórek.

- Rozetnijcie łałuny - rozkazał.

Mężczyźni zawahali się, a potem wyciągnęli noże. Radiotelegrafista wpatrywał się w szpadle.

- Spójrz na to gówno - powiedział do Tysona. - Amerykański sprzęt. - Podniósł szpadel i zamierzył się nim na chłopaka.

- Skąd to wzięteś, śmierdzielu?! *O dau*?! - wrzeszczał Kelly.

Chłopak dygotał, ale jak każdy, komu udało się przeżyć w kraju wojny, nie tylko znał język armii okupacyjnej, nie tylko potrafił szybko uchylić się przed ciosem, ale miał zawsze dobrą odpowiedź na pytanie, od którego mogło zależeć jego życie.

- Kupiłem od Amerykanów. Czarny rynek. Kupiłem. Osiemset piastrow.

- Jesteś workiem pełnym gówna.

- Jeszcze dwóch! - zawołał do nich Simcox.

- Wrzućcie ich do wody - powiedział Ben, a potem dodał spoglądając na Wietnamczyków.
- Nie będzie pogrzebu. - Wykonał gest odcinania głowy. - Kapujecie? *Biet?*

Wszyscy zgodnie przytaknęli, chociaż ich twarze wyrażały stanowczy sprzeciw.

- *Biet! Biet!*

Tyson usłyszał plusk i odwrócił się. Pierwszy z żołnierzy wrogiej armii wylądował twarzą pośród ryżu. Farley i Simcox wrzucili po nim drugiego i trzeciego. Woda uniosła ciała na wschód, w kierunku Hue, miejsca, gdzie zaczęli swą pośmiertną wędrówkę. Kiedy tak się im przyglądał, z prawej strony jednego trupa ukazał się szczur wodny i zaczął wdrapywać się na ciało. Zanurzył długi pysk w rozcięciu prześcieradeł. Ben odwrócił głowę.

- Mam nadzieję, że ci trzej skurwiele byli z Phu Lai - powiedział Farley.

Simcox skinął głową i popatrzył uważnie na cywilów.

- Skończmy z nimi - stwierdził beznamiętnie.

- Wyluzuj się, Simcox. - Porucznik poczuł się nagle jakiś nieważny.

Nawet gdyby ci trzej pochodzili z Phu Lai i byli żołnierzami, zasługiwali na porządną pochówkę. W sytuacji gdy nie działał żaden system prawny, Tyson czuł się w obowiązku wykonać coś w rodzaju aktu prawnego zarówno w stosunku do żywych, jak i umarłych. Zastanawiał się właśnie, co zrobić z Wietnamczykami, kiedy Kelly zawołał:

- Powinniśmy ich przeszukać.

- Pewnie tak. - Tyson wzruszył ramionami.

Kelly wyszczał rozkaz po wietnamsku i mieszkańcy wioski zaczęli się rozbierać. Najpierw opornie, a kiedy wymierzył w nich M-16, już szybciej.

Stali tam nadzy w zimnym deszczu, pięciu starców, chłopiec, dwie stare kobiety i dwie dziewczyny, a ich jedwabne pidżamy i stożkowate kapelusze walały się w błocie. Kelly, Farley i Simcox obchodzili ich wokoło, wkopując czarne pidżamy i słomiane kapelusze coraz głębiej w błoto.

Ben odwrócił się i zapalił papierosa. Radio zagrzechotało i doszedł ich głos Larry'ego Cane'a:

- Jeden sześć, tu jeden trzy. Co się tam u was dzieje?

Tyson wziął radiotelefon od Kelly'ego patrząc na rozciągające się przed nim na pomoc pole ryżowe, gdzie jego pluton zgromadził się na wysokiej grobli.

- Tu jeden sześć. Zbierzcie się i ruszajcie w stronę kępy drzew, kierunek czterdzieści pięć stopni. Starajcie się pozostać na suchym. Spotkamy się z wami po drodze. Kończę. - Oddał słuchawkę radiotelegrafiście, a potem spojrzął na nieszczęsnych wieśniaków stojących nad otwartymi grobami, nagich i dygoczących w zimowym deszczu.

- Dobry Boże, Kelly - cicho rzucił - nie jesteśmy lepsi od nazistów.

Kelly przytaknął.

- Jesteśmy głównem, poruczniku. Naprawdę jesteśmy głównem.

- Pieprzone żółtki - rzucił bez związku Farley.

- Pierdziele - zgodził się z nim Simcox, patrząc bezmyślnie na patetyczne postacie ludzi, którzy instynktownie przytulali się do siebie w poszukiwaniu ciepła, mimo że najwyraźniej byli zawstydzeni. Ben zauważył, że starzy mężczyźni ochraniali kobiety. Chłopak wysunął się naprzód, gotowy podjąć szybkie negocjacje. Jak gdyby wyczuł groźbę masakry, przemknęło przez myśl Tysonowi.

- Wszyscy jesteście pieprzem komuniści! - krzyknął Farley.

Ta standardowa obraza wywołała krzyki protestu i potrząsanie głowami.

- Nie! Nie! Nie komuniści! Nie!

Tyson czuł, że gdyby odwrócił się tyłem, Farley, Simcox i być może nawet Kelly skosiliby tych ludzi, nie zwracając sobie bardziej nimi głowy niż chwastami, które trzeba wyrwać. Niesamowite było przy tym, że Farley należał do zawiązanej w kompanii grupy studiującej Biblię, a Simcox rozdawał nauczycielom z wioski drobne prezenty, jak na przykład mydełka czy długopisy. Radiotelegrafista miał zawsze dobry kontakt ze starszą z wioski. Ale to było w zeszłym miesiącu i jeszcze miesiąc wcześniej. Kiedy jeszcze świeciło słońce i zanim szarozielone worki nie zaczęły się wypełniać ciałami żołnierzy z Kompanii Alfa.

Dzisiaj ich mózgi całkowicie wypełniła wojna, wsączyła się w ich serca i zaraziła dusze. Powiedzenie, że wojna wywołuje w ludziach brutalność, jest taką samą oczywistością jak to, że w czasie głodu ludzie są głodni.

Tyson poczuł się nagle stary, zmęczony i zdemoralizowany. Ale ciągle wierzył, że pozostała w nich odrobina przyzwoitości.

- Każcie się im położyć w grobach i zastrzelcie ich - odezwał się cicho.

Kelly rzucił na niego szybkie spojrzenie. Oczy Farleya rozszerzyły się. Simcox opuścił karabin. Minęła pełna minuta.

- W porządku, bohaterowie! - krzyknął wreszcie porucznik. - Zabierzcie im łopaty. Mogą pogrzebać swoich zmarłych gołymi rękami.

Farley podniósł wojskową saperkę, a Simcox szpadel o długim trzonku. Kelly pokazał Wietnamczykom, żeby się ubrali i powiedział:

- *Chao ong*. Żegnajcie, pierdziele. Wpadnijcie do mnie, jak będziecie w Stanach.

Farley roześmiał się.

Simcox kopnął pacynę błota ochlapując chłopca.

Czterech żołnierzy ruszyło w dół po stoku kopca pogrzebowego, Tyson prowadził ich wzdłuż wąskiej, porośniętej krzakami grobli. Zobaczył, jak reszta jego plutonu idzie im na spotkanie.

Radiotelegrafista szedł tuż za Tysonem. Odezwał się cicho, tak żeby pozostali dwaj nie mogli ich słyszeć:

- Idziemy do szpitala?
- Może - odparł Tyson nie odwracając głowy.
- Nie przeginaj, poruczniku.
- Uważaj, żebyś ty nie przegiął, Kelly. I morda w pieprzony kubek.

Przez chwilę maszerowali w milczeniu.

- Poruczniku - powiedział Kelly - martwię się tylko o pański tyłek.
- Martw się o swój.
- Robię to. Co by się ze mną stało, gdyby pana odfiletowano? Znowu zostałbym prostym żołnierzem - radiotelegrafista zmusił się do śmiechu.

Tyson pochylił się do przodu i zapalił mokrego papierosa. Zagapił się na zapalniczkę wykonaną z nierdzewnej stali, którą otrzymał na Gwiazdkę od swego plutonu. Po jednej stronie wygrawerowany był emblemat pierwszej kawaleryjskiej, po drugiej nieprzyzwoita wersja dwudziestego trzeciego psalmu: „Choć idę doliną śmierci, nie boję się niczego, bo jestem największym jebaką w okolicy”.

Wrzucił zapalniczkę do kieszeni i podał papierosa Kelly'emu.

- Tylko zerkniemy - powiedział. - Jestem ciekawy. Jeżeli będzie śmierdzieć, przejdziemy bokiem albo wezwiemy artylerię, a jeżeli OK, odpoczniemy chwilę. Mogą mieć prysznic, gorącą wodę i Bóg wie co jeszcze. Bieżące zimne i gorące francuskie pielęgniarki.

- Niech będzie - roześmiał się Kelly. - Zajrzyjmy tam. I tak nie pali mi się do Hue.
- Coś takiego już mówiłeś.
- I jutro też to powtórzę.

Czterech mężczyzn spotkało się z pozostałą piętnastką w miejscu, gdzie przecinały się groble.

- Co się tu, u diabła, dzieje, poruczniku? - zapytał Moody.

- Szczegóły pogrzebowe. Paru miejscowych żółtków sadiło żołnierzy armii północnowietnamskiej. Zabraliśmy im narzędzia ogrodnicze. Misja zakończona. - Tyson zwrócił się do Kelly'ego. - Później zdamy raport Browderowi. Trzeba zgłosić trzech nieżywych wrogów. Dobra, ruszamy.

Pluton skierował się ku An Ninh Ha. W trakcie marszu Simcox zawołał do Tysona:

- Dokąd teraz, poruczniku?

- Hue, synu. Hue.

- Pieprz Hue.

- Pieprz Hue - zgodził się Tyson. - Na ulicy Tihn jest mała kafejka, gdzie podają miody pitne. I martela z croissantami.

- Już nie. Z czym?

- Z croissantami. To takie francuskie urządzenie, żeby się dmuchać pod stołem. Podają do brandy.

- Żartuje pan?

- Nie żartuję. - Po jakiejś minucie zwrócił się do Brandta, Simcoxa i kilku innych, którzy mogli go usłyszeć: - Etap pośredni: szpital po zachodniej stronie Cytadeli.

Pluton wędrował powoli na wschód poprzez deszcz i błoto. Odległa linia drzew stawała się coraz wyraźniejsza, za to hałas wybuchów oddalał się. Hue, pomyślał Tyson. Hue wydaje dźwięki jak wielka maszynka do mięsa. Jaki inny gatunek zwierząt zamieszkujących Ziemię maszerowałyby chętnie czy nawet niechętnie wprost ku maszynce do mięsa. Powinienem z tego wyciągnąć jakiś morał, ale za cholerę nie wiem jaki.

Na grobli leżały wzdęte, gnijące zwłoki wodnego bawołu, jego brzuch wypełniały szczury, a skórę pokrywały robaki. Żołnierze obeszlą ścierwo dużym łukiem, brnąc po pierś w wodzie zalewającej uprawy ryżu, zatykając nosy i klnąc niewygodę.

Tyson wdrapał się z powrotem po śliskiej grobli, Kelly pomógł mu kolbą. Pluton zatrzymał się, żeby poodczepiać pijawki. Ben zerknął na mapę i zobaczył obok nazwy wioski An Ninh Ha mały kwadracik ze znakiem krzyża. Nha Thuong. Tłumacząc dosłownie: dom miłości. Miał nadzieję, że tak jest naprawdę. Przydałoby im się trochę miłości.

Tyson spojrział na major Harper.

- Przepraszam?

- Rekapitulując, powiedział pan, że ruszyliście z pierwszym świtem. Otrzymał pan przez radio rozkaz od kapitana Browdera, żeby kierować się na wioskę An Ninh Ha, stanowiącą coś w rodzaju przedmieścia Hue i kontrolowaną, jak wskazywały raporty, przez wroga. An Ninh Ha ciągnęła się wzdłuż głównej drogi dostawczej wroga. Z helikoptera dostrzeżono na terenie wioski dużą skoncentrowaną budowlę, na której powiewała nieprzyjacielska flaga. Przez radio otrzymał pan rozkaz, by zbadać sytuację w An Ninh Ha i dowiedzieć się, czy betonowa konstrukcja jest w rękach nieprzyjaciela, a jeśli tak, zdobyć ją i ściągnąć flagę. Zgadza się?

- Zgadza - Ben kiwnął głową.

Przez moment rozmyślała nad tym.

- Oczywiście nie ma możliwości sprawdzenia tej informacji? - spytała wreszcie.

Tyson wzruszył ramionami.

- Picard w swojej książce mówi - ciągnęła dalej - że usłyszał pan o tej wiosce od jakichś miejscowych wieśniaków, którzy grzebali swoich zmarłych. I że to właśnie pan postanowił udać się do wioski, wiedząc już, że tam znajduje się szpital.

- To nieprawda - skłamał. - Otrzymałem rozkaz, żeby tam pójść i nawiązać kontakt z wrogiem. Według wywiadu ten... ta betonowa konstrukcja - wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to szpital - ta betonowa konstrukcja znajdowała się w rękach wroga. Nikt nic nie mówił o szpitalu.

- A więc psychologicznie byliście nastawieni na spotkanie z wrogiem? - spytała kiwając głową.

Ben przez moment się zastanawiał.

- Tak, to bardzo dobre postawienie sprawy - zgodził się.

- Ruszyliście w stronę wioski... - zerknęła do swych notatek. - An Ninh Ha... dobrze to wymawiam?

- Jak na urzędniczkę państwową może być.

- Czy spotkaliście po drodze partyzantów?

- Nie... ale widać było ślady.

- Czyje?

- Żółtków, Charliego, pana Charlesa, VC, Vietcongu, Wiktora Charlie. A o kim my tu w ogóle mówimy?

- Jakie ślady?

- Normalne. Rozciągnięte w poprzek drogi druty, kryjówki - lisie jamy akurat tak duże, żeby się mógł w nich schować żółtek, ślady kopyt - to znaczy to, co myśmy nazywali śladami kopyt: świeże ślady sandałów VC; mieli sandały ze starych opon. I odciski butów z wyposażenia armii północnowietnamskiej - czarne pionierki. Ślady wskazywały, że wiele oddziałów posuwało się w tym samym kierunku co i my. Na Hue. - Tyson zapalił papierosa. - Widzieliśmy też nie pochowane ciała - ludzi VC i Wietnamu Północnego. Przypuszczam, że Picard to wszystko potwierdzi. Znajdowaliśmy się na terenie nieprzyjaciela.

- Najwyraźniej. I wiedzieliście, że nieprzyjaciel jest przed wami.

- Właśnie. Podejrzewaliśmy, że również zachodzi nas od tyłu. Można powiedzieć, że czuliśmy się jak owce wypatrujące wszędzie wilczych oczu.

Oparła brodę na rękę, przyglądała mu się przez jakiś czas, a potem uśmiechnęła się.

- Naprawdę? Widziałam wasze grupowe zdjęcie. Parafrazując słowa księcia Wellingtona, nie wiem, jakie wrażenie robiliście na wrogu, ale na Boga, we mnie wzbudziliście przerażenie.

Ben powstrzymał uśmiech.

- No cóż, oni tylko tak groźnie wyglądali, a tak naprawdę byli jak dzieci.

- W każdym razie zbliżaliście się do wioski?

- Tak. Jak większość wiosek otaczał ją gęsty las, więc podchodząc do linii drzew graniczących z wioską, szliśmy ostrożnie groblą. Zgodnie z moją mapą wioska położona była w zakolu małej rzeki, odnogi rzeki Perfume. Z mapy wynikało, że zachodnia ściana Cytadeli w Hue znajdowała się jakieś dwa kilometry dalej. Poprosiłem o zwiad powietrzny, ale pogoda była okropna, a poza tym wszystko, co tylko latało, było zajęte gdzie indziej. Zrobiliśmy więc to, co robili żołnierze od wszechczasów - wezwaliśmy mieszkańców, by zgromadzili się w jednym miejscu, tak żebyśmy mogli wszystkich widzieć. Ale nikt się nie pokazał. Według danych wywiadu wioska została opuszczona w pierwszych dniach ofensywy. Strzeliliśmy na próbę...

- Strzelaliście w stronę wioski?

- Tak. To standardowa procedura ostrzegania. Ale nie podłożyliśmy ognia, posuwaliśmy się ostrożnie wzdłuż dwóch równoległych grobli, w stronę drzew. To zawsze najgorszy moment, bo jeśli podejdzie się powiedzmy na jakieś dziesięć, dwadzieścia metrów, a oni tam są, jest się załatwionym.

- Ale nikt do was nie strzelał?

- Nie. Ale to też znany sposób. Wciągnąć cię do środka i wtedy zatrzaskać drzwi. To właśnie nam się przydarzyło w Phu Lai pierwszego dnia Tet.

- Więc wszyscy byliście... zdenerwowani?

- Ostrożni, ale bez przesady - odpowiedział Tyson.

- Niech pan opowiada dalej.

- Wioska była całkiem ładna. Stanowiła, tak jak pani mówiła, coś w rodzaju przedmieścia Hue i widać było pewne wpływy zachodnie. Jakieś wille we francuskim stylu, wybrukowane ścieżki, starannie utrzymane ogrody i kilka sklepów na małym rynku. Bardzo różniła się od typowych wiosek wietnamskich pełnych bambusów i bawolego gówna. No i na ścianach wymalowane były slogany Vietcongu i armii Wietnamu Północnego...

- Po wietnamsku?

- Większość z nich.

- Potrafił je pan przeczytać?

- Nie...

Więc skąd pan wiedział, że to były slogany Vietcongu i armii północnowietnamskiej, a nie rządowe?

- No cóż, wymalowane były czerwoną farbą. Wróg używał czerwieni. Komuchy-czerwoniuchy. Kapewu?

- Powiedział pan, że większość sloganów była po wietnamsku.

- Tak, kilka było po angielsku. Rutynowe gówno: „Wyrzucić imperialistyczne, amerykańskie, awanturnicze psy” czy coś równie chwytliwego. I dodał: Pomiędzy drzewami wisiały również czerwone, jedwabne szarfy, także ze sloganami. Dla mnie było oczywiste, że to miejsce już od jakiegoś czasu znajdowało się pod kontrolą nieprzyjaciela.

Karen Harper kiwnęła głową.

- Czy były tam jakieś napisy po angielsku, skierowane bezpośrednio do amerykańskich żołnierzy? - zapytała.

- Tak - odpowiedział Ben - szczególnie jeden utkwił mi w pamięci. Zapytywał: „Żołnierzu, kto teraz śpi z twoją żoną?” - Tyson uśmiechnął się. - Pewnie Charlie wynajął Tokijską Różę jako konsultanta od sloganów.

- Czy były też jakieś o zastraszającej treści? - zapytała major Harper.

- Pewnie. Na przykład „Żołnierzu, dziś nadejdzie śmierć”.

- Czy tego typu rzeczy miały wpływ na pański oddział?

Ben rozważał przez moment pytanie.

- Na pewno te wszystkie napisy i broszury trochę na nas działały - odparł. - Dlaczego?

- Po prostu się zastanawiałam. Poza tym wioska była opuszczona? Żadnych cywilów? Żadnych wrogów?

- Nikogo nie było widać. Naszych także. Jeżeli chodzi o wrogów, to zazwyczaj byli niewidoczni. W każdym razie zobaczyliśmy ten kościółek z kamienia i ruszyliśmy w jego stronę. Wtedy właśnie odkryliśmy kolejny plac, po francusku *place*. Był wybrukowany betonowymi płytami i otaczały go ozdobione sztukaterią domy kryte czerwoną dachówką. Po drugiej stronie placu, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, wznosiła się duża, betonowa konstrukcja. Był to dwukondygnacyjny budynek, front okalały dwa skrzydła tak, że pomiędzy nimi powstawał dziedziniec. Obok stało kilka innych budynków w tym samym stylu i pomalowanych na ten sam, kremowy kolor. Całość wyglądała na jakiś kompleks rządowy. Nad głównym budynkiem powiewała flaga Vietcongu, a może to była flaga Wietnamu Północnego. Trudno zauważyć różnicę, a różnica była nieważna. Tak więc slogany i napisy to jedna sprawa, a flaga nieprzyjaciela to zupełnie co innego. Oni już wtedy nie zostawiali flag, kiedy odchodzili z jakiegoś miejsca, tak jak dawniej. Jeżeli była flaga, to oznaczało, że nieprzyjaciel jest tam również.

- Czy gdzieś na dziedzińcu znajdowała się flaga Czerwonego Krzyża, tak jak to opisuje Picard w książce?

- Nie było żadnej takiej flagi. Żadnego czerwonego krzyża, tylko czerwona gwiazda.

Karen Harper sięgnęła do swojej teczki i wyjęła książkę Picarda. Tyson spojrział, ale nic nie powiedział.

- Przeczytałam całą książkę - stwierdziła. - Prawdę mówiąc skończyłam ją w samolocie.

- Gratuluję.

Otworzyła książkę na zaznaczonej stronie i bez żadnego wstępu przeczytała:

W czasie ofensywy w terenie weszło w zwyczaj wieszanie flagi na znak poddania się. Była to prośba o oszczędzenie budynku i ludzi. Jednakże w Hue niektórzy studenci i grupy buddystów sympatyzowali z komunistami, podobnie jak niektórzy z Europejczyków mieszkający w tym mieście. Hue było kosmopolityczne, intelektualne, liberalne i w ogóle antywojenne. Kiedy nieprzyjaciel zajął podczas ofensywy większość miasta, niektórzy powciągali komunistyczne flagi na znak zwycięstwa. Kiedy jednak pierwszy entuzjazm opadł, to samo stało się z flagami. Żeby przedstawić sytuację wiernie, trzeba powiedzieć, że Vietcong często wywieszał własną flagę na zajętych przez siebie budynkach. Tak więc w tym przypadku nie było wiadomo, czy tę uwłaczającą czerwoną flagę wywiesili na szpitalu nieprzyjaciele, czy sami pracownicy szpitala. A jeżeli pracownicy, to czy był to gest poddania, czy wyraz sympatii politycznej. A może kombinacja obu?

Karen Harper podniosła oczy znad książki i napotkała wzrok Bena.

- Picard potwierdza, że na budynku wisiała nieprzyjacielska flaga, ale podaje też powody, dla jakich mogła zostać wywieszona przez pracowników szpitala. Dlaczego pan założył, że w środku są żołnierze?

Tyson wyrzucił niedopałek.

- Nie miałem ze sobą książki Picarda - odpowiedział nieco poirytowanym głosem. - Nie miałem też zielonego pojęcia, majorze, co się, u diabła, dzieje w Hue i wokół Hue. Kiedy zobaczyłem flagę wroga, doszedłem do logicznego wniosku, że podchodzę do jego umocnionych pozycji.

- Tak, oczywiście. Proszę mówić dalej.

Ben usiadł wygodnie w fotelu i pomyślał:

Udaje idiotkę i prosi, żebym ją uczył. A ja daję się na to złapać i opowiadam tej głupiej kobiecie, czym jest wojna. Tyle tylko, że ona wcale nie jest głupia. Używa bardzo wyrafinowanej metody inwigilacji. Lepiej uważaj!

- Panie Tyson? Wspomniał pan o kościele i o placu.

- Tak, stanęliśmy po jednej stronie placu. Jak już mówiłem, nie było nikogo i nie można było niczego się dowiedzieć. Ale nawet nie przyszło mi do głowy, że budynek przede mną, dawniej należący do administracji francuskiej czy czegoś w tym rodzaju, może nie być miejscem, w którym ukrył się nieprzyjaciel. - Ben pochylił się do przodu. -

Musi pani zrozumieć, majorze, że jeżeli naprawdę chce pani to pojąć, trzeba odrzucić etnocentryzm. Kiedy Picard pisze o szpitalu, pani myśli o dużym, lśniąącym budynku z ładnymi, niebieskimi napisami kierującymi prosto do miejsca dla odwiedzających. Pani myśli, że pomylić szpital z urzędem jest równie trudno jak indyjskiego bawołu domowego ze słoniem. Ale jednak proszę to sobie spróbować wyobrazić, jeśli się jest w kraju, gdzie nie ma neonów ani McDonalda, ani stacji benzynowych na każdym rogu, gdzie tereny podmiejskie nie oznaczają klubów ani dobrze wygracowanych trawników, a pomiędzy domami, w których brak szyb, leżą sterty gówna i spacerują świny.

Karen Harper odpowiedziała po dobrej chwili i dziwnie zimno:

- Byłam właśnie miesiąc w Japonii i na Filipinach, w tym sporo czasu spędziłam na wsi. A przez ostatnie cztery lata wiele podróżowałam po świecie. Nie jestem etnocentryczna, ale pańskie stanowisko zostało dobrze przedstawione. Mimo wszystko - dodała - szpitale, szczególnie na terenach, gdzie toczy się walka, są zazwyczaj dobrze oznaczone. Ale proszę mówić dalej.

Tyson patrzył na nią przez jakiś czas, ich spojrzenia spotkały się, żadne nie chciało ustąpić.

- Czy potrzebna jest panu kolejna przerwa? - zapytała z nutą sarkazmu.

Ben wstał i podszedł do bocznego okna. Dzień był spokojny i szary, wilgotny i chłodny, prawdziwa ulga po upale i ostrym słońcu. W powietrzu czuło się deszcz. Wiedział, że major Harper pobiła go na punkty. Wiedział też, że w tym momencie powinien zakończyć spotkanie, ale jednocześnie nie mógł znieść tej myśli. Podobnie jak jego ojciec, hazardzista, wierzył, że nie można się odegrać rezygnując z dalszej gry. Odwrócił się od okna.

- Nie potrzebuję przerwy.

Skinęła głową.

- Powiedział pan, że staliście po bliższej świątyni stronie placu.

Tyson wrócił na swoje krzesło i upił kawy.

- Tak. Wycofaliśmy się za kościół. Kelly, mój radiooperator, który miał mocny głos, krzyknął po wietnamsku, aby ci, którzy są w środku, wyszli na zewnątrz. Nikt nie odpowiedział. Wystrzeliliśmy parę razy ostrzegawczo. Nikt nie odpowiedział ogniem. Poczekaliśmy, znowu krzyczeliśmy, potem znowu strzelaliśmy. Cisza, ale byliśmy pewni, że oni tam są. Czuło się ich. - Spojrzał na Karen Harper, ale nie podważyła jego stwierdzenia. - Zwiększyliśmy ogień - mówił dalej - chcieliśmy, żeby się poddali. Już

zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle ktokolwiek tam jest, kiedy się zaczęło. Ktoś, pewnie jakiś przestraszony dzieciak, odpowiedział ogniem. Ale to wiemy dopiero teraz. Podjęliśmy atak, celując w okna. Nieprzyjaciel też zaczął strzelać, to była naprawdę poważna wymiana ognia. Głównie z krótkiej broni, ale poleciało też kilka rakiet i pocisków granatnika. A potem odezwał się z dachu karabin maszynowy. Wymiana ognia trwała jakieś pięć minut, wreszcie zdecydowałem się wejść do budynku. Dziedziniec nie był całkowicie odsłonięty. Rosło tam parę drzew, stało kilka niskich murków, była także sadzawka i fontanna. Zaczęliśmy posuwać się do przodu, strzelając i kryjąc się. Zanim doszliśmy do frontowych drzwi, mieliśmy na koncie jednego zabitego i dwóch rannych. To jest w książce...

- Tak, ale jest tam mowa o tym, że główne siły wroga wycofały się, zanim przyszlście pod szpital. Wasze straty spowodował samotny snajper na dachu. Picard powołał się na dwóch świadków - dwóch ludzi z pańskiego plutonu - którzy twierdzą, że wcale nie strzelaliście do budynku, a cywile ze szpitala wywiesili białe prześcieradło. I pan, i personel szpitala uwierzyliście, że wróg wycofał się. Widząc białą flagę ruszył pan ze swym oddziałem wprost przez plac i wtedy samotny snajper zaczął strzelać z dachu. Tak więc mamy kolejną niezgodność między tym, co pan opowiada, i tym, o czym jest mowa w książce.

- No cóż, ja tylko mówię to, co pamiętam. Wróg nie wycofał się. Zaatakował nas silnym ogniem, na który my odpowiedzieliśmy.

- W porządku. A tak przy okazji, czy na pańskiej mapie polowej zaznaczony był szpital? Jaki jest symbol szpitala? Kwadracik, a w nim krzyż o równych ramionach, taki sam jak symbol Czerwonego Krzyża. - Spotkali się wzrokiem.

- No cóż - odpowiedział wolno - na mojej mapie był symbol szpitala... zresztą pani to wie... ale symbole na starej mapie w kraju, gdzie rozgrywa się wojna od prawie trzydziestu lat, naprawdę nie mają znaczenia. Proszę spróbować przespać się w hotelu, który zaznaczony jest na mapie Wietnamu, albo przejść przez most, który został zburzony dwadzieścia lat wcześniej.

- Rozumiem, ale...

- Co więcej, byłem zdezorientowany i myślałem, że znajduję się po drugiej stronie wioski. Wydawało mi się, że budynek zaznaczony na mapie jako szpital znajduje się na północy.

- Rozumiem. - Przez chwilę wydawała się nad tym zastanawiać, potem sięgnęła do swojej torebki i wyciągnęła z niej owiniętą w plastik mapę.

Tyson poczuł, jak robi mu się sucho w ustach.

Major Harper wstała i obeszła stolik do kawy. Zupełnie nieoczekiwanie uklękła obok

fotela Bena i rozwinęła mapę.

Tyson spojrział na kolorową sztabówkę. Mapa opisana była w trzech językach - francuskim, wietnamskim i angielskim. Nagle wydała mu się znajoma: pola ryżowe, drogi, kopce pogrzebowe, rzeki i strumienie, lasy i wzgórza. Minęło dwadzieścia lat, a on wciąż znał to miejsce. Zatrzymał wzrok na An Ninh Ha.

- Ta właśnie mapa była wtedy w powszechnym użytku, prawda?

- Wygląda jak tamta.

Karen Harper przyglądała się uważnie mapie, przesuwając palcem po plastiku, aż zatrzymała się na An Ninh Ha.

- To tutaj.

- Tak. Tutaj.

- Niech pan spojrzy... mówił pan, że zobaczyliście kościół po bliższej, zachodniej stronie placu. Na mapie jest kościół, kwadracik wyraźnie zaznaczony chrześcijańskim lub łacińskim krzyżem. To jedyny kościół w całej wiosce. Po drugiej stronie placu, wschodniej, zaznaczono równoramiennym krzyżem szpital. To wygląda jasno. Natomiast zastanawiam się, gdzie według pana znajdował się wtedy pański oddział - spojrzała ponad ramieniem na Bena.

Ten podniósł wzrok znad mapy na jej twarz i przez dobrą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Jej bliskość nie wiadomo czemu wytrącała go z równowagi. Czuł dziwnie korzenny zapach. Pierwszy raz dostrzegł na jej włosach jasne refleksy. Pomiędzy guzikami w bluzce materiał odchyłał się i kątem oka mógł widzieć krągłość piersi, a także stanik o bardzo płtykich miseczkach.

- Gdzie według pana znajdował się wtedy pański oddział? -zapytała ponownie.

Tyson wciągnął głęboko powietrze nosem i pochylił się nad stolikiem. Przeleciał szybko wzrokiem małą wioskę. Na jej północnym skraju, tuż przy zakręcie rzeki, zaznaczono pagodę, której symbol, kwadracik przekreślony ukośnymi liniami, łatwo można było pomylić ze znaczkiem obrazującym kościół. Kawalek dalej, może jakieś sto metrów, widział czarny kwadracik z flagą: szkoła.

- Tutaj - pokazał Tyson. - Myślałem, że jestem tutaj.

Major Harper kiwnęła głową, jakby się z nim zgadzała.

- A więc myślał pan, że katolicki kościół, koło którego pan przechodził, to pagoda, a szpital po drugiej stronie placu to szkoła? Ale mówił pan, że wziął go za budynek

administracji.

- Ja... miałem na myśli urzędowy...

- Rozumiem. - Spojrzała na niego wzrokiem wyrażającym pewne zmieszanie. - Ale zestawienie każdej z tych par budynków jest zupełnie inne - powiedziała. - Także... tutaj ma pan otwarty teren, plac. A pomiędzy pagodą a szkołą te małe czarne kwadraciki wskazują na wiele, budynków i odległość jest znacznie większa...

- Proszę posłuchać, majorze, nie potrzebuję lekcji z odczytywania mapy. Dobrze pani wie, że łatwo siedzieć w suchym pokoju, nad nowiutką mapą i grać adwokata diabła. Ale moja mapa była zwijana i rozwijana tyle razy, że cały plastik popękał i pod spód dostała się woda niszcząc papier. Na mojej mapie An Ninh Ha było niemal całkowicie zamazane - głos brzmiał ostro. - Zapomnijmy o mapach, dobrze?

Karen Harper złożyła sztabówkę. Wciąż klęcząc, podała ją Tysonowi.

- To nie było łatwe do obronienia. Moje gratulacje. Przypuszczam, że nie ma pan swojej. Proszę.

- Dziękuję za wspomnienia. - Sięgnął po mapę.

- Niech pan ją przejrzy w wolnej chwili. - Wstała. - Może odświeży pańską pamięć.

Nie odpowiedział. Wróciła na drugą stronę stolika.

- No dobrze, to na czym stanęliśmy? - zapytała, jeszcze stojąc.

- Atakowałem budynek. Chce pani usłyszeć dokładny opis naszego ataku, od strzału do strzału? Czy poczeka pani, aż nakręcą film?

- Raczej wolałabym, żebyśmy wrócili do tego, jak rozwinął pan swój oddział wokół kościoła. Widzicie budynek, znajdujący się pięćdziesiąt metrów od was, po drugiej stronie placu. Wisi na nim nieprzyjacielska flaga, a pan patrzy na nią. Ale czy widział pan również jakieś napisy na budynku, po angielsku lub po francusku? Zna pan francuski?

- Jak wie pani z akt, moja znajomość tego języka jest wystarczająca. Nie było żadnych napisów.

- Co to znaczy? - Wręczyła mu pasek papieru. Nha Thuong.

Tyson przyglądał się wietnamskim słowom. Rzucił pasek na blat stolika.

- Mówiłem już pani, że nie znam wietnamskiego. Rozumiem parę słów i zwrotów, większość dotyczących pewnej łózkowej czynności - uśmiechnął się.

Major Harper uśmiechnęła się również i usiadła.

- To oczywiście znaczy szpital - powiedziała.

- Naprawdę?

Wskazała na mapę leżącą na stole.

- Mapa jest opisana w trzech językach, a więc może służyć za podręczny słowniczek - stwierdziła. Kiwnęła głową, jakby zgadzała się z własnymi słowami. - W legendzie na tej mapie znajdowała się nazwa Nha Thuong, hospital, szpital. Widział pan ten opis w trzech językach dzień po dniu, kiedy patrzył pan na mapę. Więc oczywiście wiedziałby pan, co oznacza Nha Thuong. Pytanie brzmi: czy było to napisane na budynku?

Ben nie odpowiedział.

Harper przez jakiś czas wydawała się pogrążona w myślach, wodziła palcem po policzku.

- Pytanie, czy wiedział pan, że jest to budynek szpitalny, czy nie - odezwała się wreszcie - ma związek z badaną sprawą, ale nie jest zasadnicze. Załóżmy, że nie wiedział pan.

- Dobrze.

- Staliście naprzeciwko budynku z obcą flagą i strzelaliście do niego, a gdy odpowiedziano ogniem, przypuściliście szturm. Może mi pan wierzyć lub nie, ale ja naprawdę lubię dobre wojenne historie. „Spacer w słońcu” widziałam pewnie z dziesięć razy. Niech pan opowiada dalej.

Tyson zapadł głęboko w fotel. Miał ochotę na papierosa, ale uznał, że nie jest to najlepszy moment na gest, który może być traktowany jako nerwowy odruch.

- Zaczęliśmy od ostrego ognia zaporowego - mówił. - Wie pani raziliśmy okna i drzwi z automatycznej broni, tak żeby przez cały czas wróg nie mógł wychylić nawet czubka nosa. Wreszcie rozpoczęliśmy końcowy atak...

- Jeszcze raz przepraszam. W książce jest mowa o wywieszeniu przez okno białego prześcieradła, co mogło oznaczać poddanie lub że miejsce jest czyste. Najwyraźniej widzieli to obaj świadkowie Picarda.

- A po co, do diabła, nieprzyjaciel miałby wywieszać flagę oznaczającą poddanie się? Mieli którądy uciekać. I dlaczego, do cholery, miałbym atakować, gdyby ktokolwiek z mojego plutonu zobaczył białą flagę?

- To prowadzi nas z powrotem do punktu wyjścia. Zgodnie z książką, wróg już się

wycofał. To obsługa szpitala miała wywiesić szpitalne prześcieradło przez okno. Tak właśnie napisał Picard. Machali do was przez okna. Ale pan nie zgadza się z tym całym opisem. Proszę mówić dalej.

- Dobrze. A więc zaczęliśmy strzelać i przesuwać się do przodu. I przez cały czas ostrzeliwaliśmy budynek...

- Przepraszam. Dowiedziałam się co nieco o podstawowych taktykach stosowanych w piechocie. Rozmawiałam z pułkownikiem piechoty. To mój przyjaciel. Zakładałam, że pańska wersja będzie zbliżona. Niech pan wybaczy porównanie, ale to, o czym rozmawialiśmy, działo się w My Lai...

- O co chodzi?

- Chodzi o to, że ten pułkownik nie uważał frontalnego ataku na betonowy budynek za rozsądną taktykę.

- Może jest tchórzem.

- Raczej trudno by go było tak nazwać. Powiedział, że najpierw wrzuciłby jakieś materiały zapalające do środka. Dopiero potem ruszałby, być może, do ataku.

Ben przyglądał jej się przez jakiś czas.

- Nie mieliśmy żadnych materiałów nadających się do podpalenia - powiedział - które można by wrzucić do środka. Mieliśmy ręczne granaty - odłamkowy, biały fosfor i ogłuszające. Musieliśmy więc podejść bliżej.

- Dlaczego nie poprosiliście o wsparcie powietrzne, rakiety, moździerze czy artylerię? Czy to nie należy do standardowej procedury operacyjnej amerykańskiej piechoty? Posyłać bomby zamiast ludzi?

- Tak, taka jest właśnie standardowa procedura. Ale wtedy pomoc z powietrza nie była możliwa. W tamtym czasie nic nie działało normalnie. Tak więc ruszyliśmy frontalnym atakiem w starym stylu. Strzelaj i kryj się. Dostaliśmy się na parter właśnie tak jak na wojennych filmach, które pani oglądała...

- Gdzie i kiedy ponieśliście straty? Czy stało się to przed czy po przedostaniu się do... budynku?

- Ja... dwóch żołnierzy odniosło rany podczas pierwszej próby ataku. Peterson dostał cholernie w pierś... oba płuca naruszone... kula przeszła od jednego do drugiego... zaczął się dusić. Drugiego, Moody'ego, trafili w udo... nic mu się nie stało... Trzeci, Larry Cane, dostał wewnątrz budynku.

- Och, wydawało mi się, że wcześniej mówił pan coś na temat wszystkich strat, które ponieśliście na zewnątrz. Picard w swojej książce mówił to samo, poza tym tylko, że według niego wszystkich trzech postrzelił samotny snajper. Jak na frontalny atak, to bardzo niewiele ofiar.

- Każdy ma prawo od czasu do czasu mieć szczęście. Przykro mi, że nie mogę wymienić więcej zabitych ani rannych.

- Tak się tylko zastanawiałam. Proszę mówić dalej.

- Na pierwszym piętrze nie było nikogo, również nic tam nie wskazywało na to, że jesteśmy w szpitalu. Były biura, kaplica, korytarz, jakieś sypialnie, no i kuchnia i jadalnia. Znaleźliśmy dwie klatki schodowe. Weszliśmy na piętro i zaczęliśmy zdobywać kolejne pomieszczenia. Wtedy właśnie użyliśmy ręcznych granatów z białym fosforem. Wszystko zaczęło płonąć...

- Na ile ocenił pan liczbę nieprzyjaciół?

- Może trzydziestu albo czterdziestu - w każdym razie przewyższali nas liczebnie.

- Ale nie wie pan, ilu ich było, gdy zaatakowaliście. Mogło być nawet dwustu.

- No cóż, siłę nieprzyjaciela mogłem szacunkowo obliczyć oceniając siłę rażenia, na pewno nie było ich dwustu.

- A pan stracił w tej walce jednego człowieka? Nazywał się Cane, tak?

- Tak.

- Ale przed chwilą powiedział pan, że wszystkie straty odnieśliście przed dostaniem się do budynku. Picard zgadza się z tym, chociaż jego ocena walki różni się znacznie od pańskiej. A teraz mówi pan, że Larry Cane został zabity wewnątrz budynku.

Tyson zapalił papierosa. Zaciągnął się.

- Widzi pani - odpowiedział - to jest właśnie rezultat czytania książki Picarda. Moje wspomnienia pomieszały się z niektórymi fałszywymi wspomnieniami z książki. Cane zginął w szpitalu. Jestem tego pewien. Widziałem, jak dostał. Na górze, w głównej sali.

Karen Harper skinęła głową.

- Bez wątpienia uda nam się to wyjaśnić, jeżeli zajdzie taka potrzeba. I rozumiem, o co chodzi, kiedy mówi pan o fałszywych wspomnieniach wywołanych niedawno przeczytaną książką. Mimo to, panie Tyson - dodała - trudno mi jest w to wszystko uwierzyć. Dziewiętnastu wykończonych ludzi przypuszcza frontalny atak na budynek opanowany przez duży oddział armii północnowietnamskiej. A dlaczego nie otoczyliście budynku, żeby nieprzyjaciel nie mógł się wymknąć? To, jak rozumiem, byłoby również standardową procedurą. Co, jeśli można zapytać, popchnęło pana do tak heroicznego czynu? Jeśli nie udało się wezwać posiłków, czemu po prostu nie ominął pan tego miejsca. Udał, że po prostu nie istnieje? Może jestem cyniczna, jednak oddziałom amerykańskim zdarzało się nieraz unikać walki? - Pochyliła się do przodu. - Nie oczekuję, by odpowiadał pan na te pytania, ponieważ wynikają one z założenia, że wszystko, co powiedział pan na temat ataku, było kłamstwem.

Ben spojrzał na nią.

- W przypadku śledztwa w sprawie morderstwa - ciągnęła dalej major Harper - szukamy zazwyczaj motywu. W przypadku masakr wojennych oficerowie śledczy mają tendencję do niezauważania motywu, ponieważ w rękach obrony może on złagodzić wymiar kary. Innymi słowy, obrona argumentuje, że motyw był słuszny. Na przykład wymienił pan kilka razy Phu Lai i zastanawiam się, czy przypadkiem pańscy ludzie nie szukali rewanzu... - popatrzyła na niego. - To byłoby logiczne.

Tyson nie odpowiedział od razu.

- Skłamałbym, gdybym twierdził, że nikt z nas nie miał ochoty na rewanz. Zabijanie rodzi zabijanie, jak pewnie pani wie. Ale śmierć w walce nie... nie powinna... prowadzić do morderstwa. Czekaliśmy na rewanz w walce i znaleźliśmy go w tamtym budynku. I to był prawdziwy powód mojej decyzji o frontalnym ataku i dlatego też moi ludzie za mną poszli. Za Phu Lai. Ale to musiało być *quid pro quo*. Zarzynania cywilów nie było w tym scenariuszu. Ale odebranie budynku nieprzyjacielowi - tak.

- Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem - powiedziała.

- Czy zaczerwieniłem się?

- A jednak - dodała - to nie jest... najlepsza historia... wojenna. Prawdę mówiąc, jest niewiarygodna.

Ben zaciągnął się papierosem. Sam teraz już zdawał sobie sprawę, jak niewiarygodnie

musiała brzmieć ta opowieść z punktu widzenia wojskowej taktyki i logiki. Widział, że nawet oficer Izby Wojskowej i w dodatku kobieta, która właściwie nie posiadała żadnej wiedzy na temat taktyki piechoty poza nietypową, wynikającą z dziwacznej sympatii do filmów wojennych i przyjaźni z pułkownikiem piechoty, umiała dostrzec, jak dziurawa była jego historia. Przy dokładniejszym przyjrzeniu się nie miała prawa się obronić. A przecież w czasie, gdy ją wymyślił, wydawała mu się całkiem niezła. To była standardowa wietnamska zasłona dymna. Kiedy tylko jakiś NC - niewinny cywil - został przez pomyłkę zabity, fabrykowało się historyjkę o wymianie ognia. Nikt tego nie kwestionował. Nikt nie wypominał braku ofiar. A dobry oficer zawsze pamiętał, że z takiej akcji należy przynieść kilka sztuk broni nieprzyjaciela, by rzucić je obok ciał starców, kobiet i dzieci. Taka to była wojna.

Ta historia wtedy brzmiała dobrze, pomyślał, bo opowiedzieliśmy ją sobie w próżni, bez zewnętrznej krytyki i ponieważ sami chcieliśmy w nią uwierzyć... A niech ją. Czy szpital był oznaczony? Dlaczego nie wezwałem artylerii? Dlaczego było tak mało ofiar?

- W każdym razie jesteśmy przy tym, jak szpital płonie - wdarła się w jego myśli. - Zabiliście kilku nieprzyjaciół. Przypuszczam, że reszta uciekła. Jak?

- Wyskoczyli przez okna.

Skinęła głową.

- Widzieliście jakichś pacjentów, lekarzy? - zapytała.

- Tak, widzieliśmy - odparł bez wahania. Trzymaj się tej cholernej wersji. Nic nie zmieniaj. To jest jedyna historia, jaką masz. Jedyna, jaką wszyscy znają. Może brzmieć nieprawdopodobnie, ale nie jest niemożliwa. Najwyżej wątpliwa. - Większość nie żyła. Nie wiem, czy zginęli podczas ataku, czy zostali wymordowani przez nieprzyjaciela.

Na to nic nie powiedziała.

- W tamtym momencie było to kompletne zaskoczenie - opowiadał dalej. - Nie uwierzyłaby pani, jaki tam panował chaos - ranni żołnierze Vietcongu i armii północnowietnamskiej w mundurach - trudno było stwierdzić, czy byli pacjentami, czy byli uzbrojeni, czy chcieli się poddać, czy też nas atakować. Było tam kilka kobiet, ale jedna z nich miała na sobie mundur pielęgniarki Vietcongu i próbowała do nas strzelać. Ktoś ją zabił. Trudno było zrozumieć, co się dzieje. Niech diabli porwą Vietcong i APW, że użyli szpitala pełnego ludzi... Zanim udało nam się zrozumieć, że to jest szpital... W każdym razie budynek się palił i wyrzuciliśmy kilkoro pacjentów - z oddziału położniczego i pediatrii - przez okno, żeby ich uratować... Tam na dole były krzaki... - zamilkł. Zdał sobie sprawę, że się pogubił. Odchrząknął i ciągnął dalej. - Myślę, że naprawdę można to było nazwać masakrą... ale na pewno z naszej strony nie zamierzona. Rozumiem, że pielęgniarka pochodzenia eurazjatyckiego mogła źle zinterpretować to, co widziała... Ale

większość zginęła w czasie ataku lub w wyniku egzekucji przeprowadzonej przez nieprzyjaciela, zanim jeszcze zaatakowaliśmy budynek. Przypuszczam, że wymordowali personel szpitala i pacjentów, a także swoich własnych rannych, kiedy postanowili uciekać...

- I doktora Monteau? - zapytała.

- Nie przypominam sobie, żebym był przedstawiany komukolwiek z nazwiska, majorze.

- Ale jeden z informatorów Picarda... jeden z pańskich ludzi... opowiada o tym...

- Który?

- Nie wiem. Mówiłam, że to z panem pierwszym rozmawiam.

- Zgodnie z prawem, gdyby wiedziała pani, kim są informatorzy Picarda, musiałaby mi pani to powiedzieć. I dlatego najpierw przyjechała pani tutaj.

Nie skomentowała tej uwagi.

- I ten australijski doktor... - zaczęła.

- A niech to - przerwał jej poirytowany - mówiłem pani, że szpital był pełen lekarzy i pacjentów. Tak, zostali zamordowani. Tak, niewątpliwie myśmy zamordowali kilkoro z nich. Ale zginęli w trakcie wojskowej operacji przeciwko siłom wroga, który użył tego miejsca, by z niego podejmować akcje przeciw Amerykanom. Proszę to zapisać. Koniec oświadczenia.

Skinęła głową i poprosiła o powtórzenie, aby mogła dokładnie wszystko zanotować.

- Dlaczego są tak wielkie różnice między pańską historią a tą, którą opowiedziało Picardowi dwóch spośród pańskich ludzi? - zapytała jednak.

- Może Picard przekręcił to, co oni powiedzieli?

- Możliwe. - Przez długą chwilę wydawała się zatopiona myślach. - Ale Picard twierdzi w książce, że dowiedział się o tym incydencie dzięki przypadkowemu spotkaniu we Francji z siostrą Teresą. To ona najwyraźniej użyła słowa masakra...

- W jakim kontekście? Masakra kogo? I jak użyła tego słowa? Wymawia się ono tak samo po francusku i angielsku i znaczenie jest dość zbliżone, ale we francuskim można użyć tego słowa, mówiąc o niepotrzebnej śmierci, umieraniu w czasie bitwy, a nie tylko niepotrzebnym lub zamierzonym zabijaniu bezbronnych ludzi. Ja też odrobiłem swoją lekcję...

- Widzę. To dobre pytania. Odwołam się do wydziału językowego, żeby przygotowali

opinię na ten temat.

- Czy znacie miejsce pobytu siostry Teresy?

- Nie. Pamięta pan ją?

- Tak mi się wydaje. Czy będzie pani rozmawiać z Picardem?

- Oczywiście - powiedziała. - Pańska wersja jest interesująca, ponieważ subiektywna, podczas gdy opis Picarda wydaje się niezwykle obiektywny.

- To znaczy?

- To znaczy, że pan pozostawia mnóstwo miejsca dla interpretacji wydarzeń, podczas kiedy on niedwuznacznie twierdzi, że usłyszał opowieść o masakrze i ją przekazuje.

Tyson nic nie powiedział.

- Jeżeli Picard koloryzuje - dodała - wychodząc od pańskiej wersji, łatwo dostrzec, jak to robi. Wszystkie składniki występują i tu, i tu: szpital, flaga, wymiana ognia na terenie szpitala. A przy tym Picard pisał kiedyś powieści. Wiedział pan o tym? Wymyślał fabuły. Niech pan nie zapomni o tym powiedzieć swemu obrońcy.

Wydawało się, że Ben jej w ogóle nie słyszy.

- Można też rozważyć wersję - ciągnęła dalej - że ci dwaj ludzie z pańskiego plutonu kłamali, kiedy rozmawiali z Picardem. Ale dlaczego mieliby to robić? Taki czyn nie wystawia im dobrego świadectwa.

- Na pewno nie.

- Ale na pewno wystawia złe panu. Czy miał pan w swoim plutonie wrogów?

- Powiem pani, kiedy poznam nazwiska tych dwóch mężczyzn.

- Także siostra Teresa może być najgorszym rodzajem świadka. Mogła nie zrozumieć wydarzeń, które widziała, lub mogła źle opowiedzieć o nich Picardowi.

- To prawda.

Major Harper pochyliła się do przodu.

- Przypuszczam - powiedziała - że mogła też złożyć coś w rodzaju raportu o tych wydarzeniach władzom katolickim, którym szpital podlegał, w Sajgonie lub we Francji. Nie sądzi pan, że tak się stało?

Tyson tę możliwość zawsze uważał za bardzo prawdopodobną.

- Chyba tak - odparł.

- Ale rozumiem - ciągnęła dalej - że rząd południowowietnamski i do pewnego stopnia kościół katolicki w Wietnamie starali się ukrywać historie źle świadczące o ich sprzymierzeńcach i mistrzach. Nie chcieli stawiać Amerykanów w niezręcznej sytuacji. Sajgon próbował zabić oficera prowadzącego śledztwo w sprawie My Lai nawet wtedy, gdy zajęła się nią Izba Wojskowa. Inne nacje nie rozumieją, dlaczego upieramy się, by prac nasze brudy publicznie. Jeśli więc istnieje raport tej zakonnicy i znajduje się w nim nieprzychylny opis amerykańskich żołnierzy, mógł on nigdy nie trafić do Francji. Taka jest moja teoria.

- Nad którą - powiedział Ben - musiała się pani trochę zastanowić.

- Zastanawiałam się nad całą tą sprawą.

- Ja też. - Tyson podszedł do okna. Odwrócił się do Harper plecami i powiedział: - Wie pani, jeszcze miesiąc temu mógłbym opowiadać to na jakimś mocno alkoholowym przyjęciu jako dobrą historię wojenną. Nie miałem się czego wstydzić. Wielu oficerów obeszło bokiem ten budynek - tak jak pani przyjaciel, pułkownik. Niedobrze się stało, że zginęło tylu niewinnych ludzi, ale byli tam i źli ludzie w czarnych pidżamach. - Odwrócił się do niej. - Teraz zaczynam się bronić. Zaczynam się od nowa zastanawiać nad tym, co się wtedy stało. A nie powinienem. Wtedy dokładnie wiedziałem, co się dzieje.

- Wiem. Wszyscy dowódcy zawsze przeżywają bitwy w swoich głowach. A minęło dużo czasu.

- Bardzo dużo.

- Dlatego możemy potrzebować więcej oświadczeń - stwierdziła Karen Harper. - Na przykład gdyby dało się odnaleźć siostrę Teresę i jej zeznania okazały się jasne... - Spojrzała na niego. - Chciałby pan, żebyśmy ją odnaleźli?

Nie odpowiedział.

- To dziwne, że nikt inny nie przeżył - stwierdziła.

Usiadł z powrotem.

- Mówiłem, że uratowaliśmy kilka osób. Ale proszę nie oczekiwać na telefony z Wietnamu.

- Tak. To nie jest łatwe. Zbyt wiele lat, za duża odległość. Mówił pan, że pamięta siostrę Teresę. Co pan pamięta?

- Że była przestraszona. Może nawet w histerii. To wszystko, co pamiętam w tej chwili. Zastanowię się nad tym.

- Dobrze. Wie pan, może gdy śledztwo zatoczy szersze kręgi, uda nam się znaleźć przez jakieś organizacje kombatanckie innych, którzy przeżyli.

- Mało prawdopodobne.

- To prawda. Czy myśli pan, że obecny rząd będzie z nami współpracował? Oni mają dostęp do miejsca wydarzeń.

Tyson miał wrażenie, że staje się jej asystentem, co również było - jak dobrze wiedział - metodą śledczą.

- Jeśli nawet będą współpracować - powiedział - to nie sądzę, by ktokolwiek, kogo postawią jako świadka, został uznany za wiarygodnego dla sądu wojskowego w Ameryce.

- Ma pan rację. To było niemądre.

Przytaknął. Obie sugestie nie były zbyt mądre. Próbowała wstrząsnąć nim, wywołując wizję niespodziewanych świadków. Nie wiedziała jeszcze - że nikt nie ocalał. Z wyjątkiem siostry Teresy.

Karen Harper dołała kawy do obu filiżanek.

Tyson przypomniał sobie człowieka sprzedającego urządzenia gospodarstwa domowego, który uważał, że jak długo będzie pił kawę, nikt go z domu nie wyprosi. Mylił się.

- Myślę, że możemy już skończyć - powiedział do niej.

Wypiła łyk kawy.

- Był pan bardzo pomocny. Jak już wcześniej powiedziałam, staram się dojść prawdy zarówno ze względu na pana, jak i z uwagi na interes prawa. Przypuszczam, że pan też chciałby to wszystko wyjaśnić, by wrócić do normalnego życia.

- Majorze, ja już nigdy nie będę mógł wrócić do normalnego życia. Ale chciałbym mieć za sobą powtórne przeżywanie tego wszystkiego. Tym razem sprawdzę dokładnie każdy cholerny kwadracik. Dwukrotnie sprawdzę. Jak długo może to wszystko potrwać?

- Och... jeszcze jakieś kilka tygodni. Muszę się skontaktować z Picardem, dostać od niego nazwiska dwóch mężczyzn, którzy opowiedzieli mu tę historię. Jeśli będzie to konieczne, możemy skontaktować się z innymi ludźmi z pańskiego plutonu, których miejsca pobytu ustaliliśmy.

- Z kim?

- Mówiłam panu - przyślę panu lub pańskiemu prawnikowi listę, jak tylko podejmiemy decyzję, czy ich zeznania są konieczne. Ale naprawdę mam nadzieję, że kiedy odnajdziemy Picarda, okaże się, że - no, powiedzmy - troszeczkę zalewał.

Ben uśmiechnął się wbrew samemu sobie.

- Czy jest pan zadowolony z naszej rozmowy? - zapytała. - Czy wszystko zostało przeprowadzone tak, jak należy?

- Zdecydowanie. - Przez chwilę zastanawiał się, a potem dodał. - Jest pani niezwykłą kobietą. Dlaczego jest pani w wojsku?

- Wkrótce kończy mi się służba - odpowiedziała z uśmiechem.

- Naprawdę? Nie zrobi pani kariery oficerskiej?

- Nie. Spłacam mój dług za studia.

- Rozumiem... Przepraszam, że pytam, ale czy jest pani mężatką?

- To nie ma związku... nie, nie jestem. Dlaczego pan pyta?

- Zwykła ciekawość. - Najwyraźniej nie miała zamiaru wychodzić, a on chciał skończyć ich spotkanie, zanim powie coś, czego będzie żałował. Wstał.

- Za pół godziny jestem umówiony na tenisa.

- Oczywiście. - Podniosła się również. Zebrała swoje rzeczy i ruszyła za nim w stronę korytarza. - Jadę na Manhattan. Zdaje się, że mam stąd pociąg.

- Tak. - Spojrzał na zegarek. - Następny odjeżdża za jakieś dwadzieścia minut. Do stacji można dojść piechotą.

- Najpierw chciałabym się trochę odświeżyć.

- Schodami na górę i w lewo.

Weszła po długich, idących półkolem schodach. Popatrzył na nią z zastanowieniem. Stypendia szkolne to tak, jakby się przyznać do najgorszego pochodzenia. Usiłował sobie wyobrazić jej dom. Miała wyraźny akcent ze Środkowego Zachodu. Mówiła poprawnie i była bardzo zadbana. Doszła do stopnia majora w ciągu czterech lat służby, więc musi być niezła. Zastanawiał się, jaka to przewrotna logika spowodowała, że właśnie ją Izba Wojskowa przysłała do jego drzwi. Wzruszył ramionami. Logika wojskowa, czyli można powiedzieć brak logiki. Ale w tym szaleństwie musiała być metoda. Trzeba przyznać, że w

tym przypadku zdecydowanie była jakaś metoda...

Zeszła na dół po schodach i podeszła do frontowych drzwi.

- Mam zajęcia na dobre kilka dni, ale chciałabym spotkać się z panem znowu. Dobrze?

Tyson zastanawiał się przez chwilę.

- Muszę to przemyśleć - powiedział.

- Umówmy się na za tydzień, w przypadku gdyby miał pan oczywiście ochotę. Może w Waszyngtonie?

Ben wiedział, że nikt nie może go zmusić, żeby rozmawiał o sprawie.

Ale mógł otrzymać rozkaz udania się do Waszyngtonu, do Fortu Benning, Georgii, do Nome, na Alaskę czy gdziekolwiek, gdzie oni zadecydują, że powinien pojechać. Mógł wypróbować swoje prawa i milczeć jeżdżąc z jednego krańca kontynentu na drugi. Ale wolał raczej rozgrywać tę grę w Nowym Jorku czy Waszyngtonie niż w Nome. - Myślę, że możemy spotkać się w Waszyngtonie - powiedział.

- Dobrze. Zadzwoń do pana i wtedy omówimy szczegóły. - Wręczyła mu wizytówkę. - Gdyby cokolwiek wydarzyło się w tym czasie, proszę do mnie dzwonić. Lub gdyby potrzebował pan pomocy albo po prostu chciał porozmawiać.

- Tak się właśnie mówi do podejrzanego. To jest szablon, majorze.

- Wiem, ale wiele osób do mnie dzwoni.

Wyjął jej mundur z szafy i pomógł go włożyć, potem otworzył drzwi. Mżyło. Zdjął parasol z wieszaka i ruszyli razem ulicą.

- Dziękuję za współpracę - powiedziała. - Wydaje mi się, że jestem teraz znacznie bliższa zrozumienia sprawy.

- W takim razie jest pani dużo bystrzejsza niż ja. - Zastanowił się przez chwilę. - Jeżeli rzeczywiście zostanie przeciwko mnie wniesione oskarżenie... jaka jest obecna polityka w wojsku dotycząca... wymiaru kary?

- Oczywiście musi to pana gnębić... prawie na pewno... biorąc pod uwagę wszystkie delikatne aspekty sprawy, jako oficer powinien pan pozostać raczej na wolności... Jestem przekonana, że będzie pan mógł mieszkać w domu, a do jednostki przyjeżdżać tylko na czas wyznaczonych panu obowiązków. Mogą nałożyć jedno ograniczenie...

- Nie będzie mi wolno opuszczać kraju.

- Właśnie.

- Czy już teraz mnie obowiązuje?

- Z tego, co wiem, nie. Przebywa pan na urlopie do chwili otrzymania rozkazu stawienia się w Forcie Hamilton. Czy zamierza pan wyjeżdżać z kraju?

- Nie. Może im to pani powiedzieć - dodał.

- Komu?

- Wszystkim, którzy będą ciekawi, wszystkim, którzy będą się martwić, wszystkim, którzy będą mieli nadzieję. Zna pani tę sentymentalną sentencję?

Przytaknęła.

- Ta sprawa obudziła tak wiele złych wspomnień. Proszę posłuchać, jeśli naprawdę jest pan niewinny, to uczciwie biorąc wojsko, naród, po prostu wszyscy, w tym dziennikarze, powinni wynagrodzić to, co panu zrobiono. Ten kraj wie, jak powiedzieć „przepraszam”.

- A kto przeprosi moją żonę?

- Nikt. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Krzywda już się stała i nikt jej nie naprawi. Jesteśmy także krajem, który ma obsesję na punkcie...

- Pieprzenia. - Uśmiechnął się. - Po zastanowieniu muszę powiedzieć, że jest pani zbyt uczciwa, by zostać adwokatem w cywilu. - Zawahał się, a potem dodał: - To miło, że pofatygowała się pani taki kawał drogi. Wiem, że mogło być odwrotnie. Ale myślę, że nieformalne spotkanie było najlepszym rozwiązaniem.

- Zgadzam się.

Rozejrzał się wokół, mżawka przeszła w deszcz.

- Zaproponowałbym pani parasol, ale pamiętam, że do munduru nie wolno go nosić.

- Głupi zwyczaj... a może to zasada? To idiotycznie tak moknąć. Wezmę parasol, chyba że potrzebny jest panu podczas meczu.

Wymienili uśmiechy, kiedy podawał jej parasol.

- Zwrócę go za tydzień.

- Lepiej niech się pani pospieszy. - Spojrzał na zegarek. - Zaraz na końcu tej ulicy proszę skręcić, minie pani cztery przecznice i już będzie widać stację. Nie zaszaluję. Sąsiedzi patrzą.

Wyciągnęła do niego dłoń, uścisnęła ją.

- Do widzenia. - Odwróciła się i odeszła.

Stał pod drzewem i przyglądał się, jak szła ulicą, niosąc jego parasol.

Deszcz. To była łagodna mżawka i kiedy tak na niej mókł, przypominał mu się znowu Wietnam: gorący, parujący deszcz, mgła kłębiąca się nad ziemią i stały, cichy szemrzący dźwięk wody spływającej pomiędzy liśćmi. I męczący zapach mokrej ziemi, który czuł znowu, jakby znalazł się tam z powrotem.

Wietnam, pomyślał nagle, jest tutaj, w tym miasteczku. Czuł go w podmokłej, gnijącej roślinności, słyszał w spływającym deszczu i widział w nasyconym wilgocią powietrzu.

Powoli wracał w deszczu do domu.

Rozdział 18

Benjamin Tyson szedł niespiesznie przez rozległy trawnik parku Konstytucji. Był parny zmierzch i czuł, jak mu pot spływa pod białą koszulą i popelinowymi spodniami.

Wokół było dość dużo ludzi, puszczała latawce, leżeli na kocach, spacerowali, słuchali radia. Po lewej ręce Tysona znajdował się Dorycki Panteon w Mauzoleum Lincolna, a po prawej długie jezioro ciągnące się na wschód do masywnego pomnika Waszyngtona. Zachodzące słońce kładło się złotawą poświatą na parku, jeziorze i okolicznych budynkach. Na północnym skraju parku, przy alei Konstytucji, stał dostojny budynek, znany z fotografii, choć Ben nie mógł przypomnieć sobie, co się w nim mieści. Nie znał dobrze Waszyngtonu, ale nawet obcy trafiający do tego miasta przez przypadek widział, że jest to stolica imperium, miejsce władzy, nowy Rzym.

Przed Tysonem wznosił się czarny mur, wyrastał z ziemi, ostro kontrastując z wyniosłym, białym marmurem i wapniem, z którego zbudowano całe to monumentalne miasto. Wcinał się w łagodny wzgórek porośnięty trawą. Krytycy narzekali, że nie ma w nim heroizmu i że jest prawie niewidoczny. A jednak trudno go było nie dostrzec, podobnie jak dwóch prawie identycznych ścian biegnących po bokach, ponieważ tam właśnie gromadzili się ludzie.

Ben podszedł powoli, a im bardziej się zbliżał, tym większa cisza ogarniała park, jakby

to był jakiś chroniony obszar, miejsce, gdzie się rozumie samo przez się, że nie należy puszczać latawców ani frisbi czy słuchać radia.

Wokół czarnego pomnika atmosfera przypominała pogrzebową. Wszyscy byli cisi, poważni, skupieni. Atmosfera domu pogrzebowego.

Chociaż bywał w Waszyngtonie z interesami, tutaj nie przyszedł nigdy. Mimo to miejsce wydawało mu się znajome, wiele razy oglądał je w telewizji. Kiedy jednak podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że żadna fotografia nie mogła przekazać istoty tego ogromnego nagrobka, żadna relacja filmowa nie mogła przenieść uderzenia jego cichej obecności. Odmienne niż innych miejsc poświęconych zmarłym tego można było dotknąć, brać udział we wspomnianiu. Ludzie przesuwali palcami po wykutych nazwiskach, czytali je, wskazywali na nie, stawiali ołówkami znaki przy odnalezionych.

Tyson zatrzymał się jakieś dziesięć stóp od czarnej granitowej ściany. Na trawniku przed i za ścianą stało sześciu ludzi w mundurach polowych. Wydawali się należeć do pomnika, żołnierze zastygli w czasie, na szczycie czarnego klinu, stojący tuż nad przepaścią. Benowi wydawało się, że są to młodzi mężczyźni, ale tylko dlatego, że takie mundury kojarzyły mu się z młodymi mężczyznami. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że dochodzą, podobnie jak on, średniego wieku.

Zbliżył się do ściany i stanął na ścieżce biegnącej równoległe do niego. Jakiś mężczyzna w jego wieku miał na sobie fragmenty różnych mundurów. Inny, wynędzniały mężczyzna siedział na wózku inwalidzkim, dwóch kolejnych szło o laskach. Byli też i dobrze ubrani, bez żadnych widocznych ran, których jednak można było bez wątpliwości zidentyfikować jako weteranów. Tyson dostrzegł w ich twarzach coś, czego nie widział przez prawie dwadzieścia lat - to Odległe Spojrzenie. Czuł się, jakby był pomiędzy wyznawcami tej samej religii, i mógł przysiąc, że czuje od nich zapach dżungli, że widzi na nich błoto Azji. Przeraził się nagle, że zobaczy jakąś znajomą twarz. Chciał odwrócić się i szybko odejść, zanim pochwycą go czarne ramiona ścian. Odetchnął głęboko, zawrócił i zamarł, widząc przed sobą trzy postacie z brązu przedstawiające żołnierzy w mundurach polowych. Wyglądali jak w transie i chociaż nie mieli Odległego Spojrzenia, nie było w nich w ogóle życia, jakby rzeźbiarz świadomie chciał przedstawić trzy duchy.

Odwrócił się i przyjrzał wysokiej czarnej tablicy, na której wryte były nazwiska: James B. Alexander, Robert J. Betz, Jack W. Klein, David J. W. Widder, Lawrence W. Gordon. Zauważył, że nie było wymienionych szarż ani jednostek, nie podano też, czy służyli w wojskach lądowych, marynarce, piechocie morskiej, lotnictwie czy służbie granicznej, ani miast, z których pochodzili, wieku, nic, co mogłoby służyć statystyce. Tylko nazwiska ustawione chronologicznie od pierwszej śmierci w 1959 roku do ostatniej w 1975. I właśnie tak powinno być, pomyślał, tylko nazwiska. Matki, ojcowie, żony, dzieci, bracia i siostry wiedzieli to wszystko, co można wiedzieć.

Postrzegł kwiaty wetknięte pomiędzy płyty, kwiaty położone u stóp monumentu,

fotografie zatknięte między ściany. Leżało też kilka imponujących wieńców. A pomiędzy nimi na czarnym kamieniu widniała rękawica do baseballu.

- Odnaleźć dla pana nazwisko?

Tyson spojrział w bok. Koło niego stała młoda dziewczyna, najwyżej szesnastoletnia, w dżinsach i trykotowym podkoszulku. Miała ładne oczy i opaloną buzię, ale poza tym była dość przeciętna. Trzymała kartkę i ołówek.

- Słucham? - zapytał.

- Potrafię znaleźć nazwisko.

- Co... aha... dobrze... Browder. Roy Browder.

- To dość popularne nazwisko. Czy zna pan inicjał drugiego imienia? Albo datę śmierci.

- Datę śmierci, 21 lutego, 1968.

- W porządku, zaraz wrócę. - Podeszła szybkim krokiem do wschodniej ściany pomnika, gdzie stała kobieta w zielonym mundurze Służby Narodowego Parku. Pracownica trzymała grubą książkę i wyszukiwała dla ludzi nazwiska. Dziewczyna, pomyślał Ben, była rodzajem działającej na własną rękę łączniczki między przepracowaną urzędniczką a odwiedzającymi.

Powrócił wzrokiem do gładkiej ściany, na czarnej lśniącej powierzchni widniały wyryte białe litery. Patrząc na ten granitowy mur, pomyślał Tyson, żywi widzą się na tle zmarłych. Taki jest cel tego pomnika, wtedy ma on sens.

Atrakcyjna kobieta, o kilka lat młodsza od Bena, stanęła na wąskim pasku trawy między pomnikiem a ścieżką. Dotknęła palcem jakiegoś nazwiska. Tyson przyglądał się jej odbiciu. Wargi kobiety złożyły się jak do pocałunku, a potem rozciągnęły w pełnym mądrości uśmiechu. Odwróciła się. Ben podążył za nią wzrokiem i zobaczył, jak podchodzi do mężczyzny stojącego na ścieżce. Mężczyzna, pomyślał, wyglądał na speszzonego.

- Proszę pana.

Odwrócił się. Dziewczyna stała koło niego.

- Tablica 36 E. Linia 95. To tutaj - pokazała.

- Dziękuję.

- To pomoże panu odnaleźć inne nazwiska, jeśli zna pan w przybliżeniu datę śmierci. - Wręczyła Tysonowi szaro-czarną broszurę. - Jeśli chciałby pan wspomóc fundusz na rzecz pomnika... - dodała.

- Oczywiście. - Wyciągnął portfel i dał jej pięciodolarowy banknot.

- Dziękuję. - Zawahała się, a potem zapytała: - Czy... mogłabym wiedzieć... to znaczy, kto... przyjaciel, krewny...?

- Przyjaciel.

- Pan tam był?

- Tak.

- Mojego ojca zabili w 1967. Zanim się urodziłam. Był podoficerem. W wojskach lądowych. Tablica 22 E. Linia 91. Patrick Duggan.

Ben zastanawiał się, czy dziewczyna w ten sposób pyta go, czy znał jej ojca.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

- Och, to nie boli ani nic takiego. Po prostu jest smutne.

Skinął głową. Wyraźnie nie miała ochoty odchodzić, zrozumiał, że ta bezbarwna dziewczyna jest samotna. Poczul potrzebę dowiedzenia się, jak wyglądało życie dziecka, które urodziło się po śmierci ojca żołnierza. Czy jej matka powtórnie wyszła za mąż? Czy mieszka tutaj w Waszyngtonie? Czy wojsko naprawdę się nią zajęło? Czy też odebrali jej ojca, a rodzinę pozostawili na pastwę losu. Ale wiedział, że nie zada tych pytań.

Spojrzał znowu na oświetloną słonecznym blaskiem tablicę. Dawno temu organizowano benefisy na rzecz zmarłych żołnierzy i budowano wielkie pomniki za pieniądze wdów. A w czasie pułkowych spotkań wznoszono toasty za tych, którzy odeszli. Ale na tych, którzy przeżyli, niewiele służyło chwały. Gdyby miał zaprojektować jeden jedyny pomnik upamiętniający wszystkie wojny, byłaby to statua kobiety o Odległym Spojrzeniu.

Dziewczyna podążyła za jego wzrokiem.

- Podoba się panu? - zapytała. - Ta ściana?

Znowu przytaknął.

- Wielu ludziom nie. Przychodzą tutaj i od razu wiedzą, że nie będzie im się podobało, ale w jakiś sposób ich to bierze. Wie pan?

- Tak, wiem.

- Moja mama mówi, że powinni położyć siedemdziesiąt pięć tysięcy kamieni nagrobkowych na trawniku po zachodniej stronie Kapitolu.

- Tak, a pomiędzy nimi stanęłaby moja statua kobiety.

Dziewczyna nic na to nie powiedziała, tylko kontynuowała swoją myśl:

- Żeby widzieli to każdego dnia. Kongres. Powinni byli to zrobić, kiedy jeszcze toczyła się wojna. Każdego tygodnia przywoziliby świeży transport kamieni na trawnik. Co pan o tym myśli?

- Brzmi nieźle.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

Stali jeszcze jakiś czas w milczeniu, czując się dobrze w swoim towarzystwie.

- Czy wiesz, kim ja jestem? - zapytał wreszcie Tyson.

Oczy dziewczyny spoczęły na jego twarzy, pokręciła przecząco głową.

- Ben Tyson.

Wzruszyła ramionami.

On zrobił to samo i uśmiechnął się. Dziewczyna niezgrabnie kiwnęła głową.

- Pam Majerski.

Ben ujął jej rękę.

- Ojczym adoptował mnie - powiedziała. - Majerski.

Tyson przed wypuszczeniem dłoni uścisnął ją.

- Dzięki za pomoc. Tablica 36?

- Tak. Linia 95. Roy Browder. Chyba już kiedyś go szukałam. Wydaje mi się, że dla żony.

Ben odwrócił się i podszedł do ściany. Zatrzymał się tuż przed nią. Na najbliższej tablicy zobaczył wyryty rok 1968. Zobaczył, że zajmuje on wiele tablic. Zły rok. Najgorszy. Dobrze go było spędzać w jakimś innym miejscu.

Znalazł nazwisko Browdera i wpatrywał się w nie przez chwilę próbując przypomnieć sobie człowieka, wyczarować pulchną twarz z wiecznie wetkniętym cygarem w lewym kąciku ust. W swoim czasie śmierć kapitana wstrząsnęła Tysonem, choć nigdy specjalnie nie przepadał za dowódcą kompanii. Ale Browder był Starym, uosobieniem gburowatej, ojcowskiej dyscypliny, esencją autorytetu, z niego Kompania Alfa czerpała siłę.

I po śmierci kapitana Browdera, w sześć dni od incydentu w Szpitalu Miłosierdzia, porucznik Benjamin Tyson, lat dwadzieścia sześć, powołany do wojska po ukończeniu obozu treningowego dla oficerów rezerwy, został dowódcą Kompanii Alfa. Gdyby Browder żył, pomyślał Tyson, w końcu bym się mu zwierzył. I w jakiś sposób to, co się teraz działo, nigdy by się nie zdarzyło. Stary coś by wymyślił.

Ben podszedł do kolejnej tablicy, potem do następnej. Widział nazwiska mężczyzn, których znał, którzy umierali na jego oczach, mężczyzn, których ewakuowano z przerażającymi ranami, mężczyzn, którzy żegnali się z nim, kiedy opuszczał Wietnam. Nie mógł powiedzieć, ilu ludzi z Kompanii Alfa wymieniono na tej tablicy, ale przypuszczał, że co najmniej pięćdziesięciu.

Zajrzał do broszurki, przeszedł do kolejnych tablic i zobaczył nazwiska mężczyzn, których znał z innych czasów i miejsc: przyjaciel z lat dziecińczych, dwóch kolegów z klasy, chłopak, z którym odbywał służbę w Stanach. Pomyślał, że zna większość spośród 57 939 Amerykanów tutaj wymienionych.

Szedł powoli wzdłuż ściany do chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że słońce już zaszło. Wrócił do tablicy poświęconej dacie 1968 roku. Zobaczył nazwiska Fredericka Brontmana i Irwina Seliga, którzy jeszcze żyli, gdy on opuszczał Wietnam, dopiero teraz dowiedział się, że polegli. Znalazł nazwiska Petera Santosa i Johna Manelli, którzy zginęli w Hue tego samego dnia co Browder. Znalazł nazwisko Arthura Petersona, który otrzymał ranę w pierś i zmarł w Szpitalu Miłosierdzia. Odkrył nazwisko Michaela DeTonqy, jedynego z Kompanii Alfa, który był zgłoszony jako zaginiony w akcji. Przy nazwisku DeTonqy widniał krzyż, oznaczający, że nie odnalazł się nigdy, ale Ben nie wierzył w zaginięcie przypadkowe. DeTonqy zaginał celowo. Był Metysem z Luizjany, potrafił dogadać się po francusku i bez wątpienia postanowił zakończyć swą wojskową karierę wcześniej, niż to zaplanowano dla niego. Często wyobrażał sobie DeTonqy w ramionach przejętej współczuciem Francuzki. Miał też nadzieję, że udało mu się przeżyć upadek Wietnamu i jakoś powrócić do Stanów.

Wyjął chusteczkę i przetarł spocone czoło. Rozejrzał się po parku. Drzewa rzucały długie, fioletowe cienie. Jakies sto metrów dalej stał samotny mężczyzna ubrany w mundur polowy używany w dżungli i kapelusz z trzciny. Przez jeden moment Tyson poczuł się niepewnie, myśląc, że naprawdę widzi ducha i że widzi go tylko on jeden. Potem mężczyzna podniósł do ust trąbkę, ostatni promień słońca rozbłysł na lśniąącym mosiądzu. Powietrze nagle wypełniło się żalonym, nawiedzonym dźwiękiem capstryku. Tłum, który tymczasem zamienił się w tłumek, odwrócił się, patrzył i słuchał. Końcowa nuta zawisała w gorącym, wilgotnym powietrzu. Mężczyzna wrócił do pozycji na baczność, zrobił zwrot i odszedł.

Ludzie spod pomnika zaczęli się rozchodzić. Ben odszedł na bok, zawahał się i wrócił. Przejechał dłonią po gładkim, czarnym granicie, czując promieniujące z niego ciepło, wyryte nazwiska, spoiny pomiędzy płytami. Jego dłoń sunęła w górę na wysokość prawie

dwóch metrów, aż palce zatrzymały się na nazwisku Lawrence'a F. Cane'a. Zabity podczas akcji w Szpitalu Miłosierdzia. Tyson napisał oficjalny list kondolencyjny do jego matki:

„Szanowna Pani Cane,

Niech Pani strapieniu ulży świadomość, że syn Pani, Larry, zginął w służbie swego kraju”.

Co było prawdą. I ludziom naprawdę takie słowa przynosiły ulgę. Lepsze to, niż stracić syna w walce gangów.

„Znałem Larry'ego dobrze, był dobrym żołnierzem i porządnym człowiekiem”.

No cóż... mimo wszystko o zmarłych nie mówi się źle. Tak naprawdę nie był wcale zły.

„Larry był szanowanym i cennym członkiem mojego plutonu i każdemu, kto go znał, będzie go brakować”.

Wszyscy strzelcy są cenni i zawsze ich brak. Nie ma w tym nic osobistego, po prostu względy praktyczne.

„Byłem z nim, kiedy umierał, i zapewniam Panią, że była to śmierć szybka i bezbolesna”.

I to było, pomyślał Ben, jedyne naprawdę prawdziwe zdanie w całym liście. Był wtedy z nim i mógł świadczyć, że Larry Cane zmarł szybko i bezboleśnie. Ponieważ strzelił mu prosto w serce.

„Pozostaję z szacunkiem

Benjamin J. Tyson

Porucznik

Armia Stanów Zjednoczonych, Piechota”.

Rozdział 19

Benjamin Tyson siedział w sali klubowej eleganckiego hotelu Cztery Pory Roku umiejscowionego na skraju Georgetown. W Czterech Porach Roku mieszkał zawsze, kiedy jeździł w delegacjach w sprawach Peregrine-Osaka, a więc teraz uznał również, że powinien się w nim zatrzymać. Wątpił jednak, by wojsko zwróciło mu koszty. A to naprawdę należało się Benowi Tysonowi, pomyślał, należało mu się za każdą z trzystu dwudziestu dwóch bezsennych nocy, które przeżył w lęku i niewygodzie w dżungli. Byli mu to winni.

Nie przebrał się i nadal miał na sobie przepoconą koszulę i skarpetki, w których spacerował koło pomnika. W klimatyzowanym pomieszczeniu jego skóra zwilgotniała, co przypomniało mu chwilę, kiedy prosto z pola szedł do chłodnego klubu oficerskiego, gdzie wietnamskie kelnerki miały sine nosy i palce, a Amerykanie pili zimne piwo i poruszali się nerwowo, jakby ktoś właśnie wylał im na głowy kubeł lodowatej wody.

Usiadł głębiej w fotelu, oparł nogi na koktajlowym stoliku i zrzucił pantofle. Przez chwilę przyglądał się palcom u nóg dopijając szkocką.

Podeszła kelnerka i Ben zamówił trzeciego drinka. Mgliście czuł, że jak na miejsce, w którym był, i czekające go spotkanie powinien lepiej się ubrać. Ale jego socjoekonomiczny status był w tym momencie zachwiany, wobec tego powiedział sobie, że może się ubierać, jak mu się żywnie podoba.

Spojrzał na zegarek. Spóźniała się.

Zazwyczaj nie doświadczał za grosz winy, że jemu udało się przeżyć. Ale kiedy siedział tak wygodnie w stolicy swego kraju, otoczony pomnikami i różnymi miejscami pamięci, zaczynał czuć się nieswojo. A może był to sentymentalizm wywołany widokiem czarnej

ściany i alkoholu. Stwierdził, że w takim stanie nie powinien spotykać się z Karen Harper. Kiedy otrzymał drinka, zapłacił rachunek i podniósł się, by wyjść.

Dostrzegł ją, gdy wchodziła do pomieszczenia. Poczuł nieoczekiwany zawód widząc, że znowu nie ma na sobie cywilnego ubrania. Jej czapka wciśnięta była w kieszeń czarnej torby, a w ręce ścisnęła teczkę.

Karen Harper rozejrzała się po słabo oświetlonym barze, przyzwyczajając oczy do panującego mroku. Kiedy podeszła, Tyson wstał.

- Dobry wieczór - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę. - Bałam się, że pan sobie poszedł.

- Czy oficer i dżentelmen mógłby się tak zachować?

Uśmiechnęła się, gdy prowadził ją do wyściełanego krzesła, po drugiej stronie stolika. Na jego znak zbliżyła się kelnerka i major Harper zamówił białe wino.

- To bardzo miły hotel - odezwała się.

- Dla naszych chłopców w mundurach tylko to, co najlepsze.

- Miał pan prawo zatrzymać się w Prezydenckim. Otrzymał pan bilety pocztą?

Ben zakołysał drinkiem i zagapił się w kostki lodu.

- Mój adwokat poradził mi - odpowiedział dopiero po dobrej chwili - żebym nic nie przyjmował od rządu. A i tak podczas pobytu w Waszyngtonie zawsze się tutaj zatrzymuję.

- Gdyby się pan ostrzygł i trochę przebrał, mógłby pan korzystać z klubów oficerskich. Tanie drinki. - A po chwili zapytała z ciekawością: - Czy zgłosi się pan do Fortu Hamilton zgodnie z rozkazem, w mundurze?

- Nie jestem pewien.

- Bardzo bym panu to doradzała.

- Mój status nie został określony.

- Pański status jest jasny. Został pan powołany do służby.

Wzruszył ramionami.

- Załatwił pan wszystkie sprawy? - podjęła tonem towarzyskiej rozmowy.

Skinął głową.

- Widziałem się z facetem, który stworzył prawną podstawę narodowego funduszu na rzecz mojej obrony. Potem spotkałem się z prawnikiem ze Związku Oficerów Rezerwy. Następnie zjadłem lunch z Amerykańskimi Inwalidami Wojennymi. Jak pani wie, jestem w dziesięciu procentach kaleką. Chociaż myślę, że w tej chwili wynosi to jakieś siedem i pół procenta. Ale co za różnica. W każdym razie zaprosili mnie. Po lunchu byłem umówiony z delegacją weteranów, a potem wpadłem do mojego kongresmana.

- Był pan przez cały dzień bardzo zajęty.

- To prawda. Sporo też się kręciłem tu i ówdzie.

- Ruch dobrze robi - uśmiechnęła się.

- No cóż, majorze, trzeba szybko zmykać, jeśli chce się zmylić pluton egzekucyjny.

- Niech pan nie będzie taki melodramatyczny.

- Odczułem dzisiaj, że mam spore poparcie. - Tyson podniósł szklanke. - Że rząd i wojsko stąpają po cienkim lodzie.

- Na tym właśnie polega siła pluralistycznego społeczeństwa - powiedziała Karen Harper. - Wolni ludzie gromadzą się wokół jakiegoś celu lub zadania i walczą z rządem. Myślę, że tak powinno być.

- Czy pani zrozumiała to, co powiedziałem?

- Tak. I rząd ma podobną świadomość. Ale, używając wojskowego wyrażenia, Rubikon został przekroczony.

- Rozważają, jak wycofać się ze sprawy z honorem?

- Nie sądzę. Nie mogą.

- Do diabła z nimi - stwierdził Ben. - Chcieli walki, będą ją mieli.

- Zawsze uważałam, że dziewięćdziesiąt procent wojen, procesów i bójek zaczyna się dlatego, ponieważ ktoś nie wie, jak wycofać się i uratować twarz. Być może, gdyby pewni ludzie nie próbowali tak rozpaczliwie ratować swojej twarzy, moglibyśmy uniknąć konfliktu.

- To podejście feministyczne - zachnął się Tyson. - Twarz jest ważna, a konflikt niekoniecznie zły.

Kelnerka przyniosła wino.

- Za krótką znajomość. - Ben podniósł szklanke.

- Proszę się nie dąsać. - Dotknęła kieliszkiem jego szklanki. Wypili oboje.
- Zapomniałam parasola - powiedziała.
- Widzę.
- Chyba zostawiłam go w samolocie.
- To był prezent od mojej matki, ostatni przed jej śmiercią.
- A więc nie dowie się, że go zgubiłam.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem jednocześnie uśmiechnęli się. Tyson zauważył, że była w jakby lepszym nastroju niż poprzednim razem. Przyszło mu do głowy, że być może ma dla niego jakieś dobre wieści. Ale na razie z ich rozmowy nic takiego nie wynikło. Bardziej prawdopodobne, że to jej zdarzyło się coś miłego - albo miała łóżkową randkę, albo kupiła sobie nową szminkę.

- Jeszcze raz muszę poprosić pana, żeby nie korzystał pan z prawa do milczenia i z prawa do obecności adwokata, i wszystkich innych praw przysługujących podczas tego śledztwa.

- Zrzekam się ich.
- To dobrze. - Zaskoczyła go wzywając kelnerkę.

Kiedy ta podeszła, Karen Harper wskazała na prawie pełny kieliszek wina.

- Proszę to zabrać - powiedziała. - Chciałabym principessa gavia. Macie to?
- Tak, proszę pani. Ale tylko na butelki.
- Dobrze.

Kelnerka zabrała kieliszek i odeszła.

- Kiedy jesteś w Rzymie...
- Tak naprawdę to jest piemonckie wino z Banfi w Gavii.
- Coś takiego.
- Odwiedziłam kiedyś tę winnicę.
- I zamierza pani wypić całą butelkę?

- Chcę tylko kieliszek.

- Nie zamówiłaby pani tego w Prezydenckim.

- Prawdopodobnie nie. - Po chwili milczenia dodała: - Pracowałam trochę nad śledztwem. Przeprowadziłam parę rozmów telefonicznych i przejrzałam archiwa. Rozmawiałam z Andrew Picardem. Bardzo niechętnie podał mi nazwiska dwóch członków pańskiego plutonu, którzy opowiedzieli mu tę historię. Ale przekonałam go, że będzie to z korzyścią dla praworządności.

Ben przypomniał sobie, że Picard jest byłym oficerem i też ma słabe punkty.

- Jestem pewien, że była pani bardzo przekonująca - odparł zapalając papierosa.

Przez chwilę patrzyła na niego.

- Nie chciałby pan poznać ich nazwisk? - zapytała.

- Mam zamiar rozegrać to na zimno.

- No cóż, będę udawała, że zadał pan odpowiednie pytanie, bo w takim przypadku muszę na nie odpowiedzieć. Jednym z mężczyzn, którzy zrelacjonowali historię Szpitala Miłosierdzia Picardowi, jest były sanitariusz plutonu, Steven Brandt. - Spojrzała na Tysona. Nie zareagował. - Jest teraz lekarzem w Bostonie - ciągnęła. - Ortopedą. Rozmawiałam z nim przez telefon.

- Naprawdę?

- Tak. A on powtórzył i potwierdził wersję masakry, którą przekazał Picardowi.

Ben wiedział, że to musiał być Brandt. Miał nadzieję, że to Brandt, a nie kto inny. Ale był jeszcze ktoś i Tyson nie miał pojęcia, kto to mógł być.

- Mam obowiązek powiedzieć panu o Brandtcie - ciągnęła major. - To znaczy wymienić go jako możliwego świadka oskarżenia. Ponieważ jednak zeznanie było nie zaprzysiężone, nie ma żadnego zapisu ani nagrania. Wobec tego nie muszę powtarzać dokładnie, co powiedział. Jeśli jednak rozpocznie się formalne śledztwo, pan lub pański adwokat będziecie mieli możliwość wzięcia go w krzyżowy ogień pytań. Czy rozumie pan tę zasadę prawną?

- Pamiętam ją.

- Dobrze. - Wyglądała na zamyśloną. - Czy były jakieś niesnaski między panem a doktorem Brandtem? - zapytała po chwili.

- Wtedy nie był żadnym doktorem, tylko przerażonym dzieciakiem jak my wszyscy.

Tytuł doktora ma w sobie coś poważnego i nie chcę, żeby był używany w czasie sprawy. Co na to mówi prawo?

- Zaznaczę sobie tę sugestię. A co z niesnaskami?

- Brak.

- Jest pan pewien? Pan Brandt uchylał się od służby w wojsku ze względów religijnych. Często nie wzbudzał sympatii fakt, że...

- To nieprawda. Medycy z takimi przekonaniami byli najlepszymi żołnierzami, jakich sobie można wyobrazić. Szanuję ich wiarę i ich odwagę. Opatrywali przecież rannych pod obstrzałem, nosili wielkie apteczki, które czyniły z nich lepszy cel niż dystynkcje porucznika ze mnie.

- Ale pan mówi ogólnie - powiedziała kiwając głową. - Jaki jest pański stosunek do Brandta?

- Zastanowię się nad tym. - Ben zdusił papierosa w popielniczce. - Dobra, kim jest drugi świadek Picarda?

- Richard Farley.

- Farley?

- Tak. Pamięta pan go?

- Ledwo.

- Co pan pamięta?

- Nic ważnego.

- Czy był dobrym żołnierzem?

- Proszę sprawdzić jego akta.

- Pytam pana.

Tyson zastanawiał się przez chwilę. Farley. Dlaczego Farley? Dlaczego nie?

- Panie Tyson?

- Nie był... szczególnie bystry ani szczególnie dzielny - trochę poniżej średniej.

- Miał jakieś spory z panem? Chcę wiedzieć, bo jeżeli był jakiś incydent, może to

tłumaczyć niechętny stosunek Farleya do pana.

- Rozumiem. Nie było żadnych sporów. Nie było też specjalnej miłości między oficerem a zwykłymi żołnierzami. Prawdę mówiąc był to klasyczny związek miłość - nienawiść.

- Pan i Farley?

- Ja i oni.

Pomocnik kelnera przyniósł koszyk z winem i postawił go koło Bena. Przyszedł kelner od win, a za nim kelnerka, która przyjmowała zamówienie.

- To zaczyna wyglądać poważnie - powiedział Tyson do Karen Harper.

Kelnerka postawiła dwa kieliszki, a kiper pokazał Benowi nalepkę na butelce.

- Ja znam tylko szkockie nazwy - stwierdził Tyson. - To pani zamawiała wino.

Kelner od win uklonił się.

- Oczywiście, proszę pana. - Odwrócił się i pokazał butelkę major Harper.

- Majorze?

Kiwnęła głową.

Wyciągnął korek i położył go przed nią na blacie, potem nalał trochę do jej kieliszka. Spróbowała. Dobre.

Napełnił jej kieliszek i odwrócił się w stronę Bena.

- A pan? - zapytał z pewnością człowieka, który rozpoznaje miłośnika wina na pierwszy rzut oka.

- Może nada się do rozcieńczania szkockiej.

Kelner napełnił kieliszek Tysona, włożył butelkę do koszyka, skłonił się i odszedł.

Kelnerka ociągała się przez chwilę, przeniosła wzrok z Bena na Harper, w jej oczach mignęło rozpoznanie.

- Czy mogę państwu przynieść coś jeszcze? - zapytała.

- Rachunek - powiedział Tyson.

Odwróciła się i odeszła.

Karen Harper popijała w milczeniu wino. Tyson spróbował go również.

- Niezłe. Jak by pani je opisała?

- Ma świeży, silny bukiet - odparła. - Jest przejrzyste, dobrze wyważone, leciutko musuje i ma drugi posmak.

- Tak właśnie myślałem. - Odstawił kieliszek. - A tak przy okazji, kelnerka mnie poznała. Może i panią.

- Chyba tak zgodziła się.

- W Nowym Jorku są kelnerki opłacane przez redaktorów działu plotek, by donosiły na popularnych ludzi siadających *tête-a-tête* w ciemnych kawiarniach.

Karen Harper wyglądała na nieco zdziwioną.

- No cóż, nie myślałam...

- Nie chciałbym być tutaj, kiedy się zjawi fotoreporter z „American Investigator”. - Wstał.

- Możemy pójść do pubu w Georgetown. To tylko pięć minut stąd...

- Jestem zmęczony barami. Jeżeli ma pani ochotę, to pokój ma numer 618. Za pięć minut. Przedsięwzięmy środki bezpieczeństwa. Należy pukać trzy razy, hasło „lody na patyku”, wróg tego nie potrafi wymówić. Im wychodzą „rogi na pajacyku”. Wiedziała pani o tym? -Kiwnął głową w stronę butelki z winem. - Za zdrowie armii. -Odwrócił się i odszedł.

Rozdział 20

Ben Tyson stał w pokoju hotelowym koło barku i nalewał z miniaturowej butelki szkocką do szklanki, w której była już woda sodowa i lód. Rozejrzał się. Zwisająca lampa rzucała ciepły blask na kącik z kanapą, krzesłami i stolikiem. Potrójnej wielkości łóżko oświetlała lampka nocna, którą Tyson zgasił, by ta cześć pokoju skryła się w mroku.

Rozległy się trzy mocne stuknięcia do drzwi. Wszedł do korytarza.

- Hasło.

- Rogi na pajacyku - usłyszał po chwili ciszy.

Uśmiechnął się i otworzył drzwi.

Przez chwilę stała w progu, a potem bez słowa weszła. Zaprowadził ją w stronę kanapy. Podeszła tam, ale nie usiadła. Ben wyciągnął butelkę białego wina z lodówki i napełnił kieliszek. Postawił go na stoliku.

- Jak w domu, prawda?

Nie odpowiedziała.

Sięgnął po swojego drinka i zajął miękkie krzesło po drugiej stronie stołu.

Pełna minuta upłynęła w kompletnej ciszy.

- Naprawdę nie powinnam tu być - odezwała się wreszcie.

- Ja też nie.

- Muszę umieścić to w swoim raporcie. To znaczy miejsce naszej rozmowy.

- Może pani w każdej chwili wyjść.

- Myślę również o panu - dodała. - Jest pan żonatym mężczyzną...

- To jest najmniejszy z moich problemów. Proszę posłuchać, majorze Karen Harper, nie prosiłem o kobietę oficera śledczego. Współpracuję w śledztwie. Jeżeli zdecydowałem się kontynuować naszą rozmowę w ciszy mojego pokoju hotelowego, ale pani czuje się w tej sytuacji niezręcznie, możemy przełożyć nasze spotkanie na inny termin i wybrać inne miejsce. Nie mogę jednak obiecać, że będę wtedy rozmowny i być może zażądam obecności prawnika.

Przez moment wyglądała, jakby nie mogła podjąć decyzji, wreszcie usiadła na kanapie.

- Gdzie byliśmy?

- Na dole w barze. Farley i ja. - Tyson oparł się o krzesło.

- Tak. Farley ma porażone obie kończyny dolne. Został poważnie zraniony szrapnelem w kręgosłup dwa miesiące po pańskim wyjeździe z Wietnamu. Wiedział pan o tym?

- Zdaje się, że ktoś coś takiego mi napisał.

Ben przez kilka miesięcy utrzymywał kontakt z plutonem. Potem, jak to zwykle bywa, jego korespondenci umierali, zostawali ranni, wracali do Stanów, byli przenoszeni do innych oddziałów - i wreszcie nikt nie pozostał. W pierwszym plutonie Kompanii Alfa, jak w braterstwie studenckim, byli już zupełnie inni ludzie. Nazwa została ta sama - ale płynęła inna krew. Stara, zużyta lub martwa została usunięta. Stała się dziedzictwem nowych oficerów i nowych żołnierzy, którzy już po wspólnych trzech miesiącach czuli się starą gwardią. Przekazywano sobie opowieści i mity, o czynach tchórzliwych i bohaterskich. Z każdą kolejną opowieścią rodziła się legenda plutonu. Często zastanawiał się, jaki ślad on po sobie zostawił.

- Farley mieszka teraz w Jersey City - Karen Harper wtargnęła w jego myśli. - Sporo czasu spędza w szpitalach dla weteranów. Jest uzależniony od narkotyków i cierpi na kłopoty emocjonalne.

- Dobry świadek oskarżenia. Ale przykro mi to słyszeć - dodał.

- Rozmawiałam z nim krótko przez telefon. Jego opowieść zdaje się pasować do tej, którą przedstawił Brandt.

Tyson zrzucił buty i potarł stopami o gruby dywanik.

- Niech pani usadowi się wygodnie.

- Jest mi wygodnie. - Rozejrzała się po łagodnie oświetlonym pokoju. - Bardzo tu miło. Pańska firma nieźle żyje z kontraktów rządowych.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Nie.

- Pracowałem ciężko, żeby znaleźć się tu, gdzie jestem.

- Nie chciałam pana obrazić.

- Być może. Należymy do innych światów, majorze. - Zastanawiał moment, a potem powiedział: - Używając języka kochanków: nie ułożymy się.

Spojrzała na niego.

- Może jednak tak - zaproponowała.

Wzruszył ramionami.

- Richard Farley jest potencjalnym świadkiem oskarżenia - odezwała się. - Będzie miał pan prawo zadawać mu pytania...

- Gdzie Picard natknął się na niego? I jak znalazł Brandta?

- Interesujące. Wszystko wskazuje na to, że Picard po swojej przypadkowej rozmowie z siostrą Teresą we Francji umieścił ogłoszenie w lokalnym dziale gazety Pierwszej Dywizji Kawaleryjskiej. - Otworzyła swoją teczkę i wręczyła mu fotokopię gazety sprzed dwóch lat.

Tyson spojrział na zakreślone miejsce i przeczytał: „Historyk poszukujący weteranów z Kompanii Alfa, Pierwszego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej, służących w okresie pierwszych trzech miesięcy 1968 roku. Szczególnie tych, którzy służyli w drugim plutonie i brali udział w walce o Szpital Miłosierdzia w Hue. Badania dla prywatnego klienta. Wszystkie odpowiedzi poufne, zapewniona anonimowość”.

Przyrzeczenie, pomyślał Ben, okazało się gównem warte. Zauważył stempel na znaczku z Sag Harbor. Odłożył gazetę na stolik.

- W Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej poinformowano mnie, że wysłali panu gazetę.

Tak było. I jedyne, co go zainteresowało, to rubryka poszukiwań: mężczyźni szukający zaginionych kumpli, kobiety przypadłych mężczyzn, historycy świadków wydarzeń - tego typu rzeczy. Ale to ogłoszenie akurat musiał ominąć. Najwyraźniej Brandt nie. Przeznaczenie.

- Brandt i Farley zgłosili się, tak? - zapytał.

- Właściwie tylko Brandt. Jakiś czas potem, ulegając namowom Picarda, Brandt dostarczył drugiego świadka w postaci Richarda Farleya.

- Skąd Brandt wiedział, gdzie znajduje się Farley? I dlaczego sam się zgłosił?

Wzruszyła ramionami.

- Rozmawiałam z Brandtem tylko na temat wydarzeń w Szpitalu Miłosierdzia. Jeżeli zostanie powołany na świadka, możemy zadać mu też inne pytania.

- Być może Brandt opiekował się Farleyem po jego kontuzji?

- Zabawne, ale o to spytałam również. Zgodnie z tym, co powiedział Farley, to tak.

- Interesujące. Co jeszcze Farley powiedział?

- Nic, z czego można by było coś zrozumieć. Był bardzo zdenerwowany. Płakał.

Tyson podniósł na nią oczy, odwróciła wzrok. Wstał.

- Jeszcze kieliszek?

- Tego nawet nie tknęłam.

Podszedł do lodówki i otworzył ją.

- Co my tu mamy? Butelka szampana. - Wyciągnął korek, rozlał moeta do dwóch wysokich kieliszków i zaniósł je do stolika.

- Proszę. Wzniesiemy toast?

- Za co?

Ben podniósł kieliszek w górę.

- Za Richarda Farleya i dwa miliony siedemset tysięcy pozostałych, którzy wrócili, aby zatruwać nasze społeczeństwo swoimi zniekształconymi członkami, zniszczonymi chromosomami i chorymi umysłami.

- Nie wypiję za to - odstawiła kieliszek.

- No cóż, a ja tak. - Rzucił nagle kieliszkiem rozbijając go o barek. Wybiegł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi.

Karen Harper siedziała bez ruchu i nasłuchiwała dźwięku płynącej wody. Zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Sięgnęła po teczkę, odłożyła ją, wzięła znowu. Wreszcie wstała.

W tej chwili Tyson wrócił do pokoju, wskazał jej gestem miejsce w fotelu i sam usiadł naprzeciw.

Zauważyła, że spryskał twarz wodą i przyczesał włosy. Poczula delikatny zapach dobrej wody kolońskiej.

- Proszę dalej - powiedział.

Major Harper odchrząknęła.

- Czy mogłabym prosić o papierosa? - zapytała.

- Pani nie pali.

- Czasami tak.

Podsunał jej paczkę papierosów, wzięła jednego. Podał jej ogień i zauważył, że trzyma papierosa niezręcznie, a zaciąga się tak, jakby piła przez słomkę.

- Jak już wspomniałam podczas naszego pierwszego spotkania, zlokalizowałam parę osób z pańskiego plutonu. Dokładnie mówiąc, dwie. Od czasu naszego ostatniego

spotkania rozmawiałam z nimi przez telefon.

Ben nie odzywał się.

- Pierwszy to były dowódca oddziału, Paul Sadowski. Mieszka w Chicago. Drugi to Anthony Scorello, ma dom na przedmieściach San Francisco. Pamięta pan ich?

- Mgliście.

- Myślałam, że dowódca powinien pamiętać ludzi, którzy pod nim służyli.

- Mit wielkiego mężczyzny.

Karen Harper przyglądała mu się przez chwilę.

- Czy chciałby pan wiedzieć, co powiedzieli Sadowski i Scorello? - zapytała wreszcie.

- Jasne. - Tyson czuł, jak mocno bije mu serce, usta miał całkiem suche. - Jasne. Co powiedzieli?

Pochyliła się w jego stronę. Przyglądała mu się, nie udając, że nie dostrzega zdenerwowania.

- No więc co takiego powiedzieli, majorze? - warknął.

- Powiedzieli - odpowiedziała wreszcie - dokładnie to samo, co pan.

Ich spojrzenia spotkały się, żadne nie odwróciło wzroku. Ben poprawił się na krześle.

- No i ma pani.

- Mam co?

- Moich świadków. Dwóch przeciwko dwóm. A jeśli ja złożę zaprzysiężone zeznanie...

- Ani Sąd Najwyższy, ani sąd wojskowy nie liczą świadków na sztuki, poruczniku. Na pewno będą jednak ciekawi, która strona jest winna krzywoprzysięstwa.

Tyson poczuł, jak wraca mu wiara w siebie.

- Mnie również interesuje, dlaczego Brandt i Farley kłamią pod przysięgą - powiedział krótko.

Kiwnęła głową z uznaniem, zaciągnęła się papierosem i zgasiła go.

- Niezależnie, czy jest to prawda czy kłamstwo, panie Tyson, myślę, że tylko pan może

mi powiedzieć, dlaczego właśnie taką wersję opowiedzieli Picardowi. Tylko pan może mi powiedzieć, czemu historia Sadowskiego i Scorella jest inna. - Patrzyła na niego. Ben nie odpowiadał.

Pochyliła się nad stolikiem i ściszyła głos:

- Kłamstwa są destrukcyjne i szerzą się jak choroba zarówno wśród winnych, jak i niewinnych. Chciałabym skończyć z kłamstwami. Chciałabym, żeby pan położył im kres, jeśli nie w swoim własnym interesie, to w interesie niewinnych i w interesie naszego kraju. Trzeba zakończyć ten narodowy koszmar. Proszę powiedzieć mi, co naprawdę wydarzyło się 15 lutego 1968 roku. Co się tam stało?

- Jeśli znam prawdę i nie powiedziałem jej, to widocznie uważam, że kraj, wojsko czy ktokolwiek inny nie zasługują na prawdę.

- Co mam zrobić, żeby pana przekonać?

- Nic. Możemy się tylko zbliżyć do niej stopniowo. Prawdę zdobywa się w trudzie. Prawdę można dopiero wtedy rozpoznać jako prawdę, kiedy wszystkie kłamstwa są już powiedziane i obalone. Nie doceni pani prawdy, zanim nie pokona ciężkiej drogi, by ją odnaleźć.

- Ale powie mi pan? Kiedyś, gdy to wszystko już będzie za nami. Powie mi pan, osobiście i prywatnie, nawet jeśli nie publicznie?

- Może.

- Ale teraz muszę ciężko pracować.

- Tak. Ja też musiałem ciężko pracować.

- To uczciwe postawienie sprawy - oparła się wygodnie o krzesło.

Tyson przyglądał się jej w słabym świetle. Nagle odniósł wrażenie, że jest bardziej zaangażowana w tę całą sprawę, niż powinna. Wydało mu się, że jeśli zrozumie powód tej obsesji, będzie mógł wygrać zarówno z nią, jak i z wojskiem.

Jak każdy dobry oficer śledczy wykonała nagły zwrot. Z inkwizytora stała się spowiednikiem. To często działało na drobnomieszczańskich patriotów lub religijnych fanatyków, szczęśliwych, że mogą się poświęcić. Lub na psychicznie chorych ludzi nie zdających sobie sprawy z konsekwencji spowiedzi. Ale ponieważ nie pasował do żadnej z wymienionych kategorii, nie widział też powodu do zwierzeń. Oni zresztą również nie chcieli prawdy. Prawda działała na nich gorzej niż na niego. Jedyne, czego naprawdę chcieli, to ostatniej ofiary dla Marsa, ostatniego ciała, ponieważ 57939 zabitych nie wystarczyło. Wróżbiarze przepowiedzieli, że potrzeba 57 940, by zakończyć wojny na

zawsze. Ale Tyson nie przypominał sobie, by rozpoczynał tę wojnę, nie widział więc przekonującego powodu, by poświęcać się na rzecz jej zakończenia. Pomyślał, że takie rozumowanie spodobałoby się Marcy.

Powiedział głośno, ale nie do major Harper:

- Dotarłem do mety i już nie można mnie wyrzucić z gry.

Karen Harper wstała i podeszła do dużego, panoramicznego okna. Wyrzała na Pennsylvania Avenue biegnącą w kierunku Białego Domu.

- Tam niedaleko żyje człowiek, który zna pańskie nazwisko, ma nawet na biurku teczkę podpisaną właśnie nim.

Ben przypatrywał się jej ciemnemu profilowi na tle okna.

- Ten człowiek zмага się codziennie ze sprawami bezpieczeństwa kraju. Od czasu do czasu, ponieważ tak jest ułożone nasze prawo, musi osobiście decydować w sprawach indywidualnych obywateli. Jest głównym dowódcą armii, szefem pańskim i moim. Może ofiarować ulaskawienie, nietykalność, zwolnienie od kary. Może wcielić pana do sił zbrojnych, może unieważnić pańskie powołanie. Kiedyś będzie musiał podjąć decyzję w pańskiej sprawie - przed, w trakcie lub po rozprawie. - Zwróciła głowę do Tysona. - Niedługo, w ciągu kilku najbliższych dni, będzie miał konferencję prasową. Padnie pańskie nazwisko. On albo jego doradcy przygotowują krótkie oświadczenie dotyczące tej sprawy. - Po chwili dodała: - Mam mocne podejrzenia, że wolałby nigdy nie usłyszeć pańskiego nazwiska i wciąż ma nadzieję, że po tej konferencji nie usłyszy go znowu.

- To już jest nas dwóch.

- Cały naród nie chce więcej o panu słyszeć.

- Czyli że wszyscy jesteśmy zgodni. A pani?

- Cieszę się, że pana poznałam. Jest pan niezwykłym mężczyzną... Mężczyzną, z którym będę porównywała innych - dodała nieśmiało.

Przez chwilę przyglądał się jej.

- Po tych słowach chyba zechce pani wyjść - stwierdził.

- A powinnam?

Potał wargi w geście zastanowienia.

- Nie - powiedział. - Nie przypuszczam, żebyśmy jeszcze kiedyś tak rozmawiali, sami, bez świadków i sądu. Równie dobrze możemy z tej sytuacji wyciągnąć tyle, ile się da.

- Tak, gdy spotyka się dwoje ludzi, wytwarzają coś w rodzaju siły... Kiedy dojdzie choć jedna osoba, wszystko staje się skomplikowane i sztuczne. Nie moglibyśmy wtedy tak rozmawiać.

Ben położył lewą nogę na stoliku i gwałtownie podciągnął nogawkę, odsłaniając goleń i kolano.

- Chodź tutaj. Spójrz na to.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Posłuchała szybko i automatycznie.

- Spójrz. Tego nie pokażę w czasie oficjalnego przesłuchania. Bliżej.

Przysunęła się i patrzyła na grubą, zakręcającą i purpurową bliznę.

- Nie taka wielka rana, majorze. Ale kiedy to dzieje się tobie, w brzuchu ci się wszystko wywraca, a skórę pokrywa pot.

Wpatrywała się w starą ranę, jakby usiłując odkryć jej znaczenie.

- Jakiś jajogłowy przez dwie godziny mi kiedyś klarował o efekcie współdziałania blizny fizycznej i psychicznej. Wielka prawda, jaką objawił, brzmiała następująco: zniekształcenie i ból dzień w dzień przypominają o traumatycznym wydarzeniu. - Ściągnął nogawkę w dół. - Wcale nie żartuję.

Spojrzała na niego i powtórzyła pytająco.

- Jajogłowy?

W tym momencie zrozumiał, że powiedział za dużo.

- Przyjaciel. Rozmówki na przyjęciu.

Skinęła głową, ale widać było, że mu nie wierzy.

- Czy Brandt opatrywał pana?

Tyson spojrzał na nią w milczeniu.

- Czy Brandt opatrywał pana?

- Nie.

Wstał. Przespacerował się na środek pokoju.

- Dlaczego nie? Stanowił obsługę medyczną pańskiego plutonu.

Ben nie odpowiadał.

- Czy był tam w czasie, kiedy dostał pan szrapnelem?

- Proszę zapytać jego.

- Pytam pana.

- Pytajcie jego! - krzyknął.

Natychmiast umilkła.

- Dobrze. Tak zrobię - zgodziła się po chwili. I dodała: - Picard wymienia pana poza rozdziałem o Szpitalu Miłosierdzia jeszcze w dwóch innych miejscach.

Wyciągnęła książkę ze swojej teczki i umieściła ją w kręgu światła pod lampą wiszącą nad stołem.

- We wcześniejszym rozdziale - przy strzelaniu w Phu Lai pierwszego dnia ofensywy Tet. A potem na końcu książki, kiedy omawia skutki bitwy o Hue.

Otworzyła książkę w zaznaczonym miejscu i wciąż klęcząc przeczytała:

Bitwa oficjalnie miała się zakończyć 26 lutego. Po tym, jak twierdzono w komunikatach wojennych, pozostała tylko „operacja oczyszczania”. Ale bitwa nie urwała się tylko dlatego, że Amerykanie tak zdecydowali. Piechota morska i wojska lądowe wciąż toczyły walki z oddziałami komunistycznymi zarówno wokół miasta, jak i w centrum. Różnica między bitwą i działaniami „oczyszczającymi” po niej była zupełnie nieistotna.

Jak na ironię, jedną z ostatnich ofiar Hue po stronie amerykańskiej był człowiek, którego pluton jako jeden z pierwszych wszedł w kontakt z wrogiem w czasie ofensywy Tet, porucznik Benjamin Tyson.

Pluton Tysona, srodze zmalretowany na placu targowym w Phu Lai 30 stycznia, znalazł się 15 lutego przy Szpitalu Miłosierdzia, a następnie został przewieziony helikopterami do strefy bezpiecznej na kilka dni odpoczynku i nabrania sił. Ale bitwa o Hue toczyła się i szczątki plutonu zostały wraz z resztą Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej przesłane o dwa kilometry na północ od Hue. Kompania, wciąż pod dowództwem kapitana Roya Browdera, patrolowała południową stronę miasta.

21 lutego Kompania Alfa znalazła się na północnym brzegu rzeki Perfume. Na obszarze przypominającym kształtem trójkąt, w zakolu rzeki, rozciągała się dzielnica Gia Hoi, której większą część wciąż jeszcze kontrolowali komuniści.

Kapitan Browder, najprawdopodobniej z własnej inicjatywy, przejął kilka marnych łódek od miejscowych rybaków i przepłynął się przez rzekę o zmierzchu. Kiedy osiągnęli przeciwległy brzeg, kompania weszła w kontakt z nieprzyjacielem, okopanym na wysokim brzegu rzeki. Doszło do wymiany ognia. Robiło się coraz ciemniej. Kilku ludzi z Kompanii Alfa odniosło rany, w tym dwóch z pierwszego plutonu pod komendą Tysona. Peter Santos i John Manelli zostali zabici. Zginął także kapitan Browder.

O wschodzie słońca Tyson, ostatni pozostały przy życiu oficer, otrzymał przez radio rozkaz objęcia dowództwa Kompanii Alfa. W ciągu nocy nieprzyjaciel wycofał się i porucznik przeprowadził kompanię na teren zwany Strawberry Patch. Była to wiejska część przedmieść Gia Hoi, miejsce, które dzisiaj nazwalibyśmy eleganckim przedmieściem. W Strawberry Patch Kompania Alfa spotkała tysiące wynędzniałych uciekinierów. Tam też później odkryto pierwszy z masowych grobów, każdy mieszczący w sobie około trzech tysięcy ciał mieszkańców Hue zmasakrowanych przez Vietcong i armię Wietnamu Północnego.

W tym samym czasie batalion komandosów południowowietnamskich także przekroczył rzekę i kierował się na południe. Jednostka ta 26 lutego, wspomagana przez ogień Kompanii Alfa, zaatakowała ostatni bastion w Gia Hoi, pagodę znajdującą się po przeciwnej stronie ulicy patrząc od strony szkoły wyższej. Po zdobyciu tego miejsca uznano Gia Hoi za czyste i ogłoszono koniec bitwy o Hue. Było to jednak przedwcześnie. Nie wiadomo, czy zgodnie z jakimś planem, czy w wyniku sytuacji, setki żołnierzy wroga pozostały jeszcze na terenie Gia Hoi.

29 lutego Kompania Alfa rozpoczęła akcję udzielania pomocy uchodźcom i wyszukiwania ukrywających się pomiędzy masami zagubionych cywilów żołnierzy Vietcongu. Tyson ustawił punkty kontrolne na drodze, która prowadziła do wschodniej bramy w murze Cytadeli. Jego ludzie sprawdzali dokumenty, rozdając przy tym cywilom racje żywnościowe. Zorganizowali również punkt pomocy medycznej. Nagle w stojące nie opodal drzewo uderzyła rakietą. Kilku żołnierzy oraz cywilów zostało trafionych odłamkami, między innymi porucznik Tyson - w kolano. Kiedy uchodźcy rozbiegli się, wróg rozpoczął ostrzał Amerykanów z broni automatycznej. Ci ukryli się w kanale do drenażu wody i odpowiedzieli również ogniem. Po jakichś dziesięciu czy piętnastu minutach wróg przerwał kontakt.

Rannych z Kompanii Alfa przewieziono na statek-szpital na Południowym Morzu Chińskim. Znalazł się tam między innymi ostatni oficer Kompanii Alfa, Benjamin Tyson.

Jak na ironię porucznik Tyson, którego pluton zachował się tak nieludzko w przypadku Szpitala Miłosierdzia, został zraniony w czasie akcji pomocy. Sama Kompania Alfa, teraz już bez żadnego oficera i z połową składu, otrzymała wreszcie rozkaz wycofania się. Zostali przewiezieni helikopterami do obozu Evans, bazy Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej, gdzie spędzili dwa tygodnie w warunkach względnego spokoju, pełniąc służbę naziemną. Zastąpiono oficerów, sierżantów i innych funkcyjnych w zdziesiątkowanej kompanii, a tych żołnierzy, którzy przeżyli, przeniesiono z tej pechowej jednostki.

Gdy Hue, dymiący, palący się kocioł, gdzie zginęło tak wielu, obudziło się rankiem pierwszego marca, panował już spokój. Powróciły ptaki i po raz pierwszy od wielu miesięcy nie słyhać było strzałów. Ale to dumne miasto, często nazywane klejnotem Wietnamu, leżało w gruzach. Jego mieszkańcy - zdemoralizowani. A ich słynny dawniej duch - zgnieciony po wsze czasy.

A zabijanie jeszcze się nie skończyło. Pragnienie zemsty zbierało pokłosie. Autor tej książki sam osobiście widział „Czarne szwadrony” policji narodowej zgarniające setki mężczyzn, kobiet i studentów oskarżonych przez własnych sąsiadów o współpracę z komunistycznymi najeźdźcami. Zabierano tych nieszczęśników w różne miejsca wokół miasta i najprawdopodobniej mordowano, ponieważ nikt więcej o nich nie słyszał.

Jako młody oficer piechoty morskiej, stacjonujący w Cytadeli, przyglądałem się nieskończonym procesjom pogrzebowym. Hue, któremu zagrano na nosie podczas tej wojny, już nigdy nie będzie takie, jak było, podobnie jak amerykańscy żołnierze, którzy tutaj walczyli.

Kiedy toczyła się bitwa o Hue, w mieście mieszkał najśłynniejszy wietnamski poeta tego czasu. W marcu, gdy wiosna była w pełnym rozkwicie, napisał balladę, której fragment tutaj przytoczę:

*Kiedy poszedłem do Strawberry Patch
i śpiewałem stojąc na szczycie trupów,
ujrzałem, ujrzałem, ujrzałem na drodze
starego ojca nad ciałem dziecka,
ciałem zimnym jak lód.*

*Kiedy poszedłem do Strawberry Patch
po południu,
ujrzałem, ujrzałem, ujrzałem doły
wypełnione ciałami
moich braci i sióstr.*

Karen Harper zamknęła książkę i spojrzała na Tysona. W pokoju zapanowała cisza.

- Właśnie uświadomiłem sobie - powiedział wreszcie Ben - że Picardowi równie trudno było pisać tę książkę, jak mnie ją czytać. Czuł przecież to samo zło.

Major Harper skinęła głową.

- Chciałabym wiedzieć, co zdarzyło się panu podczas tych dziesięciu czy piętnastu minut strzelaniny - powiedziała.

- Krwawiłem.

- Tak, to oczywiste. I czuł pan ból. I powinien się panem zająć lekarz. Ale... - Wstała. - Cóż, twierdzi pan, że między panem a Brandtem nie było żadnych niesnasek, ja jednak mam podejrzenia graniczące z pewnością, że były.

Tyson usiadł na skraju łóżka.

- Jeśli podejrzewa pani, że Brandt nie powiedział Picardowi wszystkiego, co się zdarzyło w Strawberry Patch, dlaczego wierzy mu pani, gdy opowiada swoją wersję wydarzeń w Szpitalu Miłosierdzia?

- Nic takiego nigdy nie powiedziałam. Co Brandt zrobił lub czego nie zrobił w Strawberry Patch?

- Proszę się dowiedzieć. Potem mi pani powie. A ja powiem, czy ma pani rację.

- Dobrze. - Zamilkła na chwilę. - Picard mieszka w Sag Harbor na Long Island. Wiedział pan o tym.

- Napisali to na okładce książki.

- Tak... to dziwny przypadek, że pan i pańska rodzina spędzacie tam lato.

Ben podniósł się z łóżka i podszedł do stolika. Wziął w rękę szklankę.

- Częściowo przypadek, częściowo przeznaczenie. Częściowo... kiedy przeczytałem nazwę miejscowości na obwolucie książki, przypomniałem ją sobie. Byłem tam kiedyś... dawno temu.

- Może się pan tam na niego natknąć.

- To prawda. - Rozwagał to przez chwilę, a potem powiedział: - Tamtejsi mieszkańcy mają porządne skrzynki na listy z wypisanymi nazwiskami. - Zerknął na nią. - Idę o zakład, że wie pani co nieco o wiejskich skrzynkach na listy. W każdym razie jest tam całkiem sporo słynnych nazwisk, ale obowiązuje również niepisana zasada prywatności. I chociaż widywałem nazwisko Picarda, nigdy nie skojarzyłem go z tym Andrew Picardem, pisarzem, prawdopodobnie dlatego, że nigdy o nim nie słyszałem. Kawalek od domu, który

tam kiedyś wynajmowałem, znajduje się skrzynka z nazwiskiem Algren. Odkryłem, że to ten sam Nelson Algren, który napisał „Człowieka ze złotym ramieniem”. Uwielbiam tę książkę i mam ją. Chciałem zastukać do jego drzwi i poprosić o autograf. Ale nie potrafiłem naruszyć zasady prywatności. W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że zmarł, i tak moja książka pozostała nie podpisana. Ale teraz mam książkę Andrew Picarda i chyba także chciałbym mieć jego autograf, zanim temu autorowi coś się przydarzy.

- Niech pan nie robi nic... - uniosła wysoko brwi - co może ściągnąć kłopoty.

Tyson usiadł na ramieniu krzesła gapiąc się w okno.

- Czy żyje pan w separacji? - zapytała nagle.

To pytanie zaskoczyło go, ale odpowiedział.

- Tak.

- Jest jakaś szansa na poprawę stosunków?

- Przypuszczam... nie sądzę... chodzi mi o to, że rozstaliśmy się na pewien czas.

Nielegalnie. Dlaczego pani pyta?

- Po prostu byłam ciekawa.

- Naprawdę? - Zapalił papierosa.

- Przepraszam - powiedziała Karen Harper. - Nie powinnam pytać o pańskie życie rodzinne. Ani o pracę.

- No cóż, takie jest życie. Nie można być podejrzanym o masowe morderstwo i uniknąć drobnych niewygód.

- Łatwo być rozgoryczonym...

Tyson nagle skoczył na równe nogi. Czuł się zmęczony, zły, było mu niedobrze od całej tej sprawy.

- O Chryste, majorze, nie potrzeba mi żadnego cholernego współczucia. Dziś miałem go już dość.

- Przepraszam...

- Jeżeli jestem mordercą, nie zasługuję na współczucie. Jeśli nie jestem, zapłacą mi za to do ostatniego grosza i wyjadę do Szwajcarii - mówił dalej. Czy wie pani, gdzie jeszcze dzisiaj byłem? Przy pomniku. Mógłbym stać tu przez całą pieprzoną noc i opowiadać, co działo się w mojej głowie przez te kilka minut, kiedy tam byłem. Ale to już zostało

powiedziane. Chodzi mi o to, że wszystko jest tam, na tej wielkiej, czarnej, pieprzonej ścianie. Proszę zrobić mi uprzejmość. Niech pani tam pójdzie. Niech pani weźmie cholerną listę żołnierzy Kompanii Alfa i znajdzie ich na tej ścianie. Proszę posłuchać, nie dbam o to, co się stanie ze mną. Ale jak, na Boga, rząd może wyciągać tych biednych skurwieli i obrażać ich honor? Niech pani tam pójdzie, majorze, porozmawia z umarłymi i wytłumaczy się im.

Kiwnęła powoli głową.

- Pójdę.

Ben poczuł nagle, że jest bardzo zmęczony i opadł na krzesło. Zamknął oczy.

Karen Harper podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Wreszcie odwróciła się.

- Zrobić panu drinka? - zapytała.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem skinął głową.

Podeszła do baru i przygotowała mu szkocką z wodą, wróciła do stołu i podała szklankę.

- Nie czuję się najlepiej - powiedziała. - Czy możemy przenieść tę rozmowę na inny termin?

- Nie, skończmy ją teraz.

- Jest pan pewien...?

- Skończmy to. Dzisiaj.

Kiwnęła głową i usiadła na kanapie na wprost niego.

- Wcale mi pana nie żal. Żal mi siebie.

- Dobrze. Dalej, majorze.

Harper spojrzała nad stolikiem na Benjaminą Tysona, potem wyciągnęła z teczek kartkę maszynopisu i popatrzyła na nią.

- Zgodnie z książką Picarda - powiedziała - informacjami pochodzącymi z archiwum armii i zeznaniami Brandta, Farleya, Sadowskiego, Scorella sporządziłam listę pięciu dodatkowych osób, które były w szpitalu i jak wierzymy, żyją. - Przeczytała: - Dan Kelly, Hernando Beltran, Lee Walker, Harold Simcox i Louis Kalane. - Wręczyła listę Benowi. - Czy mógłby pan dodać jakieś nazwiska do tej listy?

Tyson wziął kartkę i uważnie się jej przyjrzał.

- Nie, a może... tak. Holzman i Moody.

- Kurt Holzman zginął w wypadku motocyklowym piętnaście lat temu. Robert Moody umarł na raka dwa lata temu. Dlatego nie ma ich na liście.

- Rozumiem. - Odłożył papier na stolik.

- Picard wymieniał nazwiska większości członków plutonu, ale nie dołączył informacji, gdzie obecnie mieszkają. Najwyraźniej sam tego nie wiedział albo skontaktował się z nimi dopiero po spotkaniu z Brandtem i Farleyem i próbie przeprowadzenia rozmowy z samym Tysonem. Jednakże, kiedy robił zdjęcie swojego odbicia w ścianie, mógł zadać sobie trud i sprawdzić, które nazwiska się na niej znajdują.

- Właśnie dzisiaj dowiedziałem się, że Brontman i Selig zginęli podczas akcji w Wietnamie, już po moim wyjeździe.

- Tak. Skąd się pan tego dowiedział?

- Widziałem ich nazwiska.

- Tak, oczywiście. - I natychmiast zapytała: - A czy odnalazł pan swój osobisty dziennik albo dziennik plutonu lub cokolwiek takiego?

- Nie prowadziłem dziennika.

Uniosła w górę brwi w grymasie niedowierzania.

- Mówiono mi, że wszyscy oficerowie trzymają coś w rodzaju dziennika. Jak inaczej udałoby się zapamiętać częstotliwości radiowe, wykaz dyżurów w plutonie, promocje, koordynaty i to wszystko, nie mając zapisów?

Tyson wyprostował się na krześle i w zamyśleniu zapatrzył się w jakiś punkt ponad głową Karen Harper. W piwnicy domu, w starym kufrze, gdzie trzymał wszystkie pamiątki wojenne, znalazł swój zniszczony, wielokrotnie zalewany wodą dziennik, oprawiony w coś szarego i futrzastego, co jak zapewniał go sprzedawca Chińczyk, było skórą słonia, choć Ben podejrzewał, że zabitym zwierzęciem mógł okazać się szczur. Codzienne sprawozdania zapisywał otrzymanym z przydziału wojskowego piórem wiecznym, niebieski kiedyś atrament teraz wydawał się bladofioletowy. Papier pożółkł i pismo stało się ledwie czytelne. Na tyle jednak, by znacznie bardziej odnowić wspomnienia, niż mogła to zrobić kiedykolwiek książka Picarda.

Zapis z 15 lutego zaczynał się tak samo jak w inne dni: „Godzina 06.32, 20°C, deszczowo, przenikliwie, wietrznie”. Następnie wymieniał, kto tego dnia pełnił jaki dyżur,

kto się zgłosił z chorobą, braki w zaopatrzeniu, zmiany częstotliwości radiowej, koordynaty geograficzne obiektów i inne drobiazgi dotyczące bojowego życia piechoty. Tego dnia dopisał jedną uwagę osobistą: „Morale pod psem”.

Następny zapis dotyczący tego samego dnia robiony był w nocy, w całkowitej ciemności, słowa biegły przez dwie strony: „Pluton na skraju buntu. Podsluchane pogroźki. Wciągnięty w akta sfalszowany raport radiowy na temat porannej bitwy. Śledztwo. Boże...”

I na tym koniec. Boże co?, pomyślał. Boże wybacz? Boże pomóż nam? Zapomniał, co miał wtedy zamiar napisać.

Ktoś podszedł do niego i zagadał, więc wsunął dziennik za pasek u spodni, w nadziei, że nie będą przeszukiwać ciała.

Śledztwo. Właśnie się odbywa. Ale tak się pechowo złożyło, że nie po jego śmierci. Sam zapis nic nie zdradzał, ale w świetle ostatnich wydarzeń wystarczająco jasno wskazywał na zbrodnię, wystarczająco, by wsadzić go za kratki. Ale nie potrafił się zmusić i zniszczyć dziennika, wysłał go do swojej siostry Laurie w Adancie na przechowanie.

- Poruczniku Tyson? Czy prowadził pan dziennik?

Spojrzał na nią.

- Rzeczywiście prowadziłem. Ale po ewakuacji ze szpitala nie mogłem go znaleźć.

- Zaginął?

- Tak, wraz z większością moich osobistych rzeczy. Biorą cię helikopterem do szpitala, ładne siostrzyczki rozbierają cię i myją. robią jakieś zastrzyki, a wszystkie rzeczy wkładają do małej plastikowej torebki. Własność rządu przechowywana jest w innej torbie. Oddać cesarzowi co cesarskie. Jesteś tylko uszkodzonym kawałkiem mięsa, które wymaga opieki. A jeśli nie mogą cię naprawić, ciebie również wkładają do plastiku. Oddać Bogu co boskie. Łapiesz?

Najwyraźniej miała pewne kłopoty w nadażeniu za jego myślą.

- Wiec... dziennik był...

- Prawdopodobnie w torebce rządowej, wrzucony do śmieci albo spalony, nie wiem, co robią z zakrwawionymi ubraniami i całą resztą. Kiedy oddali mi rzeczy - zegarek, portfel, listy i zapalniczkę -dziennika nie było.

Skinęła głową, jakby doceniała inteligentne kłamstwo.

- Przydałby się, by ożywić pańskie wspomnienia.

- Nie sądziłem, że ktoś zainteresuje się moimi wspomnieniami.

- Ale tak się stało.

- Więc - zapalił papierosa - tych pięciu - Kelly, Beltram, Walker, Simcox i Kalane - nie wiadomo, gdzie oni są?

- Nie - przyznała Karen Harper - ale szukamy ich. - Wyciągnęła kolejny papier z teczki i przyjrzała mu się. - Oto, co wiemy już teraz. 15 lutego 1968 roku do szpitala wkroczyliście w sile piętnastu żołnierzy. Czy to się zgadza?

- Chyba tak. Tylko nie wiedzieliśmy, że to szpital.

- Budynek - poprawiła się niechętnie. - Gmach.

- Właśnie.

- Z tych piętnastu nawiązaliśmy kontakt z pięcioma - Brandtem, Farleyem, Sadowskim, Scorellem i panem. Arthur Peterson otrzymał kulę w pierś w czasie... szturmów lub podchodzenia do szpitala i zmarł wkrótce potem. Zgadza się?

- Tak.

- Moody został lekko ranny w czasie zdobywania kolejnych pomieszczeń i powrócił do służby już w następnym tygodniu.

- Tak.

- Zgodnie z pańskimi słowami, Larry Cane zginął w czasie walk wewnątrz budynku. Według rejestrów wojskowych otrzymał kulę prosto w serce. Zgadza się?

Tyson milczał.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Kula w serce - powtórzyła.

Przytaknął.

- Dwóch następnych, Peter Santos i John Manelli, zginęło w Hue, tak jak to zostało opisane w książce Picarda. Zgadza się?

- Tak.

- Tego samego dnia, kiedy zabity został kapitan Browder, a pan został dowódcą kompanii.

- Tak.

- A Michael DeTonqa zaginął w Hue 29 lutego, w dniu, kiedy został pan ranny. Jego ciała nigdy nie znaleziono.

Ben milczał.

- Tego samego dnia pana ewakuowano - dodała - a w plutonie zostało trzynastu ludzi, którzy byli świadkami interesującego nas incydentu. Potem, kiedy pan już powrócił do Stanów, zginęli Brontman i Selig, to wiemy na pewno. Holzman i Moody też nie żyją, czyli pozostaje pięciu ewentualnych świadków: pan, Brandt, Farley, Sadowski i Scorello, o których wiemy, gdzie przebywają. I pięciu świadków, którzy jak przypuszczamy, żyją, ale nie wiemy gdzie: Kelly, Beltran, Walker, Simcox i Kalane. Jest jeszcze jeden potencjalny świadek, Michael DeTonqa, który oficjalnie wpisany został na listy zaginionych w akcji, a prawdopodobnie nie żyje. Zgadza się?

Tyson zerknął na papier.

- Chyba tak.

- Czy miał pan kiedykolwiek wiadomości od któregoś z tych, których miejsca zamieszkania nie znamy?

Ben pokręcił głową. Mężczyźni czasami utrzymują kontakt po wspólnym przeżyciu czegoś takiego jak wojna. Były nawet organizowane zjazdy kombatantów. Ale, pomyślał, my przeżyliśmy wspólnie coś, co nie sprzyjało ponownym spotkaniom ani wysyłaniu sobie kartek na święta.

- Co według pana stało się z Michaelem DeTonqa?

- Skąd mógłbym wiedzieć?

- Czy myśli pan, że zdezerterował?

- Jest na listach zaginionych. Po co obdzierać z honoru jego pamięć?

- Jeżeli zdezerterował, trudno honorować jego pamięć.

- Po co sprawiać ból jego rodzinie? - zapytał krótko.

- Dlaczego ból? Jeżeli zdezerterował, być może żyje. To dałoby im nadzieję.

- Nadzieja nie jest niczym więcej jak tylko pożywką dla rozpaczki. Niech pani to zostawi.

- Ta sprawa jest ważna. Jest potencjalnym świadkiem, być może świadczyłby na pańską korzyść. Komisja wojskowa zajmująca się zaginionymi w akcji zbada jego status, jeżeli będzie choćby cień szansy, że uciekł... być może wystarczyłoby pańskie oświadczenie wskazujące, że wierzy pan w jego dezercję, co jest w opozycji do oficjalnego wniosku, że zaginął i prawdopodobnie nie żyje.

- Jeśli nawet zdezerterował, wątpię, żeby przeżył upadek Wietnamu.

- Mógł wrócić wcześniej do Stanów. Jeśli tak, może mieszkać od dawna ze swoimi w Luizjanie. A w przypadku dezercji nie ma przedawnienia.

- Naprawdę? Kto pisał te prawa? I kogo one w ogóle obchodzą? Na pewno nie Michaela DeTonqę. I nie mnie.

Wyglądała na głęboko pogrążoną w myślach, wreszcie odezwała się:

- Wszystko ma swoją dobrą i złą stronę. Jeśli nawet nic innego z tego prawa nie wynika, pozwala armii liczyć na kolejnego ze swych straconych żołnierzy. Proszę powiedzieć mi coś, co mogłabym przekazać wojskowej Komisji do Spraw Osób Zaginionych.

Tyson oparł policzek na rękę zastanawiając się.

- Kiedy zostałem trafiony i lądował helikopter, żeby mnie zabrać - powiedział przytłumionym głosem - Michael DeTonqę ukląkł koło mnie, zapalił dla mnie papierosa i powiedział: „Dla pana wojna się skończyła. Dla mnie też. Spotkamy się znowu, gdzieś w świecie. *Adieu, mon ami*”.

Karen Harper pochyliła się do przodu.

- Czy mogę to zapisać?

- Tak.

- I z tego, co powiedział, a być może także z tego, jak to powiedział i w jakich okolicznościach, wywnioskował pan, że zamierza zdezerterować?

- Tak.

- Dziękuję panu. - „Gdzieś w świecie” - dodała po chwili - czy mógł mieć na myśli Stany, że tu wróci?

- Wszyscy tak myśleli.

- Czy wzięłby pan pod uwagę możliwość publicznego zwrócenia się do tych mężczyzn - Michaela DeTonqę, Dana Kelly’ego, Hernanda Beltrana, Lee Walkera, Harolda Simcoxa i

Louisa Kalane'a, żeby się zgłosili?

- Nie.

- Czemu nie? Nie poparliby pana wersji? Jeśli zgłosi pan odpowiednią liczbę świadków, może w ogóle nie dojść do rozprawy sądowej. Już mówiłam, że pomogę odnaleźć świadków obrony. To moja praca.

- Więc proszę to zrobić. Niech pani ciężko pracuje.

- Będę, czy nie pomoże mi pan?

Ben oglądał z uwagą swoją szklaneczkę ze szkocką rozcieńczoną wodą sodową.

- Pomyślę o tym - odezwał się wreszcie. - Uznałem, że z mojej strony nie byłoby w porządku występować w tej sprawie publicznie. Każdy z tych ludzi musi być oddzielnie przez panią odnaleziony i sam podjąć decyzję, czy stawi się. - Spojrzał na nią. - Rozumie to pani?

Przytaknęła.

- Ale czy przynajmniej mógłby udzielić mi pan paru wskazówek? Jakichś informacji?

- Jakich tylko sobie pani życzy.

- W takim razie idźmy dalej. Czy miał pan jakieś wiadomości od Dana Kelly'ego?

- Zachowujemy się jak dwoje ludzi, którzy jako jedyni stawili się po latach na spotkanie swojej klasy. Tyle tylko, że pani nie była ze mną w klasie.

- Jak długo Kelly był pana radiooperatorem?

- Papierosa?

- Wydaje mi się, że jakieś siedem miesięcy. Wydaje mi się też, że byliście ze sobą blisko. Dlatego interesuje mnie, czy miał pan ostatnio z nim jakiś kontakt.

- Nie.

- A dawniej?

Tyson uświadomił sobie, że zakres pytań śledczych rozszerza się wraz z każdą kolejną osobą, z którą rozmawiała i od której uzyskiwała kolejne informacje albo przynajmniej udawała, że je uzyskiwała. Jego szansa, żeby nie zostać złapanym na kłamstwie, malała. Z tego, co wiedział, Kelly wypowiedział się przed magnetofonem i Karen Harper mogła w każdej chwili wyciągnąć ze swej czarnej, magicznej teczki magnetofon i zaprezentować mu nagranie.

- Czy rozmawiała pani z Kellym? - zapytał.

- Nie. Powiedziałabym panu, gdyby tak było.

- Ale musiałem zapytać.

- To ja muszę zadawać pytania.

- Ale mnie przysługuje więcej praw. To ja jestem podejrzany.

- A ja muszę pracować jeszcze ciężiej.

- Właśnie.

- Czy miał pan jakieś wiadomości od Kelly'ego?

- Rzeczywiście miałem. Jakoś w sierpniu 1968 roku, a potem siedem czy osiem lat temu.

Czekała.

Zapalił następnego papierosa.

- Kelly lubił być żołnierzem. Podobało mu się na wojnie. Zawsze jest kilku takich... W każdym razie napisał do mnie w sierpniu 1968, że zamiast wracać do Stanów przenosi się z amerykańskimi oddziałami do Etiopii. Prawdopodobnie wie pani z jego danych, że został przeniesiony.

- Tak. I wiem, że mógł sobie wybrać miejsce stacjonowania, dlatego zdziwiło mnie, że wybrał Etiopię, a nie Rzym.

- No cóż, w Rzymie nie było wtedy żadnej wojny. Ale była w Biafrze. Pamięta chyba pani. Tak więc napisał do mnie, że zamierza dołączyć do naszych najemników. Zdawało mi się, że tam zginął. Potem... tak, chyba w 1976... tak, to była dwusetna rocznica, pamięta pani...? napisał do mnie znowu, z Portugalii....

- Przepraszam, ale jak to się stało, że po tylu latach miał pański adres?

- Coś wspominał, że pracuje w komórce do spraw cywilnych. W Wietnamie oznaczało to po prostu CIA. A oni mają wszystkie adresy, prawda?

- Co pisał w liście? - zapytała.

- Żebym dołączył do niego w Portugalii. Potem o wycieczce do Angoli, mielibyśmy się przyjrzeć tamtejszej wojnie domowej. Tysiąc dolarów na tydzień, złożone w banku szwajcarskim, plus zwrot wszystkich kosztów.

- Był pan zainteresowany?

- Byłem żonaty... miałem już wtedy syna. Pomyślałem wtedy, że wojsko płaciło mi osiemdziesiąt dolarów tygodniowo za służbę w Wietnamie, a CIA płaci tysiąc dwieście procent więcej za tę samą głównianą robotę. - Uśmiechnął się ponuro i dodał: - I idę o zakład, że CIA nigdy nie zadaje swoim ludziom takich pytań jak wojsko teraz mnie. Jeżeli interesują panią sprawy wypadków podejrzanych śmierci, proszę zapytać CIA o ich

Operację Feniks w Wietnamie. Wymordowali lub spowodowali śmierć pięciu tysięcy cywilów, którzy mogli być, choć nie było to wcale pewne, sympatykami Wietnamu Północnego. Niech pani idzie do nich i zapyta. Jeszcze dziś, otwarci są przez całą dobę. Pójdę z panią.

- Odpowiedział pan na list Kelly'ego?

- Nie.

- Miał pan potem jeszcze jakieś wiadomości od niego?

- Nie. Pamiętam, że widziałem listę amerykańskich najemników złapanych i rozstrzelanych w Angoli przez lewicową frakcję po wygraniu przez nich wojny. Ale nie było na niej nazwiska Kelly'ego.

- To będę mogła sprawdzić.

- Właśnie. Niech pani idzie do jego koleśków i dowie się, gdzie go szukać. Jeśli myśli pani, że ja jestem niezły w wymyślaniu historii, niech pani lepiej posłucha tamtych żartownisiów. Może dowie się pani, jakie prawa obowiązują na Langley.

- Czy jeśli któryś z pańskich ludzi w wyniku całego tego rozgłosu zgłosi się do pana, da mi pan znać?

- Zobaczymy. - Tyson zdusił papierosa.

- Ja zawiadomię pana natychmiast, jak tylko dowiem się, gdzie można ich znaleźć.

- Trochę bardziej natychmiast niż w przypadku Sadowskiego i Scorella, dobrze?

- Mam prawo pierwsza rozmawiać ze świadkami.

- A jeśli ja ich znajdę, to prawo mnie przysługuje. - Spojrzał na zegarek.

- Jeszcze tylko jedna lub dwie sprawy. - Patrząc na Bena powiedziała cicho: - Oczywiście istnieje możliwość pojawienia się jeszcze jednego świadka. Kogoś, czyje zeznanie byłoby nie do podważenia.

- 1 któż to taki mógłby być, majorze?

- Wie pan kto. Rząd francuski pomaga nam w poszukiwaniach. Watykan także. - Major Harper wypila łyk wina i ciągnęła dalej: - Nie powinno być trudno natrafić na zakonnice mieszanego francusko-wietnamskiego pochodzenia, a jednak zapadła się jak pod ziemię. Wierzmy, że ona na pewno istnieje, niezależnie od tego, co mówicie, Picard i pan. Siostra Teresa znajduje się w rejestrze Katolickiej Agencji Pomocy i przebywała w szpitalu w czasie, który nas interesuje. Rejestr podaje także jej wiek i pochodzenie. Pamięta ją pan?

W jakim była wieku?

- Ta Eurazjatka, którą znałem, musiała mieć jakieś dwadzieścia parę lat. Była bardzo piękna, choć tej informacji może nie być w rejestrze Agencji Katolickiej. Pracowała w punkcie rozdzielania leków związanym ze szkołą Joanny d'Arc. Mieszkała w pobliskim konwencie.

- Skąd wiedział pan, że jest zakonnica?

- Drobne poszlaki. Na przykład fakt, że miała na sobie habit. A na szyi krzyż. Mieszkała w zakonie. Rzadko chodziła na randki.

- Może sobie pan być sarkastyczny. Zapytałam, ponieważ według danych Watykanu, nigdy nie złożyła ostatecznych ślubów.

Tyson przypomniał sobie coś, co powiedziała mu siostra Teresa. Jeśli grzeszymy, to nie tak bardzo, jak myślisz.

- Wie pani, wtedy żadne papiery nie były dokładnie sprawdzane. Jeśli kobieta wychowała się w szkole katolickiej, a tym bardziej przyklasztornej, jeśli miała jakiś zakres wiedzy medycznej, mogła udawać zakonnice i pielęgniarkę nie będąc ani pielęgniarką, ani zakonnice.

Karen Harper przytaknęła.

- A więc... jeśli oszukiwała wtedy, a także potem, kiedy Picard spotkał ją w tym francuskim szpitalu, być może w innych sprawach też kłamała.

- Możliwe - Ben wzruszył ramionami. - Ale nie powinna jej pani nazywać obraźliwie oszustką. Proszę zrozumieć, Eurazjaci byli wyrzutkami wietnamskiego społeczeństwa. Kobieta mogła znaleźć opiekę w kościele katolickim, a to dawało jej szansę przeżycia. Myślę, że uczciwie wszystko odpracowała.

- Jestem tego pewna - powiedziała Harper. - Niełatwo zrozumieć, jak to jest urodzić się wyrzutkiem. Kiedy trzeba stać się zakonnice... i żyć... z ograniczeniami...

- Celibatu.

- Tak.

- No cóż, większość Eurazjatek - urodzonych w wyniku związku pomiędzy francuskim żołnierzem i Wietnamką - mogło wybierać między zakonem a domem publicznym. Burdel zapewniał podobną ochronę, a oczywiście nie wymagał celibatu.

- Oczywiście. - I zapytała: - Czy znał pan siostrę Teresę przed incydem?

Tyson nie chciał kłamać w marginalnych sprawach, ale również nie chciał kręcić sobie postronka na szyję z małych włókienek prawdy. Im mniej powie o siostrze Teresie, tym lepiej. Z drugiej strony ona, podobnie jak inni, mogła pojawić się w każdej chwili na widnokręgu.

- Tak, poznałem ją wcześniej - powiedział.

- Gdzie pan ją poznał?

- Spotkałem ją przelotnie w szczęśliwszych czasach, przed Tet.

- Jak?

- Przez przypadek. Na mszy w katedrze Phu Cam.

- A co pan tam robił?

- Szukałem swojego psa.

- Przepraszam, ale przecież nie jest pan katolikiem.

- Poszedłem z innym oficerem, który nim był. Chciałem zobaczyć katedrę.

- A kiedy ponownie ją pan spotkał?

- Na tydzień przed Gwiazdką. Dostarczałem... paczki do zakonu Akurat tak się zdarzyło, że ona przy tym była. A potem znowu spotkaliśmy się na gwiazdkowej zabawie dla dzieci w szkole Joanny d'Arc w Hue. Szukali kogoś, kto gra na pianinie.

- Gra pan na pianinie?

- Mniej więcej tak samo, jak mówię po francusku. Ale z kolędami poradzę sobie. Mogę któregoś dnia pani zagrać.

- Poczekam do świąt. A więc tam pan ją spotkał - na zabawie gwiazdkowej - rozmawialiście?

- Krótko.

- W jakim języku?

- Mieszaniną francuskiego, wietnamskiego i angielskiego.

- O czym?

- O niczym, co mogłoby wiązać się z tą sprawą. O wojnie, o dzieciach, o łasce boskiej... i

takich tam.

- Jest pan chrześcijaninem?

- Tak, to teraz w modzie. Choć nie w firmie Peregrine-Osaka. Od dziewiątej do piątej jestem buddystą.

- Czy był pan chrześcijaninem wtedy, w 1968 roku, kiedy nie było to takie modne?

- Staralem się być. Czemu pani o to pyta?

Wzruszyła ramionami i zadała kolejne pytanie:

- Czy widział pan jeszcze siostrę Teresę po tej zabawie gwiazdkowej?

- Tak.

- Ile razy?

- Może cztery.

- Jaki to był rodzaj spotkań?

- Nie rozumiem.

- Czy spotkał się z nią pan oficjalnie? Przez przypadek? Celowo? Towarzysko? Jak?

- Wszystko po trochu. Co za różnica?

- Staram się ustalić wstępnie jej *bona fides*. Okazuje się, że nie jest ona tak obiektywnym świadkiem, jak wcześniej sądziłam. Dlatego chcę wiedzieć, czy była to powierzchowna znajomość, czy poważniejsza.

Ben milczał.

- A po tym przyjęciu gwiazdkowym, gdzie i kiedy ją pan widział?

- W czasie świąt jeszcze jakieś dwa razy. Był to okres zawieszenia broni. Najwyraźniej w czasie tamtej zabawy stałem się sławny, bo poproszono mnie, żebym jeszcze parę razy wystąpił w roli pianisty.

- Czy siostra Teresa miała coś wspólnego z tą prośbą?

- Intryga szyta grubymi nićmi, prawda?

- Wiec?

- Może.

- A zatem widział pan ją jeszcze dwa razy w czasie świątecznego zawieszenia broni. A potem?

- Też. Jakoś w połowie stycznia. Wezwano mnie do Hue i zaproponowano cywilną robotę.

- Dostał pan propozycję pracy?

- Tak.

- I przyjął pan ją?

- Owszem. Uczciwie mówiąc, dość już się napatrzyłem na wojnę.

- Więc jak to się stało, że nadal prowadził pan pluton piechoty?

- Czas, Do nowej pracy miałem się zgłosić 30 stycznia. Mówiło się coś na temat mojego występu podczas balu z okazji wietnamskiego nowego roku. Oficer, który mi przekazywał propozycję, użył wówczas nazwy Tet, ale nie wiedziałem jeszcze wtedy, co ona oznacza. W każdym razie, kiedy zbliżał się 30 stycznia, Kompania Alfa była jak zwykle w polu. Zdecydowałem, że nie zabiorę się do bazy rannym helikopterem, który przywoził nam zapasy, tylko wieczornym. Chyba czułem się trochę winny, że zostawiam mój pluton i kompanię, Browder cały czas mi wypominał, że dekuję się na tyłach. Tak więc tego ranka miałem po raz ostatni, jak mi się wtedy wydawało, służbę.

- I rano 30 stycznia znalazł się pan na placu targowym w Phu Lai?

- Tak. Kiedy leżałem tam czekając na śmierć, myślałem, że mądrzej bym zrobił wsiadając w poranny helikopter. Ale jak przeszłość wykazała, ja przeżyłem, a biuro propagandy w Hue zostało otoczone przez tysiące komunistycznych oddziałów. Nie udało im się przedrzeć. Wielu Amerykanów zginęło broniąc się, a jeszcze więcej zostało złapanych wewnątrz pomieszczeń, w trakcie przyjęć z okazji Tet. Potem zostali znaleźieni z rękami związanymi z tyłu i śladem po strzale w tyle głowy. - Zapalił papierosa. - Tak... wszystko jest zapisane na górze, prawda? „30 stycznia, rano. Tyson rezygnuje z przelotu helikopterem. Zamiast tego spotka Vietcong w Phu Lai. Kula gwizdnie mu koło ucha. Popołudnie, kolacja Kompanii Alfa na cmentarzu. Początek ofensywy Tet”. - Patrzył, jak dym unosi się z jego papierosa. - Ale moim przeznaczeniem nie było zginąć w Phu Lai ani w Hue, ani w Szpitalu Miłosierdzia, ani w Strawberry Patch. Moim przeznaczeniem było siedzieć tutaj dzisiaj z panią.

Opuściła głowę zatopiona w myślach, wyraźnie starając się coś zrozumieć. Wreszcie podniosła wzrok i zadała kolejne pytanie neutralnym głosem:

- A więc gdy był pan w Hue w połowie stycznia na spotkaniu dotyczącym pracy, miał pan okazję znowu spotkać siostrę Teresę. Ile razy?

- Nie pamiętam dokładnie. Raz albo dwa. Spędziłem w Hue tylko parę dni.

- A potem nie widział już jej pan aż do 15 lutego w Szpitalu Miłosierdzia.

- Tak.

- To musiała być niespodzianka.

- Delikatnie mówiąc.

- Nie wiedział pan, że ona tam pracuje?

- Nie wiedziałem, że takie miejsce w ogóle istnieje, majorze.

- Oczywiście. Ale czy nigdy nie wspomniała, że pracuje też w innym szpitalu?

- Nie. Wiedziałem tylko, że rozdziela lekarstwa przy szkole Joanny d'Arc i w kościele.

- A gdzie odbywały się te zabawy gwiazdkowe, na których ją pan spotykał? Co można robić w Hue? To znaczy chciałabym wiedzieć, gdzie amerykański oficer może zabrać zakonnicę?

- Czy jest pani sarkastyczna czy tylko wścibska?

- Zaciekawiona.

- Może powinienem wydać wspomnienia.

- Egzotyczne miejsce, miasto w cieniu wielkiego kataklizmu dziejowego, a pan jest młodym żołnierzem, który lada chwila ma wrócić na front. Spotyka pan uderzająco piękną kobietę - zakonnicę...

- Kiedy tak pani opowiada tę historię, brzmi ona jak melodramat. Babska historyjka.

- Niech pan nie będzie seksistą. Gdzie pan ją zabrał?

- To moja sprawa.

- Niech będzie. A jak to się według pana stało, że wylądowała w Szpitalu Miłosierdzia poza murami miasta?

- Nie mam pojęcia.

- Przeznaczenie?

- Tak, przeznaczenie.

Major Harper skinęła głową.

- I wtedy widział ją pan po raz ostatni?

- Tak.

- Czy zastanawiał się pan kiedyś, co się z nią stało?

- Często.

- A więc w książce Picarda znalazła się też dobra wiadomość.

- Tak, to była dobra wiadomość.

- Chciałby ją pan zobaczyć znowu?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Z tych samych powodów, dla których nie jeżdżę na spotkania mojej klasy.

- To znaczy?

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Można sięgnąć pamięcią wstecz.

- Młodzi mają aspiracje, które się nigdy nie spełniają, starzy mają wspomnienia tego, co się nigdy nie zdarzyło.

- Kto to powiedział?

- Ja.

- Naprawdę?

- Nie pamiętam.

- Czy rozmawiał pan z nią wtedy w szpitalu?

- Zamieniliśmy ze sobą parę słów.

- Takich jak...

- Nie pamiętam. Może sobie pani wyobrazić, jakie to były słowa, pośpieszne słowa pociechy. Potem... ktoś ją zabrał. Budynek palił się.

- I wtedy widział ją pan po raz ostatni?

- Już to mówiłem.

- Ale gdzie ona poszła? Na pewno musiała schować się w pobliżu do końca strzelaniny. A potem pan by się nią zajął, pana pluton. Przecież opiekowaliście się ludźmi w takich sytuacjach?

- Nie - odpowiedział cicho Tyson.

Czekała przez chwilę, a potem powtórzyła:

- Nie?

- Chodzi mi o to, że nie... mogliśmy...

Ich oczy spotkały się. Żadne nie odwróciło wzroku.

- Czy szukał jej pan po zakończeniu strzelaniny? - zapytała wreszcie.

- Tak, oczywiście. Ale musieliśmy iść dalej. Ścigać wroga. Prawdę mówiąc, myślałem, że ona nie żyje.

- Ściganie wroga było ważniejsze, niż zaopiekowanie się ludźmi, którzy przeżyli?

- Niestety, tak. Jest nawet na to nazwa. Wojna.

- Ale przecież byli tam Europejczycy, katolicy wietnamscy, ranni...

- Nie robiliśmy rozróżnienia między uchodźcami.

- Naprawdę? Jak często zdarzało się wam spotkać Europejczyków? Katolicką zakonnicę? Proszę mi wybaczyć, ale gdyby pomógł pan tym ludziom i doprowadził ich do amerykańskiej bazy, byłby to wielki plus na pańską korzyść. Co się stało z tymi, którzy przeżyli potyczkę w szpitalu?

Ben widział, że jest już zmęczona, i zauważył, że w jej ton wkradła się kłótniwa nuta. Miał wrażenie, że staje się sfrustrowana i obsesyjna.

- Gdzie poszli ci ludzie, poruczniku? - spytała ostrzej.

- Odeszli.

- Odeszli od was?

- Nie mówię, że odeszli od nas. Po prostu odeszli.

- Ranni?

- Ranni... zostali wyniesieni.

- Nikt stamtąd nie wyszedł, poruczniku - głos Karen Harper podniósł się. - Nikt nie przeżył, poruczniku. Wszyscy tam zginęli. To właśnie powiedziała siostra Teresa Picardowi. Pański pluton wymordował wszystkich. Tak powiedziała. Dlatego ci lekarze i pielęgniarki znaleźli się na liście zaginionych. Ponieważ zginęli w Szpitalu Miłosierdzia.

Tyson wstał.

- Zostali zabici przez cholernych komunistów - prawie krzyczał - przed, w czasie i po bitwie. Przerazili się i zaczęli uciekać, i wtedy zostali zabici.

- Nie! Zginęli w szpitalu. - Major Harper także wstała. - Pytanie brzmi, czy siostra Teresa była świadkiem nieszczęsnego zbiegu okoliczności, który doprowadził do śmierci niewinnych ludzi i spalenia szpitala? Czy też była świadkiem masakry przeprowadzonej z zimną krwią, a potem podpalenia szpitala w celu zniszczenia śladów? - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Jeśli popełnił pan jakiś głupi błąd, niech pan to przyzna, na miłość boską, i zapomnimy o morderstwie. Niech pan zapomni o swojej dumie i powie mi, jeżeli popełnił pan jakiś straszny błąd, który doprowadził do śmierci tych wszystkich niewinnych ludzi. W takich sprawach - o zabójstwo - obowiązuje przedawnienie i jest ono stosowane. Niech mi pan powie.

- Jeśli przyznam się do tego, pani napisze raport, że zabijałem, ale nie mordowałem.

- Tak.

- I to będzie koniec całej sprawy? Dla mnie? Dla moich ludzi?

Zawahała się, ale wreszcie powiedziała:

- Zrobię wszystko, żeby tę sprawę zakończyć.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Mam tego dość. - Potrząsnęła głową.

- Pani ma tego dość? Wszyscy mają tego dość. Ale co z prawdą i prawem?

- Do diabła z tym. - Przetarła oczy wierzchem dłoni jak dziecko. Potem wyprostowała się. - Przepraszam. Jestem zmęczona. - Spojrzała na niego i odchrząknęła. - Oczywiście poprowadzimy sprawę, żeby oczyścić pańskie imię całkowicie i zapobiec przyszłym oskarżeniom.

Zrozumiał, że moment słabości minął i poczuł żal.

- Lepiej niech pani już sobie pójdzie.

- Tak. - Zebrała rzeczy i ruszyła w stronę korytarza.

Ben patrzył na nią. Otworzyła drzwi, spojrzała na niego przelotnie, potem wyszła.

Ben Tyson zapatrzył się na zastawiony stolik - popielniczka, szklanki, papiery. Jego wzrok przeniósł się w stronę baru, na podłodze leżały odłamki szkła po kieliszku od szampana. Rozejrzał się po pokoju jak detektyw, który chce dojść, co się wydarzyło.

Podszedł do okna i zapatrzył się w światła miasta. Spojrzał w dół. Sześć pięter niżej, przez Pennsylvania Avenue szła major Harper. Przyjrzał się jej uważnie, nawet z takiej odległości zauważył, że jej ruchy nie były energiczne. Wydawało się, że nie bardzo wie, w którą pójść stronę. Była niepewna i jakby pozbawiona sił. Poczul zadowolenie, że już nie jest sam.

Rozdział 21

Benjamin Tyson pogasił światła w hotelowym pokoju, przygotował sobie świeżego drinka i usiadł w fotelu opierając nogi na stoliku. Czuł się wyczerpany i znużony. Spoglądał przez okno na letnie niebo, śledząc ruch samolotów kierujących się w stronę krajowego portu lotniczego.

Cesarskie miasta, miasta pomników. Hue, Waszyngton. Zaczęły mu się zlewać w myślach. Zamknął oczy.

Porucznik Benjamin Tyson sprawdził mapę miasta rozłożoną na siedzeniu dla pasażera w otwartym jeepie, załadowanym koltami automatycznymi kalibru 45.

Hue składało się z trzech części: starego miasta, ograniczonego murami Cytadeli na północnym brzegu rzeki Perfume, dzielnicy Gia Hoi - położonej już poza murami miasta, i z lewobrzeżnej dzielnicy europejskiej.

Skręcił roztropnie w nie oznaczoną ulicę i zauważył budynek. Gdy pożyczał jeepa, duży kościsty sierżant z Karoliny Południowej poradził mu, żeby nie jeździł po wyludnionych miejscach.

- Jasne.

- Wybieraj takie, gdzie jest dużo dzieciaków. Nawet Charlie nie strzelają na ulicach, gdzie biegają dzieci.

- Mogę przywieźć swoje?

- Nie bierz nikogo na łebka, nawet ładnej dupy, i uważaj na motory. Charles lubi czasami wrzucić coś do samochodu.

- Może powinienem wziąć czołg?

- Nie, Hue jest teraz całkiem bezpieczne. Znacznie bezpieczniejsze niż Nowy Jork, poruczniku.

No, może. Choć Tyson wolałby znaleźć się w tym momencie na Trzeciej Alei.

- I przywieź mi jeepa w jednym kawałku, dobra?

Ben uważał, że jeżeli jeepowi coś się stanie, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że i jemu również.

Teraz uważnie oglądał biały dom ze sztukaterią i przylegający do niego dziedziniec. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Ruszył długą, wąską ścieżką.

Tuż po tym, jak wyjechał jeepem z terenu biura propagandy, przejeżdżał koło starego francuskiego klubu sportowego. Werandy domków wychodziły na rzekę Perfume, obok widniały korty tenisowe i białe, betonowe podjazdy. Przypomniawszy sobie incydent, który wydarzył się podczas jego pierwszej bytności w Hue, miesiąc wcześniej, jeszcze w listopadzie. Wybrał się samotnie do francuskiej kawiarni na ulicy Tihn Tam i ćwiczył swój francuski, rozmawiając ze starym półkrwi Wietnamczykiem, który tam pracował. Do baru podszedł drobny Francuz w średnim wieku i przedstawił się jako monsieur Bournard, właściciel kafejki. Zupełnie nieoczekiwanie zaprosił on porucznika Tysona do klubu sportowego „*pour jouer au tennis*”.

Po partii tenisa ziemnego usiedli na werandzie umeblowanej w stylu Art Nouveau i pili zimne piwo.

- Hue niewiele się zmieniło od czasu, kiedy byłem małym chłopcem - stwierdził monsieur Bournard. - Według buddyjskiego mitu to miasto jest kwiatem lotosu wyrastającym z błota. Jest w nim cisza i spokój, choć wokół szaleje burza. Hue jest wieczne, ponieważ to równie święte miejsce dla komunistów, buddystów i dla chrześcijan. Hue przetrwa wojnę, poruczniku. Pan niekoniecznie.

- A pan? - chciał wiedzieć Tyson. Francuz wzruszył ramionami.

- Wysocy urzędnicy komunistyczni lubią moją kafejkę.

- Pan przyjmuje u siebie komunistów?

- *Certainement*. Oni byli dobrymi klientami na długo przedtem, zanim wy przybyliście. Jest pan zaszokowany? Niezadowolony? - pytał tonem wskazującym, że zdarzało już mu się czynić podobne zwierzenia wcześniej w identycznych okolicznościach. - Trzeba być *tres pratique*. Oni pozostaną dobrymi klientami jeszcze długo po tym, jak wy sobie pójdziecie. Niech pan nie będzie naiwny.

- Wychowywałem się w kraju - odpowiedział Ben - gdzie naiwność wywyższono do rangi cnoty. Jednakże, panie Bournard, nie jestem ani zaszokowany, ani niezadowolony. Ale mógłbym donieść na pana do policji narodowej.

- Jeśli ma pan ochotę. Ale większość z nich używa mojego baru, żeby robić tam interesy z komunistami. Policja narodowa również jest *tres pratique*. - Monsieur Bournard pochylił się nad stolikiem. - Zanim wyście się zjawili, to była miła wojenka, z którą dawaliśmy sobie zupełnie niezłe radę. - Francuzowi odbiło się.

Tyson zastanowił się, czy nie wskazać na fakt, że nie przyjechał do Wietnamu dla kaprysu, ale w tym momencie Francuz westchnął głęboko i szepnął: - *Les Americains*. - Jakby to mówiło samo za siebie.

Ben wstał ze swojego krzesła.

- Dziękuję za tenisa i za piwo.

Francuz spojrzał na niego, ale nie podniósł się.

- *Pardon*. Pan jest moim gościem. Ale widziałem zbyt dużo śmierci. I tak w końcu Azjaci zrobią wszystko po swojemu.

- Z panem także.

- *Non*. Ja jestem jak korek pływający na powierzchni żółtego morza. Pan i pańska armia to... no, powiedzmy, Titanic. - Monsieur Bournard zajął się piwem.

Kiedy Tyson odchodził, usłyszał, jak krzyczy za nim:

- Uważaj na siebie, przyjacielu. Trudno wymyślić sobie gorszą sprawę, za którą ma się umrzeć.

Ben poszedł wtedy do przebieralni, wziął prysznic i oddał pożyczony strój do tenisa. Otrzymał w zamian mundur, świeżo wyczyszczony, i buty - wypastowane. Wietnamski służący wręczył mu jego czterdziestkępiątkę gestem lokaja w angielskim klubie podającego laskę dżentelmenowi. Nazwać ten klub sportowy anachronizmem byłoby przecenianiem faktu istnienia establishmentu. A jednak istniał on na takich samych zasadach jak kluby w jego kraju: bastion kultuwanego obłędu otoczony przez zrozumiale zły i podejrzliwy świat.

Jadąc teraz pożyczonym jeepem Tyson przypominał sobie to wydarzenie sprzed miesiąca i zastanawiał nad tym, co powiedział monsieur Bournard. Doszedł do wniosku, że to on był właśnie naiwny. Ani Francuz, ani jego kawiarnia nie przetrwają wojny. Komuniści reprezentują coś zupełnie nowego i takich jak *monsieur* Bournard i jego klubowi przyjaciele, którzy wierzą w możliwość dostosowania do swego świata tych ponurych purytanów, najwyraźniej niczego nie nauczyło życie, historia ani wiadomości codzienne.

Ale co do jednego Francuz miał rację: Azjaci załatwią to po swojemu. Ben nie widział możliwości zwycięstwa w tej wojnie i, podobnie jak pozostałe pół miliona Amerykanów w tym kraju, zaczął się interesować tylko jednym rodzajem zwycięstwa: przeżyciem.

Jechał powoli przez zatłoczone trójkołowymi lambrettami, peugeotami, rikszami i motorynkami wszelkiej maści i koloru ulice Południowej Strony. Wojskowych pojazdów widziało się stosunkowo niewiele. Powietrze było ciężkie od ostrych i egzotycznych zapachów. Rząd ładnych dziewcząt w wieku szkolnym przeszedł przez ulicę. Wszystkie ubrane w powiewne, jedwabne *ao dai*. Zerknęły na niego, chichotały i szeptały między sobą. Poważnie wyglądająca starsza zakonnica, ich nauczycielka, uspokajała je. Procesja przeszła, a on pojechał dalej.

To był świąteczny tydzień, ale dopóki nie widział oznak świąt, nie czuł nostalgii. Jednak w dzielnicy, którą jechał teraz, gdzie zamieszkiwali głównie Europejczycy i katolicy wietnamscy, mnóstwo drobiazgów przypominało o świątach: choinki w oknach, chłopiec dźwigający górę zapakowanych ładnie prezentów, a od strony którejś willi doszły go dźwięki „Świętej nocy”.

Przejechał przez skwer przed katedrą Phu Cam. Po jej północnej stronie znajdowało się gniazdo karabinu maszynowego, umocnione workami z piaskiem. Żołnierze południowowietnamscy spacerowali zwyczajem wietnamskim ze złożonymi razem rękami. Ale poza tym nic nie wskazywało na to, że w Hue toczy się wojna. Stanowiska bojowe w Quang Tri na północy i Phu Bai na południu były oddzielone drutem kolczastym. Hue pozostało nie zniszczoną, atrakcyjną iluzją, tak jak sugerował monsieur Bournard. Siła i urok miasta tylko potęgowały się w kontraście z terrorem panującym poza nie mającymi żadnego zastosowania murami.

Tyson skręcił w wąską uliczkę i zatrzymał się przed podwórkiem zasłoniętym parkanem. Wskoczył z jeepa, wziął swój karabin, a potem sięgnął do tyłu i wyciągnął ciężkie pudło opakowane w gwiazdkowy papier.

Rozejrzył się po uliczce, a potem otworzył nadgniłą, drewnianą bramę i przeszedł przez ogródek zarośnięty głównie dzikimi różami.

Pociągnął za dzwonek i minutę później stara służąca otworzyła mahoniowe drzwi.

- *Allo, Toi trung-uy Tyson* - powiedział. - *Soeur Terese, s'il vous plait.*

Stara kobieta uśmiechnęła się, pokazując rząd nierównych zębów ubarwionych na rudobrazowo betelem. Wskazała mu, by wszedł za nią do ciemnego korytarza, potem poprowadziła go do salonu.

Ben oparł karabin o kredens i usiadł na zniszczonym fotelu z przetartym obiciem. Fotel i właściwie wszystkie meble wyglądały na europejskie i pochodziły na pewno sprzed drugiej wojny światowej. Po przybrudzonej, białej ścianie wdrapywała się jaszczurka, która po chwili znikła za tanią reprodukcją Błogosławionej Dziewicy. Zaprawa pomiędzy czerwonymi kafelkami terakoty wyglądała na świeżo wyszorowaną. Tropiki nie są najłaskawsze, pomyślał, dla wytworów ludzkich. A gdy dodać do tego jeszcze czterdzieści lat wojny, to należy się dziwić, że w ogóle cokolwiek stoi i funkcjonuje w tym wyniszczonym kraju.

Tyson nie usłyszał, jak wchodziła do pokoju, ale zobaczył jej cień przesuwający się po ścianie. Wstał i odwrócił się. Miała na sobie białe bawełniane *ao dai* z wysokim mandaryńskim kołnierzem. Długa aż do ziemi suknia miała rozcięcie po uda, ale siostra Teresa pod suknią nosiła głównie tradycyjne jedwabne pantalone. Pomyślał, że wygląda na nieco zmieszana faktem, że odwiedził ją na terenie klasztoru. Kiedy pomyślał o tym, sam również się zmieszał. Wojna usprawiedliwiała wiele nieformalnych zachowań, ale mężczyzna odwiedzający kobietę powinien mieć do tego jakiś powód.

- *Je suis en train de venir...* - odezwał się. Pomyślał, że wyrażenie „właśnie przejeżdżałem” brzmi równie niezręcznie po francusku jak i po angielsku. - *Comment allez-vous?*

- *Bien. Et vous?* - Pochyliła nieco głowę.

- *Bien.* - Zawahał się przez chwilę, po czym podniósł pudełko z podłogi i położył je na kredensie. - *Pour vous... a pour les autres soeurs. Bon Noel.*

Spojrzała na pudło, ale nic nie powiedziała.

Ben wahał się między wyjściem a przeciąganiem swojej nieoczekiwanej wizyty. Wiedział, że gdyby jego serce było czyste, wypełnione chrześcijańskim miłosierdziem i nastrojem gwiazdkowym, nie zachowywałby się tak niezdarnie. Ale tak naprawdę jego myśli zaprzętały inne sprawy.

Siostra Teresa zrobiła krok do przodu i oparła końce swoich długich palców na pudełku.

Tyson wyciągnął nóż z pochwy i, przeciął papier, w który opakowany był prezent, potem odsunął wierzch ujawniając mieszanię skarbów: mydło, papeteria, owoce w puszkach, talk, butelka wina kalifornijskiego i inne produkty, których naturę i użyteczność być może trzeba byłoby wytłumaczyć.

Siostra Teresa zawahała się, a potem sięgnęła w głąb pudła i wydobyła stamtąd kawałek mydła Dial opakowanego w złotą folię. Przyjrzała się folii, potem powąchała je i mimowolny uśmiech przeleciał jej przez usta.

- *Pour tout le monde* - powiedział Ben, starając się jeszcze raz zmniejszyć wartość osobistą prezentu. - *Pour les enfants, pour le dispensaire. Une donation.*

- *Merci beaucoup.* - Skinęła głową i odłożyła mydło do pudła. - Bon Noel.

Stali przez chwilę w milczeniu.

- *Je vais maintenant...* - odezwał się wreszcie Tyson.

- Czy... mógłby mnie pan... zawieźć?

Uśmiechnął się zaskoczony jej angielskim.

- Gdzie?

- *Le dispensaire.*

- Oczywiście.

Sięgnął po karabin i ruszył za nią do ogrodu. Pomógł jej wsiąść do jeepa. Obszedł samochód, sprawdzając, czy żadna część nie zginęła lub co gorsza, czy nie przybyło coś zabójczego. Uspokojony, choć niecałkowicie, wsiadł do środka i włączył stacyjkę. Jeep nie eksplodował, a licznik paliwa nadal wskazywał, że bak jest pełny. Wszechobecni chłopcy z armii północnowietnamskiej i miejscowi chłopcy o śliskich rękach przespali okazję. Stwierdził, że mimo wszystko nie był to aż tak zły kraj.

Jechali w milczeniu wzdłuż Phu Cam Canal, przecięli most An Cuu i skierowali się na północ ulicą Duy Tan, będącą fragmentem Highway One. Budynki tutaj były głównie dwupiętrowe, drewniane, stały w grupach, z wąskimi frontami, a chodniki przed mmi wyłożone były drewnem. Benowi kojarzyło się to z miasteczkiem w stylu Old West.

Po południowej stronie rzeki znajdował się uniwersytet, główny szpital, stadion sportowy, a także bank, budynek poczty i prowincjonalna imitacja Kapitolu. Żadna z tych instytucji ani usług nie istniała w imperialnym mieście ograniczonym murami, ale Francuzi

przeszczepili je bezboleśnie na południowy brzeg, podczas gdy imperatorzy panowali w pełnej splendoru izolacji za murami. Ale ani imperatorzy, ani Francuzi już tu nie władali. Prawdę mówiąc, nikt już tu nie rządził. Jakby miasto przerodziło się w państwo feudalne podzielone między kilku magnatów: wojsko, rząd cywilny, kościół katolicki i buddyjski, studentów i Europejczyków. Amerykanów to miejsce wprawiało w zakłopotanie. Hue było jedynym miastem w Wietnamie, gdzie amerykańskie oddziały nie były zaangażowane. Mała jednostka wojskowa do spraw propagandy zazwyczaj świeciła pustkami. I wszędzie, w każdej dzielnicy, w każdym rządowym budynku, każdej szkole i pagodzie, każdym domu czuło się niewidoczną obecność kadr komunistycznych, ludzi urodzonych w Hue i wykształconych, którym łatwo się wmieszać pomiędzy siedzących jednego dnia w kafejce monsieur Bournarda, a drugiego u komendanta narodowej policji, i będących wciąż w pogotowiu. Czekających na sygnał.

Tyson przyspieszył, zerkając przez cały czas w oba lusterka, trzymając się środka drogi i uważając na mijające go motorynki. Hue wydało mu się bardziej niebezpieczne niż dżungla. Zerknął na siostrę Teresę siedzącą spokojnie, z rękami na kolanach.

- Czy Wietnam Północny niepokoi was? - zapytał. - W szkole?
- Zostawiają nas w spokoju - odpowiedziała patrząc prosto przed siebie.
- Dlaczego?
- W Hue każdy zostawia każdego w spokoju. - Wzruszyła ramionami.
- Mówi się, że jest tu wielu takich, co utożsamiają się z Wietnamem Północnym albo sympatyzują z nim.
- W Hue jest wielu intelektualistów.
- Mówi się także, że miasto jest bardzo antyamerykańskie.
- Europejczycy w Hue czasami są antyamerykańscy.
- Hue jest bardzo antywojenne. - Ben uśmiechnął się.
- Cały świat jest antywojenny.
- Hue przypomina mi Greenwich Village. Nawet ludzie ubierają się podobnie.
- Gdzie to jest? - spojrzała na niego.
- W Ameryce.
- Ameryka jest rozpustna - powiedziała kiwając głową.

- Tak słyszałem. - Tyson czasami czuł się rozdarty między dawniej znajomym światem, który stawał się coraz bardziej obcy, i naprawdę obcym światem, który stawał się nieznośnie zrozumiały. Mówiło się, że tego dnia, kiedy człowiek zrozumie do końca Wschód, powinien się udać do psychiatry.

Jeep podjechał do kościoła pod wezwaniem Joanny d'Arc, budynku z żółtej cegły z kolumnadą od frontu i imponującą wieżą. Do kościoła przylegała szkoła i mała przychodnia ze znakiem czerwonego krzyża nad wejściem.

- Stąd już pójdę - powiedziała siostra Teresa.

Ben podjechał do krawężnika ruchliwej ulicy. Siostra Teresa siedziała wciąż koło niego w milczeniu.

- Kiedy pan wyjeżdża? - zapytała.

- Z Wietnamu? - Spojrzał na nią pytająco. - 17 kwietnia. Jeśli nie wcześniej. Ale nie później.

Powoli skinęła głową.

- Dlaczego pani pyta?

Wzruszyła ramionami, pomyślał, że w taki bardzo francuski sposób. Zastanawiał się, które z rodziców pochodziło z Galii.

- Czy ma pani w Hue rodzinę?

- *Oui*. Rodzinę matki. Mój ojciec jest *un para*.

- Francuski żołnierz. Spadochroniarz?

- *Oui. Un para*.

- We Francji?

- Nigdy go nie widziałam. - Wzruszyła znowu ramionami.

- Czy była pani kiedyś we Francji?

- Nie. Byłam tylko w Da Nang. Tam chodziłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice.

- Mówi pani bardzo płynnie po francusku. Jest pani wykształcona, w dodatku zakonnica i półkrwi Francuzka. Dlaczego pani stąd nie wyjedzie? Proszę jechać do Francji.

Spojrzała na niego.

- Po co?

Tyson zastanawiał się, czy ma jej powiedzieć, że toczy się wojna i wreszcie, jak przewidywał to *monsieur* Bournard, komuniści wygrają, a ona jest piękną kobietą i wszędzie mogłaby sobie znaleźć miejsce. Zamiast tego zmienił temat.

- Dlaczego została pani zakonnica?

- Moja matka tego sobie życzyła. Ojciec był katolikiem.

- Ile ma pani lat?

To pytanie zaskoczyło ją nieco, ale odpowiedziała:

- Dwadzieścia i trzy.

Kiwnął głową. Musiała się urodzić w 1945, w roku, kiedy kończyła się druga wojna światowa, w roku, kiedy Japończycy zrzekli się Wietnamu, a Francuzi i komuniści zaczęli swoją wojnę, żeby ustalić, kto tutaj będzie rządził. Spojrzał na nią, zawahał się.

- Czy nie jest pani ciężko? - odważył się zapytać. - Nie może pani przecież... wyjść za mąż.

Odwróciła wzrok.

- To nie było grzeczne pytanie - dodał szybko.

- Jestem zadowolona - odparła. - Takich jak ja jest wiele w Hue i my jesteśmy... jak to powiedzieć... *Les paria*...

- Wyrzutkami.

- *Oui*. Tacy ludzie jak my są wyrzutkami społeczeństwa. Europejczycy traktują nas dobrze, ale nie jesteśmy im równi. Kościół przynajmniej zapewnia nam spokój.

Ben zrozumiał, że jej spojrzenie na świat jest raczej ograniczone. Nie lubił mężczyzn, którzy grali rolę Svengaliego czy profesora Higginsa względem kobiet innych kultur lub o gorszym statusie społecznym, dlatego też od razu zmienił temat na bardziej aktualny.

- Kiedy mógłbym panią znowu zobaczyć?

Odwróciła się w jego stronę i po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz. Patrzył jej w oczy nie odwracając wzroku. Mijały sekundy.

- Jeśli chce pan, to jutro - powiedziała wreszcie. - Jest... *une soireepour les enfants. A 1'ecole. Pour Le Noel*... Czy mógłby pan...? - Zatrzepotała palcami imitując grę na pianinie.

- O, tak... na pewno. *Un peu.*

- *Bien. Les chansons de Noel?*

- To chyba wszystko, co potrafię. Poza „Moon River”.

- *Bien. A onze heures. A 1'ecole.*

- Postaram się tam być.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. Zsunęła się z jeepa i jeszcze raz spojrzała na niego. - *Merci*, poruczniku.

- *A demain*, Terese.

Wydawała się zdziwiona, że w taki sposób zwrócił się do niej, ale odpowiedziała podobnie:

- *A demain...* Benjamin.

Ruszyła w stronę przychodni i kościoła.

Tyson patrzył w ślad za nią. Odwróciła się, uśmiechnęła nieśmiało i przyspieszyła kroku.

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Teresą, miesiąc wcześniej, podczas jego pierwszej wycieczki do Hue. Wybrał się z pewnym oficerem katolikiem na mszę do katedry Phu Cam. Stała tam grupa dwudziestu czterech zakonnic, a pomiędzy nimi była ta uderzająco piękna Eurazjatka. Zauważył ją, kiedy ściskając przed sobą dłonie wracała na swoje miejsce po przyjęciu komunii. Oficer, który z nim był, również ją zauważył, jak zresztą pewnie każdy znajdujący się w katedrze Europejczyk. Albo jemu się tak zdawało.

Po mszy zobaczył ją znowu na placu. Rozmawiała z jakąś katolicką rodziną wietnamską. Pod wpływem jego nalegań obaj podeszli do niej. Ben przedstawił siebie i kolegę po francusku.

Już wtedy nie mógł wyobrazić sobie, że więcej jej nie zobaczy. I dzisiaj dopiął swego. A teraz już oboje zdawali sobie sprawę, że każde następne spotkanie może się dla nich okazać niebezpieczne.

Tyson jeszcze jakiś czas siedział w jeepie, aż zaczęło zmierzchać. Godzina policyjna w Hue obowiązywała od północy do piątej, ale w wojskowej jednostce do spraw propagandy lubiono, kiedy żołnierze stawiali się w koszarach przed zmierzchem. Chyba że wcześniej zawiadomiono się o zamiarze spędzenia nocy w mieście i podało adres damy.

Wrzucił bieg i podjechał paręset metrów, które dzieliło go od kwater. Z budki przy odratowanej bramie między betonowymi Lianami machnął mu wartownik w geście

zezwolenia na przejazd.

Tyson otworzył oczy i zobaczył, że fluorescencyjne wskazówki zegarka wskazują trzecią pięćdziesiąt. Miasto pogrążone było w ciemnościach, nad horyzontem pojawiły się gwiazdy.

Kilka obrazów przeleciało mu pospiesznie przed oczami: Teresa, Karen Harper, Marcy, ściana, szpital i Hue. To było tak, jakby przeszłość brała górę nad teraźniejszością i miała zamiar stać się również przyszłością.

Rozdział 22

Benjamin Tyson wjechał do Sag Harbor od strony drogi Brick Kuln. Jechał wolno wąskimi uliczkami, mijając wczesnoosiemnastowieczne domy oszalowane na białe i z szarym gontem.

Jazda wynajętym triumfem z apartamentu na Manhattanie zajęła mu prawie trzy godziny i tutaj, na wschodnim końcu Long Island, zaczynało się już zmierzchać. Nie było lamp, a rosnące wzdłuż drogi drzewa potęgowały jeszcze ciemność.

Ben zdał sobie sprawę, że nie zna tej części miasta. Podjechał do krawężnika i wysiadł. Powietrze było wilgotne i słone, mgliste aureole lśniły wokół światełek nad drzwiami domów.

Sięgnął do samochodu po książkę. Założył wiatrówkę i ruszył w kierunku zachodzącego słońca. Po jakimś czasie rozpoznał ulicę i skręcił w nią, a po kilku minutach był już na Main Street. Sporo ludzi spacerowało, niektórzy zachodzili po drodze do tawern i restauracji. Siedzący na werandzie starego American Hotel bujali się w wiklinowych fotelach, popijając drinki w rytmie kołysania.

Tyson minął Main Street i wszedł w małą alejkę, schodzącą w dół wzgórza aż do wody. Przypomnił sobie miejsce, gdzie dawno temu widział skrzynkę na listy, a teraz znalazł ten dom, bardzo stary, z cedrowego drewna, umiejscowiony na cyplu nad zatoką Lower Cove. Dom otoczony był płotem z drewnianych sztachet. Na skrzynce nadal widniały nazwiska Picard/Wells. Paliły się światła.

Otworzył bramę i ruszył po ścieżce wyłożonej połamanymi muszlami. Bez wahania - jeśli zaszedł już tak daleko, nie było sensu zastanawiać się znowu nad decyzją - ujął mosiężną kołatkę i upuścił ją na pomalowane czarną farbą drzwi. Usłyszał kroki i drzwi otworzyły się.

- Słucham pana?

Tyson milczał.

Andrew Picard spoglądał na swojego gościa oświetlonego słabym blaskiem wiszącej nad wejściem lampy. Po chwili na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Och...

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał. Tyson pomyślał, że Picard, jak na sytuację, w której się znalazł, wykazał dużo zimnej krwi. Choć może swoją odwagę w dużej mierze zawdzięczał alkoholowi, który czuć było od niego.

Tyson przyglądał się wysokiemu, chudemu mężczyźnie stojącemu o parę kroków od niego. Miał na sobie džinsy i zapiętą na wszystkie guziki koszulę oksfordzką z podwiniętymi rękawami. Był bardzo opalony, a jego dość długie włosy wyglądały na spłowiałe od słońca i soli. Ben miał go dotąd za gogusia i absolwenta Yale. Ale wygląd tego człowieka przeczył jego uprzedzeniom. Przypomniawszy sobie, że ma do czynienia z byłym oficerem piechoty morskiej, który - na co wszystko wskazywało - wywiązywał się ze swych obowiązków.

- Niech pan wejdzie - powiedział po prostu pisarz.

Zaraz za drzwiami znajdował się pokój. Z radia dochodziło „Hey Jude” Paula McCartneya. Tyson przez chwilę przyzwyczajał wzrok do światła. Pomieszczenie było ogromne, gdyż usunięto wszystkie wewnętrzne ściany domku. Proste sprzęty wyglądały, jakby je kupiono na przecenie. Po lewej stronie znajdował się kominek z kamieni polnych, na nierównej podłodze leżały trzy chodniki. Ogień ogrzewał i wysuszał morskie powietrze.

W dalszej części pomieszczenia znajdował się bar oddzielający pokój od dawnej letniej kuchni. Okna wychodziły na zatoczkę, widać było światła Baypoint. Ben potrafiłby nawet wskazać swój dom. Za szklanymi drzwiami przesunęły się jakieś cienie i poczuł, jak zaczyna mu walić serce.

- Czy przyszedł pan tutaj, żeby mnie zabić? - zapytał Picard.

- To mi nigdy nie przyszło na myśl. - Tyson odwrócił się od okna.

- To dobrze. Wobec tego co by pan powiedział na drinka?

- Nie mam ochoty, ale proszę się mną nie krępować.

Pisarz nie odpowiedział. Jego wzrok zatrzymał się na książce, którą trzymał Ben.

- Przyszedłem po pański autograf - powiedział jego gość i wręczył mu książkę.

Picard sięgnął po nią z uśmiechem.

- „Wyprawa”. Jedna z pierwszych. Podobała się panu?

- Niezła.

- Beletrystyka to dobra zabawa. To, co zaczerpnięte z życia, często się ludziom nie podoba. - Położył książkę na owalnym stole i otworzył ją. - To książka z biblioteki. Z Garden City. Przetrzymana. - Wzruszył ramionami. - Ma pan długopis?

Tyson podał mu.

Picard zastanawiał się przez chwilę, wreszcie napisał: „Dla Bena Tysona. Co się stało z tymi wszystkimi żołnierzami? Przemijanie czasu. Wszystkiego najlepszego, Andrew Picard”.

Oddał otwartą książkę Benowi, który przeczytał zapis, kiwnął głową i odłożył książkę na stół.

Pisarz podszedł do radia i wyłączył je. Obaj stali chwilę w milczeniu, które nie wydało się Tysonowi męczące. Raczej konieczne dla zastanowienia się nad wspólnymi doświadczeniami, dokonania psychicznego skoku i powrotu do terażniejszości.

- Gdyby jednak miał pan ochotę na drinka, to na jakiego? - zapytał wreszcie Picard.

- Szkocka.

Picard przeszedł do części kuchennej i wrzucił lód do dwóch szklanek.

- Z wodą?

- Tak.

Chwilę buszował w lodówce, wreszcie wynurzył się z butelką perriera.

- Woda dla mięczaków, ale może być.

- Jasne.

- Jak pan mnie znalazł? Nie figuruję na żadnym wykazie mieszkańców - zapytał wlewając wodę do szklanek.

- Skrzynka pocztowa.

- Rzeczywiście. Skrzynka pocztowa. Muszę ją zamalować. W dzisiejszych czasach za bardzo zwraca uwagę.

Napełnił szklanki z butelki cutty sarka, wrócił do pokoju i wręczył gościowi drinka. Podniósł w geście toastu szklankę w górę.

- Za tych, na których padł cień Hue, w tym także nas. - Stuknął lekko w szklankę Bena i obaj wypili.

Tyson wodził wzrokiem po pokoju. Z boku, pod oknem, stało biurko zarzucone papierami i ołówkami.

- Co pan robi na bis?

- Taki sukces trudno powtórzyć. - Pisarz wzruszył ramionami.

- No cóż, może pan opisać sąd wojenny nad Benjaminem Tysonem.

Picard po raz pierwszy wyglądał na zmieszanego.

- Nie sędzę.

Ben odstawił szklankę na skraj stołu. Spojrzał w stronę otwartych schodów prowadzących na poddasze.

- Jest pan sam? - zapytał.

- Tak - odrzekł Picard - ale spodziewam się kogoś lada moment. - Pięciu kumpli - dodał z uśmiechem - którzy będą tędy wracać z polowania na kaczki. Każdy ze strzelbą.

Tyson jakby nie dostrzegł dowcipu.

Picard wypił już trochę i Ben podejrzewał, że alkohol miał wpływ na jego zachowanie.

- Kilka razy o mało do pana nie zadzwoniłem - powiedział pisarz.

- Przecież dzwonił pan do mnie dwa razy kilka lat temu. Pewnie lepiej by było, gdybym wtedy się z panem spotkał.

- Mnie łatwiej było pisać o panu właśnie dlatego, że się nie widzieliśmy. - Kiwnął głową. - Gdybyśmy się spotkali, upilibyśmy się razem i pewnie bym wrzucił cały rozdział w ogień.

- I nadal byłby pan nieznanym pisarzem.

- Ale szczęśliwszym. Nie napawam się sukcesem, wie pan?

- Tak, nie przypuszczam, żeby się pan napawał.

Picard zakołysał swoim drinkiem w zamyśleniu.

- Zakładam, że przeczytał pan całą książkę - stwierdził - więc wie pan, że moi przyjaciele zginęli tam także. I większości z nich nie dana była nawet szansa na to, żeby zginąć w walce. Byli oficerami sztabowymi przy wojskowej jednostce do spraw propagandy tak jak ja. Komuniści złapali ich, zaprowadzili do dołów i strzelili w tył głowy. Albo gorzej, zakopali żywcem. - Przez jakiś czas wpatrywał się w podłogę. - Niektórzy ludzie rozmawiają z psychologami, my, pisarze, piszemy - dodał po chwili.

- A jak się teraz czujesz, Picard? - zapytał Tyson. - Koszmary nocne minęły? Gdzie się podziały twoje duchy?

Pisarz potarł policzek.

- No cóż... teraz myślę o tym jeszcze częściej. Otworzyłem złe drzwi... To zaczęło się już wtedy, gdy przygotowywałem książkę, kiedy rozmawiałem z tymi, którzy to przeżyli. Wszystko wróciło...

- Tym, którzy żyją, też pan nie pomógł - stwierdził Ben.

Wydawało się, że Picard nie usłyszał go.

- Tak naprawdę to nie widziałem za dużo wojny - mówił dalej. - Dopiero Tet. Wtedy zobaczyłem rzeczy, na które w ogóle nie byłem przygotowany. Których nie rozumiałem. Mieszkałem w Hue od roku i byłem zachwycony miastem. To było miasto światła w kraju opanowanym przez ciemność. Wierzyłem święcie, że Hue jest niezwykle. A potem, po bitwie, brnąłem przez szary popiół i czarne trupy, i myślałem, pamiętam to wyraźnie, „nic nie jest święte”, i żał mi było całej pieprzonej rasy ludzkiej.

Przeciągnął palcami po swoich długich włosach i mówił dalej:

- I teraz czasami - pan pytał o duchy - to mi się śni. Czy pamięta pan lekarskie określenie „chory na chodzie”? Niefrasobliwe określenie przypadków ambulatoryjnych. Ale w moich snach widzę tych ludzi w bandażach... częściowo to zombie, częściowo mumie... brną przez szary popiół z wyciągniętymi rękami, jakby o coś błagali, upadają po drodze, ale już idą następni, wynurzają się z białego dymu... - Spojrzał na Tysona.

Odwrócił wzrok i wpatrywał się przez chwilę gdzieś w przestrzeń,

- Widziałem małego chłopca, mógł mieć może jakieś sześć lat, szwendał się, kompletnie nagi, po ulicach. Miał odstrzelone genitalia, ale bardziej przeszkadzały mu odłamki szkła w ramieniu... i... nie potrafię zapomnieć jego twarzy... był zupełnie sam... nikt mu nie mógł pomóc, łzy płynęły mu po policzkach... - Picard spojrzał na Bena. - Ale pan musiał widzieć gorsze rzeczy... Przecież był pan w piechocie.

- W piechocie - odpowiedział Tyson po dłuższej chwili - nikt nie jest tylko widzem, ale jak sam pan to świetnie wykazał, często także przyczyną.

Pisarz patrzył w podłogę.

- Wie pan - Ben wziął głęboki wdech - czasami, kiedy najpierw się strzela, a pytania zadaje dopiero potem, stara mama-san i malutkie dziecko-san może już nie odpowiedzieć, a wtedy człowiek czuje się najgorszym monstrem, jakie stworzył Bóg. Więc następnym razem zachowuje się pan rozsądniej, żeby uniknąć błędu, a wtedy za swój wysiłek dostaje w nagrodę kulę. I pańscy kumple kolejnym razem pierwsi rzucają się do ataku, bo przecież chcą pana pomścić. I tak maszeruje śmierć, aż wszyscy strzelają pierwsi - a każdy cel jest dobry, zbierając ponure żniwo, przedwczesne żniwo śmierci, pośród ryżowych pól i owocowych sadów... - Wzrok Tysona powędrował do ognia na kominku. Przyglądał się niebieskim płomieniom dobrą minutę, potem odwrócił się znowu do Picarda.

- Czy pomógł pan temu chłopcu?

- Ja... on... on mnie zobaczył... - zaczął mówić niepewnie Picard - podniósł w górę ramiona... jakby się poddawał... ale tylko pokazywał mi ranę... W jego dłoniach i ramionach nadal tkwiły odłamki szkła. Powiedział: „*Bac-si. Bac-ci.*” - Pisarz na moment zamknął oczy. - Chciałem do niego krzyknąć: „Nie twoje ramiona, ty idioto! Twoje jaja! Twoje jaja!”... ale to był mały chłopiec. Kiedy zrobiłem krok w jego stronę, cofnął się, potem... Wymierzyłem w niego karabin i krzyknąłem: „Odejdź! *Di-di*”. Odwróciłem się i uciekłem. - Picard wstrzymał oddech. - Nie mogłem pozwolić mu podejść bliżej. Po prostu to było dla mnie za trudne.

Spotkał się wzrokiem z Benem.

- To się zdarza. - Tyson kiwnął głową.

- Tak - Picard skończył swoją szkocką - ale inni wokół mnie radzili sobie z tym lepiej niż ja.

- Akurat tego dnia.

Pisarz poszedł wolno do kuchni i przygotował sobie następnego drinka.

- Właśnie. - Jego ponury nastrój wyraźnie mijał. - Niektóre dni były lepsze, inne gorsze. Pan miał zły dzień 15 lutego. 29 lutego pomagał pan chorym i rannym. A później tego samego dnia sam pan został ranny. *C'est la guerre*, jak mawiali nasi mali przyjaciele co najmniej dziesięć razy dziennie.

Ben skończył swojego drinka i odstawił szklanekę na mały stolik. Uświadomił sobie, że Picard jest pierwszą osobą, z którą rozmawia na temat Wietnamu i która rzeczywiście tam była. Poza tym, co ich różniło w doświadczeniach i doznawaniu, istniała w nich ta sama

choroba, ta sama bomba czekająca na odbezpieczenie.

- Jeszcze jednego?

- Nie.

- Usiądzie pan?

- Postoję.

Picard obszedł bar i usiadł w bujanym fotelu koło paleniska. Po jakimś czasie stwierdził:

- Powiedziałem pańskiej przyjaciółce, Harper, że mogę zaoferować tylko częściowe świadectwo - powtórzyć słowa informatorów. Szczególnie siostry Teresy. Może pan to powtórzyć swoim obrońcom.

Tyson kiwnął głową. Zastanawiał się, dlaczego pisarz nazwał Harper jego przyjaciółką.

- Nie zamierzam ukrzyżować pana - dodał Picard.

- To właśnie podoba mi się u artystów i pisarzy, Picard. Kręcą się wokół góry gówna, ale nigdy w nie nie wdepną, nigdy nie muszą go zjadać i, na Boga, nawet go nie czują.

- Ja wlałem w to gówno po same uszy. - Pisarz wychylił się do przodu w swoim fotelu.

- Pan wpadł w to przez przypadek. A kiedy smród po dwudziestu latach rozwiął się, pan postanowił uszczęśliwić świat wspomnieniami.

Picard powoli kołysał się przez jakiś czas, w całym domu słyhać było jedynie skrzypienie desek.

- Powtórzyłem tylko to, czego dowiedziałem się od świadków... - powiedział. - Ale czasami zastanawiam się, czy powinienem był napisać ten rozdział.

- Dlaczego tak pan myśli?

- No cóż... nie był... dobrze udokumentowany i... groził mi proces o zniesławienie...

- To nie powód. Dlaczego pan nie powinien był pisać tego rozdziału?

- Ponieważ nie pomogłem temu małemu chłopcu, któremu odstrzelono genitalia - odrzekł z wahaniem - i ponieważ nie przyznałem się do tego w książce. Ponieważ pewnej nocy, kiedy komuniści szturmowali okopy żołnierzy armii południowowietnamskiej, załamałem się w ich obecności i wietnamski pułkownik uderzył mnie. I o tym również nie napisałem w mojej pieprzonej książce. A teraz wiem, że nie będę potrafił o tym

zapomnieć, dopóki wszyscy się nie dowiedzą. - Spojrzał na Bena. - Być może robię panu przysługę, której nie zrobiłem nawet sobie.

- Dzięki, stary. Oddam ci ją przy pierwszej sposobności.

Picard uśmiechnął się ponuro.

- Ale o swoim bohaterstwie nie zapomniał pan napisać - powiedział Tyson po chwili zastanowienia. - Dzień, w którym armia Wietnamu Południowego zaczęła kontratak na Cytadelę. Tamtego dnia był pan bohaterem, wyniósł pan spod ostrzału rannego towarzysza. Czy to prawda?

- O tak. Uratowałem wtedy dwóch żółtków. Kule i rakiety spadały jak ulewa na całą tę pieprzoną ulicę. Może pan sobie wyobrazić? I to nawet nie byli Amerykanie. - Skrzyżował nogi i zahuścił drinkiem. - Przypuszczam, że gdy się jest uczciwym pisarzem, pisze się też o chwilach, kiedy się robi pod siebie - powiedział. - Na pewno pański pluton dokonał rzeczy, z których armia byłaby dumna. Pewnie powinienem był dowiedzieć się o tym nieco więcej.

- No cóż, Picard, może jeśli pan spotka moich ludzi na jakimś zamkniętym przesłuchaniu, przypomni pan sobie swoje słowa.

- Na pewno. Ale nie mam pojęcia, co to może teraz zmienić.

Ben patrzył, jak unosi się w górę dym z papierosa.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o świadkach - stwierdził. - Przyszedłem sprawdzić, czy byliśmy na tej samej wojnie. Ale chyba jednak tak. - Wrzucił papierosa do ognia. - Wszyscy mamy jakieś sekrety i czasami opowiadamy sobie o nich, ponieważ potrafimy siebie zrozumieć - mówił dalej. - Ale zazwyczaj nie zwierzamy się innym. Pewne rzeczy, które robiliśmy, zawstydzają nas i przerażają. Będąc w swoim gronie możemy rozmawiać o tym bez tłumaczenia się i usprawiedliwień. - Przysunął się bliżej do pisarza. - Nie twierdzę, że historia Szpitala Miłosierdzia nie powinna była wyjść na jaw, ale uważam, że nie pan powinien ją ujawnić.

- To było pańskie zadanie. - Picard wstał.

- Tak - przytaknął Tyson. - I teraz, kiedy złamał pan niepisane prawo trzymania buzi na kłódkę, ja też mogę opowiedzieć moją historię.

- Ale doktor Brandt twierdzi, że wszyscy przysięgliście kłamać. To nie było niepisane prawo, ale przysięga krwi. Jak pan może mówić o prawdzie?

- Mogę powiedzieć moim ludziom, że prawda ich wyzwoli.

- Czy prawda... chodzi mi o to, na ile to, co napisałem, jest bliskie prawdy...?

- Dowie się pan w sądzie. - Ben uśmiechnął się.

- Czy ma pan zamiar mnie zaskarżyć?

- To bardzo możliwe. - Tyson rozejrzał się po pomieszczeniu okiem właściciela. - Miły dom. Wynajmuje go pan czy to pańska własność?

Picard roześmiał się.

- Pan nie jest człowiekiem, który bawiłby się w szantaż - stwierdził po chwili zastanowienia. - A ja nie jestem człowiekiem, który by się dał szantażować.

Ben spojrzał na niego taksująco, ale nagle zmienił temat:

- Kto to jest Wells?

- Wells... Ach, to nazwisko na skrzynce? Ta pani mieszkała tu przede mną. Powinienem zamalować nazwisko.

- Mieszka pan sam?

- Czasami. One przychodzą i odchodzą.

- Naprawdę? Nie ożenił się pan?

- Raz. Mam dwudziestoletnią córkę. Mieszka ze swoją matką i ojczymem w Kaufornii. Brak mi jej. Życie... wie pan, życie w naszym starym dobrym kraju nie jest już takie, jakie było za moich dziecinnych lat. Jeśli jest jakieś miejsce mniej spieprzone, pojedę tam. Zna pan takie miejsce?

- Obawiam się, że nie. Trzyma się pan z miejscowymi literatami?

- O Chryste, nie. To większe dupki niż ja. - Poszedł do kuchni.- Jeszcze jednego, Tyson. Wtedy będzie pan sobie mógł już pójść.

Ben zauważył, że gospodarz ma kłopoty nawigacyjne.

- Małego - powiedział.

Zapalił kolejnego papierosa i wrzucił zapałkę do paleniska. Przyglądał się pisarzowi krążącemu po kuchni. Nie bardzo lubił tego faceta, ale nie mógł się również zmusić do szczególnej niechęci. Picard był jak przyjaciel z bractwa, trzeba mu było dać fory. Poza tym przyznał się do dwóch aktów tchórzostwa. Może potrafiłby jakoś pomóc Picardowi i sprawić, by myślał o sobie nieco lepiej. Tyson czuł się, jakby otrzymał nie chciany prezent

albo jakby ktoś powierzył mu następny przeraźliwy sekret. Gdyby byli przyjaciółmi, pisarz znienawidziłby go już jutro rano.

- Był pan w Hue prawie rok przed atakiem Tet?

- Zgadza się.

- Znał pan dobrze miasto?

- Całkiem nieźle. - Picard stanął przy barze z dwoma szklankami.

Ben wziął od niego swoją.

- Bywał pan kiedyś w kawiarni na ulicy Tihn Tam? *Le Crocodile*?

- *Certainement*. - Picard łyknął ze swej szklanki. - Małe gównno, które rządziło tym miejscem, miało swe macki w każdym obozie.

- Bournard?

- Chyba tak się nazywał. A co?

- Zastanawiałem się nieraz, co się z nim stało.

- Przyjaźniliście się?

- Nie. Spotkałem go tylko raz. Radził mi, żebym wracał do domu.

- Sam powinien był posłuchać tej rady.

- Dlaczego?

- Mogę powiedzieć to, co słyszałem, choć niekoniecznie jest to prawda. Wie pan, co Wietnam Północny robił tym Wietnamczykom, którzy bawili się w interesy z Amerykanami, fryzjerom, prostytutkom, sprzątaczkom i takim tam.

- Słyszałem.

- No właśnie - Picard skinął głową - zgodnie z tym, co słyszałem, monsieur Bournard i pracownicy jego kawiarni pojawili się w szpitalu centralnym, tyle że bez głów.

Obaj mężczyźni milczeli jakiś czas, wreszcie Ben powiedział:

- Mój ojciec kiedyś powiedział mi, wspominając swoją wojnę: „To była wojna, na którą bym znowu poszedł”. - Spojrzał na pisarza. Nie sądzę, żebyśmy my mogli coś takiego powiedzieć o naszej.

- Nie, nie możemy - zgodził się Picard. - I to, jak sądzę, jest istotą naszej choroby. Nie to, co się stało tam każda wojna jest takim samym gównem - ale co się działo tutaj.

Tyson dokończył swojego drinka i odstawił szklanę.

- Możliwe.

- A tak przy okazji - Picard odchrząknął - chciałbym pana przestrzec. Doktor Brandt z przyjemnością by pana zobaczył przed plutonem egzekucyjnym. Proszę nie pytać mnie, dlaczego tak uważam. Choć to, co mówi, brzmi chłodno, logicznie i obiektywnie. Ale, na Boga, Tyson, Brandt wyraźnie wskazuje na pana jako na mordercę.

- Jestem tego pewien.

Pisarz wyraźnie miał ochotę zapytać „dlaczego”, ale w ostatniej chwili powstrzymał się.

W pokoju słychać było jedynie tykanie zegara stojącego na kominku. Ben spojrzał na niego.

- Powinienem już pójść - powiedział i zaciągnął suwak kurtki.

Picard zawahał się.

- Idzie pan do domu? - zapytał po chwili - To znaczy, wynajmuje pan tu coś?

- Może. Dlaczego pan pyta? - Tyson rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Spotkałem ją.

- Kogo?

- Marcy. Pańską żonę. Była tutaj.

Ben skinął głową. Oczywiście, to było w stylu Marcy odwiedzić Picarda.

- Jest bardzo miła.

- Naprawdę?

- Dla mnie była. Żadnego rozgoryczenia, żadnej hysterii. Niezwykła kobieta. Chciała tylko wiedzieć, czy to, co napisałem w książce, to prawda.

Tyson nic nie mówił.

- I co tu powiedzieć żonie pytającej o prawdę na temat swojego męża? Przyznałem, że nie byłem naocznym świadkiem tego wydarzenia. Byłem tylko reporterem. Taki sobie

pisarzyna, co, Tyson? Kręcący się wokół kupy gówna. Można powiedzieć, że potraktowała mnie łagodnie. Powiedziała, że prawdopodobnie pisałem to, co uważałem za słuszne.

- Bardzo wspaniałomyślnie. Czy spał pan po tym lepiej - mimo pańskich upiorów?

Pisarz odpowiedział wymijająco:

- Dlaczego pytała o to mnie? A nie pana? Chociaż nie, oczywiście, że pytała pana. Ale pan jej nie powiedział. Nawet kobiecie, z którą dzieli pan łóżko.

Ben podszedł do drzwi, potem znowu odwrócił się do Picarda.

- Jak wyglądała?

- Marcy? Dobrze. Ładna kobieta.

- Nie, chodzi mi o siostrę Teresę. Jak ona wygląda, Picard?

Pisarz zerknął na niego szybko.

- Po zwycięstwie komunistów nie było jej łatwo - odparł.

Tyson kiwnął głową. Musiała mieć teraz jakąś czterdziestkę i to nie amerykańską czterdziestkę. Prawdziwą.

- Co się z nią działo?

- Nie najlepiej. Więzienie, obóz pracy, tego typu rzeczy. - Picard przyglądał się Benowi przez jakiś czas. - Nigdy nie wymieniła pańskiego nazwiska. Mówiła tylko o poruczniku. Ale potem, po rozmowie z Karen Harper, myślałem dużo o siostrze Teresie i teraz, kiedy pan o nią pyta... myślę, że coś mi umknęło...

Tyson otworzył drzwi.

- Dzięki za drinka.

- Zapomniał pan książki.

- Tak naprawdę, to wcale mi nie jest potrzebna. Dobranoc.

- Idź do domu, Tyson. Jej naprawdę może cię brakować.

Ben zamknął drzwi i ruszył ścieżką z połamanymi muszli. Drzwi otworzyły się za nim i na podwórko padł snop żółtego światła.

- Co pan by zrobił? - głos Picarda biegł za nim w wilgotnym, nocnym powietrzu. -

Gdyby to pan był na moim miejscu, Tyson, co by pan zrobił?

- Pomógłbym chłopcu. - odkrzyknął Ben.

- Nie, chodzi mi o ten rozdział w książce.

Tyson wiedział, że Picardowi o to chodziło, ale nie odpowiedział, otworzył bramę i wyszedł na ulicę. Stał na chodniku i spojrzał w kierunku sylwetki pisarza odcinającej się na tle oświetlonych drzwi.

- Zrobiłbym to samo - krzyknął wreszcie - co pan, Picard. A gdyby to pan był na moim miejscu w Szpitalu Miłosierdzia, też by pan nic nie zmienił.

- Wiem. Wiem to. Pieprzony Wietnam, poruczniku.

- To prawda, poruczniku.

Rozdział 23

Ben Tyson zszedł z ciemnej drogi i poprzez sitowie przedarł się na brzeg. Nad zatoką wisiała mgła, księżyc ubrał się w lisią czapę. A jednak można było dostrzec światła na drugim brzegu oddalonym o jakiś kilometr lekko falującej wody. Czerwone boje znaczące drogę kołysały się gdzieś w połowie zatoki, jakaś żaglówka sunęła po niej bezszelestnie. Był odpływ i odsłoniętą część plaży pokrywały kamyki, muszle i żyjątka morskie.

Światła Baypoint zdawały się go przyzywać, przyciągać do chlupoczącej wody. Przypomniał sobie wyraźnie noc przed ofensywą Tet. Stał na północnym brzegu rzeki Perfume i przyglądał się hipnotyzującym światłom dzielnicy europejskiej po drugiej stronie. Teraz czuł się bardziej uspokojony, pogodzony z samym sobą, zachwycony kolorytem wody, omamiony rytmicznym falowaniem. Pod wpływem impulsu ściągnął szorty i rzucił ubranie na zwój lin. Wskoczył do wody. Zaczął płynąć, najpierw blisko brzegu. Woda chłodziła i czyściła jego ciepłe, spocone ciało. Potem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ruszył poprzez zatokę w stronę Baypoint.

Silna fala pchała go na wschód. Starał się jej opierać silnymi ruchami ramion, kierując się na północny zachód. Fale były wyższe, niż to się wydawało z brzegu, zaczynał odczuwać zmęczenie.

Niechętnie skręcił w stronę trasy oznaczonej bojami i złapał się oburącz za jedną z

nich.

Teraz już widział własny dom zupełnie wyraźnie, bliżej niż pół kilometra na północ. Głęboko odetchnął i mocniej uderzył ramionami. W połowie drogi do brzegu poczuł ból w kolanie, potem nagle stracił czucie i noga zwiśla bezużytecznie w wodzie. Zaklął pod nosem i przekręcił się na plecy. Pozwolił unosić się fali na wschód, w kierunku mostu North Haven.

Woda wydawała się ciepła, falowała w uspokajającym rytmie. Księżyc w swej pięknej koronie spoglądał na niego z góry. Tyson czuł się pogodzony z całym światem.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że przepływa pod mostem North Haven, a potem mija Long Wharf, którego łuna widoczna była o kilkaset metrów po jego lewej ręce. Prąd wyniósł go przez przejście dla statków w kamiennym falochronie w głąb przystani. Spróbował poruszyć lewą nogą, ale kolano było wciąż zablokowane.

- Cholera. - Zdarzało mu się to już wcześniej, ale jeśli dawał chwilę nodze odpocząć, mijało.

Po czasie, który wydawał się nieskończenie długi, siła prądu zmaląła. A chwilę później zdał sobie sprawę, że zmienia się też kierunek fal wywołany lądową bryzą wiejącą od wyspy Shelter na północ. Spróbował wyobrazić sobie mapę wybrzeża w pobliżu Sag Harbor i doszedł do wniosku, że jeśli zaraz rozpocznie się przyptyw, powinien wylądować na dyskotece w Long Wharf. W samych kąpielówkach. Śmiał się i klął równocześnie. Usiłował rozluźnić kolano, ale było wciąż zablokowane.

Po jakimś czasie zauważył, że wiatr się wzmaga, grzywiaste fale przybrzeżne przelewały się przez jego ciało. Co gorsza, zmienił się jego kierunek. Wiał teraz z południa i zachodu, odsuwając Bena od Sag Harbor, w stronę pełnego morza. Woda, która jeszcze tak niedawno sprawiała wrażenie ciepłej, wyraźnie oziębła się, podmuchy także były chłodne. Coraz trudniej było mu złapać oddech i utrzymywać się spokojnie na wodzie. Niedobrze.

Wyprostował się i zaczął pracować energicznie ramionami i jedną zdrową nogą. Usiłował dostrzec boje znaczące drogę dla łodzi, ale przeszkadzały mu załamujące się fale. Po raz pierwszy poczuł lęk.

Kiedy wyniosła go w górę jakaś większa fala, rozejrzał się. Ze wszystkich stron widział oświetlone boje, ale ani jednej żaglówki na tyle blisko, by wołać o pomoc. Światelka Sag Harbor mrugały zachęcająco kilkaset metrów od niego na południowy zachód, ale równie dobrze mogły się znajdować na rudym księżycu. Przyptyw był za słaby, żeby pchnąć go z powrotem do brzegu, i Tyson dryfował zgodnie ze wzmagającym się wiatrem z południowego zachodu. Na północny wschód od siebie zobaczył Cedar Point Lighthouse, za nim znajdowała się zatoka Gardiners, w kierunku której zmierzał, dalej już był tylko Atlantyk. Następny przystanek wypadł we Francji.

Fale nie były już tak wysokie i Ben opadł w dół. Starał się spojrzeć na swoją sytuację z boku, tak jak to robił w czasie wojny. Jeśli chodzi o łodzie, to jakaś musiałaby znaleźć się cholernie blisko niego, by wypatrzeć sylwetkę człowieka pośród fal i w ciemności. Jeśli zaś oceniał prawidłowo siłę wiatru i przyływu, nic nie wskazywało, by mógł zostać gdziekolwiek wyrzucony na brzeg. A nawet gdyby się tak stało, prawdopodobieństwo, że będzie to piaszczysta plaża, równało się prawie zeru, ponieważ zbyt wielką część wybrzeża stanowiły skały. Nie były to najlepsze rokowania, o rekinach wolał nie myśleć wcale. Jedyna pociecha, że w ogóle mógł jeszcze myśleć.

Tak jak się spodziewał, fale zaczęły potężnieć i unoszenie się na plecach nie było już możliwe. Starał się płynąć na grzbiecie fali, zsuwać w dół przed załamaniem, potem odczekać, by następna złamała się, zanim go dosięgnie. W ten sposób unoszony był znowu na grzbiecie i wrzucany w następny dół. Długość fal i okresy utrzymywania się na szczycie pozwalały mu jeszcze na taką taktykę, ale sytuacja wydawała się zmieniać na gorsze.

Kiedy w pewnej chwili znalazł się na górze, wydawało mu się, że widzi światła przepływającej blisko łodzi. Ale morze zrobiło się rozhukane i nie warto było marnować siły na krzyk. Zarówno pole widzenia, jak i możliwość dostrzeżenia go zawężyły się do obszaru pomiędzy dwiema czarno-białymi ścianami wody. Księżyc i gwiazdy zniknęły, noc zrobiła się czarna. Od zapachu i smaku wody morskiej, która wciskała mu się do ust, zbierało mu się na wymioty.

Teraz już walczył o życie. Nagle uświadomił sobie, że jego czyn może zostać potraktowany jako samobójstwo.

- Nie! Nie!

Wyobraził sobie swój dom w Baypoint, oświetloną werandę i zobaczył siebie zbliżającego się do niej. David i Marcy jedli spokojnie kolację przy stole z czerwonego drewna. Pomiedzy nimi stała lampa naftowa. Zobaczył ich twarze w migoczącym świetle, słyszał ciche szemranie radia, w którym Willie Nelson wyciągał „Ali of Me”.

Dokładnie tak, jak się tego obawiał, długość fal i przerwy między kolejnymi falami zmniejszyły się, a ich wysokość wzrosła. Doliny były teraz krótsze, mniejsze niż trzydzieści centymetrów od grzbietu jednej fali do ściany następnej. Załamana woda zakrywała mu niebo jak ruchomy baldachim, a potem zwałała się w dół, oślepiając go i ogłuszając.

Walczył o utrzymanie się na powierzchni, walczył o oddech, wiedział, że nie wytrzyma długo. Jeszcze jedna lub dwie takie fale i będzie po nim.

Skoncentrował się na swym odrętwiałym kolanie, usiłując zmusić je siłą woli do posłuszeństwa. Kiedy był młody, jeszcze przed Wietnamem, zanim otrzymał Purpurowe Serce, pływał w bardziej wzburzonym morzu niż to teraz, wypływał daleko w głąb zdradliwego Atlantyku, tak daleko, że w ogóle nie widział już lądu. To jest tylko pieprzona

zatoka. Benjamin Tyson nie utonie w zatoce, w środku lata. Nie. Krzyknął: PIEPRZE WIETNAM! PIEPRZE WIETNAM! PIEPRZE WIETNAM! Krzyczał tak długo, aż nie sposób było rozróżnić słów, nawet on sam nie potrafił już ich zrozumieć.

Zachwycił się światłami, że mogą być tak jasne, i rękami, że mogą być tak czyste. Białe prześcieradło chłodziło jego nagie ciało, krążące wokół pielęgniarki troszczyły się o niego. *USS Repose*, pomyślał, jest stacją przesiadkową pomiędzy śmiercią a życiem. Statek ratujący rozbitków i towary wyrzucone na zniszczony brzeg.

Idziesz do domu, żołnierzu. Twoje kolano wyleczy się całkowicie. Och, pielęgniarki będą cię kochać. Oto twój osobisty wdzięk, poruczniku. Nie będzie żadnego inwalidztwa. Widziałeś trochę gówna, co, asie?

Dzisiaj będzie pokaz filmu, Ben, chcesz, żebym cię tam zabrała?

Wojna jest nieprzyzwoita. Nieprzyzwoita.

Kapitan Wills i porucznik Mercado zostali przeniesieni na inny oddział. Czują się dobrze. Nie, nie można się z nimi zobaczyć.

Nie zaleca się żadnych konsultacji z psychologiem. Ten ma w głowce poukładane, jak się patrzy.

Twój dowódca brygady ma się zjawić na pokładzie, będzie przypinał medale do pidszam. Ci, którzy udają, że śpią, będą mieli medale przypięte do prześcieradeł. Twój wybór.

Jutro lecisz do Da Nang. Chcą, żebyś wziął udział w specjalnej uroczystości wręczenia odznaczeń w Hue.

Nie wiem, gdzie trzymają ciała, poruczniku. Zresztą, jaka to różnica.

Będiesz mógł biegać, skakać, pływać, grać w tenisa, nawet wspinać się na góry.

Nie wrócisz do wojska. Powodzenia, Tyson. Do widzenia, Ben.

Za miesiąc twoje kolano będzie jak nowe. Pływaj dużo, to dobre ćwiczenie.

Dziesięć stóp od niego w lewo leżało koło ratunkowe, razem z falą odsunęło się i znikło. Pojawiło się znowu i wystrzeliło po czarnej jak smoła powierzchni wody prosto na niego, jakby było sterowane.

Tyson złapał je mocno obiema rękami, zanurkował i znalazł się w otworze. Lina naprężyła się i przecięła wodę. Ben podążył za ociekającą wodą liną i dopiero w tej chwili zauważył oświetloną łódź, odległą od niego o niecałe sto pięćdziesiąt metrów. Był to

nieduży jacht kabinowy. Tyson podskoczył na fali w stronę żaglówki, a kiedy się do niego zbliżył, poczuł turbulencję od silnika. Podpłynął na tyle blisko, że zobaczył wypisaną białymi literami nazwę: *Cisza II*. Potem wszystko było już tylko ciemnością.

Tyson otworzył oczy. Zdawał sobie sprawę, że jest zawinięty w szlafrok. Usiłował wstać, ale mu się nie udało. Koło niego klęczał jakiś mężczyzna.

- Dick Keppler. - Odsunął połę szlafroka i wskazał na kolano Bena. - Wojenna rana?

Tyson popatrzył na niego.

- Jest w nich coś wspólnego - mówił Dick Keppler - taka blizna-podpis. Nie będziesz miał takiej po wypadku futbolowym. Widziałem je już wcześniej. Czy to pana boli?

Ben zrozumiał, że ma do czynienia z lekarzem.

- Byłem zmęczony. Złapał mnie skurcz.

- Możliwe. Będzie pan na chodzie za tydzień.

- Nie wracam do wojska.

- Nie. - Lekarz roześmiał się. - Proszę usiąść, pomogę panu.

Tyson wziął go za ramię i wstał. Kobieta, która przedstawiła się jako Alice, podała mu jeszcze do pomocy hak. Zapytał, czy mogliby go podrzucić do Baypoint, i już piętnaście minut później byli przy półwyspie.

- Tam. - Pokazał Ben.

Keppler zmniejszył obroty silnika i skręcił w prawo, kierując jacht do długiego pomostu. Tyson poczuł, jak kil szoruje o dno, potem łódź łagodnie zakołysała się.

Alice zarzuciła linę na pachołek i wszyscy wymienili uściski dłoni.

- Jeśli chwilę państwo poczekać - powiedział Ben - zaraz zwrócę harpun i szlafrok.

- Proszę je zatrzymać na pamiątkę - odparł doktor. - Czy pomóc panu wspiąć się na te skały?

- Nie, tylko wysiąść.

Keppler wskoczył na pomost, wziął Tysona za rękę i pomógł mu przedostać się na brzeg.

- Jeszcze raz wielkie dzięki. - Wymienili pożegnalne formułki.

Ben stał na rozklekotanym pomoście i przyglądał się, jak *Cisza II* wpływa do kanału. Machali do niego, on także pomachał im w odpowiedzi.

Oparł się na harpunie i przeniósł wzrok na ląd.

Na skały wdrapywał się tyłem, w pozycji siedzącej, wreszcie dotarł do trawnika. Podniósł się i spojrział w stronę domu. Weranda była oświetlona, dostrzegł jakąś sylwetkę na kanapie ogrodowej. Ruszył przez trawnik podpierając się na harpunie. Kiedy podszedł bliżej, poprzez pręty balustrady zobaczył, że na kanapie leży dwoje ludzi odwróconych do siebie twarzami. Widział plecy kobiety, jej podkoszulek podciągnięty był do pach. Tyson odkaszlnął i zrobił jeszcze kilka kroków.

Mężczyzna poderwał się z kanapy, poprawił na sobie spodnie i podbiegł szybko na skraj werandy.

- Kto tam?

- Cześć, David.

- Tato!

David przeskoczył przez balustradę na trawnik i zaraz się zatrzymał.

- Co się stało?

- Gdzie?

- Co... - David wyglądał na speszonego - dlaczego...?

Ben widział, że dziewczyna zdążyła się pozbierać i stała teraz oparta o balustradę. Pomyślał, że on sam musi się prezentować dość dziwacznie w białym szlafroku, na bosaka, z potarganymi włosami i podparty na harpunie.

- Żeglowałem ze znajomymi - powiedział. - Wskoczyłem, żeby popływać i złapał mnie skurcz, więc wysadzili mnie tutaj. Przedstaw mnie swojej przyjaciółce.

- Och... no tak. - David spojrział za siebie, potem znowu na ojca i jeszcze raz na dziewczynę. - Oczywiście. To jest mój tata, Melindo. Tata, Melinda.

- Cześć, tato - powiedział Tyson.

Melinda roześmiała się.

- Miło mi pana poznać.

Ben ruszył w stronę schodów, syn ujął go pod ramię.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

- Tylko silny skurcz. - Wszedł na taras i usiadł na leżaku. - Gdzie twoja matka?

- Wyszła. Wróci przed dziesiątą.

Tyson kiwnął głową.

- Zostaniesz...? - zapytał David.

Zerknął na Melinę.

- Chyba tak - Ben ziewnął. - Zdaje się, że tu mieszkam, prawda? Może byś mi przyniósł coś na wzmocnienie?

- Już - David pognął do domu.

Przez jakiś czas Tyson i Melinda patrzyli na siebie.

Ocecił, że dziewczyna jest o kilka lat starsza od jego syna. Była opalona na złoty brąz, niezbyt wysoka i nieco pulchna, ale ładna.

- Mieszkasz tutaj?

- Tylko w lecie. W ogóle na Manhattanie.

- A tu gdzie macie dom?

- Kawalek dalej przy drodze. Taki z szarym gontem.

- To ogranicza wybór gdzieś do dwudziestu posesji.

Roześmiała się.

- I ma szare okiennice. Nazywam się Jordan - dodała. - Mój ojciec przyjeżdża tu na weekendy. A mama jest właśnie na kolacji z panią Tyson.

Otrzymał odpowiedź na pytanie, którego nie potrafił zadać Davidowi. A jednocześnie dowiedział się, że zasłona dymna w postaci używania panińskiego nazwiska Marcy nie zdała egzaminu. Ale wyraźnie nie utrudniło to stosunków towarzyskich jego rodzinie.

- A ty i David niańczycie się nawzajem?

W jej uśmiechu było tyle tylko zawstydzenia, by wyglądała na spłoszoną, ale tak

naprawdę wcale nie była. Ben przypomniał sobie lato, kiedy jego ojciec nakrył go na skifie wyciągniętym na plażę i zakrytym żaglem. Łódka kołysała się na piasku, co musiało wyglądać podejrzanie. Uśmiechnął się do wspomnienia.

David wrócił z kubkiem wypełnionym do połowy.

- Likier kakaowy. Pasuje ci?

Nie pasowało, ale zapewnił syna, że tak.

- Przepraszam, że wam zepsułem wieczór.

David i Melinda zaprotestowali, chociaż Tyson wiedział, że oboje musieli czuć się nieswojo. Napił się likieru. Poczul w gardle i żołądku dziwne pieczenie, zląkł się, że zaraz mu się zrobi niedobrze. Odstawił kubek na bok i odetchnął głęboko.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedział David.

- Po prostu jestem zmęczony. To żadna choroba ani nic takiego. Idę na górę wziąć prysznic i zmyć z siebie całą tę sól - dodał. Potem zamierzam się zdrzemnąć. - Podciągnął się w górę opierając na poręczy fotela, złapał harpun prawą ręką. - Nie, nie potrzebuję pomocy. Otwórz mi tylko drzwi.

Melinda odsunęła je i Ben przeszedł do salonu.

David - krzyknął jeszcze - wynająłem na jutro łódź na

rekiny! Bądź na dole o piątej.

- Aj-aj, sir.

Tyson wdrapał się po schodach w ten sam sposób, w jaki wlaził na skały, na tylnej części ciała, potem doczołgał się do sypialni. Odłożył harpun i podciągnął się na wielkie łóżko. Przeciągnął się i ziewnął.

- Pysznic. - Ziewnął znowu.

Wieczór stał się dziwnie nierealny: stare miasto, mgła, Picard, zatoka, *Cisza II* i jej załoga, wspinaczka do domu i wreszcie David. Jego mały David. Czas płynie. Zamknął oczy, ostatnie, co przemknęło mu przez myśl, było, że nie powinien leżeć tutaj. Wiedział, że najważniejsze dla niego miejsce znajdowało się na dnie morza.

Rozdział 24

- Śmierdzisz jak ryba.
- Czuję się jak ryba. A dokładnie jak dorsz.
- Co się stało?

Ben ziewnął i przetarł oczy. Pochylona tuż nad nim twarz Marcy nabrała ostrości. Siedziała obok na skraju łóżka. Spostrzegł, że harpun wciąż leży w nogach posłania. Okno było otwarte, wiatr szeleścił żaluzjami. Nocne lampki oświetlały łagodnie pokój.

- Czyj to szlafrok? - zapytała.
- Dicka.
- Wygląda na damski.
- W takim razie to musi być szlafrok Alice.
- Kto to jest Alice?
- Żona Dicka. - Tyson podniósł się i oparł o wezłowie łóżka. - Ludzie z łodzi. David ci nie opowiedział?
- Opowiedział. Dlaczego pływałeś z tymi ludźmi po zatoce na golasa? - Rozdzieliła połę jego szlafroka odsłaniając nagie ciało.

Owinął się szczelnie szlafrokiem.

- Kiedy zaczynałem, miałem na sobie majtki. Może, byś mi powiedziała „cześć”.

- Cześć. Skąd znasz tych ludzi? - zapytała natychmiast.

- Poznałem ich w czasie pływania. Wzięli mnie na pokład.

- Rozumiem. - Zerknęła w stronę jego kolana. - Co z tym?

- W porządku. Moczyłem je w słonej wodzie.

- Bardzo śmieszne. Możesz nim ruszać?

Spróbował zgiąć kolano.

- Jeszcze nie. - Spojrzał na żonę.

Zawsze miała ciemną karnację, ale teraz wydawała się prawie czarna. Biel zębów i białek kontrastowała mocno z kolorytem skóry. Miała na sobie biały kombinezon, z dużym wycięciem z przodu odsłaniającym krągłość opalonych piersi. Kiedy pochylila się nad nim, zobaczył, że nie ma na sobie biustonosza, biała skóra zaczynała się tuż ponad sutkami. Spojrzała na niego.

- Zostajesz czy wpadłeś tak z wizytą?

- Na jutro zamówiłem łódź - powiedział. - Myślę, że na noc zostanę.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Wydawało mi się, że masz już dość morza.

- Zobaczymy, co będzie jutro z kolanem.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała. - To znaczy do Sag Harbor.

- Wynająłem samochód.

- I gdzie on teraz jest?

- Po drugiej stronie zatoki.

- A twoje ubranie?

- Mam je w kieszeni. Skończ to przesłuchanie. Pożycz mi jutro rano volvo i trochę pieniędzy. Przywiozę ci dużego rekina do oprawienia. Będzie niezła wyzerka.

Zadumała się.

- Ale nie chciałeś... - zapytała cicho - wiesz co?

Już miał zaprzeczyć, ale powiedział:

- Nie wiem... Chyba po prostu miałem ochotę popływać. Chciałem tu dopłynąć.

Kiwnęła głową z powątpiewaniem.

- Byłem tak blisko drugiego brzegu jak tylko możliwe i wróciłem. Teraz kiedy rzuciłem tam okiem, moja ciekawość została zaspokojona. Nie chcę tam iść. Jeszcze nie.

- Mam nadzieję. - Marcy wstała, podeszła do przeszklonych drzwi prowadzących na balkon. Powiedziała wpatrując się w zatokę: - Jak ci leci w wielkim mieście?

- Nieźle. Mieszkanie Paula Steina jest całkiem przyjemne. Byłaś tam raz, kiedy się rozwodził. Czuję się nieco samotnie - dodał. - A jak u ciebie?

- W porządku. Spotkałam tu sporo znajomych. Paul wpadł przejazdem. Poszliśmy na kolację. Chciał mnie poinformować, że choć pożyczył ci mieszkanie, nie popiera naszej separacji.

- Niegłupie posunięcie.

- Był także Jim, mój szef. - Odwróciła się od okna. - Poszliśmy popływać. A na zeszły weekend przyjechał Phil Sloan.

- Zdaje się, że otworzyłaś pensjonat. A myślałem, że się ukrywamy.

- Już się nie chowam. - Zrobiła krok w jego stronę. - To idiotyczne. I nic nie pomoże. Ci dwaj, którzy wynajmują sąsiedni dom, od razu wiedzieli, kim jestem.

Nic nie powiedział.

- Więc co porabiasz? - zapytała Marcy tonem pogawędki.

- Niewiele. - Wzruszył ramionami. - Czytam, utrzymuję się w formie, dużo chodzę. Pierwszy raz w życiu nie mam konkretnego zajęcia. Co mam robić?

- Unikasz kłopotów?

Uśmiechnął się.

W odpowiedzi zrobiła grymas ironicznego niezadowolenia.

- Nie podoba mi się, że nie mam cię na oku, Tyson.

Nie odpowiedział, ale nie był już tak nieszczęśliwy. Chociaż rozum dyktował mu, że nie należy pytać, nie wytrzymał:

- A ty unikasz kłopotów?

Wzruszyła ramionami. Ben czekał.

Marcy podeszła do łóżka.

- Jim przyjechał tu ze swoją żoną - powiedziała. - Phil też. Paul Stein przywiózł swoją dziewczynę, a tych dwóch facetów z sąsiedztwa jest żonatych ze sobą. - Roześmiała się. - Boże, wygląda na to, że wszyscy mężczyźni albo są już zajęci, albo lubią chłopców, albo mają nierówno pod sufitem, są za młodzi albo za starzy, albo zboczeni seksualnie.

- Nie skreślaj zboczeńców.

- A poza tym - spojrzała na niego stanowczo - nie jestem do wzięcia. Jeszcze nie.

Tyson usiadł prosto.

- Lepiej, jeśli przyzwyczaisz się do mojej nieobecności - powiedział. - Chodzi mi o to, że poza naszymi problemami, jest także możliwość, że... mogę zostać zaarrestowany... na jakiś czas... więc...

- Właśnie dlatego chcę, żebyś tu został. Chcę, żebyś był ze swoją rodziną, dopóki sprawa się nie rozwiąże.

Nie odpowiedział.

Marcy odetchnęła głęboko.

- Posłuchaj, Ben, rozumiem, dlaczego wyjechałeś. Twoja żona stała się kłopotliwa, ludzie zaczęli naśmiewać się za twoimi plecami. Zrobiłeś więc to, co zrobiłby każdy egocentryczny samiec. Pokazałeś im „Widzicie, chłopaki, zostawiłem tę ścierkę”. O to chodziło?

- Powiedziałem ci, że twoja przeszłość to twój problem - zaprotestował niepewnie. - Ale moja nie. Wyjechałem, żeby zaoszczędzić tobie zakłopotania.

- Gówno prawda. - Stała tuż koło łóżka i pochyliła się nad nim. - Co czujesz do mnie? Tak w głębi serca.

- Kocham cię.

- Więc pieprz cały świat, a szczególnie pieprz to, co było. Ucieknijmy stąd.

Pokręcił przecząco głową.

- Otrzymałem rozkaz stawienia się pojutrze w Forcie Hamilton.

- To się nie stawisz. Masz paszport?

- Tak...

- To zmykaj, na miłość boską. Uciekaj, póki jeszcze możesz. Ja załatwię tu wszystkie sprawy finansowe. Upoważnię Phila, żeby kierował naszymi interesami. Za dom uda nam się dostać parę groszy. Po kilku miesiącach David i ja dołączymy do ciebie.

- Dokąd mamy pojechać?

- A kogo to obchodzi dokąd. W jakiegokolwiek miejsce, byle tylko zostawili nas w spokoju.

- Jestem Amerykaninem. Tu jest moje miejsce.

- Ostatnim schronieniem patrioty - zachnęła się - jest kraj, który nie stosuje ekstradycji.

Ben uśmiechnął się ponuro. Przez chwilę przyglądał się żonie, ich oczy spotkały się.

- Do boju czy w nogi? Oto jest pytanie. Myślę, że raczej do boju.

Usiadła znowu na skraju łóżka.

- Pozwól, że o coś cię zapytam. Gdyby to mnie groziło więzienie, czy zdecydowałbyś się wyjechać z kraju?

- Tak.

- No cóż, ja jestem skłonna z tobą jechać. Nie zmuszasz mnie do tego. Ja sama ci to zaproponowałam. Nigdy nie wykorzystam tego przeciwko tobie.

- Łatwo ci teraz mówić.

- Ben, dlaczego chcesz zostać?

- Jestem optymistą. Wierzę, że wygram.

- Powiedziałeś mi kiedyś, w dniu, gdy to wszystko się zaczęło, że to będzie wojskowa zabawa, zgodnie z zasadami ustalonymi przez nich. Dobrze to przewidziałeś. Nie zapominaj, że to twoje własne słowa.

- Pamiętam trochę prawo wojskowe i uważam, że jest całkiem mądre.

- Wiesz, co ja myślę? Myślę, że wysłano już do komendanta w Leavenworth instrukcje, żeby przygotował dla ciebie celę.

- Jeśli tak się stanie - Tyson odchrząknął - po wyjściu z niej będę musiał odplacić swoje długi społeczeństwu. A potem dopiero wrócę do normalnego życia.

- Jakiemu społeczeństwu? Społeczeństwo guzik obchodzi, co zrobiłeś, czy nie zrobiłeś w jakimś ciemnym kraiku dwadzieścia lat temu. Połowa tego narodu nie dba za grosz, czy jesteś winny, a druga połowa jest zachwycona, że załatwiłeś stu kitajców w jeden dzień.

- Nie, ty nie mówisz o moim kraju.

- Boję się, że jednak tak. - Przyjrzała mu się z uwagą. - Ten kraj chce krwi biednego Picarda, nie twojej.

- Bzdura.

- Naprawdę? Nie jesteś na bieżąco.

- Mówisz tak, jakbyś należała do tej milczącej większości sprzed dwudziestu lat.

- Ocknęłam się. Właściwie to zdarzyło mi się coś dziwnego jakiś tydzień temu. Siedziałam w hotelowym barze z Glorią Jordan, matką Melindy. Nie był to jeden z tych reakcyjnych pubów dla inteligencji. Za cztery zielone drinka tam nie kupisz. Takie miejsce dla przyjezdnych i miejscowej śmietanki. Jak myślisz, o czym rozmawiano przy barze?

- O upadkach lub wzlotach scen broadwayowskich.

- Mylisz się. O tobie.

- Żartujesz?

- Wszyscy byli zgodni co do tego, że jesteś winny, ale „kogo to obchodzi”. A poza tym „trzeba zrozumieć sytuację, w jakiej byłeś”. Kilka osób sugerowało nawet, że można cię uznać za niewinnego w wyniku chwilowej utraty poczytalności.

- Nie było w tym nic chwilowego. Nadal jestem twoim mężem.

- Jeden z dżentelmenów zasugerował, że powinieneś otrzymać medal, chociaż nie bardzo potrafił wskazać, który by się najlepiej nadawał.

- Otrzymałem już za tę właśnie akcję Wietnamski Krzyż Odwagi. Nie można przesadzać.

- Jedna z pań poważnie wątpiła, czy tak przystojny mężczyzna byłby zdolny do podobnego czynu.

- Czy wzięłaś od niej numer telefonu?

- Chodzi o to, Tyson, że jeśli była to wiarygodna próbka społeczeństwa - a są miejsca, gdzie znalazłbyś jeszcze szersze poparcie - to zdaniem opinii publicznej zostałeś źle potraktowany niezależnie od tego, czy ty i twoi żołnierze wymordowali tę setkę mężczyzn, kobiet i dzieci. A Picarda mają za kawałek gówna.

- Biedny Picard. A co ty robiłaś w barze?

- Upijałam się.

- Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: „szukałam swojego psa”. I po czyjej stronie stanęłaś?

- Kusilo mnie, by wygłosić mój standardowy wykład na temat niemoralności wojny wietnamskiej, ale przypomniałam sobie, że nie wolno mi zeznawać przeciwko własnemu mężowi. Więc wzięłam Glorię pod ramię i wymknęłyśmy się stamtąd.

- Zanim zostałaś rozpoznana i zanesiona do domu na ramionach tłumu przez całą Main Street.

- Czułam się dość skrępowana. Chodzi mi o to, że była ze mną Gloria. - Pomasowała policzek w zamyśleniu. - Ale opinia publiczna nie uniewinni cię, tak samo, jak nie skaże Picarda. To nie ten rodzaj demokracji.

- Chyba nie.

- Ktoś mi mówił, że federalni agenci pilnują domu Picarda - powiedziała spoglądając na swego męża - żeby go chronić. Wiedziałaś o tym?

- Nie. Skąd miałbym wiedzieć? - Ale właściwie mógł się domyślić.

Picard był zbyt spokojny, kiedy się z nim witał, musiał mieć za plecami jakąś ciężką artylerię na zawołanie. Interesujące. Benowi trudno było przez cały czas pamiętać, że nie jest to tylko jego sprawa osobista, ale problem o zasięgu narodowym. Za sznurki pociągali niewidoczni ludzie, tacy jak Chet Brown, pojawiający się na scenie tylko przez chwilę, a potem usuwający się w cień. Musiał ich być cały legion.

- Czy nas ktoś pilnuje? - zapytał.

- Jeśli tak - wzruszyła ramionami - to nie po to, by chronić przed rozszalałym tłumem. Nas niepokoił tylko dziennikarze, nikt poza tym nam nie groził. Czy to mówi ci coś na temat tego kraju?

- Że jestem niewinny, dopóki nie udowodnią mi winy.

- A jednak Picard jest winny. Winny zbrukania imienia bohatera wojennego. Ty, mój

przyjacielu, jesteś świętą krową. Walczyłeś zaten kraj, byłeś ranny w bitwie, a teraz jesteś prześladowany przez niewdzięczne wojsko i uprzedzoną prasę. Takie jest właśnie ogólne odczucie. Choć, jak oboje wiemy, prawda jest taka, że rząd wykonuje, co do niego należy, mimo że sprawa jest niewdzięczna. Prasa, mimo wszystkich popełnionych przez nią błędów, widzi, że rząd nie traci zimnej krwi.

- Po czyjej stronie ty jesteś? - zapytał.

- Twojej, niech to cholera. - Przez chwilę zastanawiała się, a potem powiedziała cicho: - Testem na przekonania jest nasze zachowanie w momencie, gdy zostajemy zamieszani w sprawy osobiście. Gdybym czytała o takiej historii jak twoja, chciałabym, żeby cię sądzono i skazano. Ale jesteś moim mężem i kocham cię. Dlatego mówię, że powinieneś uciekać, umknąć prawu, ponieważ... ponieważ boję się, że możesz być winny... - odwróciła się.

Ben wiedział, że jest na skraju łez.

Chwilę odczekał.

- Jakoś nie umiem wyobrazić sobie, by Marcy Clure Tyson pomagała komuś podejrzanemu o zbrodnię wojenną i przez to stawała się współwinną. Ale masz rację: jeśli podejrzany jest człowiekiem, którego kochasz, wtedy musisz wybierać. Jestem zaszczycony, szanowna pani. Ale nie ucieknę. Uciekałem i uciekałem przez dwadzieścia lat, ścigany przez setkę krwawych duchów. Będą za mną gonić do dnia mojej śmierci. To jest moja kara na ziemi. Nie wiem, co szykują po drugiej stronie, ale mam nadzieję, że kiedy wreszcie się spotkamy, okażą mi łaskę.

- Przestań. Przestań.

- No cóż, teraz przynajmniej mogę poddać się systemowi prawa, który sami stworzyliśmy. Tak jak powiedziałem, moją karę już odbywam i cokolwiek wojsko mi zrobi, będzie bez znaczenia..

- Dla ciebie. Ale nie dla mnie - w jej głosie zabrzmiała lodowata nuta. - Nie będę na ciebie czekać - poinformowała go.

Tyson poczuł grudę rosnącą mu w żołądku, ale jego głos nadal brzmiał pogodnie:

- Oto moja dziewczynka.

- Nie będę czekać na głupca - dodała.

Nie odpowiedział.

Marcy spuściła głowę w zamyśleniu.

- Powiedziałaś: do boju czy w nogi. To nie jest jedyny wybór. Można jeszcze czekać biernie, aż ktoś zastuka do drzwi w środku nocy...

- Och, oszczędź mi tych kafkowskich koszmarów. Mam dość swoich. To jest Ameryka. W nocy do drzwi pukają tylko pijani. I wcale nie czekam jak przerażony na śmierć królik. Walczę.

- Może w głowie. Nikt nie widzi żadnych efektów twojej bitwy. Phil Sloan...

- Pieprzę go.

Odsunęła się od niego.

- Skąd twój optymizm? Czy major Harper powiedziała coś uspokajającego?

Nazwisko Harper zaskoczyło go, choć właściwie nie powinno.

- Nie - powiedział. - Ale wyczuwam, że wojsko ma niewiele na poparcie zarzutów. Przypuszczam, że może zaproponować niewysuwanie oskarżenia.

- Naprawdę? - Marcy wstała, podeszła do toaletki i otworzyła górną szufladę.

Odsunęła jakieś ubrania i wyciągnęła gazetę.

- Nie chciałam, żeby David natknął się na te oszczerstwa. - Trzymała w ręku egzemplarz „American Investigator”. - Widziałeś?

- Prawdę mówiąc, w moim sklepie właśnie zabrakło. Zamiast tego kupiłem papier toaletowy.

Rzuciła mu gazetę na kolana.

- Wiem, że to szmata, ale wydaje się, że ci dziennikarze mają dostęp do poważniejszych wydawnictw. Co gorsza, te bardziej szanowane wydawnictwa kopią w podrzuconych im tematach głębiej, żeby dotrzeć do jakiegokolwiek ziarna prawdy.

Ben spojrzał na artykuł, który mu pokazała. Był zatytułowany: „Separacja Tysonów”. Podtytuł głosił: „Major Harper nie jest przyczyną, zeznania przyjaciół”. Bardzo chytrze, pomyślał Tyson.

Patrzył na zdjęcie przedstawiające go razem z Marcy. Mieli na sobie wieczorowe ubrania i uśmiechali się raczej głupawo. To było zdjęcie zrobione podczas balu na rzecz fundacji. Obok zamieszczono fotografię Karen w mundurze.

- Przynieść ci coś? - zapytała Marcy.

- Może szklanę zimnej wody? - Spojrzał na nią.

Marcy wyszła.

Przeleciał wzrokiem artykuł. Przeczytał kilka przypadkowych linijek: „Marcy zamieszkała w modnym East End na Long Island, podczas gdy Ben prowadzi życie kawalera, zajmując mieszkanie w eleganckiej części Manhattanu, po wschodniej stronie. Przyjaciele mówią, że nie przeprowadzili formalnej separacji, po prostu »nie żyją razem«”. Przeskoczył wzrokiem o kilka linijek w dół kolumny. „Widziano go w jej towarzystwie, popijającego drinka w barze ekskluzywnego waszyngtońskiego hotelu Cztery Pory Roku. Recepcjonista hotelu nie potwierdził, że Tyson był tam zameldowany, ale tak mówili inni pracownicy. Nie wiemy, kto zapłacił rachunek za pokój Tysona ani za drinki, które wypił z major Karen Harper, mamy tylko nadzieję, że nie podatnicy”.

- Ja również - powiedział Ben na głos. - Ależ mają tupet ci ludzie pokazujący się i wydający pieniądze na drinki w ekskluzywnych barach. - Przeczytał kilka następnych zdań, które odsłoniły mu wreszcie, jaką to wiadomość „American Investigator” próbował przemycić. Wykorzystywanie amerykańskiego podatnika było marginalną sprawą, chodziło raczej o to, co mogło łączyć Tysona z Harper. Odrzucił gazetę, potem otworzył szufladę w nocnym stoliku i znalazł zostawioną tam kiedyś paczkę papierosów. Zapalił jednego.

Marcy wkroczyła do pokoju z tacą, na której stała szklanka wody i kieliszek białego wina. Podała mu wodę.

- Zabieram cię do szpitala w Southampton.

- Dlaczego? Chcesz mnie wykastrować?

- To wcale nie byłby taki zły pomysł. - Wzięła gazetę i schowała ją znowu do szuflady. Wypiła łyk wina, a potem powiedziała: - Ciekawy kawałek.

Ben wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałam, że śledztwo w sprawie masowej zbrodni przeprowadza się w barze.

- To lepsze miejsce niż pokój przesłuchań - odparł.

- Przypuszczam, że próbowałaś ją ugłaskać. Roztoczyłeś cały swój czar, co?

Tyson wiedział, że w tym, co żona mówi, nie ma sarkazmu ani nagany. Tylko uznanie możliwego wytłumaczenia jego kontaktów z Karen Harper.

- Powiem ci coś, czego nie przeczytasz w żadnej tego typu szmacie ani w ogóle nigdzie - powiedział. - Nawet gdybym kompromitując tę kobietę mógł ułatwić sobie sprawę w

sądzie, nie zrobiłbym tego. Ani jej, ani tobie, ani sobie.

- A jednak ten cały artykuł, choć może niewiele wart, wskazuje na pewne nieprawidłowości proceduralne. Zobaczysz, że „Washington Post” powtórzy tę tezę, choć w elegantszej formie. - I dodała: - Ale jeśli chcesz iść tą drogą, masz na to moje warunkowe pozwolenie. - Uśmiechnęła się.

- A jaki jest warunek?

- Że ci się powiedzie.

Ben wypił prawie całą wodę.

- Czy ona jest miła? - zapytała Marcy spokojnie.

Tyson słyszał to pytanie, z jego podskórnym znaczeniem, wystarczająco wiele razy, by znać właściwą odpowiedź.

- Jeśli chodzi o urodę, to, jak sama widzisz, nie jest w moim typie. Poza tym dość prostacka, niesympatyczna, no i straszliwie oficjalna. Typowe... dla niektórych ludzi, którzy od niedawna dysponują władzą.

Rzucił żonie ukradkowe spojrzenie nad brzegiem szklanki.

Wydawała się uspokojona jego słowami, a jeśli nawet przypominała już sobie taką odpowiedź z przeszłości, nie dała tego po sobie poznać.

- No cóż - powiedziała - dopóki to jest sprawa służbowa, rób to, co musisz robić. Ja w pracy stosuję nie tylko takie metody. - Uśmiechnęła się złośliwie.

Ben odstawił szklankę i skończył papierosa. Niedopałek wrzucił do szklanki.

- Co skłoniło cię do złożenia wizyty Picardowi?

- Ciekawość. - Wzruszyła ramionami. - Patrzyłam na jego dom po drugiej stronie zatoki i pewnego dnia, kiedy żeglowałam sama, po prostu wysiadłam ze skifa na jego podwórku. Ścinał trawę. Przedstawiłam się. Porozmawialiśmy trochę, potem odpłynęłam.

- To znaczy, że gdyby mieszkał w głębi lądu, nigdy by nie doszło do tego spotkania?

Popatrzyła na męża.

- Czy tam właśnie byłeś dzisiaj?

- Tak. I poczułem się cholernie głupio, kiedy okazało się, że ty już złożyłaś mu wizytę. Pewnie pomyślał, że cała rodzina po kolei będzie do niego wpadać na przeszpiegi. Może

ściągnę matkę z Florydy. Walnie go łaską w głowę.

- Mogę odwiedzać każdego, kogo tylko mam ochotę. Nie wiem, czy pamiętasz, ale mnie ta sprawa także dotyczy.

- Mam nadzieję, że nie prosiłaś go, żeby mi wyświadczył jakąś przysługę podczas zeznań.

- Nie prosiłam. - Pokręciła głową.

- To dobrze. - Poprawił sobie poduszkę pod głową. Nie znosił tego uczucia fizycznej niemocy. Rozumiał, dlaczego niekiedy kalecy ludzie bywali niezdolni. - Zeznania Picarda nie są takie ważne - powiedział. - Więc nie musisz być dla niego miła, kiedy go spotkasz na mieście. Możesz go nawet zwymyślać.

- W porządku. Choć nie sędzę, że bym go spotkała.

Ben spojrzał na nią. Zachowywała się jakoś dziwnie. Ale może on to źle odbierał, ponieważ był taki zmęczony.

Marcy usiadła na taborecie przy toalecie i zrzuciła z nóg sandały. Przez chwile przyglądała się swoim palcom, trzymając kieliszek z winem na kolanach.

Tyson uznał, że chce teraz zostać sam. Udało mu się w przekonujący sposób ziewnąć.

- Mam zamiar się zdrzemnąć. Czy mogłabyś zgasić światło?

Marcy nie poruszyła się.

- Chcę z tobą porozmawiać o Davidzie. Zainteresował się tą dziewczyną.

- Dobrze. Wygląda miło. Ma wspaniałe cycki.

- Chyba z nią sypia.

- Świetnie.

- To nie jest... chodzi mi o to, jak powinniśmy na to zareagować?

- No cóż, gdybyśmy mieli córkę, prawdopodobnie byśmy byli przygnębieni, wściekli i zdenerwowani. Kiedy się ma syna, to wszystko jest cudownie.

- Bawisz się ze mną. A to poważna sprawa. Chłopak ma szesnaście lat. Poza aspektem moralnym są jeszcze praktyczne. I psychologiczne.

- Dobrze. - Ben wiedział, że czasami odwołanie się do ojcowskich obowiązków było

metodą przyciągnięcia błędzącego partnera na łono rodziny. - Rozmawiałaś z nim?

- No... nie. To leży w obszarze ojciec - syn.

Tyson zachował kamienną twarz.

- Nie rozumiem.

- Na pewno rozumiesz. O takich sprawach ojciec powinien dyskutować z synem. Jeśli ja bym podjęła temat, byłoby to dla nas obojga krępujące.

- Dla mnie też może być krępujące pytanie go, czy się pieprzy ze swoją dziewczyną. A w ogóle dlaczego myślisz, że to robi?

- No... takie sprawy daje się wyczuć - powiedziała.

- Naprawdę? Jak?

- Och, przestań być takim dupkiem, Ben. Zawsze wiadomo, kiedy ludzie to robią.

- Dopiero teraz mnie zaniepokoiłaś.

- Porozmawiasz z nim?

- Tak. Jutro. Na łodzi.

- Co do tej wyprawy na rekiny, to jeszcze zobaczymy.

- Popłynę.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Rekin zjadł moją babcię. A jeśli już mówimy o seksie, to zamknij drzwi.

Marcy zawahała się, potem wstała i podeszła do drzwi.

- Myślałam, że jesteś zmęczony.

- Byłem, ale mówiłaś o takich świństwach.

Uśmiechnęła się.

- Masz w tej chwili przestać myśleć o Melindzie Jordan, Tyson. - Zamknęła drzwi i podeszła w stronę łóżka. - Czy chcesz zobaczyć naprawdę świetne cycki?

Ben ściągnął szlafrok i rzucił go na podłogę.

- Chcesz zobaczyć moją wojenną ranę?

Marcy uśmiechnęła się leniwie, rozpięła zamek błyskawiczny kombinezonu i zsunęła jego górną część. Na tle ciemnobrązowego torsu jej biały biust sterczał dumnie.

Tyson poczuł, jak twardnieje mu penis.

- Chcesz zobaczyć coś więcej? - zapytała.

- Całą ciebie.

Spuściła kombinezon do kolan i zsunęła go stopami. Ben wpatrywał się w jej ciemne łonowe włosy, które wydawały się zakrywać większy obszar ciała niż majtki kąpielowe, w których się opalała. Podeszła do łóżka.

- Jak chcesz to zrobić?

- Kobieta na górze, jak nazywają to w twoim poradniku. Nie sądzę, żebym zdołał podnieść moje kolano nawet w takim celu.

- Ale jesteś pewien, że chcesz to robić?

- Jasne. O tym właśnie myślałem tonąc.

Weszła na łóżko i uklękła nad nim.

- Nie za ciężko?

- W porządku. - Sięgnął do niej i zaczął pieścić jej biust, potem jedną dłoń zsunął niżej i poczuł pod palcami jej seks. - Minęło dużo czasu, Marcy.

Skinęła głową.

- Dobrze mi. - Położyła dłoń na nasadzie jego męskości, a drugą drażniła twardniejący penis. - Kiedy już będzie tak sztywny jak twoje kolano, zabierzemy się do roboty.

Uśmiechnął się czując wilgoć na palcach. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

- Słone.

Włożył swój wilgotny palec do własnych ust.

- Bardzo słone.

- Świnia.

Poczuł, jak jej ręka prowadzi go, i wszedł w nią. Przysunęła się bliżej, tak by znalazł się w niej cały, a potem nadal klęcząc zaczęła się rytmicznie poruszać.

- Ben... o, mój...

Pieścił jej plecy, piersi, potem stopy.

Marcy wyciągnęła się, przykrywając go całym ciałem. Przytulili się. Wzmogła tempo, słyszał, jak oddycha coraz głębiej.

- Och, Boże - wymruczała - tak tęskniłam za twoim ptaszkiem.

- Mój ptaszek tęsknił za tobą. - Czuł, że ona dochodzi - nie w jednym spazmie, tylko w małych drzeniach rozdzielonych chwilami przerwy.

Jak morze, pomyślał. Pierwotny ocean, z którego wyszliśmy, słone przypiływy księżycy, które tkwią w nas przez cały czas. Nagle wciągnęła głęboko powietrze, jej ciało zeszywniało, a potem opadło bezwładnie. Uniósł się gwałtownie w górę i poczuł przeszywający ból w kolanie, ale nie przestał się unosić, ból walczył o lepsze z namiętnością. Na chwilę prawie zniknął, gdy Ben odczuł szczyt rozkoszy.

Oddychał powoli i spokojnie. Głaskał jej pośladki i czuł pot, który pojawiał się, gdy jej orgazm był taki silny.

- Nic ci nie jest? - wyszeptała mu do ucha.

- Nic.

- Boli?

- Trochę.

Przekreśliła się ostrożnie na bok.

- Jesteś blady.

- Cała krew odpłynęła na południe. Daj mi chwilę odsapnąć.

Marcy zsunęła się z łóżka i poszła do łazienki. Wróciła z aspiryną i tubką maści przeciwko kontuzjom.

Tyson połknął aspirynę, a żona wmasowała mu maść w kolano. Zapadł w drzemkę, ale zdawał sobie sprawę, że wyszła, a potem znowu wróciła z miską i gąbką. Umyła jego męskość, a potem przetrzała gąbką całe ciało. Położyła się obok i naciągnęła na nich prześcieradło.

- Szok i przechłodzenie. Musisz odpocząć i ogrzać się.

- Obudź mnie o czwartej.

- Dobrze. - Przytuliła się do niego i kiedy usypiał, czuł wokół siebie jej ramiona.

Marcy odczekała chwilę, potem wstała z łóżka. Postawiła budzik na podłodze, zgasiała lampę, włożyła szlafrok i podeszła do drzwi. Odwróciła się i spojrzała na swego męża widocznego w smudze światła padającej przez drzwi. Nigdy nie sypiał na wznak i fakt, że tak teraz leżał, wprawiał ją w zakłopotanie. Przyglądała się, jak jego pierś podnosi się i opada. Zastanawiała się, dlaczego najwspanialszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek знаła, musi cierpieć za przeszłe grzechy swojego kraju. Wyszła z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Tyson otworzył oczy i mimo ciemności zobaczył sufit. Od strony zatoki dochodziły go krzyki mew i sójek, a potem odezwał się róg mgielny jakiejś łodzi. Panujący mrok rozjaśniał pierwszy dotyk świtu, widać już było zarys drzew.

- Żyję - powiedział. - Jestem w domu.

Rozdział 25

Ben Tyson jechał wzdłuż Shore Parkway kierując się na zachód. Dach triumfa był spuszczone, a popołudniowe słońce świeciło jasno na zachodnim niebie. Po lewej ręce widział wieże do skoków spadochronowych na Coney Island, a za sobą ciemny błękit Atlantyku. Popołudnie w sam raz na przejażdżkę.

Wybrał ładny brązowy garnitur z cienkiej wełny, choć wojsko wymagało od niego raczej koloru zielonego, a konkretnie munduru. - No cóż - powiedział na głos - może nie zauważą. Radio nadawało stare, słynne przeboje. Bobby Darin śpiewał „Gdzieś, za morzem”, a Tyson mruczał razem z nim.

Przypominał sobie dzień, kiedy pierwszy raz meldował się do służby czynnej, 15 września 1966 roku. Do wojska zaciągało się tysiące młodych ludzi, procedura rekrutacji była dość uproszczona, on sam miał zgrupowanie na parkingu w miasteczku akademickim Adelphi. Stamtąd wyczarterowane autobusy zabierały rekrutów do centrum szkolenia

wstępnego na ulicę Whitehall na dolnym Manhattanie. Przypomniawszy sobie, że kazano mu stawić się na parkingu o szóstej rano. I do dziś nie potrafił dojść, czy powodem tego było umiłowane przez armię rozpoczynanie dnia o świcie, czy też raczej ktoś w wojsku doszedł do wniosku, że lepiej będzie zabrać tych wszystkich chłopców pod osłonę porannej szarówki.

Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Powinien zjawić się w Forcie Hamilton o piątej, wystarczająco wcześnie, aby zdążyć zameldować się u oficera dyżurnego, ale na tyle późno, by ominąć całą drabinę urzędniczą poczynawszy od lekarza, poprzez oglądanie jego karty identyfikacyjnej, do sprawdzania zarobków i całego mnóstwa innych szczegółów, które mgliście zapamiętał jako dość męczące. Spojrzał na własne ręce oparte na kierownicy, a potem na prędkościomierz. Pokazywał setkę, a ponieważ nie było pośpiechu, Tyson zwolnił trochę i skręcił w boczną dróżkę. W radio rozbrzmiewał standard „Mr Tambourine Man” w wykonaniu Boba Dylana.

Jakiś kilometr w przodzie rozpościerał się monumentalny most Verrazano łączący Fort Hamilton poprzez cieśninę Narrows aż po Fort Wadsworth. Ruch kierował się na obwodnicę, a nad głową skrzeczały mewy. Wjazd do Fortu Hamilton był coraz bliżej. Tyson wrzucił niższy bieg i podjechał gwałtownie w górę. Potem zjechał w dół, kilka razy skręcił w prawo i znalazł się przed główną bramą. Zatrzymał się na środku drogi, odetchnął głęboko i podjechał do budki wartownika.

Z budki wyszła kobieta o krótkich, rudych włosach i nosie jak kartofel, w mundurze żandarmerii. Ben wręczył jej rozkaz stawienia się. Spojrzała na niego i oddała mu papiery.

- Ma się pan zameldować u oficera dyżurnego w kwaterze głównej. Czy wie pan, gdzie to jest?

Tysonowi wydało się, że słyszy w jej głosie nutę opryskliwości. Gdyby był cywilem, nie zwróciłby na to uwagi. Ale teraz spojrzał na jej plakietkę identyfikacyjną i powiedział:

- Następnym razem, szeregowo Neeley, będę miał naklejkę oficerską na samochodzie, a pani będzie mi salutować. A kiedy zatrzymam się, żeby coś pani powiedzieć, proszę się zwracać do mnie „sir”.

Młoda kobieta przyjęła pozycję na baczność.

- Tak jest, sir.

Ben wcale nie poczuł się głupio. To jak z jazdą na rowerze, pomyślał. Kiedy człowiek się raz nauczy, już nie zapomina.

- Tak trzymać - rzucił.

Zasalutowała. Automatycznie podniósł rękę. To był jego pierwszy salut po prawie

dwudziestu latach. I wjechał przez bramę przy Lee Avenue. Po jego prawej ręce stały poustawiane zgodnie z rokiem produkcji działa artyleryjskie. Po lewej widniał stary, biały farmerski dom z tabliczką informującą, że był to kiedyś dom Roberta E. Lee. Jadąc uświadomił sobie, że nie wie, gdzie znajduje się budynek dowództwa, ale był pewien, że wreszcie go znajdzie. Zauważył, że teren jest niezwykle porządnie wysprzątny, na ziemi nie było ani jednego papierka. Przypomniawszy sobie alarmy po śniadaniu, kiedy cały garnizon zamieniał się w brygadę sprzątaczy.

Zauważył, że mundury zmieniły się. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili stroje przypominające te, które kiedyś dozwolone były jedynie w warunkach polowych południowo-wschodniej Azji. Usiłował sobie wyobrazić samego siebie tak ubranego, ale nie potrafił.

Podjechał do budynku, na którym widniał napis: DOWÓDZTWO GRUPY. Zajeżdżał na parking dla gości i wyłączył silnik. Budynek był dwupiętrowy, prostokątny, przypominał szkołę podstawową z lat pięćdziesiątych.

Tyson poprawił krawat, sięgnął po teczkę i wysiadł z samochodu. Jego kolano było wciąż sztywne i przeszkadzała mu świadomość, że pociąga nogą. Wszedł przez przeszklone drzwi do holu pomalowanego na olejno, co jeszcze pogłębiało wspomnienia związane ze szkołą. Jednak kamienne płyty, którymi wyłożono podłogę, były wypastowane i wypolerowane jak lustro, co mogło się zdarzyć tylko w jednostce wojskowej.

Podszedł do okienek przypominających dworcowe. Kolejna młoda kobieta, w stopniu sierżanta, spojrzała na niego.

- Słucham, sir.

Ben wsunął przez okno swoje rozkazy. Kobieta zerknęła na nazwisko.

- Och...

- Czy ktoś mnie oczekuje?

- Tak, oczekiwaliśmy pana. - Zawahała się, zauważyła jego cywilne ubranie, ale nic nie powiedziała.

Ben pomyślał, że zameldowanie się bez munduru będzie tego dnia jego najmniejszym problemem. Kobieta podsunęła mu księgę wpisów i czarne, urzędowe pióro. Przez chwilę wahał się, wreszcie sięgnął po nie i podpisał. Pióro plamiło i skrzypiało.

- Witam w Forcie Hamilton, poruczniku - powiedziała sierżant. Oddała mu papiery. - Proszę przejść do biura adiutanta, schodami i od razu po prawej.

- Dziękuję.

- Tak jest, sir.

Przynajmniej, pomyślał idąc po schodach, nikt tu nie życzył mu dobrego dnia. Samo to rekompensowało w dużej mierze całą sprawę. Wszedł na górę i stanął przed otwartymi drzwiami z napisem: ADIUTANT. Wkroczył do małego pomieszczenia, w którym znajdowało się czworo młodych żołnierzy: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Obecność tylu dam na terenie jednostki nieco go peszyła. Choć jednocześnie wnosiły one nieco realizmu do otoczenia, które dawniej było całkowicie nienaturalne.

Jeden z mężczyzn, specjalista czwartego stopnia, wstał od swojego biurka.

- Czym można panu służyć?

- Melduje się porucznik Benjamin Tyson.

Mężczyzna spojrzął ponad jego ramieniem, jakby oczekując, że tam zobaczy jakiegoś oficera.

- Och! Tak - powiedział wreszcie.

- Właśnie. - Ben zdawał sobie sprawę, że reszta obecnych gapi się na niego.

Wręczył młodemu człowiekowi rozkaz.

- Proszę za mną, poruczniku - polecił mężczyzna.

Tyson wszedł za nim do małego pomieszczenia biurowego, z tabliczką: KAPITAN S. HODGES, ASYSTENT ZASTĘPCY DOWÓDCY JEDNOSTKI. Biuro było puste zarówno jeśli chodzi o obecność mebli, jak i ludzi.

- Zawiadomię adiutanta, że pan przybył - powiedział żołnierz. - Może pan poczekać tutaj, w pokoju kapitana. - I wyszedł przez drzwi łączące pokój z drugim pomieszczeniem.

Ben podszedł do okna. Widział wielki most, jego masywne filary z szarej stali całkowicie zdominowały widok. Po drugiej stronie cieśniny Narrows most był umocowany na brzegu wyspy Staten, tam znajdował się Fort Wadsworth, posiadający podobnie jak Hamilton brzegową jednostkę artylerii, mającą za zadanie chronić port nowojorski. W dziewiętnastym wieku, pomyślał Tyson, obrona była znacznie prostsza. Obcy statek wojenny wpływał do cieśniny, a żeby nikt nie miał wątpliwości, czy to przyjaciel, czy wróg, wywieszał flagę. Wtedy żołnierze broniący wybrzeża zaczynali strzelać. Na to statek odpowiadał ogniem. Kamienne forty były bardzo malownicze, statki również. Obrona portu Nowy Jork musiała być, pomyślał, pyszną zabawą.

Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia otworzyły się i do pokoju wpadł oficer.

- Tyson?

Ben odwrócił się od okna. Na mundurze mężczyzny widniały wszystkie stosowne informacje. Na plakietce z nazwiskiem napisane było „Hodges”, ranga - kapitan, adiutant, żadnych medali ani odznaczeń. Mężczyzna miał jakieś dwadzieścia parę lat, nosił się z przesadną sztywnością i wyglądał niesympatycznie, można wręcz powiedzieć, że antypatycznie. Tysonowi nie podobało się powitanie i miał wielką ochotę przyłożyć swoją pięść do butnej twarzy kapitana. Ale zawahał się, a potem z dużą i nie ukrywaną niechęcią przyjął pozycję na baczność i zasalutował.

- Porucznik Tyson melduje się.

Hodges oddał niedbale salut i wyciągnął rękę po papiery.

- Tu jest napisane, że ma się pan zameldować w mundurze.

- Nie posiadam munduru.

- A zna pan jakiegoś fryzjera?

- Tak... znam.

- Jak pan śmie meldować się w takim stanie? - Wymierzył paluch prosto w Tysona.

Ben nie odpowiedział.

- Słucham.

- Nie mam nic na usprawiedliwienie, sir.

- Tak właśnie myślałem. - Kapitan zorientował się, że to Tyson stoi za jego biurkiem, podczas gdy on, Hodges, przed nim. - Proszę stanąć tutaj - powiedział. Zamienił się miejscem z Tysonem, po czym usiadł w obrotowym fotelu. - Zanim zamelduje się pan u zastępcy dowódcy, ma pan mieć na sobie odpowiedni mundur i regulaminowo obcięte włosy.

- Chcę widzieć się z zastępcą dowódcy teraz.

Twarz adiutanta spurpurowiała.

- Co?

- Kapitanie, do służby czynnej mam się zameldować w południe. To jest nieoficjalna wizyta. Chcę zamienić słowo z zastępcą dowódcy.

Hodges wyglądał, jakby usiłował sobie przypomnieć, co w takim przypadku stanowi

regulamin. Patrzył na Tysona.

Ten odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

Kapitan kiwnął sam do siebie głową, jakby dochodząc do wniosku, że być może pokazanie Bena adiutantowi w niekorzystnym świetle niekoniecznie jest złym pomysłem. Wstał.

- Proszę tu poczekać. - I zniknął w sąsiednim pokoju.

Tyson odetchnął. Przez jego umysł przebiegły bardzo gwałtowne sceny brutalnych aktów wykonywanych na osobie kapitana S. Hodgesa. Ale musiał przyznać, że sam nieco sprowokował go swym wyglądem. Równie dobrze mógł się pojawić na bosaka, w brudnych dżinsach, z włosami do ramion i w podkoszulku z napisem: PIEPRZ WOJSKO. Jednak adiutant nie wykazał nawet minimum grzeczności wymaganej w wojsku od kogoś zwracającego się do oficera niższego rangą.

Ben rozejrzał się po spartańskim biurze. Na ścianach wisiały: dyplom Hodgesa z West Point, przydział do jednostki i kilka zaświadczeń o ukończonych kursach. Zauważył też jakąś kartkę maszynopisu oprawioną w ramki. Podszedł bliżej. Tekst zatytułowany był: „Wyciąg z przemówienia pożegnalnego generała MacArthura w West Point”. Tyson czytał:

„Czuję na sobie cień. Wchodzę w strefę mroku. Dawne wspomnienia przygasty. Żyłem marzeniami, które mam już za sobą. Wspomnienia tamtych dni są wspomnieniami cudownego piękna, polane łzami, okraszone uśmiechem. Na próżno wsłuchuję się w odgłosy trąbki grającej capstrzyk i bicia w bęben. W moich marzeniach nadal słyszę kanonadę dział, odgłosy bitwy i dziwny, cichy, żałobny szept z pól bitewnych.

Ale zawsze we wspomnieniach powracam do West Point. I zawsze słyszę te trzy słowa: Obowiązek - Honor - Ojczyzna.

Dziś przemawiam do was po raz ostatni, ale chcę, abyście wiedzieli, że gdy przekroczę smugę cienia, moja ostatnia myśl

będzie przy was.

Żegnam was.”

Ben odwrócił się od ściany i zapatrzył się w okno. Dobra, w porządku, pomyślał. Kapitan Hodges, młody absolwent West Point, który musiał mieć jakieś dziesięć lat podczas ofensywy Tet, uważa Benjamina J. Tysona za obrazę nie tylko dla armii, ale także dla narodu i ludzkości.

Zastanowił się nad tym, starając się wyobrazić siebie na miejscu kapitana Hodgesa, i stwierdził, że sam również nie lubi Benjamina Tysona. Czuł ulgę, że wreszcie ktoś okazał mu nie ukrywane moralne potępienie. Podejrzewał, że zanim to wszystko się skończy, może natknąć się na wielu zawodowych żołnierzy podobnych do adiutanta. Wojsko było bardziej czułe na swoim punkcie niż jakikolwiek cywil. Drzwi otworzyły się.

- Pułkownik zobaczy się z panem teraz - wyszczał Hodges.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Tyson.

Kiedy wchodził do pokoju zastępcy dowódcy jednostki, kapitan stał przy drzwiach. Ben wszedł do środka i zatrzymał się, jak było w zwyczaju, w centrum pokoju, twarzą zwrócony do biurka. Zasalutował.

- Porucznik Tyson melduje się.

Pułkownik oddał mu salut nie podnosząc się zza biurka, ale nic nie powiedział.

Tyson usłyszał za sobą kroki wycofującego się Hodgesa i trzask zamykanych drzwi. Mimo że był wciąż sztywno wyprostowany, ze wzrokiem wlepionym przed siebie, udało mu się jednak dostrzec osobę, której się meldował. Pułkownik był dość zwalistym mężczyzną, mniej więcej pięćdziesięcioletnim, resztką włosów na jego głowie była całkiem siwa. Twarz miał ziemistą, a szczęka zwisała mu jak placek maślany. Ben uświadomił sobie, że nawet nie zna jego nazwiska, a co więcej, w ogóle go to nie obchodzi.

- Proszę usiąść, poruczniku - po dłuższej chwili powiedział pułkownik.

Tyson zajął krzesło na wprost biurka.

- Dziękuję, sir.

Nie rozglądał się otwarcie po pokoju, podobnie jakby tego nie zrobił w cywilnym życiu. Zauważył jednak, że pomieszczenie również urządzone jest po spartańsku: metalowe biurko, kilka plastikowych krzeseł, żaluzje w oknach, a na podłodze szare asfaltowe płytki.

Cementowe ściany pomalowane na ten sam kremowy kolor jak reszta budynku. Wspomnił swój pokój w Peregrine-Osaka z większym uczuciem niż kiedykolwiek, gdy tam pracował. Tutaj jednak znajdowało się coś, czego brakowało mu u siebie, ściana za biurkiem zawieszona była pamiątkami z czasów wojny, zdjęciami, zaświadczeniami, różnymi dokumentami opisującymi przeżyta drogę. Uświadomił sobie, że tu wreszcie mógłby powiesić swoje pamiątki. Zrozumiał również, że nie zamierza tego zrobić.

- Czy był pan już kiedyś w Hamilton? - zapytał pułkownik.

Jego głos był ochrypliwy, a zapach cygar, który przenikał cały pokój, tłumaczył ten fakt.

- Nie, sir - odpowiedział Tyson.

- Ale nie miał pan problemu z trafieniem?

- Nie, sir. - Ben spojrzał na niego.

Dostrzegł na mundurze srebrne dębowe liście podpułkownika, a nie orły pełnego pułkownika. Jego wzrok przeniósł się na plakietkę z nazwiskiem na prawej kieszeni: „Levin”. Na biurku stała tabliczka potwierdzająca tę informację: „Podpułkownik Mortimer Levin”.

- Czy dziwi pana, że na tym miejscu siedzi Żyd? - obcesowo zapytał Levin.

Tyson rozważył w myślach kilka możliwych odpowiedzi, ale żadna z nich nie wydała mu się wystarczająco dobra, więc powiedział tylko:

- Sir? - Co było wojskowym sposobem udzielenia odpowiedzi oficerowi wyższemu rangą bez odpowiedzenia mu.

Pułkownik odchrząknął i wetknął cygaro w usta.

- Rozumiem, że jest to wizyta towarzyska.

- Tak, sir. Chciałem się zameldować, ale zmieniłem zdanie po spotkaniu z kapitanem Hodgesem.

- Jestem pewien, że on również musi zweryfikować pewne sądy po spotkaniu z panem.

- Pułkowniku, zastanawiam się, czy nie złożyć oficjalnej skargi na podstawie - Ben odchrząknął - wydaje mi się, że jest to sto trzydziesty ósmy artykuł Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, za sposób, w jaki potraktował mnie kapitan Hodges.

- Naprawdę chce pan to zrobić? - Levin kiwnął z uznaniem głową. - Najlepsza obrona to atak. Ale nie komplikujmy za bardzo sprawy. Może by pan spotkał się z kapitanem w sali gimnastycznej?

Lubię, gdy tam oficerowie załatwiają swoje porachunki. Pięć rund, czteroipółkilowe rękawice, w obecności sędziego.

Tyson spojrzał pułkownikowi w oczy i zobaczył, że nie są to wcale żarty.

- Zgoda - powiedział.

- Dobrze. Posłuchaj, Tyson, do moich obowiązków jako zastępcy dowódcy należy powitanie pana w Forcie Hamilton i zorganizowanie spotkania z pułkownikiem Hillem, dowódcą tej jednostki. Ale szczerze mówiąc, pułkownik Hill nie chce pana tutaj i wolałby raczej się z panem nie spotykać. Lepiej byłoby więc, gdyby pan nie domagał się takiego spotkania, to bowiem może wszystkich wprowadzić w zakłopotanie. Proszę się również nie pojawiać na spotkaniach towarzyskich, na które pan będzie zwyczajowo zapraszany. Wolałbym również, żeby jadał pan oddzielnie. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, sir.

Levin pocierał szczękę, wyglądał na głęboko zamyślonego. Wreszcie podniósł wzrok na Bena.

- Umówmy się, że jednak zameldował się pan teraz, żeby nie musiał pan przychodzić jeszcze raz w mundurze. W porządku?

- Tak jest, sir.

Pułkownik poszperał wśród papierów na biurku i wyciągnął to, czego szukał.

- W instrukcji dotyczącej pańskiej sprawy napisano, że miał pan przynieść paszport. Czy ma go pan?

Tyson zawahał się.

- Tak jest, sir - powiedział wreszcie.

Levin wyciągnął rękę ponad biurkiem.

- Czy mógłbym go zobaczyć?

Ben sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął paszport. Położył go na otwartej dłoni pułkownika. Levin rozłożył go przed sobą na biurku i przekartkował.

- Bywał pan tu i ówdzie.

- Tak jest, sir.

Pułkownik wrzucił paszport do górnej szuflady biurka i zamknął ją. Złożył ręce przed

sobą i spojrzął na Tysona.

- Jakim prawem zabiera mi pan mój paszport? - zapytał Ben.

- Może pan mieć pretensje - wzruszył ramionami Levin - ale takie otrzymałem rozkazy. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych albo Ministerstwa Obrony. Jeśli dostanie pan zezwolenie na wyjazd, otrzyma pan również paszport. - I dodał: - Przyszły instrukcje z Pentagonu, żeby przydzielić pana czasowo do mojego biura. Tak więc jestem teraz pańskim dowódcą. Ponieważ jednak przypuszczam, że nie chciałby pan pracować razem z kapitanem Hodgesem, postaram się znaleźć dla pana coś z dala od tego budynku.

- Tak jest, sir.

Pułkownik odetchnął astmatycznie.

- Czy jest coś, co szczególnie chciałby pan robić? - zapytał.

- Nie. - Tyson sam zdziwił się, że odpowiada tak poirytowanym głosem.

Twarz Levina stwardniała, ale po chwili znowu rozluźniła się. Wreszcie zapalił cygaro i wydmuchał ciemną chmurę w powietrze.

- Wojsko - powiedział - dało mi specjalne upoważnienia. Mam przydzielić panu pracę odpowiadającą pańskim zdolnościom i doświadczeniu. - Stuknął palcem w opasłą teczkę danych personalnych Bena. - Był pan oficerem piechoty.

- Przez niecałe dwa lata... i wiele wody od tego czasu upłynęło. Ostatnio pracowałem jako wiceprezes wielkiej korporacji zajmującej się sprzętem latającym.

- Naprawdę? - Pułkownik utopił swe cygaro w fusach kawy. - Znajdziemy coś dla pana. A tak przy okazji, czy wie pan, ile wynosi pana pensja? Obecnie.

- Nie, sir.

- Otrzymuje pan 1796 dolarów miesięcznie. Czy wezwanie do wojska obniża pański status finansowy?

- Można tak powiedzieć. Prawdę mówiąc, jeśli będę musiał tu pozostać długo, czeka mnie sprzedaż domu, sir.

- Nie sądzę, żeby pozostał pan tu długo. - Levin potarł szczękę. - Ale proszę mnie informować na bieżąco, jak się przedstawia pańska sytuacja.

- Po co, sir?

- No cóż, wojsko, jeśli będzie mogło, pomoże panu. Na przykład możemy udzielić

kredytu związkowego. W porządku?

- Dziękuję.

Tyson wiedział, że zainteresowanie Levina nie jest osobiste. To rząd interesował się jego statusem finansowym. Pułkownik poruszył ten temat, gdyż chciał sprawdzić, jak Tyson zareaguje. W Ameryce, wszystko na to wskazywało, drugą najgorszą rzeczą, która się mogła przydarzyć obywatelowi, po zamknięciu do więzienia, było naruszenie jego stabilizacji finansowej. Zniszczenie reputacji, małżeństwa, doprowadzenie do kryzysu psychiki i duszy nie umywały się do możliwości wzięcia kredytu z banku. Ben był uszczęśliwiony, widząc, jak rząd martwi się o niego.

- Wierzę - powiedział Levin - że znajdzie pan jakiś sposób i nic sprzeda domu. Co przypomina mi, że mam panu zaproponować tutaj mieszkanie dla całej rodziny, choć przyznam, że z kwaterami stoimy dość krucho.

- Dziękuję, pułkowniku, ale nie przypuszczam, żeby moja rodzina zamieszkała tu ze mną. Poza tym nie chciałbym, by jakiś inny oficer i jego najbliżsi znaleźli się przeze mnie na ulicy. Prawdę mówiąc, jeśli władze wojskowe nie miałyby nic przeciwko temu, najchętniej mieszkałbym nadal poza terenem jednostki. W ten sposób w ogóle nie zajmowałbym niczyich kwater.

- Pozwoli pan, poruczniku, że wyrażę się bardziej precyzyjnie. - Levin pochylił się nad biurkiem. - Rozkaz każe panu przyjąć mieszkanie dla rodziny. Uczciwie mówiąc, armia nie chce, by dziennikarze i w ogóle społeczeństwo odniosło wrażenie, że został pan postawiony w ciężkiej sytuacji. Został dla pana przygotowany miły apartament z dwiema sypialniami i już dzisiaj rano na jego drzwiach znajdzie się pańskie nazwisko. Jest częściowo umeblowany, a pan ma prawo zakupić na koszt rządu wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia gospodarstwa. Przysługuje panu również prawo wprowadzić tam swoją żonę i syna, choć oczywiście oni nie mają obowiązku tu przyjeżdżać. Czy to jasne?

- Nie, sir. Czy mam obowiązek mieszkać na terenie jednostki czy nie?

- Obawiam się, że tak - odparł pułkownik.

- To jest - powiedział stanowczo Tyson - całkowicie niezgodne z regulaminem. Jest to ograniczanie moich praw, a nie ma powodu do tego typu restrykcji.

- Niestety są. - Levin odchrząknął. - Zgodnie z trzydziestym pierwszym artykułem Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego przeprowadzane jest obecnie wstępne śledztwo w pańskiej sprawie, dlatego też wojsko ma prawo ograniczyć pańskie swobody i zapewnić pańską stałą obecność na potrzeby śledztwa. Ograniczenie, jak pan wie, jest bardziej moralne niż rzeczywiste i stanowi tylko wzmocnienie pańskiego moralnego i prawnego obowiązku posłuszeństwa prawu.

- To wszystko wiem, pułkowniku. - Ben kiwnął głową. - Jakie to są ograniczenia?

Levin patrzył na papier leżący przed nim na biurku.

- Musi pan przebywać na terenie swojej kwatery pomiędzy dwudziestą czwartą, czyli północą, a szóstą rano. Chyba że będzie musiał pan pozostać gdzie indziej z powodu obowiązków służbowych. Nie wolno panu odjeżdżać dalej niż na sto kilometrów od jednostki, znowu z wyjątkiem wyjazdów służbowych.

Tyson przez długą chwilę zastanawiał się.

- Moja rodzina mieszka w East End na Long Island - stwierdził wreszcie. - To jest, jak pan wie, około dwustu kilometrów stąd.

- A więc nie może pan ich odwiedzać.

- To dla mnie poważny kłopot.

- Prawdę mówiąc, poruczniku, w ogóle nie uważam tego, że armia nie pozwala panu spędzić lata w Hamptons, za kłopot. Będzie pan miał tutaj zajęcia i wcale nie byłoby rozsądne, by podejmował pan codziennie po pracy długie podróże tylko po to, by przed północą stawić się tu z powrotem. Sto kilometrów, a poza tym nie wolno panu podróżować statkiem ani samolotem, chyba że otrzyma pan każdorazowo zgodę moją albo komendanta fortu. - Zawahał się. - Wydawało mi się, że jest pan w separacji ze swoją żoną.

- Byłem.

- No, cóż... - Pułkownik przyjrzał się rozkazom dotyczącym Bena. - Pańskim podstawowym miejscem zamieszkania jest Garden City. Znajduje się w zasięgu tych stu kilometrów, prawda?

- Tak jest, sir. To właśnie dom, który być może będę musiał sprzedać.

- Ale zanim to się stanie, poruczniku, pańska żona może się przeprowadzić z powrotem do domu w Garden City. A pan może nawet weekendy spędzać w domu. Poza tym pańska żona i syn mogą równie dobrze przyjeżdżać na weekendy tutaj do pana.

- Pułkowniku, nie sędzę, żeby moja żona chciała postawić kiedykolwiek nogę na terenie wojskowym.

- Będzie więc pan sam musiał załatwić sprawę wizyt małżeńskich - odparł poirytowanym tonem Levin. - Ja nie mam obowiązku się w to mieszać.

- Tak jest, sir.

Pułkownik postukał palcami w biurko.

- Zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja jest dla pana trudna, ale przynajmniej na pociechę mogę zapewnić, że nie potrwa ona długo.

- Naprawdę?

- Tak. Szczerze mówiąc, narzucenie takich restrykcji zobowiązuje rząd do podjęcia w pańskiej sprawie decyzji. Dokładnie rzecz biorąc, mają termin dziewięćdziesięciu dni i wtedy albo przysługuje panu szybki proces, albo wojsko zaniecha prowadzenia sprawy. Prawodawstwo cywilne może nie znać takiego pojęcia jak przyspieszony proces, ale w sądownictwie wojskowym istnieje taka procedura. Tak więc restrykcje, które pana obejmują, są ukrytym błogosławieństwem. Od tej chwili zaczęło się dla wojska odmierzanie czasu. Do połowy października musi się to wszystko jakoś skończyć.

- Rozumiem - kiwnął głową Tyson.

- Poza tym te restrykcje - powiedział Levin już łagodniejszym tonem - nie są bardzo uciążliwe. I nikt pana nie pilnuje. Ale dla własnego pańskiego dobra, radzę uważać.

- Tak jest, sir.

- A przy okazji - zapytał pułkownik - czy są jeszcze jakieś adresy, o których powinienem wiedzieć?

- Tak jest, sir. Jak mógł pan wyczytać w gazetach, mieszkam obecnie w eleganckiej dzielnicy East Side.

- Ma pan więcej adresów niż ja łazienek.

- Tak jest, sir.

- Chcę mieć adres na East Side i w Sag Harbor. Proszę je podać Hodgesowi.

- Tak jest, sir.

Levin przerzucił stronę akt Bena.

- Dwa Serca. Gdzie?

- Prawe kolano i prawe ucho.

Pułkownik kiwnął głową, skupiając wzrok na uszkodzonym prawym uchu Tysona.

- Zauważyłem, że pan kuleje. Czy jest to rezultat pańskiej rany?

- Tak jest, sir.

- Czy jest pan zdolny do czynnej służby?

- Nie, sir.

- No cóż, do tego, o co im chodzi, jest pan wystarczająco zdolny.

Ben nie odpowiedział.

- Nie byłem pewien, czy pan przyjedzie, Tyson - stwierdził Levin.

- Ja byłem w dziewięćdziesięciu procentach pewny, że nie przyjadę.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Mój adwokat złożył wniosek w sądzie rejonowym podważający to wezwanie.

- Ta sprawa nie jest już w mojej gestii. Jest pan tutaj i ma pan prawo zgodnie z rozkazem zameldować się, niezależnie, czy jest pan w mundurze, czy bez niego.

- Tak jest, sir. Właśnie to mi powiedział mój adwokat.

- Jeszcze jedna sprawa. Pańskie zaprzysiężenie do służby. Władze żądają, żeby pan zrobił to powtórnie, i na mnie złożyły obowiązek wyegzekwowania przysięgi po pańskim przyjeździe.

Tyson kiwnął głową. Levin był z nim szczery, zdradzając, co rząd i wojsko myślą. Wyciągnięcie paszportu, przydzielenie domu, przyjęcie przysięgi. Szybka sprawa, przyjdiesz i pójdziesz. Problem tylko w tym, że nigdzie nie pójdziesz.

Pułkownik wyciągnął papier i wręczył go Benowi.

- Nie ma powodu, by robić to głośno. Niech pan to sobie po prostu przeczyta i podpisze.

- Zaciągnął się cygarem.

Tyson czytał: „Ja, Benjamin J. Tyson, mianowany oficerem armii Stanów Zjednoczonych, w stopniu porucznika, przysięgam (lub potwierdzam) solennie, że będę zgodnie z konstytucją bronił Stanów Zjednoczonych przed ich wszystkimi wrogami, na terenie kraju i za granicą, z wiarą i posłuszeństwem. Biorę na siebie ten obowiązek jako wolny człowiek, nie obciążony psychicznymi oporami. Wypełnię skrupulatnie i wiernie powierzone mi zadania: TAK MI DOPOMÓŻ BÓG”.

Ben podniósł wzrok znad papieru i zobaczył pióro podsuwane przez Levina. Zawahał się chwilę, wziął pióro, mimo woli zauważył, że jest to porządne pióro wieczne Watermana.

- Ja mam pewne psychiczne opory - powiedział.

- Naprawdę?

- Tak... czy mógłbym to zaznaczyć. Skreślę fragment i wtedy podpiszę?

- Nie radziłbym panu. Proszę posłuchać, poruczniku, to jest wojsko, a to jest przysięga wojskowa, a nie jakiś kontrakt napisany na kolanie. Proszę podpisać albo odmówić podpisania.

- W takim razie odmawiam.

- W porządku. Proszę mi oddać.

Tyson podał mu papier wraz z piórem. Zapanowała cisza.

- Łowi pan ryby - całkiem nagle zapytał pułkownik - czy tylko tak próżnuje na słońcu?

- Jedno i drugie.

- Dobrze się łowi w zatoce Sheepshead, niedaleko stąd. - Zerknął na zegarek. - Rozumiem, że został pan dość chłodno powitany przez kapitana Hodgesa. Ale nie dlatego, że uważa on pana za winnego.

- W takim razie dlaczego?

- Przeczuwa kłopoty: zaraz zaczną tu węszyć dziennikarze, mogą pojawić się jacyś demonstranci, łowcy sensacji. Mamy tu miłą, spokojną placówkę. Mniej niż pięciuset wojskowych. Ludzie lubią być tutaj. Tak się składa, że ja urodziłem się i wychowałem o kilka mil stąd. W Brighton Beach.

- Nie prosiłem, żeby mnie tu przydzielano.

- Nie. Ale to był akt kurtuazji w stosunku do pana, a dla nas żadna przyjemność. Ja na przykład uważam, że powinien pan stacjonować w jednej z tych dużych baz, powiedzmy na południu. W takim miejscu jak Bragg, które dominuje nad populacją miejscową, a nie u nas, gdzie jest dokładnie odwrotnie. Nie jesteśmy przygotowani - kontynuował Levin - na takie sytuacje i jeśli... proces będzie się miał tutaj, odbyć, z trudnością zorganizujemy odpowiednie pomieszczenia, nie mówiąc już o ochronie. Dziennikarze zrobią sobie z tego cyrk. I widzi pan, Tyson, kariera kilku oficerów, takich jak ja sam czy Hodges, odpowiedzialnych za pana oraz za utrzymanie porządku i dyscypliny, będzie wystawiona na szwank.

- Rozumiem wagę problemu i nie będę go powiększał.

Pułkownik kiwnął głową i zgasił cygaro, potem wrócił wzrokiem do papierów na biurku. Kiedy odezwał się znowu, mówił jak adiutant na służbie udzielający rad nowo

przybyłemu:

- Nie wiem, jak był pan traktowany przez równych sobie podczas ostatnich kilku miesięcy, ale tutaj jest pan oficerem i jeśli będzie się pan zachowywał zgodnie ze swoją pozycją, wszyscy również będą pana tak traktować - nawet tacy ludzie jak kapitan Hodges. - I dodał: - Proszę zachowywać się możliwie jak najpoprawniej. Niezależnie, czy wyjdzie pan stąd jako wolny człowiek, czy pod strażą, będzie pan mógł spojrzeć za siebie z pewnością, że zachowywał się pan jak człowiek honoru.

- Tak jest, sir. Rozumiem.

- Dobrze - powiedział Levin łagodniej. - Chciałbym zjeść z panem kolację. Może porozmawiamy jeszcze. Spotkamy się o osiemnastej zero zero w Klubie O.

Ben był umówiony na kolację ze znajomym na Manhattanie i już miał zamiar się wykroczyć, kiedy przypomniał sobie, że jest w wojsku, a w wojsku życzenie pułkownika traktowało się jak rozkaz.

- Tak jest, sir - powiedział - w Klubie Oficerskim o szóstej.

- Pan powiedział to swoimi słowami, ja swoimi. Proszę tam być.

- Tak jest, sir.

- A teraz niech pan pójdzie do kapitana Hodgesa. Poda panu informacje, co gdzie się znajduje na terenie jednostki. Proszę dać mu te dwa adresy. To wszystko.

Tyson wstał.

- Tak jest, sir. - Zasalutował, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Tyson stanął tuż przed biurkiem Hodgesa, ale kapitan był tak pochłonięty papierami, że nie spojrzał na niego. Ben wyciągnął notes i zapisał adresy, o które poprosił Levin. Położył papier na biurku adiutanta.

- Pułkownik Levhf prosił mnie...

- W porządku. - Hodges nie odrywał wzroku od biurka. - Proszę wziąć ten folder. Niech pan zapozna się z placówką.

Tyson wziął dużą, brązową kopertę pełną papierów i włożył ją do teczki.

- Spotkamy się jutro - dodał kapitan.

- Tak jest, sir - odparł Ben i odwrócił się w stronę drzwi.

- Tyson.

- Słucham, sir?

- My tego nie potrzebujemy. - Hodges patrzył na niego.

Ben nie był pewien, czy „my” odnosiło się do Hodgesa i Levina, czy Fortu Hamilton, czy wojska i kadry oficerskiej, a może całego narodu. Prawdopodobnie do wszystkiego potrosze.

- Nie, sir - odpowiedział.

- Jeśli kiedykolwiek będzie musiał pan przyjść do tego biura, a mam nadzieję, że tak się nie stanie, oczekuję, że będzie pan wyglądał jak żołnierz.

Tyson zrobił krok w kierunku biurka. Miał ochotę zapytać tego młodego oficera na służbie, co on, do diabła, może wiedzieć o byciu żołnierzem. Odetchnął głęboko.

Kapitan patrzył na niego.

- Do widzenia, sir - powiedział Ben, odwrócił się i wyszedł. Nie do końca był świadom swojej drogi pomiędzy biurkami, potem korytarzem, w dół po schodach, koło okienka recepcji, a wreszcie przez oszklone drzwi na oświetlony słońcem parking. Podszedł do samochodu i wrzucił teczkę na siedzenie. Kopnął drzwi, aż blacha się wgniotła.

- A niech to, a niech to! - krzyknął.

Gwałtownie odwrócił się w stronę budynku, z którego właśnie wyszedł. W otwartym oknie na pierwszym piętrze zobaczył potężną sylwetkę podpułkownika Mortimera Levina, który przyglądał mu się z rękami założonymi z tyłu, z cygarem w ustach.

Tyson uspokoił się, wszedł do samochodu i odjechał. Kiedy toczył się wąskimi uliczkami niewielkiej jednostki, zrozumiał wreszcie, że jest w wojsku. Powiedział to na głos:

- Jestem w wojsku. Jestem w wojsku.

Jego pierwszy okres służby i późniejsze zwolnienie pozostawiło w nim uczucie tymczasowości, niedokończenia, niewypełnienia obowiązku względem wojska, kraju i samego siebie.

Ale zrozumiał, że tym razem był to ostateczny zlot, ostatnie wezwanie. Tak naprawdę miał tylko kontynuować coś, co dawno temu przerwał. Nie wiedział, jak się skończy jego służba, ale po raz pierwszy właśnie tu, w Forcie Hamilton, uwierzył, że się skończy.

Rozdział 26

Benjamin Tyson wspiał się po schodach prowadzących do Klubu Oficerskiego, wbudowanego w granitową skałę fortu.

Foyer i korytarze rozgałęziały się w prawo i w lewo, a następnie skręcały i zawracały. Cała konstrukcja wykonana była z kamienia i cegły. Podłoga wyłożona była płytami chodnikowymi, a lampy chronione przez metalowe siatki. Otworów zewnętrznych bardzo niewiele - znajdował się przecież w forcie. Tylko małe otwory strzelnicze, a i te obudowane cegłami.

Za kontuarem recepcjonisty siedział mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna, w szarym garniturze.

- Pańskie nazwisko, sir?

- Tyson. Gdzie jest bar?

Mężczyzna zignorował pytanie.

- Czy mogę zobaczyć jakiś dokument, poruczniku?

- Po co? - zapytał Ben.

- Zasady klubu.

Tyson pokazał prawo jazdy, mężczyzna sprawdził nazwisko na liście, a potem poprosił Bena o podpis.

- Dziękuję panu, sir - powiedział mężczyzna, kiedy formalności zostały już dopełnione.
- Bar jest na prawo.

Tyson ruszył łukiem korytarza. Krótsze łuki, zakończone ślepo, odchodziły prostopadle od niego. Wiedział, że są to kazamaty, stanowiska karabinów maszynowych skierowanych na Narrows. Tu otwory były zamurowane również.

Wkroczył do długiej, pozbawionej okien sali, która mogłaby być magazynem na proch i amunicję, ale spełniała funkcję baru. Długi, mahoniowy stół ciągnął się wzdłuż jednej strony pomieszczenia. Ręcznie malowany napis głosił: BAR PATRIOTÓW.

Było dość tłoczno; Bena zdziwiło, że widzi więcej cywilów niż oficerów. Przypuszczał, że to emerytowany wojskowy personel, pracownicy rządowi, cywilni goście i małżonkowie.

Wystrój przypominał puby na East Side, ale goście różnili się od tamtejszej klienteli. Pierwsze, co zauważył, to brak tego specyficznego hałasu panującego w podobnie zatłoczonych miejscach. Słysząc było przytłumiony szmer przerywany od czasu do czasu śmiechem, jakim zazwyczaj odpowiada porucznik, kiedy pułkownik powie coś dowcipnego.

Dostrzegł pułkownika Levina siedzącego samotnie przy końcu baru. Przeszedł przez pomieszczenie, żeby się przysiąść do swego zwierzchnika.

- Dobry wieczór, pułkowniku.
- Dobry wieczór, poruczniku. Proszę usiąść.

Tyson zajął sąsiedni stółek.

- Czy zdążył pan obejrzeć cały klub?
- Nie, sir. Właśnie przyszedłem.
- To całkiem interesujące miejsce. Dzisiaj się już takich nie buduje. Historyczno-narodowe.
- Naprawdę?
- Tak jest napisane w informatorze. Powinien pan to przeczytać.
- Tak jest, sir.
- Czy chciałby pan zostać członkiem?
- Nie jestem pewien. - Ben zapalił papierosa.

- Namawiamy na to wszystkich oficerów.

- Wiem, sir.

- Ale zostawiam panu decyzję.

- Dziękuję, pułkowniku. - Tyson zaciągnął się papierosem.

- Co pan pije? - Levin przyjrzał się Benowi.

Tyson pomyślał, że pułkownik zadał to pytanie w taki sam sposób jak inni, gdy chcą się dowiedzieć o wyznawaną religię, jakby każdy człowiek rodził się z wybranym drinkiem na całe życie. Spojrzał na Levina. Ten mężczyzna był dziwną mieszaniną wytworu armii amerykańskiej i nowojorskich Żydów. Wolałby radzić sobie z każdą z tych osobowości osobno.

- Tyson? Czy coś niedobrze z pańskim słuchem?

- Przepraszam, pułkowniku. Dewar i woda sodowa.

- Sally - pułkownik Levin zwrócił się do barmanki - poznaj porucznika Tysona, to nasz nowy członek.

Kobieta w średnim wieku uśmiechnęła się przyjacielsko.

- Witamy w Forcie Hamilton... poruczniku.

- Dziękuję pani.

Przyjrzała mu się z ciekawością, prawdopodobnie zastanawiając się nad jego przydługimi włosami oraz faktem, że dobiegając czterdziestki jest jeszcze porucznikiem. Nagle rozjaśniła się.

- A... policja.

Tak, to byłoby logiczne. Porucznik policji mógł mieć koło czterdziestki i w ten sposób barmanka dopasowała wiek Bena do jego rangi. Tyson czekał, żeby Levin powiedział coś taktownego.

- Nie, to jest porucznik Benjamin Tyson, z armii Stanów Zjednoczonych, podejrzany o morderstwo.

Sally szczęka opadła.

- Ach... tak.

Ben pomyślał, że być może jest to najlepszy sposób załatwienia sprawy. Doszedł do wniosku, że lubi Levina.

Pułkownik poinformował barmankę, że porucznik Tyson pije dewara z wodą sodową, i Ben wiedział, że następnym razem, kiedy tu przyjdzie, powinien zamówić to samo.

Dla siebie Levin poprosił o kolejnego manhattana.

- Zgłosił się już pan do naszej kwestury? - zwrócił się do Tysona. - Ma pan prawo do pensji.

- Nie, sir. Mój adwokat poradził mi, żebym nie przyjmował żadnych pieniędzy.

- Naprawdę? No cóż, radzę, by pan nie zapłacił jemu, ciekawe, czy wtedy podtrzyma swoją radę.

- Tak jest, sir. Widzi pan, właśnie z tego powodu nie jestem pewien, czy powinienem zostać członkiem klubu. Podpisałem się przy wejściu, ale są pewne rzeczy, których nie mogę i nie będę robił, zgodnie z tym, co radzi mi prawnik. Z drugiej jednak strony byłoby dobrze widziane, zgadzam się tu z panem, gdybym zachowywał się jak oficer, stał się częścią tej jednostki i jej społeczności. Mam więc dylemat. Dlatego moje zachowanie będzie prawdopodobnie odbiegać od standardowego u nowo przyjętych oficerów.

- Jestem pewien, że źródłem pańskiej rezerwy są nie tylko rady adwokata - skwitował krótko pułkownik.

- To prawda, pułkowniku. Proszę się nie obrażać, ale było mi całkiem niezłe w cywilu.

Levin zapalił kolejne cygaro.

- Jak sam pan widzi - kontynuował Ben - jestem trochę za stary na porucznika.

Barmanka postawiła przed nimi drinki, dopisując je do rachunku pułkownika. Ten zaś podniósł swoją szklankę.

- No to na powitanie.

Tyson uniósł także swoją, ale nie dotknął nią szklanki Levina.

- Dziękuję, pułkowniku.

Wypili obaj.

- Jutro otrzyma pan swoje dokumenty - powiedział Levin. - Książeczkę zdrowia, mundur i to wszystko. Proszę stawić się wcześniej. Oczekuję, że będzie pan gotowy do objęcia swych obowiązków pojutrze o ósmej rano.

- Tak jest, sir. Jakich obowiązków?

- Ministerstwo przysłało instrukcje do dowódcy jednostki, zgodnie z którymi polecił mi przydzielać panu doraźne zadania, pozostawiające wystarczająco czasu na załatwianie spraw osobistych, które mogły wyniknąć w związku z nieoczekiwanym wezwaniem do wojska. A także na wszelkie formalności, które mogą powstać w związku ze śledztwem. - Pułkownik zjadł wisienkę ze swego manhattana. - Innymi słowy, jest pan przydzielony do mojego biura i mam znaleźć panu taką robotę, która nie zajmie ani chwili pańskiego cennego czasu.

- Mógłbym meldować się panu codziennie rano, a potem zniknąć na cały dzień.

- Myślałem o tym, Tyson. Ale to jest niezgodne z etyką wojskową i, jak podejrzewam, również z pańską etyką zawodową. Przypadkowe zajęcia są często nudne, żmudne i demoralizujące.

- Tak jest, sir.

Ben pamiętał, że raz był przydzielony do takiej służby i doszedł do podobnych wniosków: udawanie, że się coś robi, kiedy tak naprawdę nie robiło się nic, było bardzo stresujące. Ale obecnie jego sytuacja była inna. Teraz wolałby po prostu spędzić czas, jaki pozostał do chwili postawienia go w stan oskarżenia, z własną rodziną.

- Czy zauważył pan idąc do klubu ten granitowy, trójkątny budynek?

- Tak jest, sir.

- To resztki starej fortyfikacji chroniącej baterię od strony lądu. W każdym razie tam właśnie się mieści Muzeum Obrony Zatoki. Wiedział pan, że mamy tutaj muzeum?

- Tak, sir. Zaznaczono je na planie.

- Zgadza się. Kustoszem jest doktor Russell. Miły chłopak, nieco ekscentryczny. To cywilny pracownik. Tak się składa, że jest dziś tutaj. - Levin skinął głową w stronę stolika w kącie. - Ten w okularach.

Tyson spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył wysokiego, kościstego mężczyznę, który najprawdopodobniej nie skończył jeszcze trzydziestki, siedzącego w towarzystwie innych cywilów.

- Pytałem go, czy nie zrobiłby pana swoim zastępcą - powiedział pułkownik.

- Czym zastępcą?

- Zastępcą kustosza.

Ben nic nie powiedział.

- Czy coś nie tak? - zapytał Levin.

- No cóż... ja nie...

- Niech pan posłucha, Tyson, robię panu grzeczność. Po pierwsze, to nie jest praca, która zajmie panu dużo czasu ani energii. Po drugie, budzi ona szacunek, czego nie można powiedzieć o wszystkich zajęciach, jakie mogę dla pana wysmażyć. Co więcej muzeum działa niezależnie od jednostki, więc będzie pan odseparowany od swoich kamratów oficerów, co jest ze wszech miar wskazane. A pańskim bezpośrednim przełożonym będzie doktor Russell, który jest cywilem i porządnym facetem. A po czwarte, muzeum jest tuż koło klubu i w chwili nudy zawsze może pan tutaj wpaść. A poza tym to jest miłe, małe muzeum i do tego całkiem interesujące. Więc co pan na to powie?

- Ja... nie wiem... Czy będę musiał nosić mundur?

- Tylko przy szczególnych okazjach. Na przykład kiedy przyjadą jacyś dygnitarze albo wycieczka szkolna.

- Wycieczka szkolna?

- Tak, przychodzą tutaj. I emeryci.

- Wycieczki?...

- Czy następny drink wpłynąłby na poprawę pańskiego słuchu? - Zawołał do barmanki. - Jeszcze jedną kolejkę, Sally! - Spojrzał znowu na Bena. - Niech pan posłucha, poruczniku, zgodnie z otrzymanymi rozkazami idę po tej linii razem z panem. Ale to już niech zostanie między nami. I zaczynam zdawać sobie sprawę, jak nam tu mogą namieszać dziennikarze. Pomysł z pracą w muzeum jest dobry. Wygląda dobrze. Niech pan ją weźmie.

- Wezmę ją.

- To dobrze. - Levin podniósł w górę swój kieliszek, a Tyson sięgnął po szklaneczkę i tym razem stuknęli się.

- Później przedstawię pana doktorowi Russellowi.

- Tak jest, sir.

Pułkownik wypił połowę swego drinka, Ben widział, że czuje już efekt. Jego niezdrowa cera stała się mile rumiana, a dychawiczny oddech mniej chrapliwy. Podejrzewał, że codziennie mniej więcej o tej samej porze pułkownik Levin wyglądał dobrze.

- Biuro do spraw kontaktów ze strefą cywilną przez cały dzień miało na głowie dziennikarzy.

Tyson poderwał głowę znad swego drinka.

- Słucham, sir?

- To jest otwarta jednostka. Naprawdę nie możemy zatrzymać ich za bramą, chyba że otrzymamy w tej sprawie specjalne rozkazy.

- Rozumiem.

- Nie musimy ich jednak wpuszczać tutaj, to jest bowiem prywatny klub.

- Miałem pewne kłopoty z wejściem - potwierdził Ben.

- Podobnie jak wielu innych, dzięki panu zresztą. Istotne jest, że może pan zostać napadnięty przez dziennikarzy w każdym innym miejscu na terenie jednostki. Oczywiście poza miejscem pańskiej pracy. Takie instrukcje otrzymali dziennikarze w kwaterze głównej. Tak więc jest pan bezpieczny w muzeum i w klubie. Ma pan jakieś dziesięć metrów do pokonania biegiem między tymi dwoma miejscami i kolejne dwadzieścia na parking. A więc od pańskiego zdrowego rozsądku zależy, jak poradzi pan sobie z tymi ludźmi. Z tego, co czytałem o panu, zawsze się pan nim w przeszłości wykazywał.

- Czy to pańska własna opinia, pułkownika, czy poproszono o przekazanie mi tego komplementu?

- Jedno i drugie. Skończmy ten temat - powiedział Levin. - Proszę wziąć drinka. - Wstał i ruszył niezupełnie pewnie w stronę stolika, przy którym siedział Russell.

- Doktorze Russell - powiedział. - Czy mogę przedstawić panu porucznika Tysona?

Dr Russell wstał i uścisnął serdecznie dłoń Bena.

- Czy pułkownik Levin już panu mówił, że potrzebny mi jest zastępca?

- Tak - potwierdził Tyson.

Zauważył, że dr Russell ma miły dla ucha, świadczący o dobrym wykształceniu, akcent. Mężczyzna był wyższy od niego, bardzo chudy i miał na sobie dość zmiętoszone ubranie, właśnie takie, jakiego spodziewano się po kustoszu.

Dr Russell przedstawił Bena pozostałym mężczyznom siedzącym przy stoliku. Wszyscy wydawali się bardzo zadowoleni z nowej znajomości, jakby przedstawiono im kogoś ważnego. Tyson już przyzwyczyił się, że ludzie, dowiadując się, z kim mają do czynienia, reagowali bardzo różnie, ale zawsze oczekiwał tego z zainteresowaniem.

Levin, Russell i pozostali trzej mężczyźni wymienili kilka nieistotnych uwag, Ben został wciągnięty do rozmowy uwagą Russella.

- Zawsze uważałem, że byłoby pożądane, by niektóre z tych grup oprowadzał oficer w mundurze. Cieszę się, że taka okazja się nadarzyła.

- Ja również - odparł Tyson.

Brwi doktora Russella zbiegły się, wyraźnie nadal zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedział.

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to tylko rozwiązanie czasowe. Nie będzie pan tu długo, prawda?

- Chyba nie.

- Czeka na nas stolik - wtrącił pułkownik Levin biorąc Bena za ramię.

Tyson z pułkownikiem opuścili bar i weszli do głównego korytarza.

- Dr Russell wygląda na bardzo zadowolonego, że ma pana na pokładzie - zauważył Levin.

- Będzie mu smutno, kiedy odejdę - dodał Ben.

Wkroczyli do średniej wielkości sali jadalnej, która wyglądała na stosunkowo nową. Wielkie okna wpuszczały czerwone światło przepięknego zachodu.

- To dobudowaliśmy ostatnio - wyjaśnił pułkownik. - Zewnętrzna część jest z granitu, żeby nie kontrastowała ze starym fortem, ale Russell i tak był przerażony. Innym bardzo się podoba.

Tyson zobaczył, że tylko połowa stolików jest zajęta. Levin poprosił kelnerkę, żeby posadziła ich z dala od pozostałych gości. Wskazała im stolik koło wielkiego okna wychodzącego na cieśninę Narrows.

- Ładne miejsce na rozprawę sądową - odezwał się Ben.

- Myślałem o tym - powiedział po dobrej chwili pułkownik - lecz dla ludzi, którzy tu codziennie jadają, stanowiłoby dużą niedogodność.

- Ale widok jest piękny - stwierdził Tyson kładąc na kolanach niebieską serwetkę. I zapytał: - A gdzie teraz odbywają się posiedzenia sądu?

- Och, mamy niewielkie pomieszczenie w specjalnym budynku. Ale ono nie będzie się nadawać.

- Czasami się zastanawiam, dlaczego wojsko nie ma normalnych budynków sądowych.

- Może dlatego, że nie byłyby one przez cały czas potrzebne. - Levin wzruszył ramionami. - Sądy wojskowe organizowane są ad hoc. A wtedy każde miejsce jest dobre.

Do stolika podeszła młoda kelnerka. Zwróciła się do pułkownika z uśmiechem.

- Manhattan, sir?

- Tak. Ann, to jest porucznik Tyson, o którym tyle się ostatnio mówiło i pisało. Dewar z wodą sodową. I byłbym wdzięczny, gdybyś ani ty, ani pozostali nie rozmawiali z dziennikarzami.

Kelnerka przez chwilę układała to sobie, a potem rzuciła szybkie spojrzenie na Bena.

- Och, dobry... wieczór, sir.

- Dobry wieczór.

- Woda sodowa?

- Dewar i woda sodowa.

- Tak jest, sir. - Położyła na stoliku dwie karty i pospieszyła przynieść zamówione drinki.

Levin zapalił nowe cygaro.

Tyson przeczytał uważnie menu.

- Dobrze karmią, pułkowniku?

- W porównaniu z czym? Czterema Porami Roku czy kantyną?

- Z Czterema Porami Roku, sir.

- Nigdy tam nie byłem. Dobra, chyba powinienem przestać się z panem drażnić. To nie pańska wina, że był pan cywilem i w dodatku odniósł sukces. Polecam stek. Dobre mięso i mają grill z węglem drzewnym.

- Znakomicie.

Ben odłożył kartę i zapalił papierosa. Żaden z nich się nie odzywał. Inna kelnerka przyniosła im drinki i odebrała zamówienie.

- Zaraz będziemy mieli tu wszystkich po kolei - stwierdził pułkownik, po czym podniósł

szklanke.

Tyson zrozumiał, że jest on człowiekiem, który uważa alkohol za święty nektar, który musi zostać ofiarowany czemuś wzniosłemu, a dopiero potem wchłonięty. Zrozumiał także, że Levin jest już trochę pijany.

- Życzę panu szczęśliwego pobytu - wznosił toast pułkownik. Wypili i chwilę rozmawiali o sprawach ogólnych jednostki i o tym, jak wojsko zmieniło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a co pozostało niezmiennie.

Levin pił już kolejnego drinka, Ben podziwiał jego możliwości.

- Mówiłem panu, że wychowałem się w Brighton Beach - powiedział nagle pułkownik bez związku z poprzednią rozmową. - Mój ojciec pracował kiedyś tutaj, w Hamilton. Był szefem aprowizacji, na posadzie rządowej. Obaj z moim bratem mówiliśmy wszystkim, że jest wywiadowcą. - Levin roześmiał się.

Tyson zamieszał swoim drinkiem. Nie wiedział, do czego to prowadzi, ale był całkowicie pewien, że nie chce zmierzać w tym kierunku.

- Czasami podczas weekendów przychodziłem mu pomagać - mówił dalej pułkownik. - Kiedy już byłem w średniej szkole. Wtedy, gdy rozpętał się konflikt koreański.

- Wojna.

- Wszystko jedno. Ci wszyscy oficerowie, którzy się tu kręcili, robili na mnie wielkie wrażenie. Wtedy nosiło się ładniejsze mundury, a niektórzy mieli nawet szpicruty. To naprawdę robiło wrażenie.

- Mój ojciec upierał się, że widział wylot Lindbergha z Paryża i dlatego został lotnikiem. Pilotem wojskowym. Kiedy została dobudowana ta część klubu?

Levin jakby nie słyszał jego uwagi.

- A ja myłem podłogi i zmieniałem żarówki. Właśnie tutaj... to znaczy oczywiście w tej dawnej części. Wtedy też był tu Klub O. W każdym razie widywałem co tydzień tych oficerów podczas mszy niedzielnej i chciałem być taki jak oni. Więc zgłosiłem się, no i jestem. - Wypił trochę wody i odchrząknął. - Można wsadzić Żyda do wojska, Tyson, ale nie da się wsadzić wojska w Żyda. Nie mam pojęcia, dlaczego zostałem. Pewnie musi być w tym coś, co jednak lubię.

- Kariera wojskowa może wiele ofiarować - stwierdził Ben.

- Sądzę, że nominacja na oficera to szybka droga zdobycia poważania i miejsca w towarzystwie. Ludzie z Południa zawsze uważali to za najlepszy sposób. Więc dlaczego nie

miałoby być tak samo dla Żyda z Brighton Beach, prawda, Tyson?

- Dlaczego nie?

- Niech pan posłucha. Nie jestem tak pijany, żeby nie wiedzieć, co i po co mówię. Pod względem towarzyskim wszyscy jesteśmy sobie równi, zgodnie z postanowieniem Kongresu wszyscy jesteśmy dżentelmenami.

- Tak jest, sir.

Pułkownik pochylił się nisko nad stolikiem.

- Ale chciałbym panu pokazać, gdzie w tym systemie tkwi nierówność. Jeśli nawet wojsko przy nadawaniu stopni i stanowisk nie dba o twoje pochodzenie, rodzinę i grupę społeczną, z której pochodzisz, to czy tak samo jest na to wszystko obojętne, gdy dochodzi do sądu wojskowego? Nadaża pan, poruczniku?

- Chyba tak.

- Proszę mi pozwolić na niefortunne, ale konieczne porównanie. Porucznik Calley, dowódca plutonu z My Lai, jak pamiętam, nie pochodził z uprzywilejowanej klasy. Pan w porównaniu z nim to wzór oficera i dżentelmena. - Levin zdusił cygaro i zniżył głos: - Widzi pan, ja nie wiem, co się, do kurwy nędzy, zdarzyło w tym szpitalu, poruczniku, ale założmy, że coś się zdarzyło, co nie było całkowicie koszerne, nie do końca zgodne z „Zasadami Walki”. Prawda? W takim razie ty, Benjaminie Tyson, powinieneś lepiej odróżniać to, co jest moralne, od tego, co nie jest, niż taki facet jak Calley. Nadaża pan, poruczniku?

Ben nic nie odpowiedział.

- Jest pan człowiekiem, na którym bardziej można polegać - ciągnął swój monolog pułkownik - niż na jakimś biednym szmondaku, który biega i strzela do bezbronnych ludzi. Nikt nie będzie panu współczuł ani starał się pana zrozumieć czy bronić, że był pan tylko niedouczone, zwichrowane wyrostkiem, który sam stał się raczej ofiarą. Był pan wykształconym, dojrzałym mężczyzną, który poszedł na ochotnika, i w dodatku oficerem. - Wymierzył cygarem w Tysona. - Mógł pan nie pociągnąć za spust, ale jeśli nie zrobił pan nic, żeby temu zapobiec - nawet z narażeniem własnego życia - niech Bóg ma pana w swej opiece. - Obaj patrzyli przez jakiś czas na siebie. Wreszcie Levin powiedział: - O to właśnie chodzi.

- Pozycja społeczna to także duży problem - dodał Ben.

- Właśnie. - Pułkownik rozparł się wygodnie na krześle. - Śledziłem wiadomości o panu. I wyobrażałem sobie siebie pośród sędziów. Siedzę i słucham zeznań świadków i patrzę na pana. Może zazdroszczę panu, że jest pan przystojny i że powiodło się panu w życiu. Może również czuję oburzenie. I siedząc tak w ławie sędziowskiej myślę, że przecież pan powinien być najwyższym wytworem naszej cywilizacji, końcowym produktem wielkiego eksperymentu o nazwie Ameryka. Patrzę na pana i nie potrafię zrozumieć, jak mógł pan być częścią tego, co się tam zdarzyło. I to mnie przeraża, poruczniku Tyson, bo jeśli pan był zdolny do tego, to jaka jest nadzieja dla nas, zwykłych ludzi?

- Mówiąc szczerze, pułkowniku - odpowiedział Ben - po Wietnamie nigdy już nie pomyślałem, że może być dla nas jakakolwiek nadzieja.

Levin wyglądał na smutnego.

Tyson skończył swego drinka i zapalił kolejnego papierosa.

- Oceniając mnie jako produkt naszego kraju, ma pan częściowo rację - odezwał się cicho po dobrej chwili. - W 1968 moje rozumienie takich pojęć, jak dobro, zło, obowiązek, wywodziło się nie z tego, co nauczyło mnie wojsko, ale z tego, jak ukształtowała mnie Ameryka. Trudno mi było spełniać moją powinność względem kraju, który nie dopełniał swoich zobowiązań w stosunku do mnie. Kwintesencją lojalności jest wzajemność, pułkownika. Zwykły obywatel czy żołnierz wypełnia swoje obowiązki w stosunku do swego kraju w zamian za ochronę. Taki jest kontrakt. Na pewno w 1968 nie umiałem tego tak ładnie powiedzieć, ale czułem do szpiku kości, że mój kraj porzucił mnie i moich ludzi, a właściwie całą armię w Azji Południowoschodniej.

- Ciężką zakąskę sobie zafundowaliśmy przed befsztykiem. - Pułkownik kiwnął głową ze zrozumieniem. - Oto nasze jedzenie. *Bon appetit.*

Obaj jedli w milczeniu. Po jakimś czasie pułkownik Levin odezwał się przyjaznym tonem, jakby cała poprzednia rozmowa była tylko wymianą uprzejmości:

- Czy teraz chciałby podpisać pan przysięgę?

- Ma pan ją ze sobą?

- Tutaj. - Klepnął się po kieszeni. - Chce pan podpisać?

- Nie, tylko chciałem wiedzieć, czy naprawdę pan ją ma.

- Niech pan uważa, poruczniku.

- Przepraszam, pułkowniku.

- Nieważne. - Levin wzruszył ramionami. - Zadzwoń do szkoły wojskowej, na wydział prawniczy, chcąc zasięgnąć opinii w tej sprawie. Powiedzieli, że to, co podpisał pan w 1967, ma wciąż moc prawną. Więc nadal ta przysięga obowiązuje pana, poruczniku.

- Rozumiem.

Pułkownik przeżuł starannie kęs chleba i połknął go.

- Czy chciałby pan usłyszeć radę? - zapytał.

Ben pomyślał, że w czasie minionych kilku tygodni usłyszał więcej rad niż przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Nie sądzę - odparł - żeby było właściwe, by pan...

- Tym się proszę nie przejmować. Został pan do mnie przydzielony, więc mogę dać

panu radę jako pański dowódca.

- Tak jest, sir.

Levin upił wody.

- Na wypadek gdyby pan o tym nie wiedział - powiedział - informuję pana, że cała ta sprawa jest dla wojska bardzo kłopotliwa. Wszyscy się o pana boimy.

- Więc jednak fakt, że jest się szanowanym członkiem społeczeństwa ma swoje dobre strony. - Tyson kiwnął głową.

- Tak. I powiem panu, czego najbardziej boi się armia - w tej sprawie zachowujemy się jak organizacja religijna - boimy się skandalu.

- Skandalu.

- Właśnie. Proszę posłuchać tego, co panu mówię, Tyson. To może uratować pańską głowę. - Pułkownik rozejrzał się naokoło po sali, potem pochylił się do przodu i odezwał konfidencjonalnym szeptem: - Jeśli chodzi o wojsko, to każdy oficer, który spieprzył sprawę, jest *ipso facto* renegatem, człowiekiem, który nie powinien być zostać oficerem, niezależnie od tego, z jak dobrej rodziny pochodzi. Bycie oficerem to jak bycie kapłanem. Otrzymuje się powołanie i jeśli się na nie odpowie, trzeba zostawić za sobą dotychczasowy świat i wkroczyć w zupełnie inny. Całkowicie różny od świata wiceprezesa czy czymkolwiek pan był, w jakiejkolwiek tam korporacji. Kiedy jest się oficerem armii Stanów Zjednoczonych, wszystko, co się robi, ma wpływ na wojsko i kadrę oficerską. Porównanie z księdzem w kościele jest naprawdę trafne. Tak więc to nie tylko pana będą sądzić, ale każdego z nas, mnie, kapitana Hodgesa i szefa sztabu. Rozumie pan?

- Tak jest, sir. W tym czasie, kiedy zdarzył się incydent, kapitan Hodges miał jakieś dziesięć lat, a szef sztabu zmienił się od tego czasu kilkakrotnie.

- Ale w wojsku istnieje ciągłość, pamięć instytucjonalna. Jeśli się opieramy na dawnej chwale, trudno zapomnieć o przeszłych winach. Pański oddział, wywodzący się z Siódmej Kawaleryjskiej, pamięta po dziś dzień bitwę pod Little Big Horn. I na odwrót, kiedy wreszcie włoży pan na siebie mundur, będzie to strój tych, którzy otrzymywali prezydenckie pochwały, na długo zanim się pan urodził. A więc pan musi przekonać wojsko, że mimo wszystko jest pan typowym produktem całego, pieprzonego systemu militarne - być może nie tego, który mamy obecnie, ale tego, jaki istniał dwadzieścia lat temu. I że pan - który był wrażliwym chłopcem, zapłakującym się nad zdechłym kanarkiem, stał się psychopatą podczas treningu wojskowego. Jest pan ofiarą systemu, który wydrukował żółte, plastikowe karty zatytułowane „Zasady Walki”, na których wypisano, kogo może pan zabijać, a potem pozostawiono pana z niewyszkolonym, niezdyscyplinowanym i zdemoralizowanym plutonem siedemnastolatków wziętych prosto ze slumsów i pana uczyniono odpowiedzialnym za ich czyny. Ha, ha, ha, śmiechu warte.

Prawda? To tak, jakby odpowiadał pan za pogodę. Prawda?

Tyson nie odpowiedział.

- Jeśli zagrozi im pan, że cała wina spadnie na ich głowy - ciągnął Levin - jeśli zasugeruje pan, że nie tylko amerykańscy chłopcy zabijali kogo popadnie, ale sami również ginęli - a to wszystko w wyniku złego wyszkolenia, złych dowódców, złej taktyki - rozumiesz, co chcę powiedzieć, prawda, Tyson? Mnie nie jest wcale łatwo o tym mówić. Ale ja wiem, jak to wtedy wyglądało. Ja tam byłem, Tyson. Nie w piechocie, ale na tyle blisko frontu, żeby widzieć i słyszeć wszystko to, co chciałem usłyszeć i zobaczyć. - Przyjrzał się uważnie Benowi. - Powiedz im, że jeśli postawią cię przed sądem, będziesz zeznawał przez tydzień, oskarżając armię, i udzielisz przy tym mnóstwa wywiadów. Powiedz im, że jeśli pójdziesz na dno, to pociągniesz ich za sobą.

Tyson odsunął talerz i zaciągnął się papierosem. Przypominał sobie rozmowę z Chetem Brownem, który namawiał go, żeby tego właśnie nie robił. Najwyraźniej wszyscy uważali, że on ma jakiś wielki sekret do odkrycia. Ale on nie przypominał sobie, żeby w tamtym czasie obwinił armię za to, co się działo w Szpitalu Miłosierdzia. Nie obwinił jej wtedy ani za to, co sam robił, ani za to, co robili jego ludzie. Nie protestował przeciw złemu szkoleniu, niedorosłości członków oddziału, nieścistości wskazówek dowództwa i własnemu nieprzygotowaniu do roli dowódcy oddziału piechoty. Gdyby miał żdźbło pewności, że myślał wtedy o tym - list do domu czy zapis w swoim dzienniku - wtedy, tak, teraz mógłby zrzucić winę za Szpital Miłosierdzia na armię. Ale kiedyś, dawno temu, przyjął winę na siebie i uważał, że zmienianie historii tylko po to, by uchronić siebie, byłoby niemoralne.

- Myślę, że muszę przejść przez to sam - powiedział pułkownikowi.

- Tak - westchnął Levin. - Ty i Jezus Chrystus, prawda, Tyson? Wszystko wiecie najlepiej. - Pułkownik pochylił się nad swoim bloczkiem klubowym i wyciągnął ołówek. - Ile drinków pan wypił?

- Cztery.

- Za dużo pan pije. Ale przy tych cenach można sobie pozwolić. - Spojrzał na Bena. - Niech pan posłucha, poruczniku, wcale nie namawiam pana, żeby obwinił pan wojsko. Nigdy nic takiego nie powiedziałem. Ale powinien pan gdzieś napomknąć, że jeśli oni oskarżą pana, odbije pan piłeczkę. Wtedy się wycofają.

- Nie umiem dobrze blefować. Ale dzięki za radę.

- Mówiliśmy o baseballu. - Levin wstał. - Jeszcze jedna rada na pożegnanie, poruczniku. Niech pan sobie weźmie najlepszego pieprzonego adwokata z certyfikatem specjalizującego się w prawie wojskowym, jakiego można dostać za pieniądze. Niech pan nie bierze tych mydlaków z Izby Wojskowej. Są nic niewarci, dlatego nie potrzeba za nich

płacić.

- Słyszałem o certyfikatach prawa wojskowego - powiedział Tyson również wstając - ale nie jestem pewien, kim są posiadający je ludzie.

- Cywilni prawnicy, którzy zdali w wojsku egzamin z prawa wojskowego i którzy występują jako obrońcy podczas sądów wojennych. Jest ich tylko kilku. Można się o nich rozpytać w barze.

- Polecą mi pan któregoś?

- Nie. - Pułkownik podniósł swój bloczek i podsunął go Benowi. - Proszę tu podpisać, poruczniku. Pański numer klubowy to T-38 Wpisałem go już. Dziękuję za kolację. - I odszedł.

Tyson podniósł bloczek i zobaczył w miejscu podpisu wpisane ołówkiem nazwisko „Vincent Corva, Esq. N.Y.” Wytarł je i podpisał się.

Rozdział 27

Benjamin Tyson stał przed tunelem dla dział artyleryjskiego na wprost grupy mniej więcej dwadzieścioro starszych tłoczących się, żeby usłyszeć od niego następny strzęp bezużytecznej informacji. Poza tą grupą w muzeum nie było nikogo i podejrzewał, że i z nich niewielu przyszło tu z własnej woli.

Samo muzeum było całkiem interesujące. Levin miał rację. Budynek był doskonale zachowanym przykładem dziewiętnastowiecznej architektury wojskowej. Słupy z czerwonej cegły dźwigające na sobie łuki sklepień stanowiły odpowiednie miejsce dla wojskowych wystaw. Same eksponaty - armata, muszkiety, szable, mundury i tak dalej - nie były szczególnie unikalne ani w nadzwyczaj dobrym stanie, ale kiedy znajdowały się w starym forcie, można powiedzieć na miejscu, zyskiwały na znaczeniu. A jednak, pomyślał Tyson, ktoś słusznie powiedział, że muzea są cmentarzami sztuki - w tym przypadku sztuki wojskowej, która z kolei sama w sobie była nierozdzielnie związana z cmentarzami.

Położył dłoń na czarnym, kutym z żelaza parkanie, zamykającym tunel.

- Ten parkan ma dla mnie osobiste znaczenie. - Uśmiechnął się do grupy.

Zobaczył, jak w odpowiedzi odsłaniają się zestawy doskonale białych, sztucznych szczęk. Za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie w tym wieku chcą w ogóle słuchać tego, co on im tu mówił. A jednak byli uważni i grzeczni. Zupełnie odwrotnie niż skauci z

poprzedniego dnia, którzy powinni wykazać młodzieńczą ciekawość, nie mówiąc już o instynktownym zainteresowaniu wojną, a byli znudzeni i niespokojni.

Ben uważał, że widocznie to on popełnia jakiś błąd. Ale mówił dalej.

- Ta bramka została zrobiona mniej więcej w 1840 roku. Wśród tych żelaznych zawijasów możecie państwo dostrzec znak federacji i amerykańskiego orła, który wtedy występował dość często jako motyw zdobniczy.

Tyson miał ogromną ochotę na papierosa lub łyk świeżego powietrza. Masywne ściany pomieszczenia chroniły nieco przed popołudniowym żarem, ale z tego samego powodu powietrze było zastałe i pachnące zbyt intensywnymi, kwiatowymi perfumami i pudrem. Poza tym rząd nowoczesnych lamp grzał jak piec. Prawdopodobnie zrobienie wentylacji albo klimatyzacji w takim budynku było bardzo skomplikowane. Nie, w dzisiejszych czasach już się tak nie budowało.

- Jakież to osobiste znaczenie ma dla pana ta bramka, poruczniku? - zapytał jakiś mężczyzna.

- Co? Ach tak, rzeczywiście. Powiedziałem coś w tym rodzaju? No cóż, ten kawałek nie pochodzi z Fortu Hamilton. Ocalał w starym budynku federalnym przy ulicy Whitehall.

Dla większości mężczyzn z miasta Nowy Jork ulica Whitehall kojarzy się z komisją poborową. - Uśmiechnął się i zobaczył, że kilku starszych panów także uśmiecha się, przytakując głowami. - Pamiętam - mówił dalej - tę starą bramkę z czasu, kiedy ja zgłaszałem się do służby czynnej, i dlatego zdziwiło mnie, gdy zobaczyłem ją tutaj. - Uśmiechnął się znowu.

Prawdę mówiąc, wcale nie pamiętał żadnej bramki. Miał tamtego ranka inne sprawy na głowie, a nie architekturę ponurego budynku, przez który przechodziły miliony mężczyzn wysyłanych prosto na pola bitew. Spojrzał w prawo, na następną stację tej drogi krzyżowej, i mignęło mu własne odbicie w szybie. Był na tyle uczciwy, by przyznać przed samym sobą, że podoba mu się własna sylwetka w mundurze. Większość mężczyzn lubi się oglądać w mundurze. Poprawił sobie krawat.

- Czy widział pan wojnę w Wietnamie? - zapytał go jakiś damski głos.

Na jego dźwięk odwrócił się. Stała na końcu grupy, jakby wyższa od ludzi urodzonych na początku stulecia. Zastanawiał się, jak długo tam stała. Większość siwych głów zwróciła się w jej kierunku.

- Za co otrzymał pan te wszystkie medale? - pytała dalej Karen Harper.

- Głównie za dobre prowadzenie się. Za każdym razem, kiedy byłem grzeczny, dostawałem jeden. Mam siedem medali.

Kilka osób roześmiało się.

- Może byście państwo przez chwilę pooglądali sami wystawę - zwrócił się do grupy. - Zaraz wrócę. - Przeszedł pomiędzy zwiedzającymi, ujął Karen Harper pod rękę i poprowadził ją w stronę frontowego wejścia. Kiedy znaleźli się na ścieżce prowadzącej z muzeum do klubu oficerskiego, uwolniła swoje ramię.

- Porucznicy nie prowadzą w ten sposób majorów - powiedziała.

- Napije się pani czegoś?

- Nie. Ostatnim razem, kiedy napiłam się z panem, opisano to w gazetach.

- Miałem przez to kłopoty... - uśmiechnął się - w domu.

- Naprawdę? - Stała przez chwilę milcząc, potem powiedziała: - Ja też. To znaczy... mam przyjaciela, mówiłam o nim panu. Pułkownika piechoty, w Waszyngtonie. Ale to pana nie interesuje.

Tyson poczuł drobne ukłucie zazdrości. Był pewien, że miała kogoś, ale nie chciał usłyszeć potwierdzenia. Zmusił się do uśmiechu.

- Napiszę do niego list z wyjaśnieniami. A pani napisze dla mnie.

- Jasne. Proszę mnie posłuchać, poruczniku, uważam, że staje się pan trochę zbyt poufały.

- Przepraszam. Brakowało mi pani.

- Niech pan przestanie. A poza tym jest pan kiepskim przewodnikiem.

- Wiem.

- I jeszcze chcę panu powiedzieć coś ważnego.

Ben wziął głęboki wdech, ale tak, by tego nie zauważyła. Odezwał się swobodnym tonem:

- A więc wreszcie doszła pani do jakiegoś wniosku podczas śledztwa.

- Doszłam do wielu wniosków. - Odwróciła się w stronę Klubu Oficerskiego. - Proszę iść ze mną.

Tyson ruszył w stronę klubu, poprzez foyer, a potem schodami i wąską klatką schodową, która prowadziła na drugie piętro. Kiedy szli, powiedział:

- Proszę zauważyć, że ten poziom został zbudowany z cegły, nie z granitu, co znaczy, że dorobiono go później. Te wielkie karabiny stały dawniej na otwartej przestrzeni i...

- Wszystko to wiem. Już mi pokazano fort. Co się teraz stanie z grupą, którą pan oprowadzał?

- Wrócą do autobusu i będą mieli temat do rozmowy w drodze powrotnej do domu.

- Jest pan złośliwy - udało jej się stłumić uśmiech. - Wyglądali bardzo miłutko.

- Mówić, że są miłutcy, to też złośliwość. Nie chcę dożyć takiego wieku.

- Być może nie będzie pan musiał. - Weszli na długi, zacieniony dachem taras, którego jedna ściana, z widokiem na morze, cała była ze szkła.

Przez szybę wlewało się jasne słoneczne światło i rozszczerzone padało kolorowymi plamami na podłogę.

- Znalazłem dwa pomieszczenia - powiedział Ben - w których mogłaby się odbyć rozprawa. Chce je pani zobaczyć?

- Pokój Waszyngtona i pokój Jacksona. Znam je.

- Dobrze. I co pani o nich myśli? Waszyngton jest sklepiony jak najprawdziwsza katedra, ale kamienny Jackson jest bardziej intymny, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Jest pan dzisiaj w bardzo nonszalanckim nastroju.

Tyson wyjrzał przez okno. Poniżej widział nowo dobudowane skrzydło, w którym jadł kolację z pułkownikiem, za nim bulwar nabrzeżny, potem cieśninę Narrows, nad którą rozpiął się most Verrazano. Około półtora kilometra dalej widoczna była linia brzegowa wyspy Staten. Mógł nawet dostrzec szary artyleryjski fort zwany Battery Weed, który był syjamskim bratem tego, w którym się właśnie znajdował.

- Ładny widok. - Zapalił papierosa i zapytał: - Czy wyglądam tak dobrze w mundurze, jak to sobie pani wyobrażała?

- Zapewniam pana, że ani przez chwilę nie zawracałam sobie głowy tym, jak wygląda pan w mundurze. No tak, wygląda pan dobrze. Ale nie obciął pan włosów.

- Obciąłem. Po prostu szybko mi rosną. A tak przy okazji, czy odnalazła pani mój parasol?

- Nie. Mówiłam już panu, że zostawiłam go w samolocie. Mogę panu za niego zapłacić.

- To był prezent. Może mi pani po prostu podobny kupić. Czarny.

- W porządku. Czarny - powiedziała Karen Harper. - Dostałam polecenie, by złożyć raport w pańskiej sprawie w ciągu pięciu dni.

- Dobrze. W takim razie wszyscy wiemy, na czym stoimy.

- Tak, oczekiwanie jest najgorsze. Nie chciałam tego wyciągać, ale moje źródła były ograniczone ze względu na postanowienie artykułu trzydziestego pierwszego Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, który, jak pan wie, odnosi się jedynie do śledztwa wstępnego. Tak czy siak we wnioskach mam powiedzieć, czy zalecam zamknięcie sprawy, czy też uważam, że zaistniało pogwałcenie UKPW i w związku z tym sprawa powinna zostać wszczęta zgodnie z artykułem trzydziestym drugim. - Po chwili dodała: - Jak pan wie, moja opinia nie będzie wiążąca.

- Ale ma pewną wagę i dlatego pani zastanawia się, jakiej opinii życzyłoby sobie wojsko.

- Nie obchodzi mnie, czego oni chcą - przerwała mu ostro.

- Stara się pani - mówił dalej Ben - domyślić, czy chcą, żeby była pani twarda. Jeśli Harper powie: jedziemy dalej, machina zostanie puszczona w ruch i wywleczona przed wielki trybunał. I to pani ich do tego pogoni. Ale jeśli Harper powie: nie, wtedy wzruszą ramionami i, choć niechętnie, umorzą sprawę, aczkolwiek rekomendacja nie jest wiążąca. A wtedy rzucą się na panią dziennikarze. Nie zazdroszczę wyborcu.

- Czy mogę porozmawiać z panem w zaufaniu? - major Harper westchnęła gwałtownie.

- Oczywiście.

- No cóż - zaczęła po chwili wahania - zawsze uważałam tę sprawę raczej za brzemię niż pracę. Chodzi o to, że nie można na jednego człowieka składać tak wielkiej odpowiedzialności. I dlaczego właśnie ja?

- A teraz pani myśli...

- To śledztwo powinno być od początku prowadzone przez ludzi, którzy są przygotowani do takich zadań - CID, FBI, departament obrony i takie tam. I powinno trwać tylko tak długo, by ustalić, czy fakty usprawiedliwiają rozpoczęcie śledztwa przed ławą przysięgłych.

- To prawda. Ale jeszcze nie zrobili nic nielegalnego.

- Cóż... może trudno powiedzieć, że nielegalnego. Po prostu... niezwykłego. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Chciałabym pana o coś zapytać. Czy ktoś... jakiś przedstawiciel rządu...

kontaktował się z panem... przedstawiał propozycję? - Czekala na odpowiedź. - No więc? Czy ktoś poza mną rozmawiał z panem?

- Nie.

- Widzi pan, poruczniku, nie lubię, kiedy się ze mnie robi idiotkę, tak samo jak pan nie lubi roli kozła ofiarnego.

- Rozumiem, o co pani chodzi.

- I sądzę, że żadne z nas nie chce być pionkiem w rozgrywce, której nie rozumiemy.

- Ma pani rację, majorze. Proszę posłuchać, jeśli kiedykolwiek wydawało się pani, że jest to prosta sprawa, to jest pani wyjątkowo naiwna. Ta sprawa wychodzi daleko poza wszystko, co sobie powiedzieliśmy, i poza dowody, jakie może pani zebrać. Niech się pani nie zdziwi, jeśli ktoś przyjdzie do pani i powie, jaka powinna być opinia.

Odwróciła się do okna i zapatrzyła w przestrzeń. Tyson także patrzył przez okno. Liniowiec oceaniczny, Rotterdam, przecinał Narrows, prześlizgując się pod środkowym łukiem mostu, wzbudzając fale kołyszące małymi łódkami. Z południa nadlatywał odrzutowiec, schodząc w dół, w stronę lotniska Kennedy'ego. Ben przypominał sobie wakacje, które spędzał z Marcy, miejsca, gdzie byli szczęśliwi. Nagle z wielką siłą poczuł, że takie życie minęło bezpowrotnie. Teraz potrafił wyobrazić sobie jedynie więzienie, rozwód, kłopoty finansowe i piętno kryminalisty. Niezależnie, czy dowiodą mu winy, czy nie.

- Muszę panu powiedzieć, poruczniku - usłyszał nagle głos Karen Harper - choć pan już wie o tym, że znalazłam wystarczające przesłanki, by rekomendować postawienie panu zarzutu morderstwa.

- Niech więc to pani zrobi.

- Ale jednocześnie zaczęłam... podejrzewać, że rząd wtrąca się do tej sprawy. A jeśli to prawda, to pańskie prawa mogą w trakcie procesu zostać pogwałcone...

- Niech pani da spokój, majorze, moje prawa były gwałcone od dnia, kiedy położnik klepnął mnie bez pytania po tyłku. Ale czasami władze muszą robić pewne rzeczy dla dobra społeczeństwa, nawet jeśli dobro jednostki zostaje naruszone. Gdzie przechodziła pani swoją praktykę prawniczą? W zakonie?

- Mówi pan tak, jakby bronił rządu.

- Oczywiście, że tego nie robię. Ale potrafię zrozumieć, że zaangażowali się w naprawienie szkód.

- Czy poszedł pan na jakąś ugodę z wojskiem lub ministerstwem obrony?

- Nie.

- Czy brałby pan pod uwagę jakąś ugodę?-

- To zależy. Nigdy za pierwszym razem nie mów „tak”.

- Więc ktoś już się z panem kontaktował, prawda? Jest to niezgodne z prawem. W czasie śledztwa wstępnego tylko ja mam prawo dostępu do pana i tylko za pana zgodą.

- Pani może się trzymać przepisów, ja staram się trzymać jak najdalej od Leavenworth.

- Kto się z panem kontaktował? W jakich okolicznościach?

- Nadal rozmawiamy poufnie?

- Nie - odpowiedziała. - Czegoś takiego nie wolno mi wysłuchiwać nawet poufnie. Musiałabym o tym zameldować.

- W takim razie zapomnijmy o tym.

Niechętnie skinęła głową.

- Czy mogłabym coś panu poradzić? - zapytała.

- Musi się pani zapisać w kolejce.

- Niech pan zatrudni wykwalifikowanego prawnika - mówiła ignorując jego uwagę. - Nie Sloana. Rozmawiałam z nim i on się po prostu nie zna na prawie wojskowym. Niech pan weźmie jakiegoś dobrego adwokata z Izby Sądowej albo cywilnego prawnika z certyfikatem wojskowym.

- To znakomita rada, majorze. Trochę dziwne, że wychodzi od mojego oficera śledczego, ale i tak znakomita. Dzięki temu wiem, że pani jest po mojej stronie.

- Tak. Wracam jutro do Waszyngtonu dokończyć raport. Z tego powodu między innymi musiałam z panem porozmawiać. Chcę wiedzieć, czy ma pan zamiar dołączyć pisemne lub ustne oświadczenie do mojego raportu.

Tysonowi przebiegło przez myśl, że o to mogła zapytać go przez telefon.

- Zastanowię się nad tym. - Nagle coś go zaciekawiło. - Czy nie powinna już była pani odejść z czynnej służby?

- Powinnam. Ale nie dostałam pozwolenia. Kiedy złożę raport, oficjalnie kończy się

mój związek ze sprawą. Ale może zaistnieć konieczność powołania mnie w celu złożenia wyjaśnień i wolą, bym nie odpowiadała jako cywil. Muszę więc zostać w wojsku do całkowitego zamknięcia tej sprawy.

- A to niespodzianka. Przypuszczam, że wojsko wolałoby również, by nie udzielała pani wyjaśnień dziennikarzom, i to jest prawdziwy powód, dla którego panią trzymają. Innymi słowy, widziała pani i słyszała zbyt wiele, by panią wypuścić. To było oczywiste w momencie, kiedy brała pani tę sprawę. No cóż, kiedyś wreszcie panią puszczą.

- Nie przeszkadza mi, że zostaję w wojsku... chociaż to trochę pokrzyżowało moje plany. Miałam zamiar podjąć pracę w zespole adwokackim... tutaj, w Nowym Jorku.

- Poszukam pani, kiedy będę spisywał testament.

- Ale moje problemy w porównaniu z pańskimi to błahostki.

- Niech pani uważa, jeśli podąży pani tropem, poszukując śladów mieszania się rządu do sprawy; nagle mogą okazać się poważne. Zjedzą panią żywcem, majorze. Proszę więc posłuchać rady starszego człowieka, który przeżył zarówno w dżungli wielkiego biznesu, jak i w dżungli azjatyckiej. Niech pani nie próbuje być bohaterką. Już ja się będę martwił, o co chodzi rządowi.

- Mnie nie chodzi o pana, proszę to zrozumieć. Sprawiedliwości...

- Proszę. To słowo wywołuje u mnie ostatnio wybuch śmiechu. Niech pani gra po prostu dalej w tę grę. Ale proszę uważać. Niech zawsze ma pani za plecami ścianę, a przed sobą widok na drzwi, by obserwować, kto nimi wchodzi, i na wyłącznik światła lepiej też.

- Niech pan nie mówi nonsensów - zachnęła się.

- Są chwile, Karen, kiedy chciałbym, żebyś była mężczyzną, ale czasami cieszę się, że nim nie jesteś.

- To seksizm i w ogóle cała uwaga była zbyt osobista. Proszę nie używać mojego imienia. - Stali w milczeniu. - Czy poza pani przyjacielem - zapytał wreszcie Tyson - jakieś czynniki oficjalne też miały do pani pretensje?

Przez chwilę pocierała dolną wargę, a wreszcie przyznała:

- Tak. Dlatego chcieli, żebym ...

Roześmiał się.

- To nie jest śmieszne.

- Mężczyźni i kobiety są śmieszni. Kto pani tak naciskał na odciski? - zapytał. - Ten

sztyniak, Van Arken? Słyszałem i czytałem co nieco o facecie.

- Przypuszczam, że mogą mieć pana pod nadzorem - powiedziała, niedokładnie odpowiadając na pytanie.

- To mi nie przeszkadza. Nie próbuję uciec z kraju, nie spotykam się z obcym wywiadem i nie puszczam się.

- To dobrze. Czy mogłabym poprosić o papierosa?

- Jeszcze jednego? Paliła pani w zeszłym tygodniu.

Wyciągnął paczkę. Wzięła papierosa, a on jej podpalił. Zaciągnęła się i zakrztusiła.

- Powinien pan to rzucić - powiedziała, kiedy udało jej się złapać oddech.

- Przecież to pani kaszle.

- Proszę posłuchać, poruczniku... zaprzeczać... no, udawać, że... tu nie było jakiegoś... - Jeszcze raz pociągnęła papierosa, potem spojrzała na zegarek. - Muszę iść.

- Niech pani skończy zdanie.

- Cóż - kiwnęła głową - niektóre słowa i uczucia, myślę, że pan by powiedział... które nas złączyły... nie były całkiem związane ze śledztwem...

- Zgubiłem się, gdzie w pani zdaniu jest podmiot, a gdzie określenie. Czy pani uważa, że powstał między nami osobisty związek?

- Tak, właśnie to mam na myśli.

- Zainteresowanie.

- Tak bym to nazwała.

- No cóż, ja też. - I przypomniał jej: - Pani powiedziała w czasie naszego pierwszego spotkania, że to się nie stanie.

- Naprawdę?

- Tak. W każdym razie bardzo cię lubię, teraz atmosfera się wyczyściła.

- Tak.

Widział, jak jej ręka z papierosem drży, a sam poczuł, że ma całkiem suche usta.

- Więc... co powinniśmy z tym zrobić?

- Nic. - Odkasznęła i wyrzuciła papierosa. - Jeśli chce pan dodać jakieś oświadczenie do mojego raportu, proszę mnie poinformować do jutra do godziny dwunastej.

- Gdzie pani nocuje?

- Tutaj, w pokojach gościnnych.

- Czy możemy zjeść razem kolację?

- Na pewno nie. Chyba że chce mnie pan wpędzić w znacznie poważniejsze kłopoty od tych, w których już siedzę po uszy.

- Przepraszam. Nie chciałem tego.

- Gdyby to był ktokolwiek inny, nie pan, uznałabym to za działanie z premedytacją, w celu uzyskania przewagi. Ale i tak jest w tym tyle samo mojej winy co pana. - Wyciągnęła rękę. - Do widzenia, poruczniku.

- Wieczorem będę u siebie - powiedział biorąc w rękę jej dłoń.

- A ja u siebie. - Odwróciła się i odeszła.

Tyson patrzył, jak szła tarasem w pełnym blasku słońca. Powiedział do siebie: więc jednak pod tym mundurem jest ciało i krew. Wiedział, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, i wiedział też, że nic z tego nie wyniknie. W każdym razie nic w cielesnym znaczeniu. Ale rozumiał i ona na pewno też, że gdyby spotkali się w innej sytuacji, wynik też byłby inny. A kiedy przyjdzie taka chwila, że rozstaną się już na dobre, obojgu pozostanie przyjemna wiedza, że coś zmienili w swoim życiu na dobre.

Rozdział 28

Ben Tyson leżał wyciągnięty na tapczanie. Robiło się ciemno. Niewielkie pomieszczenie było duszne i gorące, więc miał na sobie tylko spodenki gimnastyczne. Z dobrze schłodzonej butelki piwa krople wody spływały na mały stolik. Usiadł i głęboko wciągnął powietrze. Po trzykilometrowej przebieżce wokół fortu czuł się wykończony.

- Palisz za dużo, pijesz za dużo i jesteś stary.

Przypomniawszy sobie wyczerpujące ćwiczenia w piechocie, które zniósł właściwie bez problemów: pięćdziesięciokilometrowe forsowne marsze z całym wyposażeniem na

grzbiecie, serie po sto pompek, wspinaczka po skałach nad wznoszącym się na wysokość pięciuset stóp wodospadem, podczas terenowego treningu w dżungli panamskiej.

- Mój Boże, wtedy byłeś twardzielem.

Powoli podniósł się i podszedł do niewielkiego wentylatora okiennego. Nie znał przepisów dotyczących używania klimatyzacji i mało o nie dbał, ponieważ postanowił otworzyć okno, choć kiedy stanął bliżej, jego zdecydowanie osłabło.

- Mięczak, Tyson. Jesteś po prostu mięczakiem.

Zrobił pięćdziesiąt podskoków, a potem serię skrętów. W tym czasie rozglądał się po pokoju. Był on świeżo wymalowany i sądząc po rozmiarach, pół galonu farby starczyło na całą robotę. Poza tapczanem mieściła się w nim jeszcze mała kuchenka i stół. Na górze znajdowały się dwie sypialnie i mała łazienka. Wszystkie apartamenty w wielosegmentowym budynku z czerwonej cegły były identyczne. Sąsiadowali z nim ludzie posiadający jedno lub dwójkę dzieci.

- Tyson - powiedział do siebie głośno - nie można się było z tobą skontaktować.

Tanie klonowe meble, własność rządu, poustawiane były dość przypadkowo, ale powiedziano mu, że może przywieźć własne. Starał się wyobrazić swoje meble w tym miejscu i stwierdził, że musiałby postawić je na bokach, żeby pasowały. Wolałby mieć zwykłą kawalerską kwaterę, bardziej przypominającą pokój hotelowy i bez tych pretensji do udawania domu. Ale ktoś w trzewiach Pentagonu, jakiś błyskotliwy, na pół stuknięty facet, postanowił, by Ben i Marcy mieli możliwość zamieszkania razem. Decyzja ta została prawdopodobnie podjęta przez kogoś, kto miał charakter opiekuna z zoo przyzwyczajonego decydować, kiedy i gdzie para nagrodzonych niedźwiedzi panda powinna się parzyć.

Drewnianych desek podłogi nie przykrywały żadne chodniki ani dywany, ale zgodnie ze zwyczajem wojskowym podłoga aż lśniła. W oknach były żaluzje, ale żadnych zasłon. Wyposażenie sypialni składało się z łóżka ze sprężynami, podwójnego materaca, szafki nocnej i nie pasującej do niej komody. W drugiej sypialni stało pojedyncze łóżko, prawdopodobnie dla Davida. Ben podpisał przydział pościeli i ręczników, ale oczekiwano, że w końcu przywiezie swoje własne.

W kuchni stała kuchenka i lodówka, i niewiele więcej. Nie było zlewu, ale nie miał też żadnych naczyń do mycia, więc to mu nie przeszkadzało. Zastanawiał się, czy nie powinien mieć dzbanka do kawy i zaprosić pułkownika z jego małżonką na kawę. W pełnej gali mundurowej. Tylko proszę przynieść własne filiżanki i łyżeczki.

Tyson wyprostował się i kilka razy głęboko odetchnął. Słońce już zaszło i pokój oświetlało jedynie światło ulicznych lamp, rzucając jasne smugi poprzez żaluzje. Nie dostał telewizora i nie zawracał sobie głowy kupnem radia. Amerykański prymityw.

Zrozumiał, jak kruche i poza wszelkimi normami było jego podmiejskie życie.

Musiał przypomnieć sobie, że właściwie nie był to areszt domowy. Miał obowiązek przebywać w kwaterze jedynie między północą a szóstą rano. Mógłby wsiąść w metro, pojechać na Manhattan i zjeść z kimś kolację. Mógłby nawet zdążyć wybrać się samochodem do Garden City, do swojego klubu lub do własnego domu, włączyć klimatyzację, pooglądać telewizję lub wskoczyć do jacuzzi. Ale nie miał na to ochoty. Chciał zostać tutaj, spocony, znudzony, samotny, cierpiący i stawać się twardzielem.

- Twardzielu - powiedział głośno.

Skończył ćwiczenia i znowu stanął przed wentylatorem zamontowanym w oknie. Jego uwagę zwrócił jakiś ruch na zewnątrz, przysunął oko bliżej szpary między żaluzjami. Wąską dróżką wcinającą się pomiędzy rzędy budynków ktoś nadchodził. Kobieta ubrana była w jasne spodnie i ciemną górę. Obie ręce miała zajęte, a idąc patrzyła na tabliczki mijanych domów. Zatrzymała się przed jego segmentem, zawahała się, a potem podeszła do drzwi. W świetle ulicznej lampy zobaczył Karen Harper niosącą zwinięty parasol.

Widział, jak opiera go o drzwi, a potem uchyla skrzynkę na listy i wsuwa do niej kopertę w wojskowym kolorze. Ben wyszedł szybko na korytarz i wypchnął kopertę na zewnątrz. Pokazała się znowu, a on znowu ją odepchnął, tym razem spotykając się z pewnym oporem.

- Co pan robi?! - zawołała cicho major Harper. - Niech pan odejdzie stamtąd.

- Czy to rachunek? - zapytał przez szparę na listy.

- Niech pan nie będzie idiotą. Proszę to wziąć.

Chwycił kopertę i wciągnął ją do środka. Otworzył drzwi. Parasol upadł mu na stopy. Spojrzał na ścieżkę. Karen Harper była już w pół drogi do uliczki. Podniósł parasol, zauważył, że ma jeszcze metkę, i wrzucił go do salonu. Zatrzasnął drzwi i ruszył za nią z kopertą w ręce. Dogonił major Harper, kiedy skręcała w uliczkę. Szli ramię w ramię w milczeniu.

- Jeśli ma pan zamiar spacerować ze mną, niech się pan ubierze - powiedziała wreszcie.

- Za gorąco. Co tam jest w kopercie?

- Proszę otworzyć, to pan zobaczy. Kiedy zamierza pan zainstalować telefon?

- Kiedy będę chciał do kogoś zadzwonić.

- Powinien pan mieć telefon dla wygody śledztwa.

Mam telefon w Garden City, Sag Harbor i w moim pożyczonym mieszkaniu na Manhattanie. Nie sądzę, żeby było mnie stać na kolejny.

- No cóż, nikt nie może panu rozkazać zainstalowania telefonu, ale sporo spraw by to ułatwiło. Na przykład kontakty z rodziną.

- Zastanowię się nad tym. Chodźmy z powrotem. Poczęstuję panią piwem.

- Czeka mnie praca.

- Chcę porozmawiać o moim oświadczeniu.

- Dobrze. - Zwolniła. - Ale nie możemy rozmawiać u pana.

- Wezmę coś do ubrania i pójdziemy się przejść. Proszę wejść na chwilę, zobaczy pani, jak mieszkam.

Zawahała się, ale ruszyła za nim. Wprowadził ją do środka, a potem zapalił lampkę przy kanapie. Przyjrzał się jej w świetle. Miała na sobie prostą niebieską koszulę z krótkimi rękawami i jasne, bawełniane spodnie. Na nogach tenisówki.

Karen Harper zerknęła na niego, starając się cały czas patrzeć na twarz i za nic nie spuścić wzroku na jego prawie nagie ciało.

Tyson pomyślał, że jest jej nieźle w cywilnym ubraniu. Zauważył również, że jest szczuplejsza, niż wydawała się w mundurze - mniejszy biust i biodra, bardziej gibka, smuklejsza sylwetka. Machnął ręką wskazując na pokój.

- Nieźle jak na oficera i dżentelmena. - I dodał: - Powinno się postawić lustro, wtedy sprawiałoby wrażenie większego.

Nie odpowiedziała, ale patrzyła na niego dziwnie.

- Och, tak. Karaluchy. Ale pluskwy na pewno nie. - Uśmiechnął się. - Ben Tyson wie to na sto procent. Dziś rano była tu prywatna firma i sprawdziła, czy nie ma żadnych paskudztw. Całkiem słono mnie to kosztowało. Chciałbym, żeby coś znaleźli. Wtedy dopiero byłaby zabawa.

- Jest pan dokładnym człowiekiem.

- Staję się. A co do telefonu, to i tak nie mógłbym mówić o niczym interesującym. A wracając do tematu pluskiew, ma pani moje słowo honoru oficera i dżentelmena, że ja nie założyłem tu żadnych urzędzeń zapisujących ani przekazujących.

- Nie musiał pan tego mówić - stwierdziła.

- Nie, my jesteśmy ponad to. Ale po prostu tak dla pewności, czy mógłbym sprawdzić panią?

- Zdecydowanie nie. - Uśmiechnęła się.

- Nie zawadzi zapytać. - Wzruszył ramionami. - Gra zrobiła się całkiem poważna. Zabrali mi paszport, jestem pewien, że ktoś mnie śledzi i nałożono na mnie ograniczenia.

- Te ograniczenia nie są zbyt okropne.

- Ten dom jest okropny. Chce pani zobaczyć resztę?

- Nie. - I dodała mniej serdecznym tonem: - Jeśli ma się pan za męczennika, powinien pan na to spojrzeć z perspektywy. Rozejrzała się po pokoju. - Większość ludzi przez całe życie nie dorobi się takiego mieszkania. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby współczuć z powodu tego, że ktoś stracił pałac i musi mieszkać w dworku. Połowa populacji świata dałaby sobie odciąć lewą rękę, by mieszkać w dworku,

Ben nie odpowiedział.

Przez chwilę stała w milczeniu.

- Widzi pan - odezwała się wreszcie - pańskim prawdziwym problemem jest to, że może pan zostać postawiony przed sądem pod zarzutem morderstwa. Obniżenie standardu życia to przy tym fraszka. Radziłabym więcej troski poświęcić temu problemowi, a mniej wygodzie. - Zamilkła. - Przepraszam, nie powinnam pana pouczać.

- Ale ma pani rację. Doszedłem do tego samego wniosku. Mam zamiar spędzić tutaj tyle czasu, ile się da, aż się to wszystko rozwiąże. Jeśli wyląduję w Leavenworth, przejście nie będzie tak szokujące. A jeśli wrócę do domu, będę całował mój kosz na śmieci. - Uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Muszę przyznać, że jest diabelnie gorąco.

- Chce pani piwa?

- Poproszę.

Tyson przeszedł do kuchni i wrócił z dwiema otwartymi butelkami. Podał jej jedną.

- Te szklanki są prosto od Bloomingdale'a. Prawda, że wyglądają jak butelki? *Tres chic*. - I dodał szybko: - Nie narzekam. Lubię pić piwo z butelki.

- Wątpię.

Ben podniósł butelkę i przełknął pół zawartości. Ona także wypiała,

- Co jest w kopercie? - zapytał.

- Po prostu formularze do podpisania.

- Nie podpiszę żadnych wojskowych formularzy.

- Słyszałam.

- Naprawdę? Nowiny szybko podróżują.

- Wiele osób się panem interesuje. Proszę o tym nie zapominać. Ale to są formularze stwierdzające, gdzie i kiedy spotykaliśmy się, a także potwierdzenie, że odczytałam panu listę jego praw. Może je pan pokazać adwokatowi przed podpisaniem, ale chciałabym mieć je z powrotem jutro przed wyjazdem.

- A jeśli nie uda mi się skontaktować z adwokatem?

- No cóż, w takim razie... proszę mi je wysłać do Waszyngtonu.

- Potrzebne są pani do raportu?

- Tak.

- Tego, który musi pani oddać za pięć dni.

- No... myślałam, że jeśli już tutaj jestem, to sama je panu podrzucę. No i jeszcze parasol...

- To miło z pani strony, że zastąpiła pani pocztę. Szczególnie biorąc pod uwagę, że wszystko dostarczono by do muzeum jutro rano. Ale lubię podejście osobiste.

- Tak, to rzeczywiście uprzejmie z mojej strony. - Zmieniła temat. - Czy pańska rodzina zamieszka tu z panem?

- Sądzę, że mając wybór między kurortem a tym miejscem, wybiorą kurort - odpowiedział.

Milczała, ale widział, że zastanawia się. Dodał:

- To nie jest kwestia lojalności ani nie świadczy o braku poparcia. Tak jest po prostu praktyczniej. Nie chcę, żeby byli tu ze mną i powiedziałem im to. Będę się z nimi widywał w czasie weekendów.

Skinęła głową.

- Niewygodna może prowadzić do niepotrzebnych napięć dodał. - Mój syn nie będzie miał tutaj przyjaciół. Marcy może być narażona na nieprzyjemności - ze względu na obecność dziennikarzy. O to chodzi.

Karen Harper znowu skinęła głową.

- Oczywiście wiem, że mogliby wrócić do Garden City i wtedy byłibyśmy bliżej. - Tyson odchrząknął. - Ale myślę, że znacznie lepiej będzie, jeżeli wszyscy zostaną tam, gdzie są, przynajmniej teraz w lecie.

- Też tak myślę. - Odstawiła piwo na stolik i spojrzała na zegarek. - Jesteśmy tutaj już jakieś dziesięć minut. Myślę, że nie powinniśmy tego spotkania przedłużać.

- Na wypadek gdyby ktoś nas śledził.

- Właśnie. Jak się okazało, wiedzieli, że byłam tamtego wieczoru u pana w pokoju. Dobrze się więc stało, że umieściłam to w swoim raporcie. Ale nie chciałabym już z niczego więcej się tłumaczyć. - Skierowała się w stronę drzwi.

Ben odstawił butelkę, wsunął stopy w sandały i wciągnął na siebie podkoszulek. Otworzył drzwi i wyszli razem.

Szli Sterling Drive, z widokiem na Shore Parkway. Tyson patrzył na wodę. Było coś niezaprzeczalnie magicznego w światłach portu i łodziach w ten letni wieczór.

- Pewnie pan myśli, że przyszedłam do pańskiego domu, bo chciałam pana zobaczyć - powiedziała. - Nie jestem tego taka pewna. Kiedy przyszedłam i zobaczyłam, że nie palą się światła, pomyślałam, że pana nie ma, i poczułam... poczułam...

- Ulgę i zawód.

- Tak. Pomyślałam, że pójdę na spacer, a potem wrócę z parasolem i kopertą, ale potem... potem stwierdziłam, że po prostu je wrzucę...

- I pomyślała pani, że ja mogę w tej samej chwili być w hotelu gościnnym szukając pani i że po prostu się rozminęliśmy.

- Dlaczego wcale się nie czuję głupio?

- Ponieważ wie pani, że ja tego nie uważam za głupie. - Stał, ale nie odwrócił się w jej stronę. Wpatrywał się w odległy horyzont, gdzie czarny ocean spotykał się z czarnym niebem. Powiedział: - Sytuacja, w jakiej poznaliśmy się, jest wypełniona emocjami, dlatego można się było spodziewać silnie emocjonalnych reakcji: nienawiści lub... no cóż, pociągu czy może z braku lepszego słowa nazwijmy to zainteresowaniem.

- Wiem. Zastanawiałam się, czy gdybyśmy spotkali się w jakiejś normalnej sytuacji, w ogóle zaszczyciłabym pana drugim spojrzeniem.

- Gdybym ja spotkał panią w innej sytuacji, zwróciłbym na panią uwagę - powiedział z uśmiechem.

Ruszyła, a on poszedł za nią.

- Porozmawiajmy o czymś innym - powiedziała. - Chciałabym udzielić panu pewnych wskazówek dotyczących oświadczenia, które mógłby pan dołączyć do mojego raportu.

- Dałem pani oświadczenie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - odparł. - Jaki miałby być cel następnego?

- W tamtym oświadczeniu powiedział pan, że była to operacja wojskowa przeciwko uzbrojonemu wrogowi. Wtedy to wystarczało. Ale teraz musi pan kategorycznie odrzucić zarzuty świadków. Brandta i Farleya. Widzi pan, ich zeznania to wszystko, co rząd ma przeciwko panu. Wywiad Picarda z siostrą Teresą jest niewiarygodny i nie może zostać dopuszczony jako dowód. Nie ma też przeciwko panu żadnych dowodów pisemnych ani rzeczowych. A więc cała sprawa obraca się wokół Brandta i, choć w mniejszym stopniu, Farleya.

Ben skinął głową. Sam już do tego doszedł.

- Powinienem więc zaprzeczyć im?

- Tak. Lub wykazać, czemu kłamią albo dlaczego są niewiarygodnymi świadkami oskarżenia. Innymi słowy, trzeba osłabić ich wiarygodność, ujawniając, czy były pomiędzy wami jakieś niesnaski.

- To miło, że pani mi to mówi.

- Adwokat powie panu to samo. Ja mogę jedynie zasugerować, że powinien pan zdyskredytować Brandta - on jest kluczowy - wtedy armia może zrezygnować w ogóle ze śledztwa.

Tyson kiwnął głową.

- Czy może pan zdyskredytować Brandta?

- W jakimś sensie mógłbym. Ale to oczywiście oznaczałoby opisanie jego roli tam. Nie, jak żył potem, ponieważ nic nie wiem o jego życiu poza tym, co czytałem i co wskazuje, że jest niezłym lekarzem, żonatym od szesnastu lat, mającym syna w wieku mojego syna i córkę. Dlaczego miałbym opowiadać o czymś, co się zdarzyło dwadzieścia lat temu? Czy ratowanie własnej skóry jest aż tak ważne?

- Mam nadzieję, że tak.

- Ale to byłoby zaprzeczeniem wszystkiego, w co ja wierzę. To znaczy, że przeszłość powinna być wybaczona. Jeśli chcę być osądzany przez pryzmat tego, jak żyłem od czasu Wietnamu, czym usprawiedliwię wyciąganie przeszłości i rzucanie jej w twarz Brandtowi?

- On to zrobił.

- To jego problem. Ja nie jestem nim.

- Pułkownik Levin miał rację. - Pokręciła głową.

- To nie znaczy, że nie mam instynktu samozachowawczego - powiedział Ben spoglądając na nią. - Odwrotnie. Każda rada, jaką dotychczas otrzymałem, budziła we mnie odrazę. Kiedy to wszystko się skończy, ja jeden będę musiał dalej żyć z Benem Tysonem. Postaram się nie przegrać, ale bez kłamstw, zniesławiania i kompromisów. Chcę, żeby to był czysty werdykt, nawet jeśli orzeknie o mojej winie.

- Ma pan prawo postępować zgodnie z własnymi przekonaniemami. - Skinęła głową. - Ale biorąc pod uwagę zgromadzone fakty oraz odmowę napisania oświadczenia podważającego zeznania Brandta, mam nadzieję, iż pan rozumie, że nie mam wyboru, muszę zarekomendować prowadzenie śledztwa.

- Nie potraktuję tej sprawy osobiście.

Zeszła z chodnika na trawę, wciskając ręce w kieszenie. Wpatrywała się w samochody mknące po Shore Parkway.

- Co jeszcze mogłabym zrobić? - zapytała samą siebie.

Tyson stał nieco dalej i przyglądał się jej. Lekka bryza od lądu rozwiewała jej włosy. Pomyślał, że na tle przyrody wygląda bardzo naturalnie. Z wiatrem i morzem było jej do twarzy.

- Dlaczego nie wierzy pani Sadowskiemu i Scorellowi? Czy uważa ich pani za kłamców? I mnie też?

- Nie. - Odwróciła głowę w jego stronę. - Ale zarzutom łatwiej daje się wiarę niż zaprzeczeniom.

- Dlaczego?

- To jest oczywiste. Po prostu na to wskazuje zdrowy rozsądek. Steven Brandt jest ogólnie szanowanym lekarzem i...

- Nieważne. Ja też to rozumiem. - Spojrzał w lewo.

Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od miejsca, w którym stał, znajdowało się Sag Harbor. Czuł gniew i gorycz, że nie jest tam ze swoją żoną i synem na tarasie letniskowego domu. A powinien być być z nimi również w Święto Dziękczynienia.

- Dziewięćdziesiąt dni? - zapytał.

- Tak stanowi prawo.

- Czy uda się wszystko przygotować w dziewięćdziesiąt dni?

- Gdyby zapadła decyzja umorzenia sprawy, moglibyśmy to skończyć nawet w przyszłym tygodniu. Ale jeśli postanowią ciągnąć sprawę dalej, jedyne, co trzeba zrobić, to skontaktować się z pozostałymi świadkami i ustalić, po której stronie będą zeznawać.

- Czy znalazła pani jakichś dodatkowych świadków?

- Znajdzie pan informację na ten temat w kopercie.

- Co zawiera informacja w kopercie?

- Usłyszy pan w wiadomościach wieczornych. - Spojrzała na niego. - I przeczyta w jutrzejszych gazetach. Harold Simcox zginął w wypadku samochodowym. Tuż w pobliżu swego domu w Madison, Wisconsin. Jadąc bardzo szybko, uderzył we wspornik mostu. Miał bardzo wysoki procent alkoholu we krwi.

Ben przez chwilę nasłuchiwał szumu wody i starał się wywołać w pamięci twarz Simcoxa, ale ku własnemu zdziwieniu nie potrafił. Nie pomagało nawet to, że niedawno przeglądał swój album ze zdjęciami z wojska. Simcox zawsze był gdzie indziej albo odwracał się od aparatu, albo groteskowo malował sobie twarz, albo ocieniał ją kapeluszem z trzciny, który często nosił. Harold Simcox. Tyson czuł, że coś jeszcze wisi w powietrzu. Coś złowróżbnego.

- Wypadek? - zapytał.

- Nie wiem. Był rozwiedziony, stracił pracę, uważano go za nieudacznika. Nie zostawił żadnej kartki.

- Czasami nie ma się nic do powiedzenia. - A czasami, pomyślał, ma się zbyt wiele i już lepiej nic nie mówić. Harold Simcox był potencjalnym samobójcą. Moody zmarł na raka. Przypomniawszy sobie patrole na ogołconych terenach. Ta wojna nigdy nie przestanie zabijać i kaleczyć. Następny będzie Richard Farley. - Nie jestem zabobonny... ale w wojsku są pechowe oddziały tak jak w marynarce pechowe statki. Zawsze miałem takie uczucie, że Siódma Kawaleryjska nie ma szczęścia. Dzień, kiedy walczyła pod Little Big Horn, nie był jedynym pechowym w jej historii. - Westchnął głęboko. - Może zresztą nie chodzi tu o pecha ani o szczęście, ale o zbiorową psychikę jednostek wojskowych, pułkownik Levin

nazwał to wspólną pamięcią.

Nie odpowiedziała, stali oboje w milczeniu. Wiatr wzrastał się. Po dobrej chwili Harper zawróciła i ruszyła z powrotem drogą, którą przyszedli. Ben poszedł za nią. Doszła do ławki i usiadła. Zajął miejsce na drugim końcu.

- Czy była pani przy pomniku? - zapytał.

Kiwnęła głową.

Przez chwilę czekał.

- To jest takie miejsce - powiedział - które próbuje się wyrzucić z myśli. Ja tak robiłem.

- Tak, ja też. Ponieważ to cmentarz. Ale widok tej ściany i tych wszystkich nazwisk daje też jakąś perspektywę. Pomyślałam, że żaden z tych mężczyzn nie umarł w samotności, umierali w walce, pomiędzy przyjaciółmi i to przyjaciółmi, którzy chcieli pomścić ich śmierć, co w zwykłym życiu po prostu się nie zdarza. I pomyślałam, że to, iż ściana ma kształt litery „V”, co można wziąć za symbol Wietnamu, można również potraktować jako znak zwycięstwa. I że wojna, która zostaje poczęta jako strategia, staje się walką rozgrywaną przez każdego pojedynczego człowieka. Starłam się użyć tej perspektywy, by zrozumieć, co się stało w Szpitalu Miłosierdzia.

Tyson czekał.

- A wracając do świadków - odezwała się wreszcie. - Nie biorąc pod uwagę dalszych możliwych zgonów, podczas rozprawy będzie co najmniej czterech świadków. Dwóch oskarżenia, Brandt i Farley, i dwóch obrony, Sadowski i Scorello. Być może znajdą się Louis Kalane, Hernando Beltran i Lee Walker. Pomijam Dana Kelly'ego i Michaela DeTonqa. No i jest jeszcze siostra Teresa.

Spojrzał na nią.

- Nie udało się jej znaleźć - powiedziała. - Zastanawiam się, czemu się nie zgłosiła.

- Ja się zastanawiam, czy w ogóle kiedykolwiek istniała. Cała ta sprawa stała się jakaś nierealna. Nie mogę uwierzyć, że się dzieje, i dlatego nie potrafię traktować jej zbyt poważnie. To przypomina moje pierwsze doświadczenie wojenne. Były właśnie kompletnie odrealnione - ludzie strzelali z prawdziwej broni ostrą amunicją i to do mnie. Czy wie pani, co robiłem? Śmiałem się. To było zbyt groteskowe. Jak film wojenny. I teraz, dwadzieścia lat później, ludzie pytają mnie o coś, co według mnie po prostu się nie zdarzyło, kiedy się zdarzało. Czy rozumie mnie pani?

- Tak. Słyszałam to już wcześniej, nawet o tym śmiechu w czasie walki. - Odwróciła się od niego i powiedziała: - To mi o czymś przypomina. Niedługo będzie pan musiał przejść

test psychiatryczny. Przy sprawach o zbrodnie pierwszego stopnia to w dzisiejszych czasach standard.

- Naprawdę? I jak to świadczy o nas jako o narodzie? Zastanawiam się, dlaczego nie postawią mnie przed kapelanami, żeby sprawdzić, czy moja moralność nie jest chora. Bo jeśli tak, to potrzeba mi religijnej i etycznej terapii, a nie sądu wojskowego.

- To wcale nie jest tak absurdalne, jakby się w pierwszej chwili wydawało - powiedziała z uśmiechem. - W każdym razie zostanie pan poddany serii testów psychologicznych. Przypuszczam, że to się nic bardzo panu spodoba. To znaczy samo otrzymanie rozkazu, żeby pójść tu czy tam i coś tam robić.

- To zbyt mało powiedziane. Nie podoba mi się, że sprawdzano mój stan zdrowia, zrobiono mi zdjęcie, kazano mi tu zamieszkać i obciąć włosy, i że musiałem wysłuchać wykładu, jak dzisiaj nosi się mundur, i tak dalej, i tak dalej.

- Jest pan cywilem do szpiku kości - stwierdziła Karen Harper. - Ale być może przypomina pan sobie, że można do wszystkiego przywyknąć.

- Tego właśnie się boję. Nie chcę do niczego przywyknąć. Wolę pozostać taki, jaki jestem.

- Musi się pan trochę ugiąć. Na tym polega służba. Niech pan nie będzie zły ani zgorzkniały. A jeśli nawet, proszę tego nie okazywać. To nic nie da.

- Ma pani rację. - Kiwnął głową. - Nie chcę nienawidzić wojska ani mojego kraju, ani niczego, co jest związane ze śledztwem. Nie istnieje żaden geniusz zła, który pragnie mnie ukrzyżować. Są jedynie urzędnicy wykonujące swoją pracę zgodnie z literą prawa. Fakt, że winnych może być wielu, ale skazany tylko jeden, nie uprawnia mnie do kwestionowania tego prawa.

- Jest pan zły.

- W każdym razie system prawny można pobić tylko przy pomocy prawników. Więc stosując się do pani rady wezmę dobrego adwokata. Zarekomendowano mi jednego i już zadzwoniłem do niego. Odezwał się do mnie, kiedy wróciłem do muzeum dziś po południu.

- Zatrudni go pan?

- Być może. Zrobił na mnie dobre wrażenie. Umówiłem się z nim na jutro rano. Ale w tym samym czasie przychodzą dzieci z wakacyjnej szkoły zwiedzać muzeum. Co mam zrobić?

- Niech pan pójdzie spotkać się z adwokatem. A przy okazji, co się stało z tą grupą

emerytów. Czekali na pana?

- O, tak. Nie mają nic poza czasem. Zadawali mi kłopotliwe pytania na pani temat. Prawdę mówiąc, chcieli wiedzieć, czy mam poważne zamiary.

Uśmiechnęła się, ale nie kontynuowała tematu.

- Jeśli zatrudni pan tego adwokata, proszę mnie zawiadomić. Wyślę mu swój raport.

- Mogę już teraz powiedzieć pani, kto to jest. Vincent Corva.

- Słyszałam o nim. - Skinęła powoli głową. - Ma uprawnienia z Izby Wojskowej.

- Tak powiedział, ale czy jest dobry?

- No cóż, nie powinnam się wypowiadać. Ale widziałam go raz w Forcie Jackson.

- Kto wygrał?

- Wojsko. Ale... to była bardzo trudna sprawa. Oskarżonemu -kapitanowi - zarzucono zabójstwo. - Znalazł w łóżku żony kochanka - dodała.

- O, to brzmi interesująco. Niech pani mówi dalej.

- No... - wzruszyła ramionami - kapitan miał tej nocy służbę, jechał jeepem sprawdzając posterunki i po drodze zajechał do domu. Pewnie coś podejrzewał. W każdym razie nakrył ich... żonę z młodym porucznikiem... razem... in flagranti... wyciągnął swoją czterdziestkę-piątkę, wystrzelił, no i zabił porucznika.

Ben pochylił się ku niej, wykazując więcej zainteresowania, niż naprawdę odczuwał.

- Jak blisko podszedł? Ile oddał strzałów? W kogo celował?

Uśmiechnęła się, najwyraźniej rozweselona jego natarczywością.

- To zabawne, że pan pyta o takie rzeczy - powiedziała. - Corva w swoim wystąpieniu końcowym powiedział coś takiego: „Każdy żołnierz, który potrafi trafić w... poruszający się cel jednym strzałem z czterdziestkapiątki, bez zranienia osoby... znajdującej się bezpośrednio pod... celem, powinien otrzymać pochwałę, niezależnie od tego, czy jest w stanie utrzymać na wodzy swoje emocje...” czy coś w tym rodzaju. Stwierdzenie było absurdalne i dość idiotyczne... ale zadziałało.

- Czy sąd był ubawiony?

- Tak, rozległy się śmiechy. To zdanie zaapelowało do... pierwiastka męskiego... zebranych oficerów.

- A co z oskarżonym?

- Otrzymał jeden głos na dziesięć w sprawie zabójstwa, ale trzepnęli go na dwa lata za opuszczenie stanowiska i zaniedbanie służby.

- Oto całe wojsko - stwierdził Tyson. - Facet miałby poważniejsze kłopoty, gdyby nie oczyścił dobrze pistoletu i strzał nie był taki celny.

Karen Harper wyciągnęła nogi i oparła się o ławkę.

- To pewna przesada. Ale chciał pan pewnie powiedzieć, że w sądzie wojskowym istnieją inne priorytety niż w cywilnym. I o tym zarówno pan, jak i adwokat Corva powinniście przez cały czas pamiętać. I jestem pewna, że będziecie. Wydaje mi się, że on jest dobry, choć na pozór może wyglądać inaczej. Ale zazwyczaj podejmował się obrony beznadziejnych przypadków. - Spojrzała w stronę oceanu. - Nadchodzi sztorm. Widzi pan?

Ben odwrócił się od niej i spojrzał na wodę. Na ciemnym bezkresie otwartego morza zaczynały się tworzyć białe grzywacze, a gwiazdy na horyzoncie wydawały się jakby rozmazane przez deszcz.

- Muszę wracać. - Wstała. - Czeka mnie jeszcze sporo pracy.

Podniósł się również i ruszyli w stronę budynków. Spadło kilka ciężkich kropli, które od razu wyparowały.

- Pożyczę pani jeszcze raz parasol, jeśli obieca pani, że tym razem go nie zgubi.

- No... - Przyspieszyła kroku. Teraz już padało na dobre. Przed nimi widać było światła domków oficerskich. Hotel dla gości znajdował się o jakieś pół kilometra dalej. - Dobrze - zgodziła się i pobiegła w kierunku jego kwatery.

Byli przemoczeni do suchej nitki, kiedy dopadli do drzwi. Tyson nie zamknął ich wcześniej, więc teraz z impetem je otworzył. Wpadli do środka dysząc ciężko. Ben przetarł twarz.

- Dam pani ręcznik - powiedział.

- Jeśli to nie będzie kłopot.

- Nie, wojsko przydzieliło mi trzy ręczniki. Nie chce pani zaczekać, aż przejdzie?

- Nie. Poproszę tylko o parasol.

- Mogę panią podwieźć do hotelu.

- Pójdę na piechotę.

- Piwo?

- Nie, dziękuję. Ręcznik.

Popatrzył na nią, strużki deszczu spływały jej po policzkach. Wyciągnął dłoń i starł wilgoć z brwi i policzków palcami. Ich wzrok spotkał się, ale nie odwrócili oczu. Oparł dłonie na jej ramionach. Stała nieruchomo, potem położyła lewą dłoń na jego boku i z wahaniem, prawą na ramieniu. Ben słyszał walenie własnego serca i widział, jak na jej szyi drga mała żyłka. Czuł, że i jego, i jej ręce dygoczą. Przyciągnął ją bliżej.

Ciszę przerwał odgłos kroków na schodach. Odskoczyli od siebie. W drzwiach pojawiła się Marcy.

- Wydawało mi się, że usłyszałam głosy - powiedziała.

- Marcy, chciałem ci przedstawić major Karen Harper - powiedział Tyson.

Rozdział 29

Generał William Van Arken usiadł na końcu sali wykładowej i przysłuchiwał się instruktorowi, pułkownikowi Ambrose'owi Hortonowi, kończącemu właśnie swoją przemowę do dwudziestu paru studentów akademii wojskowej zajmujących przednie rzędy. Głęboki głos Hortona, z silnym akcentem południowca, nie wspomagany przez żaden mikrofon odbijał się echem po prawie pustym amfiteatrze. Budynek, położony na

terenie kampusu uniwersytetu stanowego Wirginii w Charlottesville, znajdował się jakieś trzy godziny jazdy od Pentagonu.

Wzrok pułkownika przesunął się z przednich rzędów i spoczął na generale Van Arkenie ubranym w cywilny, ciemnoniebieski garnitur. Wypadało studentom przedstawić prezesa Izby Wojskowej, ich przyszłego szefa. Byłby to niewątpliwy zaszczyt. Ale instynkt Hortona podpowiadał mu, że generał woli pozostać anonimowy. Powrócił wzrokiem do pierwszych rzędów i powiedział:

- Dowódcy twierdzą, że nie ma bardziej uczciwego miejsca niż pole bitwy. Prawnicy tacy jak my mówią, że jeśli chodzi o zbrodnie wojenne, istnieje jedyna w swoim rodzaju trudność w odkrywaniu prawdy o żołnierzu wykonującym swe zadanie bojowe.

Generał przysłuchiwał się, jak echo słów pułkownika Hortona zamiera pod sklepieniem. Zegar na wieży wybił ósmą, ale studenci nawet nie drgnęli. Przez wysokie okna nie wpadały już promienie słońca i wszystko w środku wydało się nagle jakby chropowate.

- Podczas następnego spotkania - podsumował pułkownik - zastanowimy się nad tymi dwoma stwierdzeniami i spróbujemy je pogodzić. Szczególnie zatrzymamy się przy czynach ohydnych, zastanowimy się, dlaczego się zdarzają i jak my, prawnicy wojskowi, mamy sobie z nimi radzić. Dziękuję państwu.

Kiedy Horton zszedł z katedry i ruszył środkowym przejściem między ławkami, studenci jak jeden mąż podnieśli się. Van Arken spotkał się z nim w połowie drogi.

- Dobry wieczór, generale - powiedział pułkownik. - Co za niespodziewana przyjemność.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Jestem tu nieoficjalnie - powiedział Van Arken. - Przejdźmy się.

Wyszli z sali wykładowej w ciepłą noc i ruszyli przez wyludniony kampus.

- Chciałem zasięgnąć pańskiej opinii w sprawie Tysona - odezwał się generał.

- Nieoficjalnie? - zapytał Horton.

- Oczywiście. - Van Arken rzucił na pułkownika szybkie spojrzenie.

Horton miał około siedemdziesiątki, ale trzymał się nieźle. Był ostatnim oficerem w całej armii amerykańskiej, który brał udział w procesie norymberskim. Przez wielu uważany był za rzecznika rozwagi w sprawach prawnych. Wykładał filozofię i etykę prawa zarówno na uczelniach cywilnych, jak i w akademii wojskowej. Mimo swojej pozycji

ominała go dwukrotnie nominacja na generała brygady i ze wszystkich innych stanowisk w wojsku również musiał zrezygnować.

- Może byśmy spoczęli na chwilę - zaproponował generał wskazując drewnianą ławkę.

Pułkownik skinął głową i usiadł ciężko.

- Miałem dzisiaj sporo zajęć - usprawiedliwił się.

- Mnie też ten upał wykończy - odpowiedział dyplomatycznie Van Arken. Spojrzał staremu żołnierzowi głęboko w oczy. - Czy możemy porozmawiać w zaufaniu?

Horton rozpiął zieloną kurtkę munduru i rozluźnił krawat.

- Jeśli nie możemy, niech lepiej pan stąd odjedzie, generale - wycedził.

Van Arken przyglądał się mu przez chwilę. Pułkownik wprawiał go często w zakłopotanie. Ten człowiek potrafił pozostać niezależny i nie bał się kłopotliwych sytuacji. Na swoich wykładach opowiadał dokładnie o procesie norymberskim, o sprawie Calleya-Mediny i innych kontrowersyjnych obszarach prawa wojskowego. Armia nie zawsze była tym zachwycona. Podobnie zresztą jak sam generał. I z tej właśnie przyczyny Horton pozostał w stopniu pułkownika. Ale w tej chwili Van Arken potrzebował uczciwych odpowiedzi, a właśnie takich udzielał pułkownik.

- Mówi się, że major Karen Harper nieodwołalnie zniweczyła możliwość wystąpienia armii przeciw Tysonowi - powiedział.

- No cóż - stwierdził Horton - jeśli dobrze zrozumiałem, to co się wydarzyło pomiędzy Tysonem a Harper - to jakby magia. Teoria prawa stanowi, że nie da się cieszyć owocami z zatrutego drzewa. Ale wszyscy wiemy, że są one równie smaczne. Jeśli nie smaczniejsze. A jeżeli chodzi o śledztwo przeprowadzone zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym, można je uznać za sukces. Tylko trzeba je zakończyć. Szybko.

- Zrobiłem to - powiedział generał.

- Dobrze. I jak pan sądzi, co Harper zarekomenduje?

- To tylko zależy od tego, czy Tyson podważył zeznania doktora Brandta. - Van Arken potrząsnął głową. - Jeśli to mu się udało i jeśli wszystko, co powie o Brandcie, da się udowodnić, słowa doktora przestaną mieć jakąkolwiek wagę. Nie pójdę do sądu, mając tylko dwóch trzęsących się świadków, nic więcej. Prokurator wojskowy także nie.

- Ale z tego, co dzisiaj wiadomo - zapytał pułkownik - czy zeznania doktora Brandta są do podważenia?

- Wszystko na to wskazuje. Oczywiście nie kontaktowałem się z major Harper. -
General spojrzał na swego rozmówcę. - Ma pan ochotę się przejść?

- Tak. - Horton wstał i zapiął kurtkę.

Ruszyli ścieżką przez zielony trawnik. Oświetlone okna budynku rzucały jasny wzór na trawnik.

- W czasie sprawy Calleya oskarżony nie cieszył się popularnością w Izbie Wojskowej. Tutaj jest inna sytuacja. Pewni ludzie na górze - W Białym Domu i Ministerstwie Sprawiedliwości - zaczynają się wahać. Uważam, że naszym obowiązkiem w stosunku do armii i narodu jest naciskać, by rozprawa doszła do skutku. Ciekaw jestem, czy pan się ze mną zgadza?

Pułkownik rozejrzał się wokół po oświetlonych budynkach. Kochał ten stary uniwersytet ufundowany prawie dwa wieki temu przez Thomasa Jeffersona. Był to niezwykle przykład neoklasycystycznej budowli: kolumny, kopuły, rotundy i balustrady. Ale co więcej, było to miejsce łagodnych nastrojów, instytucja, w której nadal liczyły się takie wartości, jak honor i tradycja.

- Cóż by nam doradził Jefferson, generale? - zamyślił się Horton.

Van Arken potraktował pytanie jako retoryczne, ale pułkownik sam odpowiedział na nie.

- Jefferson nie postrzegał prawa jako zwykłego, ograniczonego zawodu, ale jako sposób na zrozumienie historii, kultury, moralności i struktury społeczeństwa. Przypuszczam, że gdybyśmy się teraz z nim spotkali na tej ścieżce, zapytałby nas, jak do tego doszło, że rząd amerykański nie jest pewien, czy ma prawo sądzić własnego obywatela.

- Zadałem panu pytanie - wtrącił generał - czy społeczeństwu należy się, byśmy dążyli do rozprawy mimo... no cóż, mimo to, że my także ponosimy odpowiedzialność za wydarzenia 15 lutego 1968 roku?

Pułkownik Horton uśmiechnął się krzywo.

- Czy oczekuje pan ode mnie jakiejś opinii na piśmie? - zapytał. - Notatki dla Białego Domu lub Ministerstwa Sprawiedliwości?

- Chyba tak. Rodzaj *carte blanche* od pana jako od szanowanego jurysty. W sensie prawnym to my mamy słuszność. Ale obie strony podniosły moralne i etyczne kwestie. Chcielibyśmy przemówić również do naszych przeciwników, stawiając problem na mocnych filozoficznie podstawach.

Pułkownik podrapał się w nos kościstym palcem.

- Wie pan, generale - odezwał się po chwili zastanowienia - gdy jako młody porucznik pracowałem po stronie oskarżenia w Norymberdze, popierał nas dosłownie cały świat. Prasa zdawała relację z każdej minuty rozpraw, ale jak dziś już wiemy, te przypadki, którymi się zajmowaliśmy, wcale nie były dokładnie zbadane. W konsekwencji, wiele nam umknęło. Popelniliśmy błędy proceduralne i inne. Ale co ważniejsze, postępując tak, kształtowaliśmy prawo. Wieszaliśmy tych, których chcieliśmy powiesić, i nie mogliśmy się nadziwić własnej wielkoduszności, kiedy dawaliśmy komuś karę więzienia, a nie śmierci. I nie było żadnych procesów apelacyjnych. Śmierć oznaczała śmierć.

Zadumał się na chwilę, a potem mówił dalej:

- Podniosło się tylko kilka głosów przeciwko trybunałowi aliantów. Nie należałem do tych mądrych, którzy potrafili dostrzec, że to, co robimy, to nie wymierzanie sprawiedliwości, tylko zemsta. A kiedy już to zrozumiałem, nie miałem dość cywilnej odwagi, by powiedzieć o tym głośno. - Spojrzał na Van Arkena. - Mój Boże, niech będzie błogosławiony Hollywood i Spencer Tracy za „Sąd norymberski”. Nie ma nawet cienia wątpliwości, że nie stanęliśmy po stronie aniołów. - Przez chwilę szli w milczeniu. Wreszcie Horton znowu odezwał się: - Generale, kiedy pan jako młody kapitan pracował po stronie prokuratora w sprawie My Lai, poruszał się pan w innym świecie, w innym klimacie moralnym. Dziennikarze przeprowadzali dochodzenie na własną rękę i prawdę mówiąc zmusili wojsko do działania. Prezydent wiedział, że nie ma z czego być dumnym, a badania opinii wskazywały, że społeczeństwo w większości opowiada się za uwolnieniem oskarżonych.

- Tak, pamiętam to bardzo dobrze.

- No i w ten sposób spotykamy się dzisiaj, weterani dwóch największych rozpraw wojskowych tego wieku. Mam nadzieję, że obaj nie zapomnieliśmy lekcji. Dla nas nie ma usprawiedliwienia, jeśli pomylimy się w ocenie.

- Sprawa My Lai, pułkownika - powiedział Van Arken z nutą zniecierpliwienia w głosie - nauczyła mnie, że ani ten naród, ani świat nie będą tolerować barbarzyństwa w szeregach armii Stanów Zjednoczonych, choćby nie wiem jak to barbarzyństwo chciało się odziać w szaty bitwy. - Westchnął głęboko. - A Norymberga, mimo wielu popełnionych błędów, pokazała światu, że cywilizacja nie będzie tolerować barbarzyństwa nawet wtedy, jeśli stanie się ono polityką suwerennego narodu. Uważam, że jeśli kiedykolwiek jeszcze przyjdzie nam sądzić naszych wrogów, legalnie czy moralnie, najpierw musimy osądzić samych siebie, choćby nie wiem jak bardzo było to bolesne. - I mówił dalej: - Jeśli rozważamy, czy sądzić Benjamina Tysona, to właśnie dlatego, że jego ewentualny proces ma posłużyć za ostrzeżenie dla każdego oficera operacyjnego jakiegokolwiek przyszłej wojny, że będzie on odpowiadał za swoje czyny do końca życia.

Horton zastanawiał się, jak wiele z tego, co generał mówił, służyło interesowi prawa, ludzkości, wojska czy narodu, a jak wiele interesom Van Arkena i jego kariery. Ale nie

chciał być niezyczyliwy. Równie dobrze mógł być szczery. Odezwał się pojednawczo:

- Oczywiście, generale, to wszystko, co pan mówi, jest słuszne. Przynajmniej teoretycznie. Ale chciałbym panu zwrócić uwagę, że niezwykle trudno jest ustalić prawdę, jeżeli chodzi o żołnierza i jego działania bojowe. Tyson został wysłany do Wietnamu, żeby zabijać. I zadaniem sądu wojskowego nie będzie ocena, czy zabijał, lecz czy właściwych ludzi i we właściwy sposób.

- Moim problemem jest - odparł zwięźle Van Arken - że całe to gadanie o moralności zostanie wyciągnięte przez obronę. W Norymberdze moralność była po naszej stronie.

- Ale naziści byli przekonani o własnej racji. Jeśli zadaje pan pytania filozoficzne i stara się mnie wciągnąć jako apologetę rządu, powoduje pan, że sprawa nabiera większego kalibru. A to będzie grało na korzyść obrony. To jest moja rada dla pana, chociaż udzielam jej niechętnie, ponieważ zupełnie uczciwie mówiąc, nie wierzę, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Dlaczego?

- Ponieważ klimat, jaki wytworzył się w 1968 roku, dopuszczał nie tylko zbrodnię, ale i ułatwiał jej ukrycie. Etyka i moralność oficerów, wojska i całego narodu załamały się kompletnie. Coś poszło zupełnie nie tak. Większość z tego udało nam się naprawić. Ale nie możemy się cofnąć i stawiać pod sąd poruczników, zanim nie rozliczymy generałów. I tych cywilów, którzy odpowiadali za decyzje administracyjne. Tego też nauczyłem się w Norymberdze.

- Boję się - zgodził się z nim generał - że obrona może sięgnąć po ten argument. Mogą zastosować linię obrony, którą nazywamy norymberską.

- Niech tak zrobią! - krzyknął Horton. - Często marzyło mi się postawienie przed sądem każdego z tych skurwieli, którzy wrobili nas w Wietnam.

W milczeniu doszli do skrzyżowania. Van Arken zatrzymał się.

- Czy mógłbym cię zaprosić na kolację, Ambrose?

- Dziękuję, generale. - Pułkownik Horton pokręcił głową. - Ale muszę się przygotować do jutrzejszego wykładu. - Przyglądał się przez chwilę Van Arkenowi, a potem powiedział: - Wiesz, Bill, to ty wtoczyłeś tę sprawę w koleiny, którymi się teraz toczy, a nie jestem pewien, czy taka powinna być twoja rola. Nie krytykuję cię. Wypełniłeś pustkę, jaką stworzyło Ministerstwo Sprawiedliwości. Mogę tylko pogratulować ci oddania sprawie. Jednak... czuję, że nasi cywilni szefowie wystawiają nas. Oni także nauczyli się czegoś po My Lai. Jak mówią prości żołnierze, dostaliśmy gówniane zadanie.

- Oczywiście - przytaknął Van Arken. - Ale to nie zmienia naszych obowiązków. Moich

obowiązków.

- Jesteś bardzo pewny siebie, prawda? - powiedział Horton zniecierpliwiony. - Jesteś pewien, że stoisz po stronie prawdy i moralności. No cóż, ja mam pewne wątpliwości.

- A to co ma znaczyć?

- Mówiłeś o odpowiedzialności, Bill. Myślę, że jeśli porucznik Benjamin Tyson dowodził plutonem, który zmasakrował sto mężczyzn, kobiet i dzieci, to kto ci daje prawo zwalniać od niej tych członków plutonu, którzy przeżyli - tych ludzi, którzy strzelali - i zapewniać im nietykalność?

Generał nie odpowiedział.

- I niech mi pan nie mówi, generale, że ta sprawa ma podłoże moralne, bo to bzdura. To jest właśnie najważniejsza lekcja, którą pobrałem w Norymberdze.

Van Arken chciał coś powiedzieć, ale pułkownik nie dopuścił go do słowa.

- Podczas procesów norymberskich zastanawiałem się, dlaczego sądzono tak niewielu strażników, ludzi, którzy wieszali więźniów i torturowali ich. Potem zrozumiałem, że gdyby ich oskarżono, odpowiedzieliby po prostu: „Ja tylko wypełniałem rozkazy”. Wie pan dobrze, generale, że wojsko wytwarza własną subkulturę, której nauki zastępują wszystko, czego człowiek nauczył się w kościele lub szkółce niedzielnej, wszystko, co przekazali mu rodzice, nauczyciele i społeczeństwo - wszystko, co podpowiadało mu serce. I kiedy żołnierz mówi: „Ja tylko wypełniałem rozkazy”, jest to wspaniała obrona, w dodatku zawstydzająca jego przełożonych. To jest właśnie obrona norymberska. I tak pałeczka może być przekazywana od oddziału do oddziału i w każdym eszelonie usłyszy się to samo - „Ja tylko wypełniałem rozkazy” - bezpośrednio rozkazy, rozkazy, które wynikały z bezpośrednich rozkazów, a potem z kolei wynikające z tych wynikających, rozrastające się rozkazy. I w ten sposób możemy dojść do samej góry, skąd droga zaprowadzi nas znowu w dół. Tak właśnie było w Norymberdze. Naziści, którzy stali na samym szczycie, mówili: „Nie wiedziałem, że moje rozkazy zostały tak przekręcone”. Albo zdanie, które słyszałem raz po raz: „Nie miałem pojęcia, że moi podkomendni mogą robić takie rzeczy”.

Generał westchnął i powiedział wolno, z zastanowieniem:

- Zbyt długo wykładasz filozofię prawa, Ambrose. Powinieneś powrócić do praktyki. Ale jak już wspomniałem, nie powinniśmy dyskutować o tym konkretnym przypadku.

- Zastanówmy się więc nad hipotetycznym przypadkiem porucznika X - powiedział w zamyśleniu pułkownik, uśmiechając się lekko - który ma zostać postawiony przed sądem wojskowym pod zarzutem morderstwa. Wszyscy zakładają, że jeśli nawet zostanie mu udowodniona wina, nie otrzyma najwyższej kary - nie stanie przed plutonem egzekucyjnym. I jest to dość pewne założenie, ponieważ od dwudziestu lat w Ameryce

nikogo nie rozstrzelano. Ale moja filozofia prawa jest taka, że jeśli oskarża się kogoś o zbrodnię główną, niech będzie to morderstwo lub spanie na służbie podczas wojny, trzeba sobie zdawać sprawę, że wysyła się go na śmierć. Nie można zakładać, że sąd zmniejszy karę lub że ułaskawienie uratuje go przed rozstrzelaniem. To jest gra, a prawo nie jest grą. A więc jeśli we własnym sumieniu nie możesz postawić go przed plutonem egzekucyjnym, który ma mu władować dziesięć kulek, trzeba osłabić zarzut.

- Ale wtedy działałoby przedawnienie.

- Rozumiem. - Oczy Hortona zwięzły się w szparki. - Jesteśmy ograniczeni, jeśli chodzi o zarzuty. Tak więc jeśli w przeszłości pan Tyson mógł być uczciwiej oskarżony, powiedzmy o ukrywaniu zbrodni, tak teraz w grę wchodzi morderstwo pierwszego stopnia albo nic.

Van Arken lekko skinął głową.

Pułkownik wyglądał, jakby odkrył właśnie bardzo interesujący fakt.

- No cóż, na mnie już czas - powiedział. - Wydaje mi się, że mam już temat jutrzejszego wykładu. Dziękuję panu, generale. - Zasalutował, zrobił zwrot i odmaszerował.

Generał przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem ruszył w przeciwnym kierunku. Po raz pierwszy przestał być pewny, czy postępuje zgodnie z prawem. Prywatnie uważał Tysona za winnego, ale Horton miał rację, nie chciałby zobaczyć go przed plutonem egzekucyjnym. Jedyne, czego pragnął, to wskazać go jako negatywny przykład korpusowi oficerskiemu. W swojej gorliwości wywołania rewolucji moralnej mającej zaleczyć wielką ranę, jaką był Wietnam, jeszcze bardziej tę ranę otworzył.

Teraz jednak nie sposób już było zatrzymać biegu wydarzeń. Tak jak lawina, którą wywołuje jeden strzał, sprawa Tysona rosła, nabierała siły i pędu, by uderzyć w niego ze śmiercionośną energią.

Rozdział 30

Ben Tyson przyglądał się swojej żonie, która stała na dole schodów. Miała na sobie chodaki, obcięte krótko szorty i biały podkoszulek, na którym widniał slogan zachęcający

do wstąpienia do wojska: DOBRY ŻOŁNIERZU - POZOSTAŃ TU. Nie miał pojęcia, skąd wytrzasnęła coś takiego. Jej dłonie były czerwone, czuł też zapach amoniaku. Widocznie coś czyściła.

Marcy Tyson przeszła przez niewielki salon i wyciągnęła rękę do Karen Harper.

- To miło, że wreszcie się spotkałyśmy - powiedziała.

- Ja też się cieszę - odpowiedziała major Harper ujmując wyciągniętą rękę.

Przypatrywały się sobie odrobinę dłużej, niż to było konieczne, przynajmniej w odczuciu Tysona.

- No cóż, ja również jestem zadowolony - stwierdził. - Major Harper i ja poszliśmy na przechadzkę. Mieliśmy parę spraw do omówienia - powiedział do Marcy.

Jego żona zlustrowała ich krytycznym wzrokiem.

- Może wejdziecie na górę i osuszycie się - zaproponowała.

- Chciałam tylko pożyczyć parasol - powiedziała Karen Harper. - Do hotelu nie jest daleko.

- Niech pani chwilę zostanie - zaproponowała Marcy.

- Nie, dziękuję.

- Przywiozłam butelkę szampana. Pomoże nam pani ją wypić. - Wzięła gościa pod ramię i poprowadziła w stronę schodów.

Dłuższe opieranie się byłoby niezręczne. Major Harper weszła na górę.

Marcy odwróciła się i spojrzała słodko na męża, a potem bez słowa skierowała się do kuchni.

- Można powiedzieć, że ostatnimi czasy mam szczęście - mruknął do siebie Ben.

Wszedł na górę, minął zamknięte drzwi do łazienki, skąd dobiegał szum suszarki. Wkroczył do większej sypialni i ze zdumieniem ujrzał, że łóżko zasłane jest torbami na ubranie, a podłoga walizkami. Wskoczył z szortów i mokrego podkoszulka, wytarł się mechatym szlafrokiem, wciągnął dzinsy, koszulkę polo i sandały. Przeczesał wilgotne włosy i wyszedł do malutkiego holu, gdzie prawie wpadł na Karen Harper, której włosy i bluzka były już prawie zupełnie suche. Zdążyła się też podmalować i, jego zdaniem, wyglądała zupełnie dobrze.

- Jeśli chce pan skorzystać z suszarki, to łazienka jest już wolna - powiedziała.

- Dziękuję.

Popatrzyli na siebie.

- Proszę, niech pani zostanie - powiedział.

- Wolałabym już pójść.

- Czuję, że moja żona jest w nie najlepszym nastroju, jeśli napije się pani z nami, może jej to dobrze zrobi.

- Wątpię, ale jeśli sądzi pan, że w ten sposób uda się uciszyć sztorm, niech będzie.

- Chyba właśnie o to mi chodziło. - Uśmiechnął się. Ruszył w stronę schodów. - Pani pierwsza. - Przepuścił ją.

Zeszli razem. W salonie czekała już na nich Marcy.

- No, teraz wyglądacie znacznie lepiej.

Wyciągnęła korek z butelki szampana i napełniła trzy plastikowe kubeczki, które wcześniej ustawiła na stole.

- Przywiozłam ze sobą mnóstwo plastikowych i papierowych talerzy i kubków - powiedziała do męża - ponieważ mówiłeś, że tu nie ma żadnych naczyń.

- Dobry pomysł. Gdzie David?

- Jordanowie zaopiekują się nim. Melinda jest szczęśliwa, że ma go cały czas koło siebie. To dziewczyna mojego syna - wyjaśniła major Harper. - Jordanowie spędzają wakacje w Sag Harbor. Tysonowie najwyraźniej przenieśli się do Brooklynu.

- Zostaje pani tutaj? - zapytała Karen Harper.

- Tak. - Marcy podała jej kubek. - Pomyślałam, że Ben musi się tutaj czuć samotnie. - Uśmiechnęła się i odwróciła do niego. -

- Dziwisz się? Wyglądasz na zdziwionego.

- Naprawdę? - Tyson podniósł kubek. - Przypuszczam, że to słowo równie dobrze jak każde inne może oddawać moją radość.

- David wkrótce do nas dołączy - dodała Marcy.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - stwierdził Ben.

- Tak czy siak - powiedziała Marcy - skracamy wakacje, żeby być razem z tobą. - Spojrzała na major Harper. - Kiedy to się stanie?

- Przed połową października. Prawo...

- Dlaczego nie wrócisz po prostu z Davidem do Garden City -przerwał Tyson. - Bylibyście niedaleko i...

- Nie, kochany, chcemy być z tobą. Tutaj. - Wskazała ręką na pokój. - To jest... ładne. Przypomina nasze pierwsze mieszkanie.

Benowi nic tu nie przypominało ich pierwszego mieszkania.

- Major Harper uważa, że dobrze mi zrobi obniżenie standardu życiowego.

- Cieszę się, że major Harper dba o poprawę twego charakteru. Podnajęłam dom w Sag Harbor na sierpień - dodała - i dostałam niezłą cenę. Nie możemy się już wycofać. A jeśli chodzi o Garden City, klimat dla mnie i Davida nie jest tam najlepszy. - Spojrzała wprost na Karen Harper, - David cierpiał znacznie bardziej, niż to po sobie pokazuje. Dzieci to straszne dzikusy. Ma pani dzieci?

- Nie, nigdy nie byłam mężatką, pewnie czytała pani o tym.

- No, zanim bąbelki ulecą - Marcy podniosła kubek - wypijmy za nasz nowy dom.

Wypili. Tyson odstawił pusty kubek na stół.

- W każdym razie bardzo się cieszę, że dwie kobiety mojego życia mogły się spotkać. A więc...

Major Harper przerwała mu zwracając się do Marcy:

- Chciałabym, żeby pani wiedziała - mówiłam już to pani mężowi - że bardzo mi przykro z powodu tych wszystkich artykułów w prasie dotyczących... aktywności kontrkulturowych i innych form protestu podczas wojny wietnamskiej. Ja byłam wtedy jeszcze za mała, żeby wiedzieć, co się dzieje, chociaż rozumiem pani zaangażowanie w ruch pokojowy, podobnie jak formy tego protestu. I zapewniam panią, że zła prasa na pani temat w żaden sposób nie wpłynie na śledztwo.

Marcy Tyson przyglądała się przez dobrą chwilę Karen Harper. Bardzo wyraźnie słychać było szum deszczu.

- Mogłam przypuszczać, że nie jest pani na tyle młoda, żeby nie pamiętać wojny - powiedziała wreszcie. - Jednak muszę uwierzyć pani na słowo.

Ben pomyślał, że powinien zmienić temat, ale jakiś siedzący w nim diablik pragnął

usłyszeć więcej.

- I chciałabym, żeby pani wiedziała - dodała Marcy - że nigdy za grosz nie wierzyłam tym głupim insynuacjom w brukowcach na temat pani i mojego męża.

- Miło, że pani to mówi - powiedziała chłodno major Harper. - Chciałabym, by i inni byli równie dojrzały. - Odstawiła kubek i z wyciągniętą ręką podeszła do Marcy.

- Dziękuję za szampana.

Marcy ujęła jej dłoń i przytrzymała. Spojrzała Karen Harper w oczy.

- Ale również nie jestem ani tak głupia, ani naiwna, by nie uwierzyć, że między panią a moim mężem nie wytworzył się bliski kontakt - powiedziała. - Jestem pewna, że stwierdziła pani, jak bardzo niezwykłym i przyzwoitym człowiekiem jest mój mąż i jeśli prawo w ogóle zna współczucie, on na nie zasługuje.

Major Harper wytrzymała spojrzenie Marcy.

- To właśnie stwierdziłam, pani Tyson - odparła - i niestety nic ponad to. Dobranoc.

Marcy wypuściła jej rękę.

Karen Harper zabrała torebkę i teczkę. Tyson podniósł parasol, który upadł koło drzwi. Major podeszła do wyjścia, ale jeszcze odwróciła się do Marcy.

- Zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałam, myślę, że jednak byłam trochę pod wpływem mediów. Prawdę mówiąc, myślałam, że jest pani obciążeniem przy takiej sprawie, teraz widzę, że raczej wsparciem. A pani mąż będzie potrzebował każdego wsparcia, jakie zdoła znaleźć. - Odwróciła się do Bena. - Życzę panu szczęścia.

- Co oznacza, że szczęście się na dobre ode mnie odwróciło - odpowiedział z uśmiechem. - Ale mam jeszcze rozum, urok i inteligencję i to mi musi wystarczyć. Życzę pani dobrej nocy, Karen.

- I ja panu też, Ben.

Otworzył drzwi i podał jej parasol. Patrzył, jak go otwiera i odchodzi w zacinającym deszczu. Przypomniawszy sobie dzień, w którym się poznali, wtedy też odchodziła w majowym deszczu spod jego domu, innego domu, dawno temu, trzymając nad głową pożyczony parasol. Zamknął drzwi i odwrócił się do swojej żony. Marcy wpatrywała się w niego i z doświadczenia nabytego podczas wielu lat wiedział, że nie odezwie się pierwsza.

- Kobiety są bardzo sztywne i formalne, kiedy spotykają się po raz pierwszy, a jednak potrafią sobie powiedzieć parę słów od serca. Tak czy siak cieszę się, że wreszcie nauczyłaś

się czegoś od pań w Garden City.

Żona przypatrywała mu się przez zmrużone oczy.

- Są sytuacje - dodał i odchrząknął - kiedy więcej dają słodkie słówka niż pieprzny język i wybuchy gniewu. Zachowywałaś się, mimo wszystko, jak na żonę oficera przystało. Jestem z ciebie dumny.

- Pieprz się.

- No, no...

- Byliście tutaj razem, zanim poszliście na spacer, prawda? Wtedy ci powiedziała, że to miejsce jest dla ciebie dobre czy coś takiego. Jak długo tu byliście?

- Niewystarczająco długo, by mężczyzna w moim wieku skonsumował akt seksualny. - Dolał sobie szampana. - Posłuchaj, twoja zazdrość pochlebia mi. Ale byłem ci wierny, a w stosunku do niej zachowywałem się jak dżentelmen.

- No dobrze... - wydawało się, że Marcy uspokaja się trochę - ale nieraz coś się dzieje, choć wcale tego nie chcemy.

Wypił szampana.

- Co to jest za paskudztwo?

- Cordon Negro.

- Co? Szampan z Afryki?

- Nie, idioto. Hiszpański. Jest niezły, a przy tym tani.

- Hiszpania już nie znajduje się na liście bojkotowanych krajów?

- Od kiedy Franco umarł, już nie. Nie mówiłam ci?

- Nie. Czy mogę teraz kupować sherry?

- Oczywiście. I prawdziwe hiszpańskie oliwki do twoich martini. Jednak myślę, że pieprzyłeś się z nią. Psychologicznie. Jest dość dojrzała, by zrozumieć takiego mężczyznę jak ty, ale jeszcze ciągle na tyle młoda, żeby dać się psychicznie uwieść.

- Ile kosztuje butelka?

- Niecałe siedem dolarów. Niesamowite. Dolar jest bardzo mocny w stosunku do peso. Kiedy życzyła ci szczęścia, brzmiało to jak pożegnanie. Czy to oznacza, że wasz oficjalny

związek jest skończony?

- Tak. Ale chyba nie warto oszczędzać na szampanie.
- Masz w lodówce miejscowe piwo.
- Nie mów nikomu. A tak przy okazji, nie widziałem przed domem samochodu.
- Na pewno, inaczej nie wpadlibyście tu jak para napalonych nastolatków.
- Nie przysłoby mi do głowy, aby tak nazwać szukanie schronienia przed deszczem.

Gdzie jest volvo?

- Umarło i wyprawiłam mu pogrzeb godny wikinga. Ta nowa toyota przed domem jest nasza.

- Co? Kupiłaś japoński samochód? Zwariowałaś? Nie będę nim jeździł. Czy ty wiesz, co ja czuję, kiedy widzę, jak ich produkty zalewają nasz kraj i...

- Nie próbuj zmieniać tematu. Będziesz miał sposobność, by jeździć do Waszyngtonu i się z nią spotkać?

- Żadnej. Wstępne śledztwo zostało zakończone. I teraz nie będę już rozmawiał z nikim, chyba że w obecności adwokata.

- W porządku. - Marcy wypić szampana. - Naprawdę masz dobry gust. Jest niezła. Taka naturalna piękność. Nawet przemoczona wyglądała niezłe. Ciekawe, czemu nie wyszła za męża? Pytałeś ją?

Tyson pomyślał, że ma już dosyć tego tematu.

- Jest zaręczona z jakimś pułkownikiem - odparł. - Gazety nawet o tym nie wspomniały.

- Nie widziałam pierścionka zaręczynowego.

- No... zaręczyny to zaręczyny. A teraz poważnie, naprawdę się wprowadzasz?

- Tak. David przyjedzie, jak tylko się urządzimy.

- Dlaczego?

- Odbyliśmy naradę rodzinną i stwierdziliśmy, że nie wolno cię zostawiać samego. Poza tym twoja matka dzwoniła znowu. Tym razem poinformowała mnie, że miejsce żony jest przy mężu. Nie wiedziałam tego. Czy znasz tę historię rodzinną, jak ona mieszkała w wywróconym kurniku koło Fortu Stewart w Georgii, podczas gdy twój ojciec przechodził

szkolenie w siłach powietrznych?

- Zdaje się, że wspominała o tym jakieś paręset razy, kiedy dorastałem. Dokładnie rzecz biorąc, ja zostałem poczęty w tym przewróconym kurniku. Urodzony w prywatnej klinice na Park Avenue, oczywiście, ale poczęty w kurniku.

- To wiele tłumaczy. W każdym razie jeśli ona mogła to zrobić, ja również, do cholery, mogę.

- Nie poświęcaj się dla mnie.

- Chciałam cię też poinformować, że David przyjechałby niezależnie od mojej decyzji. Stwierdził, że cię kocha i jest gotowy zostawić swoją pierwszą damę serca i być przy tobie. Znam mężczyzn bardzo dobrze i uważam to za wyjątkowe poświęcenie. - Po chwili dodała: - Czasami chłopcy postępują jak mężczyźni, niekiedy jest odwrotnie.

- Brak mi was obojga - powiedział Ben - ale... to jest krępujące... to znaczy, że mnie oglądasz tutaj...

- Nie mieszkaś w przytułku - odparła. - Jesteś oficerem Stanów Zjednoczonych. Nie ma się czego wstydzić.

- Chyba się przesłyszałem - przyłożył rękę do ucha.

- Wcale nie zmieniłam się tak, jak myślisz - powiedziała. - Chodzi o to, że ksiądz powiedział na dobre i na złe, a ja się zgodziłam, i przez całe życie mieliśmy głównie dobre i co, u diabła, przecież mogłoby być jeszcze gorzej. I kocham cię, i potwornie za tobą tęsknię.

Tyson objął żonę i pocałowali się.

- Jesteś dumnym człowiekiem, Benjaminie Tyson - powiedziała Marcy. - Zbyt dumnym i zbyt męskim, żeby przetrwać w tym świecie. Musisz odsłonić swoją słabość, pozwolić twoim przyjaciółom i rodzinie dzielić twój ból.

Przytulił ją mocniej.

- Wiesz co, Marcy, stałem się niedbałym mężem, obojętnym ojcem, kiepskim przyjacielem i niezaangażowanym pracownikiem. Nikomu nie oddawałem się w pełni. Ale to zaczęło się jakiś czas przed tą całą historią.

- Wiem. Inni też to zauważyli. Ale nie bądź dla siebie zbyt surowy.

- Dlaczego? Cieszę się, że dostałem kopa w jaja i ocknąłem się. Nie mam zamiaru idealizować życia, które prowadziłem wcześniej, ale było niezłe. Natomiast mojemu

postrzeganiu domu, rodziny, pracy i przyjaciół mam wiele do zarzucenia. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie było.

- To również moja wina. Ja też potrzebowałam wstrząsu. Nasze małżeństwo, nasze wspólne życie straciło cel. Kiedy to wszystko będzie już za nami, staniemy się naprawdę szczęśliwymi ludźmi.

Ben milczał przez długą chwilę.

- Przez jakiś czas mogę być nieobecny - powiedział wreszcie.

- Nie! Nie będziesz! - Wbiła paznokcie w jego plecy.

Pocałował ją i przywarli jeszcze mocniej do siebie. Położyła mu ręce na ramiona, wiedział, że płacze.

- Gdzie znalazłaś ten idiotyczny podkoszulek? - zapytał lekkim tonem.

- Och... - nie spojrzała na niego - kazałam go zrobić w tym sklepie w Southampton. Podobało mi się podwójne znaczenie. Dobry żołnierzu, pozostań. - Roześmiała się. - Łapiesz?

- Nie. I co w tym takiego śmiesznego?

Odsunęła się od niego. Jej oczy były wilgotne.

- W takim razie go wyrzucę. - Ściągnęła podkoszulek i cisnęła go na podłogę. - Tak lepiej?

Tyson nie mógł oderwać wzroku od jej nagich piersi.

- Tak. O tak.

Odchrząknęła i wytarła oczy ręką.

- Co powinnam teraz zrobić jako żona żołnierza? Oczywiście poza wysprzątaniem latryny?

Rozlał resztkę szampana do kubeczków.

- Zameldować się, przykleić nalepkę na samochód, zapisać się do klubu żon oficerów, zgłosić na ochotnika do jakiegoś ważnego zadania, wysprzątać dom na błysk, zaprzyjaźnić się z sąsiadami....

- Dość, Tyson. Zacznijmy od nalepki, żeby mi nie wywieźli samochodu.

- To mi przypomina, że rozmawialiśmy...

- Daj spokój, nie kupiłam toyoty. Chciałam się tylko z tobą podrażnić. Kupiłam jeepa.

- Co?

- Jeepa. Bardzo praktyczny. Pasuje do twojego wizerunku. Stoi przed domem. Chodź spojrzeć.

Ben podszedł do okna i zobaczył pomalowany na jasny kolor samochód lśniący od deszczu.

- Jeep cherokee. Napęd na cztery koła. Ma CB radio i umocowanie na karabin maszynowy.

- Mówisz poważnie?

- Z tego roku. Kupiłam go tu, niedaleko. Ma też wyciągarke, tak że możesz ciągnąć tym sieć z rybami czy małą łódkę albo wydobyć się z błota lub śniegu. W bardzo dobrym stanie. Obejrzyysz?

- Może później. - Tyson odwrócił się od okna.

- A czy ja mogłabym jutro zobaczyć, jak oprowadzasz wycieczki po muzeum?

- Jeśli chcesz.

- Świetnie. A teraz włóż mundur.

- Nie.

- Tak. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz. - Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę schodów.

- Daj spokój...

Przytuliła się do niego gołymi piersiami.

- Chodź. Nigdy nie robiłam tego z żołnierzem. - Mrugnęła do niego.

- No, jeśli tak stawiasz sprawę...

Wspięli się po schodach i weszli do sypialni. Marcy usiadła na łóżku, krzyżując gołe nogi.

- No dobra, żołnierzu, ściągaj te cywilne łachy i wskakuj w mundur.

Ben rozbierał się czując podniecenie. Marcy gwizdnęła przeciągle. - Przestań. - Stał przed nią kompletnie nagi i odetchnął głęboko. - Ciepło tutaj.

- Obróć się. Chcę obejrzeć dokładnie twoje ciało.

Tyson obrócił się i znowu stanął twarzą do niej.

- Dobry materiał na oficera - stwierdziła. - Chodź tu.

Podszedł do łóżka. Sięgnęła prawą ręką i ujęła jego jądra.

- Odwróć głowę i zakaszl. Zrobił, jak mu kazała.

- W porządku, przeszedłeś - stwierdziła. Sięgnęła ręką i klepnęła go po pośladku. - Ubieraj się.

Podszedł do szafy i zaczął wciągać na siebie zielony mundur, nie zwracając sobie głowy bielizną.

- To głupie...

- Wolno ci się odzywać tylko wtedy, gdy ktoś się zwróci bezpośrednio do ciebie.

Wymruczał coś, zawiązał krawat, zapiął guziki kurtki i stanął przed nią.

- Nieźle. - Kiwnęła głową. - Dobrze leży. Guziki lśnią. Baretki prosto. Dobra, weź prysznic, a potem się zamelduj u mnie.

- Tak jest, *ma'am*.

Rozebrał się i na golasa powędrował do łazienki. Zmył pot, wytarł się i wrócił do sypialni. Wszystkie pakunki były już zdjęte z łóżka. Marcy leżała pod białym prześcieradłem, z rozłożonymi nogami, z poduszką pod plecami. Miała na sobie pognieciony podkoszulek podciągnięty pod biust i furażerkę nasadzoną na głowę.

- Chwytaj byka za rogi, poruczniku, zanim zaczną się kłopoty.

Wskoczył na łóżko, położył się na nią i wszedł gładko w jej wilgotne wnętrze.

Kochali się w małym, dusznym pokoju i oboje zdawali sobie sprawę, że jest to rodzaj parodii tego, co mogło się zdarzyć z major Karen Harper. Kiedy Marcy zbliżała się do orgazmu, wyszeptała mu do ucha:

- Normalnie nie robię tego z żonatymi mężczyznami.

- Moja żoną jest dziwką.

- Wiem. Wiem.

- Dobry żołnierzu, zostań - powiedział.

Oplotła go nogami.

- Nie wypuszczę.

Rozdział 31

Marcy i Ben Tyson siedzieli naprzeciwko siebie przy małym stoliku. On ubrany był w płócienny garnitur koloru kukurydzy. Ona w żółty sweter i spódnicę w odpowiednim odcieniu.

- Tu był fort?

- Nie w tej części. To jest nowa jadalnia. Zazwyczaj forty nie mają okien widokowych.

- Nie popisuj się.

- Mają dobry stek - powiedział Ben sięgając po kartę.

- Nie widzę żadnych wegetariańskich potraw.

- I nie zobaczysz.

- Mówisz to z zadowoleniem.

- Bo już się cieszę na ten stek.

- Mogę się założyć, że zostaniesz tu po uniewinnieniu.

- Mężczyźni dobrze się czują w wojsku.

- Pohamuj się. - Spojrzała na niego. - Czy... czy wróciłbyś... to znaczy w innych okolicznościach. Gdyby była taka potrzeba? Inna wojna?

- Tak - powiedział. - Poszedłbym znowu służyć mojemu krajowi.

- Nawet po tym, co ci zrobiło wojsko?

- Nic mi nie zrobiło. Raczej oni myślą, że ja im zrobiłem.

- Poszedłbyś znowu na taką źle ocenianą, nie wypowiedzianą wojnę typu Wietnam?

- Nie moim zadaniem jest oceniać. Nawet z tym wezwaniem nie walczyłem, choć mogłem.

- Kiedy już cię raz dostali, chłopczyku, mają cię na zawsze, tak?

- Obawiam się, że to prawda. Wpływ służby wojskowej na mężczyznę jest znacznie dłuższy niż te parę lat jej trwania. To jak pobyt w więzieniu. Zapytaj kogokolwiek, kto był w więzieniu lub wojsku.

- Wierzę ci. Tylko nie rozumiem. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak miliony mężczyzn mogą ścierać się na polach bitewnych, zostawiać za sobą sterty ciał, i robić to wciąż i wciąż.

- Mężczyźni kochają wojnę. Kochają wypieprzyć wroga, a kiedy ten się wycofa, czują depresję postosunkową, która trwa przez resztę ich życia.

- Przeróżające, Ben. Przeróżające.

- Myślisz, że tego nie wiem?

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut. Marcy rozglądała się po prawie pustej jadalni, zauważyła, że kilka twarzy odwraca się, gdy napotyka jej spojrzenie.

- Dlaczego ci ludzie gapią się na nas? - zapytała.

- Są pod niesamowitym wrażeniem nowego oficera i jego damy.

- Albo mówią właśnie: „To ten kryminalista i jego kurwa”.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Moja droga, pośród korpusu oficerskiego wszyscy bracia są bohaterami, a wszystkie siostry cnotkami.

- Nie wiedziałam. - Upiła dzinu z tonikiem i spojrzała przez okno.

Nocne niebo roz pogodziło się równie szybko, jak wcześniej zachmurzyło. Chłodny wiatr od południa kołysał gwiazdami i paskami, które wisiały w snopie światła nad trawnikiem. Na patio odbywało się barbecue, do jadalni dochodziły dźwięki muzyki, widać było żarzący się węgiel drzewny i pochodnie.

- Jest w tym miejscu coś bardzo anachronicznego - stwierdziła.

- To samo mówisz o Garden City. A prawda jest taka, że to ty jesteś anachronizmem, podróżnikiem w czasie z lat sześćdziesiątych.

- Może masz rację. Ale to bardzo zamknięta społeczność, prawda?

- I taka ma być. Posiada swoją wewnętrzną rzeczywistość, opartą na własnej historii, której nie dzieli ze społeczeństwem za bramą.

- Kiedy jestem tu, zaczynam cię lepiej rozumieć.

- Ja zaczynam rozumieć także lepiej siebie.

- Czy byłeś zaproszony na to przyjęcie? - zapytała.

- Wszyscy członkowie klubu są zaproszeni na wszystkie przyjęcia odbywające się na jego terenie. Ale powinienem wyrazić ubolewanie, że nie uda mi się tam pójść.

- Rozumiem,

Podeszła kelnerka, zamówili jedzenie i butelkę mouton cadet. Gawędzili pogodnie tak jak dawnymi czasy. Ściskali się za ręce pod stołem i kelnerka uśmiechnęła się do nich, kiedy przyniosła im jedzenie. Zjedli w pełnym zadowolenia milczeniu.

Tyson skończył stek i dolał sobie i żonie wina. Rozejrzał się po sali.

- Będziemy mieć towarzystwo - powiedział.

Marcy odwróciła się i ujrzała potężnego, mniej więcej pięćdziesięcioletniego

mężczyznę o czerstwej twarzy, idącego w ich stronę od patio. Miał na sobie białe spodnie i raczej idiotyczną koszulę w kwiaty.

- Kto to? - zapytała.

- Wielebny major Kennard Oakes, kapelan baptystów. Zaprzyjaźnił się za mną.

- No cóż, potrzebujesz przyjaciół.

Pastor Oakes dotarł do ich stolika i uśmiechnął się szeroko.

- Ben, znowu pijesz ten diabelski napój? - mówił z silnym południowym akcentem.

- Ja należę do kościoła episkopalnego.- Tyson uściśnął mu rękę. - U nas picie wina to sakrament.

- Błuznierstwo. Czy to jest pani Tyson?

Ben dokonał prezentacji. Oakes usiadł bez zaproszenia, ujął Marcy za rękę i poklepał ją.

Jest pani bardzo piękną kobietą.

- Dziękuję.

- Zaproponowałbym ci kieliszek wina, ale nie chcę cię wodzić na pokuszenie - powiedział Tyson,

- Dlaczego nie poszliście na party? - zapytał pastor z uśmiechem.

- Właśnie skończyliśmy namiętny akt miłosny i chcemy być sami.

Marcy uniosła brwi, przy stole na moment zapanowała cisza.

Wreszcie Oakes uśmiechnął się i lekko zapytał:

- Jak minął dzień, Ben?

- Nieźle.

- Jutro rano masz wolne? Muszę pojechać do Fortu Dix i przydałoby mi się towarzystwo.

- Na jutro mam zapowiedzianą grupę. - Ben zapalił papierosa.

- To może po południu. Chyba udałoby mi się przełożyć spotkanie w Dix.

Tyson wydmuchał strugę dymu.

- Major Oakes podobnie jak ja - wyjaśnił żonie - jest tutaj tylko czasowo. Ale w odróżnieniu ode mnie nie oczekuje na sąd wojenny. - Zwrócił się do pastora. - Właściwie po co tu jesteś?

- Szkoła kapelanów wojskowych przysłała mnie, żebym ocenił, jak odbywają się zajęcia z Biblii dla młodych oficerów w różnych jednostkach na terenie metropolii nowojorskiej.

- To interesujące - zauważyła Marcy.

- W takim razie nie będziesz wykonywał zwykłych powinności kapłańskich.

- Nie, niestety nie. Ale pastor Perry jest znakomitym kaznodzieją, jeśli chcesz uczestniczyć w mszy baptystów.

- Cieszę się, że tu jesteś. - Ben oparł dłoń na ramieniu Oakesa. - Ojciec, wdąłem się wczoraj w sprzeczkę z pewnym facetem. Upierał się, że to Jan powiedział: „Faryzeusze także przyszli do niego, kusząc go i mówiąc mu: Czy zgodne z prawem jest, by człowiek odsuwał żonę bez powodu?” Ja twierdziłem, że Łukasz. Więc kto to powiedział? - Wpatrywał się w pastora.

- Jan.

- Nie, to był Marek.

- Masz rację.

- Nie, skłamałem - powiedział Tyson. - Chodziło o Mateusza. Nie uważałeś na lekcjach.

- Kogo to obchodzi, Tyson? - Oakes uśmiechnął się.

Marcy słuchała z szerokimi ze zdumienia oczami. Pastor strącił dłoń Bena z ramienia. Obaj mężczyźni podnieśli się.

- No dalej, stary.

- Pod kapelana nie jest się łatwo podszyć. Mówiłem im. Ale mimo to jesteś dobry. - Oakes odwrócił się i wyszedł.

Tyson siadł.

- Co to było, na Boga?

- Na Boga, rzeczywiście. Co za świnią!

- Kto?

- Dobre pytanie - stwierdził Ben.

- Ten facet szpiegował cię?

- Chyba można tak to określić. - Dopił wino. - To była lekcja dla ciebie. Uważaj, z kim rozmawiasz.

- Niesamowite. - Marcy westchnęła głęboko.

- Amen. - Ben spojrział na zegarek. Muszę zadzwonić. Do tego adwokata, Corvy. - Wstał.
- Zamów kawę i deser.

- Chcę, żeby nam założyli telefon - powiedziała. - Zadzwoń jutro w tej sprawie.

- Nie mogę. Nie mam telefonu.

Uśmiechnął się i wyszedł z jadalni. Minął budki z telefonami i skierował się do wyjścia. Telefonował już wcześniej i wcale nie do swego adwokata, ale do „American Investigator”.

Przeszedł wybrukowany podjazd ciągle mokry po deszczu i otworzył muzeum własnym kluczem. Wszedł, zostawiając drzwi lekko uchylone.

W przygaszonych światłach widać było manekiny w mundurach z szablami i strzelbami, całe miejsce wyglądało dość groźnie. Tyson jeszcze raz zerknął na zegarek. Usłyszał jakiś hałas przy wejściu, potem ciche pukanie i zobaczył, jak drzwi otwierają się.

- Proszę wejść - powiedział.

Osoba stojąca na podjeździe zrobiła krok do środka.

- Pan Tyson?

- Zgadza się. Pan Jones?

- Taaa. - Wally Jones stał koło drzwi i usiłował coś wypatrzeć w mroku pokoju.

Ben zaś wpatrywał się w jego sylwetkę, będącą ciemną plamą na tle światła padającego od strony Klubu Oficerskiego. Mężczyzna był mocnej budowy, ubrany w zieloną kurtkę i trochę jaśniejsze spodnie. Z ramienia zwisała mu skórzana torba.

Nie widział wyraźnie jego twarzy, ale wydawało mu się, że facet ma jakąś pięćdziesiątkę.

- Niech pan wejdzie i zamknie drzwi - powiedział.

Mężczyzna zrobił krok do środka, ale drzwi nie zamknął.

- Czy tutaj będziemy rozmawiać?

- Tak. Mam z tyłu pokój.

- I chce mi pan przekazać swoją wersję?

- Tak właśnie powiedziałem waszemu wydawcy.

- Dobra. Tego właśnie zawsze chcieliśmy. Pańskiej wersji. Pragniemy być uczciwi. Nikt nie nastawał na pana głowę. Na pewno nie ja. Sam byłem w Korei. Większość naszych czytelników to patrioci. Tak więc wszystko w porządku.

- Chciałem panu opowiedzieć, jak mnie wojsko wrobiło, ale jeśli wasi czytelnicy to patrioci, może tego nie wydrukujecie?

- Ależ wydrukujemy. Wydrukujemy wszystko, co pan nam powie.

- Dobrze. Proszę pójść za mną. - Tyson odwrócił się i przeszedł kilka kroków. Spojrzał przez ramię. - Tędy.

Jones prychnął nerwowym śmiechem.

- Jest pan sam? - zapytał.

- Tak. A pan?

- Też. Posłuchaj pan, wyjdźmy lepiej na dwór. W jakieś miejsce publiczne, ale zaciszne. Przejdźmy się nad wodą.

- Nikt mnie nie może z panem zobaczyć - powiedział Ben. - Ale... niech będzie. Wezmę tylko swoje notatki. - Zniknął w ciemnościach zalegających muzeum, zsunął buty i niosąc je w ręce okrążył budynek. Stał w drzwiach za dziennikarzem. - Gotowy?

Jones podskoczył i odwrócił się.

- O... Chryste, przestraszył...

Tyson wymierzył mu z całej siły cios w splot słoneczny. Jones zgiął się wpół, a Ben wbił mu kolano w twarz słysząc i czując, jak tamtemu łamie nos. Dziennikarz potknął się, odwrócił i jedną ręką złapał za twarz. Tyson włożył szybko buty i wymierzył mu kopniaka w plecy. Jones padł na kamienną podłogę, jęcząc z bólu.

Ben usłyszał za sobą jakiś hałas i odwrócił się. Oślepił go błysk lampy, a zaraz potem kolejny. Wybiegł z muzeum za fotografem, który zrobił jeszcze jedno zdjęcie, zanim

odwrócił się i zaczął uciekać. Tyson ruszył w pogoń.

Nagle zza muru muzeum wyszło dwóch mężczyzn w dresach. Jeden złapał fotografa za ramię, drugi wyrwał mu z ręki aparat i cisnął nim o chodnik. Potem ruszył w stronę Bena, który stanął w wyczekującej pozie.

Mężczyzna minął go i wbiegł przez otwarte drzwi do muzeum, latarką oświetlił Wally'ego Jonesa leżącego na podłodze. W snopie światła widać było wyraźnie twarz zalaną krwią. Mężczyzna przeniósł snop światła na Tysona, świecąc mu prosto w oczy.

- Stój tam, gdzie jesteś, i nie ruszaj się - powiedział.

- A kim ty, u diabła, jesteś?

- Człowiekiem, który ma wymierzoną w ciebie automatyczną czterdziestkępiątkę.

Ben usłyszał szcęk odbezpieczanej broni.

Ścianę muzeum zalało światło reflektorów nadjeżdżającego samochodu, który zahamował tuż obok Tysona. Jakiś mężczyzna wystawił głowę przez okienko.

- Jest pan gwałtownym człowiekiem.

Ben rozpoznał głos Cheta Browna.

- Wsiadaj do samochodu, zabójco - powiedział Brown.

Samochód przejechał przez most Verrazano. Tyson zapalił papierosa. Kierowca, młody człowiek o twardym spojrzeniu, zawołał do tyłu:

- Czy mógłby pan nie palić?

Ben wydmuchał strugę dymu w stronę kabiny kierowcy. Z tyłu doszedł go cichy śmiech. Tyson obejrzał się na Browna, który zajął miejsce w ostatnim rzędzie siedzeń. Miał na sobie biały strój tenisowy.

- Jak ci leci w nowej pracy? - zapytał Chet.

Ben zaciągnął się papierosem i spojrział przez okno na Statuę Wolności, górującą nad wodą, w złowieszczej zielonej poświacie.

- A tak przy okazji, ktoś odprowadzi twoją żonę do kwatery i wytłumaczy cię - dodał.

- Czy Oakes był od ciebie? - zapytał Tyson.

- Może. Pod kapelana trudno się podszyć.

- Wiem.

- Będziemy musieli zorganizować specjalne zajęcia.

- My? Kto to jest my?

- Nazwa ci nic nie powie - odparł Brown. - Jesteśmy w takim cieniu, że nawet CIA nie bardzo wierzy w nasze istnienie.

- Brzmi jak wielkie nic.

- A jeśli chodzi o Wally'ego Jonesa - zmienił temat Chet - nie winię cię, Ben. - Drań zasłużył sobie. Gdyby napisał o mojej żonie takie świństwa, zrobiłbym to samo co ty. Naszą przysługę możesz potraktować jako prezent. Ale jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, będziesz miał do czynienia z policją. Nie mogę oszukiwać sprawiedliwości częściej niż raz w miesiącu.

- Nie potrzebuję od ciebie żadnych uprzejmości.

- No cóż, Ben, na tym polega moja praca. Wyznaczono mnie na twojego anioła stróża. Dlatego ubieram się na białe.

Tyson popadł w ponure milczenie.

Samochód przejechał przez miejsce do uiszczania opłat, nie płacąc ich, skręcił w prawo i podjechał pod główną bramę Fortu Wadsworth. Żandarm skinął ręką pozwalając na wjazd. Samochód sunął ciemnymi, wyludnionymi uliczkami prawie opuszczonego fortu. Zjechali po nachyleniu do Narrows, minęli dok i zatrzymali się przy zasłaniającej widok granitowej ścianie Battery Weed.

Brown wysiadł z samochodu, wskazując Tysonowi, żeby ruszył za nim. Podeszli do ogromnych, podwójnych drzwi stanowiących wjazd od strony lądu do trypoziomowej baterii artylerii. Chet pociągnął je i otworzył. Wkroczyli do sali przypominającej jaskinię, częściowo oświetlonej zwisającymi z sufitu gołymi żarówkami. W różne strony rozchodziły się metalowe schodki. Ben podążył za Brownem jednymi z nich. Kroki mężczyzn odbijały się echem w wilgotnym, nieruchomym powietrzu. Brown poprowadził przez szeroki, łukiem sklepiony korytarz. Po jednej stronie biegł rząd drewnianych drzwi.

- Wybierz, które chcesz - powiedział.

Tyson wskazał na chybił trafił i Chet otworzył je. Obaj weszli do pomieszczenia oświetlonego jedynie przez światło wpadające dwoma otworami dla karabinów maszynowych.

Brown stanął przy jednym z nich, wyglądając na cieśninę Narrows.

- Ten sam widok. Hamilton. Shore Parkway, Coney Island, lotnisko Kennedy'ego, most i zatoka. Powąchaj, jak powietrze pachnie tu solą.

Oczy Bena przyzwyczały się do słabego światła, zauważył, że ściana pokryta jest groteskowymi rysunkami zwierzęcopodobnych stworzeń wymalowanych fluorescencyjnymi farbami.

- Obrazki kultowe - odpowiedział Chet na nie zadane pytanie. - Ludzie z urzędu śledczego mówią, że to sataniści. Znajdują tu zamordowane koty, psy i kurczaki.

Tyson nie odpowiedział, tylko przesunął się do sąsiedniego otworu i też wyjrzał na Narrows. Musiał przyznać, że Brown miał dar wybierania interesujących miejsc na spotkanie.

- Jak długo depczesz mi po piętach?

- Wystarczająco długo, aby stwierdzić, że pomiędzy tobą a Harper mogło wydarzyć się coś wspaniałego.

Ben wychylił się przez otwór wykuty w murze o prawie metrowej grubości. Znajdowali się jakieś dziesięć metrów ponad brzegiem.

- Dzisiaj wieczorem niewiele brakowało, kochaneczku. Ale nie liczyłeś się z przyjazdem żony. Wcale nie przesadzę, mówiąc, że wstrzymywałem oddech, kiedy wpadliście biegiem do twojej kwatery. A już godzinę później ściskałeś żonę za rękę pod stołem. Co za facet!

Tyson podciągnął się i usiadł w wykuszu. Zapalił papierosa i zapatrzył się w daleki horyzont. Zauważył, że maniery Cheta nie były już tak poprawne jak podczas ich pierwszego spotkania w klubie. Teraz bardziej wyglądał na twardziela i Ben zaczął podejrzewać u faceta zdolności kameleona dostosowywania się do otoczenia. Zastanawiał się, który z nich był prawdziwym Chetem Brownem. Prawdopodobnie żaden.

- Miałeś ciężki dzień. - Brown przysunął się bliżej do Tysona. - Przyzwyczajasz się? No wiesz, do siedzenia i beznadziejnego wpatrywania się w okno.

Ben wymierzył papieros w Browna.

- Trzymaj się z daleka ode mnie.

- Po prostu jestem pod wrażeniem ponownego spotkania z tobą - powiedział Chet cofając się o krok. - A i tak, jako twój anioł stróż, mogę kierować losem śmiertelnych. Robiąc coś lub właśnie nie robiąc. Ale teraz składam twój los w twoje własne ręce. Więc uważaj, z kim się pieprzysz i komu przypieprzasz, i raczej nie wzywaj dziennikarzy.

- Skończyłeś? - ziewnął Tyson.

- Nie. Czy mówi ci coś nazwisko pułkownik Erie Willets?

- Nie.

- Za to twoje jemu tak. To kochanek Karen i ma ochotę dobrać ci się do dupy.

- Powiedz mu, żeby nie wierzył we wszystko, co przeczyta w gazecie. To samo powiedziałem mojej żonie.

- Przekażę mu. - Brown rozeźmiał się. - Wiesz co, Ben, lubię cię. Ale jesteś źródłem tyłu zmartwień. Spowija cię czarna chmura i na każdego, kto znajdzie się w pobliżu ciebie, pada deszcz. Nawet w Waszyngtonie martwią się przez ciebie. Czytałeś dzisiejszego „Timesa”?

- Nie.

- Stałeś się przedmiotem debaty w Kongresie. Także Organizacja Narodów Zjednoczonych zainteresowała się tobą. Mówi się o wysłaniu do Hue misji, która miałaby zbadać sprawę na miejscu, a Hanoi chętnie się na to godzi. Komu zależy na wywlekaniu tego całego gówna, Ben?

- Na pewno nie mnie.

- Naszej ojczyźnie też nie.

Tyson przyjrzał się Chetowi w bladym świetle. Wszystko zaczynało się wyjaśniać. Poczł, jak usta robią mu się całkiem suche. Zsunął się z wykusza.

- Ty też się trzymaj z daleka ode mnie - powiedział Brown. - Powinniśmy właściwie pogniewać się na Brandta. Za dużo gada. Gdyby on zniknął, sprawa też by się rozmyła.

Ben wsunął rękę do kieszeni. Pod palcami wyczuł kształt szwajcarskiego scyzoryka.

- Byłem za tym - ciągnął dalej Chet - ale... - Wzruszył ramionami. - Są tacy, którzy uważają, że lepiej przysłużyłoby się sprawiedliwości twoje zniknięcie.

Tyson ciągle trzymając rękę w kieszeniach, powoli palcem wysunął ostrze.

- Zaproponowaliśmy ci układ.

- Zróbcie to jeszcze raz.

- Dobra. Zgodzisz się?

- Pocałuj się w dupę.

- Jesteś zimnym draniem. - Brown uśmiechnął się nieprzyjemnie. - W takim razie dostaniesz coś innego. - Rozejrzał się po pomieszczeniu, a potem znowu skoncentrował na Tysonie i wyciągnął zza elastycznego pasa mały rewolwer automatyczny. Ben zauważył czarny kształt tłumika, wyraźny obok srebrnego niklu pistoletu.

- Stawaj - powiedział Chet.

Tyson nawet nie drgnął. Odległość pomiędzy nim a Brownem wynosiła jakieś trzy metry. O półtora więcej, niż podawał jego dawny podręcznik do walki wręcz.

- Właż tam - warknął Brown.

- Pieprz się.

- Próbuję ci tylko pomóc zrobić to, co próbowałeś w zatoce - powiedział zimno Chet. - To łatwiejsze i szybsze niż topienie, Ben. Staniesz we wnęce, zamkniesz oczy i zrobisz jeden krok.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- A jak, do cholery, myślisz?

- Nie próbowałem popełnić samobójstwa, ty dupku. - Tyson wpatrywał się w Browna.

Ten zmieszał się.

- No cóż, tym gorzej - stwierdził. - Oni naprawdę mieli nadzieję, że zrobisz to z honorem.

- Ty nie będziesz mi mówił o honorze. Jeśli chcesz mojej śmierci, musisz sam mnie zabić.

Chet pokręcił głową i opuścił pistolet.

- W tej chwili mam jedynie prawo zachęcić cię do skończenia ze sobą. I jeśli wreszcie naprawdę umrzesz, będzie to albo wynik samobójstwa, albo wypadku. Takiego, jaki spotkał pana Harolda Simcoxa. Jeśli będziesz się chciał ze mną skontaktować, zostaw wiadomość na tablicy w Klubie O., tam gdzie są informacje o rzeczach zgubionych lub znalezionych. „Znaleziono egzemplarz »Obcego« Camusa - do odebrania w klubie”. Odezwę się do ciebie. I uważaj, poruczniku. Jesteś na służbie.

- Nie musisz mi tego przypominać - powiedział Ben.

Brown wsunął pistolet za elastyczny pas i otworzył drzwi. Odwrócił się do Tysona.

- Przy głównej bramie możesz zadzwonić po taksówkę. Miłego dnia.

Ben patrzył, jak drzwi zamykają się, potem podszedł do nich bliżej i nasłuchiwał oddalających się kroków Cheta. Wyciągnął rękę z kieszeni i zobaczył, że jest cała zakrwawiona, na palcach miał głębokie nacięcia. Owinął chusteczką palce i otworzył drzwi. Korytarz był pusty. Przy takim aniele stróżu kto by się bał kostuchy, pomyślał.

Ruszył powoli pustym korytarzem. Zdławił w sobie uczucie wdzięczności, że jeszcze żyje. Ponieważ Brown chciał, żeby takie uczucie właśnie w nim pozostało. Zdusił też gniew i urazę. Chet Brown nie będzie miał wpływu na jego emocje i decyzje. Cheta Browna po prostu nie ma.

„Miłego dnia”. Chryste, pomyślał, czy tak mają wyglądać jego miłe dni? Miał nadzieję, że jednak nie. Sprawy przedstawiały się już wystarczająco źle.

Rozdział 32

Benjamin Tyson siedział naprzeciwko Vincenta Corvy, po drugiej stronie biurka.

- Kawy? - zaproponował adwokat.

- Poproszę.

Corva przekazał zamówienie sekretarce przez interkom.

Tyson przyglądał się niewielkiemu mężczyźnie w porannym świetle wpadającym przez wychodzące na wschód okna. Był pewnie jakieś kilka lat od niego młodszy, bardzo szczupły, z bladymi, zapadniętymi policzkami i wytrzeszczonymi oczami. Wyglądał jak niedożywiony. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu, tak że czoło było zupełnie odsłonięte, a przez cały czas jego grdyka podskakiwała poruszając węzłem krawata. Ben podejrzewał, że adwokat musiał wiele się napracować, żeby osiągnąć zamierzony efekt.

Zapalił papierosa. Było mu niewygodnie z zabandażowaną ręką. Corva przyjrzał się opatrunkowi, ale nic nie powiedział. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku.

- Mówił pan, że kto mnie polecił? - zapytał.

Jego głos był znacznie silniejszy, niż można było oczekiwać po tak drobnym mężczyźnie.

- Nie mówiłem tego - odparł Tyson.

- W takim razie kto?

- Zgłosiłem się do rady adwokackiej i dali mi listę nazwisk.

- I wybrał pan Vincenta Corvę, bo to niezłe brzmiało.

- Coś w tym stylu.

Ben rozejrzał się po pokoju. Był cały pomalowany na biało z akustycznymi rurami pod sufitem, szarym dywanem i meblami, które wyglądały, jakby zostały właśnie tego rana przywiezione z najelegantszego sklepu w Nowym Jorku. Na ścianach wisiały szkice utrzymane w sepii przedstawiające „wielkie momenty z historii prawa”. Ku zdziwieniu Tysona było ich więcej niż dwa. Na parapecie stała pojedyncza roślina, której wygląd podejrzanie przypominał marihuanę.

- Bazylia.

- Słucham? - Ben spojrzał na Corvę,

- Słodka bazylia. Czuje pan ten zapach? Nie można dostać świeżej bazylii, nawet w Nowym Jorku. Lubi pan pasta al pesto?

- Uwielbiam.

- Trzeba zerwać świeżą i przygotować sos w ciągu piętnastu minut. Wtedy otrzyma się esencję zapachu bazylii. W tym tkwi cała tajemnica.

- Oczywiście. - Tyson zatęsknił za Phillipem Sloanem i jego drewniano-skórzanym biurkiem.

- Mój ojciec wkładał sobie pęd za ucho, taki przesąd. Ale nigdy nie wiedziałem po co.

Adwokat wyprostował się i przysunął do siebie notatnik. Coś w nim zapisał. Ben zastanawiał się, czego to może dotyczyć, bazylii czy morderstwa.

- Prasa podała, że pańskie swobody zostały ograniczone. Czy to prawda?

- Tak. - Tyson wymienił zakres restrykcji.

- Dziwne - powiedział Corva - bo właśnie od tego momentu rozpoczęło się odmierzenie czasu. A wojsko nie zdąży przygotować sprawy w dziewięćdziesiąt dni. Ale ktoś i to wysoko kazał wprowadzić restrykcje, żeby zmusić armię do działania. Prawdopodobnie zdaniem rządu im dłużej sprawa pozostaje nie rozwiązana, tym więcej szkody przynosi.

- Zgadzam się z tą teorią. Czy może pan przygotować obronę w czasie, jaki nam pozostał?

- Cóż, wyprzedzają mnie o parę miesięcy, ale zobaczymy, co się da zrobić.

Ben zaciągnął się papierosem i spojrzął na oprawione dyplomy i poświadczenia uprawnień zawodowych, które wisiały na ścianie nad głową adwokata. Zauważył również kolorową fotografię żołnierzy w mundurach polowych. Stali na pustym polu, a za nimi unosiła się smuga dymu.

- Był pan w Wietnamie? - zapytał.

- Tak. A wie pan, jak do tego doszło? Zostałem wezwany do wojska w sześćdziesiątym siódmym i trafiłem do Izby Wojskowej. Zaliczyłem kurs na uniwersytecie w Charlottesville. Potem pracowałem jako sędzia wojskowy w Forcie Benning. Czasami przyglądałem się ćwiczeniom piechoty. Nigdy w życiu nie widziałem tak ciężko zasuwających ludzi. I któregoś dnia przechodziłem przez ozdobione wielkimi lustrami wnętrze poczekalni w sądzie i zobaczyłem bladego, chudego chłopaka z teczką. Postanowiłem zostać oficerem piechoty. Trudno o większą głupotę. - Spojrzął na Tysona.

- Może to był moment samoświadomości. - Ben uśmiechnął się.

- Nikt tak nie myślał. W każdym razie po kilku miesiącach składania papierków wyostałem się z Izby Wojskowej i zapisałem do szkoły piechoty w Benning. W czasie pierwszego miesiąca treningu umarłem sześć razy. Ale nie dałem tego po sobie poznać. Zdałem i wkrótce potem trafiłem do Wietnamu. Przydzielono mnie do Dwudziestej Piątej Dywizji Piechoty, stacjonującej koło Cu Chi.

Tyson kiwnął głową.

- Miałem, podobnie jak pan, swój pluton i widziałem co nieco. Przeszedłem, tak jak i pan, przez ofensywę Tet. Ale różnimy się tym, że nie zostałem ranny. Jakies pytania?

- Na razie nie.

- Dobrze, po powrocie przydzielono mnie do Pentagonu w związku z moim wykształceniem prawniczym. Byłem czymś w rodzaju maskotki Izby Wojskowej. Lubili mnie pokazywać. Patrzcie, adwokat Izby Wojskowej z prawdziwą bojową odznaką piechoty. Żywy dowód, że prawnicy mają jaja.

Ben uśmiechnął się.

- Dla kogoś, kto jest niewysoki i chudy - dodał Vincent Corva - piechota wydaje się bardzo pociągająca. Pan może tego nie rozumieć. Przed wynalezieniem prochu nie dałoby się ze mnie zrobić żołnierza, ale Bóg dał nam, małym zarozumiałcom, karabiny M-16 i lekkie wyposażenie bojowe i uczynił nas równie morderczymi. A ludzie różnią się tylko tym, co mają w głowie. - Trzepnął się po czole. - I pierwsza bitwa rozgrywa się tu także. - Wstał. - Muszę się wysikać, panie Tyson.

- W porządku.

- Jeśli pana nie będzie, kiedy tutaj wrócę, zapomnę o sprawie. - Adwokat wyszedł z biura.

Ben zgasił papierosa w popielniczce. Wstał i podszedł do oprawionej fotografii Corvy wiszącej nad biurkiem. Było to zdjęcie pozowane. Oddział ustawił się jak drużyna sportowa. Pierwszy rząd klęczał, drugi stał. Było tam około czterdziestu mężczyzn, ze standardowym wyposażeniem. Stali na czymś, co wyglądało jak równina popiołu lub sadzy ciągnąca się aż po horyzont, skąd wznosiły się czarne dymy. Fotografia była kolorowa, ale barw było niewiele.

Pośrodku drugiego rzędu stał porucznik Vincent Corva. Wyglądał prawie komicznie, wciśnięty pomiędzy dwóch wielkich Murzynów. Ale Tyson podszedł bliżej i zobaczył coś w rysach Corvy i w jego oczach, i poczuł, że ten człowiek go zrozumie. Nie było to Odległe Spojrzenie, ale wzrok głodnego drapieżcy, który wie, że jest niebezpieczny.

Ben podszedł do okna i oberwał ciemnozielony liść bazylii. Roztarł go pomiędzy palcami i powąchał je. Drzwi do gabinetu otworzyły się.

- Zapachy zadziwiająco ożywiają pamięć - powiedział adwokat. - Słodka bazylia zawsze przynosi mnie do domu rodziców. Jest wczesna jesień, na osłonecznionej ławce dochodzą pomidory. - Podał Tysonowi filiżankę z kawą. - Robią kawę, ale już jej nie przynoszą. Takie mamy czasy.

- No cóż, dlaczego miałyby to robić?

- Ona jest moją żoną.

- Tym bardziej nie będzie.

Corva usiadł na krześle. Ben nadal stał.

- Kiedy zostałem zwolniony ze służby - powiedział adwokat - przestałem się zajmować prawem wojskowym. Ale potem wyszła sprawa Calleya i bardzo uważnie ją śledziłem. Jest coś wyjątkowo fascynującego w sądach wojskowych? Prawda.

- Zdecydowanie tak. Brał pan udział w rozprawach wojskowych?

- Kilkunastu. Brakowało mi tego wtedy, gdy zajmowałem się przede wszystkim nieruchomościami, więc podszlifowałem moją znajomość prawa wojskowego i zdałem egzamin. W ciągu ostatnich piętnastu lat stawałem w około piętnastu procesów.

- Słyszałem o jednym w Forcie Jackson. Dotyczył kapitana. Zastrzelił kochankę żony.

Corva uśmiechnął się.

Tyson przyglądał mu się i zastanawiał, jakie robi wrażenie na oficerach ferujących wyrok. Przynajmniej, pomyślał, nie ma takiego krzywego spojrzenia jak Phillip Sloan.

- Niech pan posłucha, panie Tyson. - Adwokat nachylił się do przodu. - Możemy obwąchiwać się przez cały dzisiejszy ranek, ja udając, że jestem do pewnego stopnia zainteresowany pańską obroną, pan, że może pójść poprosić o nią kogoś innego. Nie mam na to czasu, pan również nie. Znam każdy szczegół pańskiej sprawy, jaki został ogłoszony w prasie. Czytałem również książkę Picarda. Dwa razy. Chcę wziąć tę sprawę. Na całym Wschodnim Wybrzeżu jest tylko dwóch dorównujących mi adwokatów uprawnionych do występowania w sądach wojskowych, ale nie pamiętam ich nazwisk. Miał więc pan dużo szczęścia, wybierając mnie z listy, którą adwokatura panu dała.

- W porządku, ma pan tę sprawę - powiedział Ben.

- Dobrze. Biorę dwieście dolarów za godzinę. Dwa razy tyle za czas w sądzie. To będzie kosztowało pana fortunę.

- Jestem nędzarzem.

- Kto nie jest w dzisiejszych czasach? Może ma pan bogatą ciocię?

- Mnóstwo. Ale są też ludzie, którzy zbierają pieniądze na moją obronę.

- Wiem - powiedział Corva. - Skontaktuję się z nimi. Choć prawdopodobnie jeszcze wcześniej oni skontaktują się ze mną. O pieniądze proszę się nie martwić. Jeśli będzie ich za mało, ja pokryję różnicę. *Pro publico bono*. To łacina, nie włoski. Oznacza „dla dobra publicznego”. - Adwokat wstał. - Umowa stoi?

- Stoi. - Tyson wyciągnął rękę.

- Nie mam czasu, żeby wchodzić w szczegóły - powiedział Corva - ale od razu udzielę panu pierwszej porady. Niech pan się więcej nie kontaktuje z major Karen Harper. W żadnych okolicznościach. Rozumie pan?

Ben kiwnął głową.

- Chciałbym porozmawiać z pańskim adwokatem, Sloanem. Mieszka i urzęduje w Garden City?

- Zgadza się.

- A tak przy okazji, znam Van Arkena - odezwał się po dłuższym zastanowieniu adwokat. - Z Pentagonu. To znaczy nie osobiście, ale wiele o nim wiem. Wypląnął, kiedy zaczęła się sprawa My Lai. To bezkompromisowy skurwysyn.

- Prawie całe wojsko, panie Corva, składa się z bezkompromisowych skurwysynów. A pozostali nie są lepsi.

- To prawda. A Izba Wojskowa nie różni się specjalnie od piechoty, jeśli już o to chodzi. I nie istnieje coś takiego jak ugoda między prokuraturą a obroną przed rozprawą tak jak w sprawach cywilnych.

- Nie interesuje mnie ugoda.

- Mnie też nie, panie Tyson. Ale czasami zdarza się, że rząd wtyka nos w sprawy wojska i sam proponuje jakiś układ. Czy panu się to nie przydarzyło?

- Nie.

- W razie czego proszę mnie zawiadomić.

- Oczywiście.

- Chciałbym, żeby teraz poszedł pan poznać moją żonę, Lindę. - Otworzył drzwi. - Brunetka w różowej sukience. Uważa, że jest pan przystojny. Będzie ciężko dla pana pracować. Za jakiś czas pan i pańska żona przyjdziecie do nas na kolację. Wczesną jesienią, kiedy słodka bazylija jest najlepsza.

- Jeśli tylko będę w tym czasie mógł opuszczać jednostkę.

- Będzie pan mógł.

Ben zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił do adwokata.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że 15 lutego 1968 roku doszło do pogwałcenia Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego. Pogwałcenia, w stosunku do którego nie ma przedawnienia.

- Naprawdę?

- I że większość z tego, co napisał Andrew Picard w swojej książce, to prawda.

- Skąd pan wie?

- Byłem tam.

- Był pan? - Corva podszedł do Tysona i zniżył głos: - Coś panu powiem i będzie to największa prawda na temat wojny, panie Tyson. Ostatecznie wszystkie wojenne historie to gówno. Niezależnie, czy opowiadają je generałowie, czy szeregowcy - to wszystko gówno. Od „Iliady” do Grenady - gówno. Nigdy nie zdarzyło mi się usłyszeć prawdziwej historii wojennej i nigdy takiej nie opowiedziałem, pan też nie. A kiedy wejdziemy na salę

sądową, będziemy rzucali głównym szybciej i częściej niż wojsko i zanim uda nam się wyjść stamtąd, będziemy cali w nim unurzani. Niech mnie pan nie obciąża prawdą, Tyson. Prawda mnie nie interesuje.

- To znaczy, że pan nie chce wiedzieć, co... - Ben patrzył w oczy adwokata.

- Nie. Co mnie, u diabła, to obchodzi? Kiedy się słyszało jedną historię wojenną, to tak, jakby znało się je wszystkie. A szczegóły niech pan zatrzyma dla siebie. Jeśli zapytam o jakiś drobiazg albo dwa, potrzebny do obrony, proszę mi zrobić tę uprzejmość i oszukiwać mnie. - Wycelował palec w Tysona. - Jedyna wersja, jaką masz mi opowiedzieć, przyjacielu, to wersja oficjalna. Ta, którą potwierdzili pan Anthony Scorello i pan Paul Sadowski. Widzi pan, ja nie jestem najlepszym aktorem, dlatego kiedy Brandt i Farley staną w sądzie i zaczną opowiadać swoją głównianą wersję, chcę okazać przekonujące niedowierzanie. Zna pan japońską sztukę „Rashomon”? Niech pan ją przeczyta. Do zobaczenia jutro w Forcie Hamilton. Postawi mi pan o siódmej kolację. A potem wypijemy u pana kawę. Chciałbym poznać pańską żonę.

Ben stał nieporuszony

- Raz natknąłem się na prawdziwą historię wojenną - powiedział wreszcie - Oficer konfederatów opisywał Gettysburg. Napisał: „Wszyscy poszliśmy na Gettysburg latem sześćdziesiątego trzeciego, niektórzy z nas wrócili. Wszystko, reszta to szczegóły”.

- Tak - uśmiechnął się z uznaniem adwokat. - Szczegóły. Do widzenia, panie Tyson.

- Do widzenia, panie Corva.

Rozdział 33

- Podaj mi ogórki, proszę - powiedział Benjamin Tyson.

David podsunął mu ogórki.

- Jeszcze trochę mrożonej herbaty? - zapytała Marcy Corwę.

- Nie, dziękuję.

Ben siedział w koszuli z podwiniętymi rękawami i rozluźnionym mundurowym, czarnym krawatem.

- Gorąco.

Marcy podniosła się i opuściła żaluzje, zamykając dostęp południowemu słońcu do małej jadalni.

Tyson rozejrzał się po pokoju, a właściwie małej wnęce przylegającej do salonu. Marcy kupiła w sklepie na terenie jednostki stół i kilka obrazów, w tym malowany opalizującymi farbami na czarnym welwecie wizerunek góry Fudzi. Przyglądał mu się obierając ogórki. Na przeciwległej ścianie wisiało jego wezwanie do wojska.

- Trochę sałatki z kurczaka? - zapytała Marcy adwokata.

- Nie, dziękuję, Marcy. Lunch był wyśmienity.

- Akurat - mruknął Ben.

- Ależ naprawdę...

- Protestanckie jedzenie, Vincent. Jesteś tym, co jesz. Dzisiaj jesteś ogórkiem i sałatką z kurczaka, i chlebem białym jak opłatek. Jeszcze przed wieczorem będziesz cytował aforyzmy i stracisz ochotę na seks.

Corva uśmiechnął się zmieszany.

Marcy rzuciła mężowi spojrzenie urażonej niewinności.

- Nie życzę sobie żadnych docinków na tle rasowym czy religijnym. - Odwróciła się do adwokata. - Prawda, że to był odpowiedni lunch na gorący dzień?

- Tak.

- Tato - wtrącił David - pojedę dziś autobusem i kolejką do Sheepshead. Chciałbym pokręcić się trochę na przystani, dobrze?

- Czemu nie? - powiedział Tyson.

- Ponieważ ja nie chcę, żeby jechał autobusem i kolejką - odpowiedziała Marcy.

- A jak zamierzasz żyć na Siedemdziesiątej Którejś, jeśli nie masz zamiaru używać autobusu i metra?

- Ja... nie jestem przyzwyczajona do miejskiego transportu.

- Ja nie byłem przyzwyczajony do walki, dopóki nie zaczęto do mnie strzelać z karabinu maszynowego. Rozmawiamy o podmiejskich chuliganach... - Zwrócił się do Corvy. - A ty co sądzisz?

- No... a ile on ma lat...

- A co dzieciak ma tu w ogóle robić przez cały dzień? - przerwał mu Ben.

- A co ja tutaj robię przez cały dzień? - zachnęła się Marcy.

- A co ja? - odbił piłeczkę Tyson. - Przez dwie minuty przejmuję służbę, potem oprowadzam grupy geriatryków, a przez pozostałą część dnia gapię się w armatę. Może cię nie zabieram na obiady i kolacje do klubu?

- Menu już znam na pamięć, w tym nazwisko i adres drukarza.

- No to będę mógł pojechać czy nie? - odchrząknął David.

- Tak.

- Nie.

Ben walnął pięścią w stół.

- Tak! - I odwrócił się do Corvy: - Włoskie żony tak się nie zachowują.

- No...

Teraz Marcy zwróciła się do adwokata.

- Czy pozwoliliby pan swemu piętnastoletniemu synowi...

- Szesnastoletniemu - poprawili ją jednocześnie ojciec i syn.

- Szesnastoletniemu jechać metrem?

- Metro jest całkiem bezpieczne - stwierdził Tyson. - Nie wierz wszystkiemu, co czytasz w gazetach. To jest właśnie nasz kłopot. Zbyt wierzymy w słowo pisane.

- To może pójde pograć w baseball - powiedział David.

- W porządku - stwierdził Ben. - Może byś poszedł już teraz.

- Dobra. - Chłopak wstał, zabrał kilka talerzy i zniknął w kuchni, wołając ogólne „cześć”.

Ekranowe drzwi kuchni otworzyły się i zamknęły.

- Po co pan i Ben spotkacie się dziś pułkownikiem Levinem? - Marcy popatrzyła na Corwę.

- Zwykle formalności - zapewnił adwokat.

- Gówno prawda. - Wpatrywała się w niego przez jakiś czas.

- Nie pojedynkuj się na spojrzenia z naszym gościem - powiedział Tyson. Odwrócił się do Corvy. - Jedzenie może być nieciekawe, ale nie da się tego powiedzieć o towarzystwie.

- Ale ja naprawdę lubię sałatkę z kurczaka.

- O Boże, czasami myślę, że wszyscy poszalejemy mieszkając tutaj - Marcy roześmiała się niewesoło. Zwróciła się do adwokata. - Od trzech tygodni pracuje pan nad tą sprawą. Co pan zrobił, odkrył i w ogóle?

- No cóż, rozmawiałem z Phillipem Sloanem, wypełniałem różne papiery w Rejonowym Sądzie Federalnym, wysłałem telegramy do Ministerstwa Obrony, Sprawiedliwości, do Izby Wojskowej i do Białego Domu. Zorganizowałem konferencję prasową, a moje zdjęcie ukazało się w „Newsweek”, „Time”, „U.S. News” i „American Investigator”.

- Przez ostatnie trzy tygodnie nie widziałam rubryki Wally’ego Jonesa - powiedziała Marcy z uśmiechem do Bena.

- Naprawdę? Pewnie wziął sobie urlop.

- Czy kontaktował się pan ze świadkami? - Marcy zwróciła się znowu do Corvy.

- Z reprezentantami świadków wystawianych przez stronę rządową. I z Karen Harper. Nie miała obowiązku dzielenia się ze mną owocami wstępnego śledztwa, ale okazała się bardzo pomocna.

- Tak. Dla Bena także. Ale jak pan myśli, co ona zarekomendowała?

Adwokat zerknął na Tysona, a potem odpowiedział Marcy:

- Opierając się na zeznaniach dwojga świadków najprawdopodobniej napisała w konkluzji, że należy kontynuować sprawę.

- Dalsze śledztwo? Oficjalna rozprawa? Czyli kolejne miesiące tej makabry?

- Obawiam się, że tak.

- Czy ktoś ma ochotę się napić? - zapytał Ben. - Dżin z tonikiem na patio?

- Tu nie ma patio. - Marcy podniosła się. - A poza tym nie ma ani dżinu, ani soku limony.

- No to zadzwoń do domu wysyłkowego i każ im dostarczyć tonik, sok i patio. Podwójne.

- Może wyjdziemy na schody i napijemy się po prostu wina? - zaproponowała.

- Dobra. - Tyson wstał. Obszedł stół i pocałował żonę. - Dobry lunch.

- A gównu. - Poklepała go po policzku.

Corva podniósł się również.

- Będę na zewnątrz. - Zabrał marynarkę z krzesła i przeszedł przez salon, a potem wyszedł frontowymi drzwiami.

- Wierzysz w niego? - zapytała Marcy.

- A ty?

- To nie ja czekam na rozprawę. Odpowiedz mi.

Ben przez chwilę się zastanawiał.

- On reprezentuje bardzo nietypową filozofię prawa. Czasami wydaje mi się, że prawda i praworządność to protestanckie obsesje. Pan Corva ma bardziej subiektywne spojrzenie na życie. Nie interesuje go sama zbrodnia, ale jak traktuje ją prawo, co mogą zrobić mi świadkowie i dlaczego zeznają przeciwko mnie. Sloan zawsze cytował prawo, kiedy się pytał o wydarzenia w tym szpitalu. Corva stara się dowiedzieć wszystkiego, co jest tylko możliwe, na temat Brandta i Farleya, i ustalić, jakie jest ich widzenie tego, co się wydarzyło w szpitalu. Inne podejście.

- Ale to ma sens, zwłaszcza że minęło tyle lat. - Skinęła głową.

- Podczas naszego pierwszego spotkania zapytał mnie, czy widziałem japońską sztukę teatralną zatytułowaną „Rashomon”. Znasz ją?

Pokręciła przecząco głową.

- To na temat gwałtu i zabijania. Czworo ludzi przedstawia cztery wersje tego samego wydarzenia. W sądzie. Nie ma dwojga ludzi, którzy powiedzieliby to samo. Bandyta mówi, że zabił męża. Żona przyznaje się do tej samej zbrodni. Duch męża mówi, że on się sam zabił, a stolarz twierdzi, że to był wypadek. Najprawdopodobniej co najmniej troje z nich kłamie, może nawet czworo. Chodzi o to, że prawdą jest to, co dana osoba widzi, i że nie istnieje jedno jedyne obiektywne wyjaśnienie czynu człowieka. - Uśmiechnął się ponuro. - Oczywiście w szpitalu wszyscy brali udział w tym samym wydarzeniu, ale kiedy dochodzi do zeznawania, każdy opowie coś innego.

- A więc obrona Vincenta Corvy będzie oparta na japońskiej sztuce? - spytała Marcy.

- Czemu nie? - Ben wzruszył ramionami. - Lepiej niż na bajce Ezopa, gdzie każdy

wreszcie otrzymuje to, na co zasłużył.

Marcy nie wyglądała na przekonaną. Spojrzała mu w oczy.

- Ben, co się dzisiaj dzieje? - zapytała.

- Nie wiem, kochanie. Ale nie wydaje mi się, żeby to była uroczystość przyznania odznaczeń. Może byś z Davidem wróciła do domu?

- Jesteśmy w domu.

Westchnął.

- W takim razie dlaczego nie wrócić do dużego, klimatyzowanego domu z patio w ogrodzie?

- Czy chodzi ci o dom w Garden City, gdzie jest nasz podmiejski klub i gdzie są nasi przyjaciele, i gdzie mamy kartę wstępu na basen, i gdzie są te wszystkie śliczne sklepy, a żandarmeria nie sprawdza codziennie, czy mam bilet parkingowy? O ten dom?

- Tak.

- Dlaczego miałabym tam się przenieść? To by oznaczało, że pozostawiam cię.

- Mimo wszystko, najmiłsza. Pomyśl, że za chwilę zaczyna się szkoła Davida.

- Tak. I nie sądzę, żeby mógł wrócić do publicznej szkoły. Ani tu, ani w Garden City, ani w ogóle nigdzie. Bo jego życie stałoby się piekłem.

Tyson kiwnął głową.

- Twoja matka ma dla niego pokój, może z nią zamieszkać na Florydzie i chodzić tam do szkoły pod innym nazwiskiem albo mieć prywatnych nauczycieli...

- Nie. Zostanie tutaj. Ze mną. A jeśli dojdzie do rozprawy, będzie przy tym również.

- Nie, nie będzie.

- Będzie. Znajdź jakąś prywatną szkołę albo nauczyciela niedaleko stąd.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Ben zerknął na zegarek.

- Zapomnijmy o winie. Muszę już iść. Sprzątnij ze stołu, a potem idź do pralni...

- Zjeżdżaj.

Tyson przygarnął ją mocno i pocałował w usta.

- Kocham cię.

- Ja też. Powodzenia.

Ben przeszedł do salonu, gdzie na krześle leżała jego kurtka od munduru. Wyszedł przed dom. Corva siedział na schodkach i przeglądał dokumenty.

- Przepraszam, że czekałeś - powiedział Tyson. - Nie mogłem znaleźć żadnego wina w domu.

- Nic nie szkodzi.

- Może pójdziemy na drinka do klubu? To i tak prawie po drodze.

- Jednak chyba dziękuję. Musimy ruszyć się. Powinniśmy już tam być.

Ben zignorował tę uwagę.

- Czy jako dzieciak żyjący w slumsach biłeś się kiedyś śnieżkami?

- Tak się składa, że wychowałem się w bardzo przyjemnej dzielnicy na wyspie Staten. - Wskazał ręką na cieśninę Narrows. - Tam niedaleko. W wielkim domu z ogrodem.

- A twój ojciec hodował słodką bazylię i pomidory?

- Tak. Cukinię i oberżynę. Mieliśmy też drzewa figowe. Musieliśmy je owijać i ocieplać na każdą zimę. Jadłeś kiedyś świeżą figę?

- Nie. Ale widziałem kiedyś u Gristedesa za pięćdziesiąt centów sztuka. Mój ojciec hodował róże. Moja matka nie umie gotować.

- Dlaczego ktoś miałby gotować róże?

- Nie mam pojęcia. Protestanci jedzą dziwaczne rzeczy.

- Posłuchaj - adwokat uśmiechnął się - wezmę cię, Marcy i Davida na fiestę w dniu świętego Gennara w przyszłym miesiącu. Na ulicę Mulberry. Dostaniesz świeże figi za piętnaście centów.

- Dobrze. Oczekuję tego z niecierpliwością.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Wreszcie Corva spojrział na zegarek.

- Myślę, że już czas.

Tyson przytaknął.

- Tak.

- Zapamiętaj, to są tylko słowa - powiedział adwokat - nie nadlatujące pociski.

- Tak - powtórzył Ben i uśmiechnął się.

- I jeśli nie będą nam się podobały ich słowa, wylejemy na nich całą beczkę gówna.

- Możemy tak zrobić?

- Jasne. Artykuł sto czterdziesty pierwszy. Idziemy.

Ruszyli w stronę dowództwa jednostki.

Benjamin Tyson i Vincent Corva zasiedli w biurze asystenta zastępcy dowódcy jednostki, kapitana Hodgesa. Tyson spojrział w stronę drzwi łączących pomieszczenie z gabinetem pułkownika Levina.

- To Levin polecił mi ciebie - poinformował adwokata.

Corva skinął głową.

- Znasz go?

- Nie, ale występowałem w sprawie o zabójstwo w Forcie Dix jakiś rok temu i Levin zasiadał w ławie sędziów wojskowych. Zadawał mi całą masę pytań.

- Dobrych pytań?

- Za dobrych.

- Przegrałeś?

- No... oskarżony uznany został za winnego.

- To znaczy, że przegrałeś.

- Chyba tak. - Adwokat ziewnął.

- Czy wygrałeś choć raz? - dopytywał się Ben.

- O co chodzi? - Corva przewracał kartki notatnika.

- Czy choć raz wygrałeś?

- Och... - Wyglądał jak człowiek, który szuka głęboko czegoś w zakamarkach pamięci. - Kilka. - Pochylił się w stronę Tysona. - A ty ile wygrałeś? Występowałeś przecież kilkakrotnie jako obrońca w doraźnych sądach wojennych.

- To nie ma znaczenia - odparł niecierpliwie Ben. - Nie jestem prawnikiem. I praktycznie każdy, kogo broniłem, był na sto procent winny.

- Oczywiście. Inaczej przecież nikt by ich nie oskarżał.

- Właśnie - powiedział Tyson.

- Wojsko rzadko decyduje się na sąd, chyba że jest przekonane o winie oskarżonego. Jeśli istnieje wątpliwość, zazwyczaj rezygnują z oskarżenia albo proponują inny rodzaj kary i sprawdzają, czy się daje na to złapać. Niekiedy zalecają dalsze śledztwo. Ale nigdy nie wchodzi do sądu, gryząc palce z nerwów, tak jak to robią cywile. - Spojrzał na Bena i uśmiechnął się. - A więc ile spraw wygrałeś, kiedy byłeś po stronie sędziów? Wszystkie?

- Większość oskarżonych uznano za winnych. Pozostałe sprawy były od razu oczywiste. Chodzi mi o to, że albo się jest na służbie, albo nie. A to nie jest żaden doraźny sąd. Jest to normalny sąd wojskowy o zbrodnię pierwszego stopnia i w dodatku bardzo złożoną. Nie widzę tu żadnej analogii.

- Ależ jest podobieństwo. Większość ludzi, których ja broniłem, była tak samo winna jak twoi żołnierze, którzy opuścili posterunek. Zanim mnie wezwali, zdążyli już podziękować adwokatowi z urzędu i byli zdesperowani. Na tym dość niewielkim poletku jestem znany jako święty Julian, patron beznadziejnych przypadków.

- I dopiero teraz mi to mówisz.

- Głowa do góry, Benjaminie. Od czasu do czasu udaje mi się jakiś cud.

- Mnie również. - Tyson wstał i podszedł do okna. Gapił się na mały teren jednostki i toczące się tu życie. - Czasami przypominają mi się twarze ludzi wprowadzanych na salę sądową. Nie lubiłem na nie patrzeć. Widok tak bardzo przestraszonego człowieka jest demoralizujący. Wszyscy w sądzie czuli zmieszanie. Nie chciałbym tak wyglądać, Vince.

- Masz prawo do lęku powiedział Corva. - Ale ty nie będziesz wyglądał na zalęknionego. Nie przed sądem wojskowym. Dobrze o tym wiesz.

- Wiem. Nie drgnę nawet, kiedy dostanę dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia? Chryste! Ja drgnę.

Ben odwrócił się od okna i spojrzał na adwokata.

- A tak przy okazji, kiedy już tam wejdziemy, możesz mówić dokładnie to, co myślisz - powiedział Corva. Twierdzisz, że masz dobre układy z Levinem, więc nie każ mi mówić wszystkiego za ciebie. Poza tym on nie reprezentuje oskarżenia. Jest tylko twoim czasowym komendantem i po prostu wykonuje swoją robotę.

- Jakie jest jego zadanie na dzisiaj, Vincent?

- Być kutasem.

Otworzyły się drzwi i kapitan Hodges wsunął głowę do środka.

- A kiedy już jesteśmy przy tym temacie... - powiedział Tyson do adwokata.

Corva roześmiał się.

Hodges przyjrzał się im z niesmakiem. Odchrząknął.

- Pan pułkownik prosi panów teraz.

Adwokat wstał i pierwszy ruszył do biura Levina. Wszedł do pokoju i skierował się na prawo, kapitan usunął się na lewo. Ben podszedł prosto do biurka i zasalutował.

- Porucznik Tyson melduje się - powiedział.

Pułkownik oddał salut, potem wstał i wymienił uścisk dłoni z Corwą, następnie przedstawił go kapitanowi Hodgesowi, który także wymienił z adwokatem uścisk dłoni. Levin usiadł, Corva także usiadł na krześle wskazanym mu przez Hodgesa. Tyson pozostał w pozycji na baczność. Był przekonany, że wszystko odbywa się zgodnie z protokołem, ale czuł się jakoś pozostawiony poza nawiasem. Miał ochotę przypomnieć im, że znaleźli się tutaj wyłącznie z jego powodu.

- Proszę usiąść, poruczniku - powiedział pułkownik.

Ben zajął jedyne wolne krzesło, pomiędzy adwokatem a adiutantem. Levin odczekał chwilę.

- Mam przed sobą kopię raportu major Harper - powiedział wreszcie - ze wstępnego śledztwa przeprowadzonego zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego. - Otworzył teczkę leżącą na biurku i zwrócił się do Tysona. - Poprosiłem kapitana Hodgesa, żeby pozostał obecny jako świadek, ponieważ jest także pański prawny przedstawiciel.

Ben kiwnął głową.

- Proszę odpowiadać werbalnie, poruczniku - powiedział Hodges.

- Tak jest, sir - odparł Tyson.

- Dostałem polecenie, jako pański dowódca - pułkownik patrzył w papiery - poinformować pana o pewnych aspektach śledztwa.

- Czy mógłbym otrzymać kopię raportu ze wstępnej fazy śledztwa, pułkowniku? - wtrącił się Corva.

- Nie, nie mógłby pan. I pan, i ja dobrze wiemy, że nie jest to przypadek artykułu trzydziestego drugiego i chodzi tylko o wymianę informacji między poszczególnymi pionami wojska. To jest raport major Harper dla generała George'a Petersa, komendanta Fortu Dix, który będzie przewodniczył w tej sprawie. Jednakże ja otrzymałem od generała Petersa polecenie, zgodnie z poradą sędziego z Izby Wojskowej, żeby odczytać oskarżonemu wybrany fragment tego raportu.

- Czy mógłbym prosić, pułkowniku - powiedział adwokat - żeby zaczął pan od końca? Jaka jest konkluzja?

Adiutant poruszył się na krześle i wydał odgłos wyraźnie świadczący, że nie podoba mu się przerywanie pułkownikowi. W innej sytuacji zniecierpliwienie Hodgesa, który musiał znosić obecność i zachowanie cywila, ubawiłoby Bena.

Jednak Levin nie miał nic przeciwko sugestii Corvy.

- Oczywiście - przytaknął. - Nie mam zamiaru tego przeciągać i niepotrzebnie denerwować porucznika. - Spojrzał wprost na Tysona i powiedział: - Major Harper nie zarekomendowała zaniechania sprawy.

Ben kiwnął głową. Tego właśnie się spodziewał. A jednak gdzieś głęboko skrywał nadzieję, że ona postąpi inaczej.

- A więc mamy do czynienia ze sprawą z artykułu trzydziestego pierwszego? - zapytał adwokat.

Pułkownik wydawał się nie słyszeć. Wyciągnął ze stosu papierów zapisaną na maszynie kartkę i podał mu.

- Teraz przeczytam panu pewne fragmenty, zgodnie z poleceniem, jakie otrzymałem. - Odchrząknął. - Oto jej słowa: „Podczas mego wstępnego śledztwa nie znalazłam żadnych dokumentów ani dowodów rzeczowych zbrodni. Było to zresztą bardzo mało prawdopodobne ze względu na miejsce domniemanej zbrodni i czas, jaki minął od jej popełnienia. Prawdopodobnie dalsze poszukiwanie dowodów również skazane jest na niepowodzenie. Dlatego zajęłam się tylko zeznaniami świadków, do których byłam w

stanie dotrzeć. Zeznania doktora Stevena Brandta i pana Richarda Farleya, jeśli się je weźmie za dobrą monetę, wskazują jasno na pogwałcenie prawa. Co więcej, z ich zeznań wynika, że była to zbrodnia z artykułu sto osiemnastego, morderstwo, czyli przestępstwo, dla którego nie stosuje się przedawnienia. Rząd zajął się sprawą podejrzanego, ale wyłączył ze śledztwa innych możliwych podejrzanych. W takim razie, choć to, co wynika z zeznań, będzie obciążać również innych żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych, ten raport dotyczy tylko i wyłącznie porucznika Benjaminu Tysona”. - Levin podniósł na chwilę wzrok na Tysona, a potem przeniósł go na Corwę.

- Jakieś pytanie? - zapytał adwokata.

- Nie.

Pułkownik kiwnął głową i wrócił do czytania.

- „Z drugiej strony zeznania Paula Sadowskiego i Anthony’ego Scorello są prawie dokładnie przeciwne złożonym przez Brandta i Farleya i zbijają wszystko, co można było potraktować w tamtych jako oskarżenia. Podczas długiego przesłuchania porucznika Tysona, o czym pisałam już wcześniej, potwierdził on w zadziwiająco wierny sposób to, co mówili Sadowski i Scorello. Trzeba jednak również zauważyć, że porucznik Tyson nie podważał zeznań złożonych przeciwko niemu ani nie obciążał zeznających na jego niekorzyść. Po prostu podał inną wersję wydarzeń. Natomiast z różnych stwierdzeń Paula Sadowskiego można wnosić, że dr Brandt jest nastawiony nieprzyjaźnie do oskarżonego. Ta niechęć datuje się z czasów, kiedy porucznik Tyson i doktor Brandt odbywali służbę w Wietnamie, ponieważ nic nie wskazuje, by kontaktowali się od dnia, kiedy porucznik Tyson jako ranny został ewakuowany z Wietnamu”. - Levin spojrzał na Bena, potem na adwokata. - Jak dotąd w porządku?

Corva spojrzał się na Tysona.

- W porządku?

- Przypuszczam, że tak. - Ben wzruszył ramionami. - Czy mam coś dodać albo zakwestionować?

- Nie - powiedział adwokat - tylko uważnie słuchać, ponieważ nie jesteśmy upoważnieni, żeby to widzieć, tylko słyszeć. A i tak robią nam grzeczność.

- Jest to - wtrącił Hodges - w interesie prawa.

Corva spojrzał na adiutanta i uśmiechnął się.

- Dziękuję, kapitanie. Wiemy o tym.

Twarz Hodgesa spurpurowiała.

- Dobrze - podjął znowu pułkownik. - Major Harper pisze dalej, co następuje:
„Wstępne śledztwo ustaliło poza tym, że istnieje pięciu dodatkowych świadków: Daniel Kelly, Hernando Beltran, Lee Walker, Louis Kalane i Michael DeTonqa. Status tych świadków podany jest w oddzielnym, załączonym do tego raportu dokumencie”. - Levin spojrzął na adwokata. - Ich miejsce pobytu nie zostało określone.

Corva skinął głową.

Pułkownik czytał dalej:

- „Poza tymi świadkami naocznymi istnieje jeszcze Andrew Picard, autor, którego rola jest dobrze znana. Z tego, co pan Picard oświadczył mi podczas rozmowy telefonicznej, wnioskuję, że podczas rozprawy nie będzie mógł powiedzieć nic ponad to, co już napisał. Pan Picard jest jednak ważnym łącznikiem z ostatnim ze znanych i możliwych świadków naocznych: siostrą Teresą. Temu również poświęcony jest oddzielny dokument”. - Levin przerzucił stronę i czytał: - „Stwierdzam, na podstawie dowodów odkrytych do tego dnia, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że naruszono Ujednolicony Kodeks Prawa Wojskowego. Z tego powodu zalecam poddać sprawę dalszemu śledztwu na podstawie trzydziestego drugiego artykułu Kodeksu”. - Pułkownik podniósł wzrok znad raportu.

Nikt się nie odezwał.

- Czy generał Peters zastosował się do tej rekomendacji? - zapytał wreszcie adwokat.

Levin wyciągnął z szuflady cygaro i obrał je z cedrowego opakowania. Tyson zauważył obojętnie, że pułkownik przerzucił się na lepszy gatunek.

- Generał Peters - powiedział Levin - po otrzymaniu niniejszego raportu przedłożył go sztabowemu przedstawicielowi Izby Wojskowej, który z kolei potwierdził rekomendację. Zgadza się on z major Harper, że powinno się rozpocząć śledztwo zgodnie z artykułem trzydziestym drugim. Generał Peters z kolei zwrócił się o współdziałanie Prokuratury Sądu Wojennego.

- Wiele osób współpracuje przy tej sprawie - zauważył Corva. - Mam nadzieję, że nie wynika to z jakichś rozkazów.

- W podobnym przypadku wydanie rozkazu - odpowiedział pułkownik - byłoby nielegalne, panie Corva. Ta sprawa była oceniana jedynie na podstawach prawnych.

- Naprawdę? Zastanawiam się, czy decyzja, by nie rozmawiać o tej raczej wątpliwej sprawie, nie jest jednak wynikiem jakiegoś subtelnie przekazanego rozkazu albo przynajmniej założenia, że taki wydano. Innymi słowy, jeśli nie chcemy posługiwać się nazwiskami, wymieńmy tytuły: prezes Izby Wojskowej, Prokurator Generalny, Ministerstwo Obrony i prezydent Stanów Zjednoczonych. Gdybym ja był generałem Petersem i słyszał ich bębenki, bez wątplenia maszerowałbym w rytmie.

Levinowi udało się wreszcie zapalić cygaro. Zaciągnął się długo, aż wreszcie koniec cygara rozjarzył się na czerwono.

- To poważne zarzuty. I nie do mnie należy wysłuchiwanie ich.

- Oczywiście - zgodził się z nim adwokat - ale póki nie sformułuję ich na piśmie i nie wyślę do każdego, kto mi przyjdzie na myśl, być może byłby pan tak miły i przekazał moją sugestię generałowi Petersowi.

- Jeśli pan sobie tego życzy - pułkownik wręczył Benowi papier. - Oto rozkazy wynikające z artykułu trzydziestego drugiego. Data to, jak pan widzi, 9 września, co daje panu wystarczająco dużo czasu, by zlokalizować pozostałych świadków obrony, jeśli tacy istnieją. Rozprawa odbędzie się tu na miejscu, w Forcie Hamilton. A dokładnie w pokoju Stonewalla Jacksona na drugim poziomie Klubu Oficerskiego. Będzie ona zamknięta dla dziennikarzy i publiczności. Macie panowie jakieś pytania?

Tyson przyjrzał się rozkazowi.

- Nie, sir - odpowiedział i wręczył papier Corvie.

Adwokat zbadał rozkaz wezwania do sądu z dużą uwagą, a potem włożył go do teczki. Spojrzał na Levina.

- Chciałbym przekazać jeszcze jedną uwagę generałowi Petersowi i sztabowemu przedstawicielowi Izby Wojskowej. A mianowicie przypomnieć im, że oskarżonemu przysługuje zgodnie z UKPW prawo do żądania udzielenia pomocy. Dlatego, jeśli mamy mieć formalne dochodzenie i rozprawę, chcę, aby wojsko na swój własny koszt prowadziło dalej poszukiwania brakujących świadków.

- Przekażę pańską uwagę odpowiednim władzom - powiedział pułkownik. Rzucił okiem na kapitana Hodgesa, potem spojrział prosto w oczy adwokatowi. - Ale ja radziłbym porucznikowi i panu, byście podjęli poszukiwania na własną rękę - dodał - jeśli naprawdę wierzycie, że ich zeznania mogą umocnić obronę.

- Tutaj nie mam żadnych wątpliwości, pułkowniku - odparł Corva. - I jestem pewien, że rząd nie pożałuje funduszy, by w interesie sprawiedliwości odnaleźć tych świadków. Na pewno wykaże tyle samo zaangażowania co w dotychczasowym prowadzeniu sprawy. Bo jeśli tak się nie stanie, podejmę odpowiednie kroki, by sprawa została wycofana. Mogę to dać na piśmie, a pan przekaze moje słowa generałowi Petersowi.

- Coś jeszcze, panie Corva? - Levin zaciągnął się cygarem.

- Nic, pułkowniku.

Odezwał się interkom i pułkownik podniósł słuchawkę. Po chwili zwrócił się do

adiutanta:

- Musi pan podpisać jakieś rozkazy sierżantowi Woltonowi. Zrobimy sobie pięciominutową przerwę.

Hodges wstał i opuścił biuro.

Pułkownik Levin oparł się o biurko i spojrzał na Bena.

- Prawdziwy kawał gówna, co?

Nagła zmiana tonu i manier zaskoczyła na chwilę Tysona.

- Tak jest, sir. To prawdziwe gówno - odpowiedział.

Pułkownik przyjrzał się teraz adwokatowi.

- Niech pan sobie zatrzyma wszystkie prawnicze gierki na rozprawę - burknął. - Przez pana rozboleła mnie głowa.

- A mnie przez pana w Forcie Dix. - Corva uśmiechnął się.

Levin znowu przeniósł wzrok na Bena.

- Jeśli chce pan zapalić, to proszę.

Tyson pokręcił głową. Przyszło mu do głowy, że pułkownik wcześniej zaaranżował odprawienie Hodgesa z pokoju.

- Rozumie pan - zwrócił się do niego Levin - że wykonuję tylko swoją pracę. Jestem pańskim dowódcą.

- Oczywiście, to właśnie zawsze powtarzałem ludziom, których wystawiałem do wiatru - odpowiedział mu Ben.

Adwokat roześmiał się.

Pułkownik nie spuszczał przez chwilę wzroku z Tysona, a potem uśmiechnął się krzywo.

- Niech pan o tym pamięta później.

- Tak jest, sir.

- Pułkowniku - wtrącił się Corva - chciałbym pana jako dowódcę Tysona prosić o złożenie zeznań dotyczących jego charakteru, oczywiście jeżeli kiedykolwiek zajdzie

potrzeba ich składania.

Levin przeżuwał z zastanowieniem cygaro.

- Mam nadzieję - powiedział wreszcie - że to wszystko tak daleko nie zajdzie. Ale jeśli nawet, nie wiem, czy moja krótka znajomość z porucznikiem Tysonem będzie się w ogóle liczyła.

- Na pewno może być pomocne, jeśli sąd usłyszy, że porucznik Tyson wypełniał swoje obowiązki satysfakcjonująco. Tak czy nie, pułkowniku?

Pułkownik Levin odłożył cygaro do popielniczki. Spojrzał na adwokata.

- Myślę, że zauważył pan, iż jestem nieco za stary na stopień podpułkownika. Być może nie umknęło również pańskiej uwagi, że znajdujemy się w Forcie Hamilton, a nie w Pentagonie czy w dowództwie NATO. Nie rozwodząc się dłużej nad tą kwestią, powiem, że ominęła mnie promocja na pełnego pułkownika i dostałem tę gównianą placówkę. Ale tak się składa, że ja lubię Hamilton, nawet jeśli wojsko uważa to za poczekalnię. Przy najbliższych awansowaniach zostanę prawdopodobnie przedstawiony i mówi się, że po odejściu pułkownika Hilla w październiku ja obejmę dowództwo Fortu Hamilton. Pan być może mnie zrozumie, Corva - Levin przyjrzał się adwokatowi uważnie. - Mój ojciec był tutaj człowiekiem do wszystkiego. A dla mnie, po trzydziestu latach służby, będzie to ostatnia placówka. Stąd odjadę już prosto do domu, w Brighton Beach, kawałek drogi dalej wzdłuż Shore Parkway. Zatoczę pełen krąg. I od czasu do czasu będę tu wracał, przywoził żonę na kolację do klubu, brał udział w uroczystościach, jak to zwykle robią byli komendanci, i w ogóle prowadził życie starego żołnierza. To będzie dobre życie. - Spojrzał na Tysona.

- Czy to oznacza, że odpowiedź brzmi nie? - zapytał adwokat.

- Nie. Nie oznacza - Levin znowu zwrócił się do niego. - Odpowiedź brzmi „tak”. Z prawdziwą przyjemnością złożę zeznania stwierdzające, że porucznik Tyson jest dobrym żołnierzem. Po prostu chciałem, żeby pan to docenił.

Corva Uśmiechnął się.

- Dziękuję, pułkowniku - powiedział Ben.

Pułkownik coś mruknął. Żaden z nich nic nie mówił przez kilka następnych minut. Potem otworzyły się drzwi i kapitan Hodges zajął bez słowa swoje miejsce.

Levin przesunął jakieś papiery na biurku.

- No tak... - Wciągnął astmatycznie powietrze i odchrząknął. - Poruczniku Benjaminie Tyson, otrzymałem polecenie, żeby przeczytać panu oskarżenie, jakie wysunięto

przeciwko panu. - Wyciągnął spomiędzy papierów długi formularz, przytrzymał go wysoko, tak że papier zasłaniał mu twarz, i odczytał:

- „Poruczniku Benjaminie Tyson, jest pan oskarżony o złamanie Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, artykuł sto osiemnaście, morderstwo. Opis: Benjamin J. Tyson, porucznik, armia Stanów Zjednoczonych, obecnie przydzielony do zastępcy dowódcy w Forcie Hamilton, Brooklyn, Nowy Jork, w czasie popełnienia zbrodni członek Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej, Pierwszej Dywizji Powietrznej, w mieście Hue lub jego pobliżu, prowincja Thua Thien, byłej Republiki Wietnamu, w Szpitalu Miłosierdzia lub w jego pobliżu, 15 lutego 1968 roku, popełniał czyny najoczywiściej niebezpieczne dla innych, przejawiające niczym nie usprawiedliwione nieposzanowanie ludzkiego życia, w wyniku czego wymordowano nieznaną liczbę, nie mniej jednak niż dziewięćdziesięcioro ludzi pochodzenia wschodniego, mężczyzn i kobiet w różnym wieku, których nazwiska pozostają nieznanymi, pacjentów i pracowników wymienionego szpitala. Morderstwa popełniono w ten sposób, że strzelano do nich lub powodowano, że zostali zastrzeleni, lub rozkazywano innym, by strzelali z karabinów lub pistoletów, lub używając granatów i innej śmiertelnej broni jeszcze nie określonej”.

Levin zerknął znad kartki, jego wzrok na bardzo krótką chwilę zatrzymał się na twarzy Bena, który siedział opierając policzek na rękę, zapatrzony w ścianę nad pułkownikiem. Myślnymi znajdował się gdzie indziej. W pokoju panował absolutny spokój. Pułkownik raz jeszcze odchrząknął i czytał dalej: - „Opis drugi: Benjamin J. Tyson przebywający w mieście Hue lub w jego pobliżu, w prowincji Thua Thien, byłej Republiki Wietnamu, na terenie lub w pobliżu Szpitala Miłosierdzia, 15 lutego 1968 roku, popełniał czyny oczywiście niebezpieczne dla innych i przejawiające niczym nie usprawiedliwione nieposzanowanie dla ludzkiego życia i spowodował wymordowanie mniej więcej czternastu ludzi rasy białej, jak następuje: Jean Monteau, mężczyzna, lekarz, narodowość francuska, wiek czterdzieści sześć lat; Evan Dougal, mężczyzna, lekarz, narodowość australijska, wiek trzydzieści cztery lata; Bernhard Rueger, mężczyzna, lekarz, narodowość niemiecka, wiek dwadzieścia dziewięć lat; Marie Broi, kobieta, pielęgniarka, narodowość francuska, wiek dwadzieścia pięć lat; siostra Monique (Yvette Dulane), kobieta, pielęgniarka-zakonnica, narodowość francuska, wiek dwadzieścia jeden lat; siostra Aimee (Henriette La Blanc), kobieta, pielęgniarka-zakonnica, narodowość francuska, wiek dwadzieścia jeden lat; siostra Noelle (Reine Mauroy), kobieta, pielęgniarka-zakonnica, narodowość belgijska, wiek dwadzieścia trzy lata; Henri Taine, mężczyzna, pielęgniarz, narodowość francuska, wiek trzydzieści jeden lat; Maarten Lubbers, mężczyzna, technik laboratoryjny, narodowość holenderska, wiek dwadzieścia trzy lata; brat Donatus (pełne nazwisko nieznanymi), mężczyzna, pomocnik, narodowość nieznanymi, wiek czterdzieści jeden lat; siostra Juliette (pełne nazwisko nieznanymi), kobieta, pielęgniarka-zakonnica, narodowość nieznanymi, wiek pięćdziesiąt trzy lata; Susanne Dougal, kobieta (żona Evana Dougala), narodowość australijska, wiek trzydzieści pięć lat; Linda Dougal, kobieta (córka Evana i Susanne Dougal), narodowość australijska, wiek piętnaście lat”.

Pułkownik Levin wpatrywał się w kartkę jeszcze przez kilka sekund, a potem odłożył

ją. Zapalił ponownie cygaro i wydmuchał kłęb dymu.

Tyson słyszał stukanie na maszynie dochodzące z sąsiedniego pokoju. Poprzez otwarte okno dobiegały dźwięki orkiestry wojskowej. Grali właśnie „Sweet Georgia Brown”.

Levin wyciągnął kopię rozkazu i podał ją bezpośrednio Benowi. Ten nie patrząc, oddał ją Corvie, który wrzucił dokument do teczki, nie zaszczycając go jednym spojrzeniem.

Pułkownik wręczył adwokatowi kilka spiętych kartek papieru.

- To są nazwiska i krótkie biografie ofiar rasy białej wymienionych w poprzednim dokumencie. Major Harper otrzymała je od Katolickiej Agencji Pomocy w Paryżu, ludzie ci pracowali właśnie dla agencji (poza dwojgiem - którzy towarzyszyli rodzinom) i zostali wydelegowani przez nią do pracy w Szpitalu Miłosierdzia. Przebywali tam właśnie w czasie domniemanego incydentu - mówił do Corvy, który przerzucał kartki. - Jakies pytania, panie Corva?

- Dziesiątki, pułkowniku, ale niestety tak się składa, że pan nie będzie umiał na żadne z nich odpowiedzieć.

- Tak, chyba ma pan rację. - Levin zdusił cygaro.

- Czy to już wszystko, pułkowniku? - zapytał adwokat.

- Pułkownik poinformuje pana, kiedy uzna spotkanie za zakończone - wtrącił Hodges.

Corva uśmiechnął się i pochylił w stronę kapitana.

- A czy miałby pan ochotę spędzić pozostałą część dnia w szpitalu? - zapytał całkiem przyjacielskim tonem.

- Jak śmie mnie pan straszyć... - Adiutant skoczył na równe nogi.

- To nie jest pogrożka. To... - Adwokat wstał również.

- Spokój! - ryknął Levin. - Niech pan siada, kapitanie! - A następnie zwrócił się do Corvy: - Zechce pan usiąść, panie Corva.

Adiutant i adwokat usiedli. Tyson zapatrzył się w okno, wyraźnie okazując, że to, co się dzieje w pokoju, w ogóle go nie interesuje. Orkiestra wojskowa ćwiczyła teraz „Over There” i Ben stukał nogą w rytm piosenki.

- Kapitanie, proszę się odzywać do pana Corvy - powiedział pułkownik - tak grzecznie, jak oficer armii Stanów Zjednoczonych powinien się zwracać do każdego cywila. To nie Prusy, a pan nie jest w pruskiej armii. Proszę się opanować.

Twarz Hodgesa z czerwonej zrobiła się sina.

- Tak jest, sir! - krzyknął.

Tyson uśmiechał się wystukując coraz szybszy rytm piosenki.

- Wybaczam panu tę uwagę - zwrócił się Levin do adwokata ponieważ został pan sprowokowany. - I do Bena: - Poruczniku, czy byłby pan tak łaskaw i przerwał stepowanie?

- Tak jest, sir. - Tyson znieruchomiał.

Pułkownik podniósł kolejny papier i czytał go w milczeniu z wyraźną koncentracją, jakby starał się coś zrozumieć. Wreszcie odłożył papier i zwrócił się do Bena.

- Poruczniku, otrzymałem polecenie od pułkownika Hilla, komendanta tej placówki, zaaresztować pana.

Tyson spotkał się wzrokiem z Corwą, a potem spojrział na Levina. Pułkownik odwrócił wzrok. Mówił dalej:

- Pamięta pan prawdopodobnie z czasów swojej wcześniejszej służby w wojsku, że areszt wojskowy jest ograniczeniem moralnym i prawnym, ale nie fizycznym. Chociaż oczywiście będzie pana obowiązywać znacznie większe ograniczenie poruszania niż dotychczas. Proszę mi teraz nie przeszkadzać, panie Corva. Niech pan po prostu słucha. Poruczniku Tyson, oto warunki pańskiego aresztu: nie będzie od pana wymagane wypełnianie żadnych obowiązków służbowych, dokładnie rzecz biorąc, praca w muzeum zostaje zawieszona, a pańskie nazwisko usunięte z grafiku wszelkich służb. Nie może pan opuszczać jednostki bez pisemnej zgody uzyskanej ode mnie albo innego oficera mającego prawo wydawać takie pozwolenie. Ma się pan meldować w tym biurze codziennie o dziewiątej rano mnie, kapitanowi Hodgesowi lub oficerowi, który będzie sprawował dyżur w czasie weekendu. W specjalnej księdze przygotowanej do tego celu będzie się pan podpisywał co trzy godziny, ostatni raz o dwudziestej pierwszej. Nie będzie pan nosił broni. Na terenie jednostki może pan przebywać jedynie w biurze, kantynie, klubie oficerskim, własnej kwaterze i sali gimnastycznej, jeżeli zechce pan z niej korzystać. Komendant żandarmerii ustali, w jakich godzinach musi pan pozostawać na kwaterze. - Lewin wręczył Benowi kartkę. - Oto rozkaz aresztowania. Czy ma pan jakieś pytania?

Tyson pokręcił głową, co normalnie sprowokowałoby Hodgesa do uwagi, że pułkownikowi należy odpowiadać werbalnie. Ale kapitan wydawał się na dobre spacyfikowany i najwyraźniej marzył o tym tylko, by spotkanie się już skończyło.

- Mam zamiar oprotestować aresztowanie u pułkownika Hilla - powiedział Corva. - Jest uciążliwe, niepotrzebne i niezgodne z regulaminem, który ustala, jak się traktuje oficera w podobnej sytuacji. Poza tym to jest zwykłe przypieprzenie się.

Pułkownik kiwnął głową, jakby się zgadzał z tą opinią. Jednak powiedział tylko:

- Nie ma zasad dotyczących aresztowania. Ale jeśli chce pan widzieć się z komendantem placówki, mogę zaaranżować spotkanie.

Adwokat wstał.

- Czy to wszystko? - Spojrzał na Hodgesa.

- To wszystko, co ja miałem do powiedzenia. A pan i pański klient?

- Mój klient prosi o pozwolenie opuszczenia jednostki o godzinie osiemnastej w celu spędzenia ze mną alkoholowego wieczoru.

- Zgadza się - odparł Levin. I zwrócił się do Bena: - Proszę zameldować się u mnie jutro rano o dziewiątej.

- Tak jest, sir.

Pułkownik wstał, Tyson i kapitan Hodges podnieśli się również. Levin spojrzał na Bena, a potem z ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion powiedział:

- To wszystko, poruczniku.

Tyson zasalutował, zrobił regulaminowy zwrot i wymaszerował z pomieszczenia.

Rozdział 34

Ben Tyson przemaszerował przez korytarz i zszedł w dół schodami, nie zdając sobie sprawy, gdzie idzie, a jeszcze mniej z faktu, że ktoś za nim podąża.

Corva dogonił go na dole. Wychodząc z budynku dowództwa Tyson zapalił papierosa.

- Wiedziałaś, że właśnie to się stanie?

- Mniej więcej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Ty też to wiedziałeś, Ben. Przestań robić z siebie jakiegoś pieprzonego, głupiego biurokrate. Ci ludzie zachowują się poważnie. Oskarżają cię o morderstwo. Wiedziałeś to od pierwszego dnia, kiedy twój przyjaciel podał ci książkę Picarda.

Tyson zaciągnął się papierosem.

- Wiedziałem to dużo wcześniej - odparł. - No to powiedz mi, Vince, czemu nie odpowiedzieliśmy głównem na gówno?

- Mówisz teraz jak jakiś napalony Metys - adwokat uśmiechnął się.

Szli wzdłuż Lee Avenue, mijając starożytnie wyglądającą armatę, wystawioną w charakterze pomnika. Zbliżali się do głównej bramy.

- Gdzie idziesz? - zapytał Corva. - Do osiemnastej nie wolno ci opuszczać jednostki.

- Pieprz ich. - Ben podszedł chodnikiem do bramy, bezmyślnie odpowiedział na salut żandarma, odwrócił się w lewo i skierował na most, w stronę Shore Parkway.

- Chodź. Wracaj. Jestem za ciebie odpowiedzialny.

- Tylko ja sam jestem za siebie odpowiedzialny. Mogą sobie wziąć ten cały rozkaz aresztowania, zwinąć go w trąbkę, nalać oliwy i wymoczyć swe kutasy. A jeśli nie chcesz odpowiadać, zmiataj stąd.

Corva westchnął głęboko, ale nic nie powiedział. Szli powoli niewielkim parkiem schodzącym w dół wybrzeża.

- Ludzie oskarżeni o popełnienie ohydnej zbrodni często starają się zapomnieć, że ją popełnili. I kiedy w czasie procedury sądowej udowadnia im się ten czyn, są po prostu oburzeni. Posłuchaj mnie, Ben. Nie wypytywałem cię o szczegóły tego, co się wydarzyło, ale ty wiesz i ja wiem, i wojsko wie, że w tamtym szpitalu wymordowano niewinnych ludzi. Słyszałeś listę zabitych, prokurator pewnie powie „apel poległych”. Trudno też nie wspomnieć o co najmniej dziewięćdziesięciu istotach ludzkich pochodzenia wschodniego.

- To mi się podoba. Jak starannie oddzielili białych od beżowych.

- Zrobili tak, ponieważ mieli nazwiska białych, a nie z jakiegoś tam rasowego powodu...

- A gówno. Myślisz, że byłbym tu teraz, dwadzieścia lat po tej całej historii, gdyby chodziło tylko o wioskę zamieszkaną przez kilkuset żółtków? Kitajców? Kurdupli? Ryżojadów? Jak jeszcze na nich mówiliśmy? Jak ty ich nazywałeś? W każdym razie na pewno nie „istoty ludzkie pochodzenia wschodniego”. Ale ja jestem upieprzony na dobre. Zabiłem czternastu prawdziwych ludzi.

- Dobra, nie musisz mi tego mówić. Wiem, co robiliśmy i jak się zachowywaliśmy. Boże, gdybym mógł tam wrócić...

- Taaa.

Adwokat starał się dotrzymać tempa Tysonowi.

- O to właśnie chodzi. Ty, ja i wojsko, wszyscy dobrze wiemy, że mordowali ludzie, którzy byli bezpośrednio pod twoją komendą. Co więcej, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że byłeś przy tym obecny i widziałeś to wszystko albo nawet brałeś w tym udział. A oni nawet posuwają się do sugerowania, że kilka razy ty także pociągnąłeś za spust.

- Nie zrobiłem tego. - Ben zatrzymał się i zapatrzył na wodę. Drobne fale omywały zasypaną małymi kamykami plażę. Głęboko wciągnął w płuca słone powietrze. - Ja nie - powtórzył.

- Kogo to obchodzi? - Corva stanął tuż koło Tysona. - Nie mnie. Ty wiesz i ja wiem, że armii też nie obchodzi, czy do kogoś strzelałeś. Nie obchodzi ich, jak do tego doszło ani czy próbowałeś powstrzymać swoich żołnierzy. Twój oddział mógł się zbuntować i trzymać cię na muszce. Albo zrobili to wszystko, kiedy odszedłeś na bok na pięć minut, żeby się wysikać. Jedyne, co ich obchodzi, to że nie złożyłeś raportu o masakrze, co było twoim oficerskim obowiązkiem, nie wspominając już o tym, że było również twoim chrześcijańskim obowiązkiem. Z jakichś tylko sobie znanych powodów nie chciałeś, by ci mordercy stanęli przed sądem. Jak na ironię ludzie z twojego oddziału najprawdopodobniej popełnili zbrodnię z namiętności. Byli wymęczeni walką, co wojsko w artykule sto osiemnastym uznaje za okoliczność łagodzącą w przypadku morderstwa. I bez żadnych wątpliwości twoi ludzie cierpieli na fatalną chorobę duszy. Oczywiście fatalną dla innych. A z kolei ty popełniałeś zbrodnię zaniedbania dzień po dniu, nie zgłaszając raportu o masakrze. Miałeś prawie dwadzieścia lat, żeby załatwić tę sprawę, Ben, ale nie zrobiłeś tego. Więc teraz wojsko załatwi ją, nie tylko dla nich, ale i dla ciebie. Jeżeli chodzi o morderców, to mają wiele rzeczy na usprawiedliwienie, ale nawet nie będą musieli się usprawiedliwiać. Niedoskonałość naszego systemu spowoduje w szczególności, że w ogóle nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Popełnili zbrodnię w chwili szaleństwa i uległa ona przedawnieniu. Prawodawstwo wojskowe może nie jest doskonałe, ale za to instynktowne, nie ma w nim różnych zbijających z tropu hokus-pokus jak w prawie cywilnym, czasami jest niesamowicie właściwe. Wiesz o tym. I wiesz także, podobnie jak ja i jak wojsko, że jesteś winien. To, co napisano w rozkazie aresztowania, może niezbyt dokładnie oddaje twoją rolę w masakrze. Ale zapewniam cię, że po wszystkich zeznaniach i kłamstwach świadków sąd, w skład którego wejdą tacy ludzie jak pułkownik Levin, oficerowie, którzy z ramienia swoich funkcji codziennie kierują ludźmi i ich oceniają, dojdzie prawdy. Werdykt jest przesądzony. Już teraz możesz to przyjąć do wiadomości. Ja ci obiecuję jedynie, że wyjdiesz z sądu jako wolny człowiek, nawet jeśli będziesz w kajdankach i pod strażą. Czy rozumiesz, co to znaczy być wolnym?

- Tak.

- Dobrze. Czy to znaczy, że mnie zwalniasz?

- Nie. Ale mam ochotę ci dokopać.

- Później. Masz ochotę się dziś zalać?

Tyson przytaknął z roztargnieniem.

- Dlaczego nie przyznamy się do winy? - zapytał.

- Kolejny kruczek prawa wojskowego. W sprawie o morderstwo nie wolno ci przyznać się do winy.

- Rzeczywiście. Pamiętam. Dobra zasada.

- Podsumujmy teraz wszystko. Ja nie jestem wylany, a ty chcesz się ze mną upić dziś wieczorem, tak?

- Tak. Wszystko, byle się stąd wyrwać. Mogę się nawet z tobą napić.

- Dobra. Wracajmy, zanim gestapo zorientuje się, że cię nie ma.

Odwrócili się w stronę mostu i wolno ruszyli z powrotem.

- Kiedy się zalejemy - powiedział Corva - zaczniemy sobie wzajemnie opowiadać historie. O dawnych czasach. Muszę ci opowiedzieć o pewnym burdelu w starej francuskiej willi pod Tay Nihn, prowadzonym przez całkowicie zwariowaną burdelmame, w dodatku półkrwi.

- Mam wrażenie, że opowiadasz o przybytku, który był pod Ouang Tri. Widocznie stworzyli całą sieć.

Przeszli pod mostem. Nad głowami słychać było stały warkot przejeżdżających pojazdów, mewy zataczały pętle nad potężną budowlą.

- Byłem cholernie dobrym dowódcą podczas walki - powiedział Ben. - Ale zanim dotarliśmy do tego szpitala, wypaliłem się. Już nie potrafiłem wykonywać mojej pracy. Nic mnie nie obchodziło. Nie obchodziło mnie nawet, czy żyję, czy umarłem.

- Kiedy doszedłeś już do takiego stanu, to szybko byś się wykończył - stwierdził adwokat. - Miałeś szczęście, że najpierw zostałeś ranny. W Strawberry Patch. A Brandt cię opatrywał. W czasie wojny jest mnóstwo takich dziwacznych sytuacji.

- Tak słyszałem.

Szli teraz Sto Pierwszą ulicą, w każdym z dwu- i trzy piętrowych budynków mieściły się sklepy. Tyson przyjrzał się bramie fortu widocznej poniżej mostu.

- To wygląda jak więzienie.

- Nie. Wzienie wygląda jak więzienie.

- Zawsze myślałem - powiedział Ben - że jeśli prawnicy biorą trzecią część forsy, którą wygrają w sprawie cywilnej, to powinni odsiadywać jedną trzecią czasu, którą dostają ich klienci w sprawach karnych.

- Bez przerwy siedzieliby w więzieniach - Corva wskazał na oczywistą słabość rozumowania.

Tyson zatrzymał się na chodniku przy bramie.

- Wsiadasz tu w metro?

- Tak. Nie będę obciążał twojego rachunku taksówkami. Przejdę się do stacji.

Ben kiwnął głową.

- Będę teraz rozmawiał ze świadkami obrony - powiedział adwokat - Sadowskim i Scorellem. Pojadę do nich na koszt armii. Masz prawo pojechać ze mną. Sadowski mieszka w Chicago. Scorello na przedmieściach San Francisco. Urwiesz się stąd na parę dni. Miłe spotkanie po latach.

- Nie chcę się z nimi widzieć. - Tyson pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Oni nie chcą się ze mną widzieć. Nie chcemy się wzajemnie oglądać.

- W porządku. Rozumiem. To nie jest takie ważne. Chcesz widzieć się z Brandtem albo Farleyem? Masz prawo być obecny przy krzyżowym ogniu pytań. Skonfrontować się z nimi przed rozprawą w sądzie.

- Możemy im przypieprzyć?

- Z przyjemnością.

- Ale ty masz gadane, Corva. - Ben uśmiechnął się. Zapalił papierosa. - Zastanawiałem się, czy nie zabić Brandta.

- Naprawdę? To by urwało sprawie łeb. Tak właśnie załatwiała się sprawy w Wietnamie. Buch i po wszystkim.

- Gorzej, gdy zaczną dociekać prawdy. Nie daje się daleko uciec.

- Policja wojskowa nigdy nie słyszała o takich sprawach. Wykupujesz kontrakt. Jeśli chcesz, mogę się tym zająć.

- Mówisz poważnie?

- A ty?

- Nie. - Tyson pokręcił głową.

- W takim razie w ogóle o tym nie mówmy. Chcesz się z nim zobaczyć? A z Farleyem?

- Tylko z Brandtem. Przed rozprawą.

- Dobrze. Czy pieprzyłeś się z tą-jak-to-się-ona-nazywa? Harper?

Ben rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Nie.

- Szkoda. - Corva spojrzał na zegarek.

Tyson wyrzucił papierosa.

- Aha, chciałem ci jeszcze powiedzieć, że przeczytałem „Rashomona”.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- To ma być test? No dobra, odpowiedź brzmi, że akt - zabijanie - może być legalny lub nielegalny, traktowany jako walka, obrona własna, morderstwo i tak dalej. Dziwne jest, że niekiedy nawet ofiara nie jest przekonana o swojej niewinności. Tak było w przypadku samuraja w „Rashomonie”. Podobnie musiało być z doktorem Jeanem Monteau, kiedy leżał umierając na podłodze Szpitala Miłosierdzia. - Ben patrzył na adwokata.

- A sprawcy?

- Tak, to jeszcze dziwniejsze. Podobnie jak człowiek podczas stosunku seksualnego nie wie, czy uprawia miłość, czy gwałt, tak samo w przypadku zabijania nie może być pewny, gdzie przekracza granicę między walką a morderstwem.

- Po to są właśnie sędziowie - stwierdził Corva. - Jednakże twój przypadek jest nieco prostszy niż w „Rashomonie”, ponieważ nie ma świadków, którzy przeżyli i mogliby opowiadać, jak oni widzą to co się wydarzyło. Przypuszczam również, że na rozprawie nie pojawi się żaden duch. - Po chwili dodał: - Chociaż jeden świadek istnieje. Czy ona widziała dużo?

- Wystarczająco.

- Powiedziałem kilka minut temu, że werdykt jest już przesądzony - odezwał się adwokat po dłuższym zastanowieniu.

- Tak. To są słowa, które klient z przyjemnością słyszy w ustach swego obrońcy.

- Chciałem cię tylko przygotować na najgorszy scenariusz. To stara prawnicza sztuczka. W rzeczywistości sytuacja jest bardziej zrównoważona. Banda plugawych żołnierzy będzie składała zeznania, pragnąc oczyścić się z winy. Jest całkiem możliwe, że sąd będzie tak skonfundowany i sfrustrowany, że stwierdzi brak wystarczających podstaw do rozpatrzenia sprawy. I wtedy będą musieli cię uznać za niewinnego, choćby byli przekonani o winie. Ale coś ci powiem. Mnie interesuje najbardziej ta zakonnica. Jeśli się nagle wynurzy z niebytu i zajmie miejsce dla świadków, przyjmą każde jej słowo jak święte. A zakładam, że wszystko, co powie, będzie dla ciebie pogrążające.

- Chciałbyś wiedzieć, co ona powie?

- Niespecjalnie. Jeśli ją znajdą, możesz mi co nieco opowiedzieć. W przeciwnym wypadku to nie ma znaczenia. Zakonnice nie kłamią. A przynajmniej takie jest powszechne przekonanie. Obrońcy nawet nie starają się zbić zeznań zakonnic, księży, rabinów i innych kapłanów, chyba że na własne ryzyko.

- Zastanawiam się, dlaczego jej nie znaleźli i dlaczego sama się nie zgłosiła - powiedział Tyson.

- Gdybym był paranoikiem - powiedział Corva pocierając brodę w zastanowieniu - powiedziałbym, że rząd zna miejsca pobytu nie tylko siostry Teresy, ale także Hernanda Beltrana, Lee Walkera i Louisa Kalane'a. Kelly i DeTonqa to jeszcze inna sprawa. Ktoś woli, żeby twoi bohaterowie pozostali w cieniu. Być może nigdy nie zostaną wywołani. Ale gdyby się pojawili, mogą świadczyć na twoją korzyść. Zgadza się?

- Możliwe.

- Ponieważ wszyscy złożyliście przysięgę, że będziecie kłamać. Wszyscy daliście słowo honoru, że będziecie trzymać się razem. Zgadza się?

- Co za wnikliwość, Vince.

- Żadna wnikliwość, dupku. Nawet prezes Izby Wojskowej by się tego domyślił. Co napisała Harper w swoim raporcie? Porucznik Tyson złożył zaskakująco wierne zeznania z tymi, które przekazali Sadowski i Scorello. Jak myślisz, co chciała przez to powiedzieć? Wymyśliliście tę historyjkę prawie dwadzieścia lat temu, przećwiczyliście ją i teraz już sami w nią wierzycie. Prawie. Boże, nawet gdybyśmy mieli kolejnych świadków, nie wiem, czybym się ośmielił postawić ich przed sądem, by opowiadali słowo w słowo to samo. Ale nikt nie może mi zarzucić, że ich przećwiczyłem. Ty to zrobiłeś, Ben. Dwadzieścia lat temu. Byłeś ich dowódcą i miałeś wystarczająco dużo wyobraźni, by przekształcić masakrę w wydarzenie heroiczne. W taki sposób uratowałeś ich.

Spojrzeli na siebie.

- Nie bądź taki skromny, Vince. Naprawdę jesteś bystry.

- Masz rację - zgodził się Corva. - Chodzi tylko o to, że wszystkie opowieści wojenne są diabła warte. Mówiłem ci to już?

- Wiesz, że tak.

- Nie zapominaj o tym. Do zobaczenia wieczorem. Spotkamy się u mnie w biurze.

Rozdział 35

Benjamin Tyson wysiadł z pociągu na stacji w Garden City. Było jedno z tych gorących,

suchych popołudni sierpniowych, kiedy wszystko wydaje się poruszać w zwolnionym tempie, a nieruchome powietrze niesie ze sobą dziwny spokój. Tyson rozluźnił krawat i przerzucił sportowy płaszcz przez ramię. Przeszedł peronem i skierował się w stronę postoju taksówek.

Stały tam trzy puste, czarne cadillaki. Trzech czarnych kierowców siedziało w cieniu pod daszkiem budynku dworcowego. Czytali gazety i pili wodę sodową z puszek. Kiedy Ben podszedł, jeden z nich wstał i uśmiechnął się szeroko.

- Pan Tyson? Przyjechał pan pociągiem?

- Cześć, Mason. Wpadłem tylko na parę godzin. Mógłbyś mnie wozić?

- Jasne.

Mason, mężczyzna o ciężkiej budowie, w zaawansowanym średnim wieku i liberii szofera, podniósł się i wyszedł z cienia.

- Gorąco dzisiaj - zauważył Tyson.

- Tak, ale przynajmniej sucho. - Taksówkarz otworzył tylne drzwiczki swego cadillaca i Ben wsiadł. Mason zajął miejsce za kierownicą i włączył silnik. - Udaje mi się jakoś utrzymać staruszka na chodzie.

- Co słychać? - spytał Tyson.

- Wszystko w porządku, proszę pana. W porządku. A u pana?

- Też nieźle.

- Wygląda pan dobrze. Ćwiczy pan trochę?

- Biegam codziennie osiem kilometrów.

- To dobry dystans. Kiedy rzuci pan palenie?

- Na Nowy Rok.

Szofer parsknął śmiechem.

- Gdzie jedziemy?

- Najpierw do mojego domu.

Mason wyjechał z niewielkiego zakola dla taksówek. Prowadził powoli ocienionymi drzewami ulicami, wzdłuż których stały imponujące rezydencje. Miasto wydawało się

zupełnie opuszczone.

- Czy trafiła tu bomba neutronowa podczas mojej nieobecności? - zaniepokoił się Ben.

Szofer roześmiał się znowu.

- Sierpień. Ludzie uciekają. Mam tylko po kilka kursów na dzień. Na lotnisko...

- Dlaczego nie weźmiesz sobie miesiąc wolnego?

- W sierpniu też trzeba płacić rachunki.

- To prawda - zgodził się Tyson. - Jak się miewa pani Williams?

- Starzeje się. Tak jak ja. Już nie jestem w stanie wspinać się ciągle po tych schodach. Szukam mieszkania w domu z windą. I z klimatyzacją.

Ben rozważył zaproszenie Williamsów na kilka miesięcy do swego domu. Ale jego doświadczenie w takich sytuacjach było znikome i nie był pewien, czy to jest naprawdę dobry pomysł. Podejrzewał, że Mason i jego żona woleli raczej być we własnym domu, niezależnie od tego, jaki on był. Tyson rozejrzał się po nieskazitelnym wnętrzu samochodu.

- Pamiętasz tego lincolna, którego przedtem miałeś?

- Pewnie. Sześćdziesiąty czwarty rocznik. Długi jak cała ulica, a szeroki jak pupa mojej teściowej. Teraz robią mniejsze. Nie da się znaleźć porządnego auta. Co te głupki w Detroit sobie myślą?

- Cały świat skurczył się, Mason. Ale zrób coś dla mnie, nie kupuj nigdy japońskiego samochodu.

- Pewnie, że nie. Widział je pan? Nawet moja lodówka jest większa.

Jeszcze przez kilka minut rozmawiali o samochodach. Wreszcie taksówkarz zaparkował przy krawężniku, koło domu Bena.

- Wejźmy na chwilę - zaproponował Tyson.

Otworzył drzwi, wysiadł i stanął patrząc na własny dom. Najwyraźniej ogrodnik wykonywał porządnie swoje obowiązki, pokojówka zresztą też. Ludzie zajmujący się zabezpieczaniem roślin przed szkodnikami skończyli właśnie opryski, podlewanie ogrodu ustawione było na czasomierz, podobnie jak wszystkie zewnętrzne światła. Alarmy przeciwko włamaniom i pożarom miały końcówki na specjalnej stacji. Dom sterowany automatycznym pilotem. Nie potrzebował Tysona. Ben często wyobrażał sobie doskonałe przedmieście, zamieszkanе przez przedstawicieli wyższej klasy średniej, pozbawione

zupełnie zbędnych rezydentów, jedynie pod opieką maszyn i ludzi zatrudnionych do świadczenia poszczególnych usług.

Przeszedł wyłożoną cegłą ścieżką, wyłączył alarm za pomocą klucza i wszedł do środka. Mason podążał za nim

Dom pachniał jakoś inaczej, dziwnie obco. Wyczuwało się mieszaninę odorów, w większości kojarzących się ze środkami czyszczącymi. Widocznie służąca uważała za zabawne co tydzień sprzątać pusty dom. Wyznawcy kościoła anglikańskiego byli nie do zdarcia.

Tyson powiesił swój sportowy płaszcz na wieszaku i podszedł do stolika w holu, gdzie zawsze kładli pocztę. Przerzucił ją. Phil Sloan miał klucze do domu i zajmował się takimi drobiazgami jak przeglądanie korespondencji i wysyłanie co ważniejszych listów Benowi do Fortu Hamilton. Na osobnej kupce zebrano przesyłki, które kwalifikowały się od razu do wyrzucenia, obok listy od wielbicieli i jeszcze kilka rachunków, którymi prawnik nie zdążył się zająć. Na podłodze leżało kilka paczek. Prawdopodobnie Sloan przyniósł je z poczty.

Tyson podniósł jedną z nich, z napisem „Uwaga, przedmiot delikatny”. Otworzył za pomocą noża, pogrzebał w pokładach styropianu i wreszcie wyciągnął wyjątkowo szkaradne figurki chłopca i dziewczynki, które wyglądały, jakby zaprojektował je Norman Rockwell dla Hermanna Goeringa. Odstawił je na stół i przeczytał dołączoną kartkę: „Najdroższy Braciszku, był to przez pięć ostatnich lat, to znaczy od dnia, kiedy otrzymałam je od cioci Millie, mój największy skarb. Ponieważ jednak pamiętam, jak zawsze je uwielbiałeś, czuję, że powinnam Ci je wysłać w trudnej dla Ciebie chwili. Głowa do góry. Ucałowania dla Marcy i Davida. Twoja Laurie”.

Ben z uśmiechem odłożył kartkę na stół. Pogrzebał jeszcze głębiej w styropianie i wyciągnął swoją księgę plutonu. Wsunął ją do kieszeni.

- Mógłbyś mi pomóc z czymś w piwnicy? - zwrócił się do Masona.

- Jasne.

Tyson zszedł do magazynku i ukląkł przed starym, czarnym kotłem parowym. Kłódka była nadal zamknięta, ale widać było po śladach na kurzu, że ktoś tu grzebał. Skurwiele. Udało im się wejść, nie włączając alarmu, i otworzyć zamek, który miał być nie do otwarcia. Prawdopodobnie przeszukali cały dom, każdą szufladę, każdy zakamarek, jego biurko, albumy ze zdjęciami, pamiętniki, notesy z adresami, papiery wartościowe. Każdy zakątek i kryjówkę.

Przeryli każdy centymetr jego prywatności i prawdopodobnie skatalogowali, sfotografowali i zrobili kopie.

- Skurwiele.

- Słucham pana?

- Nic takiego.

Był prawie pewien, że otwierali także jego pocztę. Ale ciężka paczka od siostry nie nosiła żadnych oznak otwierania. Poczul się dobrze, ponieważ potrafił ich oszukać grając na ich polu. - Wynieśmy ten kufer na górę - poprosił szofera.

Złapali za rączki i wtargali kufer do salonu. Postawili go przed kominkiem. Ben wyciągnął długą zapalną do podpalania ognia na kominku, zapalił ją i przytknął do naszykowanego drewna.

Mason rozejrzył się po pokoju.

- To prawdziwy pałac.

- Tak.

Tyson poszedł do kuchni, skąd wrócił z dwoma oszronionymi kufkami piwa. Podał jeden Masonowi. - Za moją wolność i sprawiedliwy sąd - podniósł swój w górę.

- Amen. - Stuknęli się kufkami.

Ben przełknął połowę zawartości jednym haustem. Wyciągnął z portfela klucz, przykucnął i otworzył skrzynię.

Skrzynia podzielona była na przegródki. Po lewej stronie leżał starannie złożony połowy mundur, płócienne buty do maszerowania w dżungli i słomiany kapelusz obok szaroniebieskiej furażerki, jakiej używa piechota. Po prawej album ze zdjęciami, mapa, broszury z reklamami wakacji dla żołnierzy i kilka listów od Hope Lowell, dziewczyny, z którą spotykał się, zanim pojechał do Wietnamu. Znajdowało się tam także metalowe pudło na amunicję, w którym trzymał wojskowy kompas, wojskowy zegarek, latarkę i inne tego typu przedmioty.

Wszystko wyglądało tak, jak to ułożył, ale kiedy zaczął przeglądać album, zauważył brak kilku zdjęć. Zniknęły także rozkazy przyznania mu Wietnamskiego Krzyża Odwagi za akcję w dniu 15 lutego 1968 roku. Nie było również księgi raportów, ale tę on sam usunął. Odwrócił się do Masona i zauważył, że lustruje on wnętrze kufra.

- Nie mam pojęcia, po co ludzie w ogóle trzymają takie stare śmieci - stwierdził Tyson.

- Mój brat był w Korei. W czasie tej ich wojny. Wrócił do domu w samej bieliźnie. Ukradł trzy paczki wełnianej bielizny.

- Zdaje się, że masz obrotnego brata - zauważył Ben. Sięgnął po paczkę listów. - Tak... - Zawahał się, a potem cisnął je do wnętrza kominka i patrzył, jak płomień ogarniają papier.

Kolejnymi przedmiotami, zaczynając od tych najbardziej palnych, karmił ogień, aż pozostały tylko rzeczy metalowe, buty i album. Sięgnął po buty i rozgniół między palcami grudkę błota.

- Południowa Azja. Instant Wietnam, wystarczy dodać wody. - Cóż to był za dziwny szlam, pomyślał. Trzy tysiące lat intensywnej trójpolówki: ryż, gnój, krew, ryż, popiół, krew, ryż, gnój. I tak dalej. Upuścił buty z powrotem do skrzynki i sięgnął po album. Przekartkował go. Wyjął jedno zdjęcie. Przedstawiało jego i Teresę stojących na schodach katedry w Hue. W albumie były jeszcze dwa ich zdjęcia, ale obu brakowało. Wsunął zdjęcie do kieszonki na piersiach, a cały album wrzucił do ognia.

Pot płynął mu po policzkach. Zapach stęchlizny i popiołu drażnił nozdrza. Zamknął skrzynkę, przekręcił klucz i podał go taksówkarzowi.

- Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć skrzynkę. Latarkę i te inne rzeczy także. A rzeczy, które ci się nie przydadzą, wyrzucić na śmieci.

- Dobrze, proszę pana. - Mason ostrożnie odstawił swoje piwo na stolik.

Przyjrzał się uważnie Tysonowi:

- Czuje się pan lepiej czy gorzej?

- Nic nie czuję.

Szofer kiwnął głową, jakby przytakując.

- Mógłbyś sam znieść skrzynkę? Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Oczywiście. - Mason dźwignął na pół pustą skrzynię na ramiona.

- Poczekaj na mnie na zewnątrz - powiedział Ben.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej małą książkę raportów. Usiadł po turecku i przerzucał kartki zwilgotniałymi palcami. Kropla potu spłynęła mu z policzka i spadła na stronę zabrudzoną potem i krwią sprzed dwudziestu lat. Doszedł wreszcie do zapisu z piętnastego lutego i przeczytał ostatnie linijki. „Pluton na skraju buntu. Podśluchane pogrożki. Wciągnięty w akta sfalszowany raport radiowy na temat porannej bitwy. Śledztwo. Boże...”

Starł się sobie przypomnieć, jak czuł się bezpośrednio po masakrze, ale pamiętał

tylko, że bał się o własne życie. Próbował sobie wmówić, że poważnie rozważał złożenie raportu na temat swojego plutonu kapitanowi Browderowi lub dowódcy batalionu. Ale jego umysł nie godził się na żadne sztuczki. Wiedział z całą pewnością, że nigdy poważnie nie zastanawiał się nad postawieniem swoich ludzi przed sądem pod zarzutem morderstwa.

Przerzuczał kartki, po 15 lutego tylko jedna czy dwie linijki mówiły o czymś istotnym, zazwyczaj zapis kończył się na podaniu współrzędnych i częstotliwości radiowej. Doszedł do 29 lutego, dnia, w którym został ranny. Zapis brzmiał: „Pomagamy uchodźcom. Zgodnie z informacją radiową bitwa o Hue została zakończona”.

Następną datą był 3 marca. Przeczytał: „Miejsce odpoczynku sił amerykańskich, Morze Południowochińskie. Otrzymałem dziś od dyżurnego książkę raportów. Czy ktoś przeczytał zapis z 15 lutego? Kogo to obchodzi? Jak to przyjemnie żyć. Moje ręce wydają się takie czyste. Boli mnie kolano. Biorę tylko darvon, nie morfinę. Lekarz powiedział, że nie najlepiej na nią reaguję. On też by kiepsko znosił morfinę, gdyby dostał potrójną dawkę”.

Tyson odłożył książkę raportów i powrócił myślą do Strawberry Patch.

Ben Tyson leżał na plecach w kanale drenażowym, miejscu, gdzie składano odpadki, które sprzedawano potem rolnikom. Zielony helikopter patrolowy krążył nad jego głową, lśniąc na tle szarego nieba. Dochodziły go przytłumione dźwięki automatycznej broni, a od czasu do czasu odgłos eksplozji: pięćdziesięciomilimetrowe granatniki, sześćdziesięciomilimetrowe moździerze i okazjonalnie raketnica. Była to bezładna wymiana ognia pomiędzy dwoma wyczerpanymi armiami, niby dwoma bokserami, ciężko przesuwającymi swe obolałe członki i niechętnie, co jakiś czas, z konieczności, wymierzającymi jakiś cios. Miesiąc wcześniej traktowałby to bardzo poważnie. Ale dziś, 29 lutego, mógł określić incydent jako mało ważny. Dla niego jedynym istotnym faktem było, że on został trafiony.

Kiedy minął szok, poczuł ból, który wreszcie zapanował nad całą jego świadomością. Panujący wokół smród nie miał znaczenia ani lodowato zimna woda, ani spadający co jakiś czas nieprzyjacielski pocisk z moździerza, który starał się trafić w kanał, gdzie kryli się cywile.

Po kilku minutach kanał wypełnili Wietnamczycy: starzy lub bardzo młodzi, byli żołnierze armii południowowietnamskiej - teraz już kalecy, kobiety i nie płaczące dzieci. Łkały tylko niemowlęta.

Nagle koło niego pojawiła się świnia. Zaczęła go obwąchiwać, a potem zlizywała mu krew z kolana. Kopnął ją zdrową nogą w ryj. Około dziesięciu z jego ludzi dotarło teraz do kanału, wślizgiwali się do środka, przeklinali błoto i Wietnamczyków. Jeden z nich, Harold Simcox,

zauważył go.

- Lekarza. Porucznik jest ranny! - zawołał.

Z dwóch pozostałych w całej kompanii sanitariuszy na wezwanie zgłosił się Brandt. Zajął się Tysonem szybko i profesjonalnie, najpierw sprawdzając, czy dowódca nie ma gdzieś poważniejszej rany. Skontrolował puls, temperaturę czoła i zajrzał w oczy. Dopiero wtedy rozciął nogawkę i wycisnął na ranę antybiotyk z tuby. Zebrał kawałki zwisającego ciała i dziwnie różowe wiązadło odsłoniętej rzepki. Ben podniósł głowę, chcąc coś zobaczyć, jednak medyk wcisnął zdecydowanym gestem jego głowę w błoto.

- Bez podglądania - powiedział. Była to jego stała odzywka przy opatrywaniu ran. - Nie mam ochoty mieć na sobie czyichś rzygowin.

- Widziałem gorsze rzeczy - stwierdził poirytowanym głosem Tyson.

- Nie tylko pan. Proszę się rozluźnić. - Brandt zakładał opaskę uciskową. - Boli?

- Trochę.

- Chce pan morfiny?

Ben chciał czymś uśmierzyć ból, ale wiedział też, że musi zostać przytomny, gdy nad głową świszczą mu kule.

- Może zwykły proszek przeciwbólowy.

- Dobra. - Medyk włożył mu do ust dwie tabletki aspiryny z witaminą C, a kilka wsunął do kieszonki na piersiach jego munduru. Wyciągnął czerwoną szminkę i napisał na czole Tysona litery NM. Nie podano morfiny.

- Zaaplikuj ją panu w helikopterze.

- Dobrze.

Wymiana strzałów osłabła i coraz więcej osób chroniło się w rowie, umykając z terenu, gdzie byli wystawieni na ogień pocisków. Brandt znalazł w wodzie kask i położył go Benowi pod głowę.

- Dzięki.

Sanitariusz popatrzył na niego, potem zapalił papierosa i włożył go Tysonowi w usta. Następnie zapalił jeszcze jednego dla siebie. Obok nie było już nikogo, by go mógł poczęstować.

- Dobra rana - powiedział. - Pożegnalna.

- Milion dolarów?
- Osiemset tysięcy. Będzie pan kulał. Ale za to w Nowym Jorku.
- Właśnie.

Ben uniósł się na ramieniu i powiódł wzrokiem wzdłuż długiego, wąskiego wykopu. Kilkunastu żołnierzy klęczało, strzelając w kierunku odległej linii drzew owocowych, skąd padały granaty. Ale Tyson sądził, że ich przeciwnicy zaprzestali już ataku. Resztki Kompanii Alfa postanowiły nie brać udziału w tej dziwacznej strzelaninie. Leżeli, palili papierosy, jedli, zaprzyjaźniali się i kłócili z cywilami. Na głowie Farleya usiadł kurczak i Wietnamczykowi wydało się to niezwykle zabawne. Michael DeTonqa rozmawiał bardzo poważnie z jakąś młodą dziewczyną. Ben nie słyszał słów, ale domyślał się, o czym mówią. Lee Walker trzymał świnie za kark i malował jej coś na ryju szminką. Mężczyźni wokół niego zaśmiewali się do łez. Tyson cieszył się, że są tak zrelaksowani.

Położył się z powrotem. Przyszło mu do głowy, zresztą nie pierwszy raz, że będzie mu brak tego wszystkiego, brak tego dziwaczego, jeśli nie atawistycznego zachowania. Teraz, kiedy wiedział, że wkrótce już go tu nie będzie, potrafił przyznać, że walka podniecała go, podobnie jak życie na krawędzi, możliwość wyrzucenia z siebie całej zebranej agresywnej energii. Będzie mu także brakować poczucia wspólnoty, którą daje walka, poczucia więzi między ludźmi, silniejszej niż więź między kochankami. Nasuwało mu się porównanie z małżeństwem, które można zerwać rozwodem, separacją. Tu ludzi rozdzielić mogła tylko śmierć.

Leżał w błocie i znowu wracał myślą do szpitala i tego, co tam zrobili. Nadal nie miał poczucia nie wypełnionego obowiązku, chociaż zgodnie ze wszystkimi prawnymi, racjonalnymi i moralnymi zasadami zawiódł na całej linii.

Odwrócił głowę w stronę Brandta.

- Kto jeszcze został trafiony?
- Dwóch chłopaków z trzeciego plutonu - odparł sanitariusz. - Nie tak źle.
- Czy ktoś wezwał helikopter sanitarny?
- Chyba Kelly.
- Gdzie jest Kelly?
- Na zewnątrz. Ale nic mu nie jest. Słyszałem, jak krzyczał coś przez radio. Jak to się stało, żeście się rozdzielili?

Ben nigdy nie znajdował się dalej niż na wyciągnięcie ramienia od swego radiooperatora.

Bez Kelly'ego i jego radiowego kontaktu z zewnętrznym światem czuł się dziwnie bezbronny.

- Kiedy zaczęła się strzelanina, wpadł pomiędzy nas tłum rozhisteryzowanych Wietnamczyków. Jesteś pewien, że nic mu nie jest?

- Tak jest, sir. Nie wciskam kitu. Nie jest pan aż tak bardzo ranny, by pana okłamywać. - Brandt wyjął z ust wciąż jeszcze palącego się papierosa i rzucił go w stronę wietnamskiego chłopaka. Ten złapał niedopałek z wprawą i zaciągnął się, zanim medyk zdołał wydymać dym.

- Wiesz... - powiedział Tyson - chyba poczułem się lepiej. Myślę, że powinienem zająć się tą hordą.

- Nie. Niech pan leży tutaj. Puls nie jest najlepszy i gdyby widział pan kolor swojej twarzy, na pewno nie paliłby się pan do dowodzenia.

Ben próbował przypomnieć sobie, kim jest ten obrzydliwy człowiek, ale dziwnie mu się kręciło w głowie.

- Proszę zrobić coś dla mnie - powiedział. - Proszę mi znaleźć starszego sierżanta. Niech się tu zamelduje.

- Dobrze - powiedział Brandt z całkowitym brakiem zainteresowania. - Ale nie przypuszczam, aby ktoś miał ochotę na zaszczyt dowodzenia Kompanią Alfa.

- I proszę mi znaleźć Kelly'ego. I powiedzieć ode mnie *adiós* innym, gdybym ja już nie zdołał. Dobrze?

- Dobrze. - Sanitariusz nawet się nie ruszył, by wykonać rozkaz. Zamiast tego powiedział: - Jesteśmy skończeni. Nie został żaden oficer. Wciągną nas do innej jednostki, co?

- Pewnie tak. Powodzenia, Brandt.

- Dzięki.

- Jakoś dziwnie się czuję - stwierdził Tyson.

- Szok.

- Nie... bardzo dziwnie... jak po narkotyku...

- Naprawdę?

- Czy ty... czy ty mi coś dałeś?...

Nie mógł zebrać myśli, przedmioty wydawały się pływać naokoło niego. Nie wiadomo

skąd, pojawił się Michael DeTonqa i mówił coś na temat dezercji. Benowi najpierw wydawało się, że ma halucynacje, ale po chwili zorientował się, że DeTonqa jest jawą. Potem pochylił się nad nim Bob Moody, który niedawno wrócił ze szpitala z powrotem do służby.

- Będziesz tu znowu za tydzień, poruczniku, tak jak ja.

- Nie, ja nie - odpowiedział Tyson albo tak mu się wydawało.

Nagle obok niego zjawił się Kelly, ale on niewiele mówił. Za to wezwał przez radio dowódcę batalionu, pułkownika Womratha. Pułkownik wygłosił mowę do Bena, chwając go za wspaniałe dowodzenie Kompanią Alfa. Tyson odpowiedział podobnymi frazesami, ale jedno zdanie nie miały związku z innymi. Powiedział pułkownikowi, że to honor służyć pod jego rozkazami i być częścią Siódmej Kawaleryjskiej, i że zrobiłby to chętnie jeszcze raz, gdyby mógł.

- Gównu prawda - powiedział DeTonqa.

- Amen - dodał Kelly.

W płytkim kanale ustawiała się do niego kolejka ludzi. Wszyscy podchodzili, ściskali go za rękę, a potem niezgodnie z regulaminem polowym salutowali mu. Pierwszy był Richard Farley. Kurczak nadal siedział mu na głowie. Potem przyszli Simcox i Tony Scorello.

- Dziękuję za uratowanie mi życia - powiedział Scorello, choć Ben nie mógł przypomnieć sobie, żeby coś takiego zrobił.

Następny podszedł Hernando Beltran.

- *Adiós, amigo* - powiedział. - Uważaj na hipisów w San Francisco.

Pożegnał się z nim Selig, a potem Louis Kalane, Paul Sadowski dał mu swój medalik, a Kurt Holzman niechcący potrącił kolano. Jako ostami zbliżył się Lee Walker, Murzyn, wciąż trzymając w objęciach prosiaka. Odwrócił zwierzę ryjem do Tysona, który zobaczył, że ma ono dorysowane skośne brwi i wąsy mandaryna.

- Charlie też mówią panu do widzenia - powiedział Walker,

Świnia chrząknęła i usiłowała się wyrwać, ale żołnierz trzymał ją mocno. Ben widział jeszcze, jak czerwone oczy świni patrzą na niego z nienawiścią, a potem jego własne oczy zamglily się i wszystko skryła ciemność.

Tyson spojrział na książkę leżącą na kolanach i zatrzasnął ją. Kolano mu zeszywniało od siedzenia po turecku, więc wyciągnął prawą nogę. Jak przez mgłę pamiętał, że został

przeniesiony do sanitarnego helikoptera, a potem leciał nad morzem.

Później, kiedy się ocknął na szpitalnym statku, lekarz dyżurny powiedział mu, że przeżył szok od nadmiernej dawki morfiny i tylko cudem przeżył. Lekarz wypytywał, kto i kiedy podawał mu morfinę. Ben odparł, że nic nie wie na ten temat. Ale badanie krwi i moczu wykazało bardzo wysoki poziom narkotyku. Usłyszał, jak lekarz nazwał to wypadkiem terapeutycznym. Uważano, że Tyson, który jako oficer mógł mieć przy sobie morfinę, wstrzyknął ją sam sobie dla uśmierzenia bólu. Następnie jeden lub obaj sanitariusze kompanii, nie zdając sobie z tego sprawy, wstrzyknęli mu ją znowu, a wreszcie lekarz w helikopterze zaaplikował dawkę, która o mały włos okazałaby się śmiertelna. Ale ta hipoteza nie tłumaczyła, dlaczego na czole miał wypisane litery NM. Benowi zdawało, się, że chcieli, aby cała sprawa przyschła bez oficjalnego śledztwa, ponieważ był to pierwszy tego typu wypadek. Zastanawiał się, czy nie podsunąć lekarzom własnej sugestii, a mianowicie, że Brandt próbował go zamordować. Ale nie chciał psuć sobie wypoczynku. Doktorek popełnił zbrodnię doskonałą, a to, że Tyson przeżył, nie czyniło jej mniej świetną.

Ben zatrzymał wzrok na małej książeczce, którą trzymał w rękach, a potem bez dłuższego zastanawiania cisnął ją w ogień. Sięgnął po dmuchawę i tak długo pompował, aż ogień rozszalał się na dobre i pochłonął ostatnie skrawki papieru przypominające mu o wojnie.

Wstał i rozpoczął wędrowkę po domu. Tutaj też wszędzie czaiły się wspomnienia. Duch w każdym kącie. Przyjaciele i rodzina siedzący wokół stołu w jadalni, brydż przy małym stoliku, miłość z Marcy przed kominkiem. Na tym krześle zawsze siadywał jego ojciec, a w tym miejscu przy oknie co roku stała choinka. Kąt w kuchni, miejsce wysokiego krzeselka dla małego Davida i hol, gdzie jego syn stawiał pierwsze kroki.

Wszedł na górę do pokoju syna. Stał tam dobrą chwilę, następnie zajrzał do dwóch sypialni gościnnych i dodatkowego pokoju, którego używali jako saloniku na piętrze. Jeszcze wyżej była mansarda z mieszkankiem dla służącej, co w czasie, gdy ten dom budowano, stanowiło normę. Ale obecnie, jak lubił mawiać Tyson, służące sypiają w łóżkach panów, więc drugie piętro stoi całkowicie bezużyteczne. Po co potrzebowaliśmy tyle miejsca? Żeby siebie unikać?

Przypomniawszy sobie inny dom, jakieś dziesięć budynków dalej, dom, w którym dorastał. Równie duży, ale pełen ludzi. Rodzice, trzy siostry, matka jego matki i od czasu do czasu niezamężna ciotka, a do tego kolejne kundle.

Jesteśmy zbyt zajęci sobą, by mieć dzieci. Starców oddajemy innym pod opiekę, a samotni krewni sami wiedzą, że należy się od nas trzymać z daleka. Nic dziwnego, że wreszcie stajemy się samotni.

Wszedł do głównej sypialni i sięgnął po telefon. Wykręcił numer.

- Słucham - odpowiedział mu głos Marcy.

- To ja.

- Cześć, ty.

- Chcę mieć dziecko.

- Dobra - odpowiedziała.

- Może dwoje. I psa.

- No, no. Jak tam dom?

- Pusty. Mnóstwo pokoi dzieciennych.

- Wszystko w porządku?

- Nie martw się. Mason jest ze mną. Lubię go.

- To prawdopodobnie demokrata.

- Byłby głupi, gdyby nim nie był - odpowiedział. - Nie sądzę, aby któreś z nas otrzymało w tym roku nagrodę dla najlepszego małżonka roku. Ale chcę, byś wiedziała, że cię kocham.

- Ja kocham ciebie - rzekła Marcy. - I to bardzo. Wracaj szybko do domu. Musisz być z powrotem przed dziewiątą. Mam wrażenie, że wojsko skróciło ci cugle.

Odłożył słuchawkę, zbiegł na dół po schodach, zabrał płaszcz, uaktywnił alarm i opuścił dom.

Taksówkarz otworzył przed nim drzwi samochodu. Silnik już pracował. Ben wsiadł, a Mason zajął miejsce za kierownicą.

- Musimy się jeszcze zatrzymać w kilku miejscach. Masz czas?

- Ruszajmy.

- Dobra. Pierwszy postój w klubie Garden City.

Kiedy podjechali pod klub, Tyson wysiadł, wszedł do biura sekretarza klubu i zrezygnował z członkostwa. Następnie pojechali do klubu samców, gdzie zrobił to samo. Do banku zdążyli tuż przed zamknięciem, wyjął wszystko ze swych rachunków bieżących. Podczas jazdy kilka razy zerknął w boczne lusterko.

- Mason, widzisz, że ktoś za nami jedzie?

- Wiem.

- Nie pękaj. To tylko mój anioł stróż.

- W porządku.

Limuzyna toczyła się w górę Franklin Avenue, zatrzymali się wreszcie przed skupiskiem podmiejskich oddziałów takich sklepów, jak Bloomingdale, Saks, Lord & Taylor, Abraham & Straus. W każdym z tych miejsc Ben zapłacił swoje należności gotówką, co już wywołało nieco zamieszania, i potem na dodatek zamknął wszystkie rachunki. Uświadomił sobie, że spełnia swe wieloletnie marzenie.

Poprosił szofera o podwiezienie do lokalnych handlowców, gdzie zrobił to samo. Od ostatniego z nich, właściciela sklepu ogrodniczego, wrócił z wielkim pudłem róż na długich łądogach. Położył pudło na siedzeniu obok kierowcy.

- To dla pani Williams od pani Tyson i ode mnie. Mamy nadzieję, że już się czuje lepiej.

Murzyn uchylił wieko pudła.

- Ja... no, dziękuję, panie Tyson. Dziękuję panu.

- A teraz po prostu przewieź mnie po mieście przez chwilę. Przejazdźka za pięćdziesiąt centów.

- Tak jest, proszę pana.

Ben zapalił papierosa i spoglądał przez okno na znajome widoki: katedra, hotel, kościoły, kluby, parki, szerokie aleje obramowane drzewami, sklepy, szkoły, mała stacja kolejowa.

- Czy wiesz, Mason, jak się to nazywa?

- Nie, proszę pana.

- W wojsku nazywaliśmy to paleniem mostów. Wtedy, gdy nie można się już wycofać i zostaje tylko droga do przodu. Pewnie cywile na to samo mówią ostatnie pożegnanie.

- Nigdy pan tu nie wróci? - zapytał taksówkarz.

- Muszę się zachowywać, jakby tak właśnie miało być. Gdyby mimo wszystko udało mi się wrócić, to tylko dlatego, że tak mi jest pisane. Jeśli jednak mam już nigdy nie zobaczyć tego miejsca, chcę je zapamiętać takim, jak wyglądało wiele lat temu, kiedy czułem się bardzo szczęśliwy w sierpniowe popołudnie.

Mason zerknął w lusterko na swego pasażera.

- W głowie jest tak, jakby się nigdy nie opuszczało miejsca, gdzie się człowiek urodził i wychował. W Dillon, w Karolinie Południowej, nie byłem od chwili ukończenia siedemnastu lat. Ale ciągle to miejsce istnieje we mnie. Dziwne, bo wcale nie czułem się tam szczęśliwy. No, nieraz, pewnie że tak. Pamiętam, jak chodziliśmy do takiego kościółka i... co tam, nic już z tego nie zostało. Tylko stara ciotka.

- Pojedź odwiedzić ją. Przejdź się ulicami, którymi Mason Williams chadzał do szkoły i do kościoła.

- Może i tak zrobię.

Tyson zapalił kolejnego papierosa.

- Mason, czy śledzisz całą tę sprawę w wiadomościach? Na pewno tak.

- Tak jest, proszę pana.

- I? Co sobie o tym myślisz?

- No... trudno mi powiedzieć, panie Tyson.

- Jak długo my się znamy? Pamiętam, że wozileś mnie, kiedy byłem w średniej szkole. Ojciec wsadzał mnie do taksówki i mówił: „Zabierz tego bałwana do szkoły. Znowu spóźnił się na autobus”.

Taksówkarz roześmiał się.

- Albo: „Zabierz go i tych pozostałych młodocianych przestępców do kina”. A kilka razy odwoziłeś mnie do miasta, kiedy wybierałem się z rodzicami na kolację.

- Tak jest, proszę pana. To były dobre dni. Lubiłem pańskiego ojca.

- Ja też. Dlatego powiedz mi wprost. Co o tym wszystkim myślisz?

- No... ja myślę, panie Tyson... mógłby pan znaleźć kilku przyjaciół... utrzymywać kontakt z kolegami... pozwolić im zbliżyć się do pana. Ma pan wielu przyjaciół w tym mieście.

- Naprawdę?

- Tak jest, proszę pana. Nawet nosili się z zamiarem uhonorowania pana w czasie przyjęcia na czwartego lipca w klubie... Słyszę, co ludzie mówią, ponieważ myślą, że ja nie słyszę. - Parsknął śmiechem. - Inni kierowcy też lubią poplotkować. W każdym razie nie słyszałem, żeby ktoś mówił o panu coś złego. Większość bardzo się tym martwi.

- Może naprawdę stałem się paranoikiem - powiedział Ben.

- Może. A może był pan tak nieszczęśliwy, więc obwiniał pan wszystkich naokoło.

- Możliwe, ale teraz jestem szczęśliwy.

- Wiem.

- Wiesz?

- Tak, proszę pana. Widzę to na pańskiej twarzy i w sposobie, jak pan się porusza. Słyszę w pańskim głosie. Tak jak teraz nie wyglądał pan od lat.

- Kilka osób już mi powiedziało coś takiego. A jak myślisz, dlaczego jestem szczęśliwy? Przecież stanę przed sądem pod zarzutem morderstwa.

Szofer przez chwilę prowadził w milczeniu.

- Zaczyna pan wszystko od nowa. Niewielu ludzi ma taką szansę. Uda się panu z tego wyjść, a potem będzie pan miał możliwość ułożyć sobie życie tak, jak powinno ono wyglądać. Ma pan świetną żonę, ona wytrwa przy panu.

- W Bogu nadzieja, że masz rację. - Tyson uśmiechnął się szeroko. - Posłuchaj, przejedźmy koło domu mojego ojca.

Mason skinął głową i skręcił w ulicę Whitehall. Zatrzymał się przed domem, w którym Ben dorastał, ceglany budynek ze stiukami w stylu Tudorów. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska ludzi, którzy w nim teraz mieszkali, i wcale go to nie obchodziło. Spojrzał w okno na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się niegdyś jego pokój.

- Kiedy mój ojciec zmarł - powiedział - i mieliśmy iść na cmentarz, przez ten dom przedefilował cały pochód. Zjawili się wszyscy sąsiedzi. Nie spodziewałem się tego. Byłem zaskoczony. Rozpłakałem się.

- Wiem. Siedział pan w moim samochodzie. - Taksówkarz odjechał sprzed domu. - Przeszłość jest już za panem. Gdzie jedziemy teraz?

- Nie wiem. Mogę nie wracać aż do dziewiątej. A nie wypuszczają mnie tak często.

Zerknął na zegarek. Dochodziła siódma, cienie zaczynały się już wydłużać. Mieszkańcy Garden City siedzieli już w swoich domach, mógł któregoś z nich odwiedzić. Ale pod jakim pretekstem? Czy potrzebował pretekstu?

- Zawieź mnie do Tulamore.

Mason skręcił na zachód, Tyson pokierował go w stronę białego, kolonialnego domu

Phillipa i Janet Sloanów. Nie wiedział, czy są w domu, ale kiedy już tam podjeżdżali, uświadomił sobie, że nie chce się widzieć ze Stoanem.

- Pojedź do Brixton.

Nie zatrzymując się minęli dom McCormicka, potem jeszcze kilka domów innych przyjaciół. W niektórych paliły się światła, w innych najwyraźniej nikogo nie było.

- Ma pan ochotę gdzieś tu stanąć? - zapytał szofer.

- Chyba nie. Czuję się jak autsajder, który chce tylko popatrzeć. Czy myślisz, że powinienem stanąć?

Mason przesunął na czoło czapkę i podrapał się po karku.

- Chyba pan wie najlepiej - stwierdził.

- Zrobiłem się ostatnio nieśmiały. - Ben spojrział na zegarek. -Przypuszczam, że złapię jeszcze ten o ósmej dziesięć do Brooklynu.

- Na pewno, proszę pana.

Czarna limuzyna zajechała pod stację.

- Mason, gdybyś był hazardzistą, ile byś na mnie postawił?

Taksówkarz otworzył przed nim drzwiczki. Tyson wysiadł i mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Mówiłem, że wygląda pan na szczęśliwego człowieka - powiedział Mason. - Nikt, kto by zrobił to, co, jak mówią, pan zrobił, nie mógłby wyglądać na szczęśliwego. Niech im pan po prostu powie prawdę. Niech spojrzą panu prosto w oczy.

- Dobrze, tak zrobię. - Ben wyciągnął pięćdziesięciodolarowy banknot.

Taksówkarz pokręcił głową.

- Zawsze mnie pan przepłacał, nawet jako chłopiec. Tym razem ja stawiam. Niech pan uważa na siebie. - Uścisnęli sobie mocno ręce. - Niech się pan spieszy. Pociąg właśnie wjeżdża.

Tyson wszedł na peron i zobaczył zbliżający się od wschodu pociąg. Wiał łagodny wiatr z północy, co zdarzało się tu rzadko, ponieważ dominowały wiatry znad oceanu. Zwiastun jesieni. Słońce wisiało nad horyzontem i potężne domy po południowej stronie placu przed stacją ginęły już w mroku. Na parkingu zostało zaledwie parę samochodów, a kilka żon czekało na pociąg z miasta. Nieco dalej mógł dostrzec na kortach tenisowych znajome

małżeństwo, Muellerów, grali debła z inną parą. Plac, nowy hotel, biblioteka i park stanowiły coś w rodzaju dawnej wiejskiej gminy. To było miejsce, w jakim ludzie zazwyczaj robią sobie zdjęcia, jeżeli poczują nostalgię za tego typu miasteczkami, które kiedyś były typowe dla Ameryki. Jak wiele innych podmiejskich enklaw, położonych wzdłuż rozchodzących się od Nowego Jorku linii kolejowych, był to jednocześnie najlepszy ze światów i najgorszy. Prowincjonalny i wielkomiejski. Marcy miała rację, a jednak myliła się. Wszystko zależało od tego, co się miało w głowie i sercu. A on teraz to zrozumiał.

Podobała mu się definicja domu sformułowana przez Roberta Frosta: miejsce, do którego dajesz się zaciągnąć tylko siłą.

Ale dom to było jednocześnie miejsce, za którym się tęskni z każdego innego.

Dla niego Garden City przestało już być takim miejscem.

Pociąg zatrzymał się i Ben wsiadł do środka. Pomyślał, że w pociągach i stacjach kolejowych jest coś, co kojarzy się ze wspomnieniami. Szyny prowadzą w obie strony i pociągi również tak jeżdżą. Ale w życiu nadchodzi taki moment - i nie zawsze się wie kiedy - gdy można podążać tylko w jedną stronę.

Zajął miejsce w pustym przedziale i wyciągnął z kieszonki zdjęcie, na którym stali oboje z Teresą przed katedrą w Hue. Wpatrywał się w nie przez chwilę, starając się utożsamić tego amerykańskiego chłopaka na zdjęciu z mężczyzną, który w cztery tygodnie później stał się potworem. Przyglądał się Teresie i wydało mu się niezwykle, że nawet żyjąc w czasie wojny, pośród śmierci, wyglądała tak naiwnie, nieśmiało i niewinnie. Ale być może istniało wytłumaczenie. Już przy urodzeniu została zaszczepiona przeciwko chorobie duszy, którą niesie wojna. On nie miał odporności, dlatego zachorował od razu, podczas swego pierwszego patrolu, kiedy tylko zobaczył niszczenie życia i mienia.

Schował znowu zdjęcie do kieszeni i zamknął oczy. Zdał sobie sprawę, że ostatnim miejscem, jakie zobaczy, zanim pod eskortą zostanie zabrany do więzienia federalnego, może być Fort Hamilton. Uniósł powieki i spojrzął przez okno. Wszystko wydało mu się wspanialsze niż dotąd. Jeśli będzie przejeżdżał kiedyś tą drogą, przypomni sobie to uczucie.

Rozdział 36

Słońce wczesnego poranka wpadało przez otwory pomiędzy żaluzjami salonu Tysonów.

Wynajęty odbiornik telewizyjny stał na niewielkim stoliku przysuniętym do ściany. Ben, ubrany w garnitur, siedział na brzegu kanapy, trzymał w rękach filiżankę kawy i oglądał wiadomości sieci PBS. Marcy zajęła fotel, również piła kawę i zagryzała ją bułką z masłem. David siedział po turecku na podłodze i pił sok pomarańczowy.

- Czy nie możemy wynająć wideo?

- Przy mojej pensji, nie.

- No to czy nie możemy przywieźć jednego z domu?

- Nie.

David mruknął coś pod nosem.

Tyson spojrzał na syna. Chłopiec stał się zgorzkniały. Może po prostu nudził się albo trochę denerwował nadchodzącym rokiem szkolnym.

- „Komisja prawnicza Białego Domu dyskutuje właśnie sprawę Tysona - mówił komentator wiadomości. - Obrońca porucznika Tysona, Vincent Corva, twierdzi, że wszystkie takie spotkania służą tylko pogłębianiu uprzedzenia względem jego klienta i godzą w jego prawa, ponieważ sprawa nie stanęła jeszcze na wokandzie. Spotkanie w Białym Domu jest jednak wyraźnie reakcją na naciski zewnętrzne. W porządku dziennym zebrania znajduje się punkt dotyczący ustalenia, kto powinien sprawować jurysdykcję w przypadku oskarżonego. W przeszłości Ministerstwo Sprawiedliwości stało na pozycji, że zwolniony honorowo ze służby żołnierz nie może być sądzony za zbrodnię wojenną poprzedzającą jego zwolnienie ani w sądzie federalnym, ani wojskowym. Jednak status Tysona, jako byłego oficera, umożliwił powołanie go do czynnej służby w celu przeprowadzenia śledztwa”.

Ben jeszcze raz spojrzał na Davida. Chłopak czytał pismo samochodowe i najwyraźniej słowa komentatora niewiele go obchodziły. Dziwaczne, pomyślał. Dorośli dają dzieciom zbyt wiele kredytu. To było również dziedzictwem lat sześćdziesiątych: dorośli, którzy szukają mądrości u niedorosłych.

- „Z innych źródeł dowiadujemy się - mówił dalej komentator - że pułkownik Ambrose Horton, wykładowca prawa wojskowego uniwersytetu stanowego Wirginii i ceniony jurysta, skierował pismo do prezesa Izby Wojskowej, generała Williama Van Arkena. Treść pisma została rozpowszechniona przez nie zidentyfikowanego informatora. Oto fragment: »Jak pan wie, generale, zgodnie z konwencją genewską, której Stany Zjednoczone są sygnatariuszem, nasz kraj ma obowiązek dostosować prawodawstwo, by umożliwić efektywne karanie osób łamiących w sposób drastyczny prawa wojenne«. - Komentator ciągnął dalej: - Pułkownik Horton wykazał następnie, że w ciągu prawie czterech dekad od czasu podpisania przez USA Konwencji Genewskiej Kongres nie dopełnił takiej zmiany prawnej, mimo iż większość sygnatariuszy - tak. W konkluzji listu

do generała Van Arkena pisze on, że wojsko nie może wybiórczo oskarżyć porucznika Tysona, w tym samym czasie nie stawiając przed sądem innych podejrzanych, w stosunku do których Kongres zaniedbał ustanowić prawa federalne lub wojskowe. A tak się stanie, jeśli nikt z plutonu porucznika Tysona poza nim nie zostanie lub nie będzie mógł zostać postawiony pod tym samym zarzutem. I tak za tydzień od dzisiaj w Forcie Hamilton tylko jeden człowiek zajmie miejsce na ławie oskarżonych: Benjamin J. Tyson”.

Ben wychylił się do przodu i wyłączył telewizor. Nie wiedział, kim jest pułkownik Ambrose Horton, doskonale natomiast zdawał sobie sprawę, że człowiek ten w tej chwili powinien złożyć podanie o przeniesienie w stan spoczynku, chyba że już to zrobił.

Wypił łyk kawy. Unikał słuchania informacji na swój temat. A kiedy już słuchał lub oglądał, starał się obiektywnie ustalić, jakie są jego uczucia w stosunku do Tysona. Ogólnie rzecz biorąc większość komentarzy była dla niego pozytywna. Historie na temat Marcy stały się przez pewien czas sensacją dnia, ale nawet to zyskiwało mu ostatnio sympatyków.

- Czy to będzie miało na cokolwiek wpływ? - zapytała Marcy.

- Dla mnie nie. - Ben wzruszył ramionami.

- Czasami potrzeba właśnie takiej sprawy, żeby zmienić prawo - powiedziała Marcy. - Nawet Stowarzyszenie Obrony Praw Człowieka cię popiera. To uspokaja.

- Może ciebie.

David podniósł głowę znad pisma.

- Tato, dlaczego jeśli wszyscy są po twojej stronie... Chodzi mi o tych wszystkich ludzi, którzy zbierają pieniądze na twoją obronę i popierają cię, i w ogóle - więc dlaczego wojsko chce cię postawić przed sądem?

Tyson zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Ponieważ nadużyłem zaufania - odpowiedział wreszcie - złamałem przysięgę. Więc chcę... dać przykład innym dowódcom teraz i na przyszłość.

- Ale to się stało tak dawno. Czy nie możemy po prostu zapomnieć o czymś, co się zdarzyło trzydzieści lat temu?

- Dwadzieścia. - Ben czytał kiedyś artykuł na pierwszej stronie „Wall Street Journal” o kompletnej ignorancji młodzieży odnośnie wojny wietnamskiej. Jakiś profesor opowiadał, że student starszego roku zadał mu pytanie, co to jest napalm. Inny wykładowca twierdził, że żaden z jego studentów, a miał ich w grupie trzydzieścioro czworo, nigdy nie słyszał o ofensywie Tet. - Wojsko ma pamięć słonia - powiedział Tyson - i po raz pierwszy w swej

historii to wojsko przegrało, będzie więc dyskutować na temat porażki po wsze czasy. - Odetchnął. - Głęboko, gdzieś w samych trzewiach, wojsko pragnie rewanzu. Chcieliby zostać powtórnie wysłani do Wietnamu, by odzyskać stracony honor.

- Na Boga, Ben - wtrąciła się Marcy - nawet nie myśl o tym.

- Taka jest prawda, Marcy. Wiem o tym. - Spojrzał na syna. - Ale do tego czasu zawsze, gdy pojawi się na widoku hasło „Wietnam”, reakcja będzie niezwykle silna.

David milczał, przetrawiając słowa ojca.

- Ale ty nikogo nie zabiłeś - odezwał się wreszcie. - Powiedziałeś, że nie zabiłeś. Zrobili to ci inni faceci, prawda? - spojrzał na ojca. - Oni to zrobili?

Ben napotkał wzrok syna.

- Wyobraź sobie, że włączysz się z bandą chuliganów, takich prawdziwych łobuzów, i pewnego dnia coś im odbija i biją grupę małych dzieci - naprawdę porządnie - a ty widzisz to wszystko i nie robisz nic, by temu zapobiec, a potem na dodatek nie mówisz nic swojej matce ani policji - czy byłbyś wtedy równie winny jak cała ta banda? Mniej winny? Bardziej?

- Bardziej - odpowiedział cicho David. - Gdybym nie mógł ich powstrzymać, powinienem o tym powiedzieć.

- Czy coś by to zmieniło, gdyby żalowali swego czynu? To znaczy, gdyby się tym wcale nie przechwalali, ale byłoby im wstyd?

- Chyba... no chyba nie. Skrzywdzili ludzi. - Chłopiec wstał. - Wychodzę.

- Gdzie idziesz? - zapytała Marcy.

- Na dwór. Nudzi mi się. Zwariuję tutaj.

- Zaprzyjaźniłeś się z kimś? - dopytywał się Tyson.

- Nie.

- Chcesz pojechać do Sag Harbor na weekend?

David na moment zawahał się.

- Nie...

- Nie tęsknisz za Melindą?

- Tęsknię. Ale... jeśli wy możecie tu wytrzymać... Tak długo, jak przebywasz w areszcie, tato, zostaję z tobą.

- Ale ty nie jesteś w areszcie. - Ben odwrócił się do żony. - Posłuchaj, pojedźcie dzisiaj z Davidem na Wschód. Znajdziecie jakieś miejsce. Nas z Vince'em czeka mnóstwo roboty.

Marcy pokręciła głową.

- Podjęliśmy już decyzję, Ben. Zostanę z tobą, aż to wszystko się skończy. A poza tym ci cholerni dziennikarze komentują każdy nasz krok. Jeśli wybiorę się nad morze, „American Investigator” napisze od razu coś w rodzaju: „Marcy zażywa słońca, podczas gdy Ben dusi się w domowym areszcie”.

- W porządku. To jest wasza decyzja - odparł Tyson. - Nie mogę się doczekać, kiedy nie będzie kolejki do łazienki. - Uśmiechnął się. - Ale zobaczysz, że „Investigator” przestanie się już nami zajmować.

- Już to zauważyłam. A nazwisko Wally'ego Jonesa zupełnie zniknęło. Co się stało?

Ben spojrzał na syna, który kręcił się niecierpliwie koło drzwi.

- David, zabierz rzeczy z mojej szafki, spotkamy się na sali gimnastycznej za pół godziny.

- Dobra. - Chłopiec wyszedł.

- Nabrałem znakomitej kondycji - Tyson zwrócił się do żony. - Teraz czas na ćwiczenie ducha.

- W zdrowym ciele zdrowy duch. Więc dlaczego „Investigator” przestał się nami interesować?

Ben dolał sobie kawy z dzbanka.

- No cóż... być może osiągnęli nowe wyżyny zdeprawowania dziennikarskiego i już jesteśmy dla nich za dobrzy. Szczególnie, kiedy ze sceny zniknęła major Harper. - Ale po chwili dodał: - A poza tym przyłożyłem Wally'emu Jonesowi. - Pomieszał kawę.

- Założę się, że miałaś dobrą zabawę. - Roześmiała się. - A tak przy okazji, myślę, że nie najlepiej poradziłaś sobie z pytaniem Davida.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem... chyba wymagasz od niego zbyt wiele.

Tyson zapalił papierosa. Już wiedział, że to nie będzie dobry dzień. Ograniczenia i brak

możliwości działania, połączone z niepewnością, powodowały, że często miał ochotę się odegrać na żonie i synu. Przełożył jakieś papiery na stole.

- Spóźniamy się z ratą hipoteczną - powiedziała Marcy. - Przyszło pismo z gminy, że jeśli nie zapłacimy, wystawią dom na sprzedaż, by zdobyć fundusze na podatki.

- Naprawdę?

- No i widzisz? Tysonowie płacili podatki tej pieprzonej gminie od dnia, gdy powstała, ale tylko spróbuj raz nie zapłacić... wiesz, o co mi chodzi?

- Nie.

- O to, że nieważne jest, co robisz przez całe życie, jak wychowujesz dzieci i czy płacisz swoje śmierdzące rachunki przez dwadzieścia lat. Wystarczy, że parę razy nie zapłacisz, a już znajdujesz się na ich czarnej liście. Jesteś nikim. Załatwiony.

- Tak, właśnie w ten sposób mówię o sobie. Jedna wszawa masakra i każdy na ciebie wsiada.

- Kiepska analogia.

- W każdym razie podtrzymuje na duchu. Phil Sloan powiedział mi wczoraj, że bank zawiesza nasze płatności hipoteczne i w ogóle wszystkie nasze opłaty podatkowe. Będzie to rodzaj długu, który kiedyś im oddamy.

- Jesteś tego pewien? - żona spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Tak. No i zobacz, czyż to nie jest miły bank? Czy nie przywraca ci wiary w ludzkość?

- Chyba tak.

- No więc nie bądź taka pewna. Na ile udało mi się ustalić, ktoś poszedł do banku i namówił ich na to.

- Kto?

- A kogo to obchodzi? Przypuszczam, że anioł stróż. Człowiek FBI. Szary cień, który przegląda naszą korespondencję i śledzi każdy ruch. Problem w tym, że nawet gdybyśmy chcieli popełnić ekonomiczne samobójstwo, ogłosić bankructwo i w ogóle, to nie możemy. Wojsko nie chce, żeby taka informacja pojawiła się w prasie przed rozprawą. Co by się stało, gdybym, Boże broń, okazał się niewinny, a oni mnie zrujnowali? Godna pozazdroszczenia sytuacja, w której większość Amerykanów nigdy się nie znajdzie.

- Nie podoba mi się to - ogłosiła Marcy po chwili milczenia. Podniosła głos: - Nie podoba mi się, że ktoś mnie śledzi, że ktoś...

- Ciii. Uszkodzisz mikrofony.

Wstała, sięgnęła po ciężką, szklaną popielniczkę i cisnęła nią w okno. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby.

- Pieprzyć armię!

- Uspokój się. - Wstał, obejrzał zniszczenia, a potem zwrócił się do niej poważnie: - My naprawdę jesteśmy obserwowani. Nie chcę, by widzieli, jak się załamujemy. W porządku. Uspokój się, żołnierzu.

Oplotła go ramionami i położyła policzek na jego ramieniu.

- Dobrze.

Ben trzymał ją w ramionach, a jego wzrok prześlizgiwał się po niewielkim pomieszczeniu. Co tydzień wydawał całkiem sporą sumkę, aby upewnić samego siebie, że nie zainstalowano tu żadnych elektronicznych urządzeń podsłuchowych, ale wciąż nie był tego do końca pewien.

- Zapisalaś Davida do tutejszej szkoły nożowników.

- Matki twierdzą, że to dobra szkoła. Autobus zatrzymuje się na Lee Avenue. Rozmawiałam z dyrektorką i ona rozumie specjalne problemy związane z jego zgłoszeniem.

- Dobrze. Jak zachowuje się David?

- Zapytaj go.

- Przy mnie zawsze zgrywa twardziela. Ma to po swoim starym. Co mówił tobie?

- Denerwuje się.

- Nic dziwnego.

- I brak mu przyjaciół.

- Tak jak nam wszystkim. Ale oni najprawdopodobniej nie są już jego przyjaciółmi.

- Mówi, że szkoła wygląda nędznie. Tak naprawdę jest po prostu stara, ale dobrze utrzymana.

- Nie może porównywać miejskiej szkoły z podmiejskim klubem, do którego uczęszczał.

- Dobrze mu to zrobi. Sam tak powiedziałaś.

- Właśnie. - Ben uśmiechnął się i przytulił ją mocniej. - Nie chcę, by to zabrzmiało zbyt samczo, ale mężczyzna zawsze chce dać swej rodzinie wszystko, co najlepsze. A kiedy nie może, przestaje się czuć mężczyzną. Czy to zbyt patriarchalne?

- Tak, ale rozumiem, co czujesz.

- Prywatne szkoły po prostu są za drogie, Marcy...

- Nie przejmuj się tym. Przebrniemy.

- To może zniszczyć jego szansę na dobrą uczelnię.

- Przestań. - Potrząsnęła nim łagodnie. - Ty chodziłeś na jakiś zawieszony uniwersytet, to i on może.

- Hej, Auburn wcale nie jest zły. Columbia była do niczego.

Śmiała się. Przytulili się mocno.

- Czy zastanawiałaś się, co będziesz robić, kiedy mnie przeniosą na parę lat w górę rzeki?

- W górze rzeki jest Sing Sing. Leavenworth znajduje się w Kansas. Po drugiej stronie rzeki.

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie myślę o tym. Nie będę o tym myślała. Więc nie mam odpowiedzi na twoje pytanie.

- No dobrze... nie martwmy się tym teraz.

- Czy ty martwisz się rozprawą?

- Nie. Corva twierdzi, że to tylko strata energii. Na pewno postawią mnie w stan oskarżenia.

- Och... Czy martwisz się Corwą?

- Trochę. Tak, troszeczkę. Jest nierówny. Czasami myślę, że to geniusz, a czasami, że głupek. Poza tym jest fatalistą. Nie, może lepszym słowem byłoby realistą.

Odsunęła się od niego i naląka kawy do dwóch filiżanek.

- Najwyraźniej bardzo go obchodzisz, Ben. To ważne.

- Byliśmy obaj z Corvą dowódcami w piechocie - Tyson sięgnął po swoją filiżankę - i nasze drogi nieraz się przecinały. Nie muszę mu tłumaczyć: „Słuchaj, Vince. Wietnam wysysał ludzi, pijawki nas wysysały i tęsknota za domem, więc nie daj mnie teraz wyssać do końca”. On to wie i wie także, że jeśli ja pójdę do więzienia, to zabiorę tam kawałek jego i wszystkich, którzy byli w Wietnamie.

Wpatrywała się w czerń kawy, potem podniosła na mego wzrok.

- Chyba to rozumiem. To się czuje, kiedy jesteście razem. Tylko obiecaj mi jedno.

- Co?

- Kiedy wszystko już będzie poza nami, nie zapraszaj go z żoną na nie kończące się wspominki wojenne. - Uśmiechnęła się.

- Na szczęście - odpowiedział jej z uśmiechem - on nie opowiada ani nie wysłuchuje opowieści wojennych. - Przez moment się zastanawiał i wahał. - Więc co się dzieje w czwartek? - zapytał wreszcie. - Wracasz do pracy?

Umknęła wzrokiem.

- No, jeśli nie wrócę... to chyba mnie wyleją.

- Myślałem, że jesteś niezastąpiona. I że Jim cię lubi.

- Nie zaczynaj robić sceny, Ben. Robota się sama nie zrobi.

- Nie może wytrzymać jeszcze jednego tygodnia, do czasu gdy okaże się, czy postawią mnie przed sądem, czy nie?

- Był bardzo cierpliwy. Znacznie bardziej niż twoi chlebodawcy. A ty również miałeś być niezastąpiony.

- Żaden pracownik najemny nie jest niezastąpiony. Tego się nauczyłem. Nawet gdyby moje życie miało od tego zależeć, nie będę już dla nikogo pracował. Raczej zostanę człowiekiem do wszystkiego, ale sam sobie panem. Dowiedziałem się, jak potrafią cię potraktować szefowie. Sam byłem szefem i wiem, że czyjeś problemy niewiele mnie obchodziły. We wspólnocie amerykańskiej nie ma miejsca na osobiste problemy. Jeśli facet nie jest w stanie wycisnąć z siebie więcej, do diabła z nim.

- Potrzebujemy pieniędzy, Ben. Zsiądź z tego wysokiego konia. Strasznie dumnie nosisz głowę. Nieraz trzeba trochę przygiąć karku.

- Nie, nie zrobię tego. Ale potrzebuję ciebie... i twojego wsparcia. A David potrzebuje

cię bardziej niż kiedykolwiek.

- Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę - powiedziała spokojnym głosem. - Ale mówiąc całkiem uczciwie, zaczynam dostawać tutaj szajby. Chyba to zauważyłeś.

- Wcale się nie zmieniłaś, naprawdę.

- I na pewno będę dla ciebie i Davida lepszym towarzystwem wieczorami i w weekendy, jeśli zniknę stąd na parę godzin.

Ben odstawił z hałasem filiżankę z kawą na stół.

- Akurat. To nigdy nie jest kilka godzin. To było i będzie wiele długich godzin, a potem robota w domu i podróże służbowe, i wieczorne telefony - czy do ciebie dotarło, moja pani, że grozi mi oskarżenie o morderstwo? Jak myślisz, ile wspólnego czasu nam jeszcze pozostało?

Wbiła wzrok w podłogę.

- Powiedziałam mu, że będę w czwartek - szepnęła. I dodała: -Mamy nowego klienta w Atlancie i muszę tam polecieć. Wrócę w piątek wieczorem.

- Dobrze. A z piątkowych popołudniówek dowiesz się, czy postawią mnie przed sądem.

- Przykro mi, Ben.

- Będę w sali gimnastycznej. Tyson podszedł do drzwi. Zawahał się na moment, a potem powiedział: - Posłuchaj, ja to rozumiem. Ale ty postaraj się zrozumieć, jak ja się czuję przykuty do tego miejsca. Może po prostu zazdroszczę wolnym ludziom. - Czekał, by odpowiedziała na to pojednawcze stwierdzenie, ale na próżno, więc wyszedł.

Rozdział 37

O dziewiętnastej trzydzieści rozległo się pukanie do drzwi. Tyson otworzył.

- Straszne korki - powiedział Vincent Corva.

- Dziękuję, że poświęcasz mi wolny wieczór. - Ben zaprosił go gestem do środka.

Adwokat wkroczył do salonu. Pod pachą trzymał teczkę. Miał na sobie dzinsy i

koszulkę polo. Zdaniem Tysona wyglądał na jeszcze drobniejszego niż w garniturze. Zastanawiał się, jak Corva wytrzymał standardowe obciążenie połowe trzydziestu pięciu kilogramów broni, wody, jedzenia i amunicji, na dodatek w wysokiej temperaturze.

- Zawiozłem żonę i dzieci do Montclair - powiedział Vince.

- A więc tam masz dom? To na Jersey, tak?

- Tak. A weekendy spędzamy w naszym letnim domku w Ocean City.

- Gdzie to jest?

- Na wybrzeżu Jersey.

- O... nie wiedziałem, że tam ludzie jeżdżą.

- Może nie twoi ludzie. - Corva uśmiechnął się.

Położył teczkę na podłodze koło sofy.

Do salonu weszła Marcy.

- Cześć, Vince - cmoknęła go w policzek.

Ben przyglądał się jej. Traktowała mężczyzn naturalnie i oni czuli się przy niej dobrze. Widział, że ujęła adwokata. Najwyraźniej Picarda również.

- Przykro mi, że nie udało się zwolnić Bena na ten weekend. Strasznie stwardnieli. Zazwyczaj wystarczy, że oficer da słowo.

- Hasło oficer i dżentelmen działa tylko wtedy, kiedy im to odpowiada. Kiedy indziej słowo oficera jest niewiele warte.

- Chodzi chyba o to, by dziennikarze nie mieli o czym pisać - zasugerował Vince.

Tyson czuł się jak inwalida, o którym krewni rozmawiają, nie zauważając jego obecności.

- To mi coś przypomina - ciągnął dalej adwokat. - Dostałem sześciocyfrową ofertę od wydawcy. Chryste, musiałem wynająć dodatkową pracownicę, żeby odbierała te wszystkie telefony. Ale wydawca jest szanowany. Chcesz opowiedzieć swoją historię za ćwierć miliona?

Ben spojrzał na żonę, a ona odpowiedziała mu wzrokiem.

- Nie, on nie chce - powiedziała do Corvy. - Już dawno zdecydowaliśmy, że nie

zarobimy grosza na tej sprawie. Z funduszu weźmiemy tylko pieniądze na pokrycie twoich wydatków.

- Dobra. - Adwokat kiwnął głową. - Już nigdy nie wspomnę o tych propozycjach. - Uśmiechnął się. - Nawet święty może się wreszcie skusić.

- Usiądź - powiedziała Marcy. - Mam butelkę tego obrzydlistwa, które ty pijesz. Strelger?

- Strega.

Zniknęła w kuchni.

Vince przysiadł na skraju sofy.

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności - odezwał się cicho do Tysona.

- Ona idzie zaraz z Davidem do garnizonowego kina. - Ben skinął głową.

Marcy wróciła z tacą, na której stały trzy wąskie kieliszki i wysoka, zgrabna butelka wypełniona żółtym płynem. Postawiła tacę i naląła. Każde z nich wzięło swój kieliszek, wypili. Tyson odchrząknął.

- *Mamma mia*. To rozpuszczalnik.

- Trzeba się przyzwyczaić - wyjaśnił Corva. Wyciągnął kamienny słoje z teczki i postawił go na stole. - Obiecałem ci sos pesto - powiedział do Marcy. - Otwieraj tuż przed użyciem. Nie podgrzewaj, bo straci bukiet. Nakładaj łyżką na gorący makaron. Rozumiesz?

Przyjrzała się słoju nieufnie.

- Wygląda tak jak słoje z farbą, przepłukany rozpuszczalnikiem, który właśnie pijemy. - Spojrzała na adwokata podejrzliwie. - Czy tak się we Włoszech wyraża sympatię? Nie nabijasz się ze mnie?

- Oczywiście, że nie. To jest moje dziedzictwo. - Mrugnął do niej.

- Kiedy to wszystko się skończy, możesz wykorzystać znakomitą specjalistkę od reklamy. Zrobię z ciebie włoskiego F. Lee Bailey'a. Jak właściwie masz na drugie imię?

- Marcantonio.

- O, cudowne! V. Marcantonio Corva. Albo Vincent Mark Anthony Corva. Albo...

- Czy czasem nie spóźnisz się na film?

Marcy spojrzała na zegarek.

- Och! - Wstała i powiedziała do adwokata: - Grają dzisiaj „Stworzyciela” z Peterem O’Toole’em. - Podeszła do schodów i zawołała w górę: - David! Czas do kina. - Odwróciła się z powrotem do Vince’a! - Wizerunek jest bardzo ważny, ale w odróżnieniu od wielu ludzi związanych z reklamą, ja wierzę także, że istotna jest substancja. A to się u ciebie czuje.

- Stań na palcach. Czujesz, jak porusza się twoja substancja? - wtrącił Ben.

Marcy spojrzała na niego lodowato.

- Nie wypadła z obiegu. Jutro wraca do pracy.

Corva sięgnął po swego drinka. Zauważył, że Tysonowie nie zwracają się bezpośrednio do siebie, a w głosie Bena brzmiało coś nienaturalnego.

Na dole pojawił się David.

- Dobry wieczór, panie Corva.

- Cześć, David. Jesteś gotowy na rozpoczęcie szkoły?

- Chyba tak.

- Tylko pamiętaj, dzieciaki wszędzie są takie same, nawet kiedy mają brooklyński akcent.

Chłopiec zmusił się do uśmiechu. Marcy i David podeszli do drzwi.

- Bawcie się dobrze - powiedział adwokat. - A jeśli już się dzisiaj nie zobaczymy, to powodzenia jutro.

Wyszli, nie mówiąc do widzenia. Vince popatrzył w milczeniu na Bena.

- To nie jest prywatne pytanie - powiedział po chwili - tylko zainteresowanie wynikające ze sprawy. Jakies domowe kłopoty?

Tyson kiwnął głową, zapalając papierosa.

- To samo od siedemnastu lat małżeństwa. Więc nie martw się nimi. Wystarczy, że ja to robię.

- Na czym polegają?

- Czy twoją specjalnością są rozwody? - Ben nalał sobie następny kieliszek. - No, ale

jeśli nie chcesz zmienić tematu - chodzi o to, że Marcy wraca do pracy.

- Nie podoba ci się to?

- Chyba nie.

- Ty będziesz siedział przez cały dzień w domu, sprzątał i zamartwiał się oskarżeniem, a ona w tym czasie pójdzie na lunch z jakimś interesującym facetem.

- Zgadłeś, Vinny. Jednak jesteś bystrzak. Ale wątpię, by jej klienci byli godni zainteresowania. A ja nie zamierzam wcale sprzątać. Pieprzę to, zacznym dostawać fioła.

Corva potarł garb na nosie wskazującym palcem.

- Może masz i prawo - powiedział - czuć się zraniony i zły, i opuszczony. Ale to ci nic nie pomoże w obronie. - Pochylił się ponad stolikiem w stronę Tysona. - Pozwól, że coś ci powiem, z czym zapewne się zgodzisz: ta sprawa o morderstwo, w której ty jesteś oskarżonym, jest ważniejsza niż twoje małżeństwo. Spójrz na to z pewnej perspektywy, przyjacielu, nie bądź taki pobłażliwy dla samego siebie, do cholery.

- Nie klnij.

- Mam ochotę ci przykopać.

- Potrafisz tylko gadać.

- Posłuchaj - adwokat wstał i wycelował palcem w Bena - nie stać cię na luksus rozmyślań nad twoim małżeństwem lub życiem. Jeżeli zaczniesz zajmować się czymkolwiek innym poza tą sprawą, ja się wycofuję.

Tyson wstał również.

- Nie jestem jakimś pieprzonym robotem - powiedział głośno. - Jestem zły. Czuję się zdradzony.

- No i co z tego? Nie możesz nic na to poradzić. Zanim to się skończy, wszyscy zdradzą cię w jakiś sposób. Twoim obowiązkiem teraz jest trwać przy samym sobie. I utrzymać się z daleka od więzienia. A kiedy to już ci się uda, możesz wyrównać rachunki. *Capice?* - Popatrzył na Bena.

- Taaa, *capice*. - Tyson skinął powoli głową.

Vince wyciągnął rękę.

- Nadal przyjaciele?

Ben uściśnął ją.

- Tobie pierwszemu wystawię rachunek, ty mały włoski imigrancie.

Corva roześmiał się.

Usiedli i przez chwilę pili w milczeniu.

- Twoja substancja powiększyła się - skomentował Tyson.

Adwokat nalał następną kolejkę.

- Mój stary, kiedy dorastałem, wynalazł domową odmianę tego napitku. Rząd kupił od niego recepturę i to jest właśnie pomarańczowy czynnik. - Parsknął nieco pijackim śmiechem, a potem beknął.

- Słyszałeś lub czytałeś ten list pułkownika Hortona? - zapytał Ben.

- Wiem o Hortonie. - Vince kiwnął głową. - Wszyscy go szanują. Jak Boga. I obaj mają mniej więcej taki sam wpływ na to, co robi zespół z Izby Wojskowej. Ale wyciągnął filozoficzny dywanik spod Van Arkena. Dla ciebie praktyczne znaczenie tej wypowiedzi jest minimalne. Ale przynajmniej wiadomo, że są ludzie - nie twoi fani wśród weteranów, ale intelektualiści - którzy mówią, że zostałeś wystawiony. Nic nie powstrzyma maszyny prawniczej armii, ale świadomość, że twój przypadek może spowodować zmiany i dyskusję nad konstytucją, może cię podtrzymać na duchu.

- Po to są męczennicy, Vince. Mają cierpieć, by ludzkość uczyniła krok w kierunku społeczeństwa doskonałego.

- Może myślisz, że jesteś sarkastyczny? - zapytał Corva. - Ale powiem ci, że zostaną napisane miliony słów na temat sprawy: Stany Zjednoczone kontra Benjamin Tyson. Twój przypadek przejdzie do historii. Czy wiesz, że obecne francuskie prawodawstwo militarne jest bezpośrednim rezultatem błędu, jaki popełniono w czasie sprawy Dreyfusa?

Ben zapalił kolejnego papierosa i zapadł się w sofę.

- Guzik mnie to obchodzi.

- Pewnego dnia - ciągnął dalej adwokat, niezrażony - kiedy już przyjdzie ci stanąć przed innym sądem, niebieskim, twój pogrzeb będzie niezłą gratką dla „Timesa”. Mój zresztą też.

- Naprawdę? - Tyson wydmuchał kółka. - Co napiszą o tobie? Nigdy nie wygrał żadnej sprawy?

Vince zauważył rozbite okno.

- Co się tutaj działo?

- Wściekła się kilka dni temu - wyjaśnił Ben. - Wiesz co, ona nie godzi się na gwałt i nie rozumie, dlaczego chłopcy z mojego plutonu załamali się i wpadli w szal. Ale z nudów cisnęła popielniczką w okno. Lecz nie mnie o tym sądzić. Chciałbym jedynie zauważyć, że ludzie, którzy mieszkają w małych domach, mogą w wyniku tego zacząć rzucać popielniczkami.

- Jeśli mówimy już o wpadaniu w szal, wojsko ma zamiar poddać cię serii testów - powiedział Corva. - Masz coś przeciwko temu?

- Tak. Przecież nie możemy bronić się niepoczytalnością dwadzieścia lat po fakcie i nie zamierzamy twierdzić, że nie jestem w stanie wytrzymać procesu. Co oznacza jedynie, że banda jajogłowych chce ze mnie zrobić świnkę doświadczalną.

- W porządku. Załatwię zablokowanie testów. Czy spotykałeś się kiedykolwiek z psychoanalitykiem? - zapytał.

- Przelotnie. - Tyson zgasił papierosa.

- Czy jego notatki mogłyby nam pomóc?

- Nie wiem. W jaki sposób?

- Czy z tych notatek mogłoby wynikać, że masz wyrzuty sumienia i czujesz się winny z powodu zatajenia incydentu ze szpitalem?

- Nie sądzę. Nigdy mu o tym nie mówiłem.

- Jak mogłeś pójść do psychoanalityka i nie powiedzieć mu, z czym przychodzisz?

- On także chciał to wiedzieć. - Ben uśmiechnął się.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się z nim skontaktuję?

- Absolutnie nie, ale musisz się zgłosić do spirytystów.

- Och...

- Samobójstwo. Jeśli się z nim skontaktujesz, powiedz mu, że nie zapomniałem o ostatnim rachunku.

- Za dużo pijesz. - Adwokat przez moment się zastanawiał. - Co się stało z jego papierami?

- Nie wiem. To są zastrzeżone informacje, prawda?

- Dopóki terapeuta żyje. Potem... będę się musiał tym zainteresować. - Wyciągnął pióro i żółty blok, a Ben podyktował nazwisko i adres doktora Stahla.

Vince wyciągnął złożoną stronicę z „New York Timesa”.

- Widziałeś?

- Nie czytam już gazet. Czytam tylko Agatę Christie.

- To jest artykuł na temat międzynarodowych implikacji twojej sprawy. - Corva przeleciał wzrokiem stronę. - Mówi się coś na temat pozwania Stanów Zjednoczonych przez Wietnam przed Międzynarodowy Trybunał w Hadze. Kroki zmierzające do unormowania stosunków zostały wstrzymane. To kolejny powód, dla którego pewni ludzie w Waszyngtonie cię nie lubią. Oczywiście, inni z kolei polubili cię dokładnie z tego samego powodu.

- Nic mnie to nie obchodzi. Pieprzę Hanoi i Waszyngton.

- Dobra. Wszystko też wskazuje na to, że kraje, których obywatele byli wśród prawdopodobnych ofiar - Francja, Belgia, Niemcy, Holandia i Australia - zainteresowały się formalnie sprawą. Jak być może wiesz, są naszymi sprzymierzeńcami.

- W zeszłym miesiącu mówiło się o komisji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych mającej się zająć ludobójstwem. Ludobójstwo? Chryste, szpital sam w sobie był ONZ-etem. Nikogo nie dyskryminowaliśmy. Dlaczego każdy chce nas ukrzyżować?

- Nie lubią nas, Ben. Tak czy siak ambasador Wietnamu przy ONZ-ecie, jak podaje ten artykuł, ogłosił, że Ludowa Republika chętnie by widziała na swoim terenie międzynarodowy zespół, w skład którego weszliby również Amerykanie. Miałby odwiedzić teren domniemanej zbrodni - Szpital Miłosierdzia i jego okolice. Ambasador zasugerował, że być może znaleźliby się świadkowie masakry. A Hanoi przysłała fotografię szpitala, którą zamieścił „Times”. - Corva wręczył Tysonowi całostronicowy artykuł.

Ben przyjrzał się fotografii. Widniał na niej piętrowy, biały budynek bez dachu. Ściany były znacznie bielsze niż wtedy, gdy widział je po raz ostatni, lizane płomieniami ognia. Nie mogły być odmalowane, może monsun je obmył, a słońce wybieliło jak kość. Po ścianach wspinały się już pędy roślin, a przez okna prześwitywało po drugiej stronie niebo.

Szpital płonął zalewany brudnym, zimowym deszczem. Mężczyźni z pierwszego plutonu Kompanii Alfa stali nie więcej niż dziesięć metrów dalej, ogrzewając swe przemoczone mundury. Ben widział, jak z mundurów unosi się para, a na mokrych, lśniących twarzach odbijają się refleksiem czerwone płomienie.

Z oddali dochodziły wybuchy artyleryjskie, a nad głowami huczały przelatujące samoloty, na niebie widać było tylko smugi. Nagle Tyson zdał sobie sprawę, że szpital trzeszczy, sąsiadujące z nim drzewo lekowe zajęło się ogniem i zaczęło rozpadać. Przez płonące okna wydobywał się niezdrowy zapach - lekarstw, nieczystości, ciał.

Mężczyźni bez rozkazu uformowali kordon wokół prostokątnego budynku. Wykazywali się inicjatywą, pomyślał, instynktowne posłuszeństwo bez zwerbalizowanego rozkazu, zrozumienie, że horror, który rozegrał się w szpitalu, nie może wyjść na zewnątrz.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać, była to młoda kobieta w białej koszuli, niosąca w ramionach dziecko. Niemowlę szczelnie owinięto w coś, co przypominało oliwkowy ręcznik wojskowy. Kobieta delikatnie kładła zawiniątko w splątanych gałęziach, tuż przy wejściu, kiedy strzał karabinowy odrzucił ją z powrotem do środka.

Ben spojrzał, skąd dochodził strzał, i zobaczył, że Richard Farley ładuje kolejny magazynek do pistoletu automatycznego.

W przeszklonych drzwiach pierwszego piętra, po wschodniej stronie budynku pojawiła się następna postać. Tyson zobaczył, że to nagi chłopiec. Mógł mieć jakieś dwanaście lat, miał amputowaną nogę. Chłopak zawahał się, szybko spojrzał za siebie, potem zamknął oczy i przeskoczył przez balustradę. Spadł do ogródka od strony kuchni, lądując na kolanie i kikucie nogi. Kiedy z wysiłkiem zaczął się podnosić, zamachał białą chusteczką. Ben usłyszał głuchy trzask granatu i zobaczył, jak pierś chłopca eksploduje wyrzucając fontanny krwi.

Nagle przez jedno z okien wyskoczył mężczyzna z zabandażowaną głową. Na bosaka i tylko w spodniach pidżamy rzucił się biegiem przez dziedziniec szpitalny. Przebiegł jakieś dwadzieścia metrów od Tysona, który zrozumiał, że temu może naprawdę udać się przedrzeć przez kordon. Ale kiedy dotarł do skraju placu, Hernando Beltran zaczął strzelać do niego z szaleńczą zaciekłością. Mężczyzna był najwyraźniej żołnierzem, ponieważ poruszał się uskakując i unikając wybuchów. Beltran zaklął po hiszpańsku. Mężczyzna dotarł do żywopłotu i skoczył, ale nagle ciało załamało się w momencie, kiedy trafiła go kula. Opadł na żywopłot, gdzie zastygł z dłońmi zaciśniętymi na liściach.

Ben odwrócił się ponownie w stronę szpitala. Zauważył jakiś ruch na pochyłym dachu. Sześcioro ludzi wydobyło się po kolei przez okienko dymnika, które służyło jako otwór wentylacyjny dla poddasza. Teraz przywarli do czerwonych płytek terakoty dachu. Jeden z mężczyzn w białych spodniach i koszuli, standardowym ubraniu pracowników szpitala, przesuwiał się ostrożnie w kierunku zwieszających się nad dachem gałęzi wielkiego bananowca. Złapał się konaru i przesuwiał wzdłuż niego do pnia, ginąc w gęstwinie. Tuż za nim ruszyła wietnamska pielęgniarka. Tyson przypatrywał im się miotany sprzecznymi uczuciami. Chciał, by przeżyli, ale wiedział, że jeśli tak się stanie, na pewno skontaktują się z władzami wietnamskimi lub amerykańskimi.

Już widział przyszłość swego plutonu. Zostaliby natychmiast odesłani do bazy. W chwili

gdy wysiedliby z helikopterów, otoczyłaby ich żandarmeria, rozbroiła i zaprowadziła co do jednego za palisadę. Widział raz coś takiego w obozie Evans, choć nigdy nie dowiedział się, jakie było przewinienie tamtych żołnierzy. Ale wyobrazenie sobie dumnej jednostki z rękami na karkach, otrzymującej rozkaz odwrócenia się od tych picusiów żandarmów, wstrząsnęła nim.

Wpatrywał się w bananowiec. Ta droga naprawę nadawała się do ucieczki. Poczł ulgę, bo właśnie tamtędy, wcześniej, zanim jeszcze jego ludzie wyszli z płonącego szpitala i otoczyli go, wydołała się Teresa.

- Co pan widzi, poruczniku? - zapytał Paul Sadowski.

Tyson odwrócił wzrok od drzewa i nic nie odpowiedział.

Oczy Sadowskiego zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- A niech to! O Chryste! - i zawołał do Beltrana: Dawaj ognia w to drzewo!

Beltran podniósł karabin maszynowy M-60 i strzelając z biodra, długimi seriami, raził w bananowiec, w tym samym czasie Brontman ładował pas amunicją z metalowego pudełka. Drugi karabin maszynowy obsługiwany przez Michaela DeTonęa i Petera Santosa zaczął razić w pochyły dach. Czerwone dachówki pękały i odpadały. Ben zobaczył, co było ich celem: częściowo ukryte przez gałęzie drzewa dwie pacjentki w szpitalnych koszulach, stary człowiek i mała dziewczynka z jaskrawoczerwonymi, dokładnie w kolorze dachu, poparzonymi nogami. Karabin maszynowy DeTonęa dosięgnął ich bardzo szybko i cztery ciała, jedno po drugim, stoczyły się z dachu i spadły na ziemię. Umierali do wtóru szczęku karabinów walących najpierw po dachu, a potem po krzakach, w które spadli. Żołnierze piechoty zbyt wiele razy widzieli, jak ci, których uznali za nieżywych, wstają nagle i uciekają albo strzelają do zbliżających się nieprzyjaciół. Mówiło się nawet: „Nic są martwi, dopóki nie są naprawdę martwi.

Beltran wciąż celował w kierunku drzewa, po chwili dołączyli do niego DeTonęa, a także inni strzelając z M-16 i małych karabinków. Bananowiec tracił gałęzie i liście, trzęsąc się gwałtownie. Pielęgniarka spadła z drzewa jako pierwsza. Leżała na ziemi po dalszej stronie szpitala, gdzie Tyson nie mógł już jej widzieć. Harold Simcox ruszył biegiem w kierunku drzew. Ben zobaczył, jak podnosi karabin i opróżnia cały magazynek.

Powrócił wzrokiem na czubek drzewa. Krył się tam pomiędzy liśćmi człowiek w białym ubraniu. Benowi wydawało się, że jest on ranny, widział czerwone plamy na białym materiale, ale mimo to trzymał się kurczowo drzewa. Lee Walker wystrzelił granat, który uderzył w gałąź ponad ręką mężczyzny. Tyson usłyszał długi, żałobny krzyk w momencie, kiedy mężczyzna puścił drzewo i spadał pomiędzy gałęziami. Znowu Simcox, który ciągle jeszcze stał pod drzewem, dokończył robotę.

Teraz już przez jakiś czas nie było nic słyhać poza deszczem i trzeszczeniem ognia. Nikt

nie pojawiał się ani w drzwiach, ani w oknach szpitala. Ben spostrzegł, że jego ludzie patrzą na niego, czekając, aż podejmie decyzję. W szpitalu odebrali mu karabin i automat, czterdziestkępiątkę. Bez broni, z którą nie rozstawał się w ciągu ostatniego roku nawet w nocy, czuł się jak nagi.

Tuż obok stał Kelly, z radiotelefonem na plecach i słuchawką w rękę, którą wyciągał w stronę Tysona. Kapitan Browder. Ben sięgnął po radiotelefon. Nacisnął guzik połączenia i odezwał się:

- Tutaj Mustang Jeden-Sześć. Odbiór.

Doszedł go słaby głos Browdera.

- Zrozumiałem. Podaj mi raport i położenie - powiedział.

- Zrozumiałem. Sytuacja... atak snajpera. Wioska An Ninh Ha. Obszar Yankee Delta, siedem-dwa, pięć; dwa-jeden, sześć. Zrozumiałeś?

Kapitan powtórzył współrzędne.

- Potrzebujecie pomocy? - zapytał. - Artylerii czy samolotów?

- Nie. Niewielki ostrzał. W sąsiedztwie murowany budynek. Sprawdzimy go.

- Zrozumiałem. Nie mogłem was od jakiegoś czasu namierzyć przez radio. Myślałem, że albo wszyscy posnęliście, albo już nie żyjecie.

Tyson oblizał wargi.

- Nic się nie działo - powtórzył.

- O ataku snajpera należało zameldować. Czy wciąż trwa wymiana ognia?

- Podchodzimy bliżej.

- W porządku. Uważajcie i informujcie mnie. Czy wszystko w porządku?

Bena zaskoczyło to pytanie.

- W porządku - odpowiedział. - Jesteśmy tylko zmęczeni.

Przez chwilę słychać tylko było trzaski w radiu.

- Zrozumiałem - doszedł go wreszcie głos Browdera. - Zajmijcie się tym snajperem i kierujcie się w stronę Hue.

- Zrozumiałem. Koniec połączenia.

Tyson oddał radiotelefon Kelly'emu. Rozejrzył się po otaczających go ludziach, ale nie okazał lęku. Przeniósł wzrok na szpital, który teraz już cały płonął, z każdego okna buchały pomarańczowe płomienie.

Żołnierze z plutonu zgromadzili się na otwartym placu przed szpitalem. Wiedzieli, że w środku nie został nikt żywy. Wszyscy milczeli, słychać było tylko deszcz spływający po liściach palm, deszcz padający na plac, deszcz szeleszczący w kałużach i dzwoniący o hełmy. Deszcz coraz bardziej rześysty, zagłuszający szum ognia trawiącego szpital i chrzęst butów.

Nagły hałas spowodował, że wszyscy raptownie się odwrócili, a kilku mężczyzn opadło do pozycji strzeleckiej, celując w stronę szpitala. Ekspłodowały rozgrzane płytki dachowe, rozrzucając gorące grudki gliny po placu. Żołnierze cofnęli się. Czekali. Wreszcie dach załamał się i zapadł, ściągając za sobą pierwsze piętro aż na sam dół, pozostawiając tylko betonową skorupę budynku jak ogromny piec. Jak na długo oczekiwany sygnał żołnierze pierwszego plutonu zaczęli zbierać swoje wyposażenie polowe i amunicję.

Podzielili się na dziesiątkowane oddziały, gotowi do wymarszu. Niektórzy spoglądali na Bena, z nawyku oczekując rozkazu czy sygnału, choć porucznik Tyson wyraźnie nie był już ich dowódcą. Kelly wyciągnął zza pasa czterdziestkępiątkę - pistolet Bena - i wręczył go porucznikowi, który włożył broń do kabury. Nikt nie próbował mu jej odebrać.

- Niech pan im każe iść - powiedział cicho radiotelegrafista.

Tyson nie zareagował.

- Idźmy stąd, do cholery - Kelly powiedział nagłaco.

Ben rozejrzył się po placu, przebiegł wzrokiem po prześlicznych domkach i schludnych ogrodach stanowiących granicę otwartej przestrzeni. Zastanawiał się, gdzie mogła się schować i czy przyglądała im się teraz z ukrycia. W tej chwili zdał sobie sprawę, że Teresa może zdać raport na temat tego, co się stało. Mogli być również inni świadkowie w tej z pozoru opuszczonej i martwej wiosce.

Radiotelegrafista jakby słyszał przynajmniej część jego myśli.

- Niech się pan nie martwi o wieśniaków - powiedział. - Nie mogą być pewni tego, co się tu dzieje. A ludzie stamtąd - głową wskazał szpital - nic nie powiedzą. Odejdźmy z tego miejsca. Zanim zjawi się jakiś helikopter przysłany przez dowództwo z pytaniem, co tu się dzieje. - Przez chwilę przyglądał się Tysonowi, wreszcie podniósł dłoń i zawołał: - Zbierać się. Ruszamy! - Opuścił rękę i wskazał na wschód w kierunku szerokiej alei prowadzącej przez wioskę. Trącił łokciem Bena i pluton ruszył. - Piekielna walka? Co? - Odezwał się głośno do porucznika.

Tyson powiódł wzrokiem wzdłuż maszerujących mężczyzn i zobaczył, że Brontman i Simcox niosą Boba Moody'ego na noszach, które musieli zabrać ze szpitala. Moody palił papierosa i mówił coś z ożywieniem, tak zawsze zachowywali się lekko ranni, kiedy zrozumieli, co mogło im się przydarzyć i co ich ominęło.

Kawałek dalej Holzman i Walker szli, niosąc na ramionach bambusowy kij, na którym zwisało zielono-szare poncho, a w nim ułożone w pozycji embrionalnej ciało Arthura Petersona. Umarł wtedy, gdy jego pluton zabijał lekarzy i pielęgniarki, którzy mogli go uratować.

Za nimi ugiął się pod ciężarem Richard Farley. Rozpięty na stelażu w miejscu plecaka wisiał jak jeleń Larry Cane. Jego głowa podskakiwała na lewym ramieniu Farleya, twarz przykryta była, zgodnie z procedurą, wielką, oliwkową chustą, która jednak zsunęła się i Ben zobaczył twarz Cane'a z wciąż otwartym jednym okiem. Ktoś wytarł krew, która wypłynęła z jego ust i nosa. Ale policzek był nadal zabrudzony, a w otwartych ustach widać było czerwone zęby.

Tyson wpatrywał się w bladą twarz, kiedy Farley zbliżył się do niego. Potem przeniósł wzrok na twarz Richarda, jakby zestawiając ją z martwym obliczem jego przyjaciela. Ich wzrok spotkał się. Nie spuścili oczu. Farley poruszał ustami, ale Ben nic nie słyszał. Wyciągnął rękę i nasunął zdecydowanym gestem chustkę na twarz Cane'a, poczuł pod palcami chłodną, lepką skórę.

Odwrócił się i ruszył za plutonem. Przynajmniej mieli dwóch poległych w walce na udokumentowanie historii o bitwie. Prawdopodobnie nikt nie dopatrzy się, że Cane został zastrzelony z bliskiej odległości amerykańską czterdziestkąpiątką.

- Gdzie idziemy? - zapytał Kelly.

- Do piekła - odparł Tyson.

Radiotelegrafista kiwnął głową.

- W takim razie niech pan wyciągnie mapę, poruczniku, i prowadzi nas.

- Ben? Czy ty mnie słuchasz?

Wzrok Tysona zogniskował się na fotografii szpitala. Bananowiec rósł nadal, teraz jeszcze większy, opierał się konarami o resztki desek, tam gdzie niegdyś był dach. Oddał Corvie stronę gazety.

- Nie poznają tego miejsca.

- Rząd Hanoi twierdzi, że to jest właśnie Szpital Miłosierdzia. Albo raczej był.

- Komuniści kłamią. Każdy to wie.

- Ciekaw jestem - mówił dalej adwokat - czy zespół ekspertów mógłby określić po śladach kul, jakiej broni tam używano. Chodzi mi o to, że inaczej wygląda strzelanina w przypadku masakry, a inaczej w przypadku bitwy.

Ben nie odpowiedział.

- Rząd Hanoi wydobywa także gruz zawałający parter, chociaż ja osobiście wyobrażam sobie, że ciała musiały zostać zabrane po ofensywie Tet.

Tyson zapalił papierosa.

- Cokolwiek tam zostało, użyto tego jako nawozu dla pobliskich wiosek - powiedział Vince - Robaki, sępy i padlinożercy zjedli resztę. Choć pod betonem mogło coś pozostać i to byłby pierwszy materialny dowód.

- Czy powinno mnie to obchodzić? Artykuł w „Timesie” nic nie wspomina, by ktokolwiek w naszym rządzie przyjął zaproszenie.

- Wyszło ono - zauważył Ben - od ludzi, którzy wymordowali tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci po drugiej stronie miasta. Jak im teraz nie wstyd? Chciałbym zabrać międzynarodową komisję do Strawberry Patch i pokazać im masowe groby.

- To w ten sposób nie działa, Ben - stwierdził ironicznie Corva. - Okrucieństwa Amerykanów są bardziej okrutne niż okrucieństwa komunistów. Wiesz o tym. - I dodał: - W każdym razie całe to zamieszanie nie uszczęśliwia naszego rządu. - Głęboko westchnął. - A niech to. Zawsze wiedziałem, że to nas może postawić w złym świetle. Dlaczego zawsze robimy to sami sobie?

- Ponieważ - stwierdził Tyson - robimy to lepiej, niż ktokolwiek zrobiłby za nas.

Adwokat potrząsnął głową, jakby myślami był gdzie indziej.

- Przypuszczam, że Biały Dom odpowie Wietnamowi Północnemu, żeby wsadzili sobie swoje zaproszenie w dupę. Oczywiście dyplomatycznie.

- Ale inne kraje wyślą ludzi do Hue.

- Tak - Vince pomasaował dolną wargę - i oni mogą coś odkryć. Ale ja już poinformowałem Ministerstwo Sprawiedliwości, że jeśli im się wydaje, że przed amerykańskim sądem przedstawią jakiegokolwiek dowody zebrane przez obcokrajowców w

komunistycznym kraju, niech się od razu przygotują na trwającą dziesięć lat prawną batalię, nie mówiąc już o tym, że ośmieszą się publicznie. Myślę, że zrozumieli. Zobaczmy.

- Pokładasz bardzo dużo wiary w amerykańskiej opinii publicznej - stwierdził Ben.

- Polecałbym ci to samo. Niewiele możemy poradzić na negatywne nastawienie świata. Ale czy widziałeś te badania opinii publicznej? To po prostu niezwykle, siedemdziesiąt osiem procent amerykańskiej opinii publicznej uważa, że cię wrabiają.

- Ta statystyka gdzieś mi umknęła.

- Mam agencję, która przysyła mi każdy skrawek papieru, na którym figuruje twoje nazwisko.

- Dobrze.

- Stałeś się czymś w rodzaju ogniskowej, Ben, w której się skupia wiele uczuć zarówno tutaj, jak i za granicą.

- To nie moja wina. - Tyson wzruszył ramionami. - Najchętniej znalazłbym się poza światłami reflektorów.

- Podobnie jak sąd wojenny nad Dreyfusem - dodał Corva. - Twoja sprawa postrzegana jest jako beatyfikacyjna dla ciebie i ludzi pierwszego plutonu Kompanii Alfa.

- Naprawdę?

Adwokat wyciągnął kartkę papieru ze swojej teczki.

- Dosyć tego gadania o międzynarodowej dyplomacji. Przejdźmy do ważniejszych spraw. Uciąłem sobie w zeszłym tygodniu miłą pogawędkę z major Harper. U mnie w biurze.

- Ach tak - powiedział zupełnie obojętnie Tyson.

- Niezła sztuka, Ben.

- Nie zauważyłem.

- No cóż, ja tak. Ale ona i tak jest dla mnie za wysoka. Właściwie to ty jesteś dla niej za niski. Czego chciała?

- Och, tylko wprowadzić mnie w parę spraw. Przede wszystkim FBI zlokalizowało Hernanda Beltrana, Lee Walkera i Louisa Kalane'a.

Ben milczał.

- To była szybka robota - Vince ciągnął dalej. - Idę o zakład, że przez cały czas wiedzieli, gdzie oni są. Ale Ministerstwo Sprawiedliwości wolało się najpierw upewnić, że staniesz przed sądem, zanim się z tym zdradziło.

- Nie mogłem pojąć, dlaczego odszukanie kilku ludzi zabiera im tak dużo czasu - powiedział Tyson,

- Rząd nie opublikował nazwisk żołnierzy z twojego plutonu, ponieważ ci ludzie staliby się świetnym tematem dla dziennikarzy.

Ben kiwnął głową z zastanowieniem.

- Ale wiesz, że Karen Harper chciała ogłosić publiczny apel, żeby się zgłosili.

- Karen Harper pracowała w próżni. Na każdą godzinę, którą ona poświęcała sprawie, przypadają setki godzin, które spędzili nad nią biurokraci, ludzie z Izby Wojskowej, prawnicy z Ministerstwa Sprawiedliwości, agenci FBI. Ona była tylko widocznym czubkiem góry lodowej, o której nawet sama nie miała pojęcia. Ale przypuszczam, że teraz już wie. To nie ma już znaczenia. Chodzi o to, że poproszono ją, by skontaktowała się z Beltranem, Walkerem i Kalane'em telefonicznie. I zrobiła to.

Tyson podniósł się i podszedł do okna. Wpatrywał się w światła samochodów sunących mostem.

- Harper zameldowała, że z każdym z tych mężczyzn odbyła krótką telefoniczną rozmowę. Beltran i Kalane przekazali jej nazwiska swoich adwokatów. Walker nie miał przedstawiciela prawnego. Jest mechanikiem gdzieś poza Macon, w Georgii. W każdym razie prawnicy reprezentujący Beltrana i Kalane'a stwierdzili, że ich klienci nie będą składać żadnych oświadczeń, chyba że zostaną formalnie wezwani do sądu. Beltran jest biznesmenem w Miami. Kalane związał się w jakiś sposób z przemysłem turystycznym w Honolulu. Harper zapytała tych dwóch adwokatów, czy ewentualne zeznania ich klientów postawią ich po stronie oskarżenia czy obrony.

Ben zapalił papierosa i nadal patrzył w okno.

- Harper przekazała mi, że będą twoimi świadkami.

Tyson wydmuchał dym.

- Z tego wniosek - stwierdził Corva - że twoi żołnierze będą w stosunku do ciebie lojalni, poruczniku Tyson.

- Ciągle wierzą, Vince - powiedział Ben.

- Właśnie. Ale coś ci powiem. Gdybym to ja był adwokatem jednego z nich, poradziłbym mu przeskoczyć na stronę rządową.

- Dlaczego? - Tyson odwrócił się od okna.

- No więc, oni nie zostaną oskarżeni, nawet jeśliby znaleźli się naoczni świadkowie i zdali szczegółową relację z masakry. Z drugiej strony, jeżeli opowiedzą odmienną wersję incydentu w szpitalu, a ty zostaniesz uznany za winnego, mogą zostać oskarżeni o krzywoprzysięstwo.

- Jestem pewien, że adwokat ich przed tym przestrzegł - stwierdził Ben.

- Na pewno. A mimo to chcą zeznawać na twoją korzyść, Ben. Jestem głęboko wzruszony. Ale nie za głęboko.

- Dlaczego?

- Dlatego, że gdyby ta sprawa stała przed sądem w 1968, a w każdym razie zanim zostali honorowo zwolnieni ze służby, wtedy mogli być oskarżeni o morderstwo, ale teraz już nie. A także dlatego, że niezależnie od tego, czy mają immunitet, czy nie, nie chcą przecież stanąć przed sądem i przyznać się publicznie do popełnienia masowej zbrodni. Bardzo bym chciał wierzyć, że stoją za tobą jak mur kierowani tylko lojalnością, ale wiem, że mają także inne powody.

- Być może, Vince. Być może. Ale nie do nas należy osądzanie ich motywów.

- Czy ty poczuwasz się do lojalności w stosunku do nich? - Adwokat wstał.

- Dlaczego pytasz?

- Czy postawiony na miejscu dla świadków broniłbyś ich reputacji?

- Przypuszczam, że tak. Ale moje uczucia do nich są bardziej ambiwalentne. Zrobili coś, za co ja teraz zbieram baty, co sam zresztą zauważyłeś.

- To twoja wina, Ben. Rozumiem, dlaczego nie chciałeś ich oskarżać bezpośrednio po incydencie. Ale potem... kiedy byłeś już bezpieczny w szpitalu-statku i miałeś czas się zastanowić - czy chodziło o coś jeszcze poza lojalnością?

- Chyba jednak lojalność. Wojsko kultywuje koncepcję lojalności między oficerem a jego ludźmi. Ale kiedy przydarzy się coś takiego jak nasza sprawa, ta sama lojalność może spowodować pomyłkę sądową.

- Wiem o tym.

- Kiedy zostałem ranny - ciągnął Tyson - wszyscy pożegnali się ze mną. Naprawdę było

mi przykro, że odjeżdżam. Niewielka sprawa, ale gdy tak leżysz w szpitalu z kartką papieru w ręce i zastanawiasz się, czy napisać miłosny list do dziewczyny, czy donos na swoich ludzi, urasta ona do wielkich rozmiarów.

- Rozumiem. - Corva znowu napełnił kieliszki i podał jeden Benowi. - Kiedy pytałem o lojalność, chciałem tylko powiedzieć, że jeśli zostaniesz skazany, będzie dla ciebie bardzo ważne, byś zeznał prawdę i osłabił wyrok przed głosowaniem ławy. Prawdziwe zeznanie - przynajmniej na tyle, na ile jakakolwiek opowieść wojenna może być prawdziwa - obciążą panów: Sadowskiego, Scorella, Beltrana, Walkera i Kalane'a. I może spowodować wezwanie ich przed sąd federalny pod zarzutem krzywoprzysięstwa. A krzywoprzysięstwo to poważne przestępstwo. - Spojrzał na Tysona.

- Może byśmy przez to jednak przebrnęli, jeśli zaszliśmy tak daleko.

Ben odstawił swój kieliszek.

- Opowiedz mi o Lee Walkerze.

- Dobrze. - Adwokat wziął ze stolika kartkę papieru i przyjrzał się jej uważnie. - Karen... major Harper napisała w raporcie, że oświadczenie wstępne, jakie złożył jej pan Walker, wskazuje, iż będzie on świadkiem obrony.

Tyson skinął głową. Z jakiegoś powodu obawiał się zeznań Walkera.

- Inaczej niż w przypadku Sadowskiego i Scorella, miała obowiązek zakończyć rozmowę z Walkerem, jak tylko ustaliła, że jest on świadkiem obrony, ponieważ w tej chwili został już postawiony w stan oskarżenia i masz adwokata. Tak więc major Harper przekazała pana Walkera mnie. Rozmawiałem z nim telefonicznie. Jak go zapamiętałeś?

Ben dopił wino i zauważył, że butelka jest już prawie pusta. Odstawił kieliszek i zapalił kolejnego papierosa.

- Czy ja wiem... to prosty człowiek. Uczciwy. Trzymał się z daleka od kłopotów. Czarny wieśniak z Południa. Wiesz, o co mi chodzi.

- Był trochę nerwowy - powiedział Vince. - Powtarzał, że ty nic złego nie zrobiłeś.

- Postaw go na miejscu dla świadków.

- To jest właśnie problem. - Corva uśmiechnął się. - Którego z nich wezwać na świadka?

- Wszystkich.

- Nie, mówiłem ci, że tego zrobić nie mogę. To by wyglądało, jakby powtarzali słowo w

słowo za tym samym suflerem. Muszę ocenić nie tylko, który z nich zrobi najlepsze wrażenie, ale również przewidzieć, który zniesie krzyżowy ogień pytań. To bardzo ważne.

- Nie pojechałeś jeszcze na spotkanie z Sadowskim ani ze Scorellem - stwierdził Tyson.

- Nie, jeszcze nie.

- Słyszałem o detektywach, którzy rozwiązują zagadki nie ruszając się z fotela. Teraz spotkałem prawnika, który stosuje taką samą metodę - powiedział Ben z nutą sarkazmu w głosie.

- Istnieje termin „przepracowanie sprawy”. - Adwokat przyglądał się spokojnie Tysonowi. - Widziałem takie przypadki.

- Dobra, to twoja robota. - Ben nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Właśnie - zgodził się Vince. - Dochodząc do wniosków, major Harper przypomniła mi, że ani Daniel Kelly, ani Michael DeTonqa nie zostali odnalezieni. Siostra Teresa zresztą też nie.

Tyson skinął głową. Żaluzje zadrżały w nagłym porywie wiatru znad zatoki.

- Ochładza się - odezwał się z nutą zastanowienia w głosie. - To było gorące lato. Letnie miesiące są jak słupy milowe naszej pamięci. To lato będę pamiętał długo. Nie zapomniałem do dziś lata w 1966, tuż przed moim zaciągnięciem. Skończyłem studia i zrobiłem sobie całe wakacje wolne. Był to jeden z takich doskonałych momentów, które zdarzają nam się w życiu: żadnych obowiązków, żadnych nacisków, poczucie, że dokonałem czegoś, byłem przecież prosto po egzaminach końcowych, i szansa na nowe przygody. - Spojrzał na Corwę. - W mojej sytuacji chętnie powraca się myślą do przeszłości. Ale niespecjalnie dobrze to wpływa na samopoczucie, prawda?-

- Na pewno nie zaszkodzi. Jeżeli masz zakątki w mózgu, gdzie się możesz schować, skryj się tam na trochę.

Ben wrócił na miejsce i wlał sobie do kieliszka resztkę alkoholu. Adwokat przewracał papiery.

- Zrobiła na mnie wrażenie - powiedział. Spojrzał na Tysona. - Na tobie też. A ty zrobiłeś wrażenie na niej.

- Jeśli uda jej się wydostać z wojska przed moją rozprawą, może zwolnię cię, a zatrudnię ją.

- No cóż - Vince skończył swój trunek - ona jeszcze przez długi czas nie odczepi się od wojska. Wolą mieć ją na oku.

Ben poszedł do kuchni i po chwili wrócił z butelką porto.

- Prawdziwe portugalskie. Trzydzieści pięć zielonych butelka. Spłuczemy trochę tamten rozpuszczalnik. - Nalał do kieliszka Corvy aż po sam brzeg, a potem sobie.

Wypili ten i jeszcze jeden kieliszek. Adwokat mamrotał coś, że powinien już jechać. Beknął i powiedział:

- Poza tym Harper nie podjęłaby się twojej obrony, poruczniku...
- Odwal się z tym porucznikiem.
- Ponieważ wierzy, że jesteś winny.

Tyson osunął się w fotel i nalał sobie znowu do pełna.

- A ty?

- Ja nie wziąłbym tej sprawy, gdybym wierzył, że ty powinieneś zapłacić za to, co się tam wydarzyło. Ja byłem tam, chłopie, i nie chciałem płacić jeszcze raz.

- Nie powiedziałaś, że uważasz mnie za niewinnego.

Vince potrząsnął kilka razy głową.

- Oczywiście, że tego nie powiedziałem. Myślę, że jesteś winny. Powiedziałem tylko, że nie powinieneś za to płacić.

Ben pochylił się do przodu z oczami utkwionymi w Corvę.

- Powiedziałeś, że ty nie powinieneś znowu za to płacić. Czy ty jesteś oskarżony? Co ty tam zrobiłeś?

Adwokat wstał, ale nie odszedł. Pochylił się lekko, wpatrując w coś bardzo oddalonego.

- Coś bardzo podobnego do tego, co ty zrobiłeś, Ben - powiedział wreszcie. - Och, nie była to żadna wielka masakra, ale też nie incydent.

- Opowiedz mi - zaproponował Tyson wiedziony perwersyjną ciekawością. - Picard mi opowiedział. Teraz twoja kolej.

- Picard mnie gównie obchodzi. - Wydawało się, że Vince zapomniał, co miał powiedzieć, ale nagle wypalił: - Facet obsługujący karabin maszynowy ściął trzech żołnierzy nieprzyjaciela, kiedy zbliżali się do nas z białą flagą. Było mi po tym przez tydzień niedobrze. Troje dzieciaków Mieli już dość i chcieli się poddać. Ściął ich, jakby byli niczym... niczym. - Spojrzał na Tysona. - Miałem strzelca wyborowego, Ben, z takim fikuśnym karabinem. Lubił sprawdzać jego celność, strzelając do wieśniaków biegnących polami do wioski, by zdążyć przed godziną policyjną. Mówił, że jego zegarek się spieszy. Łapiesz? Jego zegarek się spieszył. Dopiero za czwartym razem udało mi się go powstrzymać. Innym razem zbliżaliśmy się do schronu bombowego, gdzie ukryło się kilkoro mieszkańców wioski i...

- Dobra! - Tyson wstał. - Wystarczy, Vince. Na miłość boską, wystarczy.

Obaj stali przez chwilę w milczeniu. Potem Corva podszedł do Bena i objął go.

Tyson zeszywniał, nie wiedział, jak się ma zachować. Nie obejmował mężczyzny ani nie był przez mężczyznę obejmowany od... Wietnamu. Poklepał Corvę po plecach.

Adwokat cofnął się.

- Przepraszam... wiesz, jacy są ci Włosi.

- Och, wszystko w porządku - Ben odchrząknął. - Mnie to też... rusza.

- I są to tylko te przewiny, które można do dziś zaskarżyć - morderstwa. A były też i inne - pobicia, seksualne... no, przecież wiesz. - Spojrzał na Tysona. - Dlaczego pozwoliłem mu na to trzy razy, zanim go powstrzymałem, Ben? Dlaczego?

- Ponieważ za pierwszym i drugim razem nie wierzyłeś w to, co widzisz - odparł Tyson.

- Tak - przytaknął szybko Corva. - Tak właśnie było. Sądzę...

- Czy to już wszystko? - Ben potarł zmęczonym gestem twarz.

Adwokat zaczął pakować swoje papiery do teczeki.

- Jest poniedziałek... sprawa z artykułu trzydziestego drugiego odbędzie się w piątek rano. Chyba musimy porozmawiać o tym następnym razem. Zobaczymy, co da się zrobić, żebyś nie został oskarżony.

- Mogę być wolnym człowiekiem w piątek po południu - powiedział Tyson.

- Może tak się stać. - Vince kiwnął głową.

- A wtedy prawdopodobnie zwolnią mnie ze służby w następnym tygodniu.

- Prawdopodobnie.

- Tyle tylko, że tak się nie stanie.

- Pewnie nie.

Tyson widział, że Corva jest równocześnie zasmucony i pijany Zapanowało milczenie.

Adwokat wziął swoją teczkę i podszedł do drzwi.

- Postaram się wyrobić ci przepustkę - powiedział - żebyś mógł mnie odwiedzić jutro w mieście. Ale obawiam się, że pułkownik Hill trzęsie portkami, że uciekniesz i jego kariera zostanie zniszczona. Zresztą ma rację.

- Nie uciekam.

- Wiem. Ale oni cię nie znają. Przyjadę jutro przed południem. Będziesz?

- Zadzwoń do mojej sekretarki. - Ben zmusił się do uśmiechu. - Poda ci rozkład moich porannych spotkań.

- Dobra. - Corva otworzył drzwi i odetchnął głęboko. - Złamałem moje zasady. Dotyczące opowieści wojennych. Przepraszam.

- Wszystko w porządku.

- To już więcej się nie zdarzy. - Stał na schodku. - Pocałuj żonę na pożegnanie, kiedy będzie jechała do pracy. I syna pocałuj również.

- Możesz prowadzić?

- Nie, wezmę taksówkę. - Corva szedł chwiejnie chodnikiem.

Tyson odprowadził go wzrokiem aż do głównej bramy.

- Boże, czy wszyscy mamy na rękach krew? - powiedział cicho do siebie. - Czy ktokolwiek wrócił stamtąd z nie splamionym honorem?

Corva, pomyślał, jak tylu innych, tylko na pozór wydaje się nie draśnięty.

Rozdział 38

Rzęsisty deszcz uderzał w okno. Tyson odrzucił poranną gazetę na bok i włączył telewizor, a potem go wyłączył. Nalał sobie kolejną kawę, ale nie wypił jej, tylko zapalił papierosa, którego też zaraz zgasił.

- A niech to!

Zapatrzył się w zbitą szybę, wdychając chłodne, wilgotne powietrze wdzierające się do pokoju. Przemierzył pokój: pięć kroków, obrót, pięć kroków. Opadł na podłogę i zrobił trzydzieści pompek. Wstał i wytarł twarz rękawem dresu. Dres był przepocony. Ben zastanawiał się, czy ma prawo sam pójść do pralni, czy powinien wysłać tam syna po powrocie ze szkoły albo żonę po pracy.

Jego wzrok zatrzymał się na wazoniku stojącym na telewizorze, w którym stała jedna, samotna róża. Pomysł ustawienia kwiatu w tym ponurym miejscu zirytował go. Czuł, jak ogarnia go gniew na myśl, że Marcy stara się zamienić tymczasową kwaterę w dom. Sięgnął po wazonik i ruszył z nim do drzwi. W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Tyson stanął bez ruchu, zduszając chęć podbiegnięcia do drzwi. To prawdopodobnie był Corva,

może sobie przez chwilę postać na deszczu. Dzwonek zabrzmiał znowu. Ben odczekał pełną minutę, potem dopiero otworzył drzwi.

Vincent Corva pośpiesznie schronił się do środka, składając parasol. Spojrzał na wazonik z różą w rękach Tysona.

- Dla mnie?

Ben otworzył drzwi i cisnął wazonik na trawnik.

- Okropna pogoda jak na pierwszy dzień szkoły - stwierdził adwokat. - Musiałem odprowadzić dzieciaki na przystanek szkolny trzymając je na muszce. - Ściągnął z siebie czarny płaszcz od deszczu. - Przypomina mi to monsun, w którym kiedyś maszerowałem przez dwa miesiące. Czy na północy mieliście monsuny?

- Nie pamiętam. - Tyson sięgnął po płaszcz Corvy i powiesił go w niewielkiej wnęce na ubrania.

- Wszystko tu jest małe - zauważył Vince. - To miejsce jest tak ciasne, że trzeba wyjść na zewnątrz, żeby zmienić zdanie. - Skierował się do salonu.

- Jest dwunasta. - Ben spojrzął na zegarek. - Co cię zatrzymało?

Corva odłożył teczkę na stolik.

- Ruch. Powiedziałem przed dwunastą.

- Jest po. Pięć po dwunastej.

- Twoja sekretarka powiedziała, że jesteś wolny w czasie lunchu. - Spojrzał na Tysona. - Odbija ci?

Ben milczał.

Adwokat otworzył teczkę i wyciągnął z niej brązową papierową torbę.

- Moja żona zrobiła kanapki. Provolone i caponata. Chciałbym, żebyś tego spróbował.

- Nie jestem głodny. Jestem znudzony. Przy takiej pogodzie nawet nie mogę pójść na spacer.

- Tak czy siak musisz pójść do budynku dowództwa i zameldować się. To miła odmiana. - Vince zaczął rozwijać kanapki.

- Pieprzę dowództwo. Nie meldowałem się od trzech dni.

- Lepiej nie łam zasad aresztu - Corva spojrział na niego - bo nałożą ci ostry reżim. Co oznacza, że cię zamkną. Potrzebują tylko pretekstu.

- W więzieniu przynajmniej są ludzie, z którymi można pogadać.

Adwokat wzruszył ramionami. Zauważył dzbanek z kawą i czystą filiżankę na końcu stołu. Nalał sobie.

- Chciałbym, żebyś się zameldował, jak skończymy rozmawiać.

- Pieprzyć ich. Nie wsadzą mnie do więzienia i dobrze o tym wiesz.

- Czemu nie?

- Ponieważ drżą o swój wizerunek. Oto czemu.

- Nie liczyłbym na to tak bardzo. - Vince wlał śmietankę do kawy. - Poza tym nie mam najmniejszej ochoty jeździć do Fortu Dix, jeśli tam wylądujesz. A to ponure miejsce, chłopie. - Usiadł w fotelu i otworzył teczkę. - Czy pocałowałaś Marcy i Davida dziś rano?

- Nie. - Ben zapalił papierosa. - Nikt nie przejawiał chęci do pocałunków. David był naburmuszony. Marcy usiłowała ukryć zadowolenie, że wraca do pracy. Prawie wyfrunęła stąd. Poza tym spałem na kanapie. Wszystko mnie boli.

- O, znam to.

- Co mam niby zrobić, jeśli ona wybiera się w podróż służbową? Zostaję tutaj sam z Davidem. I nawet nie mogę z dzieciakiem nigdzie pójść. - Podniósł metalową popielniczkę wypełnioną niedopałkami i cisnął nią o ścianę.

Corva udawał, że nic nie zauważa, i dalej przeglądał papiery. Tyson przysiadł na skraju kanapy.

- Mówiłem im, żeby zostali w Sag Harbor, potem mogliby wrócić do domu w Garden City. Ale nie, chcieli dzielić ze mną męczeństwo i umartwienie. Teraz są tak samo upieprzeni jak ja.

Adwokat wyciągnął z pliku papierów jeden.

- Przepraszam za wczoraj - powiedział z roztargnieniem w głosie.

- Och... jeśli mam być szczery, byłem tak pijany, że niewiele pamiętam.

- Moja żona wściekła się, bo potrzebny jej był dzisiaj samochód. Musiałem jej przyrzec, że tym razem nie upiję się i zabiorę go do domu.

- Nie daj się jej wsadzić pod pantofel. Jesteś żołnierzem.

- Myślę, że ludzi to gównu obchodzi, Ben.

- Właśnie.

Vince przesunął zawiniętą kanapkę po stole i rozwinął drugą dla siebie.

Tyson zdjął papier i wydobyl długą włoską bułkę.

- A co w tym, u diabła, jest?

- Oberżyna, kaparki, oliwki, pomidory i jeszcze parę dobrych rzeczy. A pod tym provolone. Dalej salami, prosciutto, capocollo, mortadela...

- To mi wypali dziurę w żołądku. Kiedy się obudziłem, czułem jeszcze w ustach smak tego pieprzonego rozpuszczalnika, którym mnie uraczyłeś.

Corva wgrzył się w swoją kanapkę.

- Ustalono - odezwał się z pełnymi ustami - że rozprawa rozpocznie się o dziewiątej rano w sali Jacksona. Będzie się odbywała jak przed ławą przysięgłych, tyle że nie będzie przysięgłych - jedynie oficer śledczy, facet, który przejął sprawę od Harper, pułkownik Farnley Gilmer. - Spojrzał na Bena. - Gdzie oni wymyślają takie nazwiska?

- Rodowe. U nas w szkole był chłopak, który nazywał się Manville Griffith Kenly.

- Chryste. Jak do niego mówiliście?

- Przygłup. - Tyson wbił zęby w swoją kanapkę. Żuł ją starannie, a potem powiedział: - Niezłe...

Adwokat zajrzał do notatek.

- Pułkownik Gilmer powinien być bezstronny, podobnie jak Harper. Oczekuje się od niego, żeby nie trzymał strony rządu. Ale on wie, kto mu płaci co miesiąc. Poza tym przeprowadził nieco inne śledztwo niż Harper. Przeczytał oczywiście jej raport, koordynował poszukiwania świadków, starał się odkryć wszelkie możliwe dowody, które mogły się znaleźć w dokumentach armii, i pisał listy za granicę w sprawie siostry Teresy. Poza tym rozmawia z nowo ustalonym wojskowym zespołem prokuratorskim i dzwoni do mnie, kiedy tylko ma ochotę. Przez telefon brzmi, jakby był zupełnie przyzwoitym facetem, ale jest wyraźnie przestraszony, że może przerznąć sprawę. Jest tak ostrożny, że gdy pytam, jak się czuje, odpowiada: „rzekomo dobrze”.

Ben pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się.

- Podczas sprawy Gilmer występuje jednocześnie jako sędzia, ława i arbiter. Niekiedy przejmuje też rolę zarezerwowaną w cywilnej sprawie dla obrony. Nie musi w tym celu dosłownie zmieniać stołka, choć ja zawsze uważałem, że takie wymaganie byłoby dość zabawne.

- Chryste, Vince, nic dziwnego, że nie zgodzili się na obecność dziennikarzy. - Tyson wyciągnął się na kanapie. - Ćwiczę postawę wojskową - kontynuuj.

- Dobra. Będzie tam także protokolant sądowy. My tam będziemy i co najważniejsze, zespół prokuratorski. Staniemy wreszcie twarzą w twarz z nieprzyjacielem. W trzech osobach.

- Ty jesteś jeden.

- Mógłbym prosić o jednego lub dwóch adwokatów pomocniczych, gdybym chciał.

- Chcesz? - zapytał Ben.

- Wolę pracować sam.

Tyson przez chwilę się zastanawiał.

- Czy z psychologicznego punktu widzenia nie byłoby lepiej, gdyby po mojej stronie stało dwóch prawników w mundurach? -zapytał wreszcie.

Corva wyciągnął z bułki kawałek sera i zaczął go przeżuwać.

- To by się mogło podobać pułkownikowi Gilmerowi i każdemu innemu sądowi wojskowemu, który by się zajmował twoją sprawą. Z drugiej strony obecność wojskowego prawnika w mundurze w subtelny sposób dałaby do zrozumienia, że konkurujemy z tą całą trawestacją praworządności. Oczywiście ty musisz być w mundurze, ale chciałbym cię prosić, żebyś mimo wszystko zachowywał się jak cywil, którego przed sądem wojskowym broni cywilny adwokat. To będzie bardzo nie po amerykańsku i właśnie chcę, żeby tak to wyglądało.

Ben potarł w zastanowieniu szczękę.

- Dobra, tylko ty i ja, Vince. Czy wiesz coś na temat zespołu prokuratorskiego?

- Tak, to banda twardzieli. Nazywają się: pułkownik Graham Pierce, major Judith Weinroth i kapitan Salvatore Longo.

Tyson położył głowę na oparciu kanapy i zapatrzył się w sufit.

- Wojsko daje wszystkim równe szanse - stwierdził.

- Na to wygląda - zgodził się z nim adwokat. - Jedyńm problemem jest pułkownik Pierce.

Ben zapalił papierosa i wydmuchiwał kółka w powietrze. Strzepnął popiół na podłogę.

- Co o nim wiesz?

- Mam walić prosto z mostu? - zapytał Vince po chwili zastanowienia.

- Jasne.

- Dobra... Po pierwsze, zajmuje się głównie sprawami morderstw. On, podobnie jak Van Arken, był w zespole prokuratorskim podczas sprawy Calleya. Przedtem sprawował funkcję prokuratora wojskowego na Long Binh. Tam też zajmował się zbrodniami pierwszego stopnia. Odesłał do domu przed zakończeniem służby całkiem sporo oficerów. Do Leavenworth. Jest protegowanym Van Arkena i na dodatek skurwielem. Pewnego dnia może stać się kolejnym prezesem Izby Wojskowej.

Tyson usiadł na kanapie. Przyjrzał się uważnie Corvie.

- Mów dalej.

- Niech będzie... to znakomity aktor, na rozprawie unika bufonady i sąd nigdy nie dostrzega ani tego, że on gra, ani że jest skurwielem. Tylko inny adwokat może dostrzec te niezawodne cechy. Poza tym jest geniuszem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Widziałem, jak zapoznawał się z dokumentami, a potem już do nich nie zaglądał, cytował obszernie fragmenty. Byłby doskonałym aktorem dramatycznym.

Ben pochylił się do przodu, nie spuszczać oczu z adwokata.

- Kiedy trzeba powołać się na jakiś paragraf, zacytuje ci dowolny fragment dowolnego kodeksu jak święty Biblię. Ale nie jest pedantyczny. Zdolny i ma analityczny umysł. Kiedy czuje, że coś idzie nie tak, potrafi błyskawicznie zmienić taktykę jak znakomity strateg. W czasie perorowania nie przestaje myśleć. Wyczuwa słabe punkty obrony - mówił dalej Corva zgaszonym głosem - i atakuje je, aż się przedrze. A kiedy jest za twoimi barykadami, wysadza mury obronne, sika do fosy i zjada prowiant. Jeśli próbujesz uciekać, odcina drogę, a potem wpycha cię w zasadzkę. Gdy atakujesz, cofa się strategicznie, a potem cię okrąża. I nie ustępuje, aż wciągniesz na maszt białą flagę. Wtedy staje się wspaniałomyślny, jakby to była tylko zabawa w prawo, podchodzi do ciebie, by wymienić uścisk dłoni, i stawia ci drinka.

- Z tego, co mówisz, wynika, że może stanowić pewien problem - powiedział Ben.

Adwokat westchnął głęboko.

- Nie miałem zamiaru cię przerazić.

- Wcale tego nie zrobiłeś.

- Nie chciałem, żebyś myślał, że jest niezwyciężony - dodał Vince. - Można go pobić.

- Czy komuś się to udało?

- Nie. Nigdy nie przegrał sprawy.

- W takim razie obaj macie doskonałe osiągnięcia zawodowe.

- Właśnie. Tyle tylko, że ja jestem z departamentu cudów.

- Prawda. - Tyson wstał, przeszedł do kuchni, skąd wrócił z butelką sambuca. Włał sobie i Corvie do kawy. - To pierwszy i ostatni drink, jaki dostajesz tutaj.

- *Salute*. - Adwokat podniósł filiżankę.

- Zdrowie. - Ben wypił i odstawił filiżankę. - Niezłe. Jakbyś pił drewno w płynie.

- Dobrze na trawienie.

- Najlepiej by mi zrobiło włożenie dwóch palców do gardła - Tyson usiadł na oparciu fotela. - Czy kiedyś stawiałeś przeciwko pułkownikowi Pierce'owi?

- Raz. - Vince skinął głową. - W Forcie Bragg, major, naruszenie artykułu sto czternastego. Pojedynek.

- Co?

- Pojedynek. No wiesz, dziesięć kroków, zwrot i strzał. W Ameryce niezgodny z prawem od ponad dwustu lat. Życie garnizonowe straciło sporo barwy. Usiłowałem udowodnić, że mój klient bronił swego honoru oficera i dżentelmena. To był bardzo nietypowy przypadek.

- Ale z typowym zakończeniem.

- Bądź sprawiedliwy, Ben. Nie miałem prostej sprawy. Trzepnął młodego kapitana w twarz, ponieważ uważał, że tamten zaczepia mu narzeczoną, a potem zaprosił na polankę w lesie - z automatycznymi czterdziestkami i bez sekundantów.

- No i? - zapytał Tyson.

Corva zbierał okruszki bułki z papieru i wkładał je do ust. No... kapitan stawił się, ale z sześcioma sekundantami wszyscy z żandarmerii - i ci zajęli się majorem. Kapitan nie był

głupi. Pułkownik Pierce postanowił, że chce zająć się tym przypadkiem, choć pojedynek nie jest zbrodnią pierwszego stopnia. Nawet jeśli ktoś ginie. To ciekawe. Rzadko się zdarza stosować w praktyce artykuł sto czternasty w dzisiejszych czasach.

- Dokąd to wojsko zmierza? Zastanawiałem się w kontekście artykułu sto czternastego nad kapitanem Hodgesem.

- Tobie nie wolno jest nosić broni. To też interesujące. W wojskowym życiu sporo jest ciekawych obyczajów.

- Właśnie. I co dostał ten hołdujący dawnym tradycjom major?

- No więc kule w jego czterdziestcepiątce miały za słaby ładunek wybuchowy. Eksperci, których powołałem, twierdzili, że nie dałoby się nimi nikogo zabić. Major też nie był durniem. Sędziowie zakochali się w tym chłopaku. Wyciągnąłem go z jednym rokiem zawieszenia i nawet nie został wydalony ze służby. Pułkownik Pierce bardzo się tym zmartwił. To był jedyny przypadek w jego karierze, kiedy nie udało mu się wsadzić delikwenta do więzienia.

- Będzie chciał ci dołożyć.

- Nie, on będzie chciał dołożyć tobie.

Ben uśmiechnął się ponuro.

- Ale jestem przygotowany na tego skurwiela. - Adwokat na chwilę pogрузił się w myślach. - W piątek tak to będzie wyglądało. Pułkownik Gilmer zagra rolę gospodarza spotkania, a pułkownik Pierce ze swą kohortą będą słuchać i patrzeć. Pochylił się do przodu. - Ty powinieneś pozostać chłodny.

- Jak bezkrwisty biały anglosaski protestant należący do wyższych stanów klasy średniej, którym jestem?

- Właśnie. Pokaż, że masz charakter. - Vince sięgnął po butelkę sambuca, ale Tyson mu ją odebrał.

- Muszę to wylać do zlewu.

- Są dwie teorie - ciągnął Corva - określające, jak się należy zachować w czasie rozprawy wstępnej. Pierwsza: przychodzimy przygotowani na walkę o każdy cal. Druga: zakładamy, że oskarżą cię, nawet jeśli byś przyprowadził sześć sióstr karmelitanek i samego arcybiskupa Hue przysięgających, że tego dnia przystąpiłeś wraz z nimi do komunii w Da Nang.

- Gdzi są te zakonnice i arcybiskup?

- Nieważne. Uważam, że chcą cię oskarżyć na podstawie zeznania Brandta, które on musiał zresztą przedstawić na piśmie i zaprzysiąc. Oświadczenie Farleya jest już również zaprzysiężone. Mam kopie obu. Chcesz je zobaczyć?

- Nie. Ale dlaczego jesteś taki pewny, że mają zamiar mnie postawić w stan oskarżenia?

- Przestałeś śledzić uważnie swoją sprawę, prawda?

- Jeśli mają mnie zamiar oskarżyć i tak - Ben wzruszył ramionami - to po co w ogóle mam się tam stawiać?

- Tylko ciałem odparł adwokat. Widzisz, Ben, mogę wyciągnąć Sadowskiego, Scorella, Beltrana, Walkera i Kalane'a. A oni potrafiliby zrobić z tej sprawy piekło. Ale pułkownik Gilmer zapyta siebie: „Dlaczego ci faceci mówią słowo w słowo to samo, a Brandt i Farley co innego?”. I sam sobie odpowie: „Niech to rozstrzygnie sąd wojenny. Niech decyduje siedmioosobowa ława”. Albo coś w tym samym stylu. Bo widzisz, Ben, tutaj nie jest tak jak w sądzie cywilnym, gdzie kilku ławników głośuje niejawnie. Tutaj głos ma tylko Gilmer. I jeśli ogłosi werdykt, by nie wnosić oskarżenia, każdy będzie wiedział, że to on tak zadecydował, ponieważ tylko on decydował. *Capice?*

Tyson przytaknął.

- I - mówił dalej Vince - ten skromny pułkownik stanie się nagle znany wszystkim swoim przełożonym. Wyobraźmy więc sobie, że Gilmer czyta zeznania, sprawdza fakty, a my pozwalamy mu porozmawiać z naszymi świadkami i on decyduje, że oskarżenie powinno zostać uchylone. Jego konkluzja, inaczej niż w sądzie cywilnym, nie jest wiążąca.

- Po co więc się bawić w tę farsę?

- Ponieważ kilka lat temu wojsko zostało zmuszone zastosować system ławy przysięgłych w celu ochrony praw oskarżonego ze względu na zbyt dużą liczbę pomyłek. Tak więc wojsko wymyśliło tę rozwodnioną procedurę zgodną z artykułem trzydziestym drugim, która nadal pozwala wyższym rangą dowódcom zmienić decyzję podjętą przez oficera występującego w roli ławy przysięgłych. Wtedy prezydent przełknął propozycję i podpisał ustawę. I od tego czasu Sąd Najwyższy nie chce nic słyszeć o jej zmianie. Sądy federalne starają się omijać pole minowe, jakim jest prawo wojskowe. Premier Francji, po sprawie Dreyfusa, powiedział: „Prawo wojskowe ma się tak do prawa jak muzyka wojskowa do muzyki”. Gdyby sąd federalny sprawował nad tobą jurysdykcję, byłbyś nadal cywilem. A ja dożyłbym do dzisiejszego dnia trzysta odwołań i wszystko skończyłoby się na niewielkiej grzywnie. Ale nie w tym przypadku. Musisz zasiąść w pokoju razem z jakimś przestraszonym pułkownikiem, który chce jak najszybciej mieć tę sprawę za sobą. Jeśli pułkownik Gilmer wróci tego dnia wieczorem do domu i pomodli się o wskazówkę do wyższej instancji, to nie będzie nią Bóg, tylko generał Van Arken. A nawet jeśli z jakiegoś powodu pułkownik Gilmer nie postawi cię w stan oskarżenia, zrobi to generał

Peters, komendant jednostki w Dix. A jeśli on tego nie robi, sprawa powędruje prosto do ministra obrony i wreszcie komendanta sił zbrojnych, który - tak się przypadkiem składa - jest politykiem. Ale rząd nie życzy sobie, by ci ludzie nadstawiali karku i podejmowali niepopularne decyzje. Mam nieodparte przeczucie, że pułkownik Gilmer zdaje sobie z tego sprawę i nie chce sprawiać nikomu, kto stoi ponad nim, kłopotu. Tak więc oświadczy generałowi Petersowi, że należy postawić cię przed sądem, a generał, za radą Izby Wojskowej, potwierdzi jego decyzję. Wtedy generał Peters wyda rozkaz sądowi wojskowemu.

Ben wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w deszcz.

- A więc scenariusz jest już napisany.

- O nie, on nigdy nie jest napisany. Po prostu wszyscy aktorzy znają go na pamięć.

- Kiedyś szanowałem prawo wojskowe.

- Ja nadal je szanuję. Tak jak ci powiedziałem, w federalnym sądzie miałbym już sprawę wygraną. Ale trzeba się ciężko napracować, aby wygrać z sądem wojskowym. Problem w tym, że jesteś winny. Lepiej więc szanuj je nadal.

Tyson wciąż patrzył przez okno.

- Nie podoba mi się pomysł oddania pola, nawet jeśli z góry wiem, że miałbym przegrać.

- Jeśli zgłosimy świadków obrony, zostaną poddani krzyżowemu ogniu pytań. Przedwcześnie zdradzimy pułkownikowi Pierce'owi nasze atuty i nasze słabości. Ale decyzja należy do ciebie - dodał Corva po chwili.

Ben przyglądał się mrocznemu, skąpanemu w deszczu krajobrazowi.

- Dobrze, zatrzymajmy świadków do czasu sądu wojskowego. Czy Brandt i Farley będą zeznawać na korzyść oskarżenia?

- Pułkownik Pierce nie wezwie ich z tych samych powodów, dla których ja nie zgłaszam świadków. Pułkownik Gilmer będzie miał tylko ich zaprzysiężone zeznania. Mam wiele pytań do Brandta i Farleya, ale chcę je zadać przed zespołem sędziowskim w czasie sądu wojskowego.

- Jakie pytania?

- Cieszę się, że cię to interesuje. Może sam od razu odpowiesz na kilka z nich.

Tyson odwrócił się od okna.

- Widzisz, Ben, jest jeden sposób, żeby przekonać pułkownika Gilmera, że nie musi stawiać cię przed sądem. I jeśli on umie posłużyć się rozumem, a po nim każdy na kolejnym szczeblu także, będziesz wolny.

Tyson nic nie powiedział.

Adwokat patrząc na niego zadał pytanie:

- Czy jest jakiś dowód, albo w archiwach armii, albo w osobach świadków, który wykaże pułkownikowi Gilmerowi i wszystkim innym, że ty i Brandt byliście wrogami?

Ben przez chwilę milczał.

- Nie - odpowiedział wreszcie.

Vince nadal nie odrywał od niego wzroku.

- Dlaczego Brandt cię nienawidzi?

- Nie powiedziałem, że mnie nienawidzi.

- Czy ty go nienawidzisz? Nie z powodu tej sprawy, tylko ze względu na coś, co zdarzyło się dużo wcześniej?

Tyson zastanowił się nad odpowiedzią.

- Nie, nie nienawidzę go. Gardzę nim. Jest moralnie skorumpowany.

- Czy oskarżenie bazuje na tym?

- Nie tym razem.

- Powtórzyłem ci, co Sadowski mi powiedział? Co zasugerował w rozmowie z Harper i co ona umieściła w raporcie?

- Co takiego Sadowski powiedział?

- Że pobiłeś Brandta na oczach całego plutonu. Kopnąłeś go i przetrzepałeś po twarzy. A potem wrzuciłeś go do kanału nawadniającego pole ryżowe i nie pozwoliłeś mu wyjść, aż go całego oblaży pijawki. - Corva nie spuszczał wzroku z Bena. - Dostał histerii, płakał i błagał cię, żebyś pozwolił mu stamtąd wyjść.

Tyson zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Chyba przypominam sobie coś takiego.

- Co skłoniło, na litość Boga, amerykańskiego oficera, żeby pobił i tak upokorzył jednego ze swych ludzi? I to jeszcze akurat sanitariusza?

- Musiałem mieć zły dzień.

- Nie staraj się być zabawny, Ben.

- Daj spokój, Vince, wcale nie chcesz tego słuchać, to wojenna historia.

- Tej historii będę musiał wysłuchać.

- Kiedy indziej. To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Nic wspólnego? To jest jedyny powód, dla którego Brandt wyskoczył z tą sprawą.

- Ale samej sprawy nie zmienia. Ani faktów.

- Nie interesują mnie fakty! Jedyne, co mnie obchodzi, to wykazanie, że Brandt nienawidzi cię i szukał możliwości zemsty, i dlatego nie jest wiarygodnym świadkiem.

- Brandt jest szanowanym lekarzem - powiedział beznamiętnie Tyson. - I istnieje świadek potwierdzający jego wersję.

- Dlaczego Farley zeznaje przeciwko tobie?

- Nie jestem pewien.

- Skąd Brandt wiedział podczas rozmowy z Andrew Picardem, że Farley będzie jedynym, który poprze jego wersję? Nie podał pisarzowi żadnego innego nazwiska. Tylko Farleya.

Ben pokręcił głową.

- Może wiedział, gdzie Farley mieszka? Może utrzymywał z nim po wojnie bliższe stosunki?

- Lekarz i szurnięty śmieciarz? Wątpię. Czy w Wietnamie trzymali się blisko?

- Nie przypominam sobie.

- To jest jak wrywanie zęba - powiedział adwokat. - Nie chcesz powiedzieć mi, jakie motywy mają Brandt i Farley, ale sam je znasz.

- Może później, Vince, jeśli będzie trzeba.

Corva energicznie zatrzęsła teczkę.

- Dobrze. A więc w piątek spotkamy się ty, ja, pułkownik Gilmer, zespół prokuratorski i protokolant. Żadnych świadków obrony ani oskarżenia. Ale będą jeszcze dwie osoby.

- Kto?

- Karen Harper. Jest doradcą pułkownika Gilmera.

Tyson milczał.

- A pułkownik Gilmer wezwał dodatkowo Andrew Picarda.

- Picarda?

- Tak. Nie jako świadka oskarżenia czy obrony, tylko świadka Gilmera.

- O co ma zamiar Gilmer pytać Picarda?

- Najwyraźniej Picard opowiedział Karen Harper parę szczegółów, których nie zamieścił w książce, a które również nie znalazły się potem w wywiadach, i Gilmer uważa, że złożenie zeznania będzie najlepszym sposobem ich ujawnienia. - Po chwili adwokat dodał: - Ty też uciałeś sobie pogawędkę z Picardem.

- Tak.

- Miłą?

- Uczciwą.

- Czy pomoże nam czy zaszkodzi jako świadek?

- Wiesz, jacy są pisarze - odparł Ben. - Myślą, że mają specjalne układy z prawdą. Jestem przekonany, że nawet Wally Jones wierzy w to, co pisze, bo w innym przypadku udałby się do sądu i oświadczył, że jest karaluchem.

- Tyle jest przeciwko nam - powiedział Vince - że zeznanie Picarda już nic nie zaszkodzi. Co prawda nie chcę świadków, którzy mogliby być poddani krzyżowemu ogniovi pytań, ale spróbuję z Picardem. Dlatego nie sprzeciwiłem się jego wezwaniu. Może być interesujący, choć nie olśniewający.

- Może być.

Corva podszedł do wnęki i wyjął swój płaszcz przeciwdeszczowy.

- Pogadamy jutro. Jeśli przypomnisz sobie, dlaczego Brandt tak bardzo chciałby cię widzieć w Leavenworth, proszę, daj mi znać.

- Zastanowię się nad tym. Zdziwiał mnie, że ani ty, ani Harper nie chcecie przyjąć najbardziej logicznego wytłumaczenia działania Brandta. Miał już dość życia z tym ciężarem.

- On nie brał udziału w incydencie?

- Nie. Nie brał, Ale tak jak ja był trochę do przodu w porównaniu z innymi chłopcami, jeśli chodzi o wykształcenie i dojrzałość. I nie był piechociarzem jak reszta. Był szkolony, by leczyć ludzi. Dlatego okazał się szczególnie wrażliwy i podatny na stres. A teraz chce zrobić coś honorowego. Pragnie sprawiedliwości.

- On tak to przedstawi, prawda? - Adwokat pokiwał z zastanowieniem głową.

- Tak, to właśnie powie. Oraz że szanował mnie i swoją pracę, a fakt, że musi zeznawać przeciwko mnie, jest najtrudniejszą rzeczą, jaka go spotkała w życiu, i że bardzo mu z tym źle. Przecież naprawdę nie chciał, żeby to wszystko tak się potoczyło. Ale najlepiej dla wszystkich będzie, jeżeli prawda wreszcie wyjdzie na jaw. I tak dalej.

Vince zapinał guziki płaszcza.

- Ale w głębi swoich trzewi nienawidzi cię tak bardzo, że nawet kiedy myśli o tobie, czuje żółć w ustach. Życzył ci śmierci tysiące razy, a w Strawberry Patch zrobił nawet coś... coś... a przez ostatnie dwadzieścia lat śnił, że miażdży ci twarz kolbą karabinu lub wrzuca cię do dołu pełnego pijawek. Zgadza się?

- Prawdopodobnie,

- I pewnego dnia... znajduje ogłoszenie w gazecie Pierwszej Kawaleryjskiej i uznaje to za omen. Odrzuca ostrożność, nie myśli o ewentualnych konsekwencjach dla samego siebie, ponieważ jego jedynym motorem działania jest nienawiść. I wylewa swą żółć przed Andrew Picardem. Idę o zakład, że teraz wcale już nie jest taki pewien, czy dobrze zrobił. Sprawa stała się trochę za duża jak na niego. To, że ty zostaniesz ukrzyżowany, oczywiście wprawia go w ekstazę, ale zaczyna widzieć, jak wir zdarzeń wciąga i jego. Prawda, Ben? Jest współwinny ukrywania tej całej sprawy. A tymczasem Ben Tyson wymyślił sposób, jak wyrównać rachunki. Prawda, Ben?

- O co ci chodzi, Vince?

- Wiesz doskonale, o co mi chodzi. - Corva wymierzył palcem w Tysona. - Wymyśliłeś sobie, że to nie będzie tylko sprawa przeciwko Benjaminowi Tysonowi, ale i Stevenowi Brandtowi. Tak?

- Jesteś bardzo błyskotliwy, nawet jak na Włocha.

- A ty jesteś bardzo mściwy jak na zimnego, białego, anglosaskiego protestanta, Ben.

Chryste, Sycylijczyk wytrzymałby dwadzieścia lat chowając w sercu wendetę, ale... - pokręcił głową. - Myślę, że jesteś szurnięty. No, jeśli tego właśnie chcesz... naprawdę musiałeś pragnąć tego bardzo mocno. Tak bardzo, że wcale nie broniłeś się, kiedy postanowili cię wciągnąć znowu w szeregi wojska, i prawie udało ci się nie pokazać Harper, że jesteś ofiarą człowieka, który cię nienawidzi. I nie zgodziłeś się na układ z rządem. Teraz wreszcie zaczynam coś rozumieć.

- W tym, co mówisz, może być trochę racji. - Tyson wręczył adwokatowi parasol. - Ale to jest bardziej skomplikowane. Ja również potrzebuję tego sądu dla samego siebie. *Capice?*

- Jasne - Corva otworzył drzwi. - No cóż, ja ciągle biorę dwieście dolarów za godzinę, a za czas w sądzie podwójną stawkę, nawet jeśli jesteś świrem i cię to bawi.

- Wcale nie bawi, Vince, i wciąż liczę, że mnie wyciągniesz.

Adwokat roześmiał się niewesoło, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Potem zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Zamelduj się u dowództwa - krzyknął - i to już!

- Dzięki za lunch. - Ben zamknął drzwi i zapatrzył się na pusty pokój. - Tak. Brandt i ja spotkamy się znowu. Ale tym razem tylko jeden z nas wstanie.

Rozdział 39

Ben Tyson odstawił filizankę na biały obrus i wyjrzał przez panoramiczne okno jadalni Klubu Oficerskiego. Białe mewy ścigały się po szarym niebie, a potem nurkowały, zgarniając białe grzywy lekko wzburzonej cieśniny Narrows.

- Ptaki są wolne.

- Głęboka myśl - skomentował Corva. A potem dodał wpatrując się w omlet: - Mundur wisi na tobie, poruczniku.

- Wybiorę się do krawca.

- Co to jest? - Adwokat wskazał na baretki Tysona. - Krzyż od żółtków?

- Tak, Wietnamski Krzyż Męstwa. Teraz już się nie mówi „żółtki”, Vince.

- Wiem. - Corva wsadził do ust widelec, na który nadziany był kawał omletu. - Dziwne, prawda? Nosić nagrodę otrzymaną od kraju, który już dawno nie istnieje. Zmusza do myślenia.

- O czym?

- O zmiennej naturze rzeczy, które uważamy za wieczne. O Babilonie i Rzymie, Kartaginie i Sajgonie.

- Mieście Ho Szi Mina.

- Właśnie. - Adwokat zajął się swoim śniadaniem.

- A ty dostałeś jakiś medal za odwagę? - zapytał Ben i dolał kawy.

- Brązową Gwiazdę - Vince przytaknął z namysłem.

- Opowiedz mi tę wojenną historię.

- Istnieją dwie wersje - powiedział Corva. - Za jedną dostałem Brązową Gwiazdę.

- A druga wersja?

- Mogłaby mnie zaprowadzić... cóż, w każdym razie chodziło o tunele. Sieć tuneli koło Dak To. Żółtki zmniejszyły je w pewnych miejscach, żeby tylko oni mogli przechodzić. Ale ja jestem wymiaru żółtków. Więc położyłem się na brzuchu w tej pieprzonej, ciasnej dziurze i przeciskałem się jak glista z czterdziestkąpiątką w ręce. Ciemno tam było jak w piekle. Zapaliłem na chwilę taką górniczą lampę, żeby się szybko rozejrzeć, i stanąłem twarzą w twarz z Charliem, za którym stali następni. - Adwokat wrzucił cukier do kawy.

- Nie opowiesz mi, co się stało, prawda? - zapytał Tyson.

- Nie. - Vince uśmiechnął się przekornie. - Nie będzie wojennych historii. - Pochylił się ku Benowi. - Czy wiesz, dlaczego włoska armia przegrała w czasie drugiej wojny światowej?

- Nie, Vince, więc dlaczego włoska armia przegrała drugą wojnę światową?

- Zamówili pistacje zamiast pistoletów.

- Aha - powiedział Tyson zapalając papierosa.

Corva wzruszył ramionami. Rozejrzał się po sali.

- Czy wiesz, kto za tobą siedzi? Nie odwracaj się.

- Ile razy wolno mi zgadywać?

- W odległym rogu siedzą: pułkownik Pierce, major Weinroth i kapitan Longo. Jedzą śniadanie.

- Co zamówili? Niemowlęta?

- Jeśli rozprawa będzie się odbywała w Hamilton, musisz się pogodzić z ich towarzystwem w ogólnej sali jadalnej. Kiedy natkniesz się na nich w klubie, bądź agresywnie towarzyski: „Dzień dobry, pułkowniku. Kapitanie, ma pan zapalniczkę? Pani major Weinroth koniecznie powinna odwiedzić zakład kosmetyczny na terenie jednostki”.

- Adwokat roześmiał się. - Oczywiście, tego ostatniego nie mów. Ale wiesz, o co mi chodzi. „Bar Patriotów” jest nieco ciasny, podobnie jak męskie toalety. Nie unikniesz ocierania się o tych ludzi.

- Może mnie nawet polubią. Myślisz, że major Weinroth będzie używała męskiej toalety?

- To całkiem możliwe. A Pierce i Longo kucają przy siusianiu. Chodzi o to, że podczas sądów wojennych zdarzają się zupełnie nieoczekiwane spotkania. Ten facet, Pierce, stara się dla ciebie o karę śmierci, a tu nagle lądujesz wciśnięty razem z nim w kąt baru. To samo dotyczy świadków oskarżenia. Naszych zresztą też. Ty i twoi poplecznicy możecie się co i rusz natykać na Brandta i Farleya.

Ben kiwnął głową.

- Farley jest na wózku inwalidzkim, więc nie wolno ci go tknąć.

- A Brandtowi mogę przyłożyć?

Vince podrapał się po nosie z zastanowieniem.

- Z Brandtem możesz robić, co uznasz za stosowne, jeśli wlezie ci w drogę. Ja nie mogę ci nic nakazać.

Tyson spojrział w kierunku wejścia do sali. Corva podążył za jego spojrzeniem. W drzwiach stała Karen Harper. Czekająca, by kelner wskazał jej miejsce. Obok niej stał przystojny, starszy mężczyzna w mundurze.

- Oto oficer śledczy powołany na mocy artykułu trzydziestego drugiego, pułkownik Gilmer. Towarzysząca mu kobieta lekkich obyczajów również wygląda znajomo.

- Nie nazywamy już ich kobietami lekkich obyczajów.

- To prawda. Co się dzisiaj ze mną dzieje?

Kelnerka ruszyła w stronę stolika sąsiadującego z zajmowanym przez Bena i Vince'a, ale pułkownik Gilmer zatrzymał ją jakąś uwagą. Wskazała w kierunku stolika obok Pierce'a. Gilmer znowu pokręcił głową i po chwili dyskusji znalazł dla siebie i Harper neutralny kąt.

- Chryste, ktoś powinien przeszkolić tutejszych pracowników - powiedział Corva.

Tyson przyglądał się, jak Karen Harper siada na krześle odsuniętym dla niej przez pułkownika Gilmera. Kiedy ten odwrócił się do swojego krzesła, zerknęła na Bena. Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnęła się pierwsza. Był to słaby uśmiech, ale intymny, taki, jaki wymieniają starzy kochankowie, kiedy spotykają się w kawiarni mając u boku już nowych partnerów.

Tyson odpowiedział niepewnym uśmiechem. Nie bardzo wiedział, co do niej czuje.

Corva uklonił się Karen Harper i pułkownikowi Gilmerowi.

- Jest tak sztywny, jak mogłem wywnioskować z brzmienia głosu przez telefon. Będę miał z nim sporo zabawy. A ona naprawdę jest piękną kobietą. Zastanawiam się, czemu nie wyszła za męża. Musi dostawać przez to niezłego fioła.

- Naprawdę zachowujesz się dziś jak neandertalczyk - zimno stwierdził Ben.

- Wiem. Jestem niezrównoważony.

- Już po ósmej. - Tyson spojrział na zegarek. - Co będziemy robić przez następną godzinę?

- Przydzielono nam do dyspozycji pokój konferencyjny. W tym budynku. Usiądziemy i będziemy sobie gwarzyć. A dokładnie za pięć dziesięć wkroczymy do pokoju Jacksona, zwanego Kamiennym, co bardzo pasuje do tej twierdzy. A przed dwunastą wrócimy do jadalni na lunch.

- Jak to się dzieje, że nie jesteś gruby? Jesz jak koń.

- Ważę osiemdziesiąt sześć kilo, ale to same mięśnie. - Adwokat przez chwilę patrzył na pułkownika Pierce'a.

- Chciałbym zobaczyć, jak oni wyglądają. - Ben odwrócił krzesło w tym samym momencie, kiedy Pierce spojrział na niego. Tyson zatrzymał wzrok na prokuratorze, ale ten umknął ze swoim. Ben spojrział znowu na Vince'a. - Ponuracy - skomentował.

- Tak właśnie powinni wyglądać prokuratorzy. Wykonują za społeczeństwo brudną

robotę. Czy Marcy odzywała się dziś rano? - zapytał.

- Nigdy nie dzwoni, kiedy jest w podróży służbowej. - Tyson pokręcił głową. - Ja też do niej nie telefonuję, kiedy wyjeżdżam. To stara zasada.

- Jaka zasada?

- Zasada, którą wcześniej czy później odkrywa każde małżeństwo, które wiele podróżuje.

- Chybabym nie chciał, żeby moja żona podróżowała. - Corva pochylił głowę. - Czy to niebezpieczne?

- Tak.

- Jestem staroświeckim gościem.

- To twój problem.

- Czy myślisz o rozprawie?

- Cały czas. Adwokat skończył kawę.

- Chodźmy. - Skinął na kelnerkę, ale z jakiegoś powodu zjawilo się ich pięć, cały komplet, a do tego pomocnik i hostessa.

W pokoju nagle zapanowała cisza. Hostessa zrobiła krok do przodu.

- Poruczniku Tyson - powiedziała uroczyście - chcieliśmy wszyscy życzyć panu szczęścia i powiedzieć, że było nam z panem, pańską żoną i pańskim synem bardzo miło przez te kilka miesięcy. Chcemy, by pan wiedział, że uważamy pana za oficera i dżentelmena.

Ben wstał, czuł, jak ze wzruszenia ściska mu się w gardle. Podeszedł do hostessy i nie zastanawiając się, co robi, przytulił ją i pocałował w policzek. Poczerwieniła.

- O jej... - wykrztusiła.

Vince wstał i zaczął klaskać, kilku obecnych przyłączyło się do owacji. Pracownicy klubu uklonili się jak na komendę i odeszli.

Tyson stał bez ruchu. Jego wzrok powędrował w kierunku stołu, przy którym siedzieli Pierce, Weinroth i Longo. Z nienaturalną skwapliwością zajęci byli śniadaniem. Po przeciwnej stronie pomieszczenia pułkownik Gilmer intensywnie wpatrywał się w kartę. Karen Harper mrugnęła porozumiewawczo.

- I co taki snob jak ty powie na lojalność mas? - Corva wstał.

- Jestem przystojny.

- Tak, jak Billy Bud. A jednak go powiesili. - Adwokat sięgnął po swoją teczkę. - Nie widzę rachunku, więc prawdopodobnie postawili nam to śniadanie. - Wyszli z jadalni.

Przeszli w północno-wschodnie skrzydło dawnego fortu i stanęli przed ciężkimi, dębowymi drzwiami.

- Muszę pójść na górę - powiedział Vince - po papiery. Wejdz. Czeka na ciebie kawa i coś słodkiego. Wrócę za kilka minut. - Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Tyson stanął przed drzwiami. Nie wiedział, kogo się ma spodziewać wewnątrz, ale z całą pewnością czekały na niego nie tylko kawa i ciastka. Kiedy obejrzał się, Corva zniknął właśnie za rogiem. Ben otworzył drzwi i zorientował się, gdzie jest.

Był to stary magazyn prochu strzelniczego, o ścianach ze wzmocnionego betonu, pomalowanych teraz na miły dla oka beż. Podłogę zakrywał królewski, błękitny dywan.

Pomieszczenie było oświetlone reflektorkami przy podłodze, a od sufitu emanował dziwny blask. Tyson wiedział, że to rezultat okrągłych szklanych płytek wmontowanych w betonowy sufit. Umożliwiało to dostęp do pokoju światła dziennego, tak żeby nie trzeba było zapalać w sąsiedztwie prochu lamp naftowych.

Przy okrągłym stole siedziało, piło kawę, jadło i rozmawiało ściszonymi głosami kilku mężczyzn. Powietrze było ciężkie od papierosowego dymu, który potęgował wrażenie, że wkroczył w sen.

Ben zamknął za sobą drzwi. Rozmowy ucichły, mężczyźni zastygli w milczeniu ze wzniesionymi filiżankami i papierosami.

Zrobił kilka kroków do przodu. Pierwsze, co zauważył, to to, że Sadowski zrobił się potężny. Włosy mu się przerzedziły i wyhodował sobie wąsy, które wyglądały jak dwie zwinięte gąsienice. Miał na sobie coś, co na prowincji musiało uchodzić za ostatni krzyk mody w dziedzinie letniej konfekcji.

Tony Scorello był jak zawsze chudy, ale zapuścił potężną, czarną brodę, która zastąpiła włosy na głowie, teraz prawie kompletnie łysej. Tyson w ogóle by go nie poznał, gdyby nie ciemne oczy łani. Był dobrze ubrany, w szare spodnie i bluzę barwy morza, ale w miejscu krawata miał gruby, złoty łańcuch.

Louis Kalane nie zmienił się prawie zupełnie, jego polinezyjska twarz stała się, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze przystojniejsza. Na głowie miał gęstą strzechę kruczoczarnych włosów, a ubrany był w brązowy garnitur z kiepskiej wełny, jakiej Ben nigdy nie widział w

Nowym Jorku.

Lee Walker także bardzo przypominał samego siebie sprzed dwudziestu lat. Od siedemnastolatka, którego kiedyś znał Tyson, różnił się głównie wzrostem i tężyzną. Nosił kasztanowy garnitur ze sztucznego włókna i koszulę z kołnierzykiem wyłożonym na wierzch.

Za to Hernando Beltran wyglądał zadziwiająco staro. Jego twarz była obrzmiała, a w eleganckim garniturze krył się grubas. Nosił złote pierścionki i roleksa wykładanego masą perłową. Uśmiechał się od ucha do ucha, pokazując garnitur złotych zębów.

Mój Boże, pomyślał Ben, a jak ja według nich wyglądam?

Sadowski wystąpił naprzód, jakby miał to przećwiczone. Stał w przesadny sposób na baczność, wciągnął brzuch, wystawił do przodu pierś i zasalutował.

- Sierżant Sadowski melduje się, sir!

Tyson z nawyku chciał go poprawić, że w amerykańskiej armii zaczyna się od „sir”, na końcu słowo to występuje tylko w starych angielskich filmach wojennych. Ale oddał salut bez komentarza.

- Spocznij - powiedział.

Paul podszedł i mocno uściskał prawicę Bena. Tyson żałował, że w pokoju nie ma Corvy. Wcale nie dlatego, by pragnął z nim dzielić ten moment, chciał jedynie mu przyłożyć. Spojrzał ciepło na Sadowskiego.

- Jak leci, Ski?

- W porządku, poruczniku.

- Ben.

- Ben. - Paul roześmiał się. - Zabawnie brzmi.

Tyson podszedł do stołu i Beltran złapał go za ramię.

- Pożyczyłeś ode mnie dwadzieścia dolarów, amigo. Jeśli dodamy procenty, to będzie teraz jakieś dwa miliony - roześmiał się głęboko.

- *Como esta, amigo?* - Ben uściskał go za rękę.

- O, nauczyłeś się hiszpańskiego?

- Nie, portorykańskiego. - Wymierzył mu fangę w brzuch. - Jak ci się z tym kałdunem

udaje nosić M-60?

Roześmiany Beltran sam też klepnął się po brzuchu.

- Nieźle życie. Do mnie należy połowa zachodniego Miami. Przyjedź, to dopiero się zabawimy. - Mrugnął okiem.

- A co u ciebie, Duchu? - Tyson zwrócił się do Lee Walkera.

- Nieźle, poruczniku.... to znaczy, Ben. Nie posiadam połowy niczego, ale jeśli się zjawisz w Macon, zabiorę cię na polowanie. Nadal jesteś takim dobrym strzelcem?

- Zobaczymy. To mi się podoba.

Ben podszedł do Louisa Kalane'a i uścisnął mu dłoń. Pociągnął go za wyłóg marynarki.

- Znowu robisz naiwniaczków w konia, Ananasie?

Wszyscy się roześmieli.

Kalane uśmiechnął się speszony.

- Po prostu miałem szczęście do dzianych turystów. Oprawdam wycieczki. Przyjedź, sam zobaczysz. Z ciebie też jest elegancik, poruczniku - dodał po chwili. - Gdzie zdobyłeś wszystkie medale?

- Nie pamiętasz tej wojny?

Tyson podszedł do Scorella. Uścisnęli sobie ręce.

- Miło cię znowu widzieć - wymruczał Scorello.

- Ciebie też, Tony - odparł Ben. - Mieszkasz we Frisco, tak? Wspaniałe miejsce.

- Zgadza się. Pracuję dla miasta.

- Od jak dawna nosisz tę łaskotkę dla kociaków?

- Już kawał czasu. - Scorello zmusił się do uśmiechu.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Dzięki, że przyjechaliście - powiedział wreszcie Tyson. Choć trudno było powiedzieć, że mieli jakiś wybór. - Nie wiedziałem, że was tu spotkam. - Przyszło mu do głowy, że Vince musiał zmienić taktykę, więc zapytał: - Czy zeznajecie dzisiaj?

- Nie, nie - odpowiedział Beltran. - Pan Corva poprosił tylko, żebyśmy przyjechali przywitać się z tobą. Małe spotkanie po latach. Ale wrócimy na rozprawę sądu wojskowego i złożymy zeznania - dodał.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Nie będzie żadnego sądu wojskowego - stwierdził Ben.

- To dobrze - odparł Hernando.

- Usiądźmy - wtrącił się Sadowski. - Napijmy się kawy. Ten fort to jest coś. Wygląda jak te stare francuskie twierdze wokół Quang Tri.

Tyson zajął puste krzesło i wszyscy usiedli. Nalał kawy ze srebrnego dzbanka.

- A więc tak - powiedział. - Tylu nas zostało z czterdziestu pięciu ludzi Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej. *Mi Dios*, więcej zostało Custerowi.

Kilku z nich roześmiało się nie bardzo szczerze.

Nie zapominaj o Kellym i DeTonqa - przypomniał Sadowski. - Gdzieś są.

- DeTonqa nie żyje, Ski - zachnął się Scorello. - Nie udało mu się wrócić. Kelly prawdopodobnie również zginął.

- No to został jeszcze Doc i Czerwony - powiedział cicho Walker przerywając ciszę.

Znowu milczeli, aż Beltran walnął pięścią w stół.

- Ci *maricones*! Doktorka potrafię zrozumieć. Nie był jednym z nas. Ale Czerwony - to nie do pojęcia.

Ben przypatrywał się im poprzez zasłonę niebieskiego dymu unoszącego się z cygara Hernanda. W ich twarzach szukał czegoś, choć nie wiedział czego. Chyba można było się w nich dopatrzeć trochę poczucia winy, ale w większości były wyzywające. Usprawiedliwili samych siebie. Jeśli ktoś nie potrafi usprawiedliwić przed samym sobą faktu, że zabijał z zimną krwią niemowlęta, dzieci, kobiety, wtedy umiera albo psychicznie, albo tak jak Harold Simcox.

- O mały włos, a Syfilisek też byłby z nami - powiedział Tyson i spojrzał na Scorella. - Był twoim kumplem, co Tony?

Scorello bawił się własną brodą.

- W ciągu ostatnich lat prawie nie miałem od niego wieści. Coś się w nim popieprzyło.

Ben wyciągnął papierosa, a Kalane podpałił go złotą zapalniczką Dunhilla.

- Pewnie już wiecie, jak umarł Moody - powiedział.

Milczeli. Tysonowi wydało się, że wszyscy mieli mieszane uczucia w związku z tym spotkaniem.

- A jak zginęli Brontman i Selig? - Rozejrzył się po siedzących.

- Freddie pod Khe Sahn - odpowiedział Sadowski. - Dostał z jednego z tych małych, sześćdziesięcimilimetrowych mózdzierzy, które żółtki tak pokochały. Selig zginął w dolinie A Shau. Co tam się działo, poruczniku. Pieprzone Charlie miały wszystko, co tylko można było mieć. Selig wdepnął w minę. Odesłali go do domu w kopercie.

Ben zaciągnął się papierosem.

- Jeśli myślałeś, że w Hue było kiepsko, to powiem ci, że dopiero w A Shau urywało jaja. Khe Sahn to też nie był piknik. Straciłeś całą dobrą zabawę.

- Zawsze byłem szczęściarzem - Tyson przytaknął.

Paul ciągnął dalej opowieść na temat historii Kompanii Alfa.

- Po twoim wyjeździe zostaliśmy odesłani do Evans na odpoczynek i uzupełnienia. Jakiegoś kutasa, nazwiskiem Neely, zrobili naszym oficerem. Potem przysłali czterech podporuczników; banda pieprzonych żółtodziobów prosto po szkółce. Wyglądali na jakieś szesnaście lat. A wreszcie podesłali jeszcze stu szeregowców, nawet bez jednego sierżanta, nie zdążyli jeszcze wysikać wody, którą wypili w szkole piechoty. No więc mnie przeniesiono na tyły. Duchu... gdzie ciebie posłali?

- Do rozładowywania statków na Wonder Beach - odparł Walker.

- Prawda. A Tony...

- Strzeliłem sam sobie w pieprzoną nogę - powiedział krótko Scorello. - Trafiłem pod sąd wojenny i spędziłem miesiąc w Long Binh.

Ben nic nie powiedział.

Siedzieli teraz w bardziej odprężonej atmosferze, wspominali wojnę, opowiadali o swoich rodzinach i pracy.

Beltran wyciągnął z kieszeni marynarki cygaro i wręczył je Tysonowi.

- Prawdziwe hawańskie. Mam tam kontakty - mrugnął konspiracyjnie. Ben przypomniał sobie, że Hernando lubił puszczać oko. - Nadal walczę z komunistami.

Finansuję przeciwników Castra. Wiem, co się należy tym bezbożnym świniom, nawet jeśli *maricones* z Waszyngtonu już to zapomnieli.

Tyson włożył cygaro do wewnętrznej kieszeni.

- Zabiliśmy sporo komunistów w Hue - stwierdził Beltran - więc na co teraz, do cholery, narzekają?

Najwyraźniej nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Poruczniku - odezwał się wreszcie Walker - chcemy, żebyś wiedział... no, rozmawialiśmy i stwierdziliśmy, że to jest niczyj interes, co się tam stało. Będziemy stać za tobą jak mur, tak samo jak ty stałeś za nami.

- Kiedy cię ewakuowali - dodał Kalane - powiedziałem chłopakom, że będziesz sypał. Ale żandarmi nigdy nie zjawili się i my o tym nie zapomnimy.

- Choćby mieli mnie torturować - Beltran powiódł wzrokiem po zebranych wokół stołu mężczyznach - prażyć na wolnym ogniu, nigdy nie zdradzę tego człowieka.

- Gdy major Harper zatelefonowała do mnie - powiedział Sadowski - o mało nie narobiłem w portki. - Roześmiał się i spojrzał na Bena. - Mój prawnik wyjaśnił mi, że to ciebie złapali za jaja, nie nas. Mój pieprzony adwokat poradził mi współpracować z rządem.

Kilka głów przytaknęło jego słowom.

- Ale ja powiedziałem mu, gdzie może sobie to wsadzić.

Tyson odnosił wrażenie, że wszyscy oni chcą dać mu do zrozumienia, jaką mu robią łaskę. Albo przynajmniej, że odpłacają za to, co on zrobił. Ale gdyby nie starli z powierzchni ziemi szpitala pełnego ludzi, nie musieliby mu za nic odpłacać. Spojrzał na Scorella, który jak dotąd nic mu nie zaofiarował.

- Przestańcie z tym pieprzeniem - powiedział Tony. - Nie powiemy, bo... bo mamy rodziny i pracę, którą moglibyśmy stracić, i w ogóle. Ja pracuję dla liberałów. I od kiedy ta sprawa wypłynęła, a razem z nią moje nazwisko, zrobiło się trochę gorąco. Jasne, że pomożemy porucznikowi. Ale przyjechaliśmy tu głównie po to, by jeszcze raz uratować własne tyłki. - Spojrzał na Bena. - Kiedy wysłali mnie do Wietnamu, zostawiłem w Stanach dzieciaka. Teraz już jestem po rozwodzie, a on - syn - ma dwadzieścia jeden lat. Opowiadałem mu różne historyjki, niektóre nie bardzo niewinne, ale teraz chce wiedzieć, co robiłem tam piętnastego lutego.

- Ja mam bardzo wrażliwą żonę - powiedział Sadowski. - Ciągłe płacze, gdy ogląda to gównno w telewizji. A kiedy mówią, żeśmy zabijali dzieci... - Paul odchrząknął. - To

śmierdzi.

Beltran pomasaował swój podwójny podbródek.

- Niczemu dobremu takie gadanie nie służy - powiedział. -Wszyscy dobrze wiemy, co musimy zrobić. Może tobie to uratuje reputację. W Miami nikt się mnie nie czepiał. Więc ja to robię wyłącznie dla Bena Tysona. - Kiwnął zdecydowanie głową.

Tyson nie mógł się nadziwić, że jest to ten sam człowiek, który chciał się w szpitalu zastrzelić. No cóż, pomyślał, ludzie dorosleją.

- Mam ochotę zabić tego pieprzonego Doktora - wybuchnął nagle Sadowski. - I to czerwone gówno.

Wszyscy patrzyli na Bena, jakby oczekując, że zawtóruje mu. Ale nic nie powiedział.

- Znam facetów w Chicago, którzy mogą połamać ręce i nogi tym pieprzonym... ale ja chcę... załatwić ich dokładnie. - Paul zwrócił się do Beltrana: - Może ty masz kogoś, kto mógłby to zrobić?

Hernando usiadł, składając ręce na brzuchu. Powoli kiwnął głową, a potem mrugnął.

Tyson spojrzał na nich, na każdego po kolei. Gdyby siedziało tu pięciu przypadkowych mężczyzn, z których żaden nie był w Wietnamie, na pewno przeżyliby szok, słysząc, dokąd zmierza rozmowa. Ale to nie było pięciu przypadkowych mężczyzn.

- Tylko Doktor - powiedział Walker. - Czerwonego nie. To się powinno stać jeszcze przed sądem ~ powiedział ochryple Scorello.

- Zapłacę za to. - Kalane spojrzał na Beltrana. - Ty wszystko przygotuj.

- Nie sądzę, żebyśmy się po tym poczuli lepiej - Ben uznał, że ktoś powinien powiedzieć wreszcie coś rozsądnego.

- Daliśmy nasze słowo, Ben. - Louis pochylił się nad stołem. - Nie zgrywaliśmy się. Ten pieprzony Brandt też złożył przysięgę. Dlaczego, u diabła, mu się wydaje, że może ją ot tak sobie złamać, bez żadnych konsekwencji?

Tyson pomyślał, że to nie jest najlepsza chwila na wyznanie, że jemu Corva też kazał opowiedzieć całą historię, jeśli zostanie postawiony w stan oskarżenia.

- Posłuchaj, Ben - powiedział Kalane - tamtej nocy, po tym, co robiliśmy w szpitalu, życzyłem ci śmierci. Nie dlatego, żebym cię nie lubił. Bardzo cię lubiłem. Ale siebie lubiłem bardziej. Gdybym ja zrobił to, co Brandt, też bym zasłużył, żeby mnie załatwić.

Tyson rozejrzał się po zebranych. Odezwał się wreszcie, używając tonu, w którym jak

miał nadzieję, został jeszcze cień dawnego spokojnego autorytetu:

- Raz was osłaniałem, ponieważ raz nie sprawdziłem się jako dowódca. Ale już więcej tak się nie stanie. Jeśli cokolwiek przytrafi się Brandtowi albo Farleyowi, możecie równie dobrze umieścić i mnie na tej liście, ponieważ, Bóg mi świadkiem, tym razem wpakuję was do więzienia.

Nikt nie spojrział na niego ani się nie odezwał. Wreszcie Scorello odważył się.

- Wystarczy tego wszystkiego, na litość boską, Dość takiego gadania. Nie jesteśmy zabójcami.

Najwyraźniej nikt nie wiedział, jak zareagować na to zaskakujące stwierdzenie. Ben wpatrywał się w błękitny dym unoszący się nad stołem, jego wzrok powędrował na sufit z małymi krążkami grubego szkła przypominającymi dna butelek.

Tyson podniósł wzrok na mały otwór w suficie bunkra, przez który przedostawało się światło, i przypomniał sobie jasną gwiazdę na nocnym niebie w Hayden Planetarium. Przypuszczał, że dziurę musiał zrobić pocisk, który trafił bezpośrednio w grubą na stopę ścianę, prawdopodobnie podczas jakiegoś dawno zapomnianego spotkania między Francuzami a siłami Mina.

Ktoś zapalił zapałkę, nagły błysk zaskoczył siedzących mężczyzn. Zapłonęła świeca, wosk kapał na podłogę. Mały płomień wydawał się niezwykle jasny, na ściany padały cienie mężczyzn.

Ben zapalił papierosa zapalniczką, którą otrzymał od swego plutonu. Taaa, ponieważ przeszedłem dolinę śmierci, nie boję się już niczego... ponieważ ja jestem najgorszy.

Oparł się o lepki beton, nogi podciągnął pod brodę. W przyćmionym świetle przyglądał się po kolei swoim ludziom: Kelly po jego prawej ręce, Brandt po lewej, obaj oparali plecami o ścianę. Dalej wzdłuż ściany siedzieli Beltran, Scorello, Sadowski, Holzman, Brontman, Selig, Walker, Simcox, Kalane, Santos, Manelli i DeTonqa. Po drugiej stronie, pomiędzy owiniętymi w poncho ciałami Cane'a i Petersona, usadowił się Farley. Przed nim na ziemi leżał pojękując Moody. Tyson pochylił się nad Brandtem.

- Czy dotrzyma do rana? - zapytał cicho.

- Boję się tylko zakażenia krwi - odpowiedział szeptem medyk. - Poza tym wszystko z nim w porządku.

Ben pochylił się nad Moodym.

- Jak się czujesz, mały? - zapytał.

Minęło dobre kilka sekund, zanim Bob zebrał się do odpowiedzi, przedzierając się przez mgłę wywołaną morfiną.

- Och... poruczniku... czuję się źle i dobrze... wyślijcie mnie do domu... zwolnijcie mnie...

- Dobrze - powiedział Tyson.

- Do domu. Niech pan podpisze rozkaz.

- Dobrze, obaj z Doktorkiem podpiszemy rozkaz.

- Browder też.

- Browder też - powiedział Ben.

- Nie zróbcie mnie w konia.

- Nie zrobimy. - Tyson pochylił się nad Brandtem i zapytał szeptem: - Do domu?

- Nie - odparł medyk. - Za kilka tygodni będzie mógł wrócić. Powierzchnowa rana. Groźne może być tylko zakażenie.

Ben oparł się znowu o ścianę i wyciągnął papierosa. Na wysokości oczu znajdowały się cztery wąskie nacięcia na karabiny i DeTonqa patrzył teraz przez jeden przyglądając się Hue, a Sadowski po drugiej stronie spoglądał w kierunku An Ninh Ha. Tyson widział przez otwory ognie i flary nocnej bitwy, słyszał osaczającą artylerię i atak z powietrza. Przebiegło mu przez myśl, że nie jest dobrze, kiedy tylko dwóch sierżantów z jego plutonu robi to, co im rozkazał.

- Doktorku - odezwał się cicho Scorello.

- Taaa...

- Czy oni będą śmierdzieć?

- Tak - odparł Brandt. - Są martwi.

- Nie możemy położyć ich na zewnątrz?

- Nie! - głos Farleya przeciął wilgotne powietrze. - Zjedzą ich zwierzęta.

- Wobec tego włóżmy ich w podwójne worki - zaproponował medyk. - Dwa związane na końcach. Ale nic nie gwarantuję.

Kilku mężczyzn zbliżyło się do ciał, zapakowali je zgodnie z instrukcjami Brandta.

Ben zgasił papierosa na betonowej podłodze i wyczuł swoją automatyczną czterdziestkępiątkę w kaburze. Zastanawiał się, czy pozostali wiedzą, że Kelly mu ją oddał. Rozmyślał również nad tym, czy użyłby jej, a nawet czy miałby szansę jej użyć. Słyszał wokół siebie szepty i miał wrażenie, że przerwałby je dopiero strzał. Wyjął książkę zapisów z tylnej kieszeni, wyciągnął przed siebie nogi, zrobił notatki, a potem wsunął ją za pasek.

Noc mijła wolno. Ściągnęli buty, wysuszyli nogi, zmienili skarpety i naciągnęli znowu buty. Zapalono parę kostek paliwa i ugotowano nad nimi kilka kubków wody. Zapach herbaty, kawy i kakao mieszał się z niezdrową wonią paliwa, stęchlizną betonu i smrodem strachu wydzielanym przez siedemnaście ciał.

Kilku żołnierzy zaczęło grać w karty, ale wkrótce przestało. Kilku następnych zajęło stanowiska przy szczelinach. Paru wyszło na dwór, żeby się odlać lub zwymiotować. Towarzyszył temu ciągły pisk dochodzący z radia nastawionego na najniższą słyszalność. Co pół godziny zgłaszał się radiooperator Browdera żądając meldunku sytuacyjnego.

Tyson poczuł kwaśny zapach miejscowej marihuany, ale nie sądził, by udało mu się ją skonfiskować. Prawdę mówiąc, im więcej palili, tym bardziej woń ta mu odpowiadała. Wyciągnął z plecaka piersiówkę szkockiej, pociągnął łyk i podał ją Kelly'emu. Radiooperator napił się i przekazał butelkę w prawo. Kiedy obeszła koło i dotarła do Brandta, była już całkiem pusta.

- Mam nadzieję, że Charlie nas nie trafią - powiedział ktoś i roześmiał się.

Pozostali zawtórowali mu, ale Ben pomyślał, że śmiech brzmi dość niemrawo.

- Mustang-Jeden-Sześć-India - radio ożywiło się znowu. - Tu Sześć-India - powiedział głos, identyfikując się jako operator Browdera. - Szóstka do szóstki. - Kelly zawahał się, ale wręczył radiotelefon Tysonowi.

W bunkrze zapanowała kompletna cisza i nagle wypełnił go głos Browdera, niski, wyraźny, tak jak to się zdarzało tylko w nocy:

- Jeden-Sześć, tu Sześć. Podaj mi szczegóły waszego kontaktu z wrogiem. Rozkaz od dużej Szóstki.

Ben oblizał wargi.

- Zrozumiałem. Nie możemy z tym poczekać do jutra? Staramy się zachowywać cicho.

- Zrozumiałem. Przekażę do batalionu. Twój ludzie w porządku?

- Zrozumiałem. Jestem tutaj na nasłuchu. Strasznie dużo oddziałów się kręci. Może jak następnym razem nawiążemy kontakt, będzie dobrze słyszeć - odpowiedział Tyson, mając nadzieję, że jego głos brzmi niecierpliwie.

- Zrozumiałem. Trzymaj się. Świt niedługo.

- Zrozumiałem, koniec połączenia.

- Zrozumiałem, wyłączam się.

Ben oddał radiotelefon Kelly'emu.

- Kiedy podeszliśmy do szpitala - powiedział Daniel - trafiliśmy pod ciężki obstrzał. Peterson i Moody zostali trafieni. Ukryliśmy się i odpowiedzieliśmy ogniem. W budynku przebywała znaczna liczba wrogów. Nie wiedzieliśmy, że to szpital. Poruczniku?

- W budynku przebywała duża grupa nieprzyjaciół - głos Tysona rozbrzmiewał w cichym bunkrze. - 'Zdecydowałem się na atak. Strzelaliśmy i przemieszczaliśmy się w kierunku budynku. Wdarliśmy się do środka i rozpoczęło się zdobywanie kolejnych pomieszczeń. Sadowski?

- Weszliśmy do budynku i walczyliśmy o każde pomieszczenie. DeTonqa?

- Weszliśmy do budynku i walczyliśmy o każde pomieszczenie. Beltran?

- Weszliśmy do środka i walczyliśmy o każde pomieszczenie. Kalane?

Litania ciągnęła się. Ben słuchał. Kiedy doszła z powrotem do niego, dodał kolejną linijkę i znowu kongregacja ją powtarzała.

Godziny mijały, częściowo na zamysłonym milczeniu, częściowo na budowaniu ze szczegółów tego, co wydarzyło się w szpitalu. Tyson zauważył, że ciała zawinięte w podwójne worki wzdęły się jak balony. Spostrzegł też, że jego ludzie zachowują się jak w letargu - naturalna reakcja po zmęczeniu, marihuanie i stresie. Godzili się ze wszystkim, co mówił. Godzina po godzinie odzyskiwał nad nimi kontrolę. Fałszywy świt, charakterystyczny dla tropików, przedarł się przez otwory wychodzące na wschód, a potem nastąpiła ta najczarniejsza godzina.

- Budynek spalił się dokumentnie - powiedział Ben - i nie da się wyciągnąć żadnej broni ani ciał. Ale oceniam, że nieprzyjaciół było około dwudziestu.

- Brzmi nieźle, co ty na to, Ski? - zapytał Kelly.

Sadowski naprawdę wyglądał, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Czy liczysz tych dwóch, których Kalane zabił odłamkowym?

- Zgłosiłem tych dwóch, prawda, poruczniku? - dopytywał się Louis.

- Tak - odparł Tyson. - Policzyłem ich. - Zapalił papierosa i wypił trochę letniej wody. -

Ruszyliśmy w stronę Hue za uciekającym nieprzyjacielem, ale zgubiliśmy ślad.

- Właśnie - wtrącił DeTonqa. - Zauważyłem ten stary bunkier na wpół przykryty ziemią i postanowiliśmy go sprawdzić.

- Podeszliśmy ostrożnie - dodał Beltran. - Walker wrzucił granat odłamkowy do środka, a potem wdarliśmy się.

- Był pusty - powiedział Walker. - Więc postanowiliśmy tu przeczekać, ponieważ ledwo się już trzymaliśmy na nogach.

Ben wyjrzał przez otwór. Ognie na nocnym niebie bladły wraz z jasnością dnia. Deszcz przestał już padać, a na zewnątrz panował dziwny spokój, nieprzyjaciel jak zwykle rankiem wycofywał się.

Tyson patrzył przez chwilę na roztopioną świecę. Potem nie wstając z kucek przeszedł na środek bunkra. Kelly, a następnie Sadowski przyłączyli się do niego, za nimi ruszył DeTonqa, a wreszcie i pozostali. Ben wyciągnął rękę, radiooperator położył swoją dłoń na dłoni porucznika. Tyson przyglądał się, jak każdy z mężczyzn w kręgu dokłada swoją. Chybocząca się świeca oświetlała ich twarze. Nie potrafili powiedzieć, co czuł do tych mężczyzn, ale dominowało chyba współczucie. Odezwał się wyważonym tonem:

- Damy swoje słowo, jako żołnierze, jako bracia, jako towarzysze broni, jako mężczyźni, jako przyjaciele, jako wspólnie cierpiący i może jako chrześcijanie. I wiemy, na co dajemy to słowo. Przysięga ta będzie nas obowiązywała zawsze. Kelly?

- Daję moje słowo. Doktoru?

- Daję moje słowo. Sadowski? - Daję moje słowo. DeTonqa?

- Daję moje słowo. Beltran?

- Każdy z nas mógł pójść z tym do pułkownika i wsypać pozostałych - powiedział Hernando Beltran. - Ale tamtej nocy daliśmy sobie słowo. I nasze usta pozostaną zamknięte aż do śmierci. Nie powiedziałem o tym nikomu, nawet księdzu. I noszę ten śmiertelny grzech na mojej duszy... zabijanie zakonnic... i muszę modlić się dzień po dniu, żeby Bóg mi to wybaczył, kiedy go spotkam. A jeśli tego nie zrobi, jestem zgubiony na całą wieczność. To zrobiłem dla nas.

Tyson pozwolił mu mówić przez dobrą chwilę.

- Dość - przerwał gwałtownie. - Porozmawiamy na temat Brandta innym razem. - Zmienił temat na bardziej doczesny. - Gdzie się zatrzymaliście?

- Wojsko przydzieliło nam pokoje gościnne w jednostce - odpowiedział Sadowski. - Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem. Ale adwokat chciał zrobić ci niespodziankę.

- Chcę was wszystkich zaprosić do kubańskiej restauracji w mieście, nazywa się Victor. A potem pójdziemy w inne świetne miejsce na inny przysmak. - Beltran odwrócił się w stronę Bena, ale ten zdążył mrugnąć pierwszy i Hernando roześmiał się. - Pójdziesz?

- Nałożyli na mnie areszt domowy. Ale mogę was zabrać na kolację do klubu dziś wieczorem - powiedział Tyson.

- Nie wpuszczają tam szeregowców, poruczniku - uśmiechnął się Kalane.

- Wpuszczą energicznych rozrabiaków, którzy od dawna są już w cywilu - odparł Ben.

Wszyscy się roześmieli. Przez chwilę rozmawiali o niczym. Otworzyły się drzwi i wszedł Corva. Rozejrzał się wokół, wreszcie zatrzymał wzrok na Tysonie.

- Kolejny pieprzony oficer! - zawołał Sadowski. - Co, Vince?

- Pewnie, Ski. Porucznik pierwszego stopnia, piechota. Dwudziesty Piąty Dywizjon - Błyskawica Dżungli. Najlepsza jednostka w całym pieprzonym Wietnamie.

Pozostałych pięciu mężczyzn zaczęło tupać i gwizdać.

- Najlepsza była Kawaleryjska - powiedział Beltran. - Jeśli byłeś w Wietnamie, dobrze wiesz.

- Charlie robił pod siebie - dodał Kalane - kiedy my nadchodziliśmy.

Adwokat wskazał na naramiennik Bena z naszywką Pierwszej Kawaleryjskiej. Emblemat w kształcie łuski, a nad nim czarny pasek i czarna głowa konia na tle w kolorze zwanym żółtym kawaleryjskim.

- Widzicie? - Klepnął końską głowę. - To jest koń, na którym nigdy nie jeździliście... - przejechał palcem po ukośnym pasku - ...a to linia, której nie utrzymaliście. A żółte mówi samo za siebie.

- A gówno! - zachnął się Sadowski.

- Pieprz się! - powiedział Kalane.

- Gównojad - skwitował Walker.

- Tylko żartowałem. - Corva podniósł do góry rękę. - Stary wojskowy kawał. Każdy zazdrościł tym, którzy byli w Kawaleryjskiej.

- Pieprzona prawda - powiedział Kalane.

- No, czas już iść. - Adwokat spojrział na zegarek. - Byłbym wam wdzięczny, gdybyście się tutaj pokręcili w pobliżu - zwrócił się do pięciu mężczyzn - choć nie sądzę, żebym was wzywał.

Tyson podniósł się, pozostali również. Beltran wyciągnął ćwiartkę rumu ze swojej teczki i rozlał go do siedmiu czystych kubeczków.

- Mały toast, panowie - podniósł małe kubeczek w swej przypominającej bochen ręce. - Za tych, co nie żyją, niech mi Bóg przebaczy, ale nie pamiętam już wszystkich nazwisk, ale On wie.

Wypili.

- Powodzenia, poruczniku - powiedział Walker.

Corva odstawił kubeczek i sięgnął po teczkę.

- Pierwsza Kawaleryjska wjeżdża w dolinę śmierci.

Ben uściskał kolejno ręce wszystkich mężczyzn i wyszedł z Vince'em.

- Dobrze zobaczyć dumną jednostkę - stwierdził na korytarzu Corva.

- I to po prawie dwudziestu latach. Ciekawe.

- Prawda? Nie zaszkodzi nam trochę dumy w sądzie. Czy była to radosna niespodzianka? - dopytywał się adwokat.

- Miałem ochotę zdrowo cię obić.

- Ale wyglądasz, jakbyś się dobrze bawił.

- No cóż... Kiedy zaskoczenie minęło, ucieszyłem się, że ich widzę.

- Wyglądają na niezłą bandę.

Tyson przez chwilę szedł w milczeniu.

- Oni wszyscy są mordercami - powiedział wreszcie.

- Tak, ale są naszymi mordercami.

Wspięli się po schodach i zatrzymali wreszcie przed salą z napisem „Stonewall Jackson”.

- Kiedy wejdiesz, patrz wszystkim prosto w oczy - powiedział Corva. - Nie ma potrzeby salutować pułkownikowi Gilmerowi. Nasz stół znajduje się po prawej stronie od wejścia. Jakies pytania?

- Jak ja się tu dostałem?

- Przeszedłeś długą drogę. - Adwokat otworzył drzwi i weszli do środka.

Rozdział 40

Był to duży, piękny pokój z wypastowaną i wyfroterowaną do połysku drewnianą posadzką. Używano go do nieformalnych spotkań lub przyjęć w męskim gronie. Jedna ściana była z czerwonej cegły, a pośrodku wznosił się kominek z kamieni polnych. Pozostałe ściany wyłożono boazerią z ciemnego drewna. Kominek stał pomiędzy francuskimi oknami zwieńczonymi półkoliście. Ponad nim, stosownie do miejsca, wisiał olejny portret Thomasa „Stonewall” Jacksona, który zanim wyruszył na Południe, służył kiedyś w Forcie Hamilton.

Przed kominkiem ustawiono podium, na którym stał teraz pułkownik Farnley Gilmer. Po jego prawej ręce przy małym stoliku siedziała major Karen Harper.

Tyson i Corva zajęli swoje miejsca przy długim bankietowym stole pod ścianą po prawej stronie od wejścia. Dokładnie na wprost nich, pod ścianą stał drugi długi stół, przy którym zasiadali pułkownik Pierce, major Weinroth i kapitan Longo. Po ich lewej stronie,

nico z przodu zajęła miejsce protokolantka, młoda szeregowka o jasnych włosach, piegowata i sexy. Jej biurko było nieco obdrapane i przypominało Benowi biura w Wietnamie. Poza mundurami, tym biurkiem i być może portretem Jacksona nic nie wskazywało, że odbywa się sąd wojskowy.

Stoły bankietowe przykrywały długie do ziemi, białe, płócienne obrusy. Tyson czuł w powietrzu leciutką woń piwa i dymu papierosowego.

W najodleglejszym kącie pokoju złożono około setki krzeseł. Jedno z nich, rozłożone, stało pomiędzy stołami zajętymi przez przedstawicieli obrony i oskarżenia, przodem do podium. Jak przypuszczał Ben, było to miejsce dla świadka. Za stołem Karen Harper, na stojaku zamocowana była flaga amerykańska.

Pomiędzy flagą a drzwiami stał w zmodyfikowanej pozycji na spocznij, stosowanej podczas parad, młody sierżant Murzyn w zielonym mundurze. Tyson przypuszczał, że stał on na straży, choć nie widać było by miał jakąś broń, jak to normalnie bywało w zwyczaju podczas rozpraw sądów wojskowych, których był świadkiem.

Zauważył, że obrona, prokuratorzy i zespół sędziowski zostali na tyle odsunięci od siebie, by prywatne rozmowy, prowadzone ściszym głosem, nie mogły być słyszane przez innych.

Pułkownik Gilmer zerknął na zegarek.

Ben spojrzał na Karen Harper, ale miała głowę schyloną nad papierami.

Pierce, Weinroth i Longo konferowali zawzięcie. Protokolantka wystukała kilka liter na maszynie. Vincent Corva robił notatki na marginesie jakiegoś zadrukowanego papieru. Nagle odłożył ołówek i zwrócił się w stronę Tysona.

- Pistacje zamiast pistoletów - wyszeptał. - Musiałeś to zrozumieć.

- Dzień dobry - odezwał się pułkownik Gilmer. - Zebraliśmy się tu żeby przeprowadzić formalne śledztwo w sprawie zarzutów przeciwko porucznikowi Benjaminowi J. Tysonowi, stosownie do artykułu trzydziestego drugiego Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego.

- Poruczniku - pułkownik spojrzał na Bena - został pan poinformowany, że ma pan prawo być reprezentowany przez cywilnego adwokata na własny koszt lub wojskowego obrońcę, którego sam pan wskaże, jeśli ta osoba jest dostępna, albo przez wojskowego obrońcę wybranego spośród prawników Izby Wojskowej w Forcie Dix. Oświadczył pan, że pragnie być reprezentowany przez pana Vincenta Corvę z miasta Nowy Jork.

Tyson przez chwilę przyglądał się Gilmerowi. Pułkownik musiał mieć około sześćdziesiątki, miał krótkie, siwe włosy i miłą kwadratową twarz o tępych wyrazie.

- Proszę pokazać protokolantce, że pan Corva jest tutaj obecny. - Gilmer spojrział na adwokata. - Panie Corva, czy mógłbym prosić, żeby wystąpił pan krok do przodu i potwierdził swoją obecność, wypełniając punkt trzeci oficjalnego Raportu Śledczego.

Adwokat wstał i podszedł do stolika Harper. Zamienili kilka słów, których Ben nie usłyszał, po czym major wręczyła Corvie formularz.

Tyson spojrział przed siebie i napotkał wzrok pułkownika Pierce'a wpatrującego się w niego melancholijnie. Ten z kolei nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat, mało jak na pułkownika. Jego kasztanowe włosy były zbyt długie niezgodnie ze standardami armii. Używał okularów, ale Ben złapał go na tym, że czytał także bez nich. Jego cera była uderzająco rumiana, ale nie wiadomo, czy w wyniku zbyt długiego przesiadywania na słońcu, czy też wysokiego ciśnienia. Vince wrócił do stołu i usiadł.

Pułkownik Gilmer sięgnął po instrukcję procedury i zaczął czytać, zerkając na Tysona.

- Poruczniku, chciałbym panu przypomnieć, że moją jedyną rolą jako oficera śledczego, zgodnie z artykułem trzydziestym drugim, jest dokonanie dogłębnej i szczegółowej oceny wszystkich związanych ze sprawą faktów, rozważenie tych faktów i zbadanie, czy fakty te potwierdzają zarzuty oskarżenia. Mam również ocenić formę aktu oskarżenia i ustalić, czy i w jakim kształcie zarzuty będą panu przedstawione. Teraz przeczytam panu zarzuty, które zostały sformułowane podczas wstępnego śledztwa. Są one następujące: Pogwałcenie Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, artykuł sto osiemnasty, morderstwo. Opis pierwszy. - Gilmer rozpoczął czytanie długich i pokrętnych zdań.

Ben odwrócił się i skupił wzrok na major Judith Weinroth. Oceniał ją na jakąś czterdziestkę. Nie nosiła obrączki, ale w dzisiejszych czasach to o niczym nie świadczyło. Mundur leżał na niej okropnie i Corva miał rację, mówiąc, że powinna się udać do kosmetyczki. Miała bardzo poważny wyraz twarzy, typowe spojrzenie profesjonalistki, której nie obchodzi nic poza sprawami zawodowymi. Ale nagle zauważył, że gdy Pierce wyszeptał jej coś do ucha, twarz kobiety rozświetlił najśliczniejszy, dziewczęcy uśmiech, jaki Tyson kiedykolwiek widział. W jednej chwili wypiękniała. Ale uśmiech zbladł i piękno gdzieś także znikło.

Pułkownik zakończył czytanie drugiego opisu.

- Poruczniku Tyson - powiedział - teraz pokażę panu akt oskarżenia i opisy.

Karen Harper wstała i po lśniącej podłodze przeszła przez pokój. Zatrzymała się przed Benem i podała mu druk z oskarżeniem. Tyson wyciągnął po niego rękę i w tym samym momencie odwrócił się do adwokata.

- Czy my już tego nie mamy? - zapytał.

- Zawsze się może przydać - powiedział Corva.

Protokolantka parsknęła śmiechem, a Gilmer wyglądał na rozdrażnionego. Harper też wydawała się niezadowolona i nie omieszkała tego wyrazić wzrokiem, zanim zrobiła zwrot i wróciła na swoje krzesło.

Pułkownik odczekał pełną minutę, podczas której Tyson powinien był przeczytać akt oskarżenia. On zaś w tym czasie przyglądał się Salvatoremu Longo. Kapitan był młody, miał jakieś dwadzieścia kilka lat, prawdopodobnie był dopiero co po studiach. Jego mundur był znakomicie skrojony, a kręcone kruczoczarne włosy znakomicie ostrzyżone. Jego skóra miała ten intensywny kolor opalenizny charakterystyczny dla ludzi, którzy dużo żeglują. Ben nie uważał go za przystojnego, ale nie wątpił również, że kapitan Longo nie ma kłopotów z kobietami.

Pułkownik Gilmer znowu sięgnął do papierów ukrytych pod blatem.

- Poruczniku Tyson - powiedział - oświadczam panu, że nie jest pan zobowiązany zeznawać i że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu w czasie przewodu sądu wojskowego. Ma pan prawo milczeć. Jednakże może pan złożyć zeznanie, zarówno zaprzysiężone, jak i nie, i powiedzieć wszystko, co pan chce, zarówno w swojej obronie, a także jeśli chce pan uzupełnić sprawę lub osłabić oskarżenie. Jeśli złoży pan zeznanie, cokolwiek pan powie, zostanie rozważone przeze mnie jako dowód, podobnie jak zeznania innych świadków. - Pułkownik nalał sobie szklankę wody.

- Jakie pierwsze pięć słów słyszy Murzyn - szepnął Corva Benowi do ucha - po włożeniu garnituru z kamizelką?

- Co?

- Czy oskarżony mógłby wstać?

- Zamknij się - powiedział Tyson do Vince'a zakrywając usta dłonią.

Gilmer patrzył na stół, przy którym siedział Ben i jego obrońca, z wyraźną niecierpliwością.

- Poruczniku Tyson, czy pan mnie słyszy?

- Tak jest, sir.

- To dobrze. Pański adwokat, pan Corva, i prokuratorzy strony rządowej, pułkownik Pierce, major Weinroth i kapitan Longo, otrzymali uprzednio kopie akt śledztwa pańskiej sprawy. Zawierają one złożone pod przysięgą zeznania doktora Stevena Brandta...

- Sprzeciw. - Corva wstał.

Brwi pułkownika Gilmera podjechały w górę w wyrazie zdziwienia.

- Jaki sprzeciw, panie Corva?

- Sprzeciwiam się używaniu tytułu doktora w odniesieniu do Stevena Brandta.

- Czy... Steven Brandt nie jest doktorem medycyny?

Być może jest. To nie ma znaczenia dla sprawy. W czasie kiedy miał miejsce domniemany incydent, prawie dwadzieścia lat temu, Steven Brandt był specjalistą czwartego stopnia. Jeśli mój klient pozostał porucznikiem, w takim razie trzymajmy się również rangi Brandta z tamtego czasu. Lub możemy o nim mówić „pan”. Sądzę, że moje stanowisko jest zrozumiałe.

Pułkownik czynił wyraźne wysiłki, by dokładnie pojąć słowa prawnika.

Podniósł się pułkownik Pierce.

- Panie Corva... czy dobrze mówię? Panie Corva. A może woli pan *signore*?

Weinroth i Longo roześmieli się.

- Możesz mówić do mnie Vince, Graham.

Tym razem protokolantka parsknęła śmiechem.

Gilmer wyglądał, jak ktoś, kto bardzo chce uderzyć młotkiem, ale go nie ma.

- Panowie, rozprawa prowadzona na podstawie artykułu trzydziestego drugiego jest nieco nieformalna, ale nie przesadzajmy. Pułkowniku Pierce? Słucham pana.

- Chodzi mi o to, że sprzeciw pana Corvy jest gierką. Jeśli obrona uważa, że używanie tytułu Stevena Brandta świadczy o uprzedzeniu do jego klienta, sugerowałbym, że adwokat odczuwa zbyt duży szacunek do lekarzy. Na przykład ja potrafię myśleć lekarzom jako arogantach, ludziach pozbawionych wrażliwości i omylnych.

Pułkownik Gilmer spojrzał w stronę adwokata.

- Zastanawiam się, czy pułkownik Pierce powtórzyłby te słowa przed swym koronnym świadkiem - powiedział Corva.

Tym razem Gilmer uśmiechnął się. Karen Harper wstała i podeszła do niego. Konferowali przyciszonymi głosami.

- Major Harper poinformowała mnie - odezwał się wreszcie pułkownik - że porucznik Tyson postawił sam tę kwestię, zanim jeszcze był reprezentowany przez pana Corvę. Możemy więc przyjąć, że oskarżony przejawia silną niechęć do używania tytułu Stevena Brandta w czasie procesu, a ja potrafię zrozumieć jego uczucia. W takim razie od tej chwili

wszyscy będziemy używać w odniesieniu do Stevena Brandta określenia „pan”. Sprawę uznaję za zamkniętą.

- Akta sprawy zawierają - rozpoczął jeszcze raz Gilmer - zaprzysiężone zeznanie pana Stevena Brandta, pana Richarda Farleya, pana Paula Sadowskiego, pana Anthony'ego Scorella, pana Hernanda Beltrana, pana Lee Walkera i pana Louisa Kalane'a. A także nie zaprzysiężone zeznanie pana Andrew Picarda. Jak również kilka dokumentów związanych ze sprawą, listy i inne materiały, zbyt liczne, by je kolejno wymieniać. - Pułkownik spojrział na Corwę. - Czy pan się z tym zgadza?

- Tak jest. sir.

- Nie zamierzam wzywać na świadków pana Brandta ani Farleya, tylko rozpatrzeć ich zaprzysiężone zeznania, zanim poweźmę decyzję dotyczącą oskarżenia. - Gilmer zwrócił się do Bena i Vince'a. Ale choć nie zamierzam wzywać pana Brandta ani pana Farleya, waszym prawem jest możliwość wzięcia ich w krzyżowy ogień pytań w sprawach ograniczonych do tego, co jest zawarte w zapisanych zeznaniach, jeśli ci świadkowie są dostępni. Jeśli takie jest życzenie waszej strony, powołam świadków w tym celu. Czy chcecie, panowie, bym wezwał pana Brandta lub pana Farleya albo ich obu jako świadków?

Corva przez chwilę naradzał się z Tysonem.

- Możemy poprosić, żeby byli obecni, ale zanim ich ściągną, minie tydzień.

- Myślałem, że to prokurator wzywa świadków oskarżenia.

- Nie, Gilmer wskoczył pod swój parasol sędziego okręgowego. Nie zauważyłeś? On wzywa świadków oskarżenia albo ich nie wzywa. Oczywiście po uprzednim uzgodnieniu sprawy z prokuraturą.

- Wpatruję się w amerykańską flagę, żeby przypomnieć sobie, gdzie jestem - powiedział Ben.

- Pomyślałem, że dam ci się jej trochę przyjrzeć, żebyś mógł się jeszcze zastanowić nad naszą strategią. Parę minut temu Gilmer powiedział ci, że masz prawo złożyć zeznanie w celu złagodzenia lub zmniejszenia winy. Złapałeś to?

- To jest tak, jakby z góry zakładał, że jestem winny, ale być może będę chciał się usprawiedliwić.

- Mniej więcej. Cieszę się, że uważasz. Poza tym jeżeli powołam Brandta i Farleya, będę mógł ich wziąć w krzyżowy ogień pytań dotyczących jedynie tego, co jest w ich zeznaniach. W czasie rozprawy sądu wojskowego dobiorę się im do skóry naprawdę.

- Nie chcę tego przeciągać o tydzień - zgodził się z nim Tyson. - Jedźmy dalej.

Adwokat wstał.

- Prosimy o zapisanie, sir, że nie zgadzamy się z zaprzysiężonymi zeznaniami panów Brandta i Farleya i wnosimy o ich obecność. Jednakże odstepujemy od naszego prawa wzięcia ich w krzyżowy ogień pytań w celu uproszczenia rozprawy.

- Proszę zaznaczyć oświadczenie pana Corvy jako dowód w punkcie 6a - pułkownik Gilmer zwrócił się do major Harper. Potem spojrział na adwokata. - Wezmę pod uwagę pańskie oświadczenie przy podejmowaniu decyzji.

- Mam nadzieję, pułkowniku, że weźmie pan również pod uwagę, że przy tak poważnych oskarżeniach jak te, z którymi mamy tu do czynienia, oczekuje się wezwania świadków strony rządowej i postawienia ich w krzyżowy ogień pytań. Uznanie ich pisemnych zeznań za wystarczające jest dość zaskakujące.

Twarz Gilmera poczerwieniała lekko.

- W takim razie, czy chce pan ich wezwać i poddać krzyżowemu ogniu pytań, czy nie?

- Nie, sir. Uważam, że to pan powinien był ich wezwać i przesłuchać w obecności oskarżonego. Ale jeśli zeznania na piśmie są dla pana wystarczająco przekonujące, by oprzeć na nich oskarżenie, niech więc tak będzie. Chciałbym tylko, by moje zdziwienie zostało zanotowane.

Pułkownik wpatrywał się w Corwę.

- Jeśli pan pozwoli, pułkowniku - Pierce wstał - chciałbym z kolei wyrazić zdziwienie, że obrońca kwestionuje sprawy, które nie należą do jego gestii.

- Ani do pańskiej. - Adwokat uśmiechnął się do Pierce'a. - Pułkownik sam sobie poradzi.

Tyson oparł się o krzesło. Bawił się zupełnie nieźle, nawet jeśli nie można było tego powiedzieć o nikim innym na tej sali. Choć kiedy spojrział na protokolantkę, zauważył, że ona również dobrze się bawi. Podniosła wzrok znad maszyny i napotkała jego spojrzenie. Uśmiechnęła się.

Pułkownik Gilmer postukał palcami o pulpit.

- Czy obaj panowie mogliby zająć swe miejsca? - Spojrział na Corwę i powiedział tępym głosem: - Chce pan tutaj Brandta i Farleya? Tak czy nie?

- Nie, sir.

Ben pochylił się ku Vince'owi.

- Wyrzucasz wszystkim jaja?

Adwokat patrzył poprzez szerokość pokoju na Pierce'a i odpowiedział nie odrywając od niego wzroku:

- Chcę, żeby Pierce wiedział, że Vinnie Corva znowu jest w mieście. A jeśli chodzi o urywanie Gilmerowi jaj, on musi wiedzieć, że nie siedzimy tu ot tak sobie; że jeśli ma być prawdziwy sąd wojskowy, to obrońca zaatakuję postępowanie zarówno co do formy, jak i treści. Dzięki temu ludzie na górze mogą jeszcze zmienić zdanie na temat publicznej rozprawy.

- Mogę zapalić? - zapytał Tyson.

- Czemu nie? Gilmer i Pierce palą.

Ben wyciągnął długie, grube cygaro, które dostał od Beltrana, i zapalił je. Szare kłęby dymu uniosły się w powietrze.

Gilmer przez chwilę przyglądał się Tysonowi, najwyraźniej nie mogąc podjąć decyzji, czy powinien zakazać mu palenia. Wreszcie zdecydował się nic nie mówić, ale na jego twarzy malowała się wyraźnie dezaprobata. Wrócił do odczytywania procedury.

- Poruczniku Tyson, ma pan również prawo wezwać świadków i przedstawiać wszelkie możliwe dowody przemawiające na pańską korzyść. Przygotowałem wystąpienie świadków, o których prosił pan uprzednio. Jeśli chciałby pan przedstawić dodatkowych świadków, jak również wszelkie dowody związane ze sprawą, proszę nas teraz o tym poinformować.

Ben zauważył, że major Weinroth podniosła papiery i zaczęła się wachlować, odganiając dym sprzed twarzy.

- Pułkowniku Gilmer - powiedziała - czy mogłabym prosić, żeby w tej sali nie palono?

- Czy to cygaro jest panu potrzebne, poruczniku? - Gilmer spojrzał na Tysona.

- Obawiam się, że tak, sir. - Ben wstał.

- W takim razie zrobmy dziesięciminutową przerwę. Palimy w korytarzu.

Tyson i Corva wyszli przed salę, tuż za nimi wybiegła major Weinroth kierując się w stronę toalety.

- To było bardzo niedelikatnie z twojej strony - powiedział adwokat.

- Powiedziałeś, że mogę palić.

- Myślałem, że palisz małe papieroski.

- Dostałem cygaro od Beltrana. No i jak idzie, Vince?

- Nieźle. Gilmer jest wkurzony, a nawet ruszyłem trochę Pierce'a.

- To świetnie. A możesz już powiedzieć, czy uda ci się wyciągnąć mnie na wolność?

- Co nagle, to po diable, Ben.

Drzwi do sali rozpraw otworzyły się i stanęła w nich Karen Harper. Zawahała się, ale podeszła do nich.

- Witam panów.

- Czy nie robi się pani niedobrze od tej całej sprawy? - zapytał Tyson.

- Jesteście z siebie obaj bardzo zadowoleni, co? - odpowiedziała wymijająco.

- Niech pani da spokój, majorze - odpowiedział Corva. - Jeśli rozprawa jest farsą, co innego pozostaje, jak błaznować.

- To jest bardzo poważna sprawa i... uważam, że źle pan służy swojemu klientowi.

- Proszę nie martwić się o mojego klienta. Pani znajomość z nim jest zakończona.

Brwi Bena powędrowały w górę.

Karen odwróciła się do niego i przez chwilę patrzyli na siebie.

- Zażądałam, żeby Andrew Picard zeznawał dzisiaj - powiedziała wreszcie. Mam nadzieję, że to pomoże wyjaśnić trochę sprawę.

Tyson wyrzucił cygaro na podłogę i zdusił je obcasem.

- Czasami myślę, że jest pani jedyną osobą, której zależy na prawdzie i tylko prawdzie.

- Nie jestem pewna, że to jest także prawda. Ale jeśli tak, to wszyscy inni postępują niewłaściwie. Poza tym jeśli pan sam zdecyduje się dziś zeznawać, może wyjaśnimy przyczyny śmierci Lany'ego Cane'a.

Ben wciągnął powietrze, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

- Opowiadałem pani, jak umarł Larry Cane.

- No cóż, proszę o tym pomyśleć. - Odwróciła się i odeszła.

Na korytarz wyszedł Pierce, zrobił kilka kroków, zatrzymał się, a potem pomaszerował

z powrotem. Stał przed Corwą. Tyson zauważył, że przewyższa go co najmniej o głowę, a masą bije o jakieś trzydzieści kilogramów. Prokurator uśmiechnął się niesympatycznie.

- Wie pan, czego wtedy zapomniałem ustalić? Ile kroków major miał zamiar zrobić w tym pojedynku. Już po rozprawie dowiedziałem się, że z odległości dziesięciu kroków te kule zabijały, a więc broń można było potraktować jako śmiertelną. Pańska analogia do pojedynku na pomidory zrobiła wrażenie na zespole sędziowskim, ale była chybiona.

- Teraz, kiedy wyciągnął pan sprawę odległości, rzeczywiście stała się chybiona, pułkowniku. Naprawdę popełniłem błąd.

- Nie, panie Corva, to ja popełniłem błąd. Ale tym bardziej będę uważał teraz. Jestem pewien, że nauczył się pan czegoś przy okazji tamtej sprawy.

Pułkownik Pierce obrzucił adwokata spojrzeniem, które na pewno nie było przyjacielskie. Potem zatrzymał wzrok na Benie, uśmiechnął się z sekretnym zadowoleniem, a wreszcie odwrócił się i ruszył korytarzem.

Corva patrzył za odchodzącym.

- Ten facet za bardzo się wszystkim przejmuje. Powinien uważać na swoje ciśnienie.

- Czym on się tak przejmuje, Vince?

- W odróżnieniu od Van Arkena, który może jest idealistą, pułkownik Pierce jest egoistą. Ma temperament gwiazdy tenisa. Po przegranej staje się na miesiąc impotentem.

- To musi być kłopotliwe dla pani Pierce.

- Nie sądzę. Problem w tym, że prokurator działa na własną rękę, jeśli nie uda mu się, może oskarżać tylko siebie. Ale on wybiera i przebiera w sprawach bardzo ostrożnie. Żadna z nich nie jest bułką z masłem, ale również nie stanie w sprawie, która wydaje mu się niepewna.

- Inaczej niż ty, Vince.

- Inaczej.

- Ale podjął się oskarżać w mojej sprawie i to wtedy, kiedy najprawdopodobniej wiedział, że będziesz mnie bronił. Myślałem, że trochę go nastraszyłeś poprzednim razem.

- Wracajmy już - powiedział z uśmiechem Corva spoglądając na zegarek. - I przestań kokietować tę małą protokolantkę. Harper jest zła na ciebie.

Weszli do sali rozpraw i zajęli swoje miejsca. Po minucie wrócili również Karen Harper, major Weinroth i pułkownik Pierce.

- Podsumujmy - powiedział pułkownik Gilmer. Rozejrzył się po zebranych. - Poza zaprzysiężonymi zeznaniami świadków obrony i oskarżenia mamy nie zaprzysiężone zeznanie Andrew Picarda, którego rola w tej sprawie jest znana wszystkim stronom. Jako oficer śledczy mam prawo wezwać pana Picarda, żeby zeznawał w charakterze świadka dodatkowego. W interesie prawa, sprawiedliwości i w celu uzupełnienia śledztwa. - Spojrzył na Corwę. - Czy jest całkowicie jasne, że pan Picard jest moim świadkiem, a nie świadkiem rządu?

Adwokat podniósł się.

- Nie bardzo rozumiem rozróżnienia między świadkami powołanymi przez pana i przez rząd, pułkowniku, ale to nie szkodzi.

Gilmer wyglądał tak, jakby chciał wyjaśnić, na czym polega różnica, ale postanowił kontynuować.

- Czy mógłby pan wstać, poruczniku? - zwrócił się do Tysona.

Ben wstał.

- Poruczniku Tyson - przeczytał Gilmer ze swego przewodnika - zanim rozprawa potoczy się dalej, pytam pana teraz, czy ma pan jakieś wątpliwości dotyczące prawa nieodpowiadania na pytania związane z oskarżeniami, a także dotyczące prawa do wygłoszenia oświadczenia, zaprzysiężonego lub nie, prawa do poddawania krzyżowemu ogniu świadków oskarżenia i prawa przedstawienia wszystkiego, co będzie przemawiało na pańską korzyść, a wreszcie dotyczące mojego obowiązku wysłuchania świadków obrony lub świadków powołanych na okoliczność zmniejszenia lub złagodzenia winy.

Ben zastanawiał się, kto układa te nie kończące się zdania.

- Mój klient poprosił mnie o wytłumaczenie - odezwał się Corva - co oznacza prawo złożenia oświadczenia lub dowodów mających na celu zmniejszenie jego winy. Powiedział, że to jest tak, jakby proszono, by się usprawiedliwił z czegoś, czego nie popełnił. Muszę przyznać panu, pułkowniku, że pytanie mojego klienta zaskoczyło mnie, ale może jest w tej sali ktoś, kto mógłby mu odpowiedzieć.

Pułkownik Gilmer odchrząknął i zerknął do swej instrukcji.

- Nie mogę prowadzić dalej sprawy - powiedział wreszcie - jeżeli podejrzany nie zrozumie tego, co już przeczytałem. To jest normalna praktyka w tego typu sprawach, panie Corva, że jeśli oskarżony jest reprezentowany przez adwokata... a najwyraźniej jest...

Od stołu prokuratorskiego rozległy się śmiechki.

- Adwokat zazwyczaj mówi, że wyjaśnił podejrzanemu wszystkie te sprawy wcześniej i

są one już zrozumiały. Nigdy nie zdarzyła mi się inna sytuacja podczas czytania tych pouczeń.

- Mimo wszystko - powiedział Corva - mój klient, który zgodnie z prawem jest niewinny, dopóki nie zostanie udowodniona mu wina, zadaje rozsądne pytanie, na które ja jako prawnik nie znajduję odpowiedzi.

- Jeśli pan pozwoli, pułkowniku - odezwał się Pierce wstając. - Nie mam w zwyczaju pomagać obronie ani oskarżonym w rozumieniu ich praw, ale w interesie prawa i praworządności chciałbym wyjaśnić znaczenie umniejszenia winy, jakie może mieć zastosowanie w tej sprawie. - Zwrócił się bezpośrednio do Tysona. - Tłumacząc to zwykłymi słowami, niech pan sobie wyobrazi sytuację, że jest pan wezwany do dyrektora szkoły, który zarzuca panu uderzenie Tommy'ego Smitha. A pan odpowiada: „Wcale go nie uderzyłem, ale i tak na to zasłużył”. Jest to zdanie, w którym występuje obrona i umniejszenie winy jednocześnie.

- Dla mnie brzmi to raczej jak przyznanie się do winy, pułkowniku - odparł Ben.

Pierce uśmiechnął się.

- Czy ten facet mówi poważnie? - Tyson nachylił się do Vince'a.

- Stoimy po złej stronie okularów. Wszyscy tu są szurnięci, ale jeśli za bardzo się do nich zbliżymy, uwierzymy, że mają rację. Powiedz temu dupkowi, że zrozumiałeś.

- Któremu dupkowi?

- A... no, Gilmerowi.

- Pułkowniku - Ben spojrzał wprost na Gilmera - w pełni zrozumiałem podany przez pułkownika Pierce'a przykład tłumaczenia się z czegoś, do czego się nie przyznałem.

Gilmer kiwnął głową, wyraźnie zadowolony z rozwiązania problemu.

Tyson zajął swoje miejsce, Corva usiadł także.

- Punkt dla nas.

- Kolejny zresztą, Vince. Ale coś mi się wydaje, że zaczęli grę, zanim się zjawiliśmy, i już wygrali.

- Nie pękaj.

- Chciał pan wezwać - pułkownik Gilmer zwrócił się do adwokata - następujące osoby, których zaprzysiężone zeznania znajdują się w aktach sprawy: Paula Sadowskiego, Anthony'ego Scorella, Hernanda Beltrana, Lee Walkera i Louisa Kalane'a. Wezwaliśmy

tych świadków na koszt rządu i są oni dostępni w każdej chwili. Panie Corva, może pan wezwać pierwszego świadka poprzez sierżanta Lestera. - Wskazał na sierżanta na warcie. - Proszę go poinformować, gdzie znajdują się w tej chwili i którego ma wezwać jako pierwszego.

Adwokat wstał.

- Nie chcę wzywać swoich świadków. - Usiadł.

Pułkownik Gilmer pochylił się do przodu nad stołem.

- Nie ma pan zamiaru wzywać świadków obrony, panie Corva?

- Nie, nie mam takiego zamiaru. - Adwokat machinalnie mazał coś na kartce żółtego papieru.

- Panie Corva - powiedział pułkownik - tych pięciu ludzi zostało tu sprowadzonych na pańskie życzenie. Zostali przywiezieni, nakarmieni, otrzymali kwatery, wszystko to na koszt rządu. Jeśli nie miał pan zamiaru powoływać ich, by zeznawali na korzyść pańskiego klienta, dlaczego rząd, kosztem swych podatników, musiał wziąć na siebie kłopot sprowadzenia ich tu?

- Pułkowniku - adwokat podniósł wzrok znad swych bazgrołów - rząd wysłał tychże pięciu ludzi do Wietnamu na rok, także na koszt podatników. Równie dobrze może ich wysłać do Nowego Jorku na spotkanie po latach. Mała rekompensata.

- Panie Corva - głos Gilmera podniósł się do krzyku - byłem bardzo cierpliwy wobec pana. Jeśli nie miał pan zamiaru powoływać tych świadków, nie było potrzeby ich sprowadzania.

- Pułkowniku - odparł adwokat - decyzja, czy mam powołać świadków, czy nie, należy tylko do mnie i mojego klienta i może być podjęta w każdej chwili. Postanowiłem nie powoływać świadków.

- Oczywiście, że ma pan do tego prawo - zgodził się niechętnie pułkownik Gilmer.

Tyson rzucił okiem na sierżanta Lestera, który wyglądał na zawiedzionego, potem na pułkownika Pierce'a, majora Weinroth i kapitana Longa. Ci ukrywali rozczarowanie znacznie lepiej. Przeniósł wzrok na Karen Harper i spotkał jej spojrzenie, ale ona natychmiast odwróciła głowę, więc zerknął na protokolantkę, która znowu uśmiechnęła się do niego. Przez chwilę patrzyli na siebie, aż wreszcie Gilmer nie wytrzymał.

- Poruczniku Tyson, czy pan słucha tego, co mówię?

- Tak jest, sir.

- Pod nieobecność świadków obrony rozważę zaprzysiężone zeznania pięciu mężczyzn nazwanych świadkami obrony, jeśli takie jest życzenie panów.

- Takie jest nasze życzenie, pułkowniku - odpowiedział Corva.

- Dobrze. Czy mam wezwać świadków, którzy nie byli wcześniej zgłoszeni? Jeśli tak, proszę mi podać nazwiska i adresy.

- Chcielibyśmy wezwać następujące osoby jako świadków obrony lub świadków bezstronnych: Daniela Kelly'ego, Michaela DeTonqa oraz zakonnicę pochodzenia francusko-wietnamskiego zwaną siostrą Teresą.

Gilmer wyraźnie był na to przygotowany.

- Czy może mi pan podać ich adresy lub inny sposób znalezienia wymienionych osób, panie Corva?

- Mam tylko informacje sprzed paru lat. Jak sądzę, pan również jest w ich posiadaniu.

- Tak, jestem. Zrobiłem wszystko, żeby skontaktować się z tymi ludźmi, ale bez sukcesu.

- W takim razie musimy uznać, że wyniki śledztwa są niekompletne.

- Panie Corva - pułkownik potrząsnął głową - ponieważ nie potrafi pan przekonać mnie ani nikogo, że pojawienie się tych świadków pomogłoby w obronie pańskiego klienta, nie umniejszy to jego praw, jeśli nie będą obecni. Prokurator równie dobrze może twierdzić, że okazaliby się oni świadkami strony rządowej. Nikt o tych ludziach nie słyszał kolejno od dziesięciu, osiemnastu i dwóch lat. Możemy założyć, że nie żyją.

- Znam urzędników państwowych, którzy nie wykazują śladów życia od kilku dziesięcioleci - odparł adwokat - a mimo to awansują...

Sierżant Lester prychnął śmiechem, który udało mu się zamienić w kaszel.

- ...ale dla celów tego śledztwa i rozprawy jestem gotów zrezygnować z owego żądania pod warunkiem, że rząd będzie prowadził poszukiwania świadków do końca trwania sprawy.

Pułkownik Gilmer przez chwilę się zastanawiał, Ben pomyślał, że zapewne martwi się o podatników.

- To rozsądna prośba - powiedział Gilmer - i ma pan moje zapewnienie, że poszukiwania będą prowadzone.

- Dziękuję, pułkowniku.

- Nie powiedziałem nigdy, że chciałem, by się odnaleźli - szepnął Tyson do Corvy.

- Nie martw się o to. Chodziło tylko o pogłębienie nastroju naszej sztuki.

- A jeśli się znajdą i będą zeznawać na rzecz oskarżenia?

- Ciii, pułkownik Gilmer chce coś powiedzieć.

- Vince!

- Poruczniku Tyson - pułkownik odchrząknął - jeśli istnieją jakieś akta wojskowe, które dopomogłyby panu w obronie i których nie mógł pan otrzymać, proszę podać mi listę tych dokumentów.

- Staraliśmy się od jakiegoś czasu - powiedział Corva - przez major Harper otrzymać rozkazy przyznające porucznikowi Tysonowi prawo do noszenia Srebrnej Gwiazdy, którą otrzymał za mężne czyny w trakcie pełnienia służby w czasie akcji zbrojnej na pograniczach Hue dnia 15 lutego 1968 roku.

- Czy on, do cholery, myśli, że to jest jakaś ceremonia wręczenia nagród? - powiedział pułkownik Pierce do swych pomocników, ale na tyle głośno, żeby go wszyscy usłyszeli.

Gilmer spojrzał przelotnie na Pierce'a, a potem zwrócił się do Karen Harper.

- Majorze?

- Panie Corva - powiedziała Harper wstając - mam przy sobie dokumenty, które potwierdzają przyznanie porucznikowi Tysonowi Srebrnej Gwiazdy.

Beb zerknął na Vince'a, a potem znowu spojrzał na Karen.

- Dokumenty najwyraźniej nigdy nie zostały przesłane - mówiła dalej - albo uważano, że zostały wysłane. W każdym razie są obecnie w moim posiadaniu.

- Czy ja mógłbym je mieć w swoim posiadaniu? - zapytał adwokat wstając.

- Oczywiście - odpowiedziała. Okrążyła swój stół i ruszyła w stronę Tysona z dużą kopertą w ręce. - Poza rozkazem przyznania, w kopercie znajduje się samo odznaczenie i baretka.

- Dziękuję, majorze - powiedział Ben. - To bardzo miło z pani strony, że pomyślała pani również o samym medalu.

- Drobiazg. - W tej chwili stojąc tyłem do reszty sali, uśmiechnęła się do niego.

Potem odwróciła się i poszła na swoje miejsce.

- Zdobyła to dla ciebie, kochasiu - powiedział Vince.

- Odpieprz się.

- Czy mógłbym przez chwilę to obejrzeć? - zapytał Corva Gilmera. - To zajmie tylko moment. - Otworzył kopertę i wysypał na stół jej zawartość.

Przeczytał pochwałę, której treść wymyślił Daniel Kelly, a pod którą podpisał się kapitan Roy Browder. Był to opis akcji i heroizmu, za które przyznano medal. Zdania były ogólnikowe, mówiące o męstwie i poświęceniu oraz o działaniu przekraczającym to, co nakazywał obowiązek. Ale znalazło się też kilka szczegółów i nigdzie nie wspomniano o szpitalu. A co ważniejsze, wymieniona była data 15 lutego, a akcję opisano jako mającą miejsce w czasie dnia, w odróżnieniu od działań, które mogły się wydarzyć przed świtem lub po zmierzchu tego dnia.

Adwokat przysunął małe, niebieskie pudełko i otworzył je. W środku, na kawałku białej satyny leżała Srebrna Gwiazda, a nad nią prostokątny kawałek czerwono-biało-niebieskiej wstążki.

Corva wyjął ją z pudełka.

- Przypnij ją.

- Nie mogę tego nosić, Vince.

- To nie jest akademia, panie Corva. - Pułkownik Pierce podniósł się ze swego miejsca.

Adwokat nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi i przypiął wstążkę nad dwoma rzędami innych, które Tyson już miał przy mundurze.

- To twoja pierwsza, więc nie musimy nic przesuwac. - Poklepał rząd srebrnych wstążek. - Dobrze. Prawdziwy bohater. - Wstał i zwrócił się do Pierce'a. - Pułkowniku, porucznik Tyson czekał osiemnaście lat, żeby armia odnalazła jego medal. Może pan, do cholery, poczekać głupie trzydzieści sekund, bym mógł mu go przypiąć.

Przez chwilę wydawało się, że Pierce chce coś powiedzieć, ale najwyraźniej zrezygnował z tego i usiadł. Corva odwrócił się w stronę podium.

- Dziękuję pułkownikowi i dziękuję pani, major Harper.

- Gratulacje - zwrócił się Gilmer do Bena. - A teraz czy możemy...

- Przepraszam, pułkowniku - przerwał adwokat - ale chciałbym zwrócić panu uwagę, że ten rozkaz powinien być uwzględniony przez pana jako świadectwo, które wraz z innymi dowodami weźmie pan pod uwagę przy ocenie faktów i ustalaniu prawdy w odniesieniu do

oskarżeń.

Gilmer nie odpowiedział.

- Wydaje się oczywiste - mówił dalej Corva - że pochwała na rozkazie przyznania medalu i oskarżenie to dwa kompletnie różne dokumenty, które jednak odnoszą się do tego samego wydarzenia.

- Nie - stwierdził pułkownik - nie musi pan tego wykazywać.

- Dobrze - powiedział adwokat. - Nie można mówić o zbytku ostrożności, jeżeli w grę wchodzi oskarżenie o morderstwo.

Pułkownik Gilmer głęboko odetchnął. Odwrócił stronę w leżącej przed nim książce.

- Poruczniku Tyson, jeśli jest pan w posiadaniu jeszcze innych dowodów, które nie zostały zgłoszone, może pan je zgłosić teraz.

- Nie jesteśmy w posiadaniu takich dowodów - odpowiedział Corva.

- Czy jest pan świadomy istnienia innych dowodów, których nie był pan w stanie zdobyć, a pragnąłby je pan przedłożyć? Jeśli tak, proszę mnie teraz o tym poinformować.

Adwokat wstał.

- Nie jesteśmy w posiadaniu takich dowodów. Chciałbym wskazać, że oskarżyciel również ich nie ma. Chciałbym, żeby wziął pan pod uwagę, pułkowniku, że rząd nawet nie ustalił, czy ktokolwiek poniósł śmierć, zgodnie z prawem lub nie, w miejscu, które wymienione jest w oskarżeniu. A w szczególności nie istnieją ciała ofiar ani zdjęcia ich ciał, ani żadne dokumenty stwierdzające śmierć, nie występuje też nikt, kto mógłby zeznać, co się obecnie dzieje z rzekomymi ofiarami. Zdaję sobie sprawę, że rząd nie ma obowiązku w sprawie o morderstwo przedstawiać ciał ofiar, ale mógłby wystąpić z jednym lub dwoma, skoro rzekomych ofiar było sto.

- Panie Corva - krzyknął ostro pułkownik Pierce zrywając się na równe nogi - rząd nie będzie prezentował tu żadnych ciał, żeby zaspokoić pańską upiorną ciekawość lub pańską idiotyczną sugestię, że nikt nie zginął w szpitalu. Jeśli pan...

- Nie twierdzę, że nikt tam nie umarł! - przerwał mu ostry głos adwokata. - Rozkaz przyznania Srebrnej Gwiazdy mówi o wielu zabitych. A podczas gdy rząd nie dysponuje ciałami ofiar, obrona je posiada. Ciała Larry'ego Cane'a i Arthura Petersona. Zabitych w akcji przeciwko uzbrojonemu nieprzyjacielowi, pułkownikowi Pierce. Mam również opis tego, jak umarli, wraz z datą, miejscem i przyczyną śmierci. I jeszcze do niedawna powiedziałbym, że wiem, w jakim celu zginęli. Ale teraz, kiedy rząd usiłuje obedrzeć tych mężczyzn żywych i umarłych - z ich honoru i godności, nie potrafię już powiedzieć, po co

zginęli. - Corva usiadł.

W pokoju zapanowała głęboka cisza. Pierce powoli usiadł. Tyson był pod dużym wrażeniem wybuchu Vince'a. A przecież nie był on, jak sam o sobie powiedział, adwokatem o zdolnościach aktorskich. Corva był autentycznie wściekły, ponieważ naprawdę nie wiedział, co się wydarzyło 15 lutego i wierzył w każde słowo napisane w rozkazy przyznania Benowi Srebrnej Gwiazdy.

Pułkownik Gilmer rozejrzał się po pokoju.

- Czy obrona chciałaby złożyć jeszcze jakieś oświadczenie? -zapytał.

- Nie, sir. - Adwokat pokręcił głową.

- Dobrze wiec - stwierdził Gilmer. - Chciałbym teraz wezwać dodatkowego świadka, Andrew Picarda. - Zwrócił się do sierżanta Lestera. - Proszę przyprowadzić pana Picarda.

Sierżant strzelił obcasami stając w pozycji na baczność, zrobił elegancki zwrot i wymaszerował.

Tyson zapalił papierosa. Corva napił się wody, a potem przysunął się bliżej swojego klienta.

- Jak zginął Larry Cane? - zapytał.

- Strzeliłem mu prosto w serce - odpowiedział Ben.

Vince nie wydawał się szczególnie zdziwiony.

Otworzyły się drzwi i wszedł przez nie Andrew Picard. Był ubrany w brązowy, tweedowy garnitur. Tyson pomyślał, że Picardowi trochę pomyliło się lato z jesienią albo że bardziej grał pisarza, niż nim był. Sierżant Lester wskazał mu miejsce przed podium, tak aby świadek stał zwrócony twarzą do Gilmera.

- Panie Picard - powiedział pułkownik Gilmer - czy mógłby pan podnieść prawą rękę?

Pisarz podniósł rękę.

- Przysięgam, że wszystko, co powiem w czasie składania zeznań, będzie prawdą, całą prawdą i tylko prawdą. Tak mi dopomóż Bóg.

- Przysięgam.

- Proszę zająć miejsce na krześle dla świadka.

Picard cofnął się kilka kroków i usiadł na krześle, twarzą do Gilmera.

- Proszę podać pańskie pełne nazwisko - poprosił pułkownik -zawód i aktualny adres.

- Andrew Picard, pisarz, Bluff Point, Sag Harbor, Nowy Jork.

- Czy zna pan oskarżonego?

- Spotkaliśmy się raz.

- Mam tu pańskie nie zaprzysiężone oświadczenie złożone w obecności major Karen Harper. Moim zadaniem jest poprosić pana, by rozszerzył to oświadczenie i ponadto odpowiedział na inne pytania dotyczące pańskiego udziału w sprawie. A także na pytania, które będzie chciała panu zadać obrona lub oskarżenie.

Picard skrzyżował przed sobą nogi.

- Proszę major Karen Harper o przeprowadzenie tego przesłuchania.

Harper wstała i podeszła do krzesła dla świadków.

- Panie Picard, możemy opuścić wszystkie pytania wprowadzające, ponieważ nie ma w tym pokoju osoby, która nie znałaby sprawy i pańskiego w niej udziału.

- Oczywiście, majorze.

- Panie Picard, czy podjął pan jakieś kroki, żeby zdobyć dowody potwierdzające to, co powiedzieli pan Brandt i pan Farley?

- Szukałem innych świadków, lecz nie mogłem ich znaleźć. Ale moi dwaj świadkowie potwierdzili wzajemnie swe zeznania. Dla mnie to było wystarczające.

- Czy chciał pan przedstawić czyny ohydne popełniane przez Amerykanów podczas bitwy o Hue?

- Ależ nie. Chciałem... przedstawiłem okrucieństwo komunistów. Wielu. Sam byłem naocznym świadkiem kilku makabrycznych wydarzeń.

- Ale to nie dotyczy incydentu w Szpitalu Miłosierdzia?

- Nie. W tym czasie siedziałem jak w pułapce w Cytadeli.

- Czy słyszał pan coś na temat wydarzeń w szpitalu, kiedy jeszcze był pan w Wietnamie?

- Nie możemy pozwolić na prezentowanie dowodów typu „coś słyszałem” - zaprotestował Corva wstając.

- Panie Corva - powiedział pułkownik Gilmer - to nie jest sąd przysięgłych i nie obowiązują najostrzejsze zasady stosujące się do przesłuchania. Ta rozprawa ma charakter nieformalny. Gdyby było inaczej, już dawno zostałby pan wyrzucony.

Picard roześmiał się, kilka osób mu zawtórowało. Adwokat skłonił się błazeńsko w stronę Harper.

- Proszę pytać dalej.

- Dziękuję - odpowiedziała i zwróciła się do świadka. - Czy słyszał pan coś na temat incydentu w szpitalu, kiedy jeszcze był pan w Hue?

- Tak, ale tylko to, że zniszczono budynek w czasie walk i że zginęli tam cywile rasy białej i Wietnamczycy wyznania katolickiego. Takie wiadomości krążyły. Żółtki - to znaczy Wietnamczycy, ale buddyści - tyle nas obchodzili, co miejscowe pijawki. Nie brzmi to sympatycznie, ale taka jest prawda.

- Czy zastanawiał się pan wtedy nad czymś w rodzaju śledztwa?

- Nie. Musi pani zrozumieć warunki w Hue. Zniszczenie jednego szpitala nie było czymś szczególnym. A poza tym mieliśmy własne ofiary. - Przez chwilę zastanawiał się, a potem powiedział. - Poza tym... biali, którzy byli w Hue... jak mam to wyrazić...?

- Jak tylko pan sobie życzy.

- Uważani byli przez wojskowych za bandę czerwonych i w dodatku tchórzy.

- Tak więc historia o ewentualnej masakrze nie rozniosłaby się na przykład tak jak o My Lai.

- To nie była tajemnica poliszynela. Przynajmniej ja o tym nic nie wiedziałem. Jednakże niezależnie od tego, co myśleliśmy o mieszkających w Hue białych, chłopcy z oddziału Tysona wiedzieli, że spieprzyli robotę. Sądzę...

Corva wstał.

- Pan Picard nie był w szpitalu. Naprawdę muszę się sprzeciwić.

- Staram się ustalić proveniencję tego, co pan Picard napisał - odpowiedziała Harper.

- W takim razie niech go pani zapyta, skąd wytrzasnął tę historię, zamiast umożliwić mu składanie zeznań opartych na pogłoskach.

- Od kogo usłyszał pan tę historię i kiedy? - Harper zwróciła się do świadka.

- Usłyszałem ją od siostry Teresy. W szpitalu w Orleanie, we Francji. Prawie dwa lata

temu. Przechodziłem zapalenie płuc. Jest zapis w dokumentach szpitala, który to potwierdza.

- W jakim szpitalu?

- Szpitalu Miłosierdzia. Po francusku *Hôpital Misericorde*.

- Jak doszło do tego, że wypląnęła sprawa domniemanej masakry?

- Miałem ze sobą maszynopis mojej książki. Zobaczyła słowo „Hue”. Dlatego zaczęła mówić o wojnie. Powiedziałem, że tam byłem. Jedna rzecz prowadziła do drugiej i bardzo szybko zorientowałem się, że coś bardzo mrocznego wydarzyło się w Szpitalu Miłosierdzia.

- Poszedł pan tym tropem?

- Tak. Kiedy wróciłem do Stanów, powiedziałem mojemu wydawcy, że znalazłem coś, co opóźni oddanie maszynopisu. Pomyślałem o ogłoszeniach lokalnych, zdobyłem adres gazety Pierwszej Kawaleryjskiej i zamieściłem anons. Minął miesiąc. Jeszcze raz zamieściłem ogłoszenie. I wtedy otrzymałem list od doktora Brandta z Bostonu. Pojechałem porozmawiać z nim. Brandt na początku nie chciał mi podać nazwiska nikogo, kto mógłby potwierdzić jego historię. Poinformował mnie natomiast, kto był dowódcą plutonu, i dodał, że Ben Tyson mieszka obecnie w dzielnicy podmiejskiej Nowego Jorku, Long Island. Wziąłem książkę telefoniczną tego okręgu i zadzwoniłem do Benjamin Tysona. Odpowiedział mi, że to nie o niego chodzi. Wtedy jeszcze nie zamierzałem całej tej historii opisywać w książce i wysłałem do doktora taką informację. Zaraz potem Brandt podał mi nazwisko Richarda Farleya i powiedział, że można się z nim skontaktować poprzez szpital weteranów w Newark. Poza tym potwierdził, że Benjamin Tyson, którego zlokalizowałem w Garden City na Long Island, jest właśnie tym Tysonem, którego szukałem. Powiedział, że jest tego pewien, ale nie wskazał, na czym opiera tę pewność. Zadzwoniłem znowu do Tysona, a on ponownie powiedział, że się mylę. Później spotkałem się z Farleyem. Był trochę spięty, ale potwierdził wersję Brandta, a także historię zakonniczy. Doszedłem do wniosku, że jeśli to jest gówno, dowiem się o tym, jak tylko to opublikuję. Prawie oczekiwałem kilku pozwów o zniesławienie od pozostałych przy życiu członków plutonu. Ale, jak się okazało, nikt mnie nie pozwał... Choć przypuszczam, że kiedy Tyson się stąd wyrwie, pozwy posypią się jak z rękawa.

- Czy jest pan chroniony ubezpieczeniem? - zapytała Harper.

- Nie... ale to nie powód, żebym pragnął skazania Tysona, jeśli do tego pani zmierza.

- Jakimi według pana motywami kierował się Brandt kontaktując się z panem i opowiadając swoją historię? - zapytała major.

- Chyba wydawało mu się, że już skądś znam tę historię. - Picard uśmiechnął się. - Lekarze są ludźmi naiwnymi. A poza tym prawdopodobnie chciał zrzucić ten ciężar ze

swojej piersi. Musiał on być znaczny.

- Nie podejrzewał pan żadnych ukrytych motywów?

- Takich na przykład jak chęć wrobienia Tysona? Tak, podejrzewałem. Ale nie wiedziałem, co mogłoby być podłożem tych motywów, i nie dbałem o to.

- Dlaczego Brandt podał panu tylko nazwisko Farleya?

- Farley był jedynym, którego miejsce pobytu znał, poza Tysonem. Myślę też, że uzgodnił z nim, że ten potwierdzi jego zeznania. Nie mógł tak postąpić w przypadku innych kolegów, bo nie wiedział, gdzie ich znaleźć. Nigdy nie wymienił przy mnie żadnego innego nazwiska.

- Skąd Brandt znał miejsce pobytu Farleya i Tysona?

Picard wzruszył ramionami.

- Pułkowniku - zapytała protokolantka - czy powinnam zaznaczyć, że świadek wzruszył ramionami?

- Nie - odpowiedział jej ze śmiechem pisarz. - Może pani zapisać, że powiedziałem: „Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Zapytajcie Brandta”.

- Czy znalazł pan już swoje notatki? - kontynuowała przesłuchanie Harper.

- Mówiłem już, że wszystkie moje zapiski przeniosłem do komputera i przez przypadek skasowałem. Znajdują się teraz w wielkim, niebieskim banku danych razem ze wszystkimi informacjami, które zostały wytarte z dysków i dyskietek. Chryste, chciałbym mieć do tego dostęp.

- Nie trzymał pan wydruków?

- Nikt, kto używa edytora tekstów, nie trzyma papierzysk. Dlaczego wojsko jest zawsze dziesięć lat do tyłu we wszystkim?

- Jeszcze tylko jedno lub dwa pytania - powiedziała Karen Harper. - Nigdy nie stało się dla mnie jasne, w jaki sposób siostra Teresa była w stanie zidentyfikować jednostkę biorącą udział w rzekomym incydencie.

- Dywizję określiła - odparł pisarz - po naramiennikach. Wszyscy znali naszywkę Pierwszej Kawaleryjskiej. Dlatego oczywiście zamieściłem ogłoszenie w ich gazecie. Piechota morska nie nosiła żadnych naszywek. Mieliśmy taki zwariowany pomysł, że nie udzielimy nieprzyjacielowi żadnej informacji, której wywiad mógłby użyć do określenia położenia jednostek.

- Zmierzam do czego innego. Czy siostra Teresa знаła któregoś z mężczyzn... z widzenia.

Picard powoli pokiwał głową.

- Mówiłem już przez telefon, że rozpoznała jednego oficera - Tysona - ale mówiła o nim zawsze *dai-uy*, porucznik. Nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska.

- Co powiedziała na jego temat?

Pisarz milczał bardzo długo.

- Powiedziała... - odezwał się wreszcie. - Używała mieszanki wietnamskiego, angielskiego i francuskiego - powiedziała, że wszedł do pokoju, w którym się ukryła, i darował jej życie.

- Darował? - powtórzyła major Harper. - Nie uratował jej życie? Zgodnie z tym, co zeznał porucznik Tyson i pozostałych pięciu świadków, pluton uratował kilkoro ludzi wyrzucając ich z płonącego szpitala.

- Naprawdę? No cóż, zgodnie z tym, co powiedziała zakonnica, szpital rzeczywiście płonął. - Picard zamilkł na chwilę. - Nie próbuję ukrzyżować Tysona... Nie pamiętam, jakich użyła słów. To powiedziała po francusku. *Sauver*? Uratować czy wybawiać? A może to było *epargner* - darować czy ratować? To kwestia tłumaczenia.

- Ja uważam, że to bardzo ważna kwestia. Ale nie była na tyle ważna, by opisał ją pan w książce.

Picard po raz pierwszy zerknął na Bena.

- Błąd zaniedbania. To nie pasowało do opisu wypadków przedstawionego przez Brandta i Farleya. Przepraszam.

Harper pozwoliła, by te słowa zawisły w powietrzu.

- Powiedział mi pan także - podjęła wątek - że siostra Teresa wspomniała *bac si*.

- O tym też zapomniałem w czasie pisania książki - przyznał pisarz. - Ale miałem powód. Jednakże chciałbym opowiedzieć o tym. Byłem trochę niedbały. Chciałbym mieć moje cholerne zapiski. Moja pamięć przez to wszystko trochę...

- O co chodziło z *bac si* sanitariuszem? Stevenem Brandtem?

Picard pochylił się do przodu.

- Powiedziała, że rozpoznała też *bac si*... mówiła, że go spotkała w czasie szkolenia

medycznego. Sanitariusze chodzili po szkołach, kościołach, wioskach. W każdym razie określiła Brandta, jako... *un homme qui viole les jeunes filles*. Nie przypuszczam, żeby to trzeba było tłumaczyć.

- Mimo wszystko - powiedziała major Harper - ja przetłumaczę. Mężczyzna, który gwałci młode dziewczynki.

- Oczywiście to też można interpretować w różny, naprawdę bardzo różny sposób. - Pisarz jeszcze raz kiwnął głową. - Każdy związany z medycyną bywa oskarżany... nie mogłem umieścić tego w książce. To dopiero byłby pozew o zniesławienie. Chryste!

Karen Harper przez jakiś czas wpatrywała się w Andrew Picarda.

- Czy siostra Teresa powiedziała panu coś więcej na temat swojej znajomości z porucznikiem Tysonem?

Picard jeszcze raz zerknął na Bena.

- Siostra Teresa powiedziała mi - zaczął po dobrej chwili - że spotkała już *dai-uy* wcześniej, chyba w katedrze. Wiedziała, że *bac si* jest z jednostki *dai-uy*, więc wykorzystwała sytuację i porozmawiała z nim o predylekcji medyka do niedoroslých dziewczic... - Rozejrzał się po pokoju. - Ale sądzę, że wszystko to tylko odciąga nas od głównego tematu. Mogę powiedzieć, z czym się zgodzili wszyscy moi świadkowie, Brandt, Farley i siostra Teresa. Wszyscy oni potwierdzili, że amerykańscy żołnierze z premedytacją wymordowali bezbronnych ludzi znajdujących się w szpitalu.

- Może uda nam się to ustalić tak, by nie było wątpliwości - powiedziała major. - Ale okazuje się, że o całą tę zbrodnię oskarżony jest tylko jeden człowiek - ich dowódca, porucznik Tyson. Teraz mamy powody przypuszczać, że jego rola w domniemanej zbrodni może wcale nie być tak wielka, jak w to uwierzyliśmy - pod wpływem pańskiej książki.

- Wie pani co, majorze - odparł Picard - ja byłem oficerem piechoty morskiej i wiem, na czym polegały obowiązki Tysona. Jeśli im nie sprostął, musi za to zapłacić. Ale nie w taki sposób. To jest cholerna parodia...

Pułkownik Pierce wstał, ale Corva był szybszy.

- Jeśli świadek może zeznawać na podstawie tego, co gdzieś usłyszał, równie dobrze może powiedzieć, co o tym sam myśli.

- Proszę siadać - stwierdził krótko Gilmer. - Obaj panowie. Panie Picard, proszę mówić dalej.

- Chciałem tylko dodać - kontynuował pisarz - że moim zdaniem doktor Brandt okłamał mnie, jeśli chodzi o jedną istotną sprawę. Nie wierzę, by Tyson wydał rozkaz

strzelania do kogokolwiek w szpitalu. Myślę, że jego oddział się zbuntował. Myślę, że porucznik był ofiarą tak samo jak wszyscy inni w tym szpitalu. Prawdę mówiąc, uważam, że jego cały pluton padł ofiarą... ofiarą wojny, zmęczenia i szoku. I myślę, że gdybyście znaleźli siostrę Teresę, ona opowiedziałaby wam, co naprawdę robił porucznik Tyson tego dnia w szpitalu.

- Dlaczego nie napisał pan nic takiego w swojej książce? - zapytała Harper.

- Sam sobie zadaję to pytanie - odpowiedział Picard. - I nie znajduję na nie odpowiedzi.

- Dobrze. Czy siostra Teresa powiedziała panu, w jaki sposób porucznik Tyson darował jej życie lub uratował ją?

- Nie. Musi pani zrozumieć, że nie tylko mieliśmy problemy językowe, ale jeszcze do tego byłem wtedy naprawdę chory i nie w formie. Często myślałem, że chciałbym mieć jeszcze jedną szansę porozmawiania z tą zakonnice.

- Tak jak i my wszyscy - stwierdziła Karen Harper. Odetchnęła głęboko. - Nie mam już więcej pytań - powiedziała.

Gilmer zwrócił się do pułkownika Pierce'a:

- Czy strona rządowa chciałaby postawić świadka w krzyżowym ogniu pytań?

Pierce wyglądał, jakby nie był przygotowany na taką propozycję. Przez chwilę naradzał się ze swymi pomocnikami, potem wstał.

- Nie mamy pytań - powiedział.

Pułkownik Gilmer zwrócił się do Corvy.

- Czy obrona chce postawić świadka w krzyżowym ogniu pytań?

- Mam tylko jedno pytanie do pana Picarda. - Adwokat wstał. - Nie był pan naocznym świadkiem wydarzeń, o których mowa, dlatego też ani obrona, ani oskarżenie nie powołało pana na świadka. Ale jest pan jedynym łącznikiem z siostrą Teresą. Pytam więc pana: Czy historia, którą usłyszał pan od siostry Teresy, zgadza się z historią opowiedzianą panu przez Stevena Brandta w części dotyczącej roli oskarżonego w tych wydarzeniach?

- Nie, nie zgadza się.

- Dziękuję. - Corva spojrział na Karen Harper. - Nie mam więcej pytań.

- Nie mam więcej pytań - powtórzyła major Harper patrząc na pułkownika Gilmera.

- Świadek może odejść - Gilmer zwrócił się do Andrew Picarda.

Pisarz wstał i podszedł do stołu obrony.

- Trochę jest pan za stary, żeby się tak ubierać, co? - zapytał cicho Tysona.

- Niech pan to powie armii.

- Powodzenia. - Picard uśmiechnął się.

Podszedł do drzwi, które otworzył przed nim sierżant Lester, i wyszedł.

Pułkownik Gilmer wypił szklankę wody. Karen Harper wróciła do swego stołu. W pokoju panowała cisza.

- Dlaczego mała spadła z drzewa? - wyszeptał Corva w ucho Tysonowi.

- Dlaczego?

- Była martwa.

- Już mam dość rozśmieszania. - Ben odetchnął głęboko.

- Poruczniku - zwrócił się do niego Gilmer - czy zechciałby pan wstać?

Ben wstał.

- Poruczniku Tyson, na początku naszego spotkania poinformowałem pana, że ma pan prawo złożyć zeznania lub milczeć. Czy chce pan, żebym to powtórzył?

- Tak, jak ja to rozumiem - powiedział Ben - jeśli złożę nie zaprzysiężone zeznanie, mogę zostać wzięty w krzyżowy ogień pytań, tylko na temat tego, co powiedziałem, a nie na inne tematy związane z tą sprawą.

- Zgadza się. Czy chciałby pan złożyć w jakiegokolwiek formie zeznania? .

- Nie sir - powiedział podnosząc się Corva.

- Tak jest, sir - powiedział Tyson. - Ponieważ ma to być zeznanie nie zaprzysiężone, mogę powiedzieć to, co chcę, stojąc tutaj. Będę się streszczał. Teraz, kiedy już zrozumiałem pana wyjaśnienia na temat zeznań umniejszających i osłabiających winę, bez obciążania samego siebie, chciałbym jedną rzecz powiedzieć panu, pułkowniku Gilmer. A mianowicie, że jestem gotowy stanąć przed sądem wojskowym, ponieważ chcę się oczyścić z oskarżenia, a nie widzę innej drogi. Ale jeśli pan postanowi, że nie należy mnie stawiać przed sądem, wtedy, jak myślę, musi pan ustalić również, jak armia ma przywrócić mi moją reputację i mój honor. Wycofanie oskarżenia nie będzie wystarczającym przekreśleniem tego, co się stało. - Ben usiadł.

- Nie przypuszczam, żeby żądanie publicznych przeprosin uszczęśliwiło armię lub generała Van Arkena - wyszeptał Vince. - Raczej będą woleli postawić cię przed sądem, a ty zdaje się również tego pragniesz.

- Ten sąd odbywa się o osiemnaście lat za późno - odparł Tyson.

- Czy oskarżenie chce wziąć porucznika Tysona w krzyżowy ogień pytań w związku z tym, co oskarżony powiedział? - pułkownik Gilmer zwrócił się do zespołu prokuratorskiego.

- Nie, nie chcemy - odparł pułkownik Pierce - ale nie możemy również pozwolić, aby to oświadczenie przeszło bez komentarza. - Spojrzał na Bena. - Wbrew pana mniemaniu dla przywrócenia pańskiego honoru i reputacji w oczach armii wystarczyłoby właśnie tylko umorzenie pańskiej sprawy. Jeśli ma pan problemy w życiu cywilnym, to już wojska nie obchodzi.

Tyson podniósł się znowu, ale Corva ściągnął go na krzesło.

- Czy obrona ma coś jeszcze do dodania? - Gilmer spojrzał na adwokata.

- Nie, sir, nie ma.

Pułkownik Gilmer spojrzał na zegarek i odchrząknął. - Celem tego śledztwa było ustalenie, czy istnieją podstawy do oskarżenia oraz czy oskarżenie zostało wyrażone w odpowiedniej formie. Decyzja, którą podejmę, jest traktowana przez władze, które zarządziły tę rozprawę, wyłącznie jako rada.

Gilmer mówił do kartki papieru.

- Podejmując decyzję będę brał pod uwagę nie tylko dowody i zeznania, ale także historię służby wojskowej oskarżonego, jak również przyjęty zwyczaj, że sąd wojskowy rozpatruje sprawę tylko w takich przypadkach, gdy oskarżony nie może być ukarany inną karą dyscyplinarną.

Pułkownik rozejrzał się po cichym pokoju.

- Mój raport i decyzję prześlę odpowiednim władzom, które zarządziły niniejsze śledztwo. Oskarżony otrzyma kopię. Rozprawę uważam za zamkniętą.

Benjamin Tyson rozpoczął ostatnie okrążenie wokół wielkiego, odkrytego stadionu znajdującego się tuż za kwaterami.

Wszystko spowijała późnowrześniowa mgła podnosząca się znad ziemi. Widać było jedynie światła pobliskich budynków. Tyson przedzierał się powoli poprzez mgłę, gdy nagle zdał sobie sprawę, że stracił orientację.

Wtem dostrzegł wysoki, biały maszt flagowy wznoszący się nad oparami jak maszt statku, więc zmienił kierunek, przebiegł przez betonową ścieżkę i znalazł się na Lee Avenue. Zwolnił biegu i skierował się w stronę dowództwa.

Dogonił go jeep żandarmerii i jakiś mężczyzna zajmujący siedzenie pasażera krzyknął:

- Ciągle pan biega, poruczniku?

Ben rozpoznał głos. Odwrócił się w stronę jeepa, który jechał teraz równoległe do niego.

- Panu też by to nie zaszkodziło, kapitanie.

Kapitan Gallagher mruknął coś niewyraźnie.

- Kiedy już pan biegnie w tym kierunku, może zajrzy pan do dowództwa i zamelduje się? Jest prawie dwudziesta pierwsza! - zawołał.

Tyson nie odpowiedział. Parę razy zmienił tempo biegu, zmuszając kierowcę jeepa do zwalniania i przyspieszania.

- A potem prosto do łóżeczka, synu. Nie żartuję. Wystawia nas pan na pośmiewisko, wszyscy zgrzytają zębami przez te nocne biegi.

Ben nadal nie odpowiadał.

- Czy pańskiej żonie nie brakuje pana? - dopytywał się sarkastycznym tonem Gallagher.

- Odpieprz się.

- Uważaj, poruczniku. Mogę się nieźle po tobie przejechać. - I dodał pojednawczym tonem: - Staram się tylko pomóc.

- Na pewno gdzieś ktoś popełnia teraz zbrodnię, kapitanie - powiedział Tyson do żandarma. - Może ruszyłby pan w pościg?

Gallagher powiedział coś do kierowcy i jeep pospiesznie odjechał.

Ben zwolnił tempo do marszu i skręcił w dróżkę prowadzącą do budynku dowództwa. Otarł pot z twarzy i popchnął ramieniem oszklone drzwi.

W okienku siedział sierżant Lester.

Gdy Tyson wszedł do małego pomieszczenia, młody Murzyn podniósł wzrok znad papierów.

- Cześć, poruczniku, jak leci?

- Jak na kogoś zapuszkowanego, nieźle.

Lester roześmiał się i wstał.

- Chce się pan zameldować?

- Nie, sierżancie, szukam mojego psa.

- Psów nie wolno wprowadzać na teren jednostki.

- Właśnie to mu powiedziałem. Gdzie jest książka?

- A.... książka... tak jest, sir. Ma ją pułkownik Levin. Jest na górze, chciał, żeby pan zameldował się bezpośrednio u niego.

- Czy to znaczy, że chce mnie widzieć?

- Coś w tym stylu, tylko z całą tą pompą. - Lester zasalutował błazeńsko i roześmiał się.

Ben wbiegał po trzy stopnie naraz, korytarz przebył bokując się z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem ku rozbawieniu dwóch urzędniczek i wreszcie wkroczył do pokoju prowadzącego do biura zastępcy dowódcy jednostki. Podszedł do drzwi pułkownika Levina i zastukał energicznie.

- Wejść! - zawołał Levin.

Tyson otworzył drzwi, podszedł do biurka i zasalutował.

- Porucznik Tyson melduje się, sir.

- Proszę usiąść. - Pułkownik oddał salut. - Wygląda pan nieporządnie.

- Tak jest, sir. - Ben usiadł na krześle twarzą do Levina.

Pokój pogrążony był prawie kompletnie w ciemnościach, paliła się tylko maleńka lampka oświetlająca kręgiem światła papiery leżące przed pułkownikiem, którego twarz

pograżona była już w mroku.

- Przez wiele dni nie meldował się pan.
- Tak jest, sir.
- Znowu zaczął pan biegać - zauważył Levin.
- Tak jest, sir. Przygotowuję się do ucieczki.

Pułkownik parsknął śmiechem. Wstał i podszedł do segregatora z aktami. Wrócił z dwoma manhattanami. Nalał drinki i przysunął jeden kieliszek Tysonowi.

Ben postawił swój kieliszek na skraju biurka. Przyglądał się dłoniom pułkownika leżącym w polu światła. Palce lewej ręki były żółte od nikotyny. Czekał, wreszcie sam przerwał ciszę.

- Pracuje pan tak do późna?
- Tak, jutro jest święto. Jom Kippur. Dzień pokutny. Chcę wziąć wolne po południu.
- Zgadza się, mój syn nie idzie do szkoły.
- Jak tam sprawy w domu?
- Wszystko w normie. Zajmowanie się dzieckiem zawsze sprawia trochę kłopotów.
- Wiem. Mam trzech synów, Ale oni już są dorośli.
- Robią karierę wojskową? - Ben uśmiechnął się.

- Nie, nie. Za dużo się na to napatrzyli. Zawód wojskowego nie jest najłatwiejszy, gdy się ma rodzinę. Trzy razy byłem wysyłany. Raz spędziłem półtora roku w Korei. Żona wojskowego musi być nadzwyczajną kobietą. Kiedy ludzie są rozdzieleni przez długi czas, trzeba mieć do siebie dużo zaufania.

Tyson zastanawiał się, czy nie jest to ukryta wiadomość dla niego. Łyknął ciepłego manhattana.

- Już jesień - zauważył Levin. - Niegdyś lubiłem tę porę roku, ale jak człowiek się starzeje, czeka na wiosnę i lato. „Już jesień, pora owoców i zapomnienia... czy zbudowałeś łódź, która cię zanieśie w objęcia śmierci, o, czy zbudowałeś”?
- Mam odpowiedzieć na to pytanie? - Ben dokończył swego drinka.
- Nie, to z D.H. Lawrence'a. - Pułkownik wyciągnął połowę cygara z popielniczki i

zapalił, płomień zapalki na chwilę oświetlił jego twarz. Kłęby dymu zakryła ciemność, - Naprawdę złości mnie, że wojsko wcale nie chce tego procesu - powiedział. - Czuje się tylko zobowiązane w stosunku do prasy, Białego Domu, Kongresu, który przyznaje budżet, Ministerstwa Obrony i dowództwa armii, a nawet w stosunku do własnych prawników.

Tyson rozwinął folię, w której trzymał papierosy i paczkę zapalek. Zapalił nie pytając o pozwolenie.

- Jest coś nieprzyzwoitego w trzymaniu papierosów w dresie.

Levin wydawał się go nie słyszeć zatopiony we własnych myślach.

- Gdyby ta sprawa wyszła osiemnaście lat temu, w czasie pańskiej służby wojskowej, armia zaoferowałaby kilkanaście możliwych wyjść z sytuacji. Ale upływ czasu, co za ironia losu, działał przeciwko panu. Możliwości są nadal, ale ograniczone do wyboru: morderstwo lub nie.

Ben zgasił nie dokończonego papierosa w popielniczce pułkownika.

- Dodałem im jeszcze jedno wyjście. Mogą mnie publicznie przeprosić.

Levin uśmiechnął się słabo.

- Wojsko nie przyjmuje przeprosin od swoich oficerów i żołnierzy, więc nie sądzę, by mógł pan oczekiwać, że ono kogokolwiek przeprosi.

- Osobliwy zwyczaj.

- Mam tu coś dla pana, poruczniku. - Pułkownik wyciągnął z prawej szuflady biurka kopertę i położył ją na stole. Z koperty wyjął papier formatu stosowanego zwykle przy sporządzaniu dokumentów. - Niedawno przyniósł kurier z Fortu Dix. To... - powiedział i wręczył Tysonowi formularz i kilka papierów podczepionych do niego - jest raport oficera śledczego. Jeśli przejdzie pan od razu do strony trzeciej, na dole znajdzie pan oświadczenie pułkownika Gilmera, który zaleca sąd wojskowy.

Ben odłożył papiery na biurko, nawet w nie nie zaglądając.

- General Peters, za radą prawników wojskowych, podtrzymał tę decyzję. - Levin wręczył Tysonowi pojedynczą kartkę papieru maszynowego, - Oto pańska kopia rozkazu stawienia się w sądzie.

Ben przytrzymał papier pod lampą i przeczytał krótki dokument.

„Od: Generała majora George’a Petersa, komendanta Fortu Dix, New Jersey.

Decyzja o przeprowadzeniu sądu wojskowego została podjęta. Rozprawa ma się odbyć na terenie Fortu Hamilton, Brooklyn, Nowy Jork, 15 października. Skład sądu:

Sędzia wojskowy: pułkownik Walter Sproule.

Członkowie ławy: pułkownik Amos Moore, podpułkownik Stanley Laski, podpułkownik Eugene McGregor, major Donald Bauer, major Virginia Sindel, kapitan Herbert Morelli, porucznik James Davis.

Oskarżyciele: pułkownik Graham Pierce, major Judith Weinroth, kapitan SaWatore Longo.

Obrońca: Vincent Corva

Podpisane: George Peters, generał major, armia Stanów Zjednoczonych”.

Tyson położył ten papier na stosie innych. Przez chwilę przyglądał się pułkownikowi.

- Może pan prosić o przesunięcie terminu. Niech pan porozmawia ze swoim adwokatem - poradził Levin.

- Piętnastego października odpowiada mi - potrząsnął głową Ben.

Pułkownik Lewin wręczył mu kolejny druk.

- Oskarżenie.

- Mam już kilka kopii. Po co mi jeszcze jedna?

- Jak pan sam widzi - wytłumaczył Levin - na każdym etapie sprawy dochodzi coś nowego i jest dopisywane do aktu oskarżenia. Te zarzuty podpisane są przez pułkownika Pierce'a, a on jeszcze raz, ale już formalnie, wręczy to pismo panu w trakcie oficjalnego spotkania w wyznaczonym wcześniej czasie i miejscu. Może być przy tym obecny pański adwokat, ale nie jest to konieczne.

Tyson odłożył kartkę na biurko.

- A więc to tak? Wskazany, oskarżony i gotowy do osądzenia. Wszystko przygotowane, jak należy. Wiem, że sprawiedliwość opóźniona jest równoznaczna zaprzeczeniu sprawiedliwości, ale jak powiedział Corva, prezes Izby Wojskowej powinien nosić mundur używany w czasie sądów doraźnych w Wietnamie.

Pułkownik nic nie powiedział.

Ben wstał i pomasaował się po karku.

- Mój Boże, a jeszcze w maju byłem wolnym człowiekiem. - Roześmiał się. - Cieszę się, że to stało się tak szybko. Nie miałem nawet czasu na zastanawianie się nad tym wszystkim.

- W oskarżeniu jest jeden punkt - powiedział Levin - który mnie niepokoi.

- O co chodzi, pułkowniku?

- Cicha aprobata.

- Jaka aprobata?

- Na stronie drugiej - powiedział Levin - gdzie jest mowa o wykonaniu instrukcji. W tym miejscu zazwyczaj władze przekazują specjalne instrukcje dla sądu.

- Jakie to instrukcje?

- Na ogół co do górnej wysokości kary, jaką można wymierzyć. Generał Peters i każdy dowódca od niego wzwyż aż do szefa sił zbrojnych ma prawo powiedzieć, jaka najwyższa kara może być zastosowana. Na przykład, kiedy w grę wchodzi zbrodnia pierwszego stopnia, w tym miejscu - Levin pokazał palcem linijkę na druku - zazwyczaj napisane jest coś w rodzaju... wyklucza się karę śmierci...

Tyson podniósł kartkę. W miejscu wskazanym przez pułkownika nie było nic napisane.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że mogę zostać rozstrzelany? - Popatrzył na Levina.

- No cóż... to jest bardzo mało prawdopodobne. Właściwie nieprawdopodobne... Ale niepokoi mnie, że generał Peters nie wykluczył kary śmierci...

- Niepokoi pana? Pułkowniku, ja jestem po prostu oburzony...

- Oczywiście, że jest pan oburzony. To groźba. Naprawdę dziwi mnie... zwykle rząd, Ministerstwo Sprawiedliwości lub ktoś w tym rodzaju proponuje podejrzanemu o zbrodnię pierwszego stopnia jakiś rodzaj gwarancji - w zamian, oczywiście, za coś. Nie mam uprawnień do przeprowadzenia rozmów na ten temat. Jednakże zdaję sobie sprawę, że żaden sąd wojskowy nie będzie wymierzał kary śmierci.

- Skąd pan to wie, pułkowniku? Jeśli zwierzchnicy generała Petersa nie kazali mu wykluczyć takiej możliwości, ten skład sędziowski, który już został wyznaczony - Ben puknął palcem w papiery - może to potraktować jako wskazówkę, że właśnie takiej kary oni oczekują.

- To interesująca uwaga - przyznał Levin. Po jakiejś chwili dodał: - Ale wywieranie

jakiegokolwiek wpływu, nawet bardzo subtelnego, jest niezgodne z prawem.

- To napawa otuchą. Jestem przekonany, że pułkownik Gilmer, podejmując decyzję postawienia mnie przed sądem wojskowym, opierał się wyłącznie na faktach. - Tyson zgarnął papiery i wsunął je do koperty. - Jeśli to już wszystko, nie będę pana dłużej odrywał od pracy, pułkowniku.

- Jeszcze jedna sprawa - Levin odchrząknął. - Od tej chwili nie może pan opuszczać swoich kwater. Rozkaz to rozkaz. Musi pan w nich pozostawać, chyba żeby groziło coś pańskiemu życiu lub zdrowiu. Jeśli chce pan wyjść z innych powodów, każdorazowo musi pan zgłosić prośbę na piśmie do generała Petersa w Forcie Dix.

- To ten facet, który chce mnie rozstrzelać. A ja go nawet nie znam.

- To nie jest sprawa osobista. - Pułkownik nalał Benowi drugiego drinka. - W tym wszystkim nie ma nic osobistego.

- To jest właśnie przerażające, pułkowniku.

- Tak. - Levin przełknął połowę swego manhattana. - Przykro mi z powodu tego ograniczenia. Wstawałem się za panem, ale kiedy przyszli ci z Dix i obejrzeni sobie puste miejsca w książce meldunkowej, rozpętało się piekło. - Pułkownik skończył swego drinka. - Ale mogło być gorzej. Mógł się pan znaleźć w więzieniu.

Tyson wypił trochę.

- Czy mogę się przechadzać po podwórku? - zapytał spokojnie.

Levin przez długi czas wpatrywał się w swoje biurko.

- Jestem pewien, że nikt nie będzie miał o to pretensji - powiedział wreszcie. - Zamknięcie na terenie kwatery nie będzie trwało bardzo długo - dodał. - Tylko do sentencji wyroku.

- A wtedy pojedę do domu - kiwnął głową Ben. - Gdziekolwiek to miałoby być.

- Tak, wtedy pojedzie pan do domu. Pułkownik podszedł do okna i wpatrywał się przez jakiś czas w białą mgłę pokrywającą wszystko, co znajdowało się poniżej pierwszego piętra budynku. - Widziałem tyle pięknych miejsc w moim życiu. Raz odnalazłam spokój w wiosce szwajcarskiej. Spokój, którego nie czułem ani wcześniej, ani później. - Wyciągnął cygaro. - Na końcu Księgi Liczb, w rozdziale trzydziestym piątym, wspomina się o stworzeniu sześciu miast ucieczki, gdzie podejrzany o morderstwo może żyć w spokoju, aż namiętności ostygną i sprawiedliwości będzie mogło stać się zadość. "Wtedy zgromadzenie osądzi go, czy jest mordercą, czy mścicielem. Rozróżni między zabójcą a człowiekiem, który zabił z usprawiedliwionej zemsty albo w afekcie".

Tyson nic nie mówił.

Levin odwrócił się, odstawił kieliszek na biurko, a cygaro odłożył do popielniczki.

- Pański paszport jest w środkowej szufladzie mojego biurka. Wracam za pięć minut. Pana już do tego czasu tu nie będzie, a więc teraz mówię dobranoc. Nie ma potrzeby salutować.

Wyciągnął rękę, a Ben uściskał ją.

Pułkownik odwrócił się i opuścił pokój. Tyson obszedł biurko i otworzył środkową szufladę. Jego niebiesko-złoty paszport leżał na pudełku od cygar. Przez chwilę przyglądał mu się, a potem zasunął szufladę.

Wyszedł z biura Levina niosąc pod pachą kopertę z dokumentami. Maszerował zamgloną nocą w stronę kwater. Z mgły wyłoniła się para świateł samochodu, oświetlając mu drogę. Samochód towarzyszył mu, gdy szedł powoli do domków zajmowanych przez oficerów.

Kiedy podszedł do frontowych drzwi, samochód stał przy chodniku.

- Dobranoc, poruczniku Tyson.

- Pieprz się, kapitanie Gallagher.

Ben wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Uprzytomnił sobie, że otworzy je dopiero w dniu swojego sądu.

CZEŚĆ III

*Zdradzę ci wielki sekret, przyjacielu. Nie czekaj na sąd ostateczny. Odbywa się on
każdego dnia,*

Camus

Rozdział 42

Ben Tyson otworzył drzwi domku i skierował się ścieżką w stronę samochodu. Kierowca żandarm zasalutował i otworzył przed nim drzwiczki. Tyson ściągnął oficerską czapkę z daszkiem i zajął miejsce obok Vincenta Corvy.

Kapitan Gallagher siedzący na przednim siedzeniu po stronie dla pasażera odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- Gdzie jedziemy? - zapytał.

Ben milczał.

- Do kościoła - zdecydował za niego Corva.

Kierowca ruszył. Jechali powoli w stronę kaplicy garnizonowej na skrzyżowaniu Roosevelt Lane i Grimes Avenue.

Już po dwóch minutach znaleźli się przed potężną kaplicą z czerwonej cegły, z dobudowanym długim skrzydłem. Dodatkowe budynki wzniesiono w czasie krótkiego okresu, kiedy Fort Hamilton pełnił rolę szkoły dla kapelanów.

Zbliżali się do kaplicy od południa, Tyson przyglądał się szerokim trawnikom i klonom o złotożółtych liściach. Za pojedynczą wieżą kaplicy wznosiła się szara konstrukcja wiszącego mostu. Na schodach przed kaplicą stał tłum ludzi. Ben oceniał, że musiało ich być koło setki.

Łazik podskoczył na krawężniku i wjechał na trawnik. Zatrzymał się dopiero przed skromnymi drzwiami w północnym skrzydle. Kapitan Gallagher odwrócił się znowu do Vince'a i Bena.

- Chcą, żebyście weszli tymi drzwiami.

- Czy z tego powodu przejechaliśmy przez trawnik i zatrzymaliśmy się tuż przed nimi?

- Właśnie. - Gallagher zagryzł wargi.

Corva otworzył drzwi i wysiadł, a za nim Tyson. Stali pomiędzy samochodem a drzwiami. Powietrze było rześkie. Świeciło poranne październikowe słońce. Ben spojrzał ponad dachem samochodu.

- Dlaczego ci ludzie tam stoją?

- Ponieważ nie mogą wejść do środka. Trzeba mieć zaproszenie. Ale chcą przynajmniej powiedzieć, że brali udział. A więc sterczą na zewnątrz.

Tyson nie skomentował tego oświadczenia.

- W dodatku muszą być wojskowymi lub przynajmniej pracować dla wojska - dodał adwokat - ponieważ cała baza została oczyszczona z cywilów wczoraj wieczorem. Mogli pozostać jedynie zatrudnieni na miejscu, no i oczywiście ci, którzy przebywają tu ze względu na śledztwo.

- Powinniśmy zbierać pieniądze za wstęp na salę sądową, Vince.

- Właśnie. Byłoby z czego opłacić moje honorarium.

Ben zorientował się, że ludzie zebrani przed kaplicą patrzą wprost na niego. Niektórzy machali, inni robili zdjęcia. Na pewno podeszliby bliżej, ale kilkunastu żandarmów uformowało kordon chroniąc trawnik przed tłumem.

- Skończmy już tę sesję zdjęciową - powiedział Corva.

Sięgnął do klamki, ale w tej samej chwili drzwi otworzył od środka żandarm w białym hełmie i z białym pasem, w którego kaburze tkwiła automatyczna czterdziestkapiątka. Adwokat pociągnął Tysona za rękę i obaj weszli do wnętrza budynku.

Ben idąc długim korytarzem ściągnął czapkę. Po obu stronach widział drzwi, a nad nimi czerwone napisy: KAPELAN, KAPITAN SMYTHE, PRZENAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT. Ostatni napis głosił: RABIN ELI WEITZ, MAJOR.

Vince zatrzymał się przed tymi właśnie drzwiami.

- Kiedy przyjechałem - zwrócił się do Tysona - przy głównej bramie zebrał się wielotysięczny tłum wznoszący okrzyki: „Uwolnić Tysona!” lub „Zastrzelić skurczybyka!”. - Na chwilę zamilkł. - Twoja sprawa wyzwała wielkie emocje, Ben. Odżyły stare wątpliwości, na które nadal nikt nie zna odpowiedzi.

- Tylko dlatego, że pytania są złe.

Corva zapukał do drzwi rabina, a potem otworzył je.

Rabbi Weitz, potężny mężczyzna z szopą siwych, kręconych włosów, podniósł się od swego biurka. Miał na sobie cywilne ubranie - brązowy wełniany garnitur.

- Witam panów. - Wymienił z Benem i Vince'em uściski dłoni.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że pozwolił nam pan skorzystać ze swego biura - powiedział adwokat.

- Pozwolił? Na nic nie pozwalałem. Powiedzieli mi po prostu, że potrzebne jest biuro dla potrzeb sądu i moje przydzielili akurat obronie. Tak więc już się żegnam. Chciałem się tylko najpierw przywitać. - Weitz sięgnął po swoją aktówkę. - Jak długo to zajmie?

- Trudno powiedzieć - Corva wzruszył ramionami. - Dzisiaj jest poniedziałek...
Możliwe, że będziemy je zajmować do piątku.

- Będę potrzebował biura w piątek wieczorem przed nabożeństwem. To sabat.

- Tak, wiem.

- Czy będzie pan obecny na sali? - zapytał Tyson.

Major Weitz, który szedł już do drzwi, zatrzymał się i odwrócił.

- Otrzymałem zaproszenie jako rekompensatę za zabranie mi biura. Jednak nie będzie tam nic, co chciałbym oglądać. Ale życzę szczęścia i niech Bóg pana błogosławi. - Rabbi

opuścił pokój.

Vince położył swoją teczkę na biurku rabina, a Ben rzucił obok czapkę.

- Do końca procesu możemy używać tego pomieszczenia - stwierdził adwokat.

- Nadal wydaje mi się to dziwaczne.

- A gdzie indziej na terenie jednostki moglibyśmy dostać biuro? Nie chcemy, żeby przenieśli nas do Dix.

- A co to, u diabła, za różnica? - zapytał Tyson.

Podszedł do okna i wyjrzał przez szparę między żaluzjami. Wzdłuż całej Roosevelt Lane stały zaparkowane samochody, w tym telewizyjne mikrobusy. Żandarmi kierowali ruchem.

- Musieli sprowadzić dla ochrony pluton żandarmerii z Dix - powiedział Corva - a miasto przysłało kilkuset policjantów do pilnowania porządku na zewnątrz.

Ben odwrócił się od okna.

- Nigdy przedtem nie stanowiłem centrum zainteresowania publicznego.

- O, przyzwyczaisz się.

- Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby przeprowadzić to bardziej prywatnie? - zapytał Tyson.

- Obawiam się, że nie, Ben. Mnie wystarczyłoby kilku dziennikarzy i kilku cywilów, żeby wszystko odbyło się w miarę ucziwie. Ale w chwili gdy wojsko ugięło się pod naciskami zewnętrznymi i ogłosiło, że rozprawa będzie jawna, lista ludzi, którzy koniecznie musieli się znaleźć na sali rozpraw, natychmiast znacznie się wydłużyła. Żona komendanta jednostki, pani Hill, zażądała trzydziestu zaproszeń. Kaplica może pomieścić dwieście osób, ale wojsko ze zwykłej przyzwoitości stara się ograniczyć liczbę widzów do stu.

- Nie zdarzyło mi się widzieć stu osób na nabożeństwie niedzielnym - Tyson uśmiechnął się ponuro.

- W sali, gdzie odbywała się sprawa Calleya - zauważył Vince - mogło pomieścić się pięćdziesiąt dziewięć osób i przez cały czas trwania procesu żadne z miejsc nie świeciło pustką.

Ben zauważył, że major Weitz zostawił dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Nalał sobie filiżankę.

- Chcesz? - zapytał adwokata.

- Nie.

Tyson odstawił nie tkniętą kawę i zapalił papierosa. Spojrzał na zegarek, a potem podniósł leżącą na biurku książkę i przez chwilę ją kartkował. Dopiero po paru dobrych sekundach zorientował się, że jest napisana po hebrajsku.

- Każdy ma tremę przed występem - stwierdził Corva. - Po dziesięciu minutach na sali poczujesz się dobrze.

- Już teraz czuję się dobrze.

- No to w porządku.

- Po prostu czekam, aż przyjdzie ktoś i to odwoła - dodał Ben.

Vince milczał.

Tyson znowu spojrzął na zegarek. Rozejrzał się za popielniczką, ale ponieważ nie znalazł jej, zgasił papierosa w filizance z kawą. Adwokat przeglądał notatki.

Z korytarza dobiegł głośny stuk kroków. Ucichł pod ich drzwiami i po chwili rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się i młody, wysoki żandarm zwrócił się do Bena:

- Proszę pójść za mną, sir.

Tyson sięgnął po czapkę, a Corva po teczkę.

- Może zostawić pan swe okrycie tutaj - powiedział sierżant Larson, nazwisko można było odczytać na plakietce.

- Co? Och... - Ben odłożył czapkę na biurko, poprawił kurtkę munduru i krawat i wyszedł na korytarz.

Tuż za nim szedł Vince.

Sierżant stawiając długie kroki minął ich i poprowadził dalej.

Doszli do skrzyżowania i tam skręcili w lewo. Na końcu korytarza Larson otworzył drzwi. Najpierw przeszedł przez nie Corva, potem Tyson.

Stanęli na czerwonym dywanie prowadzącym do ołtarza. Ben usłyszał pomruk, jaki wydobył się z ust zebranych w ławkach ludzi.

Vince wskazał na długi, dębowy stół w dalekim końcu podwyższenia, gdzie normalnie

znajdował się ołtarz. Tyson podszedł do stołu i usiadł na drewnianym krześle. Adwokat zajął miejsce po jego lewej stronie.

W miejscu ołtarza, na końcu czerwonego chodnika stał długi stół, za którym mieli zasiąść sędziowie. Na razie siedem krzeseł świeciło pustką. Ben odwrócił głowę w lewo. Tylne ściany kaplicy wyłożone drewnem leszczynowym wznoszą się na wysokość pierwszego piętra zwieńczona była sklepieniem. Pośrodku wisały złote draperie rozciągające się od sufitu do podłogi. Wiedział, że za nimi znajduje się duże prezbiterium z ogromnym krzyżem. Draperie zawieszano na czas nabożeństw żydowskich i wszystkich niereligijnych spotkań, takich jak właśnie dzisiejsze. Właściwie nic już nie wskazywało, że znajdują się w poświęconym miejscu. Równie dobrze mogłoby to być jakieś audytorium. Wyraźnie od razu tak zaprojektowano wnętrze, że przez zmianę kilku szczegółów można było przekształcić jego charakter z religijnego na świecki.

Drewniany pulpit został przeniesiony ze swego zwykłego miejsca. Teraz znajdował się na platformie przed zasuniętymi draperiami. Prawdopodobnie to było jego zwykłe miejsce w czasie trwania rozpraw. Po lewej stronie pulpitu stał stojak z amerykańską flagą. Powyżej, w miejscu, gdzie zwykle wisały religijne malowidła, zawieszono fotografię prezydenta w towarzystwie podobizny ministra obrony i głównego dowódcy sił zbrojnych. Dlaczego kogokolwiek z obecnych miałby interesować wygląd dowódców, trudno było zgadnąć. Tyson podejrzewał, że każda instytucja potrzebuje symboli, a symbole wojskowej sprawiedliwości są mniej natrętne niż instytucji, które używają ich na co dzień.

Po prawej stronie od pulpitu, patrząc z jego strony, stało krzesło dla świadków, tak samo jak w cywilnych sądach. Po lewej przygotowano miejsce dla protokolanta, również tak jak w sądzie cywilnym.

Spojrzał w prawo. Na skraju podwyższenia, tuż przy barierce, gdzie udzielano komunii, stał stół dla prokuratora i jego zespołu. Ich krzesła ustawiono tak, że siedzący zwróceni byli twarzami do sędziego lub osoby stojącej przy pulpicie. Przy biurku siedzieli już pułkownik Pierce, major Weinroth i kapitan Longo. Ich biurko pokryte było papierami, chociaż Corva nie otworzył jeszcze nawet teczki.

Adwokat sprawdził mikrofon, żeby upewnić się, że jest wyłączony.

- Mnie się wydaje, że jest więcej niż setka - zwrócił się do Tysona.

- Jeszcze nie spojrzałem. - Ben odwrócił głowę i skierował wzrok w stronę nawy.

Ławki, które podczas mszy nigdy nie były nawet w połowie zajęte, teraz wypełniał szczerze tłum, a na dodatek jeszcze trochę ludzi stało w nawach. Ktoś musiał podrobić bilety. Do uszu Tysona docierał przytłumiony, prawie niesłyszalny pomruk zebranego tłumu. Przyszli na przedstawienie, ale zachowywali się, jakby byli w kościele.

Spojrzał ponad ławkami, powyżej frontowych drzwi, gdzie biegła przez całą szerokość

nawy galeria dla chóru. Stamtąd przez trzy wąskie witraże wpadało do wnętrza światło. Vjnce poinformował go, że galeria została zarezerwowana dla generała Williama Van Arkena i jego ekipy, dla ważnych osobistości armii i rządu, w tym komendanta Fortu Dix, generała Petersa, oraz kilku lokalnych polityków, a także ludzi z bezpieczeństwa, W świetle padającym przez okna Ben widział postacie poruszające się po galerii. Na pewno jego stary kumpel, Chet Brown, znajdował się tam również.

- Mroczna galeria - powiedział głośno.

Corva podążył za jego spojrzeniem.

- Nikt nie powinien wiedzieć o ich obecności. To mogłoby zostać uznane za próbę wpływania na wyrok sądu.

- Widziałem samochody tych tajemniczych gości z oznaczeniami rządowymi stojące przed kościołem.

- Zgadza się.

Tyson omiół wzrokiem ściany nawy. Po obu stronach znajdowały się cztery wysokie witraże. Od południowej strony wlewało się do środka poranne słońce, rzucając wielobarwne plamy na ludzi zebranych w ławkach. Witraże były abstrakcyjne, zaprojektowane, jak wszystko w tym kościele, by usatysfakcjonować zarówno chrześcijan, jak i żydów, a w rezultacie nie zadowalające nikogo. Kolory szybek były głównie patriotyczne: czerwony, biały i niebieski. W dwóch oknach witraże przedstawiały motywy ze Starego Testamentu.

Wreszcie wzrok Bena spoczął na samych ławkach. Trzy czwarte zebranych miało na sobie mundury. Kilka ławek zarezerwowano dla studentów prawa wojskowego z Charlottesville. Wszyscy cywile wyglądali na zamożnych ludzi w średnim wieku.

Marcy udało się zdobyć miejsca dla rodziny i przyjaciół Zachowywała się, jak na prawdziwego specja od reklamy przystało. Większość ludzi, których znał Tyson, siedziała w pierwszych rzędach po lewej stronie. Zobaczył pomiędzy nimi Johna i Phyllis McCormick oraz kilku innych sąsiadów z Garden City.

Nagle zauważył panów Kimurę, Nakagawę i Saito. Nie wierzył własnym oczom. Nic nie mogło go bardziej zdziwić niż ich obecność. Razem z japońskimi dżentelmenami siedziała jego była sekretarka, panna Beale. Najwyraźniej straciła kilka kilogramów i znalazła jakiś porządny sklep z ubraniami.

Dostrzegł też Andrew Picarda, który w jakiś sposób musiał się poznać z Philem i Joan Sloanami, ponieważ siedzieli razem i rozmawiali.

Zobaczył Paula Steina, którego mieszkania używał tak krótko. I pułkownika Levina z

kobietą, która prawdopodobnie była panią Levin. Siedzieli razem z doktorem Russellem, który przez chwilę był przełożonym Bena. Zauważył kapitana Hodgesa, który właśnie patrzył na zegarek. Tyson przez moment zastanawiał się, kto kieruje w tej chwili jednostką.

Przebiegał wzrokiem po ławkach usiłując wypatrzeć Karen Harper i wreszcie znalazł ją w ostatnim rzędzie. Obok niej siedział przystojny mężczyzna w mundurze. Mówił coś do niej, a pewna poufałość w jego sposobie zwracania się wskazywała, że nie jest to zwykła zażyłość koleżeńska. Prawdopodobnie był to mężczyzna, o którym mówił mu Brown, pułkownik Erie Willets. Ben podejrzewał, że pułkownik życzył mu z całego serca dożywocia i przyszedł tutaj, by być świadkiem ogłoszenia takiego wyroku.

Kilka dni przed rozprawą Tyson otrzymał list pełen słów wsparcia i współczucia od Emily Browder, wdowy po kapitanie Royu Browderze. Ona też była obecna na tej sali, ale nie wiedział, jak wygląda.

W pierwszym rzędzie zobaczył swoją matkę pogrążoną w rozmowie z wielebny Symsem, księdzem z jego obecnej, a jej byłej parafii. Wyglądali, jakby opowiadali sobie plotki na temat parafian. W dawnych czasach był to jedyny powód, dla którego matka rozmawiała z proboszczem.

Po prawej stronie matki siedziały jego siostry, Laurie, June i Carol, bez mężów. Następne krzesła zajmowali Marcy i David. Marcy złapała spojrzenie Bena, uśmiechnęła się i posłała mu całusa. Tyson również zmusił się do uśmiechu. Odwrócił się do Corvy.

- Czy twoja żona jest też tutaj?

- Nie. Tracę nerwy, kiedy siedzi na sali.

- Naprawdę? Czy ja w takim razie powinienem się denerwować, skoro wszyscy, nawet moja nauczycielka ze szkoły podstawowej tu się zjawili?

- Nic podobnego - zapewnił go Vince. - Ty nie będziesz wiele mówił. Po prostu przyglądaj się, jak ja robię z siebie durnia.

Ben spojrział na pierwsze rzędy zarezerwowane dla mediów. Zawsze daje się rozpoznać dziennikarzy. Wyglądają, jakby wciąż nie potrafili się pożegnać z latami sześćdziesiątymi.

Adwokat nalał z karafki wody do dwóch papierowych kubków.

Tyson zauważył metalową popielniczkę i zapalił papierosa.

- Naprawdę powinieneś rzucić - stwierdził Corva.

- Najpierw dowiedzmy się, czy nie zostanę rozstrzelany.

- To brzmi rozsądnie. - Vince wyciągnął jakieś papiery z teczki i zaczął je rozkładać przed sobą na stole.

Ben przyjrzał się kopii oskarżenia i przeczytał: „Jean Monteau, Evan Dougal, Bernhard Rueger, Marie Broi, siostra Monika, siostra Aimee, siostra Noelle, Pierre Galante, Henri Taine, Maarten Lubbers, brat Donatus, siostra Juliette, Susanne Dougal, Linda Dougal”.

Nie uważał się za człowieka o skłonnościach mistycznych, a jednak wydawało mu się, że czuje obecność umarłych w tej niby kaplicy, obecność kapitana Browdera, wszystkich zabitych żołnierzy z Kompanii Alfa i wszystkich zamordowanych w Szpitalu Miłosierdzia.

Spojrzał na Corvę. Pomyślał, że prawnik wygląda na nieco zaniepokojonego, co było zresztą zrozumiałe. Ale Vince mógł jedynie przegrać proces, jemu nie groziło więzienie.

- Chyba zrozumiałem dowcip o pistacjach i pistoletach - powiedział Tyson.

Corva uśmiechnął się. Układał obok notatnika rząd ołówków.

- Dziwactwem w procedurze sądu wojskowego jest przyznanie oskarżycielom pewnych funkcji, które w sądzie cywilnym przypadająby ławie przysięgłych. - Spojrzał na Pierce'a. - Ten skurwiel w czasie sprawy o pojedynek próbował mnie wystawić w sprawach proceduralnych. Większość prawników wojskowych daje cywilnemu adwokatowi lekkie fory, jeśli chodzi o prawo wojskowe. Ale nie Pierce. On rozegra każdą kartę.

- Tym razem gra przed dużym cywilnym audytorium. No i przed prasą. Może to go trochę wytrąci z równowagi - zastanowił się Ben.

- Jest taka szansa - przytaknął adwokat. - Widzisz, jak mu się ręce trzęsą?

Tyson przyjrzał się uważnie oskarżycielowi, ale dostrzegł tylko uosobienie spokoju.

- Nie. - Zaciągnął się głęboko i zdusił papierosa.

Widzowie zaczęli się niecierpliwić. Boczne drzwi przy ołtarzu otworzyły się i po czerwonym chodniku przemaszerował mężczyzna w mundurze. Przez ławki przebiegło westchnienie oczekiwania. Mężczyzna, sierżant w średnim wieku, usiadł na miejscu dla protokolanta. Po chwili, kiedy wszyscy zorientowali się, że jego przybycie nie oznacza niczego ważnego, znowu wzmógł się szmer rozmów.

- Typowe dla wojska. Najpierw pośpiech, a potem czekanie - skomentował Ben. - Prawda, Vince?

- Właśnie.

Boczne drzwi otworzyły się znowu, pojawił się w nich żandarm i zajął miejsce obok w

pozycji na baczność. Tyson zauważył, że żołnierz nie miał broni. Prawdopodobnie chodziło o to, by pokazać widzom i prasie, że Ben nie jest niebezpieczny. Przez drzwi wkroczyło na salę siedmiu członków ławy, prowadzonych przez pułkownika Amosa Moore'a, który miał im przewodzić. Był on kimś w rodzaju przewodniczącego ławy przysięgłych, tyle tylko, że jego głos miał większe znaczenie.

Pułkownik Moore podszedł bez wahania do długiego stołu i stanął za środkowym krzesłem. Spojrzał na Tysona. Pozostałych sześciu członków składu sędziowskiego szło za nim w kolejności dyktowanej stopniami. Po prawej ręce pułkownika Moore'a stanął podpułkownik Stanley Laski, dalej major Donald Bauer i na końcu kapitan Morelli. Od lewej stali podpułkownik Eugene McGregor, major Virginia Sindel i najmłodszy, porucznik James Davis, który podszedł do krzesła ostatniego po lewej.

Ben obserwował ich z pewną ciekawością. Przyglądał się uważnie ich twarzom, ale prawdopodobnie przez cały poranek ćwiczyli przed lustrem i na ich obliczach nie malowało się żadne uczucie. Corva wiedział co nieco o każdym z nich, natomiast on miał jedynie świadomość, że wszyscy są zawodowymi oficerami. Niektórzy z nich mieli odznaki piechoty, a jeden nawet odznakę bojową. Wszyscy, poza Virginią Sindel i porucznikiem Davisem, mieli całą masę baretek.

Nie uzbrojony żandarm przeszedł na środek, w miejsce, gdzie ślady ołtarza wyraźnie odcisnęły się na czerwonym chodniku. Stanął przodem do zgromadzonych.

- Proszę wstać! - wykrzyknął.

Ben i Vince wstali, podobnie oskarżający i protokolant. Goście w ławkach podnosili się hałaśliwie. Tyson dostrzegł również zarys sylwetek na tle wąskiego witrażu ponad chórem. Kilka osób z sektora dla prasy wysunęło się naprzód, zobaczył, że są to rysownicy wykonujący szkice. Podeszli aż do barierki, ale tym razem nie zjawił się nikt z komunią.

Przez otwarte drzwi za stołem dla składu sędziowskiego wmaszerował pułkownik Walter Sproule, sędzia wojskowy. Nie miał na sobie togi, tylko zielony mundur z insygniami pułkownika oraz sędziego Izby Wojskowej. Podeszedł do pulpitu i zajął za nim miejsce. Ben

Pułkownik Sproule podszedł do pulpitu i zajął za nim miejsce. Ben pomyślał, że zestawienie osoby sędziego, wysokiego pulpitu i złotych draperii wygląda pompatycznie i teatralnie.

Sproule, mężczyzna, jak go oceniał Tyson, około siedemdziesiątki, rozejrzał się wkoło, sprawdzając, czy wszyscy są na swoich miejscach. Nie miał młotka, w sądzie wojskowym nie był on potrzebny. Pułkownik nie zwracał sobie głowy ustawieniem mikrofonu.

- Proszę o spokój - powiedział, a jego silny głos dotarł do każdego zakątka sali.

Rozdział 43

Pułkownik Pierce jako jedyny nie usiadł. Poprawił mikrofon i odezwał się:

- Ten sąd zebrał się na skutek rozkazu numer sto trzydzieści dziewięć, wydanego przez dowództwo Fortu Dix w New Jersey, którego kopie zostały dostarczone sędziemu wojskowemu, wszystkim członkom ławy, oskarżycielom, obrońcy i oskarżonemu.

Tyson obejrzał się na widzów. Wydawało mu się, że śni. Nigdy w życiu nie widział tylu zachwyconych twarzy.

- Wszystkie wymienione osoby - kontynuował Pierce - są obecne na sali. - Odczytał siedem nazwisk sędziów wchodzących w skład ławy, sędziego wojskowego, prokuratorów - w tym własne, a na końcu obrońcy. Po czym zwrócił się do pułkownika Sproule'a: - Oskarżenie jest gotowe do rozpoczęcia sprawy. Stany Zjednoczone przeciwko Benjaminowi Jamesowi Tysonowi, porucznikowi armii Stanów Zjednoczonych, obecnemu w sądzie. - Pułkownik usiadł.

Sędzia Sproule rozejrzał się po sali i oparł ręce na krawędziach pulpitu.

- Moim obowiązkiem jest poinformować sąd co do jego obowiązków prawidłowego przeprowadzenia rozprawy - powiedział.

Ben przyjrzał się uważnie Sproule'owi. Był to tyczkowaty mężczyzna o bladej twarzy i kilku kosmykach siwych włosów starannie zaczesanych na łysej czaszce. Miał dziwnie rozbiegany wzrok. Tyson przypuszczał, że jest on krótkowidzem i nie nosi okularów. W dodatku za prawym uchem miał urządzenie wspomagające słuch. Ben podejrzewał, że człowiek ten przez czterdzieści lat widział tyle sądów wojskowych, że mało zostało w nim cierpliwości dla nadętych prawników, nie potrafiących się wysłowić świadków i dla winnych. Nawet ta rozprawa prawdopodobnie nie robiła na nim wrażenia.

Sędzia rzucił okiem na Corwę.

- Obowiązkiem obrońcy jest reprezentować oskarżonego - powiedział - zgodnie ze szczególnymi wymaganiami prawa wojskowego. Prawem i obowiązkiem obrońcy jest dopilnować, by podczas procesu wszystkie prawa oskarżonego zostały dopełnione. Nie jest

jego obowiązkiem, prawem ani powinnością gmatwać fakty ani stosować jakiegokolwiek triki sądowe, które mogłyby skompromitować powagę tego sądu lub odsunąć, a nawet zniweczyć wymierzenie sprawiedliwości.

Pułkownik przeniósł wzrok na zespół oskarżycieli siedzący po przeciwnej stronie.

- Obowiązkiem oskarżycieli jest dowieść składowi sędziowskiemu ponad wszelką rozsądną wątpliwość, że przedłożone oskarżenie jest słuszne. Strona rządowa miała wystarczająco wiele czasu na zbadanie sprawy będącej przedmiotem oskarżenia i postawienie zarzutów w odpowiedniej formie. Chciałbym przypomnieć, że w czasie rozprawy w sądzie wojskowym pierwszym obowiązkiem oskarżyciela jest powstrzymanie się od osądzania, chodzi tylko o to, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie chcę walczyć z naturalnym dążeniem zarówno obrony, jak i oskarżenia do wygrania sprawy. Ale musi być ono ograniczone świadomością odpowiedzialności za zapewnienie uczciwego sądu, przeprowadzonego w zgodzie z legalną procedurą, a także z potrzebami, zwyczajami i tradycjami armii Stanów Zjednoczonych.

Sproule zwrócił się do siedmiu członków składu ławy:

- Waszym obowiązkiem jest wysłuchać wszystkich zeznań. - Na chwilę zamilkł. - Wysłuchać wszystkich zeznań, które usłyszycie na tej sali sądowej. Musicie zapamiętać, na tyle, na ile jest to w ludzkiej mocy, o wszystkim, co do tego czasu słyszeliście lub czytaliście na temat tej sprawy. Najważniejszym naszym celem jest ustalenie, czy zostało złamane prawo wymienione w oskarżeniu, a jeśli tak było, wymierzenie sprawiedliwości. - Sproule spojrział na pułkownika Moore'a. - Pułkowniku, występował pan już nieraz jako przewodniczący składu sędziowskiego, ufam, że udzieli pan pomocy tym sędziom, którzy po raz pierwszy występują w takiej roli w sądzie.

Sędzia spojrział przed siebie.

- Życzeniem sądu jest - powiedział - by wszyscy obecni na sali podczas tego procesu zachowali spokój i ciszę, stosownie do powagi spraw, o których będzie się tu decydować.

Tyson zastanawiał się nad słowami, które pułkownik w swej wstępnej mowie skierował do Corvy i Pierce'a. Równie dobrze mógł zakazać królikowi biegania.

Sproule zwrócił się znowu do pułkownika Moore'a:

- Członkowie ławy i panie przewodniczący, teraz przedstawię wam innych uczestników tej rozprawy. - Oficjalnie przedstawił sierżanta Reynoldsa, protokolanta, potem Corvę, a następnie oskarżycieli: Pierce'a, Weinroth i Longa.

Potem zwrócił się do pułkownika Pierce'a:

- Teraz sędziowie zostaną zaprzysiężeni.

Pułkownik Pierce wstał.

- Nastąpi zaprzysiężenie sędziów - ogłosił. - Proszę wszystkich o powstanie.

Obecni na sali podnieśli się, publiczność również. Ben zauważył jednak, że paru dziennikarzy pozostało na swoich miejscach. Kontynuowali sporządzanie notatek. Widocznie sędzia również to dostrzegł.

- Kiedy przedstawiciel sądu nakazuje powstać - powiedział - polecenie powinni wykonać wszyscy, poza kalekami.

Kilka osób parsknęło śmiechem, a oporni dziennikarze podnieśli się. Pułkownik Pierce nadal stojąc za biurkiem odwrócił się do sędziów.

- Kiedy będę wymieniał kolejne nazwiska, proszę podnosić prawą rękę.

Mówił nie pomagając sobie żadnymi notatkami.

- Czy wy, pułkowniku Amosie Moorze... podpułkowniku Stanleyu Laski... podporuczniku Eugene McGregorze... majorze Donaldzie Bauerze... majorze Virginio Sindel... kapitanie Herbercie Morelli... poruczniku Jamesie Davisie... przysięgacie, że będziecie z całą dokładnością wypełniać nałożone na was obowiązki członka tego sądu; czy zgodnie z dowodami i zeznaniami, w pełni świadomi prawa obowiązującego w sądzie wojskowym, rozważycie starannie sprawę oskarżonego Benjamin Jamesa Tysona, porucznika armii Stanów Zjednoczonych, tak wam dopomóż Bóg?

Siedmiu członków składu sędziowskiego odpowiedziało jednym głosem:

- Przysięgam.

Opuścili ręce, ale nadal stali, podczas gdy Pierce zwrócił się do pułkownika Sproule'a, który uniósł prawą rękę:

- Czy ty, pułkowniku Walterze Sproule, przysięgasz, że z należytą dokładnością, w pełni świadom prawa wojskowego, wypełniać będziesz wszystkie obowiązki jako sędzia wojskowy, tak ci dopomóż Bóg?

- Przysięgam - odrzekł sędzia i opuścił rękę.

Teraz z kolei on zwrócił się do oskarżycieli, którzy także podnieśli dłonie.

- Czy wy, pułkowniku Grahamie Piersie, majorze Judith Weinroth, kapitanie Salvatore Longo, przysięgacie, że z należytą dokładnością wypełnicie obowiązki oskarżycieli podczas tej rozprawy sądu wojskowego, tak wam dopomóż Bóg?

Oskarżyciele złożyli przysięgę i opuścili ręce.

Następnie pułkownik zwrócił się do Corvy, który podniósł rękę i został zaprzysiężony.

Pułkownik Pierce powiedział do mikrofonu:

- Wszyscy mogą usiąść.

- Sąd zebrał się - ogłosił Sproule.

- Rozumiem, o co ci chodziło, gdy mówiłeś o formalnościach - powiedział Tyson do Corvy, - Nie pamiętam, żeby zastępca dowódcy w dżungli był kiedykolwiek zaprzysiężany.

- To delikatna metoda, jaką stosuje wojsko dla podkreślenia rangi sędziego. - Adwokat kiwnął głową. - Wojsko instynktownie nie ufa niezależnej jurysdykcji, szczególnie dlatego, że nikt z dowódców nie jest w stanie napisać na jej temat rozsądnego raportu.

Sędzia spojrział na ludzi siedzących w ławkach.

- Wszyscy - ogłosił - którzy mają być wezwani na świadków w sprawie Benjaminu Tysona proszeni są o opuszczenie sali, chyba że polecono im pozostać z jakiegoś powodu.

Ben widział, jak ludzie rozglądają się naokoło, sprawdzając, czy koło nich nie siedzi jakiś świadek. Po chwili zauważył żandarma idącego wzdłuż nawy. Żołnierz zatrzymał się obok Andrew Picarda. Pisarz wskazał na siebie w ten idiotyczny sposób, który ludzie używają chcąc powiedzieć: Co, ja? Po chwili wstał z ociąganiem, powiedział coś do Philipa Sloana i niezdarnie ruszył wzdłuż rzędów. Wszyscy obecni odprowadzali go wzrokiem.

- Czy Pierce ma zamiar go wezwać? - zapytał Tyson nachylając się do Vince'a.

Adwokat zakrył mikrofon.

- Nie. Ja to zrobiłem. Jeszcze nie wiem, czy będę go potrzebował jako świadka. Niech Pierce się trochę o to pomartwi. - Po chwili dodał: - I niby dlaczego ma oglądać proces?

Kiedy Picard został doprowadzony przez żandarma do głównego wyjścia, pułkownik Sproule zwrócił się do Pierce'a:

- Proszę o rozdanie aktu oskarżenia członkom ławy i odczytanie go.

Kapitan Longo wstał i zbliżył się do stołu sędziowskiego, niosąc plik papierów. Zaczynając od pułkownika Moore'a, przesuwając się od lewej do prawej i przechodząc od wyższych do niższych rangą kładł przed każdym oficerem nie tylko druk aktu oskarżenia, ale i blok papieru i kilka ołówków.

- Za kilka minut - powiedział Corva do Bena - zostaniemy zapytani, czy mamy coś przeciwko składowi sędziowskiemu. Czy znasz kogoś z nich?

- Znam świetnie ten typ wojskowych.

- To nic jest wystarczająca podstawa do zarzutów - adwokat uśmiechnął się. - Mamy prawo do jednego sprzeciwu i jeśli chcemy z niego skorzystać, musimy to zrobić mądrze.

- Co to znaczy mądrze?

- To znaczy, że chcę wiedzieć, która twarz ci się nie podoba.

Tyson przyjrzał się sędziom czytającym treść aktu oskarżenia.

- Żadna. Czy możemy zakwestionować przewodniczącego składu, pułkownika Moore'a?

- Tak. Ale sędzia już dał zarówno mnie, jak i Pierce'owi do zrozumienia, że nie będzie mu się to podobało. To, co mówił na początku na temat Moore'a, skierowane było właśnie do nas - wyjaśnił Vince.

- Aha. Cieszę się, że rozumiesz język, jakim się tutaj mówi.

Corva popchnął w jego stronę kawałek papieru.

- Pułkownik Moore dowodził czwartą dywizją piechoty - mówił szybko. - Jak widzisz, ma sporo odznaczeń. Następny, podpułkownik Laski, był dowódcą oddziału piechoty jak my, Ben. Służył w dywizji amerykańskiej, byłej jednostce Calleya. Jego służba przypadła na ofensywę Tet i My Lai. Kolejny to podpułkownik McGregor, także były dowódca plutonu piechoty, był z Kawaleryjską i jeśli się dobrze przypatrzysz, to zobaczysz, że ma Purpurowe Serce.

Tyson podniósł wzrok na McGregora i zauważył teraz, że brakuje mu kawałka lewego ucha, a wzdłuż szyi biegnie blizna, która ginie za kołnierzykiem.

- Widzę.

- Dobra, teraz mamy majora Bauera, który jest w takim wieku, że mógł się jeszcze załapać na wojnę. Był doradcą przy jednostce propagandy i widział akcję batalionu komandosów wietnamskich, a więc tych czterech popróbowano krwi. Następna, major Sindel, jest rzecznikiem prasowym Fortu Dix. Zanim zaciągnęła się do wojska, była dziennikarką. Prawdopodobnie będzie uważnie słuchać i zadawać zbyt wiele pytań mających na celu wyjaśnienie wszystkich szczegółów. Kapitan Morelli jest prawnikiem wojskowym, również z Dix. Ma jakieś trzydzieści lat, a więc był dwunastolatkiem w czasie incydentu, o którym tu będzie mowa. Kto wie, jak zareaguje, gdy świadkowie zaczną opowiadać o strugach posoki, w jakich przyszło im się nurzać.

- Nie jestem pewien, jak zareagują inni - odrzekł Ben. - Dla weteranów to może być

również bolesne.

Adwokat spojrział na niego.

- Porucznik Davis ukończył West Point - kontynuował i oczekuje na wysłanie do Niemiec. Jest wytworem nowej armii i ma za sobą więcej kursów z etyki i moralności niż ćwiczeń w strzelaniu. Nie ma bladego pojęcia, skąd ty się wywodzisz. W czasie Hue miał jakieś trzy czy cztery lata. Data na akcie oskarżenia wygląda dla niego tak samo jak dla nas data lądowania aliantów w Normandii, 6 czerwca 1944.

Tyson przytaknął. Skład sędziowski powinien być przypadkowy. Jednak obecność czterech weteranów wietnamskich i to z piechoty wskazywała, że większość sędziów będzie w stanie ocenić wagę zeznań.

Pułkownik Moore spojrział na pozostałych członków rady i zobaczył, że skończyli czytać.

- Sędziowie zakończyli czytanie oskarżenia - ogłosił.

Pułkownik Pierce skinął głową.

- Oskarżenie mówi o pogwałceniu Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, artykuł sto osiemnasty, paragraf trzeci, morderstwo. Oskarżony jest podejrzany o udział w akcie z natury swojej niebezpiecznym dla innych i przejawiającym nierozważny stosunek do ludzkiego życia. - Pierce zrobił przerwę dla efektu, a potem ciągnął dalej. - Oskarżenie zostało przygotowane przez generała George'a Petersa, komendanta Fortu Dix; poprzedzone jest rekomendacją pułkownika Farnleya Gilmera, po sprawie wstępnej, której przewodniczył pułkownik Gilmer, zgodnie z artykułem trzydziestym drugim, oraz po śledztwie przeprowadzonym zgodnie z artykułem trzydziestym pierwszym Kodeksu przez major Karen Harper. - Po chwili dodał: - Ani sędzia wojskowy, ani żaden z sędziów nie będzie świadkiem oskarżenia.

- No, mam nadzieję - powiedział Ben do Vince'a.

- Kiedyś było to możliwe - uśmiechnął się adwokat. - Ale teraz proces będzie uczciwy.

- Dobrze.

Oskarżyciel rzucił w ich stronę zniecierpliwione spojrzenie. Poczekał jeszcze chwilę, by upewnić się, że Corva i Tyson skończyli wymianę zdań, i dopiero wtedy odezwał się:

- Materiały sprawy nie zawierają żadnych zarzutów w stosunku do sędziego wojskowego ani do rady sędziowskiej.

Sproule i Pierce rozpoczęli serię proceduralnych pytań i odpowiedzi. Ben pomyślał, że

doskonale się ze sobą zgadzają. Popatrzył na pułkownika Sproule'a.

- Znasz go? - zapytał.

- Ze słyszenia. Jest nieco zgryźliwy, ale tylko do poziomu sarkazmu, jak większość sędziów. Nie przepada za rozgrywkami na sali, czemu dał już wyraz. Zazwyczaj jest sprawiedliwy. Jeśli naskoczy na Pierce'a, zaraz znajdzie jakiegoś haka również na mnie. Ktoś nawet powiedział mi, że ma przed sobą notes, w którym zapisuje punkty dla obu stron. Ale nic z tego w zasadzie ciebie nic dotyczy. Nie ma takiej władzy jak cywilny sędzia. Prawdziwa siła, jaka zawsze tkwiła w sądach wojskowych, leży tam - wskazał głową siedmiu oficerów.

- Coś z tego pamiętam - powiedział Tyson. - Mówiłem ci, że raz zasiadałem na ich miejscu. Dokładnie tam, gdzie teraz jest porucznik Davis. Musiałem ostrzyć ołówki, liczyć głosy i przynosić kawę.

- Inaczej niż w sądach cywilnych - mówił dalej Corva - ale to wiesz również, głosowanie nad werdyktem nie musi być tajne. I wystarczy tylko dwie trzecie głosów. Przy siedmioosobowym składzie potrzebują czterech przecinek sześć osoby, żeby cię skazać. Można powiedzieć, że pięć. Jeśli wykorzystamy nasze prawo do zakwestionowania jednej osoby ze składu, wystarczy im czterech. Albo, patrząc na to z innej strony, przy siedmiu osobach nam wystarczy, by trzy głosowały, że nie jesteś winny. Naszą cyfrą jest trzy. I nie chcemy wykopać nikogo, kto mógłby być w tej trójce. - Spojrzał na Bena. - Więc teraz, kiedy już przyjrzałeś się ich twarzom, czy chcemy się kogoś pozbyć? A jeśli tak, to kogo?

- A co ty myślisz?

Adwokat spoglądał na zapisane notatkami kartki.

- Morelli to *paesano* - powiedział wreszcie - Sindel jest kobietą, a Moore przewodniczącym składu. Już się przyzwyczaili, że Davis jest ich chłopcem na posyłki. Pozostaje dwóch podpułkowników: Laski i McGregor oraz major Bauer. Weterani. Ja wybrałbym jednego z nich. Wiedzą za dużo. Uważają, że są uprawnieni do osądzania ciebie.

Tyson przytaknął.

- Najpierw zobaczmy, czy Pierce skorzysta ze swojego prawa.

W tym momencie pułkownik Sproule zwrócił się do Pierce'a;

- Czy oskarżyciel skorzysta z prawa do zakwestionowania składu sędziowskiego?

- Nie - odpowiedział pułkownik ze swego miejsca.

Sędzia przeniósł wzrok na Corwę.

- Czy obrona skorzysta z prawa do zakwestionowania składu sędziowskiego?

Adwokat wpatrywał się w pustą przestrzeń, która dzieliła go od stołu sędziowskiego. Spojrzał po kolei każdemu sędziemu w oczy. Wreszcie napisał coś na skrawku papieru i złożył go.

- Napisz nazwisko - powiedział do Bena.

Ten także przyjrzał się wszystkim sędziom bardzo uważnie. Napisał nazwisko i przesunął kartkę w stronę Vince'a. Adwokat rozwinął swój papier. Na obu kartkach znajdowało się to samo nazwisko: Laski.

Corva wstał.

- Obrona kwestionuje pułkownika Laskiego.

- Za pozwoleniem sądu proszę o zaprotokołowanie, że to obrona, a nie oskarżenie skorzystała ze swego prawa do zakwestionowania składu.

Pułkownik Sproule spoglądał przez jakiś czas na Pierce'a.

- Znajdzie się to w protokole - powiedział wreszcie, po czym odwrócił się do podpułkownika Laskiego. - Zakwestionowany członek składu sędziowskiego proszony jest o opuszczenie sali.

Podpułkownik Laski wstał jakby z ociąganiem, tak przynajmniej wydawało się Tysonowi. Zrobił zwrot i wymaszerował przez boczne drzwi.

Kapitan Longo podszedł do stołu sędziowskiego i pomógł zmienić kolejność siedzeń, by nadal ustawione były zgodnie z rangą oficerską.

Corva wstał i zwrócił się do Sproule'a:

- Za pozwoleniem sądu, chciałbym zaproponować, że jeśli w przyszłości popełnię jakiś błąd, niech poprawia mnie sędzia. Mówię to w interesie pułkownika Pierce'a, który będzie mógł skoncentrować się na samej sprawie.

Kilku widzów zachichotało, ale gdy sędzia spojrział w stronę ławek, natychmiast zapanowała cisza.

- Do obowiązków pułkownika Pierce'a należy zgłaszanie spraw proceduralnych - powiedział do adwokata. Potem spojrział na oskarżyciela. - Aczkolwiek byłbym wdzięczny, gdybym sam miał możliwość podnoszenia tych kwestii.

Pierce skinął głową, ale nic nie powiedział.

- I chciałbym właśnie wskazać, że członek składu oskarżycielskiego powinien teraz odsunąć puste krzesło od stołu sędziowskiego.

Kapitan Longo skoczył na równe nogi, podbiegł do stołu i wyniósł krzesło z widoku.

Pułkownik Sproule zwrócił się teraz do Tysona.

- Poproszę oskarżonego o powstanie.

Ben wstał.

Sędzia odezwał się głośniejszym głosem niż poprzednio:

- Poruczniku Benjaminie Tyson, jesteś oskarżony z artykułu sto osiemnastego Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego. Czy przyznajesz się do czynów wymienionych w oskarżeniu oraz w dwóch opisach?

Benjamin Tyson odpowiedział spokojnym, wolnym od wszelkich emocji głosem:

- Nie jestem winny czynów wymienionych w oskarżeniu i opisach, sir.

Od ławek doszedł pomruk. Sproule zignorował to i zwrócił się do sędziów:

- Przewodniczący i pozostali sędziowie, waszym zadaniem jest teraz wysłuchać zeznań i podjąć decyzję. - Spojrzał na Pierce'a i zapytał: - Czy oskarżenie przygotowało mowę wstępną?

- Tak, wysoki sędzie - odparł pułkownik.

- Przypominam - oznajmił Sproule - że w sądzie wojskowym nie ma obowiązku ani zwyczaju wygłaszania mowy wstępnej. Ale jeśli już ma być wygłoszona, to powinna być zwięzła i mieć na celu wyjaśnienie sprawy.

Oskarżyciel nie dał po sobie poznać, że zrozumiał naganę. Wstał. Ben zauważył, że jego jaskraworude włosy były teraz obcięte do regulaminowej długości. Prawdopodobnie chciał zrobić korzystne wrażenie na sędziach.

Pierce wyszedł zza biurka i stanął w miejscu, gdzie normalnie wznosił się ołtarz. Twarzą zwrócił się do sędziów, tak że zarówno Sproule, jak i widzowie widzieli tylko jego profil.

- Panie przewodniczący i pozostali sędziowie - zaczął - obecny tu Benjamin Tyson jest oskarżony o morderstwo z paragrafu trzeciego artykułu sto osiemnastego Kodeksu. Nie o morderstwo z premedytacją, ale o udział lub pozwolenie innym na udział, zachowanie, które wykazuje nieposzanowanie życia ludzkiego i doprowadziło do masowego morderstwa.

Pułkownik mówił spokojnym, wyważonym tonem.

- Te morderstwa miały miejsce prawie osiemnaście lat temu. Ofiary były nie uzbrojone i nie potrafimy nawet podać nazwisk części z nich. Nie jesteśmy w stanie podać informacji, w jakim były wieku ani czy mówimy o mężczyznach, czy o kobietach. Nie możemy przedstawić tu ich ciał ani świadectw zgonu, ani zdjęć, ani grobów. Za to przedstawimy dwóch świadków morderstw. - Oskarżyciel na moment zamilkł.

Ben spojrział w stronę ławek. Uświadomił sobie, że bez mikrofonu głos Pierce'a nie jest donośny, ale właśnie dlatego wszyscy wsłuchiwali się, żeby nie uronić ani słowa. Na sali panowała cisza jak makiem zasiał,

- W drugiej części oskarżenia znajdziemy nazwiska i inne dane pomordowanych - kontynuował Pierce. Otrzymaliśmy je od Katolickiej Agencji Pomocy, z ramienia której ci ludzie pracowali dla Szpitala Miłosierdzia. Czternaście osób, zgodnie z informacjami uzyskanymi od Agencji, jednego dnia po prostu zniknęło z powierzchni ziemi. Stało się to w lutym 1968 roku, podczas ofensywy Tet. Nikt już nigdy o nich nie słyszał. Ale wydaje nam się, że my już wiemy, co z nimi się stało.

Pułkownik znowu zawiesił głos i spojrział w stronę Sproule'a, potem odwrócił się, by przez chwilę popatrzeć na Tysona. Po chwili znowu zwrócił się do sędziów.

- W celu udowodnienia oskarżenia o morderstwo musimy ustalić kilka powiązanych ze sobą faktów: po pierwsze ustalić, że porucznik Tyson dowodził plutonem, który brał udział w incydencie. Następnie, że jego pluton znajdował się w Szpitalu Miłosierdzia 15 lutego 1968. Nie musimy udowadniać, że porucznik Tyson był fizycznie obecny na scenie domniemanego morderstwa, ale zrobimy to. Udowodnimy także, że miały tam miejsce nie usprawiedliwione niczym morderstwa. A także, że to porucznik Tyson wydał rozkaz zabijania lub nie zrobił nic, by zapobiec mordowaniu tych ludzi, lub ukrył fakt morderstwa przed swymi przełożonymi. Nie jest konieczne udowadnianie, że sam Tyson popełnił którekolwiek z tych morderstw własnymi rękami. Prawdę mówiąc, strona rządowa nie będzie nawet próbowała tego dowieść.

Oskarżyciel spojrział kolejno na sędziów.

- Jako oficerowie rozumiecie i docenicie fakt, że porucznik Tyson, wówczas oficer dowodzący oddziałem, ponosi odpowiedzialność za niezgodne z prawem działanie swoich ludzi, którymi ma obowiązek kierować, a także składać raporty na temat ich działań. Jeśli stronie rządowej uda się udowodnić, że nie wypełnił swoich obowiązków, wtedy zgodnie z prawem jak i zwyczajem armii porucznik Tyson zostanie uznany za winnego nie usprawiedliwionego niczym morderstwa.

Pierce głęboko odetchnął.

- Chciałbym zwrócić uwagę tego sądu na wystawiony przez władze wojskowe dokument: „Zasady walk na lądzie”, a szczególnie na artykuł pięćset pierwszy, którego kopia została przedłożona sędziom. Artykuł jest zatytułowany: „Odpowiedzialność za działania podwładnych” i czytamy w nim - pułkownik mówił dalej bez zagładania do notatek - „W niektórych przypadkach dowódcy wojskowi mogą być pociągnięci do odpowiedzialności za zbrodnie wojenne popełnione przez podlegających im żołnierzy. Na przykład, jeśli oddział dopuści się masakry lub innego czynu okrutnego w stosunku do cywilnej ludności okupowanego terytorium lub jeńców wojennych, odpowiedzialność

spada także na dowódcę tych, którzy popełnili ten czyn”.

Oskarżyciel, stojąc nadal przodem do sędziów, odwrócił się nieco i wskazał na Bena.

- Porucznik Tyson, jako oficer, znał to prawo, co więcej, miał obowiązek pouczyć swoich żołnierzy, jakie wynikają z niego konsekwencje. Zawsze miał ze sobą plastikową kartę, na której wydrukowano wypis z przepisów prawa wojennego. - Głos Pierce'a wzniósł się: - Ta karta powinna była mu stale przypominać, jeśli w ogóle przypomnienie było konieczne, że masakra nie uzbrojonych, nie stawiających oporu, a w tym przypadku na dodatek chorych, rannych i nie walczących, jest pogwałceniem prawa wojennego, nie mówiąc już o Ujednoliconym Kodeksie czy Konwencji Genewskiej. Mordowanie ludzi stało też w sprzeczności z całym programem jego szkolenia, z tym, czego się nauczył i czego sam powinien uczyć swoich podwładnych w Wietnamie. Jako oficer i dowódca, który spędził dziesięć miesięcy w Wietnamie, oskarżony wiedział bardzo dobrze, jaka spoczywa na nim odpowiedzialność.

Pułkownik zbliżył się o krok do stołu sędziowskiego.

- Wy, sędziowie - powiedział - a również oficerowie, jesteście w pełni świadomi, że dowódca może pogwałcić Kodeks poprzez akt jednego ze swych żołnierzy, że oficer może popełnić morderstwo, nie zabijając własnymi rękami, i że najohydniejsze i najbrutalniejsze akty mordowania cywilnej ludności przez żołnierzy zostały w ten sposób popełnione. Zeznania, których tu wysłuchacie - dodał - nie pozostawiają wątpliwości, że oskarżony popełnił akt morderstwa zgodnie z definicją prawa wojskowego, wszystkich zasad i instrukcji oraz tradycji i obyczajów korpusu oficerskiego. Dziękuję. - Oskarżyciel wrócił do swego stołu i dopiero wtedy spojrzał na zebranych w ławkach widzów.

- Czy obrona chce wygłosić wstępną mowę? - pułkownik Sproule zwrócił się do Corvy.

- Tak, wysoki sędzie. Pamiętając instrukcje sądu dotyczące tego wystąpienia.

- Proszę wystąpić.

Vincent Corva omiół wzrokiem stół, przy którym siedzieli sędziowie.

- Obrona - powiedział - w interesie prawa, jednocześnie pamiętając, że rozprawa w sądzie wojskowym nie powinna być miejscem dla zaciemniających prawdę stwierdzeń, chce oświadczyć, co następuje. Po pierwsze, że porucznik Tyson był dowódcą plutonu Kompanii Alfa, Piątego Batalionu Siódmej Kawaleryjskiej. Po drugie, pluton ten był zaangażowany w działania na terenach, o których mowa w oskarżeniu. Działania te doprowadziły ich w sąsiedztwo budynku, który jak się okazało, był szpitalem. Posunęliśmy się nawet tak daleko, choć w tamtym czasie nikt nie znał nazwy szpitala, że przyjmujemy dla potrzeb sprawy, iż był to Szpital Miłosierdzia. Po czwarte, przyjmujemy, że porucznik Tyson był obecny, w czasie kiedy dokonywały się domniemane wydarzenia. W związku z tym twierdzenie oskarżenia, że trzeba ustalić te punkty, jest błędne. Obrona potwierdza je

wszystkie i jakiegokolwiek przepytывanie świadków, które ma wykazać sądowi, że oskarżenie odkrywa nowe i obciążające prawdy będzie... wprowadzaniem sądu w błąd.

Adwokat przez chwilę przypatrywał się Pierce'owi, a potem kontynuował zwracając się bezpośrednio do składu sędziowskiego.

- Oskarżyciel odwołał się do was jako do oficerów o zrozumienie czegoś, co bez wątplenia jest dla was jasne: że oficer odpowiada za swoich ludzi. - Corva zamilkł i dopiero po chwili, jakby niechętnie, mówił dalej: - Nie chcę, by zabrzmiało to niegrzecznie, ale jest to sprawa, którą tylko prawnik z Izby Wojskowej mógł wam przypominać. Wy, jako czynni oficerowie, żyjecie z tą prawdą na co dzień.

Ben obejrzał się w stronę stołu oskarżycieli i zobaczył, że twarz Pierce'a zrobiła się purpurowa, kolor ten wywołało jednak nie zmieszanie, lecz gniew. Tyson powrócił wzrokiem do sędziów, ale ich twarze były całkowicie niewzruszone. Corva odchrząknął.

- Miałem honor służyć mojemu krajowi - powiedział - jako oficer piechoty w Wietnamie. Podczas służby nie miałem żadnych kłopotów z zapamiętaniem, co należy do moich obowiązków ani za co odpowiadam, jak również prawa wojennego czy też faktu, że odpowiadam za czyny żołnierzy, którymi dowodzę. Zapewniam was, że Benjamin Tyson jako dowódca znał równie dobrze swe obowiązki. A jednak oskarżyciel prosił, żebyście pamiętali o tym przez cały czas, jakby fakt ten miał zasadnicze znaczenie dla całej sprawy. Jednakże problem nie leży wcale w tym, czy Benjamin Tyson był odpowiedzialny za działania swoich żołnierzy. Był. Główne pytanie brzmi: Co ci ludzie zrobili? - Adwokat podrapał się po garbie na nosie w zamyśleniu. - I - dodał - co zrobił porucznik Tyson.

Ben nagle zdał sobie sprawę, że Vince nie był przygotowany do tego przemówienia, po prostu odbijał piłeczkę do Pierce'a i to niezwykle celnie.

Corva jeszcze raz po kolei spojrzał głęboko w oczy sędziom.

- Oskarżyciel odwołał się do was jako do oficerów, byście zrozumieli wyjątkowe warunki odpowiedzialności dowódcy. Ja zwracam się do was jako do żołnierzy - żołnierzy, którzy brali udział w walce, a przynajmniej słyszeli o niej od swych przyjaciół oficerów i podkomendnych. Zwracam się do was, abyście pamiętali podczas tej rozprawy, że cokolwiek usłyszycie, w tym również zeznania świadków obrony, że chodzi tu o wydarzenia, które miały miejsce osiemnaście lat temu. A co ważniejsze, będą opowiadać o nich ludzie, którzy mieli za sobą już zbyt wiele wojny. Byli zmęczeni i przestraszeni. W czasie domniemanej zbrodni zostali osaczeni w samym sercu wielkiej bitwy. Zamiarem obrony jest wykazać, że ktokolwiek został zabity w Szpitalu Miłosierdzia, w tym dwóch amerykańskich żołnierzy, stało się to w wyniku akcji podjętej przeciwko nieprzyjacielowi. A jeśli opisy tej akcji będą się różnić, proszę, przypomnijcie sobie własne historie wojenne i te, które opowiadali wam inni. Proszę, byście pamiętali, że gdy żołnierz wraca do domu, to co pamięta, jest jedynie ułamkiem wszystkiego, co zapomniał. A zapomina to, czego

postanowił nie pamiętać. Ostatecznie wszystkie opowieści wojenne, w tym również te, które usłyszycie na tej sali, są równie prawdziwe co nieprawdziwe. Szczegóły są pamiętane tak jasno, jakby były wymyślone. A każdy, kto składa zeznanie, przede wszystkim chce oddać sprawiedliwość sobie. Dziękuję. - Adwokat powoli osunął się na krzesło.

Pułkownik Sproule patrzył niewzruszenie ponad głowami milczących widzów. Przez dobrą chwilę nikt w kaplicy się nie poruszał, wreszcie sędzia spojrział na Pierce'a.

- Oskarżenie może wezwać pierwszego świadka.

Pierce wstał i odwrócił się do sierżanta stojącego przy bocznych drzwiach prezbiterium.

- Oskarżenie wzywa swego pierwszego świadka. Pan Richard Farley.

Rozdział 44

Richard Farley wjechał przez drzwi na wózku inwalidzkim. Towarzyszył mu sierżant Larson. Pierce podszedł bliżej do wchodzących i wskazał Larsonowi, gdzie ustawić wózek świadka. Żandarm odwrócił go przodem do ławek.

- Czy tak będzie dobrze? - zapytał pułkownik z niepokojem.

- Tak jest, sir - odpowiedział Farley słabym głosem.

- Teraz zapyta „czy jest panu wygodnie” - mruknął Corva.

- Czy jest panu wygodnie? - zapytał oskarżyciel.

- Tak jest, sir.

Tyson patrzył na Richarda Farleya ubranego w źle leżący niebieski garnitur, na jego długie włosy i niezdrową cerę, nogawki zwisające na nieużytecznych nogach.

Pułkownik Pierce wyraźnie zastanawiał się, jakie kolejne pytanie wyrażające troskę można jeszcze zadać, kiedy wtrącił się pułkownik Sproule:

- Proszę zaprzysiąc świadka.

Pierce ustawił mikrofon tak, by znalazł się blisko twarzy Farleya.

- Proszę podnieść prawą rękę - powiedział.

Świadek Farley podniósł prawą dłoń.

- Przysięgam - wyrecytował pułkownik - mówić całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg.

- Przysięgam.

- Proszę podać pełne nazwisko, zawód i miejsce zamieszkania.

Głos Farleya był ledwie słyszalny, nawet mimo pomocy mikrofonu.

- Richard Farley... bezrobotny. Mieszkam na ulicy Bergen w Newark, New Jersey.

- Proszę podać stopień i jednostkę, w której pan służył.

- Tak... Byłem szeregowcem w Alfa, Piątej z Siódmej, Pierwszej Kawalerii Powietrznej.

- Co należało do pańskich obowiązków?

Farley przez moment zastanawiał się.

- Byłem żołnierzem - odpowiedział.

- Strzelcem? - podpowiedział Pierce.

- Tak.

Tyson patrząc na Farleya szepnął do Vince'a.

- To patetyczne.

Adwokat skinął głową.

- Czy zna pan oskarżonego? - zapytał oskarżyciel.

- Chodzi panu o porucznika Tysona?

Pułkownik zapanował nad irytacją i powtórzył spokojnie:

- Tak, czy zna go pan?

- Znam.

- Czy mógłby pan, panie Farley, wskazać oskarżonego i wymienić jego nazwisko?

Świadek spojrział na Bena i wyciągnął w jego stronę rękę.

- Porucznik Tyson - powiedział.

Tyson i Farley przez chwilę spoglądali na siebie, potem Farley opuścił rękę i odwrócił głowę. Corva wstał.

- Proszę wysokiego sądu, teraz, kiedy już wielka chwila minęła, chcę złożyć sprzeciw. Wskazywanie i wymienianie nazwiska nie jest potrzebne, jeśli nie zachodzi konieczność identyfikacji.

- Sprzeciw przyjęty - powiedział pułkownik Sproule. - Proszę darować sobie to przy kolejnych świadkach.

Ben pomyślał, że Pierce ma zmartwiony wygląd człowieka złapanego na gorącym uczynku.

Oskarżyciel zadał świadkowi serię wstępnych pytań. Farley odpowiadał coraz pewniej.

- Czy tego ranka, kiedy wydarzył się omawiany incydent, zanim jeszcze doszliście do wioski An Ninh Ha, spotkaliście jakichś wietnamskich cywilów? - zapytał pułkownik.

Farley kiwnął głową przed wysłuchaniem pytania do końca. Było jasne, że musieli mieć to przećwiczone. Tyson nie wiedział, dlaczego Pierce'a może to interesować.

- Około dziesięciu na pogrzebowym kopcu - odpowiedział Farley.

- Co robili? - dopytywał się oskarżyciel.

- Grzebali żółtków.

Pułkownik spojrział ostro na swego świadka, każdy mógł się domyślić, że otrzymał on instrukcje nieużywania pejoratywnych określeń. Ale, pomyślał Ben, żółtek to żółtek i już. Zrobiło mu się żal Farleya.

- Czy podeszliście do tych Wietnamczyków? - zadał kolejne pytanie Pierce.

- Tak jest, sir.

- Kto?

- Ja, porucznik, radiooperator porucznika, Kelly, i Simcox.

- Pan, porucznik Tyson, Daniel Kelly i Harold Simcox.

- Właśnie.

- Czy może nam pan opowiedzieć własnymi słowami, panie Farley, co się stało, kiedy nawiązaliście kontakt z tymi cywilami?

- Nie nawiązaliśmy z nimi żadnego kontaktu. Przecież byli cywilami.

Oskarżyciel wyglądał na zmieszanego i już miał powtórzyć pytanie, kiedy uświadomił sobie, że problem jest natury semantycznej i nie ma nic wspólnego z pamięcią świadka.

- Użyłem słowa „kontakt” w znaczeniu... spotkania.

- Tak, spotkaliśmy się z nimi, sir.

- Własnymi słowami, panie Farley. Proszę opowiedzieć nam, co się stało.

Tyson zastanawiał się, czyich słów miałby Farley użyć, jeśli nie własnych, kiedy będzie relacjonował wydarzenie na kopcu.

- O co tu chodzi? - zapytał szeptem Corva.

- Nie mam pojęcia. - Ben wzruszył ramionami.

- Ani Farley, ani Pierce nie wspomnieli nic na ten temat na naszym spotkaniu przed rozprawą - stwierdził adwokat.

- Ledwie pamiętam ten incydent. Dziwię się, że Farley nie zapomniał.

Kiedy świadek ciągnął swą opowieść, Tyson nachylił się do Vince'a.

- Chyba wiem, o co mu chodzi.

- I to porucznik Tyson kazał tym ludziom zdjąć ubrania? - zapytał Pierce Farleya.

- Tak jest, sir.

- To byli mężczyźni i kobiety.

- Tak jest, sir.

- A co się potem stało?

- Powiedział, żebyśmy kazali im się położyć w grobach i zastrzelili ich.

Oskarżyciel wyprostował się nagle, jakby nie mógł uwierzyć w tę potworną wiadomość. Rzucił okiem na sędziów i zwrócił się znów do świadka.

- I zrobiliście to?

- Nie, sir. Oni nie robili nic złego, tylko grzebali ciała... żołnierzy północnowietnamskiej armii.

- I nikt nie wypełnił rozkazu?

- Nie, sir.

- Ale słyszał pan wyraźnie, jak porucznik Tyson wydał ten rozkaz?

- Tak jest, sir. Powiedział coś w rodzaju: „Każcie im położyć się w grobach i zastrzelcie ich”. Wieśniacy rozumieli, co się święci, i byli przerażeni. Zaczęli błagać o życie.

Pułkownik zadał jeszcze kilka pytań szczegółowych.

- A więc co się stało, kiedy nikt nie posłuchał rozkazu? - zapytał wreszcie.

- Porucznik Tyson kazał nam iść, więc dołączyliśmy do plutonu.

- W jakim kierunku skierowaliście się potem?

- Nie jestem pewien. Chyba do Hue.

- Jakie było wasze zadanie?

- Po prostu dojść do miasta. - Farley wzruszył ramionami. - Piechota morska była w ciężkiej opresji.

- Czy na waszej drodze do Hue znajdowała się wioska An Ninh Ha lub tamtejszy szpital?

- Tak jest, sir. Żółtki przy kopcu powiedziały nam o szpitalu. Porucznik Tyson uznał, że będziemy mogli tam odpocząć. Wspomniał coś... chyba do Simcoxa... że tam będą kobiety.

- W szpitalu?

- Właśnie. I prysznic, i gorące żarcie. Wszyscy aż się palili, żeby tam dojść.

- Czy odniósł pan wrażenie, że porucznik Tyson chce zająć szpital?

- No, chyba tak. Zazwyczaj braliśmy to, na co mieliśmy ochotę.

- Czy jest pan całkiem pewien, że porucznik Tyson i wszyscy inni wiedzieli, iż kierujecie się w stronę szpitala?

- Tak jest, sir. Tak jak powiedziałem, nie mogliśmy się doczekać. Ale potem oddalibyśmy wszystko, by nigdy nam się nie udało tam dotrzeć.

Pierce pozwolił, by słowa te przez dobrą chwilę zawisły w powietrzu.

- Panie Farley - powiedział wreszcie - proszę opowiedzieć nam własnymi słowami, jak doszliście do wioski An Ninh Ha. Ze wszystkimi szczegółami, choćby wydawały się panu zupełnie nieważne.

- Dobra. - Mężczyzna rozpoczął długą, nieskładną relację.

Mówił, jakby nie był pewien własnych słów, ale oskarżyciel nie przerwał mu ani razu. Tylko od czasu do czasu, gdy świadek milkł, zachęcał go słowami: „I co dalej?” oraz „A co potem?”

Ben pomyślał, że to bardzo sprytne posunięcie. Opowiadanie brzmiało przekonująco.

Farley jękał się, brakowało mu słów, zapominał nazwiska, kilka razy zaprzeczył samemu sobie, nie okazywał ani krzty żalu, a nawet poparł kilka razy linię obrony. Ale ogólny efekt zeznania był dla Tysona katastrofalny. Kiedy skończył, Ben pomyślał, że na sali nie ma ani jednej osoby, która by nie uwierzyła, że pierwszy pluton Kompanii Alfa wymordował wszystkich ludzi ze Szpitala Miłosierdzia. Farley opowiadał przez godzinę i piętnaście minut. - Przed świtem załatwiliśmy ich wszystkich - kończył. - Wtedy jeden z chłopaków, to chyba był Louis Kalane, kazał nam wszystkim stanąć w koło i wyciągnąć rękę... no wie pan... położyliśmy ręka na ręce i przysięgliśmy, że nigdy nikomu o tym nie powiemy. To były dobre chłopaki. Zawsze trzymaliśmy sztamę. - Farley wytarł spoczone czoło rękawem.

Pułkownik przyglądał się swemu świadkowi, niepewny, czy zapytać go o samopoczucie, czy zadawać następne pytania, które cisnęły mu się na usta. Wreszcie zdecydował się.

- I czy oskarżony dołączył swoją rękę i przysięgł, że ukryje masakrę?

- Tak jest, sir. To on wymyślił, co będziemy opowiadać. Prawdziwy facet z jajami.

- Naprawdę? - Pierce pozwolił sobie na uśmiech. Rozluźniony zapytał. - Czy chciałby się pan napić wody?

Farley wyraźnie nie wrócił jeszcze do teraźniejszości, zmarszczył czoło usiłując się skoncentrować na pytaniu.

- Czy chciałby pan odpocząć? - zapytał oskarżyciel.

Świadek skinął głową.

- Wysoki sędzie - Pierce zwrócił się do Sproule'a - nie potrzebujemy formalnej przerwy. Może pięć minut, nie wychodząc z sali.

- Ile tylko potrzeba - odparł pułkownik.

Oskarżyciel skinął na kapitana Longa, który przyniósł Farleyowi szklanę wody.

Corva pochylił się w stronę Tysona.

- Czy potrafisz wytłumaczyć to, co się zdarzyło na kopcu?

Benowi wydało się, że pytanie zabrzmiało dziwnie ostro.

- Tak - odparł. - Wietnam.

- To nie wystarczy. Czy wydałeś rozkaz strzelania do tych wieśniaków?

- Tak.

Adwokat nieświadomie odsunął się od niego. - Posłuchaj, Vince - powiedział Tyson - opowiem ci, co się stało, a ty sam ocenisz, czy bronisz potwora. W porządku?

Corva skinął głową.

- Opowiedz, zanim wezmę go w krzyżowy ogień pytań. - I dodał: - Jestem... jestem pewien, że możesz to wyjaśnić. Widzisz, do czego zmierza Pierce?

- Tak. Sugeruje, że tego dnia miałem od rana apetyt na masakrę. - Przez moment zastanawiał się. - Farley jest wiarygodny, prawda? - zapytał.

- Świadkowie, którzy nie umieją się wysławić - odparł adwokat - przerażają mnie. Ale pod krzyżowym ogniem pytań załamują się. Rozbiorę pana Farleya kawałek po kawałku.

- Przykro na niego patrzeć - stwierdził Ben.

- Nie martw się o faceta. On może wsadzić cię do więzienia. Jeślibym chciał przypisać mu jakiś motyw, powiedziałbym, że Brandt ma na niego haka. Może narkotyki? Pewnie nigdy się nie dowiemy jakiego.

- Kiedy zapytałeś mnie o motyw, coś mi się przypomniało - powiedział Tyson. - Nigdy nie poznałem do końca stosunków między żołnierzami w moim plutonie, oficer nigdy tego nie wie. Ale przypomina mi się, że najlepszym przyjacielem Farleya był Cane. To zabawne, że wtedy nie potrafiłem sobie tego poskładać. Ale teraz to zaczyna trzymać się kupy. A jednak Farley nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał. Pewnie najpierw bardzo się przejął, a potem powoli zapomniał. A wreszcie Brandt obudził lichy. Farley wygląda na faceta, który od czasu, gdy szrapnel uszkodził mu kręgosłup, nie miał prawdziwego przyjaciela. Może widzieć przeszłość w różowych barwach, choć Bóg wie, że nie było w niej nic różowego.

- Jeśli w przeszłości mogłeś chodzić na dwóch nogach, to było. - Vince przez chwilę się zastanawiał. - Ten motyw warto zapamiętać. A na razie musisz mi w czasie przerwy na lunch udzielić wystarczająco dużo informacji, żebym mógł go zniszczyć. Chcę go załatwić tak, by Pierce nie wezwał go powtórnie. *Capice?*

- Dobrze.

- Chyba jesteśmy już gotowi, wysoki sędzie - - powiedział oskarżyciel do Sproule'a. Potem zwrócił się do świadka. - Panie Farley, powiedział pan, że byliście w sali operacyjnej, kiedy zaczęła się kłótnia pomiędzy porucznikiem Tysonem a mówiącym po francusku białym człowiekiem, którego wziął pan za lekarza. Nieporozumienie zaczęło się od odmowy opatrzenia jednego z waszych rannych, Arthura Petersona. Zgadza się?

- Tak jest, sir.

- I widział pan na własne oczy, jak porucznik Tyson uderza lekarza w twarz?

- Tak jest, sir.

- A potem pan uderzył lekarza pistoletem?

Farley zawahał się, ale odpowiedział:

- Tak jest, sir.

- Dlaczego go pan uderzył?

- Ja... wydawało mi się, że on chce oddać porucznikowi Tysonowi. Porucznik nic mu takiego nie zrobił, więc ja mu przyłożyłem.

- Gdzie go pan uderzył?

- W brzuch.

- Karabinem M-16? Miał pan szesnastkę?

- Tak jest, sir. Lekka broń. Z plastikową kolbą. Tylko go trzepnąłem. Uspokoilem na chwilę.

- Czy upadł po ciosie?

- Nie, sir. Po chwili już znowu gadał.

- Uważał pan, że ten człowiek obraża porucznika Tysona?

- Tak. Był naprawdę nagrany, więc go trochę ostudziłem. - Farley wyraźnie

przypominał sobie czas, kiedy jeszcze mógł zrobić coś takiego.

- Czy uważa pan, że uderzenie tego człowieka kolbą było złym czynem? - zapytał Pierce.

- Nigdy nie wolno bić ludzi bez powodu. Ale powód musiał być, bo porucznik uderzył go pierwszy.

Pułkownik kiwnął głową, a potem powiedział bardzo powoli i wyraźnie:

- A zaraz po tym porucznik Tyson kazał Hernandowi Beltranowi ściągnąć ze stołu operacyjnego pacjenta - było ich tam sześciu czy coś koło tego - i położyć na nim Arthura Petersona, tak?

- Tak jest, sir. Porucznik dbał o swoich ludzi, ale po tym zaczęła się okropna kłótnia z innymi lekarzami. A potem jeden z lekarzy, taki, który mówił po angielsku, podszedł do jednego z chłopców, a on nie wytrzymał i pociągnął za spust, no i ten lekarz po prostu upadł.

- Czy porucznik Tyson powiedział coś wtedy lub zrobił?

- Nie, sir.

- Nic nie powiedział do żołnierza, który zastrzelił mówiącego po angielsku lekarza?

- Nie, sir.

- A następnie ktoś strzelił do tego lekarza, który mówił po francusku?

- Tak jest, sir.

- Ale nie pamięta pan, kto strzelał do lekarzy, poza tym, że był to chyba ten sam człowiek?

Farley obliznął wargi.

- No... nie chciałbym powiedzieć, że ktoś strzelał, jeśli on tego nie robił, ale wydaje mi się, że to był Simcox.

- Harold Simcox.

Corva wstał.

- Za pozwoleniem wysokiego sądu, chciałbym, żeby w protokole znalazła się informacja, że Harold Simcox nie żyje, więc nie może się bronić przed posądzeniem.

- Proszę to zaprotokołować - powiedział Sproule. - Niech pan kontynuuje, pułkowniku

Pierce.

- Dlaczego ten człowiek, który zastrzelił pierwszego lekarza, zabił potem drugiego?

- Nie wiem. Pierwszy jakby sam był sobie winny. Drugi to był ten Francuz, który nie pomógł Petersonowi.

- Ten, którego uderzył porucznik Tyson?

- Tak jest, sir.

- Co zrobił lub powiedział porucznik Tyson po zastrzeleniu drugiego lekarza?

- Nic.

- Czy aprobował to, co się działo? A może powiedział: „dość” czy w ogóle cokolwiek?

- Nie, sir. Chyba go to nie obchodziło. Wie pan, Brandt krzyknął właśnie, że Peterson nie żyje. Nie sądzę, żeby porucznika obchodzili ci lekarze. Wyglądało na to, że jest strasznie zły.

- Powiedział pan, że porucznik Tyson w pewnym momencie wydał rozkaz - bezpośredni rozkaz - zlokalizowania rannych i chorych żołnierzy nieprzyjaciela, którzy znajdowali się w szpitalu, i zastrzelenia ich. Co powiedział?

Usta Farleya ułożyły się w pełen tęsknoty uśmiech.

- Nie pamiętam słów, ale chodziło o to, by ich zabić.

- Porucznik Tyson rozkazał zabić chorych i rannych żołnierzy nieprzyjaciela, którzy znajdowali się w szpitalu?

- Tak jest, sir. Więc paru chłopaków poszło i wykonało rozkaz.

- Czy pan to widział?

- Nie, sir. Ja byłem w sali operacyjnej. No nie, widziałem, jak zabijali dwóch. Na stołach leżało dwóch z Vietcongu. Właściwie to jeden leżał na podłodze, Beltran go tam zrzucił, a potem ich obu zastrzelił.

- I porucznik Tyson był tego świadkiem?

- Pewnie. Stał tam przecież.

- Czy powiedział coś? Może zrobił?

- Nie, sir. Po prostu stał.

- Powiedział pan wcześniej, że ludzie w szpitalu nie stawiali oporu, ani zbrojnego, ani jakiegokolwiek innego.

- Tak jest, sir.

- Co w takim razie, pańskim zdaniem, doprowadziło do dalszej strzelaniny, zabijania chorych i rannych, którzy nie byli żołnierzami? I dlaczego wymordowaliście pozostałych członków personelu? Innymi słowy, panie Farley, jak się zaczęła ta cała masakra?

- Wszyscy się rozeszli i znaleźliśmy siedmiu czy ośmiu żołnierzy północnowietnamskich w łóżkach, no to ich zastrzeliliśmy. A potem kilka osób - siostry i lekarze - zaczęło uciekać, no to chłopcy strzelali i do nich. Jedno prowadziło do następnego. Sam nie wiem. Ja byłem cały czas w sali operacyjnej. I widziałem tylko to, co się tam działo.

- Czy pan strzelał do kogoś w szpitalu?

Farley obliznął wargi.

- Oddałem parę strzałów... ale tylko do tych, co próbowali uciekać.

- Czy po tym, jak żołnierze zaczęli strzelać do pacjentów i personelu szpitala, czyli po tym, jak przekroczyli rozkazy porucznika Tysona, czy on coś zrobił, żeby ich powstrzymać?

- Nie, sir.

- Był pan przez większość czasu koło niego?

- Tak jest, sir. Prawie cały czas w sali operacyjnej. Tylko raz wyszedłem na kilka minut. Po tym jak strzelanina ustała. Kiedy wróciłem, już go nie było. Zobaczyłem porucznika dopiero po wyjściu ze szpitala. Chłopaki otoczyły budynek. Kilku wrzuciło do środka granaty z białym fosforem i wszystko się paliło. Jacyś ludzie próbowali się wydostać, ale chłopaki strzelali do nich, Porucznik Tyson poczekał, aż zawali się dach, i wtedy wydał rozkaz wymarszu, Kiedy doszliśmy do bunkra w pobliżu Hue, rozłożyliśmy się w nim na noc. Porucznik Tyson kilka razy połączył się z kapitanem Browderem. Powiedział mu, że braliśmy udział w strzelaninie. No, był przecież ten snajper, który zabił Petersona i postrzelił Moody'ego, więc strzelanina rzeczywiście była. Porucznik Tyson doliczył się dziesięciu czy dwunastu przeciwników.

- Cane też został zabity przez snajpera - przypomniał mu Pierce.

- Właśnie. Ja myślę, że od tego właśnie wszystko się zaczęło. Od tego snajpera, który do nas strzelał ze szpitala. Chłopaki się strasznie napalili. Kiedy już byliśmy w budynku,

trochę nam odbiło. Chodzi mi o to, że zobaczyliśmy tych żołnierzy leżących sobie w czyścuisieńkich łózkach i jeszcze ci lekarze - biali faceci - powiedzieli, że nie mogą nam pomóc, bardzo im przykro. No to pewnie, że nagrzałiliśmy się. Naprawdę trudno winić porucznika. Ale myślę, że wielu ludziom trudno to będzie zrozumieć.

- Zrozumieć, dlaczego wydał rozkaz zabicia żołnierzy armii północnowietnamskiej, którzy byli pacjentami w szpitalu?

- Tak jest, sir.

- Czy porucznik Tyson jasno sprecyzował swój rozkaz?

- Tak, ale na pewno nie chciał, byśmy zabijali innych ludzi. Tylko kiedy to już się zaczęło, chyba się przestraszył i pozwolił, żeby się działo dalej. Tak samo jak raz - zanim jeszcze porucznik Tyson przyszedł do naszego plutonu - straciliśmy trochę ludzi na polu minowym koło Quang Tri. Wygarnęliśmy żółtków z najbliższej wioski i kazaliśmy im przejść przed nami następnym zaminowanym polem. Musieliśmy się odegrać. Ale to już całkiem inna historia.

Pułkownik odwrócił się unosząc wysoko brwi, pokazując wszem i wobec, że Farley może i jest jego świadkiem, ale na pewno nie przyjacielem. Odchrząknął.

- Tutaj więc odpłaciliście za snajpera? - odezwał się.

- Tak. I za ogień mózdzierzy z poprzedniej nocy. I za Phu Lai. Za wszystko. I za to, że musieliśmy iść do Hue. I ponieważ ludzie w szpitalu potraktowali nas jak gówno. Przepraszam.

- Dlatego porucznik Tyson wydał rozkaz zastrzelenia żołnierzy północnowietnamskich i nie powstrzymał was, kiedy przekroczyliście jego rozkazy? - zapytał oskarżyciel, starając się powrócić do tematu.

- Tak jest, sir. Właśnie dlatego.

- I dlatego wymyślił potem historię, która miała was kryć?

- Tak jest, sir.

- Odpłaciliście im.

- Tak jest, sir.

- Dziękuję. Wysoki sędzie, nie mam dalszych pytań, ale być może będę chciał wezwać świadka ponownie.

Pułkownik Sproule spojrział na Corvę.

- Czy obrona chce wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań?

- Tak, wysoki sędzie, ale ponieważ zbliża się pora lunchu, czy nie moglibyśmy przesunąć tego na potem? - powiedział adwokat wstając.

- Naprawdę nie chciałbym, żeby się pan przeze mnie spóźnił na lunch, panie Corya - odparł Sproule. - Ale czy mógłbym jeszcze przez minutę poinstruować świadka?

Kilka osób parsknęło śmiechem, w tym Pierce, Weinroth i Longo. Zaskoczeni sędziowie uśmiechnęli się także.

Corva odwzajemnił się pogodnym uśmiechem, ale odpowiedział twardo.

- Wysoki sędzie, jeśli leży to w interesie rozprawy, mogę zapomnieć o lunchu i wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań już w tej chwili. Wydaje mi się jednak jakby zamroczony.

Pułkownik Sproule przyglądał się adwokatowi przez parę sekund.

- Zrobimy przerwę na lunch - oznajmił.

Potem zwrócił się do Farleya.

- Świadcowi na razie dziękujemy. Dopóki toczy się rozprawa, nie wolno panu rozmawiać na temat zeznania ani jakichkolwiek szczegółów dotyczących sprawy z nikim poza przedstawicielem oskarżenia i obrony. Nie wolno też panu rozmawiać z żadnym świadkiem na temat zeznań, które dopiero będą składane. Gdyby ktokolwiek poza oskarżycielem lub obrońcą chciał rozmawiać z panem na temat sprawy, proszę natychmiast zawiadomić pułkownika Pierce'a, major Weinroth lub kapitana Longa. Czy to całkiem jasne, panie Farley?

Najwyraźniej wcale nie było jasne, ale Farley złapał już za włącznik prądu przy swoim krześle.

- Tak jest, sir - odrzekł pośpiesznie.

- Świadek może wyjść.

Wózek Farleya zaszumiał tocząc się do wyjścia. Pierce musiał odsunąć się na bok i ustąpić z drogi.

Sproule poczekał, aż świadek zniknie za drzwiami.

- Ogłaszam przerwę do godziny czternastej.

Tyson i Corva wstali, adwokat zgarnął swoje papiery.

- To przygnębiające - stwierdził Ben.

- Nikt nie obiecywał, że rozprawa podniesie cię na duchu. Gdzie chcesz zjeść lunch?

- W Paryżu.

Gazik żandarmerii podrzucił ich do kawalerskich kwater znajdujących się w północnej części jednostki. Tyson rozpoznał nowoczesną, dwupiętrową konstrukcję z czerwonej cegły.

- Czy to miejsce się kołysze?

- Żebyś wiedział, że tak. Pracowałem kiedyś do późna i ze wszystkich stron dochodził mnie śmiech kobiet i stereo.

Weszli do pustego holu i wdrapali się po schodach na drugie piętro. Corva otworzył drzwi oznaczone F3. Wprowadził Bena do sporego pokoju służącego jednocześnie za salon i jadalnię. Meble były z jasnej sosny, podłoga przykryta czerwonym dywanem średniej jakości, a na ścianach nie wisiało nic poza mnóstwem notatek adwokata.

- Podoba mi się tu - powiedział Tyson.

Vince wskazał na okrągły stół, na którym piętrzyły się książki, notatniki i maszynopisy. Podłoga zavalona była gazetami, kartonami z fiskami i kolejnymi książkami.

- Myślałem, że wszystko wyciągasz z kapelusza.

- Dali mi ten pokój na mieszkanie. Teraz tutaj będziemy się spotykać. Powiedziałem komendantowi, że nie jesteśmy w stanie przygotować porządnej obrony, skoro musimy pracować w twoim mieszkaniu, gdzie przeszkadzają nam żona i syn. Tak więc masz prawo przychodzić tutaj za każdym razem, kiedy o to poproszę. Pasuje?

- Pasuje.

- I gdy tylko atmosfera w domu zgęstnieje, zadzwoń tylko do mnie do biura albo do domu, to przyjadę i będziemy mogli się spotkać na chwilę.

- Dzięki.

Corva podszedł do niewielkiej lodówki i wyciągnął z niej dwa piwa i kanapki. Usiadł przy stole. Ben otworzył piwo i rozwinął jedną kanapkę z papieru.

Adwokat wbił zęby w swoją.

- Odplacić - powiedział przeżuając.

Tyson skinął głową.

- Też tak na to mówiliście?

- Pewnie tak. Nie pamiętam samej nazwy, ale rozumiem filozofię.

Ben łyknął piwa.

- Chyba rzeczywiście tak na to mówiliśmy. A jakiego sformułowania używali naziści? Akcja odwetowa?

- Zgadza się. Akcje odwetowe są bezprawiem zgodnie z prawem wojennym, którym ci dzisiaj wymachiwał przed nosem Pierce. Cieszę się, że na wojnie istnieją zasady. Czy możesz sobie wyobrazić, jak by było niebezpiecznie w przeciwnym razie?

Tyson zapalił papierosa.

- Jedyne, co Farley zrozumiał swoim mózgiem, to że ludzie w szpitalu nie lubili nas. I że nie traktowali nas tak dobrze jak naszych nieprzyjaciół, którzy zjawili się tam wcześniej. Nie mam pojęcia, czy sympatyzowali z Wietnamem Północnym, czy też po prostu bardziej się ich bali. Ale nie bali się nas. To chyba dobrze. Nasza reputacja nie była taka zła. Ale ten pokaz pogardy, jaki urządzili... nie rozumieli, że aż nas swędzi, by się odpłacić za wszystko, co przydarzyło się nam w ciągu kilku uprzednich tygodni. - Spojrzał na Vince'a. - Brzmi tak, jakbym się usprawiedliwiał, co?

Corva wzruszył ramionami.

- Wstrzymam się z ocenami moralnymi. - Wypił trochę piwa. - Opowiedz o tym incydencie na kopcu.

Ben zrelacjonował zdarzenie tak dokładnie, jak je pamiętał.

- Farley jest prostym człowiekiem, co pewnie zauważyłeś. Wszystko bierze dosłownie. Pewnego razu, kiedy się na coś skarżał, powiedziałem mu, że jeśli nie lubi być strzelcem, to może poprosimy komendanta batalionu, żeby przydzielił mu pracę umysłową. I wyobraź sobie, następnego dnia poprosił mnie o to. Przebywanie z ludźmi, którzy nie rozumieją twojego poczucia humoru, jest bardzo męczące.

Adwokat uśmiechnął się.

- Ale wracając do incydentu, przypuszczam, że on potraktował moje słowa poważnie. Miałem już dość tego ciągłego idiotycznego straszenia Wietnamczyków. Oczywiście, że nie pozwoliłbym im tego zrobić.

- Nie musiałeś nawet tego mówić. Przepraszam, że się nieco wystraszyłem. Problem w

tym, że ta historia brzmiała bardzo przekonująco. I stawiała cię w złym świetle. Zastanówmy się nad krzyżowym ogniem pytań.

- Nie będzie krzyżowego ognia pytań - odparł Tyson.

- Co?

- Nie chcę, byś rozszarpał go na strzępy.

- Dlaczego?

- Jeśli bowiem zniszczysz jego zeznanie, zanim staniesz przeciwko Brandtowi, Pierce przearanżuje zeznanie Brandta. Będzie wiedział, co nie gra. Farley jest takim żółtkiem wysłanym na pole minowe, Vince. On ma wyznaczyć miejsca min, żeby Pierce mógł przygotować mapę dla Brandta. *Capice?*

Corva przez chwilę przeżuwał kanapkę.

- *Capisco.* - Głęboko zamyślony wgryzł się znowu w bułkę. - Na przykład jeśli wyciągnę z Farleya, że zastrzeliłeś Larry'go Cane'a, żeby powstrzymać masakrę, wtedy Brandt dowie się, że chcemy o tym powiedzieć, i będzie przygotowany.

- Właśnie.

- Im więcej wyciągnę z Farleya, tym bardziej Brandt zbliży się w swojej wersji do prawdy, nawet jeśli pewne rzeczy nie będą się zgadzały z zeznaniem Farleya. A tego nie chcemy, ponieważ zamierzamy przedstawić Brandta jako kłamcę. Zgadza się?

Ben nie odpowiedział.

- No cóż, twoje rozumowanie może być popieprzone, ale taktyka jest rozsądna. Nie mam wcale ochoty pomagać Pierce'owi, by ten następnie pomógł Brandtowi. A ty chcesz zapłaty. Dobrze więc, zrezygnujemy z krzyżowego ognia pytań pod warunkiem, że będziemy mogli wezwać Farleya w dowolnym momencie. Jeśli chodzi o ten incydent na wzgórzu, mogę go pytać przez miesiąc, a i tak nie powie mi tego, co ty i w co ja wierzę. Poczekajmy z tym do czasu, kiedy, jeśli w ogóle, wezwiemy go znowu. Tę rundę wygrali. Nad jednym się tylko zastanawiam: gdzie, kiedy i jak chcemy przedstawić Stevena Brandta jako kłamcę?

- Kiedy zaczniesz zeznawać i kłamać.

- Mogę to zrobić biorąc Brandta w krzyżowy ogień pytań albo przy pomocy naszych świadków. Lub w czasie składania zeznań przez ciebie.

- Zobaczymy. Bądź elastyczny.

Adwokat zachnął się.

- Aha, elastyczny. - Pochylił się nad stołem opierając ręce na książkach i powiedział do Tysona: - Chciałem ci tylko przypomnieć, że to ty jesteś oskarżony w tym procesie, nie Steven Brandt. Często ustępuję moim klientom, dlatego właśnie tak wielu z nich wylądowało w więzieniu. Ale twoje pragnienia zupełnie się nie zgadzają z moimi potrzebami. To ty będziesz musiał z tym potem żyć, Ben. Jeśli traktujesz ten proces jako egzorcyzmy i tylko marzysz o tym, żeby zaznaczać dni na kamiennej ścianie w Leavenworth, możemy zrobić tak, jak sobie życzysz.

- Dobrze. Cieszę się, że wreszcie do tego doszliśmy.

- W porządku. Chcesz jeszcze kanapkę.

- Nie.

- I ja też nie.

Sąd zebrał się ponownie o drugiej po południu. Pułkownik Sproule zwrócił się do Corvy:

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji, panie Corva.

- Obrona nie ma pytań do świadka, wysoki sędzie.

Przez salę przebiegł szmer, ale sędzia uciszył salę wzrokiem. Znowu skierował zapytanie do adwokata:

- Nie chce pan postawić świadka w krzyżowym ogniu pytań?

- Nie, wysoki sędzie. Ale zastrzegamy sobie prawo wezwania świadka później.

Pułkownik Sproule wyglądał, jakby ledwie powstrzymał wzruszenie ramionami. Odwrócił się do pułkownika Moore'a.

- Czy sędziowie mają jakieś pytania?

- Tak, mają pytania, wysoki sędzie - odpowiedział Moore.

Vince pochylił się do Bena.

- Czasami podoba mi się, że sędziowie mogą zadawać pytania, kiedy indziej znowu zupełnie nie. Zobaczymy, jak będzie tym razem.

Pułkownik Sproule poinstruował sędziów.

- Pytania mogą być zadawane przez sędziów indywidualnie lub przez przewodniczącego składu, pułkownika Moore'a. Przypominam jednak, że pytania do świadka mogą dotyczyć tylko zeznań, służyć wyjaśnieniu poruszanych kwestii, powinny być krótkie i zwięzłe. Jeśli któryś z sędziów ma wątpliwości, czy pytanie jest odpowiednie, może je napisać na kartce papieru i przekazać mnie. Jeśli ktoś zada pytanie, które uznam za niewłaściwe, nie pozwolę świadkowi na nie odpowiedzieć. Pułkownikowi Moore?

Moore zajrzał do swych notatek.

- Jako pierwsza chce zadać pytanie major Sindel - powiedział.

Pierce wstał.

- Panie Farley - odezwał się - jest pan nadal związany przysięgą.

- Tak jest, sir - odpowiedział świadek ze swego wózka inwalidzkiego.

Tyson miał wrażenie, że Farley po dwudziestu latach jest nadal onieśmielony wojskową hierarchią. Miał ochotę podejść do niego, potrząsnąć nim i przypomnieć, że jest przecież cywilem.

Major Virginia Sindel nachyliła się w stronę świadka.

- Panie Farley, przyznał się pan do strzelania w stronę uciekających ludzi. Czy trafił pan kogoś? - zapytała.

Świadek przez chwilę zagryzał dolną wargę.

- Nie - odpowiedział wreszcie.

- Dziękuję. Mam jeszcze jedno pytanie. Powtórzył pan kilka razy, że porucznik Tyson nic nie mówił ani nic nie robił podczas całego incydentu. I że był przestraszony. Co takiego go przestraszyło?

Farley zastanawiał się przez chwilę, po czym wykrztusił:

- Bał się nas.

- Dziękuję.

Ben spojrział na major Sindel. Około czterdziestu lat, ciemnoblond włosy i niebieskie, inteligentne oczy. W jej głosie lekko pobrzmiwał południowy akcent. Miała bardzo piękne dłonie. Ich uroda była wyraźnie widoczna, kiedy bawiła się ołówkiem w prawie zmysłowy sposób. Niespecjalnie atrakcyjna, ale miała coś, co czyniło ją, zdaniem Tysona,

godną pożądaną.

Jako następny odezwał się podpułkownik McGregor:

- Panie Farley, powiedział pan, że porucznik Tyson wydał rozkaz zastrzelenia rannych i chorych żołnierzy znajdujących się w szpitalu. Rozumiem, że od tego dnia minęło dużo czasu. Może jednak przypomni pan sobie, jakiego słowa użył?

Farley wbił dłonie w oparcie krzesła.

- Coś jak „...idźcie znaleźć tych żółtków” ...nie, on powiedział „Wietnamczyków”, a może „Vietcong”... „Idźcie i sprzątnijcie ich”.

- Chodziło mu o żołnierzy armii północnowietnamskiej i Vietcongu, którzy leżeli na łóżkach?

- Tak jest, sir.

- Tak właśnie powiedział?

- Chyba tak.

- Skąd wiedzieliście, że chodziło o rannych żołnierzy, którzy leżeli w szpitalu?

- Nie było innych.

- Nie było oddziałów nieprzyjaciela wokół szpitala?

- Nie, sir. Uciekli.

- Dziękuję.

Teraz odezwał się prawnik Izby Wojskowej, kapitan Morelli:

- Panie Farley, chciałbym, żeby pan coś wyjaśnił. Kiedy używa pan słowa „żółtki”, czy chodzi o nieprzyjaciela, czy o cywilów, czy w ogóle o Wietnamczyków?

Farley wyglądał na zadowolonego, że ktoś mu nareszcie zadał proste pytanie.

- „Żółtek” to może być każdy Wietnamczyk, kitajce mówiło się na cywilów, ryżojady odnosiło się do wszystkich. To zależało, gdzie się było i co robiło. Ale Charlie to zawsze był nieprzyjaciel.

- Charlie był zawsze żółtkiem. Ale nie każdy żółtek był Charlie.

Po raz pierwszy Farley się uśmiechnął.

- Nigdy się nie wie, czy złotek nie jest Charlie.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Czy w szpitalu - zapytał pułkownik Moore - porucznik Tyson wydał panu jakiś bezpośredni rozkaz?

Farley pokręcił głową.

- Nie, sir. Rozkaz wydał tylko raz. Zabić chorych i rannych. Krzyknął, żeby wszyscy usłyszeli.

- Sam osobiście nie dopilnował wykonania rozkazu?

- Nie, sir. Pozostał na sali operacyjnej.

- A czy pan był świadkiem wykonania rozkazu?

- Nie, sir. Ja też pozostałem w sali operacyjnej.

- Ale tam leżało dwóch rannych żołnierzy nieprzyjacielskich i widział pan, że do nich strzelano.

- To prawda. Widziałem.

- Co się stało najpierw? Czy ktoś zastrzelił dwóch lekarzy, czy porucznik Tyson wydał rozkaz zabicia chorych i rannych żołnierzy nieprzyjaciela?

- Wydaje mi się, że najpierw zastrzelono tych lekarzy - odparł Farley - ale nie pamiętam. To było tak dawno temu.

- Po czym można było rozpoznać żołnierzy wśród innych chorych i rannych?

Farley zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Nie wiem - odpowiedział wreszcie.

- Czy porucznik Tyson poinstruował was, jak dokonywać identyfikacji?

- Nie, sir. - Farley wyczuł okazję. - Dlatego właśnie rozkaz był zwariowany. Można było zabić każdego. Kobiety też walczyły w Vietcongu. I starcy również.

- Ale kobiety i niemowlęta na oddziale położniczym na pewno nie.

- Chyba nie.

- I wśród personelu szpitala też nie było wietnamskich żołnierzy.

- Nie. Ale udzielili im pomocy.

- Czy ktokolwiek w waszym plutonie próbował zakończyć strzelaninę?

- Nie, sir. Ale nie wszyscy chłopcy strzelali.

- Czy mógłby pan wymienić nazwiska?

- Tylko co do jednego jestem pewien. Na pewno nie strzelał doktor Brandt. On nigdy nie strzelał.

- Dziękuję. - Pułkownik Moore zwrócił się do pułkownika Sproule'a. - Członkowie ławy nie mają już więcej pytań.

Sędzia przyjrzał się Richardowi Farleyowi.

- Świadek jest wolny, ale musi być do dyspozycji sądu do końca rozprawy. - Sproule spojrział na zegarek i zapytał Pierce'a: - Czy chce pan wezwać kolejnego świadka?

Pułkownik wstał.

- Nie, wysoki sędzie. Zeznania kolejnego świadka będą dość długie. Wolalbym wezwać go jutro rano.

- Sąd zarządza przerwę do dziesiątej rano jutrzejszego dnia - ogłosił Sproule.

Wszyscy wstali, a sędzia podniósł się od pulpitu i wyszedł z sali.

- Banda amatorów - stwierdził Corva.

- Wydawało mi się, że zadawali całkiem niezłe pytania. Czy coś ci dały?

- Tak. Pytali tylko o masakrę. Żaden głupek taki jak Farley nie byłby w stanie wymyślić godzinnego zeznania na temat czegoś, co się w ogóle nie zdarzyło. Jutro Brandt wyśpiewa tę samą opowieść tylko bardzo pięknie. Jedyne, czego sędziowie chcą się dowiedzieć, to jaka była twoja rola w masakrze. Zupełnie ich nie obchodzi wymiana strzałów i zdobywanie pomieszczenia za pomieszczeniem. - Adwokat wkładał papiery do teczki. - Podejrzałem, że tak się może stać. I jak tylko Farley znalazł się na scenie, wszyscy uwierzyli, że to, co przeczytali w książce Picarda, jest prawdą.

- No cóż - powiedział Tyson - i nie mylą się.

Vince przyglądał się ludziom opuszczającym salę. Nigdzie nie widać było Marcy.

- Gdzie chcesz teraz pojechać?

- Do Paryża.

- Mój pokój czy twoje mieszkanie?

- Twój. - Ben rozejrzał się po kaplicy.

Nie było już nikogo poza kilkoma żandarmami i pułkownikiem Pierce'em układającym pedantycznie papiery. Podszedł do niego, oskarżyciel podniósł głowę.

- Słucham? - zapytał.

- Naprawdę niech pan posłucha.

- Czym mogę służyć?

- Może pan. Proszę powiedzieć Richardowi Farleyowi ode mnie, że nie życzę mu nic złego. Czy zrobi pan to?

- Tak.

- A doktorowi Brandtowi, że przyszedł czas zapłaty. Czy i to pan zrobi?

- Myślę, że doktor Brandt wie o tym - odpowiedział pułkownik.

Corva położył rękę na ramieniu Tysona i odciągnął go.

- Wiele się nauczyłeś, Graham - powiedział do Pierce'a. - Naprawdę robisz wrażenie,

- Najlepsze jest jeszcze przed tobą. - Oskarżyciel uśmiechnął się zimno.

- Uważam, że przez dzisiejszą noc powinieneś trzymać Brandta za rękę - powiedział adwokat, po czym odwrócił się i wyszedł z Benem bocznymi drzwiami.

Rozdział 45

Gdyby ktoś szedł z budynku 209, zwanego również Gresham Hall lub kwaterami kawalerskimi, do domów, gdzie mieszkali oficerowie wraz z rodzinami, mógł wybrać cichą

uliczkę Pence, przy której stało kilka zaledwie budowli. Z kolei kiedy ktoś wracał z klubu oficerskiego do kwater gościnnych, także mógł wybrać ulicę Pence, tyle że od drugiej strony. A więc trudno byłoby winić przeznaczenie, że zetknęło na niej Tysona i Stevena Brandta.

Ben dostrzegł Brandta na długo przedtem, zanim on zauważył jego, chociaż byli jedynymi ludźmi idącymi po trawie, która ograniczała jezdnię. I, co dziwniejsze, wiedział, że jest to Brandt, zanim jeszcze zobaczył jego rysy w szerokiej smudze ulicznej lampy.

Było parę minut po dziesiątej. Właśnie wyszedł od Corvy, z którym przez długi czas dyskutował na temat mężczyzny, który był teraz nie dalej niż piętnaście metrów od mego. Tyson, który nadal miał na sobie mundur, ponieważ nie wrócił do domu, żeby się przebrać, zauważył, że Brandt ubrany jest w zbyt obszerny płaszcz, a ręce zatopił głęboko w kieszeniach. Szedł ze spuszczoną głową, prawdopodobnie dlatego tak długo nie dostrzegł nadchodzącego mężczyzny.

Ben rozejrzał się, ale nie dostrzegł normalnie towarzyszących mu żandarmów. Brandt zorientował się, że ktoś nadchodzi z przeciwka, więc odsunął się na bok, by zrobić więcej miejsca.

Tyson zobaczył, że to nie płaszcz jest duży i czyni sylwetkę niezgrabną, ale że takie po prostu było ciało, które krył. Brandt spuchł jak ciasto, nawet jego twarz przypominała bułkę. Był też całkiem łysy, poza pasmem z tyłu, które wyhodował długie i śmieszne, tak że włosy spadały mu na kołnierz granatowego płaszcza. Ben zastanawiał się, jak w ogóle mógł go rozpoznać z odległości.

- Witaj, Doktoru.

Mężczyzna zatrzymał się, chociaż „zamarł” byłoby lepszym słowem, jak pomyślał Tyson. Dzieliło ich najwyżej półtora metra, akurat dobra odległość, by uścisnąć sobie dłonie, jeśli się ma ochotę.

Brandt nie wyglądał na specjalnie zdziwionego ani też na speszonego. Jeśli już, to zachowywał się raczej, jakby natknął się na dawnego pacjenta. Przyglądał się Benowi zimno, lustrując go od stóp do głów. Tyson poczuł, że ma ochotę skrócić temu człowiekowi kark. Po prostu złapać go, tak jak uczyli na zajęciach z walki wręcz, i uderzyć między trzecim a czwartym kręgiem.

- Wszedłeś się przejść? - zapytał.

- Taaa. - Brandt kiwnął głową.

- Byłeś w klubie?

- Taaa.

- To nieduża jednostka - zauważył Ben.

Mężczyzna trwał nieporuszony, z jedną nogą wysuniętą nieco przed drugą i ciałem trochę pochylonym ku Tysonowi.

- Nie wolno mi rozmawiać z tobą.

- Mylisz się, Doktoru. Świadkowi wolno rozmawiać z oskarżonym. Jeżeli nie chcesz rozmawiać ze mną, to już inna historia.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Oszczędzasz głos na jutro?

Brandt nie drgnął nawet i nic nie odpowiedział. Zdawał się wyczuwać, że to przypadkowe spotkanie musi mieć swą kulminację.

- Gdzie to ostatni raz się widzieliśmy, Doktoru? - zapytał Ben takim tonem, jakby odpowiedź miała brzmieć: na przyjęciu po rozgrywkach w Princeton. Na wypadek gdyby Brandt pomyślał, że pytanie jest retoryczne, powtórzył: - Gdzie?

- Dół w Strawberry Patch.

- Racja. Racja. Ależ to był dzień. Co się działo potem?

- Nie pamiętam. - Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nieźle mnie wtedy opatrzyłeś.

- Drobiazg - bąknął Brandt.

- Chirurg w szpitalu powiedział, że to profesjonalna robota.

- Z taką raną niewiele daje się zrobić dobrego czy złego. Cieszę się, że dobrze chodzisz.

- Kiedy pada deszcz, trochę mi doskwiera.

- To normalne.

- Naprawdę? A myślałem, że z tego wyrosnę.

Brandt wyprostował się i rozejrzał wkoło.

- Ożeniłeś się - powiedział Tyson.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Dzieci?

- Dwoje. Chłopak i dziewczyna. Szesnaście i dwanaście.

- Rodzina doskonała.

- Tak.

- Widziałem się jakiś miesiąc temu z chłopakami. Beltran, Scorello, Sadowski, Walker i Kalane, Pytali o ciebie.

Brandt po raz pierwszy uśmiechnął się, a może raczej skrzywił.

- Naprawdę?

- Tak. Martwili się, żebyś nie miał wkrótce jakiegoś wypadku.

Brandt nie odpowiedział.

- Widujesz się z Farleyem?

- Od czasu do czasu. - Mężczyzna wyciągnął rękę z kieszeni i spojrzął na zegarek. - Muszę już iść.

Ben nie zwrócił na to uwagi.

- Co się stało ze zdjęciami?

- Jakimi zdjęciami?

- Zdjęciami, Doktorku. Twoimi polowymi studiami na temat damskiej anatomii.

Brandt próbował go wyminąć, ale Tyson zastąpił mu drogę. Stali teraz jeszcze bliżej, na odległość wyciągniętej dłoni.

- Nie wystarczy ich schować. Możesz umrzeć albo coś w tym stylu i ktoś je znajdzie. Może jedno z twoich dzieci otworzy za dziesięć lat skrzynię z pamiątkami wojennymi tatusia. To może zniszczyć twoją reputację. Najlepiej je spal, choć będzie to bolesne.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Brandt.

- Chociaż te, które ja widziałem, to wręcz klasyka. Musisz być świetnym fotografem. Trudno się rozstać z takimi skarbami. Pamiętasz to z hamakiem? To było sprytne ze strony wietnamskiej narodowej policji związać ją hamakiem jak kielbasę. Za każdym razem, kiedy ładowali jej kolejny wstrząs do pochwy, cały hamak aż podskakiwał. Bardzo trudno w takich warunkach zrobić dobre zdjęcie.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, ale uliczka była kompletnie pusta.

- Posłuchaj, Doktoru, każdy ma jakąś odchyłkę, ale ci ludzie w wioskach, które okrążyliśmy, naprawdę cierpieli. Pamiętasz tę kobietę, która poroniła po tym, jak policja o mało jej nie utopiła w studni? Ale naprawdę obrzydliwe było to, że na oczach Wietnamczyków ujawniałeś, jak jesteś skorumpowany. To, że byliśmy szurnięci, to jedna sprawa, ale ty kompromitowałeś nas i siebie przed tymi ludźmi.

Brandt zdołał wykrztusić tylko jedno słowo:

- Rasista.

- Pewnie tak. - Ben uśmiechnął się. - A jeśli chodzi o morfinę, nie mam pretensji, że dałeś mi więcej niż moją działkę, ale chciałbym wiedzieć, co się stało z resztą.

- Pozwól mi odejść - wyrwało się Brandtowi.

- A przecież byłeś niezłym sanitariuszem. Nie jesteś bohaterem, ale także nie tchórzem. Znałeś się na swojej robocie. Ale miałeś marne maniery. Dla ciebie ranni ludzie byli po prostu mięsem. Jak ta kobieta na hamaku z elektrodą w pochwie. Jesteś jednym z najmniej ludzkich ludzi, jakich udało mi się w życiu spotkać. Czym się teraz zajmujesz? Chirurgią ortopedyczną? Czy można z tego wyciągnąć jakiś wniosek? Chyba nie. Na mój gust to tu potrzeba psychoanalityka.

Brandt po raz pierwszy spojrział prosto na Tysona.

- Nie lubiłeś mnie od samego początku - powiedział.

- Chyba masz rację.

- Powiem ci, dlaczego. Ponieważ nie lubisz rywalizacji. Podobało ci się, że jesteś paniczem, po uniwersytecie, a wszyscy adorują cię. A ja byłem kimś z zewnątrz, też po studiach i w dodatku miałem co innego do roboty niż ty i twoi lunatycy. Wszyscy mieliście fioła na punkcie piechoty - oddziały Pierwszej Kawaleryjskiej. Śmiechu warte. Jeśli to była elitarna jednostka, to strach pomyśleć o reszcie dywizji.

- Może coś jest w tym, co mówisz, Doktoru.

Ben spojrział mu w oczy.

- Zastanawiałem się sporo nad tym, kiedy jeszcze byłem w Wietnamie. Mój mózg działał nie tak jak u reszty. Uważałeś siebie za księcia; wysoki, przystojny rycerzyk, a przy jego boku czterdziestu uzbrojonych wojowników. Ja byłem czarodziejem, znachorem, którego obecność musiałeś znosić i który tobie - i twoim ludziom - przypominał o śmierci. Przez jedenaście miesięcy przyglądałem się, jak ci ludzie się wykańczają, a żaden nie

poskarżył się nawet jednym słowem. Ale w punktach pomocy i w szpitalach, gdzie byli moi ludzie, mogli oni przynajmniej płakać wspólnie nad rzezią. Kiedy byłem z tobą, nic nie mówiłem. Nienawidziłeś mnie, bo ludzie oczekiwali ode mnie pomocy. Ale ja nie chciałem walczyć o uznanie tej zgrai, bo ludźmi nie można ich nazwać.

Tyson kiwnął głową.

- Byłbym kłamcą, Doktorku, gdybym powiedział, że się całkowicie mylisz. Ale to w niczym nie zmienia tego, co ty zrobiłeś ani kim byłeś. Ani co ja zrobiłem czy kim byłem, jeśli już o to chodzi. Do tego dnia wypełniałem moje obowiązki. Do piętnastego lutego nie zawiniłem.

- Wypełniałeś obowiązki zgodnie z tym, jak je sobie wyznaczyłeś. Niewielu dałoby się znaleźć oficerów, którzy zachowaliby się jak ty po... incydencie. To był twój kompleks księcia na białym koniu. Chciałeś nad wszystkimi górować moralnie. A tak nawiasem mówiąc, widziałem cię, jak raz wychodziłeś z burdelu w An Khe.

- Skąd wiesz, że to był burdel?

- No cóż - powiedział Steven Brandt. - Przeszłość to przeszłość, nie ma po co stać tu na zimnie i rozmawiać o tym, co się zdarzyło dwie dekady temu.

- Nie, i nie powinniśmy również rozmawiać o tym jutro.

Brandt milczał.

- Nikt nie jest doskonały, doktorze - powiedział Ben.

- Chciałbym już pójść - poprosił Brandt.

- Za minutę. Doktorku. Ja jestem nadal wojownikiem, a ty, jak widzę, nie prezentujesz najlepszej formy fizycznej. Chciałbym ci zadać jedno pytanie, póki mam okazję. Dlaczego ty nie złożyłeś raportu na temat tego, co wydarzyło się w Szpitalu Miłosierdzia?

- Nie wiesz? - zapytał Brandt.

- Nie. Zastanawiałem się nad tym. Ale nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ty, który nie miałeś z tym nic wspólnego, nie złożyłeś raportu.

- Dobrze więc, powiem ci. Kiedy zrozumiałem, że chcesz ukryć tę całą masakrę, czułem, jak ręce zaciskają mi się na twoich jajach. I codziennie rano budziłem się z uśmiechem i rozmyślałem, czy właśnie to ma być dzień mojej zemsty. Z każdym dniem, który mijał, wiedziałem, że jesteś w coraz większych kłopotach. Na początku trochę się denerwowałem, wydawało mi się, że opamiętasz się i nic nie wyjdzie z mojego planu. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie złożyłeś tajnego raportu i czy po prostu pewnego

dnia, kiedy przyjedziemy do obozu na odpoczynek, wszyscy nie znajdziemy się w areszcie. Ale postanowiłem zaryzykować i przeczekać. Planowałem pod koniec lutego ściągnąć cię z twego wysokiego konia. Marzyłem, że wsadzę cię do więzienia, a sam do końca pobytu w Wietnamie zostanę w jakimś przytulnym biurze w Sajgonie. Ale przeznaczenie wtrąciło się znowu, kiedy byliśmy w Strawberry Patch. - Mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Tyson przez długi czas milczał.

- A jednak jeszcze wtedy mogłeś złożyć raport. Szpital nie bronił przed sądem.

- Tak, ale po... morfinie. Byłem trochę roztrzęsiony. Czekałem przez tydzień, czy przyjdzie zawiadomienie o twojej śmierci. A potem dowiedzieliśmy się, że wysłali cię do Japonii i że już nie wrócisz. Zastanowiłem się nad tym. Uznałem, że jesteś na tyle sprytny i domyślisz się, co zrobiłem, ale nie możesz mi tego udowodnić. Uznałem, że rachunki są wyrównane. Przynajmniej na jakiś czas - Przez długą chwilę przyglądał się Benowi. - Pochodzę z dobrej rodziny podobnie jak ty i zawsze mi mówiono tak samo jak tobie że jestem kimś nadzwyczajnym. Moje ego jest potężne, takie samo jak twoje. Wrzuciłeś mnie do rowu pełnego pijawek, upokorzyłeś mnie przed ludźmi, których musiałem potem dzień po dniu oglądać... i ty się zastanawiasz, czemu odpowiedziałem na ogłoszenie? Trudno ci uwierzyć, że ktoś tak bardzo może nienawidzić takiego uroczego faceta jak Ben Tyson. Zapewniam cię, że czuję do ciebie samą nienawiść. - Brandt spojrział Tysonowi prosto w oczy. - Do dziś nawiedzają mnie koszmary wypełnione pijawkami. Budzę się i czuję, jak pulsują przyczepione do mojej skóry.

- Naprawdę? Polecilibym ci mojego psychoanalityka, tyle tylko, że on popełnił samobójstwo.

- Czy mogę już iść? - zapytał Brandt.

- Pewnie, Doktoru. - Ben kiwnął głową. - Ale musisz pamiętać o jednym. Zapłata. Jutro świat się nie kończy

- Może będziesz musiał poczekać dziesięć czy nawet dwadzieścia lat. Dobranoc. - Zrobił niepewny krok, a kiedy zobaczył, że Tyson nie zamierza go zatrzymać, ruszył szybko.

Ben poszedł dalej, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 46

- Stevenie Brandt - rzekł pułkownik Pierce - proszę złożyć przysięgę, że będzie pan mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg.

- Przysięgam.

- Czy mógłby pan podać swoje miejsce zamieszkania oraz zawód?

- Mieszkam w Bostonie, Massachusetts, i jestem lekarzem.

- Jaki był pański stopień i gdzie pan służył w Wietnamie?

- Byłem specjalistą czwartego stopnia w Piętnastym Batalionie Sanitarnym i zostałem przydzielony do Kompanii Alfa w Piątym Batalionie Siódmej Kawaleryjskiej, Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej.

Ben przyglądał się Brandtowi, kiedy ten odpowiadał na wstępne pytania. Jego garnitur był drogi i brzydki, co wydawało się normą wśród lekarzy. Zastanawiał się, czy nie zamawiali sobie ubrań za pośrednictwem domów wysyłkowych.

Ben spojrzał na pierwszą ławkę i spotkał się wzrokiem z Marcy, która uśmiechnęła się - jego zdaniem - nieco enigmatycznie. Od kilku tygodni zachowywali się w stosunku do siebie jak obcy ludzie, choć nie urządzali już awantur. Zastosował się do rady Corvy i przestał się martwić o małżeństwo, kiedy czas rozprawy zbliżał się szybkimi krokami.

Wodził wzrokiem po ławkach, stwierdzając, że wszyscy, którzy obejrzeliby pierwszy akt, przyszli także na drugi. Wciąż utrzymywała się ładna pogoda, a to zawsze wyciąga ludzi z domu, pomyślał.

Zeznania Brandta zaczęły dotyczyć sprawy, choć na razie jeszcze peryferyjnie. Tyson przyjrzał się z kolei sędziom. Weterani - pułkownik Moore, podpułkownik McGregor i major Bauer - wyglądali na bardziej odprężonych niż w czasie nieskładnej opowieści Farleya o żółtkach, ludziach wysyłanych na pole minowe i żołnierzach, którzy biorą to, na co mają ochotę. Oczywiście Brandt mówił to samo, tyle tylko, że dobierał innych słów.

Ben skupił się wreszcie na Piersie i Brandcie i zaczął uważnie słuchać. Oskarżyciel powoli prowadził do sedna sprawy, zadawał logiczne, konsekwentne pytania i był bardzo ostrożny, zupełnie inaczej niż w czasie zeznania Farleya. Brandt odpowiadał na pytania pełnymi, płynnymi zdaniami, jakby składanie zeznań w sądzie nie było dla niego pierwszoznaczną. Tyson podejrzewał, że jako lekarz musiał występować w jakichś cywilnych sprawach o odszkodowanie za złą opiekę lekarską. Spojrzał na Corwę, który słuchał uważnie duetu Brandt-Pierce i robił notatki. Jak dotąd nie zgłosił żadnego sprzeciwu, bo właściwie nie miał się do czego przyczepić poza tym, że pułkownik zwracał się do świadka „doktorze”, co stanowiło pogwałcenie wcześniejszej umowy. Ale adwokat był na tyle sprytny, by nie przyciągać niepotrzebnie uwagi do tego słowa.

- W jakiej odległości od kopca pogrzebowego pan się znajdował, doktorze? - pytał Pierce.

- Jakieś dwieście metrów.

- I widział pan, że ci ludzie zdejmują ubrania?

- Tak.

- Czy zauważył pan jakieś działanie porucznika Tysona, Farleya, Simcoxa lub Kelly'ego, które można było potraktować jako zagrożenie cywilom?

- Tak, chociaż nie jestem w stanie powiedzieć, kto konkretnie im groził. Ale popychano ich, wymierzono w nich karabiny. Widziałem, jak jeden z żołnierzy kopał w błoto i ochlapywał ich.

Ben jeszcze raz spojrział na ławki. Zebrani słuchali z uwagą, ale bez napięcia jak podczas zeznania Farleya. Tamten postawił fundamenty, na których teraz Pierce i Brandt budowali swoją konstrukcję, kamień po kamieniu, cegła, zaprawa, cegła, aż wzniosą budowlę, którą Corva będzie usiłował wstrząsnąć.

- Czy często był pan wzywany, by asystować przy przeszukiwaniach cywilów? - zapytał oskarżyciel.

- Zawsze. Taka była generalna polityka. Przeszukiwanie odbywało się tylko w obecności oficera. Przeprowadzano je na tyle taktownie, na ile sytuacja pozwalała. Moim zadaniem było zaglądnąć w odbytnicę i w pochwę. Nieprzyjaciel często chował zwinięte dokumenty w aluminiową rurkę i przynosił je ukryte w tych właśnie miejscach.

- Opierając się na swoich doświadczeniach, czy uważa pan, że tamto przeszukiwanie było konieczne i uzasadnione?

- Nic przypuszczam. Mnie nic wydawało się ono niczym więcej jak... jak by to powiedzieć?... Było niemal seksualne.

Corva i Tyson automatycznie spojrzeli na siebie.

- Ten facet ma większe jaja niż byk - powiedział Vince.

Pierce rzucił ostre spojrzenie w kierunku stołu obrony.

- Chciałbym zapytać teraz pana o profanację ciał martwych żołnierzy wietnamskich, które przygotowane były do pochowania.

Corva wstał.

- Zgłaszam sprzeciw, wysoki sędzie.

Pułkownik Sproule odwrócił się do adwokata, na jego twarzy malował się gniew człowieka, któremu przerwano słuchanie interesującego opowiadania.

- Jaka jest podstawa sprzeciwu?

- Wysoki sędzie, obrona w pełni rozumie, że oskarżenie próbuje połączyć domniemane wydarzenia na kopcu pogrzebowym z wydarzeniami, które rzekomo miały miejsce tego samego dnia. Do tej chwili nie zgłaszaliśmy sprzeciwu, ale teraz wydaje mi się, że zbyt wiele poświęcamy na to czasu. Prawdę mówiąc, lubieżny aspekt tego, co relacjonuje świadek, może interesować niektórych ludzi, ale niewiele ma wspólnego ze sprawą.

Sproule zastanowił się przez moment, a potem powiedział do Pierce'a:

- Pułkowniku, spędziliśmy już prawie godzinę wysłuchując opowieści o kopcu od świadka, który przebywał od miejsca wydarzeń oddalony o dwieście metrów. Pozwolę panu kontynuować, ale pod warunkiem, że to, co zeznaje świadek, ma związek z oskarżeniem. Sprzeciw odrzucony.

Oskarżyciel skinął głową, jakby sędzia wygłosił właśnie jakąś niezwykle celną uwagę, potem odwrócił się i zadawał dalej pytania dotyczące profanacji ciał żołnierzy nieprzyjaciela.

Z dręczącą drobiazgowością pierwszy pluton Kompanii Alfa kontynuował swój patrol w stronę wioski An Ninh Ha i Szpitala Miłosierdzia, Własne wspomnienia Bena tego deszczowego dnia pokrywały się z opisem Brandta. Był zdziwiony, jak dobrą ma on pamięć.

- Doktorze - zwrócił się Pierce do świadka - wydarzenia, o które chciałbym teraz zapytać, dotyczą podchodzenia plutonu do szpitala. Wydarzenia te są częściowo opisane w książce „Hue: Zagłada miasta” przez autora Andrew Picarda. Czy to pan dostarczył informacji wykorzystanych w książce?

- Czy czytał pan potem książkę?

- Czytałem.

- Jak wiele z tego, co napisał pan Picard, ma swe źródła w informacjach, które otrzymał on od pana?

- Znaczna część opisu opiera się na mojej ustnej relacji, ale są tam fakty i szczegóły, których nie mogłem mu podać.

- Jakież?

- Na przykład nazwiska osób personelu szpitala. Picard mówił mi, że rozmawiał z siostrą Teresą, która przeżyła masakrę i o której pisze w swej książce.

Pułkownik zadał jeszcze parę pytań na-ten temat.

- Jako sanitariusz, w którym miejscu w plutonie zazwyczaj pan maszerował? - zapytał wreszcie.

- Normalnie, w czasie patrolu znajdowałem się w tak zwanej grupie dowodzenia. Zaliczali się do niej dowódca, jeden lub dwóch radiooperatorów i ktoś z obsługi medycznej. Kiedy pluton zatrzymywał się na nocleg, dołączał do nas sierżant i tworzyliśmy jednostkę dowodzenia.

- Tak więc zwykle przebywał pan w bliskości dowódcy plutonu, porucznika Tysona, zarówno w nocy jak i w dzień?

- Tak.

- Czy dobrze go pan znał?

- Tak dobrze, jak można poznać człowieka spędzając z nim dziesięć miesięcy, noc i dzień. Oczywiście istniała bariera, ponieważ on był oficerem, a ja żołnierzem. Ale zdarzały się między nami momenty bliskości.

- Jak pan by określił stosunki pomiędzy wami?

Brandt odwrócił się, spojrzał na Bena i uśmiechnął się do niego, ten zaś uznał to, jak zresztą każdy, kto to zobaczył, za idiotyczne.

Brandt odwrócił się z powrotem do oskarżyciela.

- Różniliśmy się pod wieloma względami, ale szanowaliśmy się nawzajem. Często wyrażał się z uznaniem o mojej pracy.

- A czy pan oceniał pozytywnie jego pracę?

Brandt znowu uśmiechnął się.

- Jego zdolności dowódcze robiły wrażenie. Był naturalnym przywódcą. Być może zdarzyło mi się to powiedzieć.

Tyson słuchał, jak Pierce wydobywa ze świadka opinię o nim. Zaskoczyło go, jak wysoko specjalista czwartego stopnia Brandt cenil sobie porucznika Tysona.

Pułkownik pozostał przy tym temacie dość długo. Ben pomyślał, że to sprytne z jego strony, iż pomiędzy incydentem przy kopcu pogrzebowym a głównym tematem znalazł

miejsce na element osobisty.

- Doktorze, chciałbym panu zadać jeszcze jedno pytanie przed przerwą. Jak pan jako lekarz ocenia troskę porucznika Tysona o stan psychiczny i fizyczny łodzi, którymi dowodził? - zapytał oskarżyciel.

Corva wstał.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Z tego, co wiem, świadek nie ma przygotowania psychiatrycznego. Poza tym chciałbym przypomnieć, że w czasie, o którym rozmawiamy, był on dwudziestotrzyletnim mężczyzną po szkole dla pielęgniarzy, a nie lekarzem w średnim wieku.

- Sprzeciw przyjęty. Pułkownikowi Pierce, czy może jednak życzy pan sobie przerwy?

Oskarżyciel nie chciał w takim momencie wychodzić na lunch.

- Pozwolę sobie przerobić pytanie, wysoki sędzie.

- Proszę bardzo.

- Doktorze... - Pierce zwrócił się do Brandta.

Corva znowu zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw, wysoki sędzie.

- W jakiej sprawie?

- Wysoki sędzie, nie przeszkadza mi, kiedy pułkownik Pierce zwraca się po raz trzydziesty czy czterdziesty do świadka „doktorze”. Ale ponieważ teraz pragnie on uzyskać wsteczną opinię medyczną, mogę sądzić, że pragnie dodać jej wagi odpowiednio tytułując świadka.

Sproule przez chwilę się zastanawiał.

- Sprzeciw przyjęty - powiedział wreszcie. - Pułkownikowi Pierce, myślę, że przyda się panu kilka minut na zastanowienie, jak postawić pytanie. Sąd zbierze się ponownie o trzynastej trzydzieści.

W kwaterach kawalerskich Tyson i Corva siedzieli naprzeciwko siebie w szwedzkich, fotelach, pomiędzy nimi stał stolik do kawy. Adwokat posłał do klubu oficerskiego po lunch.

- Na twój koszt. Podałem im numer - wyjaśnił.

- Dzięki - powiedział Ben i dodał; - Krótka przerwa.

- Tak. Sproule widział, że Brandt i Pierce mają nam jeszcze sporo do powiedzenia. Byłem obecny na przesłuchaniach w sądzie wojennym, które trwały do dziesiątej wieczór. Nikt tu się nie musi martwić, że sędziom nie będzie się coś podobało. Albo pracującym po godzinach protokolantom czy strażnikom. - Vince zagłębił widelec w zimnej sałatce z makaronu. - Opowiedz mi wszystko o moralnej korupcji naszego dobrego Doktorka. Czy z tego powodu wrzuciłeś go do dołu z pijawkami?

Tyson przytaknął.

- Czy kiedykolwiek brałeś udział w operacji „Kordon” razem z wietnamską narodową policją?

- Tylko raz - Corva skinął głową. - I o raz za dużo.

- O to właśnie chodzi. Moja kompania uczestniczyła w nich cztery czy pięć razy. No cóż, po tym, jak otoczyliśmy przed świtem wioskę, narodowa policja - to ich pieprzone gestapo - zjawiała się w amerykańskich helikopterach. Potem chodzili jak pawie w tych swoich świeżutkich mundurach i przeszukiwali chaty, przesłuchiwali ludzi. Czy tak to wyglądało u ciebie?

- Dokładnie tak.

- Żadnemu Amerykaninowi nie wolno było wejść do wioski. To, co działo się między policją i mieszkańcami, nie nadawało się dla amerykańskich oczu. Ale amerykański oficer mógł czasami wejść, żeby ustalić z dowódcą gestapo współrzędne. Ja kilka razy byłem w wiosce. Brandt, jako sanitariusz, również mógł się tam dostać.

- Podobało mu się, co? - zapytał kiwając głową adwokat.

- Czy mu się podobało? Był w siódmym niebie. Mówił o nietaktownych przeszukiwaniach nagich ludzi. Policja wykonywała te przeszukania często nie używając wcale rąk. No i oczywiście stosowano tortury: chłostę, lanie wodą. Niedobrze mi się robiło, kiedy to widziałem. Brandt natomiast był w ekstazie. Nie wolno tam było oczywiście robić zdjęć, ale on zaprzyjaźnił się z tymi świniami z policji narodowej. Do dołu z pijawkami wrzuciłem go po tym właśnie, jak zobaczyłem, że robi zdjęcia. Nie zauważył mnie. Był ze mną Kelly, poszliśmy za Doktorkiem aż do chaty. Złapałem go, jak z dwoma policjantami z narodowej policji gwałcili trzy młode dziewczyny.

Vince potrząsnął głową.

- Zdobędziemy ich serca i umysły.

- Chcesz usłyszeć wszystkie szczegóły czy najpierw zjeść lunch?

- A ty jak uważasz?

- Najpierw zjedz.

Kiedy sąd zebrał się ponownie o pierwszej trzydziści, pułkownik Pierce zwrócił się do Brandta.

- Przypominam panu, że zeznaje pan nadal pod przysięgą.

Brandt potwierdził skinieniem głowy.

Oskarżyciel najwyraźniej nie przemyślał, jak powinien zmienić zadane wcześniej pytanie, ponieważ zapytał o co innego.

- Doktorze Brandt, zgodnie z tym, co pan powiedział, wasz pluton zdawał sobie sprawę, że zbliża się do szpitala w wiosce An Ninh Ha, na zachodnich przedmieściach Hue.

- Zgadza się.

- Jak na to reagowali żołnierze?

Corva wstał.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Jak świadek może ocenić nastroje dziewiętnastu ludzi, skoro między pierwszym a ostatnim był dystans jakiegoś kilometra?

- Sprzeciw przyjęty. - Sproule popatrzył na Pierce'a. - Czy mógłby pan jakoś zmienić to pytanie?

- Tak, wysoki sędzie. - Pułkownik zwrócił się do świadka. - Czy słyszał pan jakieś komentarze dotyczące faktu, że pluton szedł w stronę szpitala?

Brandt skrzyżował nogi i Tyson zobaczył, że lekarz ma na stopach lekkie, szare mokasyny z małymi frędzelkami, a poprzez prawie przezroczyste skarpetki prześwieca biała skóra.

- Często podczas odpoczynków obchodziłem pluton i sprawdzałem samopoczucie ludzi. Podczas takiego obchodu słyszałem, co żołnierze mówią na temat decyzji porucznika Tysona o zatrzymaniu się po drodze do Hue w szpitalu.

- Jak scharakteryzowałby pan usłyszane reakcje?

- W większości pozytywne. Ludzie byli podnieceni perspektywą spotkania z cywilizacją.

- A więc nie byli źle nastawieni?

- Wręcz przeciwnie. Słyszałem, jak porucznik Tyson ich zachęca. Mówił o gorącym jedzeniu, prysznicach i kobietach.

- Czy mógłby pan opowiedzieć o tym bardziej szczegółowo?

- Słyszałem, jak rozmawiał z mężczyzną nazwiskiem Simcox. Powiedział, że na pewno będzie tam mógł kogoś przedmuchać.

Kilku widzów aż jęknęło głośno, jakiś mężczyzna roześmiał się, ale natychmiast ucichł.

Oskarżyciel odczekał moment.

- Jak pan zrozumiał to, co porucznik Tyson sugerował Simcoxowi, że on... to znaczy Simcox... jak pan to wyraził? - Pierce uśmiechnął się znacząco.

Doktor Brandt pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Dmuchanie to oczywiście slangowe określenie stosunku płciowego. Porucznik Tyson mówił Simcoxowi, że będzie miał do tego okazję w szpitalu. Przypuszczam, że porucznik Tyson miał na myśli stosunek z kobietą.

- Dziękuję. Czy odniósł pan wrażenie, że porucznik Tyson zamierza zająć szpital?

- Tego nie wiem. Ale napomykanie o kobietach i wygodach, jakie mógł zapewnić szpital, podnieciło żołnierzy i patrol ruszył w stronę szpitala pełen dość nierealistycznych oczekiwań.

Pułkownik zatrzymał się przy tym temacie dłużej. Wykazanie, że żołnierze zbliżając się do szpitala byli w dobrych nastrojach, było sprytnym ruchem. A w dodatku ich pozytywne nastawienie wynikało z obietnicy dowódcy, że będą mogli gwałcić i plądrować. Ani Pierce'a, ani Brandta nie usatysfakcjonowałyby, gdyby Tyson został uznany tylko za mordercę. Chcieli także napiętnować go jako człowieka nieuczciwego, skorumpowanego i o niskich zasadach moralnych. Słuchało ich dwieście osób, w tym przedstawiciele prasy, ludzie, których znał, jego żona, syn i matka. Ben poważnie zastanawiał się, dlaczego nie skręcił Brandtowi karku.

Steven Brandt kontynuował swoje zeznanie. Sześć lub siedem razy oskarżyciel dochodził już pytaniami do wydarzeń w szpitalu, a potem znowu cofał się i zadawał pytanie związane ze sprawą, ale nie bezpośrednio. Brandt również nie spieszył się. Na każde pytanie odpowiadał wyczerpująco, sprawiając wrażenie człowieka obiektywnego.

Kiedy wreszcie Pierce zaprowadził sąd na odkryty plac przed szpitalem, jego słuchacze nie tylko byli gotowi wysłuchać kulminacyjnej opowieści, ale także w nią uwierzyć.

- Ile razy strzelono do was z pobliza szpitala?

- To było około pięciu czy sześciu strzałów, jeden po drugim.

- Czy może pan powiedzieć w przybliżeniu, z jakiego miejsca w szpitalu strzelano?

- Nie.

- Ale w relacji, którą wykorzystał Picard, i podczas pierwszego zeznania mówił pan o snajperze.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem Picardowi. Nie wiem. skąd on to usłyszał. Uważam, że szpital jest ostatnim miejscem, jakie mógł sobie wybrać nieprzyjacielski snajper.

- Czy wtedy ktoś uważał, że strzały dochodzą od strony szpitala?

- Tak. Porucznik Tyson. Odpowiedział ogniem w tamtym kierunku. Prawie nigdy nie wtrącałem się, jeśli chodzi o taktykę, ale wtedy poprosiłem go, żeby przestał.

- Co na to odpowiedział?

- Żebym zajął się własnymi sprawami. Co zresztą zrobiłem. Mieliśmy dwóch rannych i jednego zabitego.

- Czy mógłby pan wymienić nazwiska?

- Tak. Robert Moody był postrzelony w nogę. Lekka, powierzchowna rana. Arthur Peterson dostał kulę tutaj - Brandt pokazał miejsce po prawej stronie nieco poniżej pachy.

- Kula przeszła przez... Czy mam używać terminów medycznych?

Pułkownik uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Lepiej nie.

- No cóż, przez ciało i wyszła trochę niżej z drugiej strony. Zahaczyła o oba płuca. Peterson tonął w swojej własnej krwi.

- A trzeci?

- Tak... Larry Cane... otrzymał kulę w serce i umarł natychmiast.

- A pan opatrywał tych ludzi w czasie strzelaniny?

- Nie. Strzelanina skończyła się prawie natychmiast, więc nic mi nie groziło - oświadczył skromnie Brandt.

- Co się działo potem?

- Wystrzelono jeszcze kilka razy w kierunku szpitala. W oknach nie było szyb, tylko żaluzje i okiennice, wydaje mi się, że strzelano właśnie do nich. Ale jak mówiłem, ja nie wierzyłem, żeby ktoś, kto nas zaatakował, właśnie tam się ukrywał. Wreszcie porucznik Tyson rozkazał zaprzestać ognia.

- I wtedy co się stało?

- Porucznik Tyson rozkazał czterem czy pięciu ludziom ruszyć w stronę szpitala. Zrobili to, doszli do frontowych drzwi. Nikt do nich nie strzelał. Chciałbym jeszcze wskazać na fakt, że kiedy podchodziliśmy do szpitala, w trzech czy czterech oknach wisiały białe prześcieradła, które albo były znakiem pokoju, albo oznaczały, że szpital jest neutralny. Poza tym na froncie budynku wisiała flaga czerwonego krzyża.

- I nikt ze szpitala nie atakował was?

- Nikt.

Pierce na chwilę wrócił do wcześniejszych wydarzeń, potem znowu poprowadził słuchaczy do szpitala, wyprowadził ich na dziedziniec i powtórnie skierował do szpitalnego holu. Oskarżyciel naciskał guziki swego magnetofonu: do przodu, w tył, do przodu. Brandt reagował jak doskonale urządzenie. Corva od czasu do czasu zgłaszał sprzeciw, ale sam Ben mógł powiedzieć, że jego adwokat nie zbliża się nawet do zasadniczych fragmentów relacji. Wyraźnie dawał pułkownikowi sporo luzu, a ten stawał się coraz bardziej zadufany i pozwalał świadkowi na stwierdzenia, za które miał później gorzko zapłacić.

Wreszcie Pierce poprowadził pluton schodami na pierwsze piętro szpitala, gdzie rozegrał się główny dramat.

- Proszę nam opowiedzieć, jak zostaliście przyjęci w szpitalu? - zapytał.

- No cóż, raczej chłodno. Dopiero co wystrzeliliśmy w jego stronę paręset kulek, a jeśli moje podejrzenia co do snajpera były słuszne, to wcale mnie nie dziwi, czemu nie okazywano na nasz widok entuzjazmu.

- Czy ktoś okazał otwartą wrogość?

- Tego bym nie powiedział. Pluton też nie zachowywał się specjalnie przyjaźnie. Zresztą trudno ich za to winić. Samotny snajper wywołał to całe nieporozumienie. To nie było radosne przyjęcie, którego spodziewali się żołnierze.

Oskarżyciel spojrział znacząco na zegarek.

Pułkownik Sproule zrobił to samo. Tyson pomyślał, że wyglądają jak dowódcy synchronizujący czas przed atakiem.

- Pułkowniku Pierce - odezwał się sędzia - jeśli nie zgłasza pan sprzeciwu, chciałbym odroczyć rozprawę do godziny osiemnastej.

- Nie mam żadnych obiekcji co do wieczornej sesji, wysoki sędzie.

Sproule popatrzył na Corwę.

- Czy obrona nie sprzeciwia się? - zapytał.

- Nie, wysoki sędzie.

- W takim razie zbierzemy, się ponownie o godzinie osiemnastej.

Tyson i Corva wrócili do kwater kawalerskich. Część porannych zeznań Brandta zdążono już przepisać. Żandarm stojący przy drzwiach wręczył je adwokatowi.

Mężczyźni weszli do apartamentu. Vince od razu podszedł do lodówki, skąd wyciągnął wcześniej naszykowane martini. Usiadł przy stole i zaczął przeglądać zapis.

Ben sięgnął po swoje martini i zapalił papierosa.

- Gdzie obiad? - zapytał.

- Nie jestem głodny - odparł Corva.

- A co, jeśli ja jestem?

- Zjedz oliwkę.

- Nie mam oliwki.

Adwokat wzruszył ramionami nie odrywając się od czytania.

- Jak tam idzie stronie oskarżającej? - zapytał Tyson.

- Nieźle.

- A obronie?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Ben przemierzał pokój równymi krokami.

- Nie wniosłeś sprzeciwu przy wielu znaczących pytaniach.

- A dlaczego miałbym to zrobić? Brzmiały interesująco. Posłuchaj, Brandt jest świadkiem Pierce'a. Oskarżyciel przepytujący własnego świadka po prostu wyznacza drogę. Niech na niej potańczą.

Tyson skrzywił się.

- Mam zamiar zadać ci kilka pytań na temat różnych oświadczeń Brandta. Odpowiedz mi krótko i zwięźle, żebym mógł to wykorzystać w czasie krzyżowego ognia pytań, który przeprowadzę jutro.

- Dobrze.

- Mam tylko nadzieję, że nasi świadkowie będą równie elokwentni.

- A ja mam nadzieję, że ty będziesz zadawał równie interesujące pytania.

- Chciałbym, żeby nasi świadkowie - Corva patrzył na Bena - nie musieli opowiadać o walce i zdobywaniu pomieszczeń, kiedy Brandt i Farley zeznają, że w tym samym miejscu i czasie odbywała się masakra. To może wprowadzić sędziów w zakłopotanie.

Sąd zebrał się ponownie o szóstej po południu. Pierce otworzył rozprawę:

- Wszystkie strony obecne w chwili zarządzenia przez sąd przerwy powróciły na salę.

Co było prawdą, jak stwierdził Tyson. A gdyby ktoś sprawdzał obecność w ławkach, prawdopodobnie mógłby powiedzieć to samo. Armia miała absolutnego bzika na temat sprawdzania stanu i obecności.

Pułkownik przypomniał Brandtowi, że cały czas obowiązuje go przysięga, ale Ben nie przypuszczał, by nagle ten fakt miał stać się dla świadka znaczący.

Oskarżyciel rozpoczął od rozgrzewających pytań, przypominających to, co już zostało powiedziane wcześniej, a potem powrócił znowu do frontowych drzwi Szpitala Miłosierdzia. Pierce i Brandt osiągnęli już ten poziom zgrania, który jest typowy dla ludzi prowadzących ze sobą długie rozmowy. Ale doktor ani razu nie pospieszył się z odpowiedzią i choć składanie zeznań toczyło się gładko, trudno byłoby im zarzucić, iż odgrywają wcześniej przygotowane przedstawienie.

Pułkownik wreszcie doprowadził oddział Tysona na piętro szpitala i kiedy zadał pytanie: „Co tam zastaliście?”, cała ława sędziowska zamarła w oczekiwaniu.

- Od razu wiedziałem, że jestem w sali operacyjnej. Nie sądzę, aby budynek był przystosowany do pełnienia wszystkich szpitalnych funkcji. Przypuszczam, że Francuzi zbudowali go jako sanatorium lub miejsce dla rekonwalescentów.

Oskarżyciel wykazywał anielską wprost cierpliwość pozwalając Stevenowi Brandtowi rozwodzić się nad architekturą i położeniem budynku.

Benowi przebiegło przez myśl, że gdyby świadek był kalekim, przebywającym na zasiłku weteranem wojennym, a nie szacownym lekarzem, ani Pierce, ani nikt inny nie wykazywałby tyle wyrozumiałości.

Brandt przeszedł do szczegółów.

- Sala operacyjna miała jakieś dziesięć metrów na dwanaście. Stało tam siedem stołów operacyjnych. Ściany i sufit były białe. Okna zasłonięte, ale - co już zresztą wcześniej mówiłem - bez szyb, podłoga wyłożona czerwonymi płytkami z terakoty. Poza tym pokój był zupełnie pusty. W szpitalu była elektryczność, prawdopodobnie dzięki pracy generatora. Salę oświetlały zwisające z sufitu jarzeniówki. Właśnie pod nimi stały stoły. Działały też wentylatory, ale mimo to nie udawało się usunąć zapachu rozkładającego się ciała. Było też mnóstwo much. Przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju dostrzegłem umywalkę i toaletę. Woda najprawdopodobniej dopływała ze zbornika na dachu. Obok umywalki stał piec na węgiel, gdzie pewnie gotowano wodę. Warunki były, oględnie mówiąc, prymitywne, niezbyt sanitarne. Można było czuć jedynie podziw dla ludzi, którym przyszło pracować w takim miejscu.

Pułkownik przytakiwał głową z przekonaniem. Tyson przypuszczał, że nie słyszy ani słowa.

- Kto wszedł do sali operacyjnej razem z panem? - zapytał oskarżyciel.

- Nie pamiętam wszystkich, ale na pewno był tam porucznik Tyson, jego radiooperator Kelly, Richard Farley i chyba jeszcze ze dwóch innych żołnierzy. Farley pomagał Moody'emu, który miał postrzeloną nogę. Pozostałych dwóch wniosło Petersona, który był na wpół przytomny i jęczał.

- Ilu ludzi poza tym znajdowało się w tej sali i kto to był?

- Około dwudziestu osób personelu szpitalnego. Całkowita mieszanka. Wszyscy lekarze byli biali, sami mężczyźni. Troje sanitariuszy pochodzenia wyraźnie azjatyckiego. Pielęgniarki obu ras - to znaczy zarówno białe, jak i Azjatki - same kobiety. Większość z nich miała na sobie białe bawełniane stroje, które kojarzyły się z habitami zakonnymi. Na piersiach miały zawieszane krzyże. W całym szpitalu wisiały symbole religijne, nie było żadnych wątpliwości, że jest to przybytek, którym zarządzają władze kościelne.

Corva pochylił się w stronę Tysona.

- Zdarzało mi się być na rozprawach wojskowych, które przeciągały się i do północy.

- Brandt wygląda świeżo - stwierdził Ben. - Wyraźnie dobrze się bawi.

- Pierce też wydaje się w niezłej formie - dodał adwokat. - Myślę, że chciałby zakończyć zeznania Brandta dziś wieczór. Są wyraźnie na fali. Czasami przekłada się rozprawę na następny dzień i cały czar pryska.

- Czy ktokolwiek z personelu szpitalnego przywitał się formalnie z wami? - zapytał pułkownik.

- Nie. Ale porucznik Tyson powiedział coś do lekarza stojącego najbliżej drzwi, który zajmował się właśnie pacjentem ze strasznie poharataną nogą. Porucznik podszedł do stołu operacyjnego najbliższego od wejścia i zaczął rozmawiać z lekarzem.

- W jakim języku?

- Na początku po angielsku. Ale lekarz nie oderwał się od pracy. Powiedział przy tym coś do pielęgniarki, chyba po francusku, i porucznik Tyson przeszedł na ten język.

- Czy pan, doktorze, mówi po francusku?

- Nie. Ale w Wietnamie nasłuchiwałem się go dość, by rozumieć.

- Czy porucznik Tyson rozmawiał z lekarzem przyjaźnie?

- Zdecydowanie nie. Od pierwszej chwili można było stwierdzić, że padają tam mocne słowa.

- Na jaki temat?

- Przypuszczam, że porucznik zażądał, by zrobiono coś dla Petersona. Porucznik od czasu do czasu rzucał jakąś uwagę po angielsku na beneficis mój i Kelly'ego, więc wiedziałem, o co chodziło.

Oskarżyciel kontynuował pytania. Z odpowiedzi wyłaniał się obraz znacznie bardziej szczegółowy niż przedstawiony przez Picarda w książce i Farleya podczas zeznań. Po piętnastu minutach skrupulatnego przedstawiania tego, co w rzeczywistości trwało jakąś minutę, Pierce zapytał:

- Jak pan oceniał, wtedy, nie z dzisiejszej perspektywy, stan Petersona?

- Peterson był umierający. Kilkakrotnie powtarzałem to porucznikowi. Tylko chirurg specjalista od klatki piersiowej w świetnie wyposażonym szpitalu mógłby go uratować. Miałem już do czynienia z podobną raną w Phu Lai. Powiedziałem porucznikowi Tysonowi, że jeśli Peterson ma w ogóle jakąś szansę, to tylko, gdybyśmy sprowadzili

helikopter służb medycznych. Ale on go nie wezwał.

- Czy jest pan w stanie podać jakiś rozsądny powód takiego zachowania?

- Nie. Z uporem maniaka twierdził, że jeśli jesteśmy w szpitalu, to jego ludzie otrzymają pomoc na miejscu. Tłumaczyłem mu, że w takim miejscu nie ma odpowiednich narzędzi do przeprowadzenia koniecznej operacji. Wydaje mi się, że to samo mówił mu ten lekarz. - Brandt na chwilę zamilkł. - Prawdę mówiąc, powiedziałem, żeby zapomniał o Petersonie. Tętno rannego zanikało, oddech był prawie niesłyszalny. Właściwie już wtedy wyglądał na martwego.

- Jaka była reakcja pułkownika Tysona na pańskie słowa?

- Nie najlepsza. Był bardzo podniecony. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu bardziej zależy na przeprowadzeniu swojej woli niż na uzyskaniu pomocy dla Arthura Petersona.

Ben zerwał się nagle na równe nogi, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem z krzesła, na którym się bujał. Nogi krzesła uderzyły z hukiem o podłogę. Wszyscy zamarli, nawet protokolant. Przez sekundę czy dwie panowała kompletna cisza. Tyson wpatrywał się w Brandta, jego dłonie wyraźnie drżały.

Corva odwrócił się w jego stronę, ale nie zrobił żadnego ruchu.

- Czy oskarżony mógłby zająć swoje miejsce? - zapytał pułkownik Sproule. I zanim Ben zdążył cokolwiek zrobić, dodał: - Zarządzam piętnastominutową przerwę.

Tyson z Corwą przeszli w milczeniu do pokoju rabina Weitza. Prawnik zamknął drzwi.

- Przeraziłeś na śmierć starego Sproule'a - powiedział.

Ben milczał.

- Brandt też nieco zbladł - dodał Vince. - A sędziowie bez trudu uwierzą, że przyłożyłeś temu francuskiemu doktorkowi.

Tyson podszedł do okna i zapalił papierosa.

- Oczywiście są i dobre aspekty tej sceny - stwierdził adwokat. - Pułkownik Amos Moore uśmiechnął się po raz pierwszy od dwóch dni. Widziałem to. Z wyraźną aprobatą.

Ben wzruszył ramionami.

- Ten opluwający cię gówniarz wcale się im nie podoba, Ben -stwierdził Corva.

Tyson powoli skinął głową.

- Ale mu wierzą. - Zaciągnął się dymem. - Jak myślisz, czy Pierce wierzy, że wydałem rozkaz strzelania do żołnierzy nieprzyjaciela?

- O, tak. To daje mu moralną pewność, dzięki której może z całym przekonaniem cię atakować. Fakt, że nie złożyłeś raportu na temat masakry, jest sprawą bardziej techniczną czy też proceduralną, ale ani on, ani rząd nie mieliby serca do tej sprawy, gdyby to był jedyny zarzut przeciwko tobie. Nie, oni muszą wierzyć, że wydałeś niezgodny z prawem rozkaz, który doprowadził w rezultacie do masakry w szpitalu.

Rozległo się pukanie do drzwi i żandarm zawołał.

- Już czas.

Pułkownik Pierce przez parę chwil przypatrywał się swojemu świadkowi.

- Co wywołała kontrowersja pomiędzy porucznikiem Tysonem a francuskojęzycznym lekarzem? - zapytał wreszcie.

- Porucznik Tyson uderzył go w twarz.

Oskarżyciel kiwnął w zamyśleniu głową, jakby już gdzieś o tym słyszał wcześniej. Pamiętając, że zarówno Picard, jak i Farley tłumaczyli zachowanie Tysona zdenerwowaniem, kontynuował przesłuchanie.

- Czy mógłby pan opisać własnymi słowami, co zdarzyło się potem, jak porucznik Tyson uderzył lekarza? Niech pan opowiada spokojnie, doktorze, proszę nam zrelacjonować dokładnie, co się zdarzyło, tak jak pan to pamięta z perspektywy czasu.

Brandt skrzyżował nogi i pochylił się do przodu w swoim krześle. Złożył razem koniuszki palców i przechylił nieco głowę na bok, tak jakby wsłuchiwał się z uwagą w słowa prokuratora. Ben miał wrażenie, że Doktorek za chwilę powie Pierce'owi, że sam był wtedy bardzo chorym człowiekiem. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Zaraz potem - mówił Brandt - Richard Farley wpakował lufę swego karabinu w brzuch lekarza, który zajęczał z bólu. Potem porucznik Tyson odwrócił się i rozkazał jednemu ze swych ludzi, Hernandowi Beltranowi, by ściągnął ze stołu operowanego pacjenta. Beltran wykonał rozkaz, dosłownie zrzucając rannego na ziemię. Dwóch ludzi położyło Petersona na stole. Następnie biała kobieta umieściła rurkę w gardle rannego i za pomocą urządzenia na pedał zaczęła aspirowanie krwi. Ale dla ustabilizowania ciśnienia Peterson potrzebowałby całkowitej transfuzji, a poza tym interwencji chirurgicznej w celu sprawdzenia, czy krew nie zebrała się w dole brzucha. Wydaje mi się, że pracownicy

szpitala, wiedząc, że i tak nic to nie da, pozorowali działania ratunkowe, by skończyć przykrą scenę.

Brandt rozejrzał się po wpatrzonych w niego widzach. Zatrzymał wzrok dopiero na witrażach, przez które już od dłuższego czasu nie wpadało światło. Jakby w tej właśnie chwili uświadomił sobie, że od samego rana składa zeznania, zapadł się nieco w krzesło. Potem odchrząknął i mówił dalej:

- Kiedy Peterson znalazł się już na stole, porucznik Tyson zaczął wydawać rozkazy dotyczące innych spraw. Po pierwsze, chciał, i bardzo słusznie, by przeszukać szpital w celu sprawdzenia, czy znajdują się w nim obcy żołnierze. Rozkazał, by przeszukano po kolei wszystkie pokoje,

- Przepraszam przerwał pułkownik. - Komu wydał ten rozkaz? Kto pozostał w sali operacyjnej? Czy mógłby pan opisać rozlokowanie plutonu?

- Do szpitala dotarło dziewiętnastu naszych ludzi. Jak już mówiłem, z plutonu pozostały resztki. Trudno też określić, kto gdzie się znajdował. Żołnierze wchodzili i wychodzili, składali pospieszne raporty porucznikowi Tysonowi. W składzie plutonu nie było już sierżanta, który mógłby ludziom wydawać rozkazy i dopilnować ich wykonania poza Paulem Sadowskim dopiero co awansowanym i nie mającym żadnego doświadczenia. W plutonie nie było praktycznie żadnej hierarchii ani podziału ról. Ale wreszcie chyba dwunastu mężczyzn znalazło się w sali operacyjnej. I właśnie wtedy porucznik Tyson próbował jakoś ich zorganizować. Oni nie bardzo byli do tego przyzwyczajeni. Wszyscy kręcili się, potracali pacjentów i personel. Niektórzy żołnierze nie mieli kontaktu z... innymi ludźmi prawie od roku. Sprawiali wrażenie dzikusów. Tak przynajmniej ja to odbierałem. W każdym razie na pewno zachowywali się nieodpowiednio do sytuacji.

Ostatnie stwierdzenie zainteresowało wyraźnie oskarżyciela.

- Czy to wywoływało jakieś zatargi pomiędzy żołnierzami a personelem szpitala?

- O tak. Zdarzyło się kilka incydentów.

- Czy porucznik Tyson starał się wpłynąć na zachowanie swoich ludzi?

- Nic takiego nie widziałem ani nie słyszałem. Obiecał im pewne przyjemności, a potem rozpuścił. Ale jak już stwierdziłem, większość żołnierzy kierowała się w stronę sali operacyjnej, gdzie był już ich dowódca. Któryś z nich złożył raport, że na sąsiednim oddziale leży sześciu czy siedmiu rannych żołnierzy armii północnowietnamskiej; Znalaziono ich zakrwawione mundury i widocznie jakoś nasi żołnierze dopasowali ubrania do właścicieli, a może jeszcze coś innego wskazywało, którzy z pacjentów są żołnierzami nieprzyjaciela.

- I w tym czasie w sali operacyjnej było dwunastu ludzi?

- Tak. I jeden z nich zaczął się kłócić z lekarzem, który mówił po angielsku. Potem Beltran zawołał, że Peterson nie żyje. Wtedy porucznik Tyson wydał rozkaz zabicia żołnierzy nieprzyjaciela znalezionych w szpitalu. - Brandt z całą świadomością dramatyzmu chwili przerwał relację.

- Słyszał pan, jak wydawał rozkaz? - zapytał Pierce.

- Tak. Stał zaledwie o parę metrów ode mnie.

- Czy przypomina pan sobie, w jakiej formie rozkaz był wydany?

- Nie co do słowa. To była raczej odpowiedź na raport, że odkryto tych ludzi. Porucznik Tyson powiedział po prostu coś w rodzaju: „Zastrzelić ich”.

- Miał na myśli żołnierzy nieprzyjaciela?

- O nich była mowa, tak.

- Czy ktoś poszedł wypełnić rozkaz?

- Tak, kilku mężczyzn, i po chwili usłyszeliśmy pięć czy sześć strzałów. A prawie natychmiast również wystrzał z karabinu maszynowego w pomieszczeniu, gdzie się znajdowaliśmy. Odwróciłem się, anglojęzyczny lekarz leżał na podłodze krwawiąc. Nie wiem, kto do niego strzelał ani dlaczego. Przykucnąłem, chowając się za stołem operacyjnym. Usłyszałem jeszcze dwa głośne strzały, dopiero później dowiedziałem się, że ktoś zastrzelił dwóch wietnamskich pacjentów leżących w pokoju obok. Kiedy przechodziłem przez oddział, widziałem ich z kulami w głowach. Muszę przyznać, że z miejsca, gdzie się schowałem, mało co było widać. Na początku nie miałem pojęcia, kto strzela. Przemknęło mi nawet przez myśl, że to nieprzyjaciel. Ale już po chwili, po zachowaniu naszych żołnierzy zorientowałem się, że to niemożliwe. Nikt nie krzyknął „kryj się” ani nie odpowiedział ogniem. Potem ktoś rozkazał wszystkim pracownikom szpitala wejść do pomieszczenia sąsiadującego z salą operacyjną. Pacjenci zostali na stołach.

- A co w tym czasie robił porucznik Tyson?

- Chyba po prostu nic. Miał karabin przewieszony przez ramię, palił papierosa i rozmawiał ze swoim radiooperatorem, Kellym. Można powiedzieć, że zapanował pełen chaos. W całym szpitalu słychać było strzały. Słyszałem ludzi krzyczących po wietnamsku. Większość żołnierzy naszego plutonu wybiegła z sali, dołączając do reszty, która rozpierzchła się po szpitalu. W pewnej chwili porucznik Tyson, Kelly i ja zostaliśmy sami. Tyson zachowywał się, jakby nie potrafił ruszyć się z miejsca, by pójść zobaczyć, co się dzieje.

- Czy w tym czasie odzywał się pan do niego?

- Tak. Powiedziałem, że zabijają wszystkich.

- Co odpowiedział?

- Że musi pójść sprawdzić. Wydawał się kompletnie niezainteresowany... jakby nieobecny. Wyszli z Kellym, znowu zobaczyłem go dopiero, kiedy wszyscy zebraliśmy się przed szpitalem.

- Wróćmy do chwili, kiedy jego ludzie złożyli raport o odkryciu północnowietnamskich żołnierzy. Ilu przyszło z tą informacją?

- Dwóch, może trzech.

- Czy któryś z nich zasugerował, co powinno się zrobić w takiej sytuacji? Czy prosili o instrukcje?

- Jeden z nich, to był sierżant Sadowski, zameldował porucznikowi, że zostawili żołnierzy nieprzyjaciela pod strażą. Wtedy porucznik Tyson powiedział: „Zastrzelić ich”.

- Czy użył właśnie takich słów?

- Tak. Powiedział: „Zastrzelić ich”.

Pułkownik rozpoczął serię pytań, mających na celu utrwalenie wydarzeń w sali operacyjnej. Starał się ustalić relacje czasowe, w jakiej odległości od siebie stali poszczególni ludzie. Ale Brandt nie umiał wyjaśnić tych wszystkich szczegółów, co zdaniem Tysona było mądrą grą, gdy przedstawiało się dość chaotyczny incydent sprzed osiemnastu lat. Ben zauważył również, że zeznania doktora nie pokrywają się dokładnie ze słowami Farleya. No i nie powinny. Wierna relacja wywołałaby podejrzenia. Pomyślał o własnych pięciu świadkach i identycznej opowieści, którą mieli przedstawić, i nagle zdał sobie sprawę, że oni nie mogą zeznawać. Brandt i Farley odchodzili od prawdy tylko wtedy, gdy chcieli obciążyć winą Tysona. Natomiast Beltran, Sadowski, Kalane i Walker musieliby opowiedzieć o wydarzeniu, które w ogóle nie miało miejsca. Kiedy Brandt po raz trzeci powrócił do sali operacyjnej, Ben pochylił się w stronę Corvy.

- Nie mamy świadków obrony - powiedział.

- Nigdy ich nie mieliśmy - odparł adwokat. - Porozmawiamy o tym dziś wieczorem.

Oskarżyciel nareszcie pozwolił wyjść świadkowi ze szpitala na zalany deszczem dziedziniec. Wydawało się, że wszyscy w kaplicy odczuli ulgę, gdy uwolniono ich spod ognia karabinów i pozwolono odetchnąć w strugach spokojnego deszczu.

- A więc zgromadziliście się na dziedzińcu - powiedział Pierce.

- Tak. Wtem Kelly, radiooperator porucznika Tysona, zobaczył, że ktoś usiłuje się wydostać z płonącego budynku przez okno. Strzelił do tej kobiety, a ona spadła na ziemię. Następnie porucznik Tyson rozkazał dwóm oddziałom obstawić oba skrzydła budynku.

- Dlaczego?

- Kazał strzelać do każdego, kto będzie próbował uciec. Ja pozostałem razem z nim i Kellym oraz obsługą karabinu maszynowego na dnieńcu.

Ben spojrzął na zegarek. Było już po ósmej. Vince musi być głodny, pomyślał. Ławki nadal wydawały się pełne, ale niektórzy ludzie wychodzili, a na ich miejsce żandarmeria wpuszczała tych, którzy czekali na zewnątrz. Zdawało się, że oczekujących na wejście jest nieskończenie dużo, co uznał za interesujące.

- Czy chciałby pan odpocząć? - zapytał pułkownik.

- Nie. Czuję się dobrze.

- Jeśli sąd nie sprzeciwia się - Pierce zwrócił się do Sproule'a - chcielibyśmy kontynuować.

- Świadek może zeznawać do dwudziestej drugiej - powiedział sędzia - potem odroczyliśmy rozprawę.

Oskarżyciel odwrócił się znowu do Brandta.

- Mówił pan, że porucznik Tyson nadał fałszywy raport do dowódcy kompanii, kapitana Browdera.

- Tak. Zameldował, że mieliśmy kontakt z nieprzyjacielem i że zdobyliśmy duży budynek rządowy. Opowiedział o czymś, co się w ogóle nie zdarzyło. W tym czasie oddalaliśmy się od płonącego szpitala.

Pułkownik, ku zdziwieniu zebranych, podszedł szybko do miejsca dla świadków.

- Jakie nastroje panowały w bunkrze? - zapytał.

- Przygnębienie. Mieliśmy ze sobą ciała dwóch naszych ludzi: Petersona i Cane'a. Niektórzy palili marihuanę, porucznik Tyson puścił w obieg butelkę szkockiej. Kilku żołnierzy grało w karty. Porucznik pragnął, by jego ludzie zrozumieli, że wszyscy zgodziliśmy się ukryć incydent. Rozmawiał z każdym po kolei, instruując, co należy mówić. Potem pogratulował im dobrze wykonanej roboty. A wreszcie nawet złożył gratulacje jednemu z nich to był Scorello - z powodu użycia granatu z fosforem do podpalenia szpitala. Powiedział coś, że nie zostawili żadnego fizycznego dowodu. Policzył nawet ciała.

- Czy porucznik Tyson wspomniał, dlaczego zadaje sobie tyle kłopotu, by sfabrykować tę bajeczkę? Przecież mógł powiedzieć po prostu kapitanowi Browderowi, że w budynku był snajper, więc nie zbliżaliście się do niego.

- Tak. Powiedział, że zabrało to nam za dużo czasu. Nie zameldował się we właściwym czasie Browderowi. Poza tym mieliśmy się zameldować tam, gdzie zgromadzona była reszta kompanii, przed zmrokiem. A porucznik nie chciał, by jego ludzie w takim stanie, w jakim byli, spotkali się z innymi chłopakami. A więc zameldował, że nadal przebywamy w wiosce An Ninh Ha i że spędzimy tam noc. Usłyszałem też, jak mówił do Kelly'ego, że nie zamierza wracać z dwoma zabitymi i jednym rannym, nie mając na swoim rachunku żadnych zabitych nieprzyjaciół. To nie było w jego stylu pokazać się przed zwierzchnikami od złej strony. A więc wymyślił historyjkę, dzięki której wyszedł na bohatera. Radiooperator Kelly złożył potem propozycję, żeby Tysonowi przyznano Srebrną Gwiazdę.

Pułkownik Pierce skoncentrował się na nocy spędzonej w bunkrze. Brandt, którego zeznanie było całkowicie beznamienne, teraz zaczął opisywać wszystko niezwykle emocjonalnie. Mówił o pełzającym świetle świec, mężczyznach prowadzących długie nocne rozmowy, rozbrzmiewającej wokół artylerii i płonącym Hue, którego zachodnia część oddalona była zaledwie o kilometr. Opisywał Tysona wymyślającego historię bitwy. Jego relacja stała się opowieścią o opowieści. Mówił o łkającym z bólu Moodym, któremu musiał zaaplikować morfinę. O tym, jak podawał innym ludziom środki uspokajające, a oni odmawiali wybierając marihuanę i szkocką podawaną im przez Tysona.

Zakończył swoją historię relacją o brzasku, kiedy mężczyźni wynurzali się z bunkra patrząc na płonące Hue, a ich ciemne sylwetki odcinały się na tle nieba.

Oskarżyciel pozwolił, by minęła długa chwila.

- Czy któryś z ludzi w bunkrze przejawiał skruchę?

- Kilku było naprawdę wstrząśniętych. Ale większość uwierzyła, że ludzie w szpitalu, gdyby mogli, wymordowaliby ich bez skrupułów. Powtarzali ciągle to samo.

Pułkownik przy pomocy Brandta zbadał stan psychiczny ludzi z pierwszego plutonu. Kiedy do dziesiątej brakowało zaledwie pięciu minut, zapytał swego świadka:

- Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek nad złożeniem meldunku o incydencie w szpitalu?

- Tak. Prawie każdego dnia mojego życia. Na początku nie miałem możliwości skontaktowania się z kimś, komu mógłbym złożyć raport. Ale wreszcie wysłano nas na dwudniowy odpoczynek na tyłach. Kiedy byliśmy w drodze do obozu, sześciu mężczyzn wzięło mnie na stronę i zagroziło, że jeśli cała historia wyjdzie na jaw, będą wiedzieli, że to ja doniosłem. Powiedzieli także, że i tak nikt mi nie uwierzy, ponieważ cała reszta przysięgnie, że nie było żadnej masakry. Mieli oczywiście rację. Biorąc pod uwagę czas,

miejsce i w ogóle warunki, jakie występowały w tamtym okresie, nie sądziłem, by mój meldunek mógł przynieść jakiegokolwiek korzyści. Choć oczywiście powinienem był to zrobić, i świadomość błędu prześladowała mnie przez lata. Kiedy więc zdarzyła się sposobność pomocy pisarzowi, Andrew Picardowi, w opisie incydentu, zgodziłem się na to. Myślałem, że książka okaże się najlepszą formą opowiedzenia o Szpitalu Miłosierdzia. Uznałem, że jeśli wojsko i rząd będą się chciały tym zainteresować, będą mogły przeprowadzić własne dochodzenie, opierając się na faktach ujawnianych w książce. Tak więc uczyniłem i dlatego tutaj jestem.

- Dziękuję, doktorze - powiedział Pierce i spojrzał w stronę Sproule'a, który zerknął na zegarek i skinął głową z satysfakcją.

- Sąd zarządza przerwę w rozprawie do godziny dziesiątej rano.

Steven Brandt podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. Minęło dwanaście godzin od chwili, gdy po raz pierwszy zajął miejsce dla świadków.

Rozdział 47

O dziesiątej rano w środę pułkownik Sproule obrzucił wzrokiem zebranych w kaplicy.

- Proszę wszystkich o spokój - oznajmił.

- Wszystkie strony sprawy, które były obecne na sali, kiedy sąd ogłosił przerwę, zebrały się - oświadczył pułkownik Pierce.

Wszyscy poza nim usiedli, a pułkownik zwrócił się w stronę Corvy.

- Czy obrona chce poddać świadka krzyżowemu ogniu pytań? - zapytał.

Adwokat odpowiedział nie wstając z krzesła:

- Tak.

Oskarżyciel zwrócił się do sierżanta stojącego na straży przy drzwiach i po dwóch minutach pojawił się Steven Brandt. Zajął miejsce dla świadków, po czym Pierce przypomniał mu, że nadal zeznaje pod przysięgą.

Brandt nieznacznie skinął ręką, przyjmując tę informację do wiadomości. Gest ten był niezupełnie odpowiedni wobec powagi sytuacji.

Tyson zapalił papierosa i oparł się łokciami o stół. Przyglądał się z uwagą twarzy Brandta, ale po świadku nie widać było zdenerwowania naturalnego przed krzyżowym ogniem pytań.

Wszystkie ławki były znowu zajęte, Ben zauważył nawet, że w większości ci sami ludzie zajmują te same miejsca, ale prawdopodobnie tak mu się tylko wydawało. Dziennikarze byli już ze sobą w zażyłych stosunkach, wyraźnie też zawarli znajomość z niektórymi żandarmami.

Corva przeglądał stenopis z zeznań złożonych poprzedniego dnia i nie wyglądało na to, by miał się podnieść czy podejść do Stevena Brandta, co świadka wprawiało w wyraźne zakłopotanie. Minęło kilka minut, wreszcie wstał Pierce.

- Wysoki sędzie, czy odpowiedź obrony była twierdząca? - zapytał pułkownika Sproule'a.

- Tak mi się wydawało - odparł sędzia i zwrócił się do Corvy. - Czy obrona ma zamiar brać świadka w krzyżowy ogień pytań, czy też nie?

Adwokat wstał.

- Tak, wysoki sędzie.

Obszedł naokoło stół, ruszył prosto w stronę Brandta i zatrzymał się dopiero tuż przed nim.

- Zastrzelić ich - powiedział.

Wydawało się, że Brandt cofnął się w krześle.

- Zastrzelić ich - powtórzył Corva. - Czy to właśnie powiedział?

- Tak.

- Do kogo to powiedział?

- Do... Sadowskiego.

- A co odpowiedział Sadowski?

- „Tak jest, sir”.

- A jakie słowa Sadowskiego spowodowały wydanie rozkazu „Zastrzelić ich”?

- Powiedział: „Znaleźliśmy rannych i chorych żołnierzy armii północno wietnamskiej”.

- I co na to odpowiedział porucznik Tyson?

Oskarżyciel zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw, wysoki sędzie, obrona dręczy świadka.

- Sprzeciw przyjęty.

- I sierżant Sadowski wyszedł i zastrzelił ich?

- Tak.

- Widział pan, jak do nich strzelał?

- Nie.

- To skąd pan wie, że to zrobił?

- Słyszałem strzały.

- I stąd pan wie, że Sadowski ich zastrzelił?

- Nie... mówiło się o tym później.

- Kto mówił?

- Nie pamiętam.

- Może Kalane?

- Może on.

- A nic Walker?

- Nie, chyba...

- Sprzeciw. - Pierce znowu zerwał się z krzesła. - Obrona dręczy świadka.

- Podtrzymany. Panie Corva, prosiłbym pana...

- Tak jest, wysoki sędzie. - Adwokat znowu spojrzał prosto w oczy Brandtowi. - Co takiego pan powiedział do porucznika Tysona, kiedy ten polecił sierżantowi Sadowskiemu „Zastrzelić ich”?

- Nic.

- Czy uważał pan, że rozkaz, jaki wydał porucznik Tyson, był niezgodny z prawem?

- Tak.

- I nic pan nie powiedział?

- Byłem tylko sanitariuszem.

- Tylko sanitariuszem. Czy powiedział pan porucznikowi Tysonowi, że rana Petersona jest śmiertelna?

- Tak.

- Dlaczego więc pana nie słuchał?

- Nie wiem.

- I powiedział mu pan również, że gdyby przyleciał helikopter służb medycznych, mógłby uratować Petersonowi życie?

- Tak.

- To dlaczego pan nie skorzystał z jednego z dwóch nadajników radiowych, które posiadał pluton, i sam go nie wezwał?

- To... to nie należało do moich obowiązków.

- Czy wiedział pan, jak obsługiwać radio?

- Nie.

- Nie uczyli pana obsługi radia podczas treningu w Forcie Sam Houston?

- Nie.

- Nie było zajęć z obsługi radia w Forcie Sam Houston?

- Nie. Tak.

- Dlaczego nie wezwał pan helikoptera?

- To nie był... Nie znałem częstotliwości.

- Jako członek obsługi sanitarnej plutonu nie znał pan częstotliwości radiowej helikopterów służby medycznej?

- Nie.

- Czy ktoś by ją panu podał, gdyby pan poprosił?

- Nie wiem.

- Czy prosił pan radiooperatora, żeby wezwał helikopter?

- Tak. Tak, zrobiłem to.

- Kto zastrzelił australijskiego doktora?

Świadek przez moment wydawał się wytrącony z równowagi nagłą zmianą tematu.

- Nie wiem.

- Jakiś Amerykanin?

- Tak.

- Powiedział pan, że nie wie.

- Nie widziałem, kto go zastrzelił.

- Kto strzelił do francuskiego lekarza?

- Nie wiem.

- Kopiec pogrzebowy był na środku pola ryżowego.

Brandt przesunął się na krześle, jakby zmuszony do tego kolejną, nagłą zmianą tematu.

- Tak.

- Gdzie można było przeprowadzić kontrolę osobistą bez naruszania prywatności?

- Nie wiem.

- Czy były wokół kopca jakieś krzaki lub drzewa?

- Tak mi się wydaje.

- Nie sady się żadnych roślin wokół wietnamskich kopców pogrzebowych. Jak pan przeszukiwałby tamtych ludzi?

- Nie wiem. Nie przeszukiwałbym w ogóle.

- Dlaczego?

- Nie było potrzeby.

- Był pan o dwieście metrów od tego miejsca?

- Tak.

- Czy Lany Cane zmarł natychmiast?

Brandt oblizwał wargi.

- Tak. Kula przeszła prosto przez serce.

- Mówił pan, że on był w sali operacyjnej.

- Tak.

- Nieżywy.

- Tak.

- Czy to pan go wniósł do sali?

- Ktoś go wniósł.

- Dlaczego?

- Ja... nie wiem.

- Dlaczego ktoś miałby wnosić trupa na górę po schodach?

- Nie wiem.

- Kto zabił Larry'ego Cane'a?

- Snajper.

- Nie zginął w szpitalu?

- Nie. Na zewnątrz.

- Po co był wnoszony na górę?

- Nie wiem.

- Czy porucznik Tyson kiedykolwiek pana uderzył?

- Nie.

- Czy podczas jakiejś wcześniejszej okazji nie uderzył pana w twarz na oczach całego

plutonu?

- Nie... kłóciliśmy się tylko, może popychaliśmy...

- Czy lubił pan porucznika Tysona?

- Tak.

- Czy on pana lubił?

Brandt odetchnął głęboko.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Dlaczego pan go lubił?

- Był dobrym dowódcą.

- Czy był dobrym dowódcą 15 lutego 1968?

- Nie.

- A dzień wcześniej?

Pierce wstał znowu.

- Wysoki sędzie, tego już naprawdę za wiele. Te pytania mają na celu zawstydzenie i zmieszanie świadka.

- Sprzeciw odrzucony - powiedział krótko Sproule. - Proszę kontynuować.

Corva ciągnął krzyżowy ogień pytań dalej, przeskakując z jednego tematu na drugi. Świadcowi wyraźnie nie podobała się taka forma pytań. Zaczął przeczytać samemu sobie, a potem udzielał wyłącznie odpowiedzi „Nie wiem” i „Nie pamiętam”. Wreszcie adwokat powiedział: „Zastrzelić ich”.

Brandt oblizwał nerwowo wargi.

- To był bezpośredni rozkaz do sierżanta Sadowskiego?

- Tak.

- Wiedział pan, że jest on bezprawny?

- Tak.
- Widział pan, jak Sadowski odchodzi, by wypełnić rozkaz?
- Tak.
- Czy Sadowski był sam?
- Nie.
- Kto był z nim?
- Nie pamiętam nazwisk.
- Ilu?
- Dwóch lub trzech.
- Usłyszał pan pięć lub sześć strzałów?
- Tak.
- Czy sierżant Sadowski albo ktokolwiek inny zameldował wykonanie rozkazu?
- Nie. Chyba tak... ktoś krzyknął: „Sprzątnięci”.
- O kogo mu chodziło, gdy użył słowa „sprzątnięci”?
- O sześciu czy siedmiu rannych żołnierzy nieprzyjaciela.
- Jest pan całkiem pewien?
- Tak.
- Kto rozpoczął strzelaninę w sali operacyjnej?
- Nie wiem.
- Jak długo przebywał pan z plutonem po piętnastym lutego?
- Jakiś miesiąc.
- I w tym czasie nie dowiedział się pan, kto strzelał w sali operacyjnej pełnej pacjentów, personelu i amerykańskich żołnierzy?
- Nie.

- Podczas wcześniejszych zeznań wskazał pan na Simcoxa.

- To mógł być on.

- I porucznik Tyson nie zareagował na to?

- Nie.

- I oczekuje pan, że ktokolwiek w to uwierzy?

- Sprzeciw! - Pierce był purpurowy. - Wysoki sędzie.

- Sprzeciw przyjęty. Panie Corva, to ostatnie ostrzeżenie dla pana.

- Tak jest, wysoki sędzie. Panie Brandt, mówił pan, że to porucznik Tyson wymyślił historię mającą być zasłoną dla masakry.

- Tak.

- Powiedział pan, że pan również ją potwierdził.

- Nie. Nigdzie jej nie potwierdziłem.

- A więc zameldował pan o masakrze?

- Nie.

- Dlaczego?

- Zabiliby mnie.

- Kto?

- Mężczyźni z plutonu.

- Sądzi pan, że przełożeni wysłaliby pana z powrotem do plutonu po tym, jak oskarżył pan jego członków o masowe morderstwo?

- Ja... nie wiem, co by zrobili...

- Naprawdę? Przypuszczał pan, że otrzyma rozkaz powrotu do plutonu oskarżonego o masowe morderstwo?

- Myślałem, że zwierzchnicy mogą mi nie uwierzyć albo spróbują zatuszować sprawę.

- Naprawdę? - Adwokat zerknął w stronę sędziów, a potem przeniósł ponownie wzrok na świadka. - Ale kiedy powrócił pan do Stanów w maju 1968 roku, to złożył pan raport w

sprawie incydentu?

- Nie.

- Czemu?

- Ja... chciałem o nim zapomnieć.

- Powiedział pan przecież, że ta sprawa pana męczyła.

- Tak.

- Którego właściwie z żołnierzy widział pan podczas popełniania morderstwa wtedy w szpitalu?

- Nie jestem pewien.

- Może pan podać jakieś nazwisko?

- Nie. No może poza Beltranem. Widziałem, jak strzelał do tego rannego, którego ściągnął ze stołu operacyjnego.

- Czy porucznik Tyson to widział?

- Tak.

- Czy podjął jakąś akcję przeciwko Beltranowi?

- Nie.

- Panie Brandt, przysłuchiwałem się pańskim zeznaniom wczoraj przez dobre kilka godzin i jeśli pańska opowieść przypomina w czymkolwiek wcześniejsze pana słowa, to jedynie we fragmentach dotyczących porucznika Tysona. Pozostali uczestnicy incydentu byli wielokrotnie opisywani jako wykonujący szereg różnych czynności, które mogliby zrobić tylko pod warunkiem, że byliby w dwóch miejscach naraz. Zdaję sobie sprawę, że od czasu omawianego incydentu minęło wiele lat, i nie oczekuję ani od pana, ani od nikogo innego, by pamiętał dokładnie, gdzie kto chodził ani nawet nazwiska tych dziewiętnastu żołnierzy, którzy tam byli. Jednak wszystkie pańskie relacje w jednym są zgodne. Umiejscawia pan porucznika Tysona w pobliżu stołu operacyjnego, gdzie pozostaje on prawie przez cały czas. Czy ten opis dokładnie oddaje aktywność porucznika Tysona?

- Tak. Przez cały czas pozostawał w sali operacyjnej.

- I prawie nic nie mówił?

- Nie. Wydał tylko kilka rozkazów.

- Na przykład jakich?
- Takich jak „Zastrzelić ich”.
- I nie usiłował powstrzymać masakry?

- Nie.

- Czy brał w niej udział lub przyczyniał się do niej?

- Tak. Przez milczenie.

- Czy choć raz wystrzelił?

- Nie widziałem.

- Po prostu stał?

- Tak.

- I nie próbował nikogo powstrzymać?

- Tak.

- Stał ze swym radiooperatorem i palił papierosa.

- Tak.

- A pan stał w tym samym pomieszczeniu?

- Tak.

- Czy obawiał się pan o własne życie?

Świadek zawahał się.

- Czy dlatego właśnie nic pan nie robił?

- Tak.

- Czy porucznik Tyson obawiał się o swoje życie?

- Nie wiem.

- Czy żołnierze przekroczyli granice wydanego rzekomego rozkazu strzelania do rannych nieprzyjaciół?

- Tak. Strzelali do każdego.
- Czy porucznik Tyson rozkazał im strzelać do każdego?
- Nie słyszałem, by wydał taki rozkaz. Tylko ten pierwszy.
- Czy pierwszy rozkaz zdziwił pana?
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Porucznik był wściekły.
- Na kogo?
- Na personel szpitala.
- I dlatego rozkazał zastrzelić rannych nieprzyjaciół?
- Tak.
- Ale nikogo innego?
- Nie słyszałem, by kazał strzelać do kogoś innego.
- Czy ktoś groził porucznikowi Tysonowi?
- Nie.
- Nikt nie wymierzył do niego z karabinu?
- Nie.
- I nikt go nie uderzył?
- Nie.
- Co się stało, kiedy pracownicy szpitala otrzymali rozkaz przejścia do sąsiedniego pomieszczenia?
- Zeznawałem już, że ktoś wrzucił tam granat z białym fosforem.
- Beltran?
- Tak.

- Poprzednio mówił pan, że nie pamięta kto.

- Naprawdę? Teraz pamiętam.

- Tak?

- Tak. To był Beltran.

- Beltran obsługiwał karabin maszynowy. Zajął z karabinem miejsce przy oknie.

- Tak.

- Czy obsługa karabinu maszynowego nosi granaty?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Czy porucznik Tyson opuszczał salę operacyjną podczas rzekomej masakry?

- Tak. Pod koniec. Nie widziałem go już do chwili, kiedy wszyscy zebraliśmy się na zewnątrz.

- A gdzie pan był?

- W sali operacyjnej. Przez cały czas.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałem, gdzie pójść.

- Dlaczego nie wyszedł pan z budynku?

- Pewnie tak powinienem był zrobić.

- Porucznik Tyson usiłował zmusić personel szpitala do posłuszeństwa jego rozkazom?

Brandt zawahał się, a potem powiedział:

- Nie wiem.

- Czy troszczył się o Arthura Petersona?

- Nie wiem.

- A pan?

- Oczywiście. To była moja praca.

- Czy zrobił pan wszystko, co było do zrobienia dla Petersona?

- Nic nie można było zrobić.

- Tylko wezwać helikopter.

Pierce podniósł się znowu.

- Wysoki sędzie, to nie pan Brandt jest tu oskarżony.

Adwokat spojrział na Pierce'a, a potem na pułkownika Sproule'a.

- Sprzeciw podtrzymany - powiedział sędzia. - Panie Corva... pańska linia prowadzenia przesłuchania jest znieważająca dla świadka.

- Wysoki sędzie, moje pytania dotyczące Arthura Petersona są konsekwencją całkowicie niepotrzebnej uwagi, jaką poczynił świadek podczas wczorajszych zeznań.

- Być może. Ale wydaje się, że już pan wykazał to, o co panu chodziło.

- Ja też tak sędzę, wysoki sędzie.

- Sprzeciw podtrzymany. Proszę kontynuować, panie Corva.

Tyson przysłuchiwał się kolejnym pytaniom swego adwokata. Brandt nie radził sobie z nimi najlepiej. Vince wracał po kilka razy do tych samych spraw, ale za każdym razem inaczej zadawał pytanie i dzięki temu otrzymywał różniące się odpowiedzi. Potem zbierał je i przedstawiał świadkowi, który wydawał się coraz bardziej wytrącony z równowagi.

- Czy pan kogoś zastrzelił? - spytał Corva po prawie dwóch godzinach krzyżowego ognia pytań.

- Nie.

- Czy widział pan, jak Richard Farley do kogoś strzelał?

- Nie.

- Czy widział pan, jak Larry Cane do kogoś strzelał?

- Nie.

- Larry Cane nie żył, panie Brandt.

Pierce zerwał się w chwili, gdy adwokat stwierdził:

- Nie mam dalszych pytań, wysoki sędzie.

Pułkownik Sproule w prawie widoczny sposób westchnął z ulgą.

- Sąd ogłasza przerwę do godziny trzynastej - powiedział.

Ben Tyson wyglądał przez okno na drugim piętrze kwater kawalerskich.

- Co myślisz? - zapytał Corvę.

Vince rozciągnął się na kanapie i ziewnął.

- Uważam, że sędziowie zaczęli mieć poważne wątpliwości, czy wydałeś rozkaz strzelania do wietnamskich żołnierzy.

Z okien widać było klub oficerski znajdujący się kilkaset metrów dalej. Tyson zobaczył grupę ludzi w mundurach, wydało mu się, że znowu zebrał się skład sędziowski. Potem dostrzegł Brandta, obok Pierce'a, Weinroth i Longa. Zazdrościł im wolności poruszania się. Na wybrukowanym dziedzińcu stała grupa cywilów, zorientował się, że to dziennikarze. W pobliżu muzeum zaparkowała ciężarówka ekipy telewizyjnej, dwóch mężczyzn trzymało kamery.

- Co w tym takiego fascynującego?

- W czym?

- Sprawozdania prasowe. Ludzie za bramą. Widzę stąd główną bramę. Nagłówki w gazetach. Nagłówki. Muszą przecież dziać się jakieś ważniejsze rzeczy za tymi bramami.

- Nie bądź taki skromny. - Adwokat znowu ziewnął.

- Co z drugim zarzutem, że masakra wydarzyła się, ponieważ nic nie zrobiłem, by jej zapobiec?

- Także został podany w wątpliwość. Myślę, że sędziowie zrozumieli, że oddział zbuntował się i nie byłeś już w stanie nim dowodzić. - Corva usiadł na kanapie. - Ale nie mogę zmusić Brandta, by mi w tym pomógł. Na miejscu sędziów miałbym mnóstwo pytań. A to stanie się po lunchu.

- Właśnie. No, ale mamy jeszcze ukrywanie masakry.

- Tak. Chciałbym jakoś z tego wybrnąć.

- Możemy powiedzieć, że masakra przez lata mnie nawiedzała tak samo jak Brandta.

Miałem zamiar ją zgłosić, ale z różnych powodów odwlekałem to.

- Możemy tak powiedzieć - Vince wstał. - Dalej, otwieraj lodówkę.

Ben znalazł w niej brązową torbę i dwie puszki piwa.

- Co dzisiaj mamy?

- Chińskie żarcie. - Adwokat sięgnął po torbę i zaczął ją opróżniać.

- Vince, to jest zimne.

- No to co? - Corva wyciągnął z dna torby plastikowe widelce.

- Czy myślisz, że sędziowie uznają mnie za winnego tylko dlatego, że ukrywałem całą sprawę.

- Obawiam się, że tak. - Corva nałożył jedzenie na plastikowe talerzyki. - Proszę.

Tyson sięgnął po piwo.

- Tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem książkę Picarda, jadłem chińskie potrawy - powiedział.

- Naprawdę?

- To było bardzo dawno temu.

- Ale już zaraz koniec, Ben. - Vince pokroił na plasterki jajko *foo yung*.

- Przez całe lata po powrocie z Wietnamu nie mogłem jeść ryżu.

- Ja też nie.

Tyson stał wciąż przy oknie, adwokat jadł.

- Dobrze sobie radziłeś z Brandtem - stwierdził Ben.

- Dzięki. Tak się właśnie traktuje wygadanego świadka. Nie pozwalasz mu za dużo gadać. I tak już wszyscy mają dość jego bajd. Protokolant patrzył na niego wczoraj morderczym wzrokiem.

- Nie spodziewałem się, że aż tak się będzie sypał. - Tyson uśmiechnął się.

Corva łyknął trochę piwa.

- Nie mógłbym tak się bawić z Farleyem. Ale Sproule zostawił mi wolną rękę, jeśli

chodzi o cudownego Doktorka.

- Myślę, że podrzuciłeś także kilka pytań sędziom.

- Chyba tak. Zobaczymy, jak sobie z nim poradzą.

- Nie chcesz za bardzo się wgłębiać w sprawę Larry'ego Cane'a?

- Nie. Zaprzeczyłby. - Vince wpakował do ust łyżkę pełną ryżu. - Chcesz spróbować?

- Jest zimne.

- To prawda. Więc, co myślisz? O naszych pięciu świadkach?

- Nie mogą stanąć w sądzie i opowiedzieć historii o potyczce, prawda? - Ben usiadł naprzeciwko adwokata.

- Tak mi się wydaje.

- Osiemnaście lat temu dla Browdera i dowództwa batalionu to była niezła historia. Ale dziś już nie wypali.

- Nie - zgodził się Corva. - I nawet nie powinniśmy nią strzelać. - Spojrzał na Tysona. - Mamy problem.

- Tak, wiem. - Ben zapalił kolejnego papierosa. - Czy Sadowski, Scorello, Walker, Kalane lub Beltran zajmą miejsce dla świadków i zeznają prawdę na temat masakry? I potwierdzą, że nie wydawałem rozkazu zabijania? I że zastrzeliłem Cane'a w celu powstrzymania masakry? Że moje życie było w niebezpieczeństwie? Że oddział zbuntował się? I że ukrywanie całej tej historii nie było moim pomysłem?

Vince wytarł usta papierową serwetką.

- Tego właśnie staram się dowiedzieć. Rozmawiałem z każdym z adwokatów, ale nie bardzo chcą współpracować. Od chwili gdy zaczęła się rozprawa, każdy z twoich żołnierzyków przemyślał, jak traktować zasadę „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

- Naprawdę?

- Powiadam ci, Ben, zanim ta sprawa się skończy, każdy z nich się ciebie zaprze.

Tyson przez chwilę popijał piwo i nic nie mówił.

- Twierdzisz, że nie będą zeznawali na moją korzyść?

- Jeszcze się nad tym zastanawiają. Widzisz, mają wątpliwości w sprawach

nietykalności, krzywoprzysięstwa i piątego przykazania. Ale tak naprawdę chodzi o to, że żaden z tych mężczyzn nie chce stanąć na miejscu dla świadków i odpowiadać na pytanie, czy mordowali ciężarne kobiety i niemowlęta albo czy strzelali do lekarzy i pielęgniarek. A tak przy okazji, kto zabił te niemowlaki?

- Scorello. Ręcznym granatem fosforowym.

Adwokat pokręcił głową.

- A co tak naprawdę robił Brandt?

- Właściwie dość wiernie to przedstawił. Nic. Był jak sparalizowany. Wierzył, że jego zabiją również.

- Lekarze są zawsze podejrzani, prawda? - Corva znowu sięgnął po ryż. - Nigdy nie wciągną się do końca w psychotyczny krąg. Lekarze, służba zwiadowcza, kapelani, obserwatorzy... pojawiali się od czasu do czasu... patrzyli na nas jakoś tak dziwnie, prawda? Jakbyśmy byli obwoźnym szpitalem wariatów, gdzie pacjenci są uzbrojeni po zęby. Nie mogli się doczekać powrotu do obozu. A kiedy odjeżdżali, nabijaliśmy się z nich. Ale wiesz co? To jednak my byliśmy szurnięci.

Ben skończył piwo.

- No i jak widać, okazało się, że pluton miał nosa co do Brandta. Powinni się byli go pozbyć.

- Tak jak pozbyli się tych ludzi w szpitalu - powiedział Vince. - Wiedzieli, że nie mogą po prostu zastrzelić parę osób i odejść jakby nigdy nic.

- Nie. To była cywilizacja, więc zniszczyli ją.

Obaj przez jakiś czas milczeli. Zadzwoił telefon, adwokat odebrał go. Słuchał przez dobrą minutę.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Informuj mnie na bieżąco. - Odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Tysona. - To moje biuro. Wciąż rozmawiają z opornymi adwokatami naszych świadków.

- I?

- Nie wiem. Wszyscy mają bardzo poważne powody, by nie narażać swoich klientów na składanie zaprzysiężonych zeznań i krzyżowy ogień pytań. Gdybyś ty znalazł się na ich miejscu, a ja byłbym twoim adwokatem, nie pozwoliłbym ci zeznawać.

- A co z przyjaciółmi broni, przysięgą na krew przy pełgających światłach i takimi tam?

- Powiedziałbym, że mój klient nic takiego nie pamięta. Powiedziałbym, że w drugiej połowie dwudziestego wieku, w kraju rządzonym przez prawników, można o takich sprawach zapomnieć. Powiedziałbym także, by zachować twarz, że jeśli rzeczywiście mój klient składał jakąś przysięgę, to chodziło o potyczkę zbrojną, a nie o masakrę. - Po chwili dodał: - Wciąż jeszcze prowadzimy z nimi rozmowy.

Ben milczał.

Corva głęboko westchnął.

- Czasami myślę, Ben, że im mniej się powie, tym lepiej. Czasami to obrona rozwiewa wątpliwości, które nieopatrznie zasiało oskarżenie. *Capice?*

- Chyba tak. Ale my nie za bardzo potrafimy się bronić.

- Oskarżenie też nie ma za mocnej pozycji. Muszę to jak najszybciej uświadomić sędziom.

- Czy chcesz mnie postawić na miejscu dla świadków?

- Jeszcze się zastanowię. Jeśli wymyślisz jakiś przekonujący powód, dla którego zlekceważyłeś masakrę, zawiadom mnie.

Znowu zadzwonił telefon. Vince odebrał go.

- W porządku, sierzancie. Proszę powiedzieć, żeby zaczynali bez nas. Odłożył słuchawkę i powiedział do Tysona: - Nie zaczną bez nas.

- Sąd zebrał się - ogłosił pułkownik Sproule.

Pierce poinformował, że wszystkie strony są obecne. Następnie sędzia zwrócił się do pułkownika Moore'a:

- W czasie przerwy poinformował mnie pan, że sędziowie mają pytania do świadka, Stevena Brandta.

- Tak jest, wysoki sędzie - potwierdził Moore.

- Proszę wezwać świadka - Sproule zwrócił się do Pierce'a. Oskarżyciel podszedł do sierżanta stojącego na straży. Kiedy po kilku minutach Brandt się nie pojawił, wysłano dwóch żandarmów, którzy mieli znaleźć zarówno jego, jak i sierżanta. Wreszcie Brandt pojawił się i zajął miejsce dla świadków.

- Świadka obowiązuje nadal przysięga - poinstruował go Pierce.

Brandt usiadł.

Pułkownik Sproule zwrócił się do sędziów:

- Miałem możliwość zobaczyć i usłyszeć pytania, które sędziowie pragną zadać świadkowi. Uznaję je za zasadne. - Następnie spojrzął kolejno na Pierce'a, Corwę i ponownie powrócił wzrokiem do pułkownika Moore'a. - Może pan zaczynać.

Pierwsze pytanie zadał porucznik Davis, najmłodszy członek składu.

- Doktorze Brandt, czy rozmawiał pan na temat incydentu w szpitalu ze swoim własnym przełożonym, to znaczy z dowódcą Piętnastego Batalionu Medycznego?

- Nie.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć dlaczego?

Świadek poprawił się na krześle i skrzyżował nogi.

- Już to mówiłem, bałem się.

- Uważa pan, że pański dowódca, lekarz, nie wykazałby zrozumienia dla pańskiej opowieści?

- Nie wiem - odparł Brandt.

- Te pytania nie będą się podobać naszemu Doktorowi - szepnął Vince.

Sędziowie zadawali pytania prawie przez godzinę. Dla Bena było jasne, że Steven Brandt nie zyskał sobie ich sympatii. Głównie chcieli się dowiedzieć, dlaczego ówczesny sanitariusz nie zameldował o masakrze i czemu wyskoczył z tą rewelacją po tylu latach. Interesowały ich również stosunki między Tysonem i innymi ludźmi z jego plutonu. Ale niewątpliwie wierzyli w historię masakry, choć mieli wątpliwości co do szczegółów. Lecz szczegóły były nie do uchwycenia. Wreszcie pułkownik Moore zadał ostatnie pytanie:

- Powiedział pan poprzednio, że na jakiś czas przed incydentem poróżnił się pan z porucznikiem Tysonem.

- Tak.

- Mówił pan o bójce.

- Tak.

- Kto kogo bił?

- Porucznik Tyson mnie.

- Czy upadł pan na ziemię?

- Tak.

- Czy zgłosił pan formalną skargę?

- Nie.

- Czy mógłby pan nam powiedzieć, na jakim tle doszło do poróżnienia?

- Nie pamiętam.

- Czy czuł pan żal do porucznika?

- Nie.

- Czy rozmawiał pan na temat incydentu w szpitalu z porucznikiem Tysonem?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ to on ukrywał incydent.

- Czy rozmawiał pan na ten temat z kimkolwiek? Z kimkolwiek w wojsku lub potem w cywilu?

- Nie. Do chwili rozmowy z Andrew Picardem.

- Czy po spotkaniu z Andrew Picardem komunikował się pan w sprawie incydentu z jakąkolwiek agencją rządową?

- Nie.

- Czy w takim razie władze wojskowe kontaktowały się z panem w sprawie incydentu?

- Tak.

Pułkownik Moore rozejrzał się po pozostałych członkach ławy, sprawdzając, czy ktoś chce jeszcze zadać jakieś pytanie. Dla Tysona ta scena wyglądała tak, jakby pięć osób jednocześnie pokręciło z wyraźnym niesmakiem głowami.

- Dziękuję - powiedział pułkownik Sproule i powtórzył jeszcze raz, że sędziom nie wolno poza salą dyskutować na temat sprawy.

Ben popatrzył w stronę stołu, za którym siedzieli Pierce, Weinroth i Longo. Nie wyglądali już na tak zadowolonych z siebie jak po pierwszym dniu zeznań Brandta, ale nie byli również zmartwieni. Właściwie, jego zdaniem, sprawiali wrażenie ludzi, którzy uważają, że najgorsze jest już poza nimi. Że koniec jest bliski, a oni dobiegają do mety, podczas gdy przeciwnik dopiero minął linię startu.

- Świadek może odejść - sędzia poinformował Brandta.

Brandt wstał i spokojnym krokiem opuścił salę.

- Czy oskarżenie chce wezwać kolejnego świadka? - pułkownik Sproule zwrócił się do Pierce'a.

- Nie, wysoki sędzie - odparł oskarżyciel.

- Sąd zarządza przerwę. Zbierzemy się ponownie jutro o godzinie dziesiątej.

Tyson i Corva szli ścieżką prowadzącą do kwater kawalerskich.

- Kiedy będziemy wiedzieli, czy mamy świadków obrony? - zapytał Ben.

- Mam nadzieję, że dziś wieczorem. Może będę musiał poprosić o odroczenie sprawy.

- To takie prawnicze ple ple na zyskanie czasu.

- Właśnie.

- Nie chcę zyskiwać na czasie.

- Ja również nie. Ale pewna zwłoka jest mi potrzebna.

- Nie. Chcę być w sądzie jutro.

- Porozmawiamy jeszcze o tym później.

Przebiegli ścieżką trawnik. Słońce zachodziło za ceglane budynki, rzucając długie cienie.

- Nocami robi się już zimno - zauważył Vince. Spojrzał na Tysona. - Idziesz do domu?

- Tak. Chcę się przez chwilę zobaczyć z Davidem. Marcy nadal próbuje pracować i idzie wieczorem na kolację z klientem. Wiesz, jak to jest. Jak kuglarka przemienia się z matki i pani domu w profesjonalistkę, a na dodatek spędza sześć do dwunastu godzin w sądzie.

- No już, już. - Adwokat zerknął na zegarek. - Będę do późna pracował. Wpadnij około

dziesiątej, to się napijemy.

- Gdzie odeszli wszyscy żołnierze, Vince? - zapytał Ben.

- Na ich miejsce przyszli prawnicy - odparł Corva.

Rozdział 48

Ben Tyson i Vincent Corva siedzieli przy stole obrony. Tyson spojrział na zegarek, była za dziesięć dziesiąta. Widzowie zajęli już swe miejsca, oskarżyciele także. Sędziowie usadawiali się.

- Wiem, jak się musisz czuć - powiedział Corva.

- Nie czuję się zdradzony - odparł Ben zapalając papierosa. - Nie czuję się źle. Cokolwiek tych pięciu ludzi mogło powiedzieć, nic by tu nie zmieniło.

- Wszyscy oni obiecali, że złożą nie zaprzysiężone zeznania, jeśli zostaniesz uznany za winnego. Wydaje mi się, że w takim procesie jak ten ważniejsza od głównej rozprawy jest rozprawa dotycząca okoliczności łagodzących.

- Jeśli od niej będzie zależało, ile mam spędzić czasu w więzieniu, to na pewno.

Adwokat kiwnął głową.

- Jest szansa, że uznają cię za niewinnego - dodał.

Tyson nie odpowiedział.

- Jak widzisz, żaden ze świadków obrony nie stawił się na sali. Może jednak wolałbyś odroczyć rozprawę? - zapytał Vince.

- Nie. Świadek obrony siedzi koło ciebie - powiedział Ben.

Corva zaniemówił na kilka sekund. Wpatrywał się w sędziów wymieniających po cichu uwagi.

- W tego typu sprawach niezwykle rzadko się zdarza, by oskarżony występował w

swojej własnej obronie - powiedział.

- Mówiłeś wczoraj, że mogę mówić.

- Naprawdę tak powiedziałem?

- Tak.

Adwokat położył rękę na ramieniu Tysona.

- Posłuchaj, Ben. Jeśli podejdziesz do miejsca dla świadków i wygłosisz nawet krótkie oświadczenie, to będzie tak, jakbyś otworzył worek pełen węży.

Tyson milczał.

- Zastanawiałem się nad tym - ciągnął dalej Vince. - Wczoraj, po twoim wyjściu. Musisz zrozumieć, że jeśli złożysz oświadczenie pod przysięgą, Pierce podda cię krzyżowemu ogniovi pytań. Naprawdę przemagluje cię dokładnie. A kiedy on już skończy, jeszcze Sproule będzie miał prawo zadawać pytania z pomocą sześciu sędziów. Po tym całym szumie, jaki jest wokół twojej osoby, jeśli zdecydujesz się wystąpić publicznie, nie wypuszczą cię tak długo, jak im się będzie podobało. I choćbym próbował ograniczyć pytania, potrwa to co najmniej kilka dni. Rozumiesz?

Ben przytaknął.

- Wybór należy do ciebie. Możesz nic nie mówić. Takie jest twoje prawo i nikt tego nie wykorzysta przeciwko tobie ani w żaden sposób nie skomentuje.

Tyson przez kilka minut milczał. Sierżant stojący na straży przy drzwiach przemaszerował na środek pomieszczenia.

- Ale potem będę mógł złożyć oświadczenie?

- Tak. Jeśli zostaniesz uznany za winnego i wystąpisz o zmniejszenie kary. Ale mam nadzieję, że nie będziesz musiał skorzystać z tej możliwości. Wiem, że nie byłoby to przyjemne. Lecz zaufaj mi.

- Jasne.

- Proszę wstać!

Pułkownik Sproule podszedł do pulpitu i zatrzymał się za nim,

- Sąd zebrał się.

Pierce potwierdził obecność wszystkich stron. Sędzia zwrócił się do pułkownika

Pierce'a:

- Czy strona oskarżająca chce przedstawić w tej chwili jakieś dowody? - zapytał.

- Strona oskarżająca zakończyła prezentowanie swoich dowodów - oświadczył wstając pułkownik.

- Czy obrońca chce przedstawić w tej chwili jakieś dowody? - Sproule zwrócił się do Corvy.

- Nie - oświadczył adwokat wstając.

Po sali przeszedł szmer. Sędzia nie czekał spokojnie na uciszenie widzów. Gniewnie spojrzał w stronę ławek i publiczność zamilkła. Jeszcze raz spojrzał w stronę Corvy.

- Czy obrona na tym zamyka sprawę?

- Tak.

Sędzia kiwnął niedbale głową i zwrócił się do Pierce'a:

- Czy oskarżenie chce coś jeszcze przedłożyć sądowi?

- Nie - odpowiedział pułkownik, a potem sam zwrócił się do Sproule'a: - Czy sędziowie chcą wezwać jakichś świadków?

- Nie - odparł sędzia. Z kolei on odezwał się do Pierce'a. - Czy oskarżyciel chce wygłosić końcową mowę?

- Tak - oświadczył pułkownik.

- Pułkowniku Pierce - powiedział pułkownik Sproule, a potem odwrócił się do Corvy - i panie Corva, chciałbym przypomnieć wam, że mowy końcowe w sądzie wojskowym nie są wymagane. Mogą być przedstawione w formie pisemnej lub ustnej. W obu przypadkach powinny być zwięzłe. Zazwyczaj przywołuje się w nich najważniejsze fakty i ich powiązanie z konkretnymi przepisami. Mogą zawierać elementy podsumowania, ale nie powinny stanowić rekapitulacji rozprawy. - Spojrzał na oskarżyciela. - Może pan zaczynać.

Pułkownik Pierce wyszedł z za stołu i stanął w tym samym miejscu, z którego wygłaszał mowę wstępną.

Tyson przez chwilę przyglądał mu się, ale potem przeniósł wzrok na sędziów. Siedzieli sztywni, jakby każdy z nich kij połknął. Pomyślał, że nawet bez mundurów wyglądaliby na wojskowych. Pierce jak na prawnika Izby Wojskowej prezentował się całkiem nieźle.

Ben spojrzał na widzów. W ten czwartkowy poranek, czwartego dnia rozprawy, ławki

znowu wypełniły się po brzegi. Marcy zjawiała się nieco spóźniona. David kolejny raz dostał zwolnienie ze szkoły. Matka Tysona, która mieszkała u przyjaciół w Garden City, codziennie wynajmowała limuzynę i przyjeżdżała do Fortu. Wyglądała na porządnie zmęczoną. Ben przebiegł spojrzeniem przez morze białych twarzy, gdy nagle jego wzrok zahaczył o okrągłą niby księżyc, czarną, uśmiechniętą twarz. Mason starał się zwrócić na siebie uwagę Tysona. Kiwał mu głową. Ben uśmiechnął się i kiwnął także.

Oskarżyciel zaczął przemówienie tradycyjnie.

- Szanowny panie przewodniczący sądu wojskowego, szanowni członkowie ławy. Wysłuchaliście zarzutów stawianych przez rząd Stanów Zjednoczonych porucznikowi Benjaminowi Tysonowi. Wysłuchaliście zeznań dwóch świadków, Richarda Farleya i Stevena Brandta, którzy opowiedzieli wam historię przeprowadzonej z zimną krwią masakry na cywilach i żołnierzach nieprzyjaciela, na pacjentach oraz personelu szpitala, niemowlętach i dzieciach. Ich zeznania nie zawsze pokrywały się w szczegółach, niekiedy nawet przeczyły sobie, nie zgadzały się nazwiska i drobne wydarzenia, właśnie tak, jak można się spodziewać w sprawie, która zdarzyła się wiele lat temu. Ale usłyszeliśmy historię masakry. I jeśli szczegóły przez osiemnaście lat zatarły się, jasne jest jednak, co się tam naprawdę stało.

Pułkownik potarł ręką dolną wargę i na moment zwiesił głowę.

- Steven Brandt i Richard Farley byli naocznymi świadkami wydarzeń, które tu przedstawili - kontynuował. - Wydarzeń, które na zawsze zapadły w ich pamięć - i nie tylko dlatego, że byli świadkami, ale ponieważ brali w nich udział. Jednak na tej rozprawie nie zajmujemy się ich uczestnictwem. Nam chodzi o ustalenie, kto zapoczątkował zaistniałe wypadki. Jeśli wyrzucicie z pamięci wszystkie dodatkowe szczegóły, o których była mowa w czasie zeznań i krzyżowego ognia pytań, a zastanowicie się jedynie nad faktami związanymi z osobą oskarżonego i stawianymi mu zarzutami, pozostanie tylko to: pierwszy pluton Kompanii Alfa wkroczył do budynku, który dwóch naocznych świadków opisuje jako szpital. Z ich zeznań dowiadujemy się, że znajdowało się w nim około setki - może nawet dwieście - żywych istot ludzkich. Dowódca plutonu, porucznik Tyson, wydał rozkaz zastrzelenia chorych i rannych żołnierzy nieprzyjacielskiej armii. Członkowie ławy, jeśliśmy się zatrzymali na tym, jeśliśmy uwierzyli zaprzysiężonym zeznaniom dwóch niezależnych i nie związanych ze sobą świadków, strona rządowa mogłaby zamknąć sprawę. Ale jeśli mamy naprawić rzecz straszną, odzyskać honor i uczciwość amerykańskiej armii, nie możemy się na tym zatrzymać. Nie, nie możemy zapomnieć o zabitych, których świadkowie widzieli na własne oczy, o ciałach leżących na łóżkach szpitalnych, w korytarzach, na sali operacyjnej i na dziedzińcu przed szpitalem. Musimy pamiętać, że ci nie uzbrojeni, bezbronni ludzie zostali zastrzeleni przez żołnierzy, którymi dowodził oskarżony. Musimy pamiętać, że zgodnie z zeznaniami świadków oskarżony nie powiedział ani nie zrobił nic, by powstrzymać szalejących żołnierzy. I że poprzez niepodejmowanie żadnych działań spowodował on, iż masakra mogła mieć miejsce. A cała masakra rozpoczęła się, ponieważ wydał on rozkaz zabicia rannych żołnierzy.

Pierce odwrócił się i spojrzał na Tysona, a potem po raz pierwszy na ludzi zebranych w kaplicy. Wreszcie znowu zwrócił się do sędziów.

- Zarówno wy, jak i ja oraz każdy, kto ma w sobie choć odrobinę współczucia i zrozumienia, może wymyślić lub znaleźć usprawiedliwienia dla wszystkiego, co oskarżony zrobił lub nie zrobił w czasie tych kilkudziesięciu minut. Ale kto wybaczy to, co się zdarzyło potem? Kto wybaczy i zrozumie oficera armii Stanów Zjednoczonych z własnej woli konspiracyjnego z ludźmi będącymi pod jego komendą w celu oszukania sprawiedliwości, wymyślającego wydarzenia nie tylko ukrywające koszmarną zbrodnię, ale również zamieniające ją w szczytną potyczkę z siłami nieprzyjaciela. Kto może to zrozumieć? Kto może znaleźć wytłumaczenie dla ukrycia przynoszącej hańbę zbrodni pierwszego stopnia aż do tego dnia? Kto obroni oficera, który przez zaniedbanie swoich obowiązków spowodował, że już nikt nigdy nie odpowie za tę masakrę? Kto wytłumaczy oficera armii Stanów Zjednoczonych, w którym pokłada się szczególne zaufanie i który przyjął swe obowiązki z wolnej woli, składając przysięgę oficerską?

Oskarżyciel cofnął się kilka kroków w stronę stołu obrony, potem odwrócił się.

- Strona rządowa przedstawiła fakty dowodzące ponad wszelką wątpliwość - zakończył - że nastąpiło pogwałcenie Ujednoliconego Kodeksu Prawa Wojskowego, a oskarżenie właściwie opisuje formę tego pogwałcenia, że oskarżony spowodował działania, które doprowadziły do zagłady wiele istnień ludzkich.

Pułkownik Pierce powrócił na swoje krzesło. Pułkownik Sproule zwrócił się do Corvy:

- Czy obrona chce wygłosić mowę końcową?

- Tak, wysoki sędzie.

- Proszę zaczynać.

Adwokat wyszedł na środek podwyższenia.

- Szanowny panie przewodniczący sądu wojskowego, szanowni członkowie rady. Wysłuchaliście zeznań w sprawie rząd Stanów Zjednoczonych przeciwko Benjaminowi Tysonowi. Wysłuchaliście dwóch świadków, Richarda Farleya i Stevena Brandta. Ich słowa są jedynym dowodem winy oskarżonego. A należało dowieść bardzo poważnej zbrodni. Jeśli ktoś wierzy, że świadkowie są naprawdę bezstronni i niezależni, to znaczy, że nie zna prawdziwej natury ludzkiej. Jeśli nawet mielibyśmy uwierzyć panom Brandtowi i Farleyowi - a obrona wcale nie jest usatysfakcjonowana ich zeznaniami, wręcz przeciwnie - to musimy się skoncentrować na dwóch słowach: „Zastrzelić ich”, słowach, których zdaniem Brandta użył oskarżony wydając niezgodny z prawem rozkaz. Zeznania Farleya dotyczące tego samego rozkazu brzmiały nieco inaczej. A więc musimy pominąć fakt, że dwóch świadków oskarżenia nie potrafi przypomnieć sobie po osiemnastu latach nazwisk, miejsc czy słów swoich kolegów. Ale mamy uwierzyć Stevenowi Brandtowi, kiedy twierdzi, że pamięta porucznika Tysona wydającego rozkaz: „Zastrzelić ich”. I mamy uwierzyć Stevenowi Brandtowi, kiedy mówi on, że porucznik Tyson nie zrobił nic, by powstrzymać ludzi pozostających pod jego dowództwem przed popełnieniem morderstwa. A przecież Steven Brandt nie pamięta nawet kto popełnił morderstwa, które, jak twierdzi, widział lub wydawało mu się, że widział. Steven Brandt ma niezwykle selektywną pamięć.

Corva zamilkł, spojrział na puste krzesło dla świadków, a potem przeniósł wzrok na Pierce'a.

- Oskarżyciel - zwrócił się znowu do sędziów - przypomniał nam, że zeznania świadków nie zgadzały się ze sobą. To prawda. Zgodni byli tylko, gdy chodziło o porucznika Tysona. Jeśli mamy uwierzyć, że nieścisłości w zeznaniach wynikają z odmiennego stosunku świadków do omawianych wydarzeń, a ten z kolei jest związany z różnicami w osobowości i wrażliwości, skąd nagle taka zgodność, gdy chodzi o każdy szczegół mający pognać oskarżonego?

Adwokat zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Brandt - powiedział po chwili. - Brandt powiedział nam, że drżał o swoje życie. Że po incydencie przyszli do niego członkowie plutonu i zastraszyli go. Jeśli tak, to czemu nie mielibyśmy uwierzyć, że porucznik Tyson również się bał? Oskarżyciel twierdzi, że oskarżony spiskował w celu ukrycia domniemanej zbrodni. Jeśli wierzymy Brandtowi, że spisek taki został uknuty w bunkrze i dlatego przez wiele lat żył on niczego nie ujawniając, dlaczego nie mamy uwierzyć w to samo, jeśli chodzi o oskarżonego? Bo skoro już mowa o autsajderach w plutonie, to na pewno byli nimi Benjamin Tyson i Steven Brandt. Zeznania świadków nie tylko malują obraz masakry, ale i buntu. Obrona nigdy nie zgodziła się z twierdzeniem, że porucznik Tyson nie złożył żadnego raportu w sprawie omawianego incydentu. Oskarżenie domaga się, by przyjąć założenie o jego braku, ponieważ nie mamy fizycznego dowodu, że został złożony. Ale taki wniosek jest nieuzasadniony. Trzeba też wziąć pod uwagę, że żaden rozsądny człowiek nie powazyłby się na złożenie raportu, jeżeliby od tego miało zależeć jego życie. Jeśli porucznik Tyson przekazał przez radio fałszywy meldunek do dowódcy kompanii, a był w otoczeniu kilkunastu mężczyzn, którzy właśnie popełnili masowe morderstwo, to powiedziałbym, że zachowywał się po prostu rozsądnie. Podczas kolejnych dni, wciąż w terenie, pod ogniem nieprzyjaciela, też trudno się dziwić, że nie zgłosił się do przełożonych. Ale gdzieś pomiędzy piętnastym a dwudziestym dziewiątym lutego, po tym jak porucznik Tyson został ranny i ewakuowany, czy oskarżenie, czy dwóch świadków, czy w ogóle ktokolwiek jest w stanie powiedzieć, że ustny lub pisemny raport nie został złożony? Czy trudno jest nam uwierzyć, że porucznik Tyson złożył ustny raport dowódcy Kompanii Alfa, kapitanowi Browderowi, który z kolei nie zdążył zawiadomić o niczym swoich przełożonych, ponieważ zginął dwudziestego pierwszego lutego? Gdybyśmy starannie przeszukali archiwa wojskowe, czy nie udałoby się znaleźć pisemnego dowodu na istnienie takiego raportu? Prawdopodobnie nie. Ale nie jest to dowód, że raportu nie było. A jeśli oskarżony złożył taki raport ustnie lub pisemnie, lub w obu formach, i zorientował się, że nie podjęto w związku z tym żadnych działań, co powinien był zrobić? Złożyć kolejny raport? Tak. A jeśli zrobił to? I znowu nie było jakiegokolwiek reakcji? Jaki powinien był wyciągnąć wniosek? Czy należało założyć, że raport zaginął? Że został zgubiony celowo? Czy byłby to pierwszy w historii podobny wypadek? A kiedy porucznik Tyson został ranny, ewakuowany i wreszcie wywieziony z południowo-wschodnioazjatyckiej sceny wojennej, czy powinien był podejmować jakieś działanie w związku z incydem? Czy należało do niego wracać? Bez wątplenia. A może zrobił to? Czy oskarżenie dowiodło, że nie? Nie dowiodło. Czy obowiązkiem oskarżyciela jest dowieść zarzutów, czy może obrońcy dowieść niewinności?

Corva podszedł bliżej ławy sędziowskiej i przyjrzał się z uwagą jej sześciu członkom.

- Strona oskarżająca dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że miała miejsce masakra niewinnych i bezbronnych ludzi. Jestem o tym przekonany. Ale okropność tej zbrodni nie powinna nikomu przesłaniać jej oceny. Fakt popełnienia zbrodni nie jest jednoznaczny z oskarżeniem o nią wszystkich obecnych na scenie wydarzeń. Gdyby tak było, razem z porucznikiem Tysonem powinno zasiadać na ławie oskarżonych co najmniej dwóch ludzi: Brandt i Farley.

Adwokat uklonił się i wrócił do stołu.

Pułkownik Sproule stanął za pulpitem i pozostał nieruchomy prawie przez minutę.

Corva zaczął porządkować i składać papiery na stole. Wreszcie sędzia zwrócił się do pułkownika Pierce'a:

- Czy oskarżenie chce odeprzeć zarzut obrony?

- Tak, wysoki sędzie. - Pierce wstał i agresywnie zwrócił się do adwokata. - Sugestia, że świadkowie strony rządowej podlegają zaskarżeniu, jest obraźliwa. Gdyby oskarżony wykonał swój obowiązek jako oficer, nikt z nas nie siedziałby dzisiaj na tej sali.

Corva zerwał się na równe nogi.

- Świadkom, którzy kłamali przez osiemnaście lat, trudno uwierzyć dzisiaj.

- Panowie, wystarczy - przerwał im krótko Sproule. - Czy oskarżenie ma jeszcze coś do dodania? - zwrócił się do Pierce'a.

- Nie.

Sędzia spojrzał na adwokata.

- Czy obrona ma jeszcze coś do dodania?

- Nie - odparł Corva wstając.

Oskarżenie i obrona zakończyły swe wystąpienia - Sproule zwrócił się do ławy: - Teraz waszym zadaniem jest rozważyć wszystkie dowody. Sąd ogłasza przerwę w celu załatwienia formalności administracyjnych i wykonania zapisu zeznań, które mogą wam być potrzebne przy podejmowaniu decyzji. Przypominam, że nie wolno dyskutować na temat tej sprawy do momentu jej zamknięcia. Sąd zbierze się ponownie jutro o godzinie dziesiątej rano.

Tyson wstał.

Vince wsunął papiery do teczki. Ben zapalił papierosa. Adwokat zatrzaskała teczkę.

Tyson przyglądał się, jak pustoszeją ławki. Widział Marcy z Davidem kierujących się do wyjścia boczną nawą, drogę torował im jeden z żandarmów.

- No cóż... - powiedział Corva.

- Na tym obrona zakończyła pracę - dodał Ben.

- Tak.

- Ale obrona nie miała dużo do powiedzenia.

- Tak czy siak zakończyła sprawę.

Tyson wzruszył ramionami. Spojrzał na zegarek.

- Lunch?

- Czemu nie?

Ben ruszył za Vince'em w kierunku bocznych drzwi. Ostatni z żandarmów, sierżant Larson, stał sztywno wyprostowany koło drzwi.

- Bardzo ładnie, panie Corva - powiedział.

- Dziękuję.

- Do zobaczenia jutro, panowie.

Tyson kiwnął głową i wyszedł na korytarz. Uświadomił sobie, że następnego dnia żandarm będzie uzbrojony, tak jak to było w zwyczaju w dniu wydawania werdyktu. I że sierżant Larson wyprowadzi go z kaplicy w kajdankach.

Nagle przypomniał sobie sen i mężczyznę we śnie, który mówił mu, że ma jeszcze do odsłużenia pięć kolejnych lat. Sen wydał mu się nagie przepowiednią wyroku.

Rozdział 49

O dziesiątej rano Walter Sproule poprosił o ciszę. Tyson pomyślał, że pułkownik wygląda na zmęczonego, często siadał. Jego twarz wydawała się bledsza, a oczy były opuchnięte.

Sędzia poczekał, aż zbierze się ława sędziowska i wszyscy widzowie zajmą miejsca. Potem, jakby ktoś nagle napompował w niego powietrze, wyprostował się, oparł dłonie na pulpicie, pochylił nieco do przodu niby kaznodzieja, który ma za chwilę przekazać wiadomość o ogniu piekielnym i siarce. Kiedy odezwał się do mikrofonu, jego głos

zabrzmiął mocniej:

- Panie przewodniczący i członkowie ławy, wysłuchaliście zeznań w sprawie Stany Zjednoczone przeciwko porucznikowi Benjaminowi J. Tysonowi.

Zaczął czytać pouczenia dla sędziów. Mówił równym głosem, ba żadnej modulacji, tak że wszystkie słowa miały ten sam ciężar i barwę.

Po jakichś dziesięciu minutach Ben wiedział już, że Sproule, który przez cały czas trwania rozprawy był wręcz małomówny, ma zamiar udzielić sędziom wszystkich możliwych informacji, choć prawdopodobnie ci dawno już wyrobili sobie zdanie.

Pułkownik mówił dalej. Wskazał na fakt, że Pierce wygłosił mowę wstępną, następnie omówił szczegółowo zbrodnię.

- Oceniając świadków możecie brać pod uwagę ich stosunek do oskarżonego, poziom inteligencji, jak również wiarygodność. Szacując rozmiary winy oskarżonego, powinniście pamiętać o jego randze, pochodzeniu, wykształceniu, przygotowaniu wojskowym, doświadczeniu bojowym i możliwości kontaktu z Wietnamczykami, zarówno z wrogami, jak i sojusznikami. Możecie wziąć pod uwagę jego wiek w czasie tamtych wydarzeń i wszystko, co pomoże wam określić, czy oskarżony świadomie dopomógł, pobudził, rozkazał lub ukrył masowe morderstwo. Ale przede wszystkim musicie być pewni, że zeznania na temat masowego morderstwa, które usłyszeliście na tej sali, są prawdziwe.

Sędzia kontynuował swą przemowę dość pokrętnymi zdaniami, wykazując mocne strony oskarżenia i obrony. Następnie wskazał na słabe punkty.

- W tej sprawie jedynie zeznania muszą wam wystarczyć za dowód, że oskarżony zachował się niezgodnie z prawem i że jego zachowanie doprowadziło do morderstwa. Musicie mieć głębokie przeświadczenie, pewność moralną, że porucznik Tyson jest winien stawianych mu zarzutów. Moim obowiązkiem jest przypomnieć wam, że w związku z prawem o przedawnieniu odpowiadać on może tylko za największą zbrodnię. W waszej gestii jest wydanie wyroku, który odpowie na pytanie: winny lub niewinny oskarżenia.

Pułkownik Sproule wyjaśnił tryb pracy ławy. Oczywiście było, że to szczegółowe tłumaczenie skierowane jest do zebranych cywilów i prasy, sędziowie prawdopodobnie znali swoje obowiązki. Mówił:

- W sądzie wojskowym pierwsze głosowanie jest ostateczne. Żeby skazać oskarżonego, co najmniej czterech z was musi głosować, że jest on winny. Aby porucznik Tyson wyszedł ze sprawy z honorem, co najmniej trzech z was musi głosować za uniewinnieniem. A więc namawiam was, byście zastanawiali się tak długo, jak tylko chcecie, zanim oddacie swój jeden jedyny głos. Jeśli uznacie oskarżonego za winnego głównego zarzutu oskarżenia, musicie też głosować za dwoma zarzutami specyfikującymi. Możecie zgodzić się z jedną specyfikacją lub z obiema. Jeśli niezgodnie z waszym sumieniem byłoby głosować za nimi,

w ich obecnym sformułowaniu, ale uznaliście oskarżonego za winnego, macie prawo zmienić brzmienie jednego lub obu zarzutów specyfikujących tak, żeby odpowiadały one przestępstwu, które waszym zdaniem popełnił oskarżony. Jednakże ostrzegam was, że zmiana brzmienia oskarżenia może zmodyfikować jego znaczenie do tego stopnia, że różna będzie klasyfikacja winy. Skoro nie uznacie, że oskarżony jest winny zabójstwa, zgodnie z kodeksem nie będzie on odpowiadał za żadne inne zarzucane mu czyny. Jeśli werdykt zapadnie do godziny szesnastej trzydzieści, powrócicie do sądu i ogłosicie swoją decyzję. Jeżeli nie podejmiecie decyzji do tego czasu, pozostaniecie w swoich kwaterach i nie będziecie wracać na salę, lecz dyskutować tam dalej. A gdy postanowicie obradować wieczorem, musicie poprosić o zabranie was do sali konferencyjnej, która została dla was przygotowana. Mam obowiązek przypomnieć wam, że jesteście zaprzysiężeni - ciągnął sędzia - iż nie wolno wam zdradzać opinii poszczególnych członków ławy. Ich decyzje pozostaną tajemnicą po wsze czasy.

Pułkownik pochylił się nad pulpitem w stronę sędziów.

- Ostateczna ocena wagi zeznań i wiarygodności świadków spoczywa tylko i wyłącznie na was - zakończył. - Musicie pominąć wszystkie komentarze i stwierdzenia poczynione przeze mnie w czasie tej rozprawy, mogące wskazywać na winę lub niewinność oskarżonego, bo tylko wy odpowiadacie za decyzję. Każdy z was musi osobno rozważyć, czy została wykazana wina oskarżonego w oczach prawa, zgodnie z dowodami złożonymi w sądzie i zgodnie z waszym sumieniem. - Sproule wyprostował się i oznajmił: - Zamykam rozprawę.

Tyson spojrział na zegarek. Pouczanie rady trwało pełne czterdzieści pięć minut i wszystko, co mogło wpłynąć na sędziów, zostało już powiedziane.

Benjamin Tyson wyglądał w milczeniu przez okno w biurze rabina Weitza. Wszyscy widzowie opuścili już kaplicę i zbrali się teraz na trawniku. Świeciło blade, jesienne słońce. Dodatkowo parę setek ludzi zgromadziło się za barierkami pilnowanymi przez żandarmów. Corva nalał sobie kawy.

- Czy chcesz wyjść na zewnątrz?

- Nie.

- Chcesz się spotkać z rodziną?

Tyson nieporuszony wpatrywał się w okno.

- Nie.

Adwokat podszedł do niego.

- Wyglądają bardzo spokojnie. Pełni poważania dla powagi sprawy. Wcale nie przypominają cyrkowych gapiów.

- Tak. - Benowi scena przypominała przerwę na papierosa podczas pogrzebu, kiedy ludzie wychodzili z domu pogrzebowego, przedstawiali się, wymieniali zdawkowe uśmiechy. I wszyscy stali tyłem do budynku, jakby starając się zapomnieć, po co tu się zebrali. Końcowa ceremonia miała się za chwilę zacząć, nikt się więc nie oddalał.

Vince odwrócił się od okna i stanął za biurkiem. Wlał śmietankę do kawy.

- Czy jesteś zadowolony z przebiegu rozprawy?

- Jak na to, że jestem oskarżony o morderstwo - stwierdził z sarkazmem Tyson - było zupełnie miło.

- Chodzi mi o to - powiedział Corva z nutą zniecierpliwienia w głosie - czy byłeś zadowolony z tego, jak cię reprezentowałem?

- Powiem ci, kiedy zapadnie werdykt. - Ben zauważył, że adwokat nie zachowuje się tak przyjacielsko jak zwykle. Przypuszczał, że to reakcja obronna. Zrobiło mu się przykro, że Vince musi czekać razem z nim. - Może byś poszedł się przejść? - zaproponował.

- Odbierasz mi sprawę?

- Nie. Chodzi mi o spacer. Na świeżym powietrzu.

- Nie zdążyłbym zrobić piętnastu kroków, a już miałbym dziennikarzy na karku. Zostanę tutaj do czasu, aż nas wezwą. Albo do czwartej trzydzieści. Ale jeśli masz zamiar palić, otwórz okno - dodał.

Tyson otworzył okno. Do pokoju wpadło świeże, chłodne, jesienne powietrze.

- Czy myślisz, że to długo potrwa? - Odwrócił się od okna.

- Rozprawa była raczej krótka. - Corva wzruszył ramionami. - Są tylko zeznania, nad którymi muszą się zastanowić. Mogą zażądać protokolarnego zapisu.

Ben milczał.

- Jak długo? - zapytał wreszcie. - Dni? Godziny? Minuty? Czy zdążę wypalić papierosa?

- Obrady w sądach wojskowych zazwyczaj trwają krótko. Jest tylko jedno głosowanie. - Adwokat zamilkł. - Przypuszczam, że mieli wyrobione zdanie jeszcze na sali.

Tyson kiwnął głową, jakby myślami był już gdzie indziej.

- Nie ma powodów, by udawali, że męczą się przez całe dni - dodał Vince. - Prawdę mówiąc, były delikatne naciski, żeby szybko podjęli decyzję. Są oficerami. Czeka ją na nich obowiązki. Woleliby już wrócić do swoich kwater, niż być tutaj. Tak więc, odpowiadając precyzyjnie, spodziewam się werdyktu przed czwartą trzydzieści.

Ben spojrzał na zegar ścienny.

- Sześć godzin.

- Tak. Aż nadto.

- Zdenerwowany? - Tyson zmusił się do uśmiechu.

- Zniecierpliwiony.

- Będziesz gryzł paznokcie?

Corva uśmiechnął się blado, ale nic nie odpowiedział.

Starali się zabić czas rozmawiając na różne obojętne tematy. Każdy wydawał się nieodpowiedni, nawet najbardziej błaha uwaga prowadziła do sprawy, której nie chcieli poruszać. Po jakiejś półtorej godzinie adwokat otworzył drzwi i poprosił żandarma, żeby przyniósł im gazety i czasopisma.

- Mówię ci jeszcze raz - powiedział do Tysona - masz prawo wrócić do swoich kwater. Czy chcesz iść?

- Nie.

- Masz ochotę na lunch w klubie?

- Nie. Nie jestem szczególnie głodny. Poproś, to ci coś przyniosą.

- Rozczulasz się nad sobą?

- Nie. Żal mi ciebie. I mojej rodziny.

- Czy mam wysłać żandarma, żeby przyprowadził twoją żonę?

- Nie.

- Twojego syna?

- Nie. Ani mojej matki, ani siostry, ani księdza, ani w ogóle nikogo - Ben prawie krzyczał. - Dlaczego nie możesz zrozumieć, że w tej chwili nie potrafię stanąć twarzą w twarz z nikim. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że gdybym im musiał spojrzeć w oczy...?

Nie chcę, by ktoś mnie widział w takim stanie... Czy człowiek nie ma już prawa cierpieć samotnie, z godnością? - Wymierzył palcem w Vince'a. - Czy ty chciałbyś mieć wokół siebie zebraną rodzinę?

- Być może - odpowiedział Corva uspokajającym tonem. - Może potrzebne byłoby mi ich wsparcie...

- Pieprzyć wsparcie. Co za idiotyczne słowo.

Adwokat odetchnął głęboko, starając się zachować spokój.

- Po prostu chcę, byś zrozumiał, że to może być ostatni raz... na jakiś czas... kiedy możesz rozmawiać z nimi... bez towarzystwa strażnika...

Tyson przemierzał nerwowymi krokami małe pomieszczenie. Wreszcie odezwał się spokojniejszym tonem:

- To nie było wymierzone przeciwko tobie. Po prostu tak się zdarzyło, że byłeś pod ręką. Więc wyjdź.

- O nie. Mam zasadę pozostawiania z oskarżonym.

Ben przerwał spacer i stanął naprzeciwko Vince'a.

- Tak? W takim razie zgaduj. Jeśli chcesz być ze mną, to przynajmniej mnie zabaw.

- Z prawnego punktu widzenia rząd udowodnił oskarżenie - odpowiedział spokojnie Corva.

- To co im zabiera tyle czasu? - zapytał Tyson. - Są oficerami. Dlaczego nie mogą się zdecydować?

- Ponieważ my również obroniliśmy parę punktów. Dowiedzieli się więcej, niż oczekiwali. - Adwokat spojrzał na swego klienta. - Nie mam do ciebie pretensji, że parę spraw ukryłeś. Sam cię o to prosiłem. Chciałem, by ujawniły się spontanicznie, w odpowiednim dla siebie czasie. Sędziowie słuchali, a pod ich nieruchomymi twarzami ukrywały się emocje. Są tylko ludźmi i teraz zadają pytania sobie.

Ben nie odpowiedział.

- Właśnie w tej chwili jeden, a może dwóch z nich stara się przekonać pozostałych, by powiedzieli: „Do diabła z prawem”. To jedyny powód opóźnienia.

- Czy tak się może stać? Czy trzech z nich powie: „Do diabła z prawem”?

Vince zerknął na Tysona.

- Jeśli powiedzą „do diabła z prawem”, będą musieli również odrzucić wojsko. Są częścią systemu, ucieleśnionym kodeksem. Zaprzysiężonymi oficerami. Są bardziej zainteresowani trwaniem systemu, niż jakkolwiek sędzia cywilny był kiedykolwiek związany z systemem prawnym. Co ty byś zrobił na ich miejscu? Jak byś głosował?

Ben przez chwilę zastanawiał się.

- Winny - powiedział wreszcie.

- Ja też.

- Więc dlaczego to tyle trwa?

- Prawdę mówiąc nie wiem. Powiedziałem ci... mają problemy z głosowaniem. Pułkownik Moore nie zarządza głosowania, ponieważ jedna lub dwie osoby ze składu ławy nadstawiają swoje głowy i nie chcą cię uznać za winnego. Może taką osobą jest sam Moore. Może Davis jest również po twojej stronie. Może Sidel naciska, by raz dwa uznać cię za winnego. Może Laski jest tym trzecim, którego potrzebujemy po naszej stronie. Nie wiem. Nikt nie wie... sędziowie nigdy nie przestają mnie zadziwiać.

- Nawet wojskowi sędziowie?

- Czasami nawet oni.

- Będziesz cholernie zdziwiony, jeśli wygrasz tę sprawę.

Corva już miał się uśmiechnąć, ale w tym momencie usłyszał kroki na korytarzu i zerwał się na równe nogi. Rozległo się pukanie do drzwi, po czym otworzył je żandarm trzymający stos gazet i czasopism.

- Dostałem nawet najświeższego „Playboya”. Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje, panie Corva?

- Nie, dzięki.

Żandarm wyszedł. Tyson i adwokat sięgnęli po pisma, nie patrząc na tytuły. O dwunastej trzydzieści na korytarzu znowu rozległy się kroki. Zatrzymały się pod drzwiami. Usłyszeli pukanie, a potem drzwi się otworzyły.

- Co panowie chcieliby zjeść na lunch? - zapytał sierżant Larson. - Czy może wolicie wyjść gdzieś na zewnątrz?

- Proszę przysłać kanapki i kawę, sierzancie. Chcemy mieć niespodziankę. Ale bez białego chleba i majonezu.

Czekali pół godziny.

- Żeby przynieść kanapki z kantyny, wystarczyłoby piętnaście minut - zauważył Ben. - Może zapadł werdykt.

- I tak zdążymy zjeść, zanim nas zawołają. Staraj się zrelaksować.

- Jestem zrelaksowany. I znudzony.

Znowu usłyszeli kroki i pukanie do drzwi, które po chwili otworzyły się. Wkroczył żandarm z kartonowym pudłem. Postawił je na stole. Tyson zobaczył, że wypełnione jest kanapkami, sałatkami i deserami.

- Moja żona. Upierała się - dodał po chwili zakłopotany sierżant. - Mam nadzieję, że to nic złego.

- Proszę jej podziękować - powiedział Vince.

Ben rozwinął jedną kanapkę, chociaż wcale nie miał na nią ochoty.

- To bardzo miłe z jej strony, sierżancie.

Larson uśmiechnął się i wyszedł.

Corva znalazł kanapkę z chleba ryżowego z kotлетem drobiowym i wbił w nią zęby.

- Tak jak ci już kiedyś powiedziałem, w społecznym odczuciu jesteś niewinny. Masz na to codziennie dowody.

- Nigdy nie ceniłem wysoko amerykańskiej opinii publicznej. Jestem snobem i elitarystą. Nie zasługuję na ich dobre zdanie.

Adwokat znalazł puszkę z colą i otworzył ją.

- Masz zdrowe podejście do samego siebie i świata, w którym żyjesz. Niestety ty i twój świat nie pasujecie najlepiej do siebie.

Tyson zauważył w pudełku dwie puszkę z piwem. Wypił obie, nie proponując jednej Vince'owi.

Corva jadł z wyraźnym apetytem.

Ben poszedł pod eskortą do toalety. Adwokat udał się tam również, ale samotnie. Popołudnie wypełniały im na zmianę chwile zniecierpliwienia i nudy. Słońce zaczęło zachodzić, powiał chłodny, już prawie zimowy wiatr, rozrzucając po trawniku czerwone i złote liście. Tyson podszedł do okna i zobaczył, że tłum na trawniku przerzedził się, a ci, którzy nie schronili się w kaplicy, chowali się przed wiatrem przy ścianie budynku.

- Zeszłej jesieni - powiedział, bardziej do siebie niż do Vince'a - zgraбіłem liście, a potem rzucaliśmy z synem piłką. Narąbałem drewna i napaliłem w kominku. Pojechaliśmy na farmę i kupiliśmy pumpernikiel, dynie i jabłecznik. Wróciliśmy do domu i zrobiliśmy gorący poncz. Lubię zapach jesieni.

- Ja też - odpowiedział Corva równie przytłumionym głosem. - Brakowało mi jesiennych dni, kiedy byłem w Cu Chi. Poprosiłem brata, żeby przysłał mi pudełko pełne liści. - Uśmiechnął się do siebie. - Rozdałem je też innym tęskniącym.

- Mówisz jak kandydat do domu wariatów.

Corva sięgnął po „Daily News”. Na pierwszej stronie nagłówek krzyczał: CZY WERDYKT DZISIAJ?

- Dobre pytanie - powiedział Tyson.

Spojrzał na ścienny zegar. Była czwarta szesnaście.

O czwartej dwadzieścia adwokat podniósł się i podszedł do okna.

- Nikt nie odchodzi. I prasa też się nie rusza.

Ben wstał o czwartej dwadzieścia pięć.

- Nie chcę iść spać, nie wiedząc, jak zdecydowali. Załatw mi kwaterę. Nie wracam do domu.

- Dobrze - powiedział Vince. - Nie będę cię przekonywał. - Po chwili dodał: - Takie czekanie na pewno szarpie nerwy, ale zwłoka nie jest złym znakiem. Coś się stało w sali obrad.

- Ale co?

O czwartej trzydzieści Corva zamknął z trzaskiem teczkę i ściągnął płaszcz z wieszaka.

Tym razem ani on, ani Tyson nie usłyszeli kroków na korytarzu. Dobiegło ich dopiero delikatne pukanie w drzwi. Ben już wiedział, że nie musi czekać na następny dzień.

Drzwi otworzyły się, sierżant Larson stał przez dobrą chwilę w milczeniu. Adwokatowi moment ten wydał się za długi.

- No i? Mamy sobie iść?

- Nie, sir. Ława ogłosi werdykt.

Vince kiwnął sztywno głową.

- Dziękuję. - Odwiesił płaszcz i odezwał się do Tysona napiętym głosem: - Chodźmy wysłuchać, co mają nam do powiedzenia.

Ben podszedł do drzwi, które żandarm przed nim przytrzymał.

- Powinien pan wziąć swe okrycie - powiedział do Tysona.

- Co...? - Ben stał przez chwilę bez ruchu, a potem odrzekł; - Tak, oczywiście. Nie będę wychodził tędy, prawda?

- Nie, sir.

- Jeśli spotka się pan z rabinem, proszę mu podziękować od nas. - Tak jest, sir.

Corva ruszył pierwszy. Larson wyprzedził go i znalazł się na przedzie. Chyba wyczuwał, że jego podopieczni nie spieszą się, bo szedł niezwykle spokojnym krokiem.

Kiedy weszli na salę, Tyson usłyszał szmer przebiegający po ławkach. Rozgrzał się. Kaplica była wypełniona po brzegi jak na Wielkanoc, ludzie tłoczyli się w nawach i westybulu.

Ruszył zdecydowanym krokiem, minął stół, przy którym już zebrali się sędziowie, i stół oskarżycieli, nie patrząc na Pierce'a, Weinroth czy Longa, a potem zajął miejsce za stołem obrony obok Corvy. Ponieważ adwokat nie usiadł, on stał również. Zauważył, że oskarżyciele także teraz wstali, chociaż nie mieli takiego obowiązku.

Zmusił się, by spojrzeć na pierwszą ławkę. Marcy ubrana była konwencjonalnie, w tweedowy kostium. Siedziała w swobodnej pozie, z nogą założoną na nogę, i uśmiechała się, dodając mu odwagi. David, przycupnięty koło niej, wyglądał na smutnego, choć może przestraszony byłoby lepszym słowem. Ben zastanawiał się, jak może to wszystko odbierać szesnastolatek. Trzy siostry Tysona, piękne, pełne życia kobiety, dawały pokaz pogody ducha. Jego matka, rzadko ujawniająca jakiegokolwiek uczucia poza zniecierpliwieniem lub niezadowoleniem, teraz wyglądała na niepewną. Bardzo się też postarzała.

Ben przywołał obojętny wyraz twarzy i spojrzał na sędziów. Tylko na twarzy major Virginii Sindel malowały się jakieś emocje, mimowolnie spotkała się wzrokiem z Tysonem, ale natychmiast spuściła oczy.

Ben uświadomił sobie, że Vince coś do niego mówi.

- W instrukcji dla sądów wojskowych jest pewien haczyk. Jeśli zapada wyrok o u niewinnieniu, ogłasza się go słowami: „Moim obowiązkiem jest zawiadomić...” Jeśli zaś konkluzja brzmi: winny, mówi się „poinformować”. Tłumaczę ci to, byś mógł się przygotować z awczasu na werdykt.

Tyson stał nieruchomo i patrzył przed siebie.

- Dziękuję.

W tej chwili pułkownik Sproule zwrócił się do mikrofonu.

- Sąd zebrał się - ogłosił.

Sproule przebiegł wzrokiem po ławkach, przez moment przyglądał się dziennikarzom, przeniósł wzrok na oskarżycieli i wreszcie na ławę sędziowską.

- Wszystkie strony sprawy, które były obecne, kiedy sąd zarządził przerwę, są obecne.

Następnie zwrócił się do pułkownika Moore'a:

- Czy ława sędziowska podjęła decyzję?

Moore wstał.

- Tak - odpowiedział.

- Czy zmieniona została treść wniosków oskarżenia?

- Została zmieniona - powiedział pułkownik.

- Czy radca sądowy może, bez zaglądania do tych papierów, przynieść mi je?

Wstała major Judith Weinroth i podeszła wprost do pułkownika Moore'a, który wręczył jej wnioski. Ostentacyjnie odwróciła głowę, by było jasne, że nie patrzy na papiery, przeszła pięć kroków do pulpitu i wręczyła dwie kartki pułkownikowi Sproule'owi. Pozostała przed pulpitem wpatrując się w niego.

Sędzia poprawił światło nad pulpitem i uważnie obejrzał otrzymane papiery, przekładając je po kilka razy. Tyson, Corva i wszyscy inni w kaplicy, w tym protokolant, wpatrywali się w twarz Sproule'a, starając się pochwycić jakąś zmianę. Ale twarz pułkownika nie wyrażała niczego poza koncentracją. Ben pomyślał, że tak wyglądałby student piszący jakiś nudny esej.

Nagie sędzia wojskowy podniósł głowę i powiedział do Moore'a.

- Nie znalazłem żadnych uchybień formalnych. - Oddał dwie kartki Weinroth. - Czy może pani odnieść wnioski przewodniczącemu ławy? - zapytał.

Major wzięła karki, ale wyślizgnęły jej się z palców i sfrunęły na pokrytą czerwonym dywanem podłogę. Uklękła szybko, żeby je zebrać, lecz pozostała na kolanach jakieś pół sekundy za długo. Kiedy odnosiła papiery do pułkownika Moore'a, jej twarz była

purpurowa. Rzucił jej współczujące spojrzenie. Major Weinroth odwróciła się i pospieszyła w stronę stołu oskarżenia, poruszając się jak człowiek, który ma świadomość, że patrzy na niego tłum. Kiedy dotarła do stołu, choć jej twarz zwrócona była w stronę widzów, leciutko skinęła głową Pierce'owi, ale trudno byłoby powiedzieć, czy jest to potwierdzenie triumfu, czy przeprosiny za upuszczenie kartek.

Pułkownik Sproule odwrócił się do Tysona.

- Poruczniku Benjaminie Tyson - powiedział - proszę zameldować się przewodniczącemu ławy.

- Tak jest, sir - odpowiedział Ben silnym głosem.

Vince złapał go za rękę i na oczach wszystkich zebranych uścisnął ją.

Tyson okrążył stół i ruszył po czerwonym dywanie prosto do pułkownika Moore'a. W milczeniu zasalutował, pamiętał z regulaminu, że jest to jedna z tych nielicznych okazji, kiedy nie składa się ustnego raportu.

Pułkownik Moore i porucznik Tyson patrzyli na siebie. Sędziowie siedzieli. Corva nadal stał, chociaż nie było to konieczne. Oskarżyciele stali również, zasłaniając widok tej części publiczności, która siedziała w lewej nawie. Dziennikarze wstali, być może, by mieć lepszy widok. Potem zaczęli się podnosić pozostali widzowie, pewnie dlatego, że teraz im przeszkadzali dziennikarze. Po kilku chwilach kaplicę wypełniał tłum stojących i oczekujących ludzi.

Sędzia miał zamiar powiedzieć coś w stronę mikrofonu, zawahał się jednak i odwrócił do pułkownika Moore'a.

- Proszę odczytać werdykt.

Kątem oka Ben zauważył, że wszyscy sędziowie patrzą się wprost przed siebie, opierając się naturalnej chęci spojrzenia na niego. Moore, nie zaglądając do papierów i patrząc mu prosto w oczy, mówił, jakby poza nimi nie było w kaplicy nikogo.

- Poruczniku Benjaminie Tyson, moim obowiązkiem jest poinformować...

W tym momencie rozległy się westchnienia, wydane przez tych, którzy znali kruczek,

- ...że sąd na zamkniętej sesji w tajnym głosowaniu, liczbą dwóch trzecich głosów członków ławy obecnych przy głosowaniu na oba szczegółowe wnioski, uznaje pana za winnego morderstwa.

Tyson stał nieruchomo, nie pokazując po sobie więcej emocji, niż zdradzali pułkownik Moore i sędziowie przez poprzedni tydzień.

Ktoś w ławkach krzyczał, jakaś kobieta łkała, ale nie sądził, by była to Marcy lub jego matka, żadna z nich nie przejawiała nigdy skłonności do lamentów.

- Zarzut pierwszy, winny i zarzut drugi, winny. W obu zarzutach zmieniono słowa „zastrzelenie ich” i „wydanie rozkazu zastrzelenia” na „spowodowanie, iż zostali zastrzeleni”. - Pułkownik Moore spojrział na Bena i lekkim skinieniem głowy dał do zrozumienia, że skończył.

Tyson zasalutował, odwrócił się i przemaszerował do stołu obrony, nie szukając wzrokiem ani Corvy, ani nikogo innego, nie spoglądając nawet w stronę żony i syna.

Pułkownik Sproule omiótł wzrokiem kaplicę i przestrzeń, gdzie powinien znajdować się ołtarz. Nikt nie siedział poza pięcioma członkami ławy sędziowskiej. Sproule miał zdziwiony wyraz twarzy człowieka, który w całym swym życiu niczego takiego nie widział.

- Sąd zbierze się w poniedziałek o godzinie dziesiątej - powiedział do mikrofonu - w celu odczytania uwzględniającego zmiany treści zarzutów werdyktu. Do tego czasu zarządzam przerwę.

Ale nikt się nie ruszył. Wszyscy stali w ciszy, kiedy sierżant Larson, tym razem pod bronią i z hełmem zbliżył się wraz z drugim żandarmem do Benjaminu Tysona. Żandarmi zatrzymali się przed stołem obrony. Po chwili ciszy Larson zapytał grzecznie:

- Czy pozwoli pan ze mną, sir?

Ben uściśnął dłoń Vince'a, sięgnął po leżącą na stole czapkę, obszedł stół i dołączył do żandarmów. Wciąż nie ufał sobie na tyle, by spojrzeć na rodzinę. Żandarmi stanęli po jego obu stronach i tak wyszli przez boczne drzwi, a potem przez długi, biały korytarz. Tyson zauważył, że po drodze nie spotkali nikogo. Ciszę zakłócały tylko ich kroki

Doszli do drzwi na tyłach kaplicy. Żandarm zatrzymał się i otworzył je.

Ben włożył na głowę czapkę i wyszedł z budynku. Był chłodny zmierzch. Zobaczył intensywnie niebieskie niebo na zachodzie, przechodzące tuż nad horyzontem w barwę pomarańczową, a nad linią mostu w żółtą.

Krzepcy żandarmi uformowali wokół niego klin i eskortowali go w stronę ciemnego kształtu samochodu. W kaplicy i na korytarzu zaległa śmiertelna cisza, ale teraz dobiegły go ochryple krzyki ludzi wyłaniających się z budynku. Zobaczył kamerę telewizyjną. Błyski fleszy rozjaśniały mrok. Pojawiły się wokół niego mikrofony, które jednak żandarmi odsunęli na bok. Ponad harmider wzniósł się głos jakiegoś mężczyzny:

- Dajcie mu przejść. Dajcie mu przejść.

Jakiejś kobiecie udało się przedrzeć przez mur ciał żandarmów. Złapała go za ramię.

- Niech cię Bóg błogosławi. - W tym momencie została odepchnięta.

Tyson zorientował się, że jest koło samochodu, a potem nagle był już w środku. Sierżant Larson wsunął się na miejsce obok niego, potem otworzyły się drugie drzwi i inny żandarm wcisnął się z drugiej strony. Drzwi zatrzasnęły się.

- Proszę położyć ręce na przednim oparciu - poprosił sierżant Larson.

Ben zrobił to, o co go poproszono, a żandarm zapiął na jego nadgarstkach parę kajdanków. Tyson uświadomił sobie ze zdziwieniem, jak bardzo są ciężkie.

Samochód ruszył powoli po trawniku, oblegany przez tłum ludzi, hałasował klakson, kierowca klął.

- Nie muszę już się martwić pańskimi wieczornymi biegami, prawda?

Ben odwrócił się i napotkał wzrok patrzącego wprost na niego kapitana Gallaghera. Już miał mu powiedzieć coś nieprzyjemnego, kiedy uprzytomnił sobie, że nie jest wolnym człowiekiem, który może mówić, co tylko ma ochotę.

Wydawało się, że Gallagher w tym samym momencie pojął, że przestał być zabawny, i twarz mu zmiękła.

- Od godziny już czekaliśmy, ale jeśli chce pan usłyszeć prawdę, Tyson, to nie chciałem pana widzieć w tym samochodzie.

- Tak jest, sir.

Samochód uwolnił się od tłumu, za to zyskał dwa jeepy jako eskortę. Jechali teraz szybko w górę Lee Avenue.

Ben dopiero teraz zauważył, że mężczyzna na przednim siedzeniu jest cywilem. W tej chwili pasażer odwrócił się do niego.

- Musimy porozmawiać, zanim odczytają ci wyrok, asie.

Tyson spojrział na Cheta Browna.

- Nie sądzę - wycedził.

Brown wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Zobaczymy - powiedział.

Gallagher wyciągnął z kieszeni piersiówkę i odkręcił zakrętkę.

- Pozwól, że ci postawię jednego.

- Nie mam ochoty - odparł Ben.

Kapitan także wzruszył ramionami i zakręcił piersiówkę. Zawahał się, ale potem wsunął ją do kieszeni munduru Tysona.

- Zatrzymaj ją.

Ben uświadomił sobie, że nie kierują się w stronę bramy, i zrozumiał, że nie jadą do Fortu Dix.

Gallagher przyglądał mu się przez chwilę.

- Areszt na terenie jednostki. Tylko na weekend. Do odczytania wyroku w poniedziałek. A potem... potem...

- Potem - odezwał się z przedniego siedzenia Brown - będzie zależało od tego upartego skurwiela, gdzie się znajdzie.

Tyson rzucił ciche „Pieprz się”. Nikt się na niego nie obruszył.

Samochód zatrzymał się przed biurem komendanta żandarmerii. Wkrótce potem Ben siedział w małej celi, której ściany wyłożono beżowymi blokami glazury. Sierżant Larson zdjął mu kajdanki i wyszedł. Dał się słyszeć ciężki odgłos uderzenia wykonanych z krat drzwi. Kiedy żandarm poszedł do biura wypełnić papiery aresztanta, po drugiej stronie kraty znalazł się Brown.

- Jedyne, czego chcemy, to twojego zapewnienia - na piśmie - że już do końca życia nie będziesz nic na ten temat mówił.

- Odpieprz się.

- Oczywiście poza kilkoma starannie dobranymi słowami od czasu do czasu dla wykazania, jakie pozytywne strony miało twoje spotkanie z rządem i wojskową sprawiedliwością.

- Idź na spacer.

- Wypełniłeś właściwie proponowany ci układ, choć wcale się na niego nie zgodziłeś. Nie powiedziałeś ani słowa dziennikarzom. Doceniamy to. Twój adwokat również zachowywał się przyzwoicie. -Brown wyciągnął z kieszeni na piersiach jakieś papiery. - Przeczytasz to i podpiszesz.

- Zjeżdżaj, Chet.

- W jednym z tych papierów napisano, że nie będziesz powracał do sprawy powtórnego wezwania cię do wojska ani pytał, dlaczego ci którzy naprawdę popełnili zbrodnię, są poza zasięgiem prawa. To tematy dla rządu bardzo drażliwe.

- Ja również jestem drażliwy na ich punkcie.

Brown podszedł bliżej, oparł ręce na kratkach i wsunął pomiędzy nie twarz. Uważnie śledził wzrokiem Tysona stojącego dobre kilka kroków dalej, jakby w pełni świadomy, że choć w klatce, nadal jest on niebezpieczny.

- Czy wiesz, Ben - powiedział prawie rozbawionym tonem - że spośród dwudziestu pięciu ludzi wplątanych na początku w sprawę My Lai w stosunku do osiemnastu nigdy nie postawiono zarzutów, ponieważ zostali wcześniej zwolnieni ze służby? Rząd miał więcej niż wystarczająco dużo czasu, by zamknąć sprawę we właściwym momencie, ale nie chciał tego. A co do pozostałych, którzy nadal byli w wojsku, większość nigdy nie została oskarżona, ponieważ miejscowy komendant nie postawił im takich zarzutów jak tobie generał Peters. Oczywiście Peters potrzebował lekkiego kuksańca. Ale wojsko lubi własny system. Z ludzi, którzy trafili pod sąd po sprawie My Lai, wszyscy zostali uniewinnieni poza Calleyem. To właśnie nazywamy teraz bałaganem My Lai. I po tych wszystkich latach system nic a nic się nie zmienił. Rząd i Ministerstwo Sprawiedliwości chcieliby coś z tym zrobić, żeby Stany Zjednoczone już nigdy nie znalazły się w kłopotliwej sytuacji uniemożliwiającej skazanie żołnierza za zbrodnię wojenne. To szlachetny cel.

- Tak szlachetny, że nikt o nim nie pomyślał przez dwadzieścia lat.

- No cóż, nie wszystko da się załatwić szybko, prawda? Problem w tym, że wojsko nie chce, by system się zmienił. O to teraz idzie walka. I dlatego wolimy, żebyś się w to nie mieszał.

- Jacy my? Gdybym wiedział, dla kogo pracujesz, może bym cię wysłuchał. Dla mnie równie dobrze możesz reprezentować wojsko albo Izbę Wojskową.

- Może. Mogę też być cywilem. To nie ma znaczenia.

- Właśnie, że ma.

Brown pomachał papierami.

- Jeśli podpiszesz, to niezależnie od wyroku prezydent uwolni cię zgodnie z prawem łaski w ciągu trzydziestu dni. Jeszcze w czasie pobytu na terenie Dix. Nigdy nie zobaczysz Kansas.

- Gdzie byłeś przed werdyktem, mądralo? Kiedy cię potrzebowałem.

- Och, nic nie mogłem poradzić na werdykt. - Brown uśmiechnął się. - Ani nawet na

wymiar kary, jaki ci przysolą. Nie mogę rozmawiać z ławą składającą się z wojskowych. Ale mogę rozmawiać z dowódcami i dopilnować, żebyś został zwolniony przed... powiedzmy Świętem Dziękczynienia. Indyka będziesz już jadł w swojej własnej jadalni w Garden City. Smakuje znacznie lepiej niż indyk w Leavenworth.

- Przeszukiwałeś mój dom.

- Twój dom został wysprzątny przez firmę Błysk i Blask.

- Jesteś gówniarzem.

Brown wrzucił papiery przez kraty, wylądowały na środku betonowej podłogi.

- Między innymi zgadzasz się nie rozmawiać z dziennikarzami, potwierdzasz, że rząd potraktował cię sprawiedliwie, obiecujesz nie pisać i nie wygłaszać oświadczeń, i tak dalej. A ja przyrzekam, że dostarczę cię do domciu całego i w dobrym zdrowiu. Dostaniesz nawet z powrotem swoją lepiej niż znakomicie płatną pracę.

Tyson przyjrzał się papierom leżącym na podłodze.

- Dobra, Chet, jeśli to mi możesz obiecać, przejrzę papiery.

- W porządku. *Adios, amigo*. Śpij dobrze. I powiem ci, trzymałeś się znakomicie. Ja bym nie dał rady. A w poniedziałek, jeśli wejdiesz do gry, możesz się z nich śmiać, choćby ci wlepili dziesięć czy nawet dwadzieścia lat.

- Tak.

- Dziś wieczorem nie będziesz miał żadnych gości, więc niech ci nie chodzą po głowie jakieś myśli, że mógłbyś te papiery oddać swemu adwokatowi. Zabieram je jutro o szóstej rano. Podpisane lub nie.

- A co z kopią dla mnie?

Brown roześmiał się, odwrócił i wyszedł.

Ben rozejrzał się po celi i usiadł na pryczy. Jeszcze raz zerknął na leżące na podłodze papiery, potem ściągnął czapkę i buty i położył się.

- Dostaję coraz to mniejszą kwaterę - stwierdził.

Pod drzwiami celi podszedł sierżant Larson.

- Chce się pan napić?

- Nie, dziękuję.

- Dzwonił pański adwokat. Powiedział, że przyjdzie się spotkać z panem o siódmej rano.

- Dobra.

- Prosił, żeby się pan zastanowił nad oświadczeniem w sprawie zmniejszenia wymiaru kary.

- Zastanowię się.

- Czy coś mógłbym panu przynieść?

- Klucze.

Żandarm roześmiał się.

- W wieczornych gazetach będzie mnóstwo na temat rozprawy. Chciałby pan je przejrzeć?

- Kiedy raz się czytało o sędzię wojskowym, zna się już wszystkie,

Larson.

- To prawda. Czy wszystko było dobre?

- Co...?

- Lunch. Muszę powiedzieć żonie.

- Och, tak. Wspaniałe kotlety wołowe.

- To był kurczak.

- Nie szkodzi.

- A jak tam właściwie było?

- Gdzie?

- W Wietnamie. Jak to jest, gdy się walczy?

Tyson przez chwilę zastanawiał się.

- Nie mogę powiedzieć - powiedział wreszcie.

- Ale pan się bił?

- No chyba. Ale teraz jestem w domu. Wojna skończyła się.

Rozdział 50

W sobotę rano o godzinie piątej trzydzieści Tysona obudził żandarm, który zaprowadził go do latryny, a potem pod prysznic. Wręczył mu standardowy zestaw toaletowy i poinformował, co wolno, a czego nie.

- Ma pan dwadzieścia minut - dodał na końcu.

Poza Benem w niewielkim pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch więźniów, którzy nie mieli wiele do powiedzenia.

- Upieprzyli cię jak złoto, jeszcze o czymś takim w życiu nie słyszałem - powiedział wreszcie jeden.

Drugi dodał, że po raz pierwszy jest w latrynie z oficerem. Tyson nie bardzo rozumiał, czy jest to dla żołnierza honor czy niewygodą, ale wolał nie pytać.

Ogolił się, wziął prysznic, a potem złożył ręcznik w kostkę i położył go, tak jak mu kazano, na umywalce. Razem z żołnierzami oczyścił latrynę. Wycierał do czysta kabinę prysznicową, kiedy zjawił się żandarm.

- Do cel, panowie.

Ben odmaszerował do celi, będąc cały czas w samej bieliźnie. Potem wciągnął spodnie i koszulę, ale górę munduru zostawił na metalowym haku na ścianie. Uczesał się przeglądając się w niewielkim połowym lustrze, kawałku wypolerowanego metalu wiszącym dziwnie nisko. Jego odbicie było niewyraźne, co traktował raczej jako błogosławieństwo niż niewygodę.

Dokładnie o godzinie szóstej pojawił się Chet Brown z kawą.

Spojrzał na nie ruszone papiery.

- Oferta jest ważna tylko teraz. Kiedy usłyszysz wyrok, nie będziemy mieli już o czym rozmawiać - powiedział. - Więc nie próbuj grać w ten sposób. - Podał przez kratę pojemnik z kawą.

- Nie mam ochoty.

Brown wzruszył ramionami, zdjął pokrywkę i sam wypił. Tyson usiadł na skraju pryczy i zapalił papierosa.

- Niech ci się nie wydaje - mówił dalej Chet - że to będzie takie łatwe, Ben. Więzienie wciąga. A ludzie twojego pokroju nie znoszą go dobrze.

- Jacy są ludzie mojego pokroju?

- Mogą ci dać od dziesięciu do dwudziestu lat. A ja już nie wrócę z propozycją. Ponieważ jeśli tyle dostaniesz, nie będziesz dla nikogo kłopotliwy.

Ben strząsnął popiół do puszki wypełnionej wodą.

- Mogą cię też powiesić, wiesz przecież - dodał Brown.

Tyson ziewnął.

- Dlaczego nie chcesz się zgodzić na coś, co już i tak zrobiłeś? - zapytał Chet.

- Dlatego, pusta główko, że gdybym chciał coś zrobić, to będę mógł. Wybór należy do mnie. Ale jeśli przykładacie pistolet do głowy, żebym coś zrobił, mogę powiedzieć, odpieprzcie się. Capice?

Chet Brown wyglądał na niezadowolonego.

- Nie miałeś tych skrupułów, kiedy twoi ludzie mordowali pielęgniarce i niemowlęta - stwierdził sarkastycznie.

Ben odetchnął głęboko.

- Nie, nie miałem. Dlatego właśnie tutaj jestem. Ale to nie oznacza, że muszę wchodzić z tobą w układy. Odejdź.

Brown otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Popatrzył na papiery na podłodze.

- Wezmę je.

Tyson wstał i kopnął papiery, tak że znalazły się tuż przy kratkach.

- Krok w tył, morderco - powiedział Chet.

Ben zrobił krok w tył.

Brown pochylił się i błyskawicznie złapał papiery wylewając sobie kawę na spodnie.

- Cholera.

- Jakiś nerwowy jesteś dziś rano, Chet.

Brown wytarł kawę chusteczką.

- Posłuchaj - powiedział do Tysona - jeśli wszystko ułoży się dla ciebie dobrze, możemy pogadać o pracy dla rządu. Poszukaj mnie.

- Jak mam cię znaleźć, Chet?

- Po prostu powiedz publicznie coś, co nie będzie mi się podobało. Zgłoszę się.

- Nie strasz, bo się wścieknę.

- 'Staram się być pomocny, nic więcej. Lubię cię.

- Nie wiesz, co się dzieje z Danem Kellym i siostrą Teresą? -zapytał Ben.

- Może i wiem.

Tyson i Brown patrzyli przez chwilę na siebie.

- Prawdopodobnie odezwą się niedługo do ciebie. Ale nie na pewno - powiedział Chet.

Odwrócił się i wyszedł do biura komendanta żandarmerii.

Piętnaście minut później pojawił się żandarm ze śniadaniem na tacy i gazetą. Otworzył drzwi do celi, postawił tacę na pryczy i wręczył gazetę Benowi.

- Wczorajszy finał.

Tyson popatrzył na egzemplarz „New York Post”. Nagłówek krzyczał: WINNY!

- Zabierz to!

Żandarm wzruszył ramionami i wyszedł z gazetą.

Ben poczuł, że jest głodny, i rzucił się na jajecznicę, bekon i kawę. Była też wojskowym zwyczajem zupa mleczna. Żołnierze mieli zwyczaj gasić w niej papierosy. Typowe. Miał ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy, ale nie poprosił. Z biura komendanta dochodziła ostra muzyka, jaka zdaniem Tysona nie powinna być dozwolona w miejscu publicznym o szóstej rano. Doszedł do wniosku, że nie podoba mu się życie w więzieniu.

W celi było chłodno, wciągnął na siebie kurtkę munduru i poprawił krawat. Nie było żadnego okna, więc nie widział, jaka jest pogoda na zewnątrz, ale ponieważ nigdzie się nie wybierał, nie miało to znaczenia.

O siódmej drzwi biura komendanta otworzyły się znowu i w korytarzyku prowadzącym do trzech cel pojawił się Corva. Żandarm otworzył drzwi do celi Bena, a gdy adwokat wszedł do środka, zamknął je za nim.

Vince sięgnął po plastikowe krzesło i postawił je na wprost Tysona, który siedział na pryczy. Otworzył teczkę. Ben zauważył, że różniła się ona od tej, której Corva zwykle używał. Lepiej zastępowała biurko.

- Czujesz się tu całkiem swobodnie - zauważył. - Pewnie często odwiedzasz swoich klientów w więzieniu.

Adwokat zignorował uwagę.

- Naszym celem teraz - powiedział bez zbędnych wstępów - jest utrzymać cię z daleka od więzienia.

- Ja jestem w więzieniu, Vince.

Corva wyciągnął z teczki puszkę piwa i rzucił ją na pryczę.

- Schowaj - powiedział. - Nie mają nic przeciwko picciu, tylko nie chcą tego widzieć.

Tyson wsunął puszkę pod poduszkę, a wyciągnął piersiówkę, którą dał mu kapitan Gallagher. Była pusta.

- Oddaj ją Gallagherowi. - Rzucił piersiówkę Vince'owi, który schował ją do teczki.

- Czy potrzebujesz czegoś? Znaczk...? - zapytał adwokat.

Ben roześmiał się ironicznie.

- Papier listowy, cukierki? Chryste, Vince, mówiłem to samo chłopakom z mojej kompanii, kiedy trafiali do aresztu.

- Ty nie będziesz tu za długo. - Corva uśmiechnął się chłodno.

- Przyjedziesz odwiedzić mnie w Kansas? Możemy zorganizować wieczorek zapoznawczy. Wszyscy klienci Corvy.

Adwokat niespodziewanie uśmiechnął się, nawet zaśmiał.

- Klienci Corvy. To mi się podoba. Sprawy Corvy. Nie klienci.

Tyson przez moment przyglądał mu się lodowato, potem pochylił się do przodu i powiedział powoli i wyraźnie;

- Wyciągnij mnie stąd, do cholery.

- Pracuję nad tym. Ale to ty chciałeś procesu - zwrócił uwagę swemu klientowi adwokat.

Ben przez jakiś czas milczał.

- Nikt nie chce procesu. Może uważałem, że go potrzebuję. Nie umiem w tej chwili powiedzieć, co czułem, zanim Sproule ogłosił: „Sąd zebrał się”. A jeśli chodzi o ścisłość, to ktoś z odrobiną rozumu mógł przekonać swego klienta, że pomysł z sądem wojskowym nie jest najlepszy. Ktoś rozsądny mógł zatrzymać tę maszynę, zanim się rozpędziła.

Vince wyglądał, jakby liczył do dziesięciu.

- Był okres, nie tak wiele lat temu, gdy takie zarzuty mogły być odparte. Ale nie sądzę, żeby to był w dzisiejszych czasach najlepszy pomysł. Chodzi o to, że mamy nową armię.

- Ja należę do starej.

- Dobrze powiedziane. Mogę to wykorzystać. W każdym razie... - Jego wzrok spoczął gdzieś ponad lewą kieszenią na piersi Tysona. gdzie przypięte były baretki orderów. - Widzę, że zdjąłeś odznaczenie.

Ben przytaknął.

- Nie mógłbym nosić Srebrnej Gwiazdy ani Wietnamskiego Krzyża Walecznych za odwagę, jaką wykazałem 15 lutego 1968, prawda?

- Chyba nie - zgodni się Corva. - Weźmy się do pracy. W porządku, jeśli uważnie słuchałeś wyroku, to pamiętasz, że pułkownik Moore powiedział: „liczbą dwóch trzecich”. Dokładna liczba głosujących za lub przeciw nie jest jawna, ale podaje się stosunek głosów. Ponieważ w ławie zasiadało sześciu oficerów, gdyby stosunek głosów wynosił pięć do jednego, Moore powiedziałby, że za winnego uznało cię trzy czwarte głosujących. Teraz już wiemy to, co od razu podejrzewałem. Dwie osoby głosowały za uniewinnieniem, a to oznacza, że dwie osoby będą silnie optować za niskim wymiarem kary. Nadażasz?

Tyson przytaknął.

- Tak więc Pierce ma powód do zmartwienia - kontynuował adwokat. - Był przygotowany do ostrego ataku i zażądania wysokiego wymiaru kary. Teraz, kiedy plany mu się pokrzyżowały, przyszedł do mnie z propozycją. Mianowicie, byśmy wyłożyli wszystkie argumenty mające na celu zmniejszenie wymiaru kary, począwszy od

ściągnięcia Levina i twojej żony, by wychwalali twój charakter, po złożeniu wniosków o nadanie medali i tak dalej, a wtedy on zaproponuje pięć lat. Chciałbym, byś zrozumiał, że ta część rozprawy jest ogromnie ważna. Znam bardzo trudne procesy, po których oskarżony otrzymał zaledwie rok, a nawet mniej. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale życie w wojsku różni się od cywilnego. Żołnierza można ukarać na wiele sposobów, obniżyć jego stopień, zabrać żołd, zastosować areszt domowy i takie tam różne. Więc czas pobytu w więzieniu w przypadku wojskowych jest zazwyczaj krótszy niż cywilów. Poza tym ława będzie w czasie ustalania wymiaru kary brała pod uwagę nie tylko to, co zrobiłeś, ale również kim jesteś. Ważne może okazać się wszystko, czego dokonałeś w życiu, zarówno jako człowiek, jak i oficer. Nawet to, jak się zachowywałeś w czasie rozprawy.

- A co z twoim zachowaniem?

- Tak, moje liczy się także - zgodził się Vince. - I to nie jest wcale żart, Ben. Nie mogę robić przedstawienia, co się zdarza w sądach cywilnych. Była bardzo głośna sprawa kapitana, który zatrudnił cywilnego prawnika. Ten nie tylko był nieprzyjemny, ale wręcz naubliżał ławie, grożąc im pozwem cywilnym. Kapitan dostał maksa w Kansas. Tak więc jeśli ja się nie zachowuję jak adwokat z telewizji, wiesz już dlaczego. W porządku?

- W porządku.

- No to co mam powiedzieć Pierce'owi?

- Co byś powiedział na: „Pierce, odpieprz się!”

Corva uśmiechnął się.

- Brzmi nieźle. Ale ujmę to jednak nieco inaczej. Następny punkt. Jak zauważyłeś, zmienione zostało sformułowanie zarzutów. Innymi słowy, ława nie wierzy Brandtowi i Farleyowi, że ty rozkazałeś swoim ludziom kogokolwiek sprzątnąć lub że sam brałeś udział w działaniach zagrażających ludzkiemu życiu. To był policzek wymierzony Pierce'owi, nie mówiąc już o tym, że właściwie nazwał Brandta kłamcą, no i Farleya również. Jeden z komentatorów w wieczornym programie telewizyjnym oświadczył, że zeznania Brandta są w oczywisty sposób kłamliwe. A więc ty odniosłeś pyrrusowe zwycięstwo, a Brandt ma problemy. Ale to ty jesteś pod kluczem. Warto było?

- Zobaczymy, jak ogłoszą wyrok. - Ben wzruszył ramionami. - Ja jeszcze nie skończyłem z doktorem Brandtem. Gdy stanę wreszcie na miejscu świadków, będę miał kilka rzeczy do powiedzenia...

- Nic nie powiesz. Kiedy tam staniesz, będziesz mówił o sobie, a nie o Brandcie. Mieliśmy naszą szansę, by podważyć jego zeznanie. -Adwokat patrzył Tysonowi prosto w oczy. - Kiedy staniesz na miejsca dla świadków, Ben, powiesz prawdę. Opowiesz, kto mordował ludzi, a kto nie. A potem powiesz im także, że zabiłeś Larry'ego Cane'a. I że twój oddział zbuntował się, oszalał, i że o mało nie zostałeś zamordowany, gdy próbowałeś ich

powstrzymać - a tak przy okazji, kto mierzył do ciebie?

- Farley, Simcox i Beltran.

Vince pokręcił głową.

- Powiesz, że bałeś się jak diabli i dlatego przysiągłeś dawać fałszywe świadectwo. I że czułeś się lojalny w stosunku do swoich ludzi. A potem opowiesz o tym, jak Brandt zgwałcił tę małą dziewczynkę. *Capice?*

Tyson przytaknął.

- Czyja... to znaczy na temat Cane'a... czy to konieczne?

- Absolutnie. - Corva przyglądał się mu uważnie. - Ława na podstawie tego, co mówili Brandt i Farley, zrozumiała, że miałeś do czynienia z buntem. Sąd wojskowy nie lubi słuchać o buntujących się oddziałach. To zawsze przeraża oficerów. Ale jeszcze mniej mu się podoba, kiedy słyszy, że oficer stoi pogwizdując sobie hymn Stanów Zjednoczonych, podczas gdy jego ludzie mordują Bogu ducha winnych cywilów.

- Rozumiem.

- Annały historii wojska pełne są przykładów, jak to oficerowie tłumią powstania, chociaż żołnierze mieli przewagę liczebną bilion do jednego, są też pełne opowieści o oficerach, którzy umierali, aby zapobiec buntom, masakrom, gwałtom, grabieżom i co tam jeszcze chcesz. Znakomita część kodeksu oficerskiego oparta jest na wizerunku rycerza pełnego cnót szlacheckich. Nie uczyli cię o tym?

- Byłem na wagarach.

- Tak czy siak staniesz tam i powiesz im, że nadstawiałeś własnego karku, zastrzeliłeś amerykańskiego żołnierza, co było twoim obowiązkiem, a potem dostałeś kolbą w łeb i padłeś nieprzytomny. Powiesz im, że wypełniłeś swoje zadanie do chwili, kiedy znalazłeś się cały i zdrow w bazie, gdzie nie zgłosiłeś buntu ani masakry, podpalenia, ataku na oficera i tak dalej. Dopiero wtedy spieprzyłeś sprawę. To właśnie im powiesz.

- Myślisz, że mi uwierzą?

Adwokat nachylił się nad teczką.

- Uwierzą, jeśli ty im to powiesz, Ben. Ta historia uzupełnia wszystkie brakujące miejsca. Tak się też składa, że jest prawdziwa. A oni już orientują się, że Brandt i Farley kłamią, będą więc wiedzieli, że ty mówisz prawdę.

Tyson siedział cicho przez długi czas.

- Czuję się nie w porządku w stosunku do całej reszty - powiedział wreszcie. - W stosunku do tych, którzy podpisali zaprzysiężone zeznanie, i do tych, którzy nie żyją, do rodzin, które uważają ich za bohaterów. Do rodziny Larry'ego Cane'a, która myśli, że zginął podczas akcji... - Spojrzał na Vince'a. Ale nadszedł czas, by uporządkować sprawy, prawda?

- Tak, już czas. Szczególnie, że byli tacy, którzy nie zastrzelili nikogo. Prawda?

Ben przytaknął.

- Tak. Z tych, co żyją, tylko Kelly, ja i Brandt nie pociągnęliśmy za spust.

- Skąd jesteś taki pewien co do Kelly'ego i Brandta? Nie byłeś z nimi przez cały czas.

- To wyszło później. Ale od początku byłem tego pewien. O Brandcie da się powiedzieć wiele paskudnych rzeczy, ale on nie był...

- Kim? Zabójcą?

- Właśnie - przytaknął Tyson. - Jeśli mamy uporządkować sprawy, musimy być uczciwi także w stosunku do Brandta.

- Myślę, że tylko w to mogą ci nie uwierzyć - stwierdził Corva. Dlatego to im powie Kelly.

Ben zerwał się na równe nogi. Adwokat siedział.

- Pułkownik Farnley Gilmer nie zamknął śledztwa na czas rozprawy w sądzie, tak jak się to niekiedy robi. Właśnie poinformował mnie, że Daniel Kelly dał znak życia. A właściwie firma prawnicza reprezentująca Kelly'ego skontaktowała się z Gilmerem. Przez przypadek firma ta to Connors, Newhouse i Irving, o której się mówi, że reprezentuje ludzi CIA. Najwyraźniej ktoś gdzieś zdecydował, że Kelly może się na chwilę ujawnić.

- To Kelly zdecydował. Na pewno upierał się.

- Ale nie składał zeznań w czasie pierwszej części rozprawy - zauważył Vince. - Wtedy musiałby albo kłamać, gdyby był naszym świadkiem, albo powiedzieć prawdę jako świadek oskarżenia. Gdyby Pierce w ogóle go wezwał. Teraz, kiedy trakt został wyznaczony, może stanąć jako nasz świadek podczas wystąpienia o zmniejszenie wymiaru kary. Może zostać postawiony w krzyżowy ogień pytań, ale Pierce jest za rozsądny, żeby to robić.

- Daniel Kelly - powiedział Tyson jakby do siebie. - Boże, mógł rozpędzić to wszystko na cztery wiatry. Jego zeznanie nie zgadzałyby się ani z naszym, ani z wyjaśnieniami świadków oskarżenia. Gdyby powiedział prawdę.

- Starzy piechociarze z ławy - przytaknął Corva - zrozumieliby, że Kelly, jako twój radiooperator, rzadko był dalej niż na wyciągnięcie ramienia od ciebie. Był twoim cieniem, twoim pomocnikiem, twoim *consigliere*.

- Co do tego ostatniego, to nie wiem - powiedział Ben. - Ale wiem, że szedł za mną do buszu, nawet jak się oddalałem za potrzebą. Pamiętam tylko dwie sytuacje, kiedy byliśmy rozdzieleni. Raz, gdy uderzył mnie w szpitalu, i później w Strawberry Paten. Wtedy weszli pomiędzy nas uciekinierzy.

- Ponieważ pojawił się zupełnie nowy świadek, mogę otworzyć całą sprawę od nowa. Ale nie sądzę, by doprowadziło to do uniewinnienia. Nic nie zmieni faktu, że ukrywałeś masowe morderstwo, a słowa: „spowodowanie, że zostali zastrzeleni” w treści wyroku można interpretować jako opis sytuacji, kiedy uderzyłeś doktora Monteau, co potem przez ciąg wydarzeń wywołało masakrę. - Adwokat spojrzał na Tysona. - Naprawdę wywołało, sam to wiesz.

- Wiem.

- Ale kiedy otworzymy na nowo rozprawę, Pierce może także zmienić kilka słów w oskarżeniu i wszystko będzie pasowało.

- Nie chcę powtórnej rozprawy, Vince. Wszyscy mają już tego dość. Po prostu nie chcę trafić do więzienia. Mogę żyć z piętnem winy.

- Rozumiem. I możesz żyć zupełnie nieźle, kiedy Kelly zezna, że widział, jak Brandt gwałci tę dziewczynkę.

- Tak. - Ben westchnął głęboko.

- A przy okazji, co się zdarzyło w Strawberry Patch? Harper myśli, że Brandt stchórzył i nie poszedł, by cię opatrzeć, kiedy leżałeś pod obstrzałem.

- Nie stchórzył. - Tyson pokręcił głową. - Był tak odważny, że poczęstował mnie zbyt dużą dawką morfiny.

- Jezu Chryste! - Oczy Corvy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Ale na to nie ma świadków - powiedział Ben. - Nie było przy mnie Kelly'ego ani w ogóle nikogo. Sam nie jestem w stu procentach pewien, że to się stało. Zbrodnia prawie doskonała.

- I o tym nie możesz opowiedzieć w sądzie, Ben - powiedział adwokat. - Za zniesławienie oskubałby cię w każdym sądzie do ostatniej koszuli. Ława może by i uwierzyła w to, ale... bez świadków... z twoich ust... zapomnij o tym. Tego rachunku nigdy nie uregulujesz. - Spojrzał na Tysona. - Niezły miałeś oddział, poruczniku. Gwałt,

morderstwo, spisek, zemsta, bunt... i co jeszcze? Może kradliście kurczaki?

- Jeśli już o to chodzi, wcale nie byli tacy źli - zachnął się Ben. - W każdym razie nie na początku. Ale człowiek może wytrzymać tylko określoną ilość trudu, makabry i nieprzyzwoitości, potem przestaje funkcjonować normalnie. Ty to wiesz. Nie masz prawa ich osądzać!

- Przepraszam.

- Ja nie osądzam ich zbyt ostro. Nawet Brandta. To znaczy tego, że chciał mnie zabić.

- Ponieważ ty myślałeś o tym, by zabić jego.

- Tak, właśnie dlatego. - Tyson uśmiechnął się. - Rozumiałem go. Wietnamskie rozwiązanie. Ktoś ci przeszkadza? Psuje ci humor? Masz przecież M-16 z amunicją. A kiedy jesteś sanitariuszem, wystarczy trochę czystej morfiny i cześć.

Vince zamknął z trzaskiem teczkę i podniósł się.

- Do jutra. Będę na mszy w kaplicy o dziesiątej, a potem przyjdę tutaj. Przerobimy lekcję pod tytułem: okoliczności łagodzące.

- A co robisz dziś po południu? Ja mam wolne.

Corva uśmiechnął się.

- Dzisiejszy dzień zamierzam spędzić z Danielem Kellym i jego prawnikami w ich śródmiejskim biurze.

- Dobrze. Polubisz go.

- Może tak by się stało osiemnaście lat temu. Ludzie się zmieniają.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się.

Adwokat podszedł do drzwi celi. Zawahał się.

- Jeszcze jedno - powiedział. - To nie jest pewne, ale pułkownik Gilmer mówił mi, że miał wiadomość z Interpolu...

Ben zrobił krok w kierunku Vince'a.

- Znaleźli ją.

- Może. I nie we Francji, gdzie wszyscy szukali. We Włoszech. Wydaje im się, że to ta sama kobieta. Będę dzisiaj wiedział. Chyba nie chcę, żeby zeznawała. No cóż... może nie

będziemy mogli jej powołać.

- O czym ty mówisz?

- Powiem ci po rozmowie z Gilmerem.

- 'Nic ma sensu jej wzywać. Sprawa jest zamknięta. Mamy Kelly'ego, żeby walczyć o zmniejszenie wymiaru kary. I ja będę zeznawał na swoją korzyść.

Corva podrapał się po nosie.

- Ona może powiedzieć, że uratowałeś jej życie - powiedział.

Tyson nie odpowiedział.

- Ben jeśli ta kobieta we Włoszech jest siostrą Teresą - dodał adwokat - to ja chciałbym z nią porozmawiać. I uważam, że skoro jest twoją przyjaciółką, może chcieć ci pomóc. Ty jej pomogłeś. - Vince przez chwilę przyglądał się Tysonowi. - Jeśli to było coś więcej niż przyjaźń... i skończyło się nie tak... to może rzeczywiście najlepiej będzie ją zostawić...

Ben przez jakiś czas wpatrywał się w podłogę.

- Ta kobieta była zakonnica, Vince - oświadczył wreszcie.

- Oczywiście.

Tyson masował podbródek.

- Tylko bez tych twoich zaskakujących pojednań. Dobrze?

- Jasne. - Corva wyciągnął z kieszeni kopertę. - List od żony.

Ben wyciągnął rękę.

- Ona kocha cię głęboko, namiętnie, do szaleństwa - powiedział adwokat.

- Czytasz moją korespondencję?

- Ależ nie. To mi powiedziała moja żona. Przeniosła się na ten weekend do twojej,

- A z kim ty spędzasz wolny czas?

- Z Kellym i jego raczej nieortodoksyjnym prawnikiem. No i czekam na telefon od siostry Teresy. Z tłumaczem.

- Naprawdę? Nie jesteś taki niekompetentny, na jakiego wyglądasz. Z jakiego języka!

Greckiego?

- Nie, francuskiego.

- Dlaczego nie wietnamskiego?

- Po pierwsze, dlatego, że takiego tłumacza trudniej znaleźć. A poza tym ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył na sali sądowej, to obecność Wietnamczyka. Rozumiesz?

- *Compris.*

- W każdym razie, jeśli mi się uda zmontować całe przedstawienie na poniedziałek rano, poproszę o dodatkowy dzień lub dwa. - Vince zerknął na zegarek. Muszę zjeść śniadanie. Przez ciebie mam spieprzony cały weekend.

- Mój także nie zapowiada się najlepiej. Na dziś wieczór mam bilety do teatru. Chcę stąd wyjść, Vince. W poniedziałek wieczór chcę oglądać mecz piłki nożnej w swoim własnym domu, w Garden City.

- Zrobię wszystko, co będę mógł. Pamiętaj jednak, że w sądzie wojskowym nie składa się kaucji. Ale może mi się uda załatwić coś, co nazywają tu odroczeniem. To by oznaczało powrót do aresztu domowego do czasu zakończenia sprawy ze wszystkimi apelacjami i w ogóle.

- Zrób to.

Tysonowi przypomniał się Chet Brown.

- Czy jest możliwość negocjowania wyroku? Chodzi mi o to, czy taka forma jest legalna?

Corva spojrział na niego.

- Zgodnie z prawem wojskowym nie istnieje forma targowania się stron ani negocjacji wyroku. A zgodnie z prawem w ogóle, coś takiego może się zdarzyć tylko na prośbę oskarżonego lub obrońcy. Dlaczego pytasz? Czy ktoś z tobą rozmawiał?

- Nie. Tak się tylko zastanawiałem.

- A przy okazji - powiedział adwokat - nie tylko ja mam prawo cię tu odwiedzać.

- Nie chcę żadnych gości.

- W porządku. Ale zapytać musiałem. - Vince odwrócił się i nacisnął guzik umieszczony w ścianie tuż przy drzwiach do celi.

- Wiesz, jak się tu poruszać - skomentował Ben.

- Bywałem już w więzieniu. I jeszcze jedna rada, stosuj się do ich debilnych zasad. Więzienie wojskowe nie jest miejscem, gdzie można egzekwować swoje prawa.

W tym momencie zjawił się żandarm z kluczami i otworzył kratę.

- Chciałbym, żebyś mi opowiedział, jak zdobyłeś Brązową Gwiazdę - powiedział Tyson do Corvy.

- Kiedyś przy okazji. - Adwokat uśmiechnął się.

Wyszedł z celi. A gdy żandarm zamknął drzwi, Vince powiedział przez kraty:

- Pierwszy pluton Kompanii Alfa prawie zakończył egzorcyzmy.

I odszedł z żandarmem.

Ben siedział na środku małej celi przez pełną minutę, potem spojrzał na kopertę, którą trzymał w ręce. Otworzył ją i przeczytał list.

Drogi Benie!

Rozumiem, dlaczego nie chciałeś mnie widzieć, kiedy czekałeś na werdykt, i rozumiem, czemu nie chcesz mnie widzieć teraz. Ale nie rozumiem, jeśli nie wyślesz mi dzisiaj listu, w którym powiesz, że wciąż mnie kochasz tak jak ja ciebie.

Marcy

PS. Byłeś bardzo dzielny. Twoja matka mówi, że powinieneś podbić pułkownikowi Pierce'owi oko.

Tyson przeczytał krótką notatkę jeszcze raz, a potem podszedł do guzika i nacisnął. Kiedy zjawił się żandarm, poprosił o papier listowy i długopis.

Rozdział 51

W poniedziałek drzwi do celi otworzyły się o godzinie dziewiątej trzydzieści. Tyson z Corwą wkroczyli do biura komendanta żandarmerii.

- Bez kajdanek - zwrócił się adwokat do kapitana Gallaghera. - W porządku?

Gallagher kiwnął głową.

- Ale jeśli się coś stanie, pan odpowiada.

- Niech pan nie będzie kutasem, kapitanie - powiedział Vince.

- Tak jest, sir. Postaram się nie być.

Corva i Ben wyszli z budynku i wsiedli na tylne siedzenie oliwkowego samochodu. Z przodu usadowiło się dwóch żandarmów, których Tyson widział po raz pierwszy. Po chwili ruszyli w stronę kaplicy.

- Ten weekend nie należał dla mnie do najbardziej udanych.

Zatrzymali się przy tylnym wejściu do kaplicy. Oczekiwało tu na nich jeszcze dwóch uzbrojonych żandarmów, którzy zaprowadzili ich od razu na salę.

Dzień był wyjątkowo piękny, cztery wychodzące na południe okna rozświetlało poranne słońce. Ben zajął swe miejsce za stołem obrony.

- Czuję się tu jak w domu - powiedział do adwokata.

Vince przytaknął, jakby już to gdzieś kiedyś słyszał.

Na sali zbierała się już publiczność. Tyson rozejrzał się po rzędach. Dziennikarze pojawili się w pełnej gotowości, ale pozostałe ławki były tylko w trzech czwartych zajęte i większą część obecnych stanowili wojskowi. Jego siostry odjechały do domów, gdzie oczekiwali ich mężowie i praca, tylko jego matka, Marcy i David pozostali w na stanowisku. Sąsiednie miejsca świeciły pustką. Marcy nie patrzyła w jego stronę, ale David pomachał mu i Ben machnął mu ręką w odpowiedzi.

Ze znajomych osób dostrzegł jeszcze tylko pułkownika Levina, który, jak mu powiedziano, wziął na czas rozprawy urlop.

Już miał się odwrócić w stronę sądu, gdy jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie. Wzdłuż głównej nawy szedł Steven Brandt. Po chwili usiadł na wolnym miejscu, prawie bezpośrednio za Marcy.

Tyson trącił Corwę.

- Spójrz.

Adwokat podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- A on co tam robi? - zapytał Ben.

- Świadek ma prawo być obecny na sali po zapadnięciu wyroku - odparł Vince. - Myślę, że przyszedł, by zobaczyć na własne oczy, jak zostajesz skazany.

Tyson wpatrywał się uporczywie w Brandta, aż wreszcie ten spojrział na niego. Rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął się do Bena.

Ten wciąż patrząc na Brandta powiedział do Corvy:

- Zabiję skurwysyna.

- Uspokój się, ludzie na ciebie patrzą.

Ben zorientował się, że tak rzeczywiście było. Ludzie przenosili spojrzenie z Brandta na niego i z powrotem. Zapalił papierosa.

- Skurwiel.

Dopiero po dobrych kilku minutach był w stanie spokojnie rozejrzeć się znowu. Czuł, że atmosfera w sądzie jest mniej napięta, choć nie wiedział dlaczego. Wyrok był teraz dla niego najważniejszą sprawą na świecie. A poza tym dzisiaj lub jutro on sam miał złożyć zeznania. Znowu spojrział na Marcy, ale teraz też nie napotkał jej wzroku. Patrzyła wprost przed siebie. Jego list do niej był bardzo prosty.

„Kocham cię. Ale jeśli zostanę wysłany do więzienia, nie chcę, byś na mnie czekała, ani tego nie oczekuję”.

Uważał, że to uczciwe postawienie sprawy, ale najwyraźniej pomylił się. To przekazała mu Linda Corva. Kobiety, pomyślał. Kiedy był młodszy, nie lubił, by w jego *affaires d'amour* mieszała się jakaś trzecia kobieta. Ale zdarzało się, że korzystał z nich jako ze źródeł informacji, jeśli nie zrozumienia. Wiedział, że musi napisać jeszcze jeden list.

Weszli oskarżyciele. Tyson pomyślał, że wyglądają jak trzy świnki wracające do koryta po dokładkę.

Po chwili bardzo poważnie wkroczyli członkowie ławy, wszyscy naraz, w kolejności zgodnej z rangą. Ben podejrzewał, że całe życie pułkownika Moore'a biegnie zgodnie z instrukcją musztry i wojskowym ceremoniałem.

- W trzyosobowym kiblu wybrałby ten z prawej czy ten w środku? - zapytał Corwę.

Adwokat podniósł głowę znad papierów i podążył za wzrokiem Tysona.

- A... najbardziej honorowe miejsce jest zazwyczaj po lewej, z samego skraju. Ale na estradzie i w sądach wojskowych zawsze po prawej. Przypuszczam, że podobnie może być w kiblu. Sprawdzę przy okazji.

Stojący przy bocznych drzwiach sierżant wystąpił na środek. Widzowie zaczęli podnosić się z ławek, zanim zdążył powiedzieć:

- Proszę wstać!

Wkroczył pułkownik Sproule. Ben po raz pierwszy zauważył, że sędzia ma za długie spodnie.

Sproule stanął za pulpitem, włączył lampkę, ustawił mikrofon, omiół salę swymi krótkowidzącymi oczyma, jakby sprawdzając - pomyślał Tyson - czy znalazł się we właściwym miejscu.

- Sąd zebrał się - ogłosił pułkownik.

Z kolei podniósł się Pierce.

- Wszystkie strony sprawy obecne na sali przed zarządzeniem przerwy są obecne.

Pułkownik Sproule przyjrzał się czemuś, co leżało na pulpicie.

- Celem dzisiejszej sesji jest wysłuchanie zeznań i obejrzenie dowodów, które mogą wpłynąć na ocenę i zmniejszenie winy, oraz rozważenie wszystkich okoliczności, które powinny być wzięte pod uwagę przez ławę przy wydawaniu odpowiedniego wyroku. Sąd wysłucha teraz danych personalnych oskarżonego, podanych w treści oskarżenia i innych, z jego dawnych akt personalnych, mających związek z wyrokiem.

Wstał kapitan Longo.

- Na pierwszej stronie aktu oskarżenia podane są następujące informacje dotyczące oskarżonego - powiedział, a potem odczytał formularz danych personalnych.

- Dzisiaj grają ci z drugiej ligi - powiedział Ben nachylając się do Vince'a.

- W tamtym zespole codziennie grała druga liga.

Longo czytał standardowe dane z kwestionariusza, ale kiedy doszedł do „termin zakończenia służby”, zamilkł.

- Nieokreślony - powiedział niepewnie po dobrej chwili.

Corva zerwał się.

- Sprzeciw, wysoki sędzie.

Sproule nie bawił się w pytanie, czego dotyczy sprzeciw.

- Kapitanie, to nie przedstawienie - zwrócił się ostrym tonem do Longa. - Proszę po prostu czytać.

Kapitan wyglądał na wstrząśniętego.

- Tak jest, sir - wykrztusił pochylając głowę.

Tyson zauważył, jak Pierce i Weinroth wymieniają spojrzenia mówiące „Nie trzeba było pozwolić, by ten szmondak otworzył usta”.

Longo dokończył czytanie monotonnym głosem, a potem opadł na krzesło. W tej samej chwili podniosła się major Weinroth. Zaczęła czytać dane z akt personalnych Bena, choć nie wydawały się wcale związane ze sprawą. Tyson zorientował się, że nigdy wcześniej nie słyszał, by mówiła więcej niż jedno czy dwa słowa, i teraz zaskoczył go jej głęboki, ochryply głos, który podziałał na niego zmysłowo. Zorientował się po chwili, że myśli o seksie, a potem o Kansas, miejscu, gdzie w ogóle nie było mowy o takim seksie, który jemu odpowiadał. Poczul nagły impuls, by zerwać się, dać nura pomiędzy ławki w ramiona swych zwolenników i pozwolić się wynieść w jakieś bezpieczne miejsce.

- Urywam się - szepnął do adwokata.

- Najpierw zapłać rachunek. Uspokój się.

- Tracę nerwy.

- Widzę. Chcesz przerwy?

- Nie. Wytrzymam.

Vince nalał do dwóch szklanek wodę. Ben zapalił papierosa i dmuchnął dymem w stronę Weinroth, która zerkała na niego podczas czytania. Gdy skończyła, zapytała Corwę:

- Czy oskarżony zgadza się z danymi, które zostały odczytane?

- Po tym, jak pani je przeczytała, na pewno.

Kilka osób na sali roześmiało się.

- Za chwilę odpowiem - powiedział adwokat i nachylił się do Tysona. - Wszystko w porządku?

- Nie zwracałem uwagi. - Ben wzruszył ramionami. - Medale i pochwały od dowódców po twojej pierwszej służbie wojskowej robią na ławie dobre wrażenie. Zaskakujący jest również list Levina. Ława wie, że wykonałeś dobrą robotę za pierwszym razem, a teraz jeszcze dowiedziała się, że byłeś dobrym żołnierzem służąc w jednostce Levina. - Po chwili dodał na wpół żartobliwie: - Już za samo to potrąca ci z dziesięć lat.

- W takim razie zostało nam jeszcze sześćdziesiąt. Może powiem z pamięci „Modlitwę Piechoty”?

Pułkownik Sproule odchrząknął znacząco.

- Oskarżony nie wnosi sprzeciwu w związku z odczytanymi danymi - powiedział Vince nie wstając z miejsca.

- Dlaczego ciągle jestem oskarżonym? - zapytał Tyson.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie pomyślałem.

- Te dokumenty uznane zostają za dowód rzeczowy i będą dołączone do akt sprawy. Kopie wszystkich dokumentów, które mają związek ze sprawą i mogą mieć znaczenie przy ustalaniu wyroku, zostaną dostarczone sędziom.

Ben przyglądał się uważnie oficerom zasiadającym w ławie. Dwóch z nich głosowało za uniewinnieniem go, ale nie miał pojęcia, którzy to mogli być.

Corva podążył za jego spojrzeniem.

- Major Sindel - szepnął. - Tak powiedziała moja żona.

- Możliwe. I kto jeszcze?

- Zabij, ale nie wiem. Cała reszta wygląda, jakby przez weekend budowali szafot.

- Może McGregor... - powiedział Tyson - nie, Morelli... jemu podoba się twój styl, przypominasz mu wujka Vito.

- Czy ty się dzisiaj dobrze czujesz?

- Kiepsko spałem.

- Nie dziwię się.

Adwokat przyjrzał się swemu klientowi z troską.

Sędzia zwrócił się do pułkownika Pierce'a.

- Czy oskarżenie ma dowody na okoliczności łagodzące?

- Nie, wysoki sędzie - odpowiedział Pierce.

- Czy obrona ma dowody na okoliczności łagodzące? - Sproule zwrócił się do Vince'a.

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Czy są to dowody, które mogą być przedłożone i przekazane ławie?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- W takim razie czy obrona ma zamiar wezwać świadka dla wykazania okoliczności łagodzących?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Proszę więc wezwać pierwszego świadka, panie Corva.

Adwokat odwrócił się do sierżanta.

- Obrona prosi o powołanie jako świadka pana Daniela Kelly.

Drzwi otworzyły się i wezwany w maszerował na salę. Ben od razu zauważył, że szczupły dwudziestojednoletni chłopak stał się silnie zbudowanym czterdziestolatkiem poruszającym się z gracją atlety. Jasna skóra mężczyzny opalona była na brąz, a długie, płowe włosy spadały mu na czoło. Tyson zauważył, że oczy byłego radiotelegrafisty omiotły w jednej chwili całe pomieszczenie, jakby wyszukując możliwe zasadzki oraz miejsca, w których można się ukryć. Kelly miał na sobie czarne, wełniane spodnie, biały golf i beżową, sportową marynarkę. Stał na miejscu dla świadków, spojrzał na Bena i podniósł w górę kciuk. Tyson odpowiedział mu podobnym gestem.

- Wysoki sędzie, chcielibyśmy, by było to zeznanie zaprzysiężone - zwrócił się Vince do Sproule'a.

Pułkownik przywołał Pierce'a skinieniem głowy. Ten podszedł do krzesła dla świadka. Wyglądał na zniecierpliwionego, jak człowiek, który uważa, że powinien się znajdować w zupełnie innym miejscu.

- Proszę podnieść prawą rękę.

Kelly wciąż stojąc, podniósł prawą rękę.

- Czy przysięgasz - oskarżyciel recytował szybko, słowa zlewały się w jedno - że będziesz mówił prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, tak ci dopomóż Bóg?

- Przysięgam. - Kelly usiadł nie czekając na zaproszenie pułkownika.

- Proszę podać nazwisko, miejsce zamieszkania i zawód.

- Daniel Kelly, Edgerton, Ohio, import i eksport.

Pierce, który uzyskał od Corvy trochę ogólnych wskazówek odnośnie spodziewanych zeznań, najwyraźniej dowiedział się jeszcze czegoś na temat Daniela Kelly'ego i nie chciał, by nawet pierwsze informacje od nowego świadka przeszły nie zakwestionowane.

- Czy obecnie jest pan mieszkańcem Edgerton, Ohio?

- Tak.

Oskarżyciel przyglądał się świadkowi sceptycznie.

- Czy mógłby pan dokładniej sprecyzować, czym się pan zajmuje?

- Tak, importuję i eksportuję.

Ktoś z sali roześmiał się.

- Z Edgerton w Ohio? - zapytał pułkownik głosem pełnym wątpliwości.

- Tak.

- Wysoki sędzie... - odezwał się Corva.

Sproule powstrzymał go ruchem ręki.

- Może poczeka pan z krzyżowym ogniem pytań do czasu, jak obrona zada swoje pytania świadkowi, pułkowniku Pierce.

Znowu kilka osób parsknęło śmiechem.

- Panie Corva, proszę zaczynać - powiedział sędzia.

Pierce wrócił do stołu oskarżycieli, a adwokat stanął przed pulpitem z twarzą zwróconą do Kelly'ego.

- Panie Kelly, czy mógłby pan powiedzieć, gdzie służył pan podczas wojny w Wietnamie, w jakiej funkcji i stopniu?

- Byłem specjalistą czwartego stopnia - odpowiedział mężczyzna dobrze modulowanym głosem - służyłem w pierwszym plutonie Kompanii Alfa, w Piątym Batalionie Siódmej Kawaleryjskiej, Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. Byłem radiooperatorem

dowódcy plutonu.

Ben zauważył, że wymowa i umiejętność doboru słów od czasu Wietnamu bardzo się Kelly'emu poprawiła.

- Więc był pan osobistym radiooperatorem porucznika Tysona? - zapytał Vince.

- Przez większość mojej służby tak.

- I w związku z tym miał pan częsty i bliski kontakt z dowódcą plutonu?

- Każdego dnia. Nawet spaliśmy razem. Moim obowiązkiem było go informować natychmiast o wszystkich meldunkach radiowych, tak że nie mogłem się od niego oddalać.

Corva zadał kilka pytań mających na celu ustalenie przeszłych i teraźniejszych związków Kelly'ego z Benem.

- Czy ma pan ogólne informacje na temat odbywającej się obecnie rozprawy?

- Tak.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że porucznik Tyson został uznany za winnego morderstwa?

- Tak.

- I zdecydował się pan zeznawać na jego korzyść, aby ustalić okoliczności łagodzące w sprawie, w której został uznany za winnego?

- Tak.

- Panie Kelly, czy mógłby pan opowiedzieć sądowi, co się zdarzyło rano 15 lutego 1968 roku? Chodzi mi o ten incydent przy kopcu pogrzebowym. Proszę zacząć. Od samego rana.

- Pierwszy brzask - mówił Kelly - zastał nas opuszczających miejsce, w jakim ukryliśmy się na noc.

Świadek kontynuował opowieść, używając krótkich, pełnych treści zdań, ulubionych przez wojskowych, stosował terminologię wojskową obowiązującą w Wietnamie. Ben odnosił wrażenie, jakby Kelly zdawał relację z czegoś, co się wydarzyło w ostatnim tygodniu, przypuszczał, że inni podobnie to odbierają.

Przyglądał się ławie. Widział, że Daniel Kelly zrobił dobre wrażenie na Moorze, McGregorym i Bauerze. Ale nie wiedział, czy to pomoże Benjaminowi Tysonowi. Spojrzał w stronę Brandta, który wyglądał na nieco zdenerwowanego.

- Ruszyliśmy w kierunku południowo-wschodnim, w stronę Hue - zakończył Kelly.

- Więc na kopcu pogrzebowym poza panem był jeszcze tylko porucznik Tyson, Richard Farley i Harold Simcox?

- Tak.

Wstał pułkownik Pierce,

- Wysoki sędzie. Wykazałem niezwykłą cierpliwość, wysłuchując uważnie wszystkiego, co mogło być okolicznością łagodzącą dla porucznika Tysona, ale nic takiego nie słyszałem.

- Panie Corva? - z pytaniem w głosie zwrócił się Sproule do adwokata.

- Wysoki sędzie - odpowiedział Vince - charakter zeznań w sprawie okoliczności łagodzących często polega na określeniu, w jakim stanie znajdował się oskarżony, jakie były jego intencje i jakie istniały warunki obiektywne w danym czasie. Chciałbym, wysoki sędzie, żeby pan Kelly złożył wyczerpujące zeznanie. Oczywiście strona oskarżająca może sprzeciwiać się temu czy tamtemu, ale zapewniam sąd, że dołożę starań, by cała ta historia została opowiedziana od początku do końca, nawet jeśli to miałyby oznaczać, że pan Kelly będzie tu siedział przez cały tydzień, a ja w tym czasie będę odpierał sprzeciwy. Wysoki sędzie, nie chciałbym tu nikogo urazić, ale porucznik Tyson został uznany za winnego morderstwa. A moim zadaniem jest zrobić wszystko, co w mojej mocy, by ława poznała najdrobniejsze szczegóły związane z incydem, aby mogła wydać właściwy wyrok. Chcę, by członkowie rady, zanim pójdą głosować, wiedzieli na temat porucznika Tysona i Szpitala Miłosierdzia tyle samo, co wiemy ja i pan Kelly. I chociaż fragmentami treść zeznania może wydawać się nieistotna, zapewniam wysoki sąd, że wszystko, co zostało i będzie powiedziane, ma związek z omawianą sprawą i zanim świadek zejdzie z tego miejsca, sąd zgodzi się ze mną. Taki jest mój cel, wysoki sędzie.

Sproule zastanawiał się przez chwilę.

- Pułkownik Pierce, panie Corva, proszę do mnie podejść.

Prawnicy wkroczyli na stopień prowadzący do pulpitu, po przeciwnej stronie miejsca dla świadka. Sędzia spojrzał na nich i powiedział do Pierce'a cichym głosem:

- Pułkownik, jeśli mam wierzyć panu Corvie, stara się on ustalić okoliczności łagodzące dla zbrodni, której pan dowiódł. Sugerowałbym, by dał mu pan trochę czasu, Jeśli pańskie sprzeciwy nie będą naprawdę zasadne, wykluczę pana z tej sesji. Jeśli nagle pojawienie się świadka zaskoczyło pana, zapewnię panu wystarczająco dużo czasu na przygotowanie do krzyżowego ognia pytań, podczas którego może pan zgłosić wszystkie swoje zastrzeżenia w odpowiedniej formie. Przypominam panu, że w sytuacji wątpliwej przechyla się szalę na korzyść oskarżonego. Wina została udowodniona, więc mam teraz zamiar dać obronie nawet więcej wolnej ręki, by miała szansę zmniejszyć jej zakres. Wierzę, że ława także chce usłyszeć wszystko, co łagodzi winę oskarżonego.

Oskarżyciel przez chwilę milczał.

- Tak jest, wysoki sędzie - powiedział wreszcie.

- Niech pan pozwoli mówić temu człowiekowi, panie Corva - Sproule zwrócił się do adwokata - ale sugerowałbym, by nie próbował pan rozpocząć sprawy od nowa. - Sędzia przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. - Czy wszystko jasne?

Obaj potwierdzili.

Sproule popatrzył przed siebie na zebranych.

- Proszę kontynuować odpytywanie świadka - polecił.

Pierce wrócił do stołu oskarżycieli, a Corva do krzesła świadka.

- Czy podczas incydentu na kopcu pogrzebowym - adwokat zwrócił się do Kelly'ego - słyszał pan, jak porucznik Tyson rozkazał zastrzelić wieśniaków grzebiących zmarłych?

- Tak.

- Więc... chciałbym zapytać o pańską opinię, panie Kelly... - Vince spojrział ostro w stronę oskarżyciela - ...i sąd wie, że jest to tylko opinia. Ale jako człowiek, który służył z porucznikiem Tysonem przez mniej więcej osiem miesięcy przed incydem, jak pan oceniał ten rozkaz?

- Rozkaz oczywiście był niezgodny z prawem - odpowiedział Kelly. - Ale moim zdaniem nie został wydany poważnie. Chodziło o zawstydzenie.

- Zawstydzenie kogo?

- Między innymi mnie. Farley, Simcox i ja groziliśmy wieśniakom, znieważaliśmy ich. Na przykład przeszukiwanie mogło być przeprowadzone z większym taktem. Widziałem, że porucznik Tyson jest z nas bardzo niezadowolony. A więc, można powiedzieć, zblefował. My też wtedy blefowaliśmy. Nie mieliśmy zamiaru - przynajmniej ja nie miałem - strzelać do tych ludzi. Grożenie śmiercią było blefem, który stosowaliśmy zbyt często w Wietnamie. Po wydaniu przez porucznika Tysona rozkazu, nikt się przez jakiś czas nie ruszał. On zaś nie powtórzył go ani w żaden sposób nie próbował nas zmusić do jego wykonania. Powiedział tylko: „Dobra, bohaterowie, idziemy” lub coś w tym rodzaju. Powiedział to z sarkazmem.

- Czy rozmawiał pan później z porucznikiem o tym incydencie? - zapytał Corva.

- Nie. Nie było o czym rozmawiać. Gdyby mi przez myśl przeszło, że powiedział to poważnie, oczywiście, że porozmawiałbym z nim na ten temat. Ale rozkaz był tak sprzeczny z jego charakterem, że musiał być potraktowany tak właśnie, jak potraktowany został.

- Czy rozmawiał pan na ten temat z Farleyem?

- Nie.

- Jak pan myśli, czy Farley zrozumiał, że rozkaz był blefem? Że miał was zawstydzić?

Pierce zerwał się na równe nogi, ale po zastanowieniu usiadł z powrotem.

Ben widział, że zarówno Sproule, jak i ława z zainteresowaniem słuchają opowieści. A Pierce, jak to kiedyś dawno powiedział Vince, wiedział, gdzie ustąpić. Oskarżyciel musiał ocenić, jaką wagę będzie miało pozwolenie świadkowi opowiedzenia historii, a jaką ewentualny sprzeciw.

Adwokat powtórzył pytanie.

- Farley nie był człowiekiem - odparł Kelly - który zna się na subtelnościach. Ale wierzę, że w tym przypadku zrozumiał dobrze, że porucznikowi Tysonowi nie chodziło o zastrzelenie tych ludzi. Simcox zrozumiał to na pewno. Kiedy schodziliśmy z kopca, powiedział do mnie, że porucznik Tyson jest za miękki dla żółtków. Nie przypuszczam, by powiedział coś takiego, gdyby wierzył, że porucznik poważnie kazał nam ich zastrzelić. Farley słyszał naszą rozmowę i powiedział wtedy: „No”.

Corva skinął głową.

- Dziękuję - powiedział. - Możemy iść dalej, a właściwie cofnąć się do incydentu, który miał miejsce kilka miesięcy wcześniej. Mówię o operacji wojskowej, znanej pod nazwą „Kordon”. Kompania Alfa współpracowała z wietnamską narodową policją w wiosce na południu Quang Tri. Czy pamięta pan to wydarzenie?

- Tak. Poprzednio cztery czy pięć razy braliśmy udział w operacji „Kordon”. Jeśli chodzi o tę, o której pan mówi, wszystko przebiegło zgodnie z planem. Otoczyliśmy wioskę o drugiej nad ranem. O świcie wysłaliśmy parę oddziałów, dla upewnienia się, że w wiosce nie ukryli się żołnierze nieprzyjaciela. Oddziały wróciły ze zwiadu. Godzinę później wylądował wielki helikopter i wysiadło z niego czterdziestu czy pięćdziesięciu Wietnamczyków z policji narodowej. Ich oficerowie przez chwilę rozmawiali z naszymi oficerami, którzy zapewnili, że w wiosce nie ukryły się żadne znaczne siły nieprzyjaciela. Wtedy narodowa policja wkroczyła do wioski w celu znalezienia ewentualnych ukrytych partyzantów z Vietcongu lub ich sympatyków, broni, dokumentów i tego typu rzeczy.

- Jaka jest pańska osobista ocena tego rodzaju operacji? Pytam pana dlatego, ponieważ sam byłem oficerem piechoty i wiem, co o tym myśleć.

- Dla mnie i dla wielu innych ludzi w mojej kompanii te operacje były obrzydliwe. Narodowa policja zazwyczaj - nie zawsze - zachowywała się okrutnie w stosunku do miejscowej ludności. Po obstawieniu wioski nie mieliśmy prawa do niej wkraczać, ale słyszeliśmy krzyki.

- Krzyki?

- Tak. Przesłuchania były prowadzone bardzo energicznie.

- Jak bardzo energicznie?

- Zazwyczaj za pomocą szoków elektrycznych, elektrody przyczepiano do genitaliów. Przywozili własne generatory na korbę. Mieli też zwyczaj wieszać ludzi za nogi w studniach, tak że ich prawie topili. Stosowali też inne metody przesłuchań charakterystyczne dla Wschodu, o których wolałbym tu nie mówić.

- Oczywiście. Powiedział pan, że Amerykanom nie pozwalano wchodzić do wioski podczas przesłuchań.

- Zgadza się. Jednakże niekiedy mogli tam wejść oficerowie, jeśli zaistniała potrzeba przedyskutowania spraw taktycznych z komendantami narodowej policji. Ponieważ byłem radiem porucznika Tysona, musiałem oczywiście iść razem z nim. W takich właśnie sytuacjach mogłem obserwować to, o czym już słyszałem wcześniej.

- Jaki był stosunek porucznika Tysona do tych operacji?

- Uważał, że amerykańskie oddziały nie powinny w nich brać udziału. Napisał kiedyś na ten temat notatkę do dowódcy batalionu, protestując przed wykorzystywaniem nas jako prezerwatywy, to jego słowa, do tych aktów przemocy. Po tym liście Kompania Alfa już nigdy więcej nie brała udziału w przeprowadzaniu jakiegokolwiek wspólnej operacji z narodową policją.

- Co wydarzyło się podczas operacji, o której rozmawiamy? Tej, która doprowadziła do kłótni.

- Pluton porucznika Tysona rozłożył się wzdłuż rowu nawadniającego, formując bok kordonu. Z tego miejsca mogliśmy widzieć część wioski. Wietnamczycy z policji przywiązali kilkanaście osób, wszystkich nagich, w różnym wieku i różnej płci, do studni. Widzieliśmy, jak zanurzają w wodzie pierwszą z tych osób.

- W jakim celu to robiono?

- Chciano wymusić na mieszkańcach wioski, by pokazali skrytki, gdzie schowana miała być broń lub żołnierze Vietcongu, a także, by wskazali zwolenników Vietcongu znajdujących się między nimi. Ale dla mnie to nie było lub nie stało się niczym więcej jak sadystyczno-seksualną orgią pod kiepskimi pozorami akcji wojskowej. Udawało im się często znaleźć jednego lub dwóch nieprzyjaciół i jakiś jeden karabin, ale cena była zbyt wysoka.

Ben spojrzał na zasiadających w ławie oficerów, potem na pułkownika Sproule'a, wreszcie na Pierce'a, a na koniec na publiczność. Opowieść Kelly'ego wywołała zainteresowanie, tylko przy stole oskarżycieli atmosfera stawała się nerwowa.

- Proszę mówić dalej - adwokat zwrócił się do świadka.

- Dobrze. Porucznik Tyson zaproponował, byśmy poszli do wioski porozmawiać z

lokalnym komendantem. Zawsze tak robił.

- Dlaczego?

- Wtedy trochę się uspokajali. Obecność Amerykanów zawsze tak na nich działała, do chwili kiedy odwracaliśmy się plecami. Sprzeciw porucznika Tysona w stosunku do tego rodzaju operacji częściowo wypływał ze współczucia, a częściowo ze względów praktycznych. Wątpił, by miejscowi mogli poczuć do nas sympatię, jeśli cała ludność wioski była torturowana i poniżana. Twierdził, że kiedy narodowa policja wraca do baraków, my nadal musimy kontaktować się z mieszkańcami obszarów, na których rozgrywały się działania wojenne.

- A więc poszliście do wioski. I idąc tam dostrzeżliście Stevena Brandta?

- Sprzeciw, wysoki sędzie. - Oskarżyciel zerwał się z krzesła. - To już zaszło za daleko. Nie ma żadnego związku ze sprawą.

Sproule spojrział na Corwę, potem na Piercc'a i jeszcze raz na adwokata.

- Proszę wytłumaczyć sądowi - zwrócił się do Vince'a - dlaczego pańskie pytania mają znaczenie dla zmniejszenia wymiaru kary,

- Wysoki sędzie - powiedział Corva moim celem jest wykazać, że stosunki między porucznikiem Tysonem i Stevenem Brandtem były złe, i że nienawiść, jaką czuł Steven Brandt do porucznika Tysona, była tak silna, iż wytrzymała próbę czasu. Chcę wykazać, że zeznania pana Brandta, którym kierowała nienawiść, były fałszywe.

- Czy nie posuwa się pan za daleko, panie Corva? - zapytał sędzia.

- Wysoki sędzie, jeśli zdołam poprzez tego świadka dowieść, że uczucia pana Brandta w stosunku do oskarżonego były wrogie, wykażę równocześnie, że jego zeznania były stronnnicze i wrogie, co z kolei pozwoli ławie właściwie je ocenić, a tym samym sędziowie otrzymają więcej wiadomości potrzebnych do wydania sprawiedliwego wyroku, co jest celem niniejszej sesji.

Brwi Sproule'a uniosły się lekko.

- To jest nieco naciągane, panie Corva. Nie bardzo wiem, jaki jest pański prawdziwy cel w wywlekaniu tej historii. Ale może pan kontynuować. Sprzeciw odrzucony.

Pierce siadając uderzył z całej siły pięścią w stół, co było rzadkim u niego objawem zdenerwowania.

- Zobaczył pan Brandta w wiosce - Vince zwrócił się do świadka. - Czy miał prawo tam przebywać?

- Do pewnego stopnia. Służba sanitarna podobnie jak oficerowie miała prawo wejścia na teren wioski, w czasie gdy trwały tam przesłuchania. Ich pomoc często była konieczna.

- I co się potem stało?

- Porucznik Tyson powiedział do mnie: „Trzymaj się z tyłu, chcę iść za nim”. Miał na myśli Brandta.

- Dlaczego? O co mu chodziło?

- Porucznik Tyson uważał, że Brandt zachowuje się nieodpowiednio.

- To znaczy, panie Kelly?

- Brandt robił zdjęcia. To było surowo zabronione przez narodową policję. Nie chcieli zdjęć.

- Co fotografował Brandt? - Głównie torturowane i upokarzane nagie kobiety.

Adwokat czekał przez chwilę, spodziewając się ataku Pierce'a, ale oskarżyciel siedział cicho.

- Proszę mówić dalej - powiedział Corva.

- Porucznik Tyson zaobserwował, że narodowa policja nie przeszkadza Brandtowi w robieniu zdjęć. Właściwie traktowali go jak przyjaciela.

- Czy pan to również zauważył?

- Tak. Zauważyłem również podczas poprzedniej akcji typu „Kordon”, jak Brandt wyjmuje ze swojego plecaka coś, co wyglądało jak lekarstwa, i wręcza kapitanowi policji.

- Co było później?

- Po zrobieniu zdjęć Brandt wszedł do chaty razem z dwoma Wietnamczykami z policji. Zastanawialiśmy się z porucznikiem Tysonem, czy wejść tam za nim. Jeden z policjantów złapał porucznika za ramię, chcąc go odciągnąć z tego miejsca. Tyson odepchnął go i wkroczyliśmy do domu, do którego wcześniej wszedł Brandt.

- I co pan, panie Kelly, zobaczył?

Ben odwrócił się, by spojrzeć na Brandta, który siedział zastygły, ze stężalymi rysami. Tyson nie spuszczał z niego wzroku, gdy Kelly opowiadał.

- Zobaczyłem trzy nagie dziewczyny. Jedna leżała skulona w kącie, a policjant ciągnął ją za ramię. Inna odbywała stosunek oralny z drugim policjantem, a trzecią gwałcił pan

Brandt.

Pierce zerwał się na równe nogi i krzyczał coś, co jednak zagłuszała ogólna wrzawa panująca w kaplicy. Ben na moment spotkał się wzrokiem z Brandtem, który zaraz uciekł spojrzeniem w bok.

Pułkownik Sproule wezwał sierżanta, który podszedł do barierki oddzielającej widzów od sądu i podniesieniem ręki nakazał ciszę. Zdyscyplinowany tłum zamilkł.

- Jeśli coś takiego się powtórzy, poproszę wszystkich o opuszczenie sali - ogłosił sędzia. Spojrzał na oskarżyciela, który nadal stał, by zgłosić sprzeciw. - Sprzeciw odrzucony - powiedział i zwrócił się do Corvy. - Chciałbym zadać świadkowi parę pytań.

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Panie Kelly - Sproule spojrzął na świadka - sąd chciałby się dowiedzieć, dlaczego to, co pan widział, nazwał pan gwałtem, a nie... nie normalną aktywnością między kobietą a mężczyzną.

- Nie widzę nic normalnego - Kelly spojrzął na pułkownika, ale potem mówił już patrząc przed siebie - w seksie grupowym, wysoki sędzie, ale to może być moje osobiste uprzedzenie. Moje twierdzenie opieram na fakcie, że mężczyźni nie znali tamtych kobiet zbyt długo. Może jakieś pięć minut. Poza tym kobiety płakały. Wszystkie. No i jeszcze były bardzo młode, wysoki sędzie. Ta, z którą był pan Brandt, miała nie więcej niż dwanaście, może trzynaście lat. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę różnice kulturowe i wcześniejsze dojrzewanie w klimatach tropikalnych, była bardzo młoda. Poza tym, kiedy pan Brandt wstał, zobaczyłem krew na jego genitaliach i udach i pomyślałem wtedy, że dziewczyna musiała być dziewicą, chociaż oczywiście mogła mieć miesiączkę. I jeszcze, wysoki sędzie, dziewczyna wyglądała, jakby ją bito po twarzy. Z tych przesłanek, wysoki sędzie, wywnioskowałem, że był to zbiorowy gwałt a nie grupowy seks na przyjęciu.

Sędzia kiwnął głową i przełknął ślinę z wyraźnym wysiłkiem.

- Rozumiem.

- No i jeszcze pan Brandt był wyraźnie przestraszony, kiedy zobaczył porucznika Tysona i mnie. Natychmiast wstał, przedtem leżał na macie sypialnej na podłodze, i wykrzyknął: „Nie!”

- Co „nie”? - zapytał Sproule.

- Obaj z porucznikiem Tysonem mieliśmy karabiny na wysokości bioder. Było to zabezpieczenie na wypadek, gdyby policjanci sięgnęli po swoje pistolety. Czasami nie okazywali się zbyt gościnni. Ale Brandtowi wydawało się, że celujemy w niego. Dlatego krzyknął: „Nie!” Potem zawołał: „Proszę” i wciągnął spodnie polowego munduru. A w

końcu wyskoczył przez okno zostawiając torbę z lekarstwami i karabin.

- Czy pobiegliście za nim? - zapytał pułkownik.

- Tak, wysoki sędzie. Ale najpierw zebraliśmy jego ekwipunek i wyprowadziliśmy tych dwóch policjantów z chaty. Zebrała się wokół nas grupa policjantów i zaczęło się robić gorąco.

- Czy według pana byliście w niebezpieczeństwie? - zapytał sędzia.

- Był w tym element niebezpieczeństwa. Ale wreszcie po prostu odwróciliśmy się i odeszliśmy. Kiedy wróciliśmy do kanału, Brandt już tam był, całkowicie ubrany. Porucznik Tyson podszedł do niego. Powinienem jeszcze powiedzieć, że już wcześniej kilka razy porucznik Tyson mówił mi, że podejrzewa Brandta o wykorzystywanie swego statusu do prywatnych kontaktów z miejscowymi kobietami. Bardzo go to martwiło.

- A więc to był incydent, który spowodował rzekomą animozję między porucznikiem Tysonem i panem Brandtem?

- Tak, wysoki sędzie, ale ta animozja pogłębiła się po rozmowie porucznika Tysona z panem Brandtem.

- Co takiego powiedział panu Brandtowi porucznik Tyson?

- Niewiele, wysoki sędzie. Porucznik Tyson kopnął pana Brandta w jądra. Potem uderzył go kilka razy, ale zaciśniętą pięścią tylko raz albo dwa. Następnie wtrącił pana Brandta do rowu nawadniającego, wymierzył w niego swoją czterdziestkę i powiedział, że ma siedzieć w wodzie, bo inaczej mu mózg rozwali. Po jakimś czasie Brandt zaczął jęczeć, że pijawki zjedzą go żywcem. Rozplakał się i wreszcie dostał prawdziwej histerii.

Pułkownik Sproule przez jakiś czas nic nie powiedział. Oparł się na dłoni i zamarł w zamyśleniu.

- Czy byli inni świadkowie tego zajścia? - zapytał wreszcie.

- Tak, wysoki sędzie, cały pluton. Ale nikt nie był na tyle głupi, żeby się mieszać w coś, co wyglądało na prywatne porachunki. Muszę też powiedzieć, że przekazałem zlecenie, by wszyscy pozostali na swych miejscach i uważali, czy nikt nie usiłuje uciec z wioski.

- Ale nikt nie wiedział, jaki jest powód kłótni?

- Nie, i nigdy się nie dowiedział. Ale sądzę, że nietrudno się było domyślić.

- Czy zgodnie z pana wiedzą porucznik Tyson powziął jakieś oficjalne kroki przeciwko

panu Brandtowi lub czy pan Brandt podjął takie kroki przeciwko porucznikowi Tysonowi?

- Nie, żaden z nich nie zrobił nic takiego. Przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałem.

- Jak się ten incydent zakończył? - zapytał Sproule Kelly'ego.

- Po jakichś trzydziestu minutach porucznik Tyson uspokoił się trochę i powiedział panu Brandtowi, że może wyjść z wody. Pan Brandt zrobił to, a potem się rozebrał. Widziałem, że do jego ciała doczepiło się około trzydziestu pijawek. Był strasznie zdenerwowany. Łkał i błagał by ktoś pomógł mu pozbyć się pijawek. Kilku mężczyzn podeszło ze środkami na insekty i palącymi się papierosami. Pan Brandt stracił trochę krwi i w związku z jego stanem fizycznym i psychicznym wezwaliśmy helikopter służb medycznych, żeby go zabrał.

- Czy po takim incydencie człowiek wracał do swojej jednostki? — zapytał sędzia.

- Normalnie nie, wysoki sędzie, ale porucznik Tyson i ja poleciliśmy helikopterem, który uzupełniał nasze zapasy, na tyły, gdzie pan Brandt odpoczywał w lazarecie, i złożyliśmy mu wizytę. Porucznik Tyson poinformował pana Brandta, że oczekuje go z powrotem w ciągu dwudziestu czterech godzin albo postawi go przed sądem wojskowym pod kilkoma różnymi zarzutami. Pan Brandt powiedział że nie chciałby, aby zapis na temat incydentu znalazł się w jego aktach, ponieważ chce zdawać na akademię medyczną. Porucznik Tyson uważał, że rozwiązał problem pana Brandta i że dalsza jego obecność w kompanii piechoty może tylko dobrze zrobić zarówno panu Brandtowi, jak i kompanii. Pan Brandt był dobrym sanitariuszem. Dlatego więc wrócił do swojej jednostki.

- I na tym zakończył się incydent? - zapytał pułkownik Sproule.

- Nie, wysoki sędzie, incydent zakończył się tutaj.

- Właśnie, panie Kelly. - Sędzia przyglądał się Corvie przez jakiś czas, potem skinął głową oczekując na jego dalsze pytania.

- Jak od tego czasu - zapytał adwokat - układały się stosunki między porucznikiem Tysonem i panem Brandtem?

- Nie sądzę, by panu Brandtowi podobało się zawstydzenie go przed całym plutonem - odparł Kelly. - Nie sądzę również, żeby lubił on pijawki. Określiłbym stosunki między tymi dwoma mężczyznami jako chłodne.

- Czy uważa pan, że Brandt miał żal do porucznika Tysona?

- Tak sądzę. Obaj byli ludźmi, którzy łatwo nie wybaczali.

- Myśli pan, że pan Brandt hodował w sobie ten żal do chwili incydentu w szpitalu,

który się zdarzył w dwa czy trzy miesiące później?

- Tak. Nawet tego ranka, kiedy zdarzył się incydent na kopcu pogrzebowym, nastąpiła wymiana zdań między porucznikiem Tysonem a Brandtem.

- Na jaki temat?

- Na temat pozorowania choroby przez pana Brandta w celu zadekowania się na tyłach.

Adwokat zadał jeszcze kilka pytań, a potem powiedział do pułkownika Sproule'a:

- Nie mam już pytań dotyczących tego incydentu, wysoki sędzie. Chciałbym przejść do pytań na temat incydentu w szpitalu, chyba że pan chce jeszcze czegoś się dowiedzieć.

- Nie. A jeśli ława ma jakieś pytania, zada je po zakończeniu przez pana przesłuchania. Teraz zrobimy przerwę do godziny czternastej. Proszę pułkownika Pierce'a i pana Corvę, by stawili się w moim pokoju. Zamykamy sesję.

Ben spojrział w stronę ławek, Brandt z pochyloną głową przeciskał się w stronę wyjścia.

- Czy teraz czujesz się lepiej? - zapytał go Vince.

- Nie.

- Dobrze. Nie powinienes. Ale ja tak.

Rozdział 52

O godzinie czternastej sąd zebrał się ponownie. Daniel Kelly zajął miejsce dla świadka. Pułkownik Pierce podniósł się.

- Panie Kelly, chciałbym panu przypomnieć, że nadal zeznaje pan pod przysięgą - powiedział.

Corva stał koło podwyższenia twarzą zwrócony do świadka. Po kilku wstępnych pytaniach powiedział:

- Czy mógłby pan opowiedzieć sądowi wydarzenia, które doprowadziły do incydentu w szpitalu?

- Tak - odparł Kelly i rozpoczął szczegółową relację na temat przejścia plutonu z kopca pogrzebowego do Szpitala Miłosierdzia. Była ona znacznie bardziej klarowna niż to, co mówili Farley i Brandt, ale w głównej mierze pokrywała się z ich zeznaniami, podobnie zresztą jak z opisem Picarda w książce, którą, jak Ben dobrze wiedział, każdy w sądzie czytał.

Tyson spojrział na chór i dostrzegł kilka sylwetek. Ławki, które podczas porannej sesji zajęte były tylko w jednej czwartej, znowu zapełniał tłum; bez wątpienia wieść o rewelacjach Kelly'ego już się rozniosła. Nie dostrzegł nigdzie Brandta, przypuszczał, że dobry doktor jest już w drodze do Bostonu.

Miejsca dla prasy także były pełne. Rano nie zjawił się żaden rysownik szkicujący postacie procesu, a teraz przy balustradzie tłoczyło się ich pięciu. Klęczeli ze szkicownikami opartymi o poręcz, wpatrzeni w świadka.

Zerknął na pierwszą ławkę po prawej stronie. Davida nie zobaczył, ale Marcy siedziała tam. Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

Ben zjadł lunch w swojej celi, czekając na Vince'a, ale adwokat nie zjawił się. Mieli zaledwie pięć minut, zanim sędzia poprosił zebranych o ciszę. Corva zdążył mu jedynie powiedzieć, że sesja w gabinecie Sproule'a - pokoju głównego kapelana - była gorąca. Ben nic więcej nie mógł z niego wyciągnąć. Zauważył jednak, że Corva jest ostrożniejszy w formułowaniu pytań, tak że Pierce nie miał powodu do sprzeciwu. Vince skupił swe zainteresowanie na fizycznej i psychicznej kondycji plutonu. Nie musiał już udowadniać, że nic nielegalnego nie miało miejsca, tylko wykazać, dlaczego się wydarzyło. Poczł się na pewniejszym gruncie.

- Tak więc wkroczyliście do szpitala, gdy byliście już pewni, że snajper nieprzyjaciela uciekł. Nieśliście dwóch rannych: Roberta Moody'ego, który został powierzchownie draśnięty w nogę, i Arthura Petersona, którego rana była poważna. Wiedzieliście, że budynek, do którego się zbliżacie, jest szpitalem. Gdy znaleźliście się przy nim, nie doszło do żadnej wymiany ognia. Był tylko pojedynczy snajper. Zgadza się?

- Tak.

- Więc teraz, panie Kelly, jesteście w szpitalu. W tym miejscu zeznania są rozbieżne.

Jakie wydarzenie w szpitalu wywołało incydent, za który porucznik Tyson został uznany za winnego?

Kelly po raz pierwszy nie odpowiedział od razu.

- Wnieśliśmy Moody'ego i Petersona do środka. Personel szpitala był zajęty. Zachowywali się, jakby w ogóle nie słyszeli strzałów. Jakaś pielęgniarka poinformowała nas, że lekarze są na piętrze. Wnieśliśmy więc Moody'ego i Petersona...

- Panie Kelly - przerwał pułkownik Sproule - wydaje mi się, że wszystkich nas interesują szczegóły, które pan pomija. Zdaje się, że są dwie wersje śmierci Cane'a. Według jednej został on zastrzelony przez snajpera, kiedy byliście jeszcze na zewnątrz szpitala. Zgodnie z drugą zginął on w czasie walk wewnątrz szpitala. Ponieważ okazuje się, że nie było wcale zdobywania kolejnych pomieszczeń, założyłem, iż musiał zginąć, zanim weszliście do środka. A pan nie mówi nic na ten temat.

- Dlatego, że Larry Cane żył jeszcze, kiedy weszliśmy do szpitala, wysoki sędzie.

Sproule przez chwilę zastanawiał się.

- Proszę kontynuować - zwrócił się do Corvy.

- Co było na górze? - zapytał adwokat.

- Znajdowały się tam trzy oddziały. Jeden ogólny, pełen rannych. Głównie uchodźców z Hue, jak sądzę. Na drzwiach do drugiego napisane było po francusku CONTAGION. Tam tylko zajrzeliśmy, było to niewielkie pomieszczenie, w którym stało dziesięć łóżek, wszystkie pełne. Trzeci to była pediatria i położnictwo. Tam stało jakieś trzydzieści łóżek i też wszystkie były zajęte. W dodatku na korytarzach też leżeli ranni i chorzy. A także ludzie, którzy nie wyglądali na cierpiących, po prostu uchodźcy, którzy znaleźli schronienie. W szpitalu musiało być około stu osób, chociaż równie dobrze mogło ich być dwieście. Znaleźliśmy salę operacyjną. Tam zanieśliśmy Arthura Petersona. Nie byliśmy do końca pewni, czy szpital jest czysty, dlatego przeszukiwaliśmy wszystkie pomieszczenia. Znaleźliśmy zakrwawione polowe ubrania, które wyglądały na mundury nieprzyjaciela, a w łóżkach kilku młodych mężczyzn, których wzięliśmy za chorych lub rannych nieprzyjaciół.

- Jaka była reakcja plutonu?

- Mniej więcej taka sama jak na wieśniaków grzebiących swoich zmarłych. Nie była racjonalna, ale nie zachowywaliśmy się racjonalnie. Dopiero teraz, z perspektywy czasu, potrafię stwierdzić, że na fakt, iż w szpitalu są ranni nieprzyjaciele, zareagowaliśmy zbyt gwałtownie.

- Czy ktoś im groził?

- Nic takiego nie widziałem. Ale sierżant Sadowski stanął na straży przy drzwiach oddziału, gdzie się znajdowali.

- Co się działo w sali operacyjnej?

- W sali operacyjnej znalazłem się wraz z porucznikiem Tysonem i jeszcze kilkoma ludźmi z plutonu. Było to duże pomieszczenie, stało tam sześć lub siedem stołów operacyjnych. Pamiętam, że całość wyglądała dość prymitywnie. Wszystkie stoły były zajęte, a wokół kręcili się lekarze i pielęgniarki. Porucznik Tyson zwrócił się do lekarza, który przedstawił się jako kierownik placówki.

- W jakim języku rozmawiali?

- Głównie po francusku, ale też trochę po angielsku. Porucznik Tyson prosił - a właściwie nalegał - by zajęto się Petersonem i Moodym. Peterson leżał na podłodze sali operacyjnej. Moody siedział oparty o ścianę. Ten lekarz ukląkł, obejrzał Petersona powierzchownie i oświadczył, że nie da się go uratować. Porucznik Tyson prosił, by spróbował. Lekarz wyjaśnił - to opowiedział mi porucznik Tyson później - że szpital działa na zasadzie trójpolówki. Oznaczało to, że wszyscy ciężko ranni nie otrzymywali pomocy, ponieważ trzeba by zużyć na nich zbyt wiele środków, którymi dysponował szpital, a zyskałoby się mało lub nic. Lekko rannym, takim jak Moody, też nie pomagano, ponieważ wiadomo było, że i tak przeżyją. Tylko ci z grupy pośredniej uzyskiwali pomoc. Najwyraźniej ani Peterson, ani Moody się do niej nie zakwalifikowali. Brandt zresztą opatrzył Moody'ego właśnie tam, na podłodze sali operacyjnej.

- Ale Peterson umierał?

- Tak. Kula przeszła przez niego na wylot. Jęczał i krwawił. Dławił się własną krwią. Był na wpół przytomny i ciągle wołał pomocy. Leżąc na podłodze ciągnął za nogawkę spodni porucznika Tysona. Podczas kłótni z lekarzem porucznik Tyson kilkakrotnie przyklękał przy nim. Ja klęczałem obok i trzymałem Petersona za rękę.

- Czy pamięta pan, kto jeszcze był w sali operacyjnej?

- Ludzie wchodzili i wychodzili. Ale Farley i Cane byli z nami prawie przez cały czas. Personel pochodzenia azjatyckiego też się kręcił. Było jeszcze pięciu lub sześciu ludzi białych, zresztą właśnie z tego powodu nasi ludzie wchodzili i wychodzili.

- Dlaczego?

- Żeby zobaczyć białych. Od długiego czasu nie widzieliśmy już białych cywilów. To była nowość. Była nawet biała kobieta, całkiem ładna, i to spowodowało pewne poruszenie. Jak już mówiłem, ta sala operacyjna nie wyglądała tak, jakbyśmy sobie dzisiaj wyobrazili takie pomieszczenie, był to po prostu duży pokój pomalowany na biało, z czerwonymi kaflami na podłodze i sześcioma, a może siedmioma stołami.

- Jak długo kłócił się porucznik Tyson z lekarzem?

- Trudno powiedzieć. Może pięć minut. Potem porucznik wycelował w niego broń i rozkazał zrobić coś dla Petersona.

- Co powiedział na to lekarz?

- Nie jestem pewien, ale z tonu i zachowania widziałem, że nie zamierza posłuchać. Chciał wrócić do swego pacjenta, był to Wietnamczyk, nagi mężczyzna leżący na najbliższym stole. Miał poszarpaną nogę. Obok na podłodze leżało jego ubranie, mundur armii północnowietnamskiej. Lekarz miał się już odwrócić do chorego, kiedy porucznik uderzył go w twarz. - Kelly zamilkł.

Corva pozwolił, by cisza przeciągnęła się na kilka sekund.

- Co się wydarzyło potem? - zapytał.

- Kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, Farley uderzył kolbą w brzuch doktora, który zgiął się od tego wpół. Hernando Beltran wszedł do sali i zbliżył się stołu, na którym leżał żołnierz północnowietnamski. Ściągnął go na podłogę. Mężczyzna krzyczał. Peterson płakał. Lekarz jęczał z bólu. Pielęgniarki wyglądały na przestraszone. Wtem z drugiego końca pokoju rzucił się na nas wysoki biały mężczyzna. Krzyczał po angielsku i po akcencie wydawało mi się, że był Australijczykiem. Kiedyś przez tydzień współpracowaliśmy z australijskim oddziałem i dlatego umiałem rozpoznać akcent.

- Co ten mężczyzna krzyczał, panie Kelly?

- Obrzucał nas obelgami. Wszyscy stanęli jak zamurowania słysząc człowieka, który mówił po angielsku. Do tego momentu nie odzywał się.

- A co mówił teraz?

- Powiedział porucznikowi Tysonowi, żeby się wynosił ze szpitala wraz ze swymi ludźmi. Potem zaczął przeklinać i wyzywać nas od pieprzonych morderców. Wreszcie zaczął nam zarzucać, że jedyne, co potrafimy, to zabijać i ranić ludzi. Że nie mamy prawa być tam - to znaczy w Wietnamie. Ze ta wojna to coś tam i coś tam. Wszystko to, co można było przeczytać w opozycyjnych gazetach.

- Czy porucznik Tyson odpowiedział mu?

- Nie, ten człowiek był wyraźnie straszliwie podniecony. A kiedy on krzyczał, Beltran i jeszcze ktoś położył Petersona na wolnym stole operacyjnym. Podszedł jakiś inny lekarz, ale ten nie mówił ani po francusku, ani po angielsku. Wydaje mi się, że był Niemcem albo Holendrem. Pokazywał, że zajmie się Petersonem. Ktoś wsadził rurkę do gardła Petersona, chyba w celu wyciągnięcia krwi. Lecz teraz już nikt nie zwracał na tego lekarza uwagi.

Francuz otrząsnął się i był już wtedy wściekły, ale odniosłem wrażenie, że reszta personelu zrozumiała powagę sytuacji i miała zamiar współpracować z nami. Lecz był jeszcze ten Australijczyk, który nie chciał się uspokoić. A potem Beltran znalazł kolejnego żołnierza armii północnowietnamskiej i jego także zrzucił ze stołu. Porucznik Tyson krzyknął do Beltrana, żeby się wynosił z sali. Opowiadam tak, jak to wszystko pamiętam, ale panowało zamieszanie. Prawdopodobnie ci ludzie byli tak samo zmęczeni jak my i łatwo tracili nerwy. Ale jak już powiedziałem, ten Australijczyk zachowywał się prowokacyjnie.

- Co to znaczy prowokacyjnie?

- Wskazywał.

- Wskazywał?

- Tak. Po kolei na każdego z nas. I wykrzykiwał: „Ty! Wynos się!” albo „Jesteś pieprzonym mordercą! Ty! Ty! Jak śmiesz!” I tym podobne.

- Jak ludzie reagowali na to?

- Nie najlepiej. Już mówiłem, że byliśmy przemoczeni, zmęczeni, przestraszeni. Wiedzieliśmy, że nasza droga prowadzi do Hue. Pewnie nikt nie wierzył, że wyjdziemy stamtąd żywi. A tu nagle ten lekarz, można powiedzieć, że jeden z nas, i on nas wyzywał. Ktoś krzyknął, że nie mówiłby takich rzeczy do Vietcongu, co prawdopodobnie było prawdą. Poza tym nasze generalne odczucie było, że wszystkie nieszczęścia spowodowali nasi nieprzyjaciele, a nie my. Jak już powiedziałem, reszta personelu chciała pomóc Petersonowi, ale i tak miało się wrażenie, że nie są specjalnie proamerykańscy. Nie przyjęli nas zbyt ciepło. I to było źródłem psychologicznej atmosfery wszystkiego, co się potem wydarzyło.

- Australijski lekarz przez cały czas zachowywał się obraźliwie?

- Tak. Nie mógł się uspokoić. Coś się w nim otworzyło. Dwóch białych mężczyzn próbowało go odciągnąć, ale opierał się. Większość ignorowała go, lecz Larry Cane w jakiś sposób wdał się z nim w kłótnię. Wymieniali inwektywy przez dobre kilka sekund. Potem Australijczyk wymierzył palcem w Cane'a i powiedział „Ty głupi skurwielu”, a Larry pociągnął za spust i wystrzelił prosto w brzuch Australijczyka.

- To był ten pierwszy strzał? - zapytał adwokat.

- Tak. Od tego wszystko się zaczęło. Beltran podszedł kolejno do tych dwóch żołnierzy wietnamskich i każdemu strzelił w głowę. Następnie Cane z jakiegoś powodu, którego nigdy nie potrafiłem zrozumieć, podniósł swoją M-16 i zaczął strzelać do odległej ściany. Ludzie wrzeszczeli padając na ziemię. Australijski lekarz leżał oparty o ścianę, gdzie odrzucił go wystrzał. Ciężko krwawił. Wtem Brandt zupełnie niespodziewanie zaczął

krzycheć: „Peterson nic żyje”. Wtedy Cane odwrócił się i zastrzelił francuskiego lekarza.

- Co robił w tym czasie porucznik Tyson?

- To samo co ja. Leżał na ziemi. Cane najwyraźniej oszalał. Wszystko działo się bardzo szybko. Przynajmniej mnie się tak wydawało. Potem porucznik Tyson podniósł się i uklęknął, wymierzył z pistoletu do Cane'a i kazał mu opuścić broń. Cane załadował kolejny magazynek. Porucznik powtórzył, żeby odłożył karabin. Atmosfera stawała się napięta.

- Czy Cane opuścił broń?

- Dopiero wtedy, kiedy porucznik Tyson strzelił mu w pierś.

Ben Tyson siedział z łokciami opartymi na stole, brodą spoczywającą na rękach, wpatrując się w Daniela Kelly tak jak wszyscy inni na sali. Corva wydawał się nie mieć nic do powiedzenia, świadek również.

Wreszcie pułkownik Sproule zapytał Kelly'ego:

- Czy pan powiedział, że porucznik Tyson zastrzelił Cane'a?

- Tak, wysoki sędzie. Strzelił i zabił go.

Sędzia skinął głową. Wydawał się bardzo znużony. Ben spojrzał na ławę, pułkownik Moore wpatrywał się w niego, jakby go widział po raz pierwszy. Major Bauer rytmicznie potakiwał głową.

Corva podszedł do stołu obrony, nalał sobie wody i wypił ją. Nawet nie spojrzał na Bena, tylko wrócił do Kelly'ego,

Tyson oparł się wygodnie na krześle i odwrócił głowę w stronę stołu oskarżenia. Pierce nie wyglądał na zdenerwowanego czy też speszonego, wprost przeciwnie, wydawał się zrelaksowany, jakby wszystko toczyło się zgodnie z jego zamiarami. Ben spojrzał na pułkownika Sproule'a, ten był pogrążony w myślach. Prawdopodobnie, pomyślał Tyson, sprawa, w której było tak wiele luk, stawała się teraz dla niego jasna.

- Co wydarzyło się potem? - zapytał adwokat.

- W sali operacyjnej rozpętało się piekło. Beltran stanął w drzwiach i nie pozwalał nikomu wyjść. Richard Farley podbiegł do Cane'a i ukląkł koło niego. Cane i Farley pochodzili z tej samej miejscowości gdzieś z południa Jersey i zgłosili się razem. Była taka zasada, gwarantująca tym, którzy razem zaciągnęli się do wojska, wspólną służbę. Farley był bardzo wzburzony, krzychał do porucznika Tysona, że zabił jego przyjaciela, by uratować bandę żółtków. Oczywiście Cane zabił dwóch białych, ale jak już powiedziałem,

Farley był w szoku. Nikt i nic nie miało sensu. Nawet teraz nie potrafię się go doszukać.

- Czy porucznik Tyson wydał w jakimkolwiek czasie rozkaz zabicia żołnierzy nieprzyjaciela? Czy w ogóle zabicia kogokolwiek?

- Nie.

- Był pan z nim przez cały czas?

- Tak. Poza pewnym okresem, kiedy rozpoczęła się już strzelanina.

- Ile minęło czasu od chwili, gdy weszliście do szpitala?

- Jakieś piętnaście czy dwadzieścia minut.

- Powiedział pan, że zapanowało piekło. Niech pan opowie bardziej szczegółowo, co się działo w sali operacyjnej.

- Pamiętam, że Beltran zaczął wydawać rozkazy. Wtedy już w sali znajdował się prawie cały pluton i Beltran kazał im znaleźć wszystkich żółtków i wystrzelać ich.

- Czy istniał jakiś powód, dla którego Beltran przejął dowództwo?

- Nie, był zwykłym szeregowcem. Obsługiwał karabin maszynowy. Ale lubił rozkazywać. Porucznik Tyson kazał mu się zamknąć. Ale wtedy Farley stanął przed porucznikiem Tysonem i wymierzył do niego z karabinu. Porucznik Tyson nadal klęczał na podłodze z pistoletem M-16 w ręce. Farley kazał mu rzucić pistolet.

- Czy porucznik to zrobił?

- Nie, porucznik Tyson wstał i kazał Farleyowi rzucić karabin. Wtedy Beltran wymierzył w porucznika karabin maszynowy. W tym samym czasie kilku ludzi poszło na oddział, gdzie leżeli żołnierze. Usłyszeliśmy pięć czy sześć strzałów, przypuszczałem, że zastrzelili rannych Wietnamczyków.

- Co pan wtedy robił?

- Nie za wiele. Panował chaos. Staralem się uspokoić ludzi, ale moment, kiedy to jeszcze było możliwe, został przekroczony. Harold Simcox również wycelował karabin w porucznika Tysona. Porucznik kazał im opuścić broń, ale nie zrobili tego. Między Tysonem a Simcoxem nie było żadnych niesnasek, ale Simcox był typem rozrabiaki i jak tylko wyczuł bunt, natychmiast do niego dołączył. Zawsze się takich kilku znajdzie.

- Tak więc już trzech ludzi mierzyło z broni do porucznika Tysona. Jak on się zachowywał?

- Powiedział im, że są aresztowani. Kazał mi połączyć się z dowództwem batalionu i złożyć raport.

- Czy pan to zrobił?

- Nie. Porucznik Tyson błędnie oceniał sytuację. Gdybym usiłował połączyć się z dowództwem, zostałbym natychmiast zastrzelony. Porucznik Tyson także.

- Jak zareagowali Beltran, Farley i Simcox, kiedy powiedziano im, że są aresztowani?

- Zareagowali negatywnie. Farley jeszcze raz kazał porucznikowi odłożyć pistolet i tym razem powiedział też, że w przeciwnym razie go zastrzeli. Sytuacja była patowa. Zmieniła się w jednej chwili, kiedy jeden z białych podbiegł do okna i wyskoczył. Znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze, ale na dole były krzaki. Beltran podbiegł do okna, oparł pistolet maszynowy o parapet i strzelił.

- Czy trafił tego mężczyznę?

- Powiedział, że tak. Potem odwrócił się od okna i rozkazał pozostałej części personelu przejść do pomieszczenia sąsiadującego z salą operacyjną. Była tam umywalka i toaleta. Potem wysłał kilku ludzi na poszukiwanie pozostałych lekarzy i pielęgniarzy, zarówno białych, jak i żółtych.

- Czy w takim razie Beltran był przywódcą buntu?

- Coś w tym rodzaju. Wydawał rozkazy, a ludzie je wykonywali. Czuł, że ma władzę. Krzyczał, że to jest komunistyczny szpital. W rzeczywistości był katolicki, na ścianach wisiały krzyże, ale chyba tego nie widział.

- A Farley i Simcox stali z karabinami wymierzonymi w porucznika Tysona?

- Tak. A australijski lekarz jakoś nie chciał umrzeć. Leżał na podłodze krzycząc z bólu. Ale Farley nie pozwolił nikomu ze szpitala do niego się zbliżyć. Zdaje się, że jego rozumowanie biegło po takiej linii: jeśli nie mogli znaleźć czasu i miejsca dla Petersona, nie powinni się teraz przejmować Australijczykiem. Była w tym jakaś logika. Podczas tych paru minut kilka innych osób też próbowało ucieczki, ale zostali zastrzeleni przez ludzi z naszego plutonu, dla których naturalną reakcją było strzelać do każdego, kto ucieka. Wtedy nie można jeszcze było mówić o masakrze, ale zabitych było coraz więcej i przypuszczam, że niektórzy zaczęli się już zastanawiać, jak się pozbyć wszystkich świadków.

- W tym porucznika Tysona?

- Tak. Farley i Simcox wyglądali, jakby zbierali się na odwagę, by zastrzelić porucznika. Beltran podburzał każdego, kto chciał go słuchać. Porucznik Tyson rozkazał mi, bym oddał

mu radiotelefon. Wtedy właśnie stwierdziłem, że porucznik może tylko przeszkadzać, a na pewno nie pomóc. Więc uderzyłem go tak, że upadł na podłogę i stracił przytomność.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytał Corva.

- Częściowo, by zniknął ze sceny wydarzeń, z której sam nie chciał zejść. Częściowo, by uratować mu życie. Wierzyłem, że gdy będzie leżał, Farley i Simcox już go nie zastrzelą. Najwyraźniej założenie było słuszne, ponieważ odwrócili się od niego i dołączyli do Beltrana oraz kilku innych, którzy wpychali ludzi do łazienki. Poprosiłem o pomoc Walkera i razem wynieśliśmy porucznika Tysona z sali operacyjnej. Pierwsze drzwi w korytarzu prowadziły do małego pokoju służącego najwyraźniej jako laboratorium. Położyliśmy go na podłodze. Poprosiłem Walkera, żeby został tam ze mną. Siedzieliśmy tak przez moment nasłuchując strzałów i krzyków. Do tej chwili zabijano z jakiegoś powodu, choć mógł się on wydawać niesprawiedliwy i nielogiczny.

- Jak długo tam zostaliście?

- Walker i ja siedzieliśmy tam jakieś dziesięć minut. Potem strzelanina ustała i wyszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Teraz wiem, że powinienem być zostać przy poruczniku, ale uważałem, że już nie zagraża mu niebezpieczeństwo. Zobaczyłem wszystko, co chciałem zobaczyć, i wróciłem do laboratorium jakieś dziesięć minut później, ale porucznika Tysona już nie było. Myślałem, że wyszedł ze szpitala, bo nigdzie go nie widziałem, więc też wyszedłem na zewnątrz poszukać go.

- Czy spotkał go pan tam?

- Nie. Ale nie chciałem już wracać do środka. Bałem się o siebie. Byłem też zły na porucznika Tysona, że opuścił laboratorium.

- Proszę opisać, jak wyglądał szpital, kiedy wychodził pan z laboratorium?

- Wolałbym raczej tego nie robić.

- Dobrze... co pan robił poza szpitalem?

- Staralem się poukładać sobie to wszystko w głowie. Usiadłem na kamiennej ławce na dziedzińcu i zapaliłem papierosa. Zobaczyłem, że szpital zaczyna płonąć. Pluton zbierał się powoli na zewnątrz. Jednym z ostatnich, który wyszedł ze szpitala, był porucznik Tyson. Pluton otoczył szpital i przyglądał się, jak płonie. Ci, którzy nie zginęli wewnątrz, usiłowali się wydostać przez drzwi i okna, ale zostali zastrzeleni. Staliśmy w deszczu i czekaliśmy, aż dach budynku zawali się. Potem uformowaliśmy szyk i ruszyliśmy w stronę Hue.

- Czy ktoś wtedy groził porucznikowi?

- Podczas przerwy na odpoczynek toczyły się jakieś dyskusje, czy go zabić, ale nikt nic

nie zrobił. Porucznik Tyson traktowany był jak ktoś w rodzaju więźnia; kiedy szliśmy, nie odezwał się do mnie ani słowem. Nieśliśmy Moody'ego na noszach, a ciało Petersona w worku. Farley przez jakiś czas niósł Cane'a, potem zmienialiśmy się. Szliśmy gęsiego i żaden z nas nie widział twarzy drugiego. To było bardzo surrealistyczne. Im dłużej szliśmy, tym bardziej obniżał się poziom adrenaliny. Deszcz padał coraz mocniej, a wioski, przez które przechodziliśmy, wydawały się wymarłe. Przed nami widzieliśmy płonące Hue, zalewane strugami wody. Można już było dostrzec płomienie i słyszeliśmy strzały z broni krótkiej.

Było jeszcze wcześniej, ale zdecydowaliśmy, że czas zakończyć dzień. Wszyscy byli bardzo zmęczeni. Znaleźliśmy zbudowany jeszcze przez Francuzów betonowy bunkier i tam schroniliśmy się na noc. Porucznik Tyson przekazał kapitanowi Browderowi raport o snajperze i na razie czuliśmy się bezpieczni. Ale wszyscy zastanawiali się, co takiego powie, kiedy tylko znajdziemy się w bazie.

- Co wydarzyło się w bunkrze? - zapytał adwokat.

- Rozsiedliśmy się. Zapalono kilka świeczek. Wszyscy byli przemoczeni. Zmieniliśmy skarpety i podgrzaliśmy jedzenie. Dwa ciała też trzymaliśmy wewnątrz bunkra, żeby nie dostały ich zwierzęta. Normalnie wezwalibyśmy helikopter, żeby się pozbyć zabitych i rannych, ale przecież według raportu nadal byliśmy w An Ninh Ha i strzelaliśmy do snajperów, a oni do nas, więc nie mogliśmy podać naszych koordynat. Browder kilka razy pytał, czy nie potrzebujemy wsparcia artylerii. Porucznik Tyson odpowiedział mu, że nie, ponieważ na tym obszarze są również cywile. Wreszcie kapitan powiedział, żeby coś zrobić ze snajperami. Więc porucznik zameldował, że wchodzimy do budynku. A tak naprawdę minęły już dwie godziny od czasu, jak opuściliśmy wioskę An Ninh Ha. Wreszcie porucznik złożył raport, że walczymy z dużym oddziałem armii północnowietnamskiej, która okupowała budynek. Potem zameldował, że dostaliśmy się do środka, następnie relacjonował walkę o kolejne pomieszczenia, a wreszcie zwycięstwo. To było niesamowite. Browder stwierdził, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty, a potem powiedział, że jest już w pobliżu Hue. My także byliśmy bardzo blisko, ale on tego nie wiedział. Podał nam swoje dokładne współrzędne. Był od nas o niecały kilometr. Ale powiedzieliśmy, że nie uda nam się dotrzeć do niego przed nocą i że zostajemy w An Ninh Ha, a spotkamy się rano. Wymyślaliśmy to wszystko i przekazywaliśmy porucznikowi Tysonowi, a on z kolei powtarzał kapitanowi.

Po tym jak porucznik Tyson zameldował, że zostajemy na noc w An Ninh Ha, zaczęliśmy rozmawiać o bitwie, jakby rzeczywiście się wydarzyła. Wydaje mi się, że ludzie uważali wszystko na tej wojnie za nierealne, to, co przeżyliśmy, brzmiało równie niemożliwie jak cała propaganda, którą wkładano nam do głowy. Wypaliliśmy trochę trawki, a porucznik Tyson puścił wokoło butelkę szkockiej. Graliśmy w karty. Spaliśmy. Obudziliśmy się w środku nocy. Kilku chłopaków wyszło na zewnątrz. Moody otrzymał od Brandta następną dawkę morfiny. Radio działało bardzo dobrze i co godzina składałem raport. Przed świtem nasza historia była dopracowana w szczegółach. Wtedy już właściwie

nie była to historia, tylko szczerą prawdą. To, co się wydarzyło, naprawdę wydawało się wspólnym nocnym koszmarem. To, co sobie wymyśliliśmy, stało się bardziej prawdziwe, niż to, co przeżyliśmy, nawet nie trzeba było nikogo przekonywać. Jeszcze tej samej nocy napisałem notkę występując o Srebrną Gwiazdę dla porucznika Tysona.

Rano dołączyliśmy do reszty kompanii, Moody'ego zabrała służba sanitarna, pozbyliśmy się też ciała. Przechwalaliśmy się naszymi przeżyciami w rozmowach z pozostałymi dwoma plutonami. Kapitan Browder powiedział, że jest z nas bardzo dumny. Wydaje mi się, że zameldowaliśmy o zabiciu dwunastu nieprzyjaciół. Nie chcieliśmy przesadzić. Tak naprawdę to Browder nie wierzył w ani jedno nasze słowo. Kolejność wydarzeń w czasie i wszystkie szczegóły nie zgadzały się. Na przykład to, że nie poprosiliśmy o wsparcie artylerii. Kapitan był starym wyjadaczem, a głos porucznika Tysona nie brzmiał specjalnie przekonująco, kiedy najpierw przez radio, a potem osobiście składał meldunki. Ale mieliśmy dwóch zabitych i jednego rannego, choć nie przynieśliśmy zdobytej broni. Jeden z sierżantów zapytał nas sarkastycznie, czy naszych dwunastu nieprzyjaciół było w ogóle uzbrojonych. Ale raport po akcji został napisany i nikt o nic nie pytał. To nie był łatwy czas. Mieliśmy inne problemy. Już po tygodniu nikt nie dbał o to, co stało się w szpitalu w An Ninh Ha. Opowiedziałem, co się wydarzyło, mimo że w bunkrze poprzysiągłem, że nigdy tego nie powiem. Więc choć teraz złożyłem przysięgę, że powiem prawdę, moja historia może być całkiem nieprawdziwa.

Po dobrej minucie odezwał się Corva:

- Obrona nie ma nic do dodania.

- Czy oskarżenie - zapytał Sproule - chce poddać świadka krzyżowemu ogniu pytań?

Pierce odparł zmęczonym głosem.

- Nie.

- Czy ława ma jakieś pytania? - zapytał sędzia.

- Nie - odpowiedział pułkownik Moore.

- Świadek jest wolny - powiedział pułkownik Sproule do Kelly'ego.

Kelly wstał, ale zamiast odwrócić się w lewo i wyjść, zrobił zwrot w prawo i podszedł do Tysona z pewnością siebie człowieka, który wie, że nikt go nie powstrzyma.

Ben wstał, uścisnęli mocno swe dłonie.

- Witaj, Kelly - powiedział cicho.

- Cześć, poruczniku.

- Dzięki, że przyszedłeś.
- Żaden problem. Powinien pan wpaść do mnie do Angoli. Nie stałby pan tu teraz.
- Nie, teraz już bym nie żył.

Sędzia popatrzył na Kelly'ego i Tysona, a potem zerknął na zegarek.

- Zarządzam przerwę do godziny dziesiątej rano - powiedział.

Członkowie ławy, oskarżyciele i widzowie zaczęli podnosić się z miejsc i powoli wychodzić.

Ben zobaczył zbliżającego się żandarma.

- Może potem się zobaczymy - powiedział do Kelly'ego.

- Nie sądzę - odparł Kelly. - Odlatuję za jakieś dwie godziny.

- Gdzie?

- Tu i tam. Teraz zarzucam sieć w Ameryce Środkowej.

- Twój numer padnie niedługo, Kelly.

- Może. Ale lubię grać.

- Straciłeś spotkanie po latach. Sadowski, Scorello, Kalane Beltran i Walker. Tylko DeTonqa nie był obecny, ale może miał dobry powód.

- DeTonqa jest wciąż tam, poruczniku.

- Może. Chyba że udało mu się wrócić.

- Nie, on jest tam.

- Gdzie tam?

- W Hue. Agent terenowy. Uchodzi za Francuza. Potrzebowaliśmy tam kogoś z głową.

- To ty załatwiłeś.

- Może. Kiedyś tam wrócimy.

- Beze mnie,

- Z panem lub bez pana.

- Jeszcze raz dzięki - powiedział Tyson.

- Kiedy tylko potrzeba, amigo. Wpadnę, jak będę gdzieś w pobliżu.

- Spróbuj w Leavenworth.

- Najpierw zajrzę do Garden City. - Kelly mrugnął, odwrócił się i odmaszerował dokładnie w chwili, gdy do Bena podszedł żandarm.

Rozdział 53

O siódmej trzydzieści samochód żandarmerii zatrzymał się przed kwaterą Tysona. Sierżant Larson rozpiął mu kajdanki.

- Ma pan pół godziny, sir. Jedne pół godziny. Będziemy tu o ósmej.

- Dobrze.

- Przy drzwiach pozostanie żandarm na straży, sir - dodał Larson.

- Świetnie. - Ben otworzył drzwi samochodu i ruszył szybko ścieżką w stronę domku.

David otworzył drzwi, zanim do nich doszedł. Stał i uśmiechał się.

- Cześć, tato.

- Cześć, dzieciaku. - Uścisnęli ręce, a potem ucałowali się.

Tyson wszedł do domu, a David zamknął drzwi. Marcy schodziła schodami na dół. Miała na sobie szary kostium i buty na wysokich obcasach, strój odpowiedni zarówno na spotkanie zawodowe, jak i rozprawę.

Ben przytulił ją i pocałowali się, ale oboje wiedzieli, że wkradł się pomiędzy nich chłód.

- Masz ochotę na śniadanie? - zapytała.

- Nie, dzięki. Śniadania podają nam wcześniej. Dostałem jajka i zupę mleczną.

Weszli wszyscy troje do pokoju i usiedli przy stole zarzuconym papierami Marcy. Przez

następne dwadzieścia minut rozmawiali głównie o szkole Davida. Tyson wypił kawę, David zjadł dwie porcje płatków kukurydzianych, Marcy popijała słabą ziołową herbatę.

- Mam kłopoty z żołądkiem wyjaśniła. Napięcie. Źle sypiam.

- Chyba lepiej będzie, jak się zacznę żegnać - powiedział Ben spoglądając na zegarek. Wstał i powiedział do żony: - Do zobaczenia w sądzie.

- Czy chcesz, żeby David przyszedł?

Tyson spojrzał na syna jedzącego płatki.

- Wolisz pójść na rozprawę sądu wojskowego czy do szkoły? -zapytał.

- Do sądu. - David uśmiechnął się słabo.

- Dobrze. Może zostaniesz prawnikiem wojskowym, jak dorośniesz.

- Pozdrów ode mnie Vince'a - powiedziała Marcy.

- Dobrze. - Znalazł czapkę w kącie kanapy.

- Co się dzisiaj będzie działo, Ben? - zapytała.

- Nie jestem pewien. Poza tym, że przedstawiamy okoliczności łagodzące. Może Corva poprosi dzisiaj Levina, by zeznawał.

- Jak myślisz, o której to się skończy?

- Nie jestem pewien. Zależy, ilu świadków przedstawi Vince. - Po chwili zapytał: - Czy chciałabyś zeznawać?

- Ja?

- Tak. Żona może zeznawać na temat charakteru męża. To też może wpłynąć na obniżenie kary.

- Naprawdę? Dziwaczne.

-Wojsko jest jedną wielką rodziną - powiedział Ben wzruszając ramionami.

Marcy zastanawiała się przez chwilę, a potem wreszcie się uśmiechnęła.

- Czy muszę mówić prawdę?

- Ależ nie, wszyscy oczekują, że żona będzie kłamać.

- No cóż, oczywiście mogę zeznawać. Ale nie sądzę, byś tego tak naprawdę chciał.

- Rzeczywiście nie. Nie w moim stylu, prawda? Ale Corva uważa to za dobry pomysł. Wiesz, jaki Włosi mają stosunek do rodzin. We włoskich sądach stawia się cała familia w komplecie, od dziadków do małych wrzeszczących bambinos,

- Nie znoszę tych twoich etnicznych uogólnień - powiedziała Marcy marszcząc brwi.

- Vince zdaje się je lubić On też się tak zachowuje w stosunku do mnie. Dlaczego ty nie możesz?

Już miała coś powiedzieć, ale tylko wzruszyła ramionami. Tyson skinął głową pokazując na jej papiery i naszykowaną obok teczkę.

- Masz po południu spotkanie?

- Tak, ale dopiero o piątej, w mieście. Rozprawa potrwa do czwartej trzydzieści. Powinam bez trudu zdążyć.

- Poinformuję sędziego Sproule'a, żeby się trzymał rozkładu.

Marcy westchnęła, ale milczała.

W chwili gdy Ben spojrział na zegarek, usłyszał dwukrotny klakson.

- Podjechała moja limuzyna - powiedział.

David wstał i znowu uściskali się. Marcy wzięła męża za ramię i razem podeszli do drzwi.

- Nigdy nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę - powiedziała cicho.

- Jeśli przyjdiesz do sądu o dziesiątej, to mnie zobaczysz.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Jutro - powiedział Tyson. - Jakoś to zrobię, żebyśmy mogli się spotkać jutro.

Ścisnęła go za ramię.

- Nie udałoby ci się wykroić czterdziestu pięciu minut?

Mrugnęła znacząco.

- Spróbuję. - Uśmiechnął się.

- Wiem, że chciałbyś być dla mnie miłszy, ale starasz mi się to wszystko ułatwić i dlatego jesteś... zimny. Wcale nie jest dzięki temu prościej - powiedziała. - Ben... czy zeznanie Kelly'ego...

- Tak?

Wzięła go za rękę,

- Nie miałam pojęcia...

- Nie jestem bohaterem. Ale to miłe, że mnie za takiego uważasz.

Znowu rozległ się klakson. Pocałowali się i Tyson pospiesznie wyszedł. Wsiadł do samochodu obok sierżanta Larsona, który nie wyciągnął tym razem kajdanek.

- Kwatery kawalerskie, zgadza się?

- Tak.

Ben wyglądał przez okno sunącego powoli samochodu. Pamiętał drogę, którą zwykł pokonywać między swoim domem a kwaterami kawalerskimi. Nie miał prawa pójść inaczej ani zatrzymać się na niej. Prosto do celu. Nienawidził tego, ale teraz tamta sytuacja wydawała mu się wolnością.

Ciemne, gęste chmury przesuwały się szybko po porannym niebie od wschodu na zachód, w chłodnym powietrzu czuło się zapach deszczu. Wydawało się, że drzewa, które mijali po drodze, są bardziej nagie niż poprzedniego dnia, ich prawie czarne konary wyglądały ponuro na tle gładkich budynków.

Samochód zatrzymał się.

- Dziewięta piętnaście, sir - powiedział żandarm.

- Tak jest.

Tyson wysiadł, podszedł do położonych najbardziej na prawo drzwi i wszedł na trzecie piętro. Zapukał do pokoju Corvy. Drzwi otworzyły się i adwokat zaprosił go do środka.

Ben usiadł przy stole i nalał sobie filiżankę kawy z kantynowego dzbanka-termosu.

- Jak tam u Marcy? - zapytał Vince.

- W porządku. Przesyła ci pozdrowienia.

Corva kiwnął głową, przeglądając papiery.

- A David?

- Dobrze. Wszyscy Tysonowie czują się świetnie. Co u Corwów?

- Nieźle. Jak tam w więzieniu?

- Więzienie wciąga. Jestem odpowiedzialny za czystość w latrynie, to moje pierwsze zadanie, od czasu jak opuściłem Kompanię Alfa.

Adwokat ziewnął i zapisał coś na marginesie.

- Dzisiaj powinno się to skończyć - powiedział.

Tyson kiwnął głową.

- Pułkownik Levin będzie zeznawał na twoją korzyść - mówił dalej Vince.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Daj temu facetowi spokój, Vince. I tak ma dość własnych problemów, podpułkownik Żyd w średnim wieku. Chciałby całego ptaka, zanim przejdzie na emeryturę.

- W takim razie co z Marcy? - zapytał niecierpliwie Corva.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chcę się ośmieszać, jeśli pozwolisz.

Adwokat rozważał to przez moment.

- A co powiesz na swojego księdza? - zapytał. - Symesowi bardzo zależy, żeby zeznawać na twoją korzyść.

- Symesowi bardzo zależy, by zeznawać. Kropka. Zacznie od chrztu.

- No i co ty na to?

- Nikogo. Mojego drużynowego ze skautów również nie. Niech zeznanie Kelly'ego mówi samo za siebie.

Vince oparł się na stole.

- Posłuchaj, Ben, teraz, kiedy już bez żadnych wątpliwości dowiedziałeś się, że

więzienie wciąż, pozwól mi zrobić wszystko, byś do niego znowu po południu nie trafił.

Tyson skinął głową.

- Po wysłuchaniu zeznań dotyczących twego charakteru ława uda się na naradę nad wyrokiem.

- Mój charakter jest bez znaczenia. Mają fakty.

Ben wstał i podszedł do okna. Niebo pociemniało i kilka kropli deszczu spadło na szybę.

- Nie jesteś dzisiaj w najlepszym humorze - stwierdził Corva.

- Obudziłem się rano w więzieniu.

Adwokat wstał i zrobił krok w stronę Tysona.

- Wyrzuc to z siebie.

- Wszystko stało się teraz takie wyraźne - mówił Ben nie odwracając się. - Farley - patetyczna postać. Brandt - zniszczony przez Kelly'ego. Sadowski, Scorello, Beltran, Walker, Kalane... teraz muszą żyć nie tylko z tym, co zrobili, ale także ze świadomością, że nie zachowali się jak mężczyźni... ponieważ jacyś durni adwokaci tak im poradzili.

Vince położył niepewnie rękę na ramieniu Tysona.

- A jeśli ja pójdę do więzienia... - mówił dalej Ben. - Co ma powiedzieć mężczyzna swojej żonie, kiedy wraca do domu po kilku latach? Czy kobiety czekają? Co ci mówi twoje doświadczenie?

- Ben, wystarczy.

- Zniszczyłem życie Davidowi... - mówił Tyson.

- Dość! - Corva złapał go za ramię i z zaskakującą siłą obrócił i przycisnął do ściany. - Dość!

Ben zacisnął pięść i wściekły spojrzał na małego mężczyznę. Adwokat odpowiedział równie zaciętrzewionym spojrzeniem.

- W porządku - powiedział wreszcie Tyson. - Miałem złą noc.

Vince podszedł do stołu i nalał kawy.

- Nadal chcesz zeznawać? - zapytał.

- Tak.

- Czy wiesz, co chcesz powiedzieć?

Ben kiwnął głową.

Corva szukał czegoś w papierach leżących na stole.

- Ostatni fragment wschodniej mozaiki znalazł się tej nocy.

Tyson spojrział na swego adwokata.

Vince wyciągnął teleks i przyglądał mu się.

- Na początku myślałem, że rząd trzyma ją tak samo, jak trzymał Kelly'ego. Ale powinienem wiedzieć lepiej, ..

- Nie żyje?

- Nie, nie. Żyje i ma się dobrze. To kościół odsunął ją od świata. Jak już ci mówiłem, Interpol uważał, że ona przebywa we Włoszech i to się zgadza. Miejsce nazywa się Casa Pastor Angelicus. Jest to rodzaj zakonu, który mieści się na wzgórzu pod Rzymem. Całkowicie odcięty od świata zewnętrznego. Nie sądzę, by wezwanie sądowe kiedykolwiek do niej dotarło - dodał z uśmiechem.

Ben przez kilka sekund milczał.

- Jak - zapytał wreszcie - jak to się stało, że tam trafiła?

- Najwyraźniej, kiedy pierwszy raz ta historia ujrzała światło dzienne w maju czy czerwcu, ktoś, prawdopodobnie z Watykanu, dowiedział się o tym i odizolował ją. Wątpię, by wiedziała cokolwiek o twoich kłopotach.

- Myślę, że tak jest najlepiej - powiedział Tyson. - To dobrze, że istnieją miejsca odcięte od świata, gdzie człowiek może żyć w absolutnym spokoju. A więc - dodał - to już zamknięty rozdział. - Potarł czoło. - Dzięki Bogu, komuś to zostało oszczędzone.

- Ale być może któregoś dnia, kiedy już będzie po wszystkim, ona wróci do pracy w szpitalu i wtedy będziesz mógł ją odwiedzić.

- Nie. - Ben pokręcił głową. Myślę, że Kelly miał rację, mówiąc, że to już koniec całej sprawy. Ci, którzy wyszli ze Szpitala Miłosierdzia, mogą iść dalej w różnych kierunkach, nie oglądać się za siebie i nigdy się nie spotykać. Już nigdy.

- Może masz rację - odparł Corva. - Żadnych spotkań po latach. Chociaż - powiedział z zastanowieniem w głosie - ja chciałbym, żeby opowiedziała przed sądem i całym światem,

jak uratowałaś jej życie. To historia, która nie powinna pójść w zapomnienie.

- Tak myślisz? Ona do niczego nie pasuje. Wietnam oznacza porażkę. Przegraną wojnę, stracony honor, niewinność i dusze. Nie trzeba tego mylić z opowieścią o dwojgu ludziach, którzy znaleźli siebie wzajemnie.

- Dziś rano jesteś zbyt cyniczny.

- W takim razie powiedzmy, że to historia osobista i lepiej będzie, jeśli nikt nie użyje jej do celów publicznych. I tak nigdy bym ci nie pozwolił, byś ją przepytował jako świadka.

- Wiem. Chciałem ją tylko znaleźć dla ciebie.

- Dziękuję.

- Czas iść.

Rozdział 54

Kiedy Ben Tyson zasiadł przy stole obrony, Pierce, Weinroth i Longo byli już na miejscach.

- Dlaczego zawsze muszą nas pobić? - zapytał Vince'a.

- Ukradłem raz Pierce'owi karafkę na wodę, a on nie ma zamiaru pozwolić, by to się kiedykolwiek powtórzyło.

Dokładnie o godzinie dziesiątej stojący na straży sierżant wyszedł na środek.

- Proszę wstać! - ogłosił.

Pułkownik Sproule wkroczył na salę i zajął swe miejsce za pulpitem.

- Proszę o spokój - powiedział. - Sąd zebrał się.

Wszyscy usiedli. Ben zobaczył, że kaplica znowu jest wypełniona ludźmi, żandarmi najwyraźniej nie zatrzymywali nikogo, kto pchał się do środka. Tego dnia spodziewano się krótkiej sesji.

Podniósł wzrok na ciemną galeryjkę chóru i zauważył stojącego przy samej balustradzie Cheta Browna, który pomachał mu radośnie na powitanie. Udał, że go nie zauważa.

Spojrzał na pierwszy rząd i zobaczył Marcy, która posłała mu całusa. Jego matka była również obecna, podobnie jak David, zgodnie ze swym życzeniem. W tej samej ławce siedziała także Karen Harper, ale bez przyjaciela. Od czasu do czasu wymieniała z Marcy jakąś uwagę.

Kaplica pachniała wilgotnymi ubraniami i zimnym deszczem, który bez ustanku uderzał w witraże, nadając znajdującym się na nich postaciom pozór życia, jakby były bohaterami kreskówek.

Tyson znowu spojrzał na oskarżycieli. Pierce, Weinroth i Longo pochyleni do siebie szeptali cicho. Po raz pierwszy wydali mu się prawie ludzcy. W tej chwili potrafił uwierzyć nawet, że są zdolni do takich uczuć jak miłość, że tak jak inni mają problemy pieniężne i dbają o swoje rodziny. Zauważył również, że major Judith Weinroth wpatruje się z uwielbieniem w pułkownika Grahama Pierce'a i wyobraził sobie, że mają romans.

Pułkownik Sproule przekładał papiery na pulpicie. Ten człowiek był wytworem innej ery. Siedział na swym miejscu dzień po dniu i zarówno dosłownie, jak i w przenośni spoglądał z góry na sąd. To, co usłyszał podczas rozprawy, prawdziwie nim wstrząsnęło.

Ben spojrzał przed siebie, przy stole ławy sędziowskiej nikt jeszcze nie siedział. Kawalek dalej, w kącie prezbiterium stało dwóch uzbrojonych żandarmów w pozycji na spocznij.

- Uzbrojeni i nie uzbrojeni - powiedział do Corvy. - Tak można podzielić świat.

- Zawsze tak było - zgodził się z nim adwokat.

- Nie bardzo wiem, co czuli wietnamscy wieśniacy, kiedy mieli z nami do czynienia. Jak masz się zachować, kiedy ty niesiesz koszyk warzyw, a spotykasz kogoś, kto dźwiga karabin M-16.

- Bardzo ostrożnie.

- Właśnie. Australijski lekarz nie potrafił tego zrozumieć.

- Najwyraźniej nie - odparł Vince jednocześnie przeglądając jakieś papiery na stole. - Czy jesteś przygotowany na swój debiut?

- Powiniennem być.

- Sędziowie często wiedzą, na jaki werdykt będą głosować - wyjaśnił Corva. - Mają tylko

dwie opcje. Ale ustalenie wysokości wyroku jest znacznie bardziej skomplikowane. Wiele może zależeć od tego, co powiesz.

- Innymi słowy, mam nie spieprzyć.

Adwokat nie odpowiedział.

Sędzia dał znak pułkownikowi Pierce'owi, że jest gotowy.

Oskarżyciel wstał.

- Wszystkie strony obecne poza członkami ławy - powiedział i usiadł.

Pułkownik Sprouie spojrział w kierunku stołu obrony.

- Czy oskarżony mógłby wstać? - poprosił.

Tyson podniósł się.

- Poruczniku Benjaminie Tyson - powiedział sędzia - chciałbym pana poinformować, że ma pan teraz prawo złożyć zeznania, przedstawiając okoliczności łagodzące w sprawie, w której został pan uznany za winnego. Jeśli takie jest pańskie życzenie, może pan zeznawać pod przysięgą lub w ogóle nie zeznawać, co nie będzie okolicznością obciążającą. Poza tym może pan złożyć zeznanie nie zaprzysiężone. Nie będzie ono dowodem i nie może pan być wtedy wzięty w krzyżowy ogień pytań, ale oskarżenie ma prawo przedłożyć dowody w celu odparcia wszystkiego, co zostało przez pana przedstawione. Oświadczenie może być ustne lub pisemne, lub w obu formach. Pańskie oświadczenie może przedstawić pan osobiście lub przez pańskiego adwokata. Może pan teraz skonsultować się z pańskim adwokatem, a potem proszę przekazać sądowi, co chce pan uczynić.

- Chciałbym złożyć zaprzysiężone zeznanie, wysoki sędzie - odparł Ben.

Sproule kiwnął głową jakby z aprobatą. Odwrócił się do sierżanta na warcie.

- Sierżancie, proszę poprosić sędziów.

Tyson po raz pierwszy od rozpoczęcia tej sprawy poczuł, jak mocno bije mu serce. Chciał się napić wody, ale nie widział szklanki. Vince nachylił się ku niemu.

- Nie będę ci zadawał żadnych pytań ani nic z ciebie wyciągał. Jesteś na głębokiej wodzie, poruczniku.

- To świetnie. Ciebie się już tyle nasłuchałem, że wystarczy mi do końca życia.

Corva odchrząknął.

Członkowie ławy jak zwykle wkroczyli na salę pojedynczo i podeszli do krzesel zgodnie ze stopniami, ale ponieważ sesja była już otwarta, usiedli jednocześnie.

Sędzia także nie marnował czasu.

- Poruczniku Tyson, proszę zająć miejsce dla świadków.

Ben bez wahania ruszył w stronę krzesła, dotarł do niego w tym samym czasie, co Pierce. Stanęli tuż koło siebie, Tyson mógł widzieć na purpurowej twarzy oskarżyciela odcinające się piegi.

- Proszę podnieść prawą rękę - powiedział pułkownik.

Ben podniósł rękę.

Mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy, gdy oskarżyciel wyrecytował:

- Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg.

- Przysięgam - powtórzył Ben.

- Może pan usiąść.

Tyson usiadł.

Adwokat wciąż był za stołem, ale teraz już stał.

- Wysoki sędzie, członkowie ławy - powiedział - porucznik Tyson chce złożyć oświadczenie. - Usiadł.

Ben widział teraz otoczenie z innej perspektywy. Sproule znalazł się nagle poza zasięgiem jego wzroku, wyraźne zdenerwowanie sędziego nie mogło go już odrywać od zeznań. Widział natomiast Pierce'a, który siedział za stołem o trzy metry od niego. Wychylił się on do przodu i oparł głowę na złożonych rękach, jakby nie mógł się doczekać tego, co oskarżony ma do powiedzenia. Tyson podejrzewał, że pragnął go w ten sposób zdenerwować, ale nagle wydało mu się to po prostu śmieszne. Weinroth i Longo siedzieli sztywno wyprostowani, co było odpowiednią postawą w sędzie wojskowym. Po jego lewej ręce siedzieli sędziowie, wystarczyło lekko odwrócić głowę, żeby ich zobaczyć.

Oskarżyciele przesłaniali częściowo ławki, ale dalej widać było rząd za rzędem, głowa przy głowie, wszystkie oczy wbite w niego.

Ben odezwał się normalnym głosem, jakby z kimś zwyczajnie rozmawiał.

- System jurysdykcji wojskowej jako jedyny pozwala, by uznany za winnego człowiek przedstawił pewne fakty, które mogą pomniejszyć jego winę. Nie jestem pewien, czy

byłoby na miejscu, gdybym zaczął opowiadać o swoim życiu, ponieważ wiecie o nim równie dużo jak wszyscy, wystawiono je bowiem na widok publiczny w czasie trwania procesu. Nie jestem też przekonany, że należy was dalej epatować okropnościami wojny, o których już dość się tu nasłuchaliście. Wiem, że zgodnie z kodeksem wojskowym zmęczenie walką i wszystko, co ten termin implikuje, uznaje się za czynnik łagodzący w przypadkach morderstw. Ale i ja wiem, i wy wiecie, że stanąłem tutaj oskarżony nie o zbrodnię, która wydarzyła się w szpitalu, ale za to, co uczyniłem, a właściwie czego nie uczyniłem, kilka dni później, na terenie bazy, kiedy znalazłem się w dowództwie batalionu i nie wypełniłem swego oficerskiego obowiązku. Ta zbrodnia nie została popełniona pod wpływem zmęczenia bitewnego. Nie mogę z całym przekonaniem powiedzieć wam, że teraz wypełniłbym swoją powinność. Wręcz przeciwnie, gdybym drugi raz znalazł się w takiej sytuacji, zrobiłbym to samo, co zrobiłem. I chociaż moje życie i wolność od tego zależą, nie umiem powiedzieć, dlaczego znowu popełniłbym to samo przestępstwo. Wiem, że przemknęło mi przez myśl, by złożyć raport o masowym morderstwie. Ale tylko przemknęło. I to było rezultatem mojego treningu oficerskiego i wszystkich innych sytuacji, które ukształtowały moją moralność. Nie musiałem zastanawiać się długo nad decyzją, a kiedy ją podjąłem, czułem, że ta decyzja jest słuszna. Gdybym powiedział wam coś innego, zastanawialibyście się, i słusznie, dlaczego nie zweryfikowałem swego pierwotnego postanowienia, o którym wiedziałem, że jest jednocześnie niemoralne i nielegalne. Tak więc stoję tu skazany za przestępstwo, które popełniłem, i niech tak zostanie.

Tyson rozejrzał się po milczącej sali.

- Jeśli chodzi o moich ludzi, możecie myśleć, że ochraniam ich wiedziony poczuciem lojalności, braterstwa i tej szczególnej zażyłości, która się tworzy pomiędzy oficerem i jego żołnierzami. Na pewno jest w tym ziarno prawdy, ale wy wiecie i ja wiem, że żadne z tych uczuć nie ma tak wielkiej mocy. Odczuwam naturalny żal, wiedząc, że życie wielu ludzi zostało zniszczone przez publiczne oświadczenia, które tutaj wszyscy usłyszeliśmy. Ale kiedy na drugiej szali położymy tych, których życie w ogóle zakończyło się w szpitalu, nie będziemy wylewać zbyt wielu łez nad żołnierzami z pierwszego plutonu Kompanii Alfa. Współczuję rodzinom, które dowiedziały się o swych bliskich tego, co mogło na zawsze zostać ukryte. Dzień po tym, jak zabiłem Larry'ego Cane'a, napisałem do jego rodziny list kondolencyjny, zapewniając, że zginął jako bohater. Był odważnym człowiekiem w wielu sytuacjach, ale nie zginął jako bohater i jeszcze raz składam kondolencje jego rodzinie.

Ben spojrzął na zasiadających w ławie oficerów i zwrócił się bezpośrednio do nich:

- Kiedy mój adwokat, pan Corva, zapytał mnie, czy chciałbym złożyć zaprzysiężone oświadczenie na rzecz okoliczności łagodzących, powiedziałem mu, że nie widzę ich. - Zamilkł na chwilę, a potem patrząc po kolei sędziom w oczy dodał: - I siedząc tutaj nadal ich nie potrafię znaleźć.

Pułkownik Sproule milczał jakiś czas, oczekując, że Tyson powie coś więcej. Wreszcie

zrozumiał, że to już wszystko, i zwrócił się do pułkownika Pierce'a.

- Czy oskarżenie chce przedłożyć jakiś dowód obalający oświadczenie oskarżonego?

Pułkownik chciał odpowiedzieć, ale ubiegł go Corva, który podbiegł do pulpitu.

- Oskarżony jeszcze nie skończył, wysoki sędzie - powiedział.

Brwi Sproule'a uniosły się wysoko w górę.

- Wydawało mi się, że skończył, panie Corva.

- Nie, wysoki sędzie. - Adwokat odwrócił się do swego klienta, który spojrzał na niego ostro.

- Czy odczuwał pan - zapytał Vince Bena - po incydencie w szpitalu skruchę?

Tyson skrzyżował przed sobą nogi. Przez chwilę wpatrywał się w Corwę.

- Tak - powiedział wreszcie.

- Czy teraz czuje pan skruchę?

- Czuję - odparł krótko Ben.

- Czy powiedziałby pan, że przez te wszystkie lata incydent będący przedmiotem niniejszej sprawy dręczył pana?

Tyson spojrzał na swego adwokata. Najwyraźniej Vince nie chciał pozwolić, żeby Ben zakończył na tym, co powiedział. Badawczo mu się przyjrzał i stwierdził, że obrońca jest strasznie zdenerwowany.

- Czy dręczyło pana to, co się wydarzyło w szpitalu?

- A pana by nie dręczyło? - zachnął się Tyson.

- Czy szukał pan pomocy psychiatrycznej po powrocie z Wietnamu?

Ben kącikiem oka widział sędziów, zauważył, że niektórzy wyglądają na zaniepokojonych. Nie odpowiedział.

- Szukał pan pomocy u psychiatry, prawda? - Corva nie czekając na odpowiedź mówił dalej: - Czy zabijając Larry'ego Cane'a uczynił pan wszystko, co było w ludzkiej mocy, by powstrzymać bunt i masakrę?

- Trudno powiedzieć.

- Nie może mi pan udzielić bardziej wyczerpującej odpowiedzi? - głos adwokata wzniósł się do krzyku.

Przez ławki widzów przebiegł szmer. Tyson ominął wzrokiem Vince'a i spojrzał na Pierce'a, który wpatrywał się teraz już nie w niego, lecz w adwokata. Weinroth i Longo patrzyli na siebie.

- Czy myśli pan - głos Corvy rozbrzmiewał coraz głośniejsze - że zmęczenie wojną usprawiedliwia w jakiś sposób to, co się zdarzyło w szpitalu? Jeśli uznaje to kodeks wojskowy, to może i panu wolno to przyznać?

Ben wyprostował nogi i pochylił się do przodu.

- Nie chcę już do tego wracać - powiedział napiętym głosem.

- Był pan wykończony przejściami wojennymi czy też nie? Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia! - Tyson wstał. - Nie ma żadnych okoliczności łagodzących.

Adwokat chciał coś powiedzieć, ale Sproule odchrząknął.

- Panie Corva, czy pański klient skończył swe wystąpienie?

- Nie.

- Tak - powiedział Ben i ruszył w stronę stołu obrony.

Vince zastąpił mu drogę. Sąd rozbrzmiewał okrzykami. Sędzia nakazał ciszę, po czym zwrócił się do Corvy.

- To nietypowa sytuacja.

Tyson patrzył Vince'owi prosto w oczy. Nagle zrozumiał, że jego adwokat był pod wpływem silnego stresu, który starannie ukrywał, a teraz znalazł się na krawędzi wybuchu. Ben usiadł.

- Myślę, że zmęczeniem można wytłumaczyć prawie wszystko, co się wydarzyło - powiedział spokojnym głosem.

Corvie udało się uspokoić.

- Panie Corva, czy chce pan kontynuować? - zapytał Sproule.

Adwokat potarł policzek.

- Nie, wysoki sędzie.

- Wysoki sędzie - oświadczył Ben - zakończyłem moje oświadczenie.

Vince stał w milczeniu jakby oszołomiony.

- Dobrze - stwierdził Sproule z nutą ulgi w głosie. Potem spojrział na Pierce'a i zapytał po raz drugi: - Czy oskarżenie chce przedstawić jakieś dowody obalające zeznania oskarżonego?

Pułkownik wstał i wzruszył ramionami.

- Wydaje się, że obrońca już to zrobił.

Rozległy się niepewne śmieszki, które natychmiast zamarły.

- Czy członkowie ławy mają jakieś pytania do oskarżonego? - zapytał sędzia patrząc na pułkownika Moore'a.

Pułkownik, wyraźnie nie konsultując się z pozostałymi członkami ławy, odpowiedział bezbarwnym tonem:

- Nie mamy pytań, wysoki sędzie.

- Może pan odejść, poruczniku - powiedział Sproule do Tysona.

- Tak jest, sir. - Ben wstał i popchnął Corvę w stronę stołu obrony.

Obaj usiedli.

- Zrobimy teraz pięć minut przerwy, ale bez opuszczania sali - powiedział sędzia i demonstracyjnie zagłębił się w jakichś papierach. Tak samo zachowali się oskarżyciele i ława.

- Dobrze się czujesz? - Tyson pochylił się w stronę Vince'a.

Adwokat wypił trochę wody.

- Lepiej.

- Na tyle dobrze, bym mógł ci przyłożyć?

- Popelnilem błąd. - Corva uśmiechnął się blado.

- Nie angażuj się tak w sprawę klienta - poradził mu Ben.

Vince nie odpowiedział. Minuty upływały w milczeniu. Wreszcie Sproule podniósł wzrok znad papierów i odchrząknął.

- Czy oskarżenie - zwrócił się w stronę Pierce'ą - chce przedstawić końcową argumentację?

Pierce pozwolił, by upłynęło kilka sekund.

- Wszystkie fakty potrzebne do podjęcia decyzji zostały podane.

Sędzia zwrócił się do Corvy:

- Czy obrona chce wystąpić z końcową argumentacją?

Adwokat odpowiedział nie podnosząc się z miejsca:

- Obrona również wierzy, że ława jest w posiadaniu wszystkich faktów potrzebnych do uzgodnienia wyroku.

- A wiec - odezwał się zaskakująco nieformalnie Sproule - to koniec. - Potem odwrócił się do sędziów. - Moim obowiązkiem jest poinstruować ławę w sprawie uzgodnienia kary. - Odchrząknął. - Do was należy ustalenie odpowiedniego wymiaru kary i macie prawo uwzględnić wszystkie okoliczności łagodzące. Macie prawo wziąć pod uwagę pochodzenie i charakter oskarżonego, opinie o nim i ocenę służby, w tym odznaczenia, pochwały, uczciwość, odwagę i wszystkie te cechy, które decydują o dobrym charakterze człowieka.

Musicie wziąć również pod uwagę, że celem wyroku nie jest tylko kara, odstraszenie i reedukacja czy ochrona społeczeństwa. Końcowy produkt rozprawy w sądzie wojskowym w formie wyroku ma odzwierciedlać cele wojskowe, gdyż szczególnie ważny jest fakt, że wojsko musi spełniać swe założenia, a żołnierz ma wykonywać swe obowiązki z honorem i być posłuszny dyscyplinie. W sytuacji gdy oskarżony jest oficerem, powinien on zgodnie ze zwyczajem, a także w pewnych przypadkach z prawem, spełniać te cele i wyznawać ideały wojskowe w jeszcze większym stopniu niż wymagamy tego od szeregowych żołnierzy. Jednakże wasze wymagania nie mogą być nierealistyczne ani nieosiągalne dla członków korpusu oficerskiego. Podczas debaty nad werdyktem - mówił dalej pułkownik - powinniście także wziąć pod uwagę warunki panujące w czasie popełniania karanego czynu. Nie powinniście uwzględniać wpływów zewnętrznych, prawdziwych ani odczuwanych, ani też sami nie powinniście ulegać żadnym wpływom.

Sędzia omiółt salę wzrokiem i zakończył:

- Chociaż nie ma i nie powinno być przedawnienia dla morderstwa, możecie wziąć pod uwagę przy ustalaniu wyroku, że oskarżony został uznany za winnego czynu, który miał miejsce osiemnaście lat temu, możecie wziąć pod uwagę jego osiągnięcia w życiu cywilnym, jego pozycję społeczną, stan cywilny i wiek. - Sproule skierował wzrok na

pułkownika Moore'a. - Czy ława ma jakieś pytania?

Moore spojrział na członków ławy.

- Nie mamy pytań - powiedział.

- Ława może dyskutować nad wyrokiem - pułkownik instruował dalej sędziów - w pomieszczeniu przeznaczonym specjalnie do tego celu. Jeśli wyrok nie zostanie wydany przed godziną czternastą trzydzieści, możecie kontynuować dyskusję w sali narad tak długo, aż ustalicie treść wyroku. Kiedy osiągniecie porozumienie w tej kwestii, proszę poinformować sąd Zamykam rozprawę.

Tyson i Corva znaleźli się ponownie w biurze rabina Weitzza. Sam rabbi był tam również.

- Przyszedłem - powiedział do Bena. - Byłem dzisiaj na sali po raz pierwszy. Po czyjej jest pan stronie?

- Ja też chciałbym się tego dowiedzieć - powiedział adwokat. - Jeszcze nigdy nie słyszałem gorszego oświadczenia ogłoszonego przez oskarżonego.

Tyson widział, że Vince wrócił już prawie do siebie, choć ciągle się dęsał.

- Dopiero miałbyś za swoje, gdyby cię wzięli za słowo - dodał Corva.

- Jeśli miała to być przewrotna psychologia - włączył się Weitz - to mam nadzieję, że podziała.

- Powiedziałem to, co musiałem powiedzieć - odpowiedział Ben poirytowanym głosem.

- Twoje ego zostanie upokorzone - odparł adwokat - może nawet dzisiaj.

- Twierdziłeś, że mogę powiedzieć wszystko, co chcę.

- Miałeś powiedzieć, że mordercy są na wolności. I zanim ciebie wsadzą do więzienia, niech się nad tym zastanowią. Myślałem, że zrozumiałeś, do czego zmierzamy... e, do diabła z tym.

Rabin sięgnął po teczkę i ruszył do drzwi.

- Może w czasie dyskusji nad sprawiedliwym wyrokiem zastanowią się nad bardziej odpowiednim miejscem na sąd wojskowy. Niech Bóg was obu błogosławi. - Otworzył drzwi i wyszedł.

Vince usiadł na biurku rabina, pijąc wodę z lodem.

Tyson stał przy oknie i patrzył na deszcz. Na trawniku, w odległości najwyżej trzech metrów, stało dwóch żandarmów w płaszczach przeciwdeszczowych i z karabinami M-16 przewieszonymi przez ramię.

- Nie można stąd uciec.

- Co?

- Stoją żandarmi z karabinami.

- A czego oczekujesz?

Ben wzruszył ramionami i odwrócił się od okna.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Co?

- Wiesz cholernie dobrze co?

Corva milczał.

- Zrobiłem to - odpowiedział po bardzo długiej chwili ponieważ nie potrafiłem siedzieć i patrzeć, jak beztrąsko maszerujesz prosto przed pluton egzekucyjny z tą twoją cholerną buńczuczną miną.

- No cóż, ja to robiłem po mojemu, a ty po swojemu. A wyszło z tego ni pies, ni wydra. - Tyson spojrział na zegarek i zapytał; - Ile to potrwa i ile dostanę?

- Mają sporo do przedyskutowania - - powiedział adwokat. - Czasami to trwa dłużej niż uzgadnianie werdyktu o winie. Może zabrać nawet kilka dni.

- W takim razie zgadujmy - powiedział Ben. - Co podpowiada twoje doświadczenie, a może nie powinienem pytać?

Vince uśmiechnął się zimno.

- Mógłbym mieć pięćdziesięcioletnią praktykę w pracy adwokata za sobą, a tego wyroku nie umiałbym przewidzieć. Może być od zera do... piętnastu lat.

Tyson usiadł na krześle przeznaczonym dla gościa i spojrział na zegar.

- Jedenasta piętnaście.

- Bądź przygotowany na czekanie.

- Czy to twoja zwykła polityka siedzieć z oskarżonym podczas dyskusji nad wyrokiem?

- Chyba tak. Masz prawo wrócić do aresztu, jeśli tam się czujesz lepiej.

- Zostańmy tutaj.

- Dobrze.

Ben przez jakiś czas siedział w milczeniu.

- Pamiętasz, jak mówiło się w Wietnamie - zaczął Corva - że nie da się odróżnić złych ludzi od dobrych. A więc trzeba ich wszystkich zabić i niech święty Piotr się martwi. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem to zdanie, wydało mi się zabawne. Potem, gdy zobaczyłem, że tak się naprawdę dzieje - zabijanie cywilów - przestało mnie śmieszyć. Ale nim wróciłem do domu, zrozumiałem, że w tym stwierdzeniu jest pewna logika, i to mnie naprawdę przerażyło. Myślę, nie, ja to wiem, że każdy, kto tam był, tracił kontakt z rzeczywistością i kreował swój własny świat. W twoim przemówieniu czegoś zabrakło. Luka między wiedzą na temat tego, co było twoim obowiązkiem, decyzją i jej niewypełnieniem, a świadomością, że ta decyzja jest słuszna, choć zdawała się niezgodna ze wszystkim, w co wierzyłeś.

Tyson zapalił papierosa.

- Bez przerwy wracam do tego, co się zdarzyło. Staram się to przeżyć jeszcze raz, odczuć znowu to, co czułem, myśleć to, co myślałem. Ale im bardziej się staram, tym bardziej wszystko staje się nieuchwytnie. To śmieszne, ale najwyraźniej pamiętam pierwsze dni i tygodnie w Wietnamie. Kiedy jeszcze byłem otwarty na świat zewnętrzny. Gdy zaś mijały tygodnie, z każdym kolejnym miesiącem coraz bardziej się zamykałem, przekręcając rzeczywistość, a niekiedy po prostu jej zaprzeczając. Wszyscy to robiliśmy. Mogłeś rano zabić pięciu facetów i przed obiadem byłeś przekonany, że nigdy nie istnieli. Mogłeś przez nieuwagę zabić wieśniaka, a zanim załadowałeś kolejny magazynek, już zamienił się on w uzbrojonego po zęby żołnierza. Więc może w szpitalu wcale nie zdarzyło się to, co opowiedzieli Brandt czy Farley, co ja opowiedziałem tobie czy Kelly wszystkim nam. Może to było coś zupełnie innego. Może gdybym po przybyciu do dowództwa udał się do pułkownika i opowiedział mu, co się wydarzyło, on po prostu uznałby, że zwariowałem. Podarłby mój raport i pokazał nominację na Srebrną Gwiazdę, a potem kazałby mi wziąć się w garść.

- O, Chryste, Ben - szepnął adwokat - co to było za miejsce. I czy teraz jesteśmy już przy zdrowych zmysłach?

- Możesz się założyć.

- Racja. A tak przy okazji mam dla ciebie ustną wiadomość od major Harper. Chcesz usłyszeć?

- Nie.

- Dobra.

Tyson zaciągnął się papierosem.

- O co jej chodzi?

- Chciała, żebyś wiedział - powiedział Vince - że kończy służbę w wojsku dzisiaj o północy. Powiedziała, że chętnie postawi ci jutro drinka gdzieś w mieście. Ty wybierasz miejsce.

Ben zamyślił się na chwilę.

- To była kobieta, za którą mógłbym pójść.

- Poszedłeś. Ale to już inna historia. Umów się z nią w tym hotelu, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wystarczy wejść na górę.

- Jesteś obrzydliwy. - Tyson uśmiechnął się. - Jeśli się z nią umówię, wezmę ciebie za przyzwoitkę.

- Będę tam. I ty też.

Ben spojrzał na adwokata, ale nic nie powiedział.

- Ta Sindel też nie jest najgorsza. Coś musi być w mundurach. Dlaczego wszystkie kobiety w mundurach tak mi się podobają?

- Nie wiem. Zapytaj swego jajogłowego.

- Mój jajogłowy powiedział kiedyś, że gdy żołnierz idzie na wojnę, wszystko jest mu z góry wybaczone.

- Naprawdę tak powiedział? Szkoda, że nie zasiada w ławie sędziowskiej.

- Nie żyje.

- Racja.

Obaj spojrzeli na zegarki.

- Głodny? - zapytał Corva.

- Nie. - Tyson zapalił kolejnego papierosa. - Dlaczego uważasz, że będę się mógł jutro spotkać z Karen Harper w barze?

- Jestem optymistą - odparł Vince. - Najwyraźniej ona również jest dobrej myśli. Ale sądzę, że są i tacy, którzy bardzo by chcieli cię zobaczyć w więzieniu - żeby pokazać, że jeśli oficer zawiedzie, wojsko mu nie pomoże. To takie tradycyjne podejście. Taką pokazówką był sąd nad kapitanem Bucherem, który poddał Pueblo. Tak samo zrobili z Custerem, ponieważ przeżył klęskę swej armii. Wojsko chętnie pokazuje twardą pięść, gdy potrzebne jest współczucie, a współczucie, kiedy trzeba walnąć pięścią. A potem mówią, że nie stosują cywilnych norm zła i dobra i że mają własny kodeks i własne standardy. Gdzie indziej człowiek dostałby pięć lat więzienia tylko za to, że był nie tam, gdzie powinien i kiedy powinien być.

- Myślałem o tym. - Ben kiwnął głową. - Sproule zalecał im łagodność. Ale Sproule to sędzia. Nie jest tak naprawdę częścią korpusu oficerskiego. Oficerowie piechoty wywodzą się z zupełnie innego miejsca. Prawda?

- Zobaczymy.

- Opowiedz mi jakąś historię z wojny, Corva. Nudzę się. Opowiedz mi o tunelu i Brązowej Gwieździe, którą dostałeś potem.

- Dobra - adwokat zaczął z entuzjazmem. - Wpełzłem w ten tunel, a on się zwęzał i zwęzał i wreszcie już prawie w ogóle nie miałem miejsca wokół siebie.

- To wiem.

- No właśnie. Zapaliłem górniczą lampkę, a tu widzę tych dżentelmenów, którzy najwyraźniej należą do armii Ludowej Republiki, choć nie mają żadnych insygniów na swoich czarnych pidżamach. Sięgnąłem do kieszeni - a pamiętaj, że było ciasno - i szybko wyciągnąłem plastikową kartę i przeczytałem „Zasady spotkania z nieprzyjacielem”.

Tyson roześmiał się.

- Nie śmieć się ze mnie. To poważna historia. Kiedy doszedłem do szóstego, może siódmego punktu, pomyślałem, że znalazłem dokładnie to, czego szukałem: spotkanie twarzą w twarz z żółtkiem w ciemnym tunelu. Zasada brzmiała: najpierw strzelaj, potem znajdziesz powód. Więc...

Wtem rozległo się pukanie do drzwi, Ben spojrzał na zegar. Pięć po dwunastej. Lunch. Drzwi otworzyły się i do biura wkroczył sierżant Larson, który pamiętając poprzedni okres oczekiwania powiedział natychmiast:

- Ława uzgodniła wyrok. Czy pójdzie pan ze mną, sir?

Tyson podniósł się, złapał czapkę i prawie wybiegł przez drzwi, Vince za nim, na końcu Larson. Przeszli szybko korytarzem, skręcili w lewo i weszli do kaplicy. Ben podszedł prosto do stołu obrony i stanął za nim. Corva stanął obok.

Tyson rozejrzał się po ławkach. Były w połowie puste. Widocznie nikt nie spodziewał się, że wyrok zapadnie tak szybko. Ale Marcy, David i jego matka szli właśnie, eskortowani przez żandarma, nawą główną. Inni również pospiesznie wchodzili na salę.

Pierce, Weinroth i Longo siedzieli przy swoim stole, który po raz pierwszy był kompletnie pusty.

Oficerowie siedzieli bez ruchu na swoich miejscach, nie rozmawiali między sobą, jak to się zdarzało wcześniej, zanim Sproule wchodził na salę.

Sierżant wyszedł na środek podwyższenia.

- Proszę wstać - zażądał.

Wszedł pułkownik Sproule i stanął za pulpitem. Spojrzał na ławki, zawahał się, ale powiedział:

- Proszę o spokój.

Pierce wstał.

- Wszystkie strony sprawy, które były obecne na sali przed zamknięciem sesji, stawily się ponownie.

- Otrzymałem wiadomość - sędzia zwrócił się do pułkownika Moore'a - że ława uzgodniła wyrok. Czy tak?

- Tak - odpowiedział Moore ze swego miejsca.

- Poruczniku Benjaminie Tyson, proszę się zameldować przewodniczącemu ławy - powiedział Sproule.

Ben wstał, adwokat razem z nim.

Do kaplicy wciąż wchodzili ludzie, ale poza cichymi krokami i dobiegającym przez otwarte drzwi szumem przejeżdżających od czasu do czasu samochodów, nie słyhać było nic.

Tyson przeszedł po czerwonym chodniku i znowu zatrzymał się na wprost stojącego pułkownika Moore'a. Zasalutował i wyprężył się w pozycji na baczność.

Moore spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

- Poruczniku Tyson, moim obowiązkiem jako przewodniczącego ławy jest poinformować pana, że na zamkniętej sesji, w tajnym głosowaniu, po wnikliwej i otwartej dyskusji w obecności wszystkich członków, zapadł wyrok wykluczenia pana z armii

Stanów Zjednoczonych, odebrania panu wszelkich pensji i przywilejów, które mogą wynikać z pańskiej wcześniejszej i obecnej służby jako oficera armii Stanów Zjednoczonych.

W kaplicy nadal panowała absolutna cisza, jakby ktoś wykasował głos. Ben czekał na coś jeszcze, ale wszystko wskazywało na to, że pułkownik zakończył, co przecież było niemożliwe, więc Tyson stał tak aż wreszcie Moore usiadł.

Ktoś w ławkach płakał, wszyscy wstali. Ben zobaczył tuż koło siebie Vince'a.

- No i co tak stoisz? - zapytał Corva. - Może byś lepiej poszedł do domu.

- Do domu. Chcę iść do domu.

Pułkownik Sproule spojrział na pułkownika Pierce'a.

- Czy oskarżenie ma jeszcze jakąś sprawę na tym posiedzeniu? - zadał obowiązujące pytanie.

Oskarżyciel stał już z teczką w ręce. Gwałcąc etykietę wojskową odpowiedział idąc w stronę drzwi:

- Nie, wysoki sądzie, nie mamy nic więcej.

- Sąd zarządza przerwę do posiedzenia w następnej sprawie - ogłosił pułkownik Sproule.

Tyson odwrócił się w stronę bocznych drzwi, ale Vince delikatnie popchnął go w stronę głównej nawy.

- Tym razem wyjdziemy głównym wyjściem. Czeka tam na ciebie mnóstwo ludzi.

Żandarmi ustawili się w dwóch szeregach wzdłuż głównej nawy Tyson i Corva ruszyli pomiędzy nimi, dołączyła do nich Marcy, potem David i matka Bena, która ucałowała go. W milczeniu wyszli na październikowy deszcz. Marcy ujęła go za rękę i ucisnęła mocno kiedy weszli do przedsionka.

Ben wyszedł na mokre od deszczu schody. Powitało go morze parasoli, tysiące, a kiedy schodził po schodach ze swoją rodziną, parasolem pochylały się by chronić go przed deszczem. Tyson ścisnął dłoń Marcy i objął syna.

- Chodźmy do domu - powiedział.

[1](#) *My Lai - wioska w Wietnamie Południowym, w której wojska amerykańskie pod dowództwem porucznika Calleya dokonały masakry ponad stu osób.*